

Numer 1 na liście bestsellerów New York Timesa



**JIM
BUTCHER**

AKTA DRESDENA

ZMIANY

*Magia.
Potrafi zabić.*

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Słowo od autora

O autorze

**JIM
BUTCHER**
AKTA DRESDENA
ZMIANY

PRZEŁOŻYŁ ROBERT WALIŚ

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2019

Tytuł oryginału:
The Dresden Files – Book Twelve. Changes

Copyright © 2011 by Jim Butcher

Copyright for the Polish translation
© 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Urszula Okrzeja

Korekta:
Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce:
Chris McGarth

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66409-94-1

Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o. o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 733 50 10
www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

1

Odebrałem telefon, a Susan Rodriguez powiedziała:

– Porwali naszą córkę.

Siedziałem w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Eee, co takiego?

– Słyszałeś, co powiedziałam, Harry – odrzekła Susan łagodnie.

– Aha... eee.

– Ta linia nie jest bezpieczna. Wieczorem będę w mieście. Wtedy porozmawiamy.

– Tak. Dobrze.

– Harry... Nie jestem... Nigdy nie chciałam... – Westchnęła. W tle usłyszałem dobiegający z głośnika komunikat po hiszpańsku. – Porozmawiamy o tym później. Samolot niedługo odlataje. Muszę iść. Przyjadę za jakieś dwanaście godzin.

– Dobrze – odpowiedziałem. – Będę... będę tutaj.

Zawahała się, jakby zamierzała coś dodać, ale w końcu się rozłączyła.

Siedziałem ze słuchawką przy uchu. Po chwili rozległ się w niej urywany sygnał zajętej linii.

Naszą córkę.

Powiedziała „naszą córkę”.

Odłożyłem słuchawkę. A przynajmniej próbowałem. Nie trafiłem w widełki i słuchawka z trzaskiem spadła na podłogę.

Myszek, mój duży, kudłaty, szary pies, wstał ze swojego ulubionego legowiska w malutkim aneksie kuchennym, którym mogło się pochwalić moje mieszkanie w piwnicy, podbiegł i usiadł u moich stóp, wpatrując się we mnie ciemnymi, zatroskanymi ślepiami. Po chwili cicho sapnął, ostrożnie podniósł słuchawkę zębami i odłożył ją na miejsce. Potem znów popatrzył na mnie z niepokojem.

– Chyba... – zacząłem, ale urwałem, próbując ogarnąć to myślą. – Chyba... mam dziecko.

Myszek pisnął niepewnie.

– Owszem. A myślisz, że jak się czuję? – Wbiłem wzrok w przeciwległą ścianę. Potem wstałem i sięgnąłem po płaszcz. – Muszę się napić. – Pokiwałem głową, nie skupiając się na niczym konkretnym. – Właśnie. Coś takiego... właśnie.

Myszek wydał z siebie udręczony odgłos i wstał.

– Jasne – odpowiedziałem. – Możesz iść ze mną. Cholera, może potem odwiedzisz mnie do domu.

W drodze do McAnally's ciągle na mnie trąbili. Miałem to gdzieś. Udało mi się dotrzeć do celu w jednym kawałku, a to najważniejsze, prawda? Postawiłem swojego poobijanego, wiernego garbusa na niewielkim miejscu parkingowym i ruszyłem w stronę pubu.

Myszek zaszczekał.

Obejrzałem się przez ramię. Zostawiłem otwarte drzwi auta. Pies zamknął je nosem.

– Dzięki – rzuciłem.

Weszliśmy do lokalu.

Pub Maca wygląda jak ten z serialu *Zdrówko*, tylko po małej apokalipsie. W pomieszczeniu stoi trzynaście nieregularnie rozmieszczonych filarów podtrzymujących dach. Na wszystkich wyrzeźbiono sceny z europejskich baśni; niektóre są zabawne, inne złowieszcze. Trzynaście wiatraków leniwie wiruje pod sufitem, a przy nieregularnie ukształtowanym barze z polerowanego drewna stoi trzynaście stołków. W pubie znajduje się trzynaście stolików, które ustawiono bez żadnego konkretnego porządku.

– Sporo tutaj trzynastek – mruknąłem pod nosem.

Była mniej więcej czternasta trzydzieści. W lokalu nie było nikogo poza mną i psem – aha, no i Makiem. Mac jest mężczyzną średniego wzrostu i średniej budowy ciała, ma grube, kościste nadgarstki i gładką lśniącą łepetynę, która nigdy nie zarasta. Równie dobrze może mieć trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat i zawsze nosi nieskazitelnie białe fartuch.

Myszek przez chwilę intensywnie wpatrywał się w Maca. Potem gwałtownie usiadł w wejściu na szczycie krótkich schodów, zakręcił się w miejscu, po czym ułożył obok drzwi, kładąc pysk na łapach.

Mac zerknął w naszą stronę.

– Harry.

Powlokłem się do baru.

Mac wyjął butelkę piwa jednego z mikrobrowarów, ale pokręciłem głową.

– Hmm, poprosiłbym o whiskey, Mac, ale nie wiem, czy masz ją na stanie.

W każdym razie przyda mi się coś mocniejszego.

Mac uniósł brwi i puścił oko.

Jeśli go znacie, to wiecie, że u niego to równoznaczne z krzykiem.

Mimo wszystko nalał mi czegoś jasnozłotego do małej szklaneczki, a ja to wypilem. Paliło. Sapnąłem cicho, a potem postukałem palcem w blat obok szklaneczki.

Mac ją napełnił, marszcząc czoło.

Drugą porcję wypilem wolniej, ale i tak podrażniła mi przetyk. Dzięki temu mogłem się skupić na bólu. Moje myśli zaczęły krzepnąć wokół niego, krystalizować się i nabierać konkretnego kształtu.

Susan do mnie zadzwoniła. Jedzie tutaj.

No i mamy dziecko.

A ona nigdy mi nie powiedziała.

Susan była dziennikarką w szmatławcu, który drukował wiadomości z nadprzyrodzonego świata. Większość osób, które tam pracują, jest przekonana, że wydają fikcję, ale Susan samodzielnie odkryła istnienie nadnaturalnych zjawisk. Kilkakrotnie wpadaliśmy na siebie i walczyliśmy na słowa, zanim zostaliśmy parą. Nie byliśmy razem zbyt długo – niecałe dwa lata. Byliśmy młodzi i uszczęśliwialiśmy się nawzajem.

Może powinienem mieć więcej rozumu. Jeśli nie stoisz na uboczu i nie ignorujesz świata, wcześniej czy później narobisz sobie wrogów. Wampirzyca Bianca, z którą miałem na pieńku, porwała Susan i zainfekowała ją żądzą krwi Czerwonego Dworu. Susan nie przeszła całkowicie na drugą stronę, ale gdyby kiedyś straciła nad sobą panowanie i zakosztowała krwi, tak by się stało.

Zostawiła mnie, bojąc się, że w przeciwnym razie to ja stanę się ofiarą, która zmieni ją w potwora, i ruszyła w świat, by znaleźć jakiś sposób na zapanowanie nad swoją naturą.

Powtarzałem sobie, że miała ku temu dobre powody, ale rozsądek i złamane serce nie mówią wspólnym językiem. Nigdy do końca sobie nie wybaczyłem tego, co ją spotkało. Rozsądek i poczucie winy zapewne również nie potrafią się dogadać.

Pewnie dobrze się stało, że przeżyłem szok, ponieważ czułem emocje, które budziły się głęboko w moim wnętrzu, przybierały na sile jak sztorm na środku morza. Nie widziałem ich. Czułem tylko ich skutki, ale to wystarczyło, by zrozumieć, że wzbierało we mnie coś potężnego. Brutalnego. Niebezpiecznego. Bezmyślna wściekłość każdego dnia doprowadza ludzi do śmierci. Ale w moim wypadku może być gorzej.

Jestem zawodowym magiem.

Mogę zrobić znacznie więcej niż inni ludzie.

Magia i emocje są ze sobą nierozzerwalnie powiązane. Zdarzyło mi się stawać do walki i znałem towarzyszące temu przerażenie oraz wściekłość, które nie pozwalają myśleć na tyle jasno, by poradzić sobie z choćby najdrobniejszymi problemami. Korzystałem z magii w takich niestabilnych okolicznościach i kilka razy widziałem, jak wyrywa się spod kontroli. Kiedy zwykli ludzie tracą nad sobą panowanie, komuś może stać się krzywda. Ktoś nawet może zginąć. Kiedy to spotyka maga, bankrutują firmy ubezpieczeniowe i potrzebna jest odbudowa.

W porównaniu z tym, co teraz się we mnie budziło, wcześniejsze bitewne emocje przypominały anemiczne kociaki.

– Muszę z kimś porozmawiać – odezwałem się cicho. – Z kimś obiektywnym i zdystansowanym. Muszę uporządkować myśli, zanim wszystko się posypie.

Mac nachylił się nad barem i popatrzył na mnie.

Objąłem szklaneczkę dłonią.

– Pamiętasz Susan Rodriguez? – spytałem cicho.

Pokiwał głową.

– Powiedziała, że ktoś porwał naszą córkę. Powiedziała, że przyjedzie tutaj dziś wieczorem.

Mac powoli nabrał powietrza i je wypuścił. Potem nalał sobie kielicha i upił mały łyk.

– Kochałem ją – wyznałem. – Może wciąż ją kocham. A ona mi nie powiedziała.

Pokiwał głową.

– Możliwe, że kłamie.

Mruknął.

– Już kiedyś mnie wykorzystano. Poza tym mam słabość do dziewczynek.

– Tak – odrzekł.

Posłałem mu surowe spojrzenie. Uśmiechnął się nieznacznie.

– Ma pewnie... sześć lat? Siedem? – Pokręciłem głową. – W tej chwili nie radzę sobie nawet z liczeniem.

Mac zacisnął usta.

– Ciężka sprawa.

Dopiłem drugą szklaneczkę. Świat stał się nieco przyjaźniejszy. Mac dotknął palcem butelki, uważnie mi się przyglądając. Pokręciłem głową.

– Możliwe, że mnie okłamała – dodałem cicho. – A jeśli nie... to...

Mac przymknął oczy i pokiwał głową.

– To mała dziewczynka ma kłopoty – dokończyłem. Poczulem, że zaciskam mocniej zęby, a burza szalejąca w moim wnętrzu niebezpiecznie zbliża się do powierzchni. Stłumiłem ją. – Moja mała dziewczynka.

Ponownie pokiwał głową.

– Nie wiem, czy już ci kiedyś mówiłem – odezwałem się. – Byłem sierotą.

Mac patrzył na mnie w milczeniu.

– Czasami... bywało naprawdę kiepsko. Wtedy chciałem, żeby ktoś mnie uratował. Tak bardzo tego pragnąłem. Marzyłem, że... nie jestem sam. A kiedy ktoś wreszcie się pojawił, okazało się, że to największy potwór ze wszystkich. – Znowu pokręciłem głową. – Nie pozwolę, żeby to spotkało moje dziecko.

Mac skrzyżował ręce na barze, wbił we mnie wzrok i odezwał się dźwięcznym barytonem.

– Musisz być bardzo ostrożny, Harry.

Popatrzyłem na niego ze zdumieniem. Użył... całego zdania.

– Jeszcze nigdy nie stanąłeś przed takim wyzwaniem – ciągnął Mac. – Dowiesz się, kim naprawdę jesteś, Harry. Dowiesz się, jakich zasad jesteś

gotów bronić do śmierci, a jakie granice jesteś skłonny przekroczyć. – Zabrał mi pustą szklaneczkę. – Wyruszasz na pustkowia. Łatwo się tam zgubić.

Patrzyłem na niego oszołomiony, gdy kończył swojego drinka. Skrzywił się, jakby trunek palił go w przelyk. Może nadwerżył sobie głos tym całym mówieniem.

Przez chwilę patrzyłem na swoje dłonie.

– Daj mi kanapkę ze stekiem – poprosiłem. – I coś dla kundla.

Mruknął potakująco i zabrał się do gotowania. Nie śpieszył się, próbując odczytać moje zamiary dzięki swojej barmańskiej intuicji. Nie byłem głodny, ale miałem trochę czasu do zabicia, dopóki nie opadnie kurz.

Postawił przede mną talerzyk z kanapką. Potem zaniósł Myszkowi porcję kości z mięsem oraz miskę wody. Kiedy jadłem, uzmysłowiłem sobie, że Mac nigdy nie nosi nikomu jedzenia. Widocznie lubił psy.

Powoli skończyłem kanapkę i zapłaciłem.

– Dzięki – powiedziałem.

Mac pokiwał głową.

– Szczęścia.

Wstałem i wróciłem do samochodu. Myszek szedł przy mojej nodze i uważnie mnie obserwował, niepewny, co zrobię.

Zebrałem myśli. Musiałem być ostrożny. Musiałem być czujny. Mieć oczy szeroko otwarte. Nie dopuścić, by szalejąca w moim wnętrzu burza wyrwała się na powierzchnię, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że ktoś – może Susan, może moi wrogowie – próbuje mną manipulować.

Tak czy inaczej, Mac miał rację.

Wyruszałem na pustkowie.

2

Susan pojawiła się około pierwszej w nocy.

Wróciłem do domu z pubu i udałem się prosto do swojego laboratorium w niższej piwnicy, żeby zająć się magią, która wymagała intensywnego skupienia. W ciągu kolejnych godzin przygotowałem kilka rzeczy, które mogły mi się przydać w najbliższej przyszłości. Potem wspiałem się po schodkach do mieszkania i założyłem pierścienie energetyczne. Każdy z nich jest spleciony z trzech pojedynczych pierścieni, które zakładałem w taki sposób, by magazynowały nieco energii kinetycznej zawsze, gdy poruszam ręką. Są bardzo skuteczne, ale uznałem, że nie zaszkodzi ich doładować, więc przez pół godziny okładałem pięściami ciężki worek wiszący w kącie salonu.

Wziąłem prysznic, doprowadziłem się do porządku, przygotowałem kolację i ogólnie starałem się cały czas pozostawać w ruchu. W przeciwnym razie mogłyby mnie nawiedzić nieprzyjemne myśli, a nie byłem pewien, czybym sobie z nimi poradził.

Nawet nie brałem pod uwagę snu. Nic by z tego nie wyszło.

Nie zatrzymywałem się. Wysprzątałem kuchnię. Wykąpałem Myszka i wyszczotkowałem mu futro. Posprzątałem w salonie, sypialni, łazience. Zmieniłem żwirek w kuwecie Mistera. Wyczyściłem palenisko w kominku i rozstawiłem nowe świece, żeby oświetlić pomieszczenie.

Dopiero po dwóch godzinach uświadomiłem sobie, że chcę, by mieszkanie wyglądało ładnie na przyjście Susan. Trudno zwalczyć dawne nawyki.

Właśnie rozważałem, czy nie wykąpać Mistera (który rzucał mi nieprzychylne spojrzenia ze szczytu najwyższego regału), gdy ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

Moje serce zabiło szybciej.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem Susan.

Była kobietą średniego wzrostu, czyli o około trzydziestu centymetrów niższą ode mnie. Miała smukłą i kanciastą twarz, ciemne i proste włosy oraz jeszcze ciemniejsze oczy, a jej skórę zdobiła opalenizna, mocniejsza niż kiedykolwiek. Sprawiała wrażenie szczuplejszej. Widziałem ścięgna i mięśnie pod skórą szyi, a kości policzkowe były zarysowane wyraźniej niż kiedyś. Była ubrana w czarne skórzane spodnie, czarny T-shirt i skórzaną kurtkę pasującą do spodni.

Nie postarzała się nawet o dzień.

Minęło prawie dziesięć lat, odkąd ją widziałem. To wystarczająco długo, by wygląd człowieka nieco się zmienił. Nie chodzi mi o nic drastycznego. Ot, kilka dodatkowych kilogramów, kilka nowych zmarszczek, kilka siwych włosów. Ludzie nie pozostają tacy sami. Ale Susan się nie zmieniła. Ani o jotę.

To całkiem miły skutek uboczny połowicznej przemiany w wampirycę Czerwonego Dworu.

– Cześć – odezwała się cicho.

– Cześć – odpowiedziałem. Mogłem popatrzeć jej w oczy bez obaw, że spojrzę w jej duszę. Już kiedyś zaglądaliśmy nawzajem do swojego wnętrza.

Spuściła wzrok i wsunęła dłonie do kieszeni kurtki.

– Harry... czy mogę wejść?

Cofnąłem się o pół kroku.

– Nie wiem. Możesz?

W jej oczach rozbłysła iskra gniewu.

– Myślisz, że przeszłam na drugą stronę?

– Myślę, że znudziło mi się podejmowanie niepotrzebnego ryzyka – odparłem.

Zacisnęła usta, ale potem skinęła głową i przekroczyła próg mojego mieszkania, magiczną barierę, która otacza mój dom – wampir nie mógłby tego dokonać bez pozwolenia.

– W porządku – powiedziałem, cofając się, by zrobić jej miejsce, i zacząłem zamykać drzwi.

Wtedy zauważyłem jasnowłosego, nierzucającego się w oczy mężczyznę,

który siedział na najwyższym stopniu betonowych schodów prowadzących do mojego mieszkania. Miał na sobie spodnie khaki oraz niebieską dżinsową kurtkę, spod której wyzierała kabura przypięta pod pachą. Był sojusznikiem Susan i miał na imię Martin.

– Hej, ty – odezwałem się. – Wszystkiego dobrego.

Usta Martina drgnęły i zagościło na nich dalekie echo uśmiechu.

– Wzajemnie.

Zamknąłem drzwi, a potem złośliwie je zaryglowałem, robiąc przy tym jak najwięcej hałasu.

Susan uśmiechnęła się i pokręciła głową. Przez chwilę rozglądała się po mieszkaniu i nagle zamarła, gdy z pogrążonej w ciemności kuchni dobiegło warczenie. Myszek nie wstał, a jego warczenie nie było tak dzikie, jak zdarzało się w przeszłości, ale niewątpliwie stanowiło grzeczne ostrzeżenie.

Susan znieruchomiała i przez chwilę patrzyła w stronę kuchni.

– Masz psa – powiedziała w końcu.

– Raczej on ma mnie – odrzekłem.

Susan pokiwała głową i powiodła wzrokiem po małym mieszkaniu.

– Trochę tu pozmieniałeś.

– Zombie – wyjaśniłem. – No i wilkołaki. Kilka razy wywróciły wszystko do góry nogami.

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego nie wyprowadzisz się z tej zatęchłej dziury.

– Zatęchłej? Dziury? To mój dom – odparłem. – Napijesz się czegoś? Coli, piwa?

– Wody.

– Jasne. Usiądź.

Cicho podeszła do jednego z foteli stojących przed kominkiem i sztywno przysiadła na krawędzi. Przyniosłem jej wodę z lodem, a dla siebie wziąłem colę. Usiadłem na drugim fotelu, prawie naprzeciwko niej, po czym otworzyłem puszkę.

– Naprawdę zostawisz Martina na zewnątrz? – spytała rozbawionym głosem.

– Oczywiście – odpowiedziałem spokojnie i upiłem łyk.

Pokiwała głową i przyłożyła krawędź szklanki do ust. Być może odrobinę wypła.

Odczekałem tak długo, jak mogłem, może ze dwie albo trzy sekundy, zanim przerwałem grobową ciszę.

– Co nowego słyhać? – spytałem swobodnie.

Przez chwilę spoglądała na mnie z ukosa ciemnymi oczami, a potem lekko zacisnęła usta.

– To będzie bolesne dla nas obojga. Miejmy to już za sobą. Nie mamy czasu na owijanie w bawełnę.

– Dobrze. Nasze dziecko? – spytałem. – Twoje i moje?

– Tak.

– Skąd wiesz?

Z jej twarzy zniknęły wszelkie emocje.

– Nie było nikogo innego, Harry. Ani od czasu tamtej nocy z tobą, ani przez ponad dwa lata wcześniej.

Jeśli kłamała, nie dawała tego po sobie poznać. Przez chwilę o tym myślałem, popijając colę.

– Powinnaś była mi o czymś takim powiedzieć.

Wypowiedziałem te słowa w miarę spokojnie. Nie wiem, jak wyglądała przy tym moja twarz. W każdym razie opalona skóra Susan pojaśniała o kilka odcieni.

– Harry – odezwała się cicho. – Wiem, że na pewno jesteś wściekły.

– Kiedy jestem wściekły, spalam różne rzeczy na popiół i dziurawię budynki – odparłem. – W tej chwili jestem o kilka kroków dalej.

– Masz do tego pełne prawo – dodała. – Ale zrobiłam to, co moim zdaniem było najlepsze dla niej. Oraz dla ciebie.

Szalejąca burza uniosła się do mojej klatki piersiowej. Mimo wszystko siedziałem nieruchomo, powoli i miarowo oddychając.

– Słucham.

Pokiwała głową i przez chwilę zbierała myśli.

– Nie wiesz, jak tam jest – powiedziała w końcu. – W Ameryce Środkowej, aż do Brazylii. Nie bez powodu w tak wielu z tych państw panuje stan bliski anarchii.

– Czerwony Dwór – odrzekłem. – Wiem.

– Znasz tylko teorię. Ale nikt z Białej Rady tam nie przebywał. Nie mieszkał tam. Nie widział, co się dzieje z ludźmi rządzonymi przez Czerwonych. – Zadrzała i skrzyżowała ręce na brzuchu. – To koszmar. Nie może im się przeciwstawić nikt poza Bractwem i kilkoma niedofinansowanymi agentami Kościoła.

W skład Bractwa Świętego Idziego wchodzili wyrzutkowie z nadprzyrodzonego świata, w tym liczne półwampiry takie jak Susan. Zaciekle nienawidzili Czerwonego Dworu i robili wszystko, co w ich mocy, by przy każdej okazji mieszać wampirom szyki. Formowali komórki, wybierali cele, szkolili rekrutów, podkładali bomby i finansowali swoją działalność za pomocą setki podejrzanych interesów. Mówiąc w skrócie, byli terrorystami – bystrymi i szybkimi, ponieważ zmuszały ich do tego okoliczności.

– Reszta świata to też nie Disneyland – odrzekłem cicho. – Doświadczyłem wielu koszmarów podczas wojny. Więcej, niż powinienem.

– Nie próbuję umniejszać dokonań Rady – odparła. – Po prostu tłumaczę ci, z czym wtedy musiałam mieć do czynienia. Grupy uderzeniowe Bractwa rzadko spędzają dwie noce w tym samym łóżku. Stale jesteśmy w ruchu. Cały czas coś planujemy albo przed czymś uciekamy. To nie miejsce dla dziecka.

– Gdyby tylko był ktoś, kto ma dom i stały dochód, u kogo mogłaby zostać – powiedziałem.

Spojrzenie Susan stężało.

– Ilu ludzi przy tobie zginęło, Harry? Ilu zostało rannych? – Przeczesała palcami włosy. – Na litość boską. Sam przyznałeś, że twoje mieszkanie zostało zaatakowane. Byłoby łatwiej, gdybyś musiał opiekować się niemowlakiem?

– Pewnie nigdy się nie dowiemy – odparłem.

– Ja to wiem. – Jej głos aż kipiał od emocji. – Boże, sądzisz, że nie chciałam być częścią jej życia? Co noc płaczę przed zaśnięciem, jeśli w ogóle udaje mi się zasnąć. Ale nie mogłam jej dać niczego poza wieczną ucieczką. A ty nie mogłeś jej dać niczego poza wiecznym obłąkaniem.

Wbiłem w nią wzrok.

Ale nic nie odpowiedziałem.

– Dlatego podjęłam jedyną możliwą decyzję. Znalazłam dla niej inny dom. Daleko od wojny, by mogła wieść spokojne życie u boku kochającej rodziny.

– I nigdy mi o tym nie powiedziałaś.

– Gdyby Czerwony Dwór dowiedział się o mojej córce, wykorzystałby ją przeciwko mnie. Koniec kropka. Jako narzędzie nacisku albo dla zemsty. Im mniej osób o niej wiedziało, tym była bezpieczniejsza. Nie powiedziałam ci, chociaż wiedziałam, że to nie w porządku. Chociaż wiedziałam, że wpadniesz w szal, ze względu na twoje własne dzieciństwo. – Nachyliła się, kierując na mnie rozgorączkowane spojrzenie. – Zrobiłabym nawet coś tysiąckrotnie gorszego, byle ją ochronić.

Napiłem się coli.

– A więc trzymałaś ją z dala ode mnie, żeby była bezpieczniejsza – odrzekłem. – Oddałaś ją na wychowanie obcym ludziom, żeby była bezpieczniejsza. – Szalejąca we mnie burza coraz bardziej zbliżała się do powierzchni, naznaczając mój głos echem wściekłego wycia. – Z jakim skutkiem?

Oczy Susan zapłonęły. Na jej skórze pojawiły się czerwone zawijasy plemiennych wzorów, niczym tatuaże wykonane znikającym tuszem, tylko o odwrotnym działaniu. W Bractwie pełniły rolę pierścienia nastroju. Pokrywały połowę jej twarzy i szyję.

– Wrogowie przeniknęli do Bractwa – oznajmiła surowym tonem. – Księżna Arianna z Czerwonego Dworu jakimś sposobem dowiedziała się o mojej córce i doprowadziła do jej uprowadzenia. Wiesz, kim ona jest?

– Tak. – Próbowałem zignorować to, że na wspomnienie jej imienia krew ścieła mi się w żyłach. – To wdowa po księciu Ortedze. Poprzysięgła mi zemstę... i kiedyś próbowała kupić mnie na eBayu.

Susan zamrugła.

– Jak to...? Zresztą nieważne. Nasze źródła w Czerwonym Dworze donoszą, że planuje coś szczególnego dla Maggie. Musimy ją odzyskać.

Znów powoli zaczerpnąłem tchu i na chwilę zamknąłem oczy.

– Maggie, tak?

– Po twojej matce – wyszeptała Susan. – Margaret Angelica. – Usłyszałem,

że grzebie w kieszeniach. – Proszę.

Otworzyłem oczy i popatrzyłem na małe zdjęcie portretowe ciemnookiego dziecka, może pięcioletniego. Dziewczynka była ubrana w różową sukienkę, miała fioletowe wstążki w ciemnych włosach i szeroki, zaraźliwy uśmiech. Jakaś spokojna, zdystansowana częśćka mojego umysłu zapamiętała tę twarz, na wypadek gdybym później musiał ją rozpoznać. Reszta bała się dłużej patrzeć na zdjęcie i myśleć o nim jako o czymś więcej niż papier i tusz.

– Zrobiono je dwa lata temu – cicho wyjaśniła Susan. – Ale nie mam nowszego. – Przygryzła wargę i podała mi zdjęcie.

– Zatrzymaj je – szepnąłem, a ona je schowała. Czerwone wzory powoli znikwały z jej skóry. Potarłem oczy. – Na razie zapomnimy o twojej decyzji, by wymazać mnie z jej życia – dodałem. – Roztrząsanie tego w niczym nam nie pomoże, a damy jej największą szansę, jeśli będziemy pracować razem. Zgoda?

Susan pokiwała głową.

Kolejne słowa wycodziłem przez zęby.

– Ale nie zapomniałem. Nigdy nie zapomnę. Później rozliczymy ten rachunek. Zrozumiałaś?

– Tak – szepnęła. Popatrzyła na mnie dużymi, lśniącoymi oczami. – Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Ani jej. Po prostu...

– Nie – przerwałem jej. – Teraz już na to za późno. Tracimy czas, którego nie mamy.

Susan gwałtownie odwróciła się w stronę kominka i zamknęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, już panowała nad sobą.

– Dobrze – odrzekła. – Jeśli chodzi o dalsze kroki, mamy kilka możliwości.

– Na przykład?

– Dyplomacja. Słyszałam wiele opowieści o tobie. Połowa z nich zapewne nie jest prawdziwa, ale wiem, że kilka osób ma wobec ciebie dług wdzięczności. Jeśli wystarczająco wielu członków Przymierza podniesie głos, być może odzyskamy ją bez zamieszania.

Parsknąłem.

– Albo?

– Zaproponujemy Czerwonemu Królowi okup za życie dziecka. Ta sprawa nie dotyczy go osobiście, a król przewyższa rangą Arianę. Jeśli go odpowiednio przekupimy, będą musieli puścić Maggie.

– Prawdopodobnie z dachu budynku – mruknąłem.

Susan patrzyła na mnie niewzruszonym wzrokiem.

– Co według ciebie powinniśmy zrobić?

Poczułem, że moje usta układają się w grymas, który zapewne nie przypominał uśmiechu. Burza zatrzymała się w okolicach serca, a wijące się macki jej furii sięgały do mojego gardła. Minęło dobre dziesięć sekund, zanim mogłem się odezwać, a nawet wtedy mój głos zabrzmiał jak warczenie.

– Zrobić? Czerwoni porwali naszą córeczkę. Przecież nie będziemy im za to płacić.

Straszliwy głód zapłonął w oczach Susan, gdy usłyszała mój głos.

– Znajdziemy Maggie – ciągnąłem. – Odbierzemy ją. Zabijemy każdego, kto stanie nam na drodze.

Susan zadrżała i łzy napłynęły jej do oczu. Pochyliła głowę i cicho jęknęła. Potem delikatnie dotknęła mojej lewej dłoni, którą wciąż pokrywały powoli blaknące blizny po oparzeniach. Popatrzyła na nie i skrzywiła się, po czym zaczęła cofać dłoń.

Chwyciłem jej palce i mocno ścisnąłem, a wtedy ona odwzajemniła mój gest. Przez chwilę w milczeniu trzymaliśmy się za ręce.

– Dziękuję – szepnęła. Jej dłoń drżała. – Dziękuję ci, Harry.

Skinąłem głową. Zamierzałem rzucić jakiś oschły komentarz, by utrzymać ją na dystans, ale nie potrafiłem zignorować ciepła jej dłoni. Wypełniała mnie wściekłość, jaką można czuć tylko wtedy, gdy zrani nas ktoś, na kim bardzo nam zależy. Wynikała z faktu, że Susan wciąż była mi bliska, w przeciwnym razie bym tak nie zareagował.

– Znajdziemy ją – zapewniłem. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby sprowadzić ją bezpiecznie do domu.

Susan uniosła mokrą od łez twarz i pokiwała głową. Potem lekko powiodła palcem po bliźnie na moim policzku. Była to jedna z nowszych blizn, wciąż podrażniona i barwna. Moim zdaniem upodabniała mnie do

któregoś z filmowych Niemców ze Złotej Ery Hollywood, który nosił na policzku ślad po pojedynku. Opuszki palców Susan były delikatne i ciepłe.

– Nie wiedziałam, co robić – wyznała. – Nikt nie chciał się im przeciwstawić. Absolutnie nikt.

Popatrzyliśmy sobie w oczy i nagle powrócił dawny ogień. Zapłonęły nasze splecione dłonie i jej palce dotykające mojej twarzy. Otworzyła szerzej oczy, a moje serce zabiło szybciej. Byłem na nią wściekły. Ale moje ciało najwyraźniej odczytało tę emocję jako „podniecenie” i nie wczytywało się w informacje podane drobnym drukiem. Przez dłuższą chwilę patrzyłem jej w oczy, a potem wykrztusiłem:

– Czy to nie tak wpakowaliśmy się w te kłopoty?

Wydała z siebie roztrzęsiony odgłos, który miał być śmiechem, ale pobrzmiwała w nim świadomość ironii sytuacji. Cofnęła dłonie.

– Przepraszam... Nie chciałam... – W tonie jej głosu dało się usłyszeć gorzkość. – To już tak długo.

Wiedziałem, co ma na myśli. Wziąłem kilka powolnych, głębokich oddechów, oddzielając swój umysł od ciała.

– Susan – odezwałem się cicho. – Cokolwiek się dalej stanie... z nami już koniec. – Podniosłem na nią wzrok. – Dobrze o tym wiesz. Wiedziałaś o tym, kiedy postanowiłaś mi nie mówić.

Sprawiała wrażenie takiej kruchej. Pokiwała głową, powoli, jakby mogła się połamać na kawałki, gdyby poruszyła się szybciej. Skrzyżowała ręce na kolanach.

– Wiem... Wiedziałaś o tym, kiedy to zrobiłam.

Cisza się przedłużała.

– No dobrze – odezwałem się w końcu. – A teraz... – Wziąłem kolejny głęboki wdech, wmawiając sobie, że to pomoże. – Podejrzewam, że nie przyleciałaś do Chicago tylko po to, by ze mną pogawędzić. Nie potrzebowałaś Martina.

Uniosła brew.

– Racja.

– A zatem co cię tu sprowadza?

Wyglądało na to, że zbiera siły, a jej głos zabrzmiał bardziej rzeczowo.

– W mieście znajduje się placówka Czerwonego Dworu. To dobre miejsce, żeby zacząć.

– W porządku – odrzekłem, wstając. – Więc zaczynamy.

3

– Mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu – powiedział Martin, wyjeżdżając z niewielkiego żwirowego parkingu obok domu, w którym mieszkam.

Susan użyczyła mi siedzenia pasażera w wypożyczonym samochodzie, nie zwracając uwagi na moje bocianie nogi.

– Żalu? – spytałem.

– W związku z naszym pierwszym spotkaniem – wyjaśnił Martin.

Prowadził w taki sam sposób, w jaki robił wszystko inne – bez wyrazu. Zatrzymywał się. Jechał o kilka kilometrów na godzinę wolniej od ograniczenia prędkości. Dokądkolwiek zmierzaliśmy, zapowiadało się, że zajmie nam to całe wieki.

– Chodzi ci o to, że wykorzystałeś mnie, by przeprowadzić zamach na starego Ortegę? – spytałem. – Przez co doszło do złamania Code Duello, unieważnienia wyniku starcia, a wojna wampirów z Białą Radą się nie zakończyła?

Martin zerknął na mnie, a potem na Susan we wstecznym lusterku.

– Mówiłam ci – odezwała się. – On jest tępy tylko na krótką metę. Ostatecznie nic mu nie umknie.

Lekko skłoniłem głowę, drwiąco dziękując za ten komplement.

– Z perspektywy czasu nie było trudno uświadomić sobie, co robiłeś – powiedziałem. – Wojna Czerwonego Dworu z Białą Radą zapewne była najlepszym, co przytrafiło się Bractwu od stuleci.

– Spędziłem z nimi tylko nieco ponad sto lat – odparł Martin. – Ale rzeczywiście była to najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała w tym czasie. Biała Rada to jedna z niewielu organizacji na świecie, która ma środki, by poważnie im zagrozić. Za każdym razem, gdy Rada odnosiła zwycięstwo – albo nawet wychodziła cało z sytuacji, które powinny okazać się klęską –

Czerwony Dwór rozdierał szaty. Niektórzy z jego członków od tysiąceci pielęgnują urazy, więc ich skala musi robić wrażenie.

– Możesz mnie uznać za wariata – odrzekłem – ale trochę za dużo dzieci zginęło na moich oczach w wojnie, do której pomogłeś doprowadzić. Czy nie mam żalu? – Uśmiechnąłem się. – Uwierz mi, Marty, że w tej chwili nie chciałbyś, abym rozmawiał z tobą o swoich uczuciach.

Poczułem, że Martin na mnie popatrzył i nieco się spiał. Jego ramię drgnęło. Myślał o swojej splucie. Dobrze się posługiwał bronią palną. Podczas mojego pojedynku z wampirem z Czerwonego Dworu zwanym Ortega, Martin wpakował w niego pocisk z potężnego karabinu snajperskiego, w ostatniej chwili ratując mi życie. Było to poważne pogwałcenie Code Duello, zasad dotyczących rozwiązywania osobistych konfliktów między przedstawicielami narodów, które podpisały Przymierze.

Uczciwie przeprowadzony pojedynek mógł wcześniej zakończyć wojnę pomiędzy Czerwonym Dworem a Białą Radą magów i ocalić wiele istnień. Stało się inaczej.

– Nie przejmuj się, koleś – dodałem. – Ortega też złamał kodeks pojedynków. Wszystko i tak by się posypało, niezależnie od tego, co zrobiłeś. A dzięki twojej obecności to on, a nie ja, dostał kulkę. Uratowałeś mi życie. Zdaję sobie z tego sprawę.

Wciąż się do niego uśmiechałem. Miałem wrażenie, że wypadam sztucznie, więc spróbowałem postarać się bardziej.

– Wiem także, że gdybyś mógł dostać to, na czym ci zależało, strzelając mi w plecy, zamiast jemu w pierś, zrobiłbyś to bez mrugnięcia okiem. Dlatego nie sądz, że jesteśmy kumplami.

Martin popatrzył na mnie i wyraźnie się rozluźnił.

– Cóż za ironia, że ty, mustang Białej Rady, natychmiast stanąłeś po stronie jej aroganckiej moralności.

– Słucham? – spytałem cicho.

Mówił bez emocji, ale gdzieś w jego wnętrzu płonął ogień, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem w jego słowach.

– Ja też widziałem, jak umierają dzieci, Dresden. Ginęły zarzynane jak zwierzęta przez wroga, którym nie przejmował się nikt w mądrej i potężnej

Radzie, ponieważ ofiary były biedne i mieszkały daleko, a to wystarczający powód, by pozwolić im umrzeć. Zgadza się. Gdyby wpakowanie ci kulki spowodowało, że Rada stawia czoło Czerwonemu Dworowi, zrobiłbym to choćby dwukrotnie i jeszcze bym zapłacił za ten przywilej. – Zatrzymał się przed znakiem stop i popatrzył na mnie. – Dobrze, że sobie to wyjaśniliśmy. Chcesz powiedzieć coś jeszcze?

Zmierzyłem gościa wzrokiem.

– Przefarbowałaś się na blond. Wyglądasz jak pedał.

Martin wzruszył ramionami.

– Ostatnie zadanie wykonywałem na statku wycieczkowym, który oferuje atrakcje właśnie dla tej konkretnej grupy.

Skrzywiłem się i zerknąłem na Susan.

Pokiwała głową.

– Tak było.

Skrzyżowałem ręce na piersi i wbiłem wzrok w ciemność za oknem.

– Zabijałem już ludzi, których lubiłem bardziej niż ciebie, Martinie. – Po kilku chwilach dodałem: – Daleko jeszcze?

Martin zatrzymał się przed jakimś budynkiem.

– To tutaj.

Przyjrzałem się budynkowi. Nic szczególnego jak na Chicago. Dwanaście pięter, trochę zaniedbany, same komercyjne lokale do wynajęcia.

– Czerwoni nie mogą... To niemożliwe – stwierdziłem. – W tym budynku jest moje biuro.

– To znany fakt, ponieważ spółka holdingowa Czerwonego Dworu kupiła go prawie osiem lat temu – odrzekł Martin, parkując auto i zaciągając hamulec ręczny. – Podejrzewam, że zwróciłeś wtedy uwagę na podwyżkę czynszu.

Kilkakrotnie zamrugałem.

– Płacę czynsz... Czerwonemu Dworowi?

– Zawyżony czynsz – zaznaczył Martin. – Księżna Arianna najwyraźniej ma dziwaczne poczucie humoru. Jeśli to cię pocieszy, ludzie, którzy tam pracują, nie mają pojęcia, komu tak naprawdę służą. Sądzą, że ich firma zabezpiecza dane międzynarodowej korporacji zajmującej się importem

i eksportem.

– Ale to... mój budynek. – Zmarszczyłem czoło i pokręciłem głową. – Więc co dokładnie zamierzamy zrobić?

Martin wysiadł i otworzył bagażnik. Susan do niego dołączyła. Wysiadłem z samochodu dla zasady.

– My – odrzekł Martin, wyraźnie zaznaczając, że nie chodzi mu o mnie – zamierzamy włamać się do biura i skopiować pliki, które, na co liczymy, zawierają informacje wskazujące na miejsce pobytu i zamiary Arianny. Ty zostaniesz w aucie.

– Nie ma mowy – odparłem.

– Harry, chodzi o komputery – rzuciła Susan, starając się przemówić mi do rozsądku.

Stęknąłem, jakby dała mi kuksańca. Magowie i komputery to równie dobre połączenie jak miotacze ognia i biblioteki. Wszelka technologia zachowuje się niestabilnie w obecności śmiertelnego maga, a im jest nowsza, tym bardziej szwankuje. Gdybym poszedł z nimi, no cóż... nie zabiera się kota do sklepu z ptakami. Nie dlatego, że jest niegrzeczny, ale dlatego, że jest kotem.

– Aha, w takim razie... chyba zostanę w aucie.

– Bardzo możliwe, że ktoś nas zauważył lub śledził – rzekł Martin do Susan. – Musieliśmy w pośpiechu opuścić Gwatemalę. To nie był bezproblemowy wyjazd.

– Nie mieliśmy kilku dni do dyspozycji – odparła Susan, a w jej głosie pobrzmiwało znajome rozdrażnienie. Zupełnie jakbym słuchał często powtarzanej małżeńskiej sprzeczki. Otworzyła walizkę leżącą w bagażniku i wsunęła kilka przedmiotów do kieszeni. – Musieliśmy wziąć na to poprawkę.

Martin przez chwilę na nią patrzył, po czym wybrał pojedyncze narzędzie z walizki, a następnie założył plecak ze stelażem. W środku zapewne znajdowały się części komputerowe. Trzymałem się po przeciwnej stronie samochodu i usiłowałem powstrzymać wrogie myśli.

– Wypatruj kłopotów, Harry – poprosiła Susan. – Wrócimy za góra dwadzieścia minut.

– Albo nie wrócimy – dodał Martin. – Wtedy upewnimy się, że nasz pośpieszny wyjazd nam się nie opłacił.

Susan cicho westchnęła i razem ruszyli w stronę budynku. Zatrzymali się na kilka sekund przed zamkniętymi drzwiami, a następnie zniknęli w środku.

– A ja będę tutaj sterczał – mruknąłem. – Jak Clifford, wielki czerwony pies, za duży i za głupi, żeby wejść do domu z Emily Elizabeth. Mimo że to mój budynek. – Pokręciłem głową. – Na dzwony piekieł, wyszedłem z wprawy. Albo straciłem rozum. W końcu gadam do siebie.

Dobrze wiedziałem, dlaczego ze sobą rozmawiam – gdybym się zamknął, zacząłbym myśleć o pewnej małej osobce, przerażonej i samotnej w kryjówce potworów. A wtedy musiałbym pomyśleć o tym, że nie dopuszczono mnie do jej życia. A wtedy musiałbym pomyśleć o drapiącej pazurami bestii w moim wnętrzu, która wciąż usiłowała się wydostać.

Kiedy lokalna twardzielka z Czerwonego Dworu, nieżyjąca już Bianka, porwała Susan i rozpoczęła jej przemianę w wampirzycę Czerwonego Dworu, miała na celu pozbawienie mnie mojej dziewczyny. W pewnym sensie jej się udało. Dawna Susan – zawsze skora do żartów, śmiechu, dotyku, pocałunków i cieszenia się życiem, a w szczególności życiem ze mną – odeszła.

Stała się kimś pomiędzy Emmą Peel a She-Hulk. A przecież kiedyś się kochaliśmy. Narodziło się dzięki temu dziecko. A Susan skłamała, żeby...

Zanim utknąłem na dobre w tym zaklętym kręgu, poczułem na plecach zimny dreszcz.

Nawet się nie obejrzałem. Lata pełnych napięcia misji u boku Strażników, zbyt młodych, by samodzielnie kupić piwo, nauczyły mnie ufać intuicji, gdy ta zaczyna szaleć w ciemnym mieście o drugiej nad ranem. Bez namysłu przykucnąłem, sięgnąłem do otaczającego mnie powietrza i utkałem wokół siebie zasłonę.

Zasłony to delikatna i skomplikowana magia, która opiera się na jednej z kilku podstawowych teorii dotyczących ograniczania widoczności przedmiotów i ludzi. Kiedyś byłem tak kiepski w te klocki, że nawet nie próbowałem tkania, ale w końcu musiałem podciągnąć się na tyle, by móc

nauczyć tego swoją podopieczną, Molly Carpenter. Molly miała prawdziwy talent i szybko się uczyła, ale zmuszałem ją do przekraczania własnych granic i sam musiałem dużo trenować, by móc skutecznie udawać eksperta przed nowicjuską.

Mówiąc w skrócie: błyskawiczne tkanie prostych zasłon już nie przekraczało moich możliwości.

Na ulicy zrobiło się nieco ciemniej, gdy pożyczyłem cień i zakrzywiłem światło. Bycie pod zasłoną zawsze ogranicza orientację, co stanowi wkalkulowane ryzyko. Uznałem, że warto je podjąć. Jeżeli ktoś mierzył do mnie z broni palnej, miałem przed sobą cholernie długi bieg do narożnika najbliższego solidnego budynku. Lepiej pozostać wtedy niewidocznym.

Przykucnąłem obok samochodu; nie byłem całkowicie niewidzialny, ale prawie. Umiejętność zachowania spokoju i bezruchu jest kluczowa podczas korzystania z zasłony. Trudno to zrobić, gdy zbliża się niebezpieczeństwo, a ktoś zamierza przerwać twój tok myślowy w czysto fizyczny sposób. Ale powstrzymałem przyływ adrenaliny i wyrównałem oddech. Tylko spokojnie, Harry.

Ze swojej kryjówki doskonale widziałem pół tuzina humanoidalnych postaci, które pomknęły w stronę biurowca z obrzydliwą, niemal pajęczą zwinnością. Dwie z nich skakały po dachach, szybko jak polujące koty. Kolejne trzy przemykały między cieniami na ziemi, zbliżając się do budynku z różnych stron. Nie widziałem ich dokładnie, dostrzegałem tylko rozmazane plamy i czułem na plecach kolejne dreszcze.

Ostatnia postać biegła po ścianach budynków wzdłuż ulicy, przeskakiwała między nimi ze straszliwą prędkością, niczym ogromny pająk.

Nie mogłem przyjrzeć się im dokładniej – widziałem tylko migoczące cienie poruszające się ze złowieszczą determinacją. Ale wiedziałem, na co patrzę.

Wampiry.

Wampiry z Czerwonego Dworu.

Zbliżały się do mojego biurowca jak rekiny do broczącego krwią mięsa.

Burza w mojej piersi nagle przybrała na sile, gdy patrzyłem, jak znikają

w budynku – moim budynku, psiakrew – niczym karaluchy, które zawsze zdołają wcisnąć się tam, gdzie nie powinny. Gniew uderzył mi do głowy, a refleksy światła ulicznych latarni w szybach zabarwiły się na czerwono.

Pozwoliłem wampirom wejść do środka.

A potem zebrałem całe swoje cierpienie i furję, przekułem je w niematerialne ostrza i wszedłem do biurowca.

4

Pod moim płaszczem wisiała bojowa różdżka, dębowy pręt o długości około czterdziestu pięciu centymetrów i średnicy nieco większej od mojego kciuka. Kiedy ją wyciągałem, pod palcami prawej dłoni poczułem przyjemnie znajome krawędzie wyrzeźbionych run i magicznych znaków.

Jak najciszej zbliżyłem się do budynku, otworzyłem drzwi kluczem i zrzuciłem zasłonę dopiero, gdy znalazłem się w środku. Nie zamierzałem maskować się przed wampirami, które znajdują się blisko mnie – i tak zdołałyby mnie wywęszyć i usłyszeć bicie mojego serca. Zasłona tylko ograniczałaby mi pole widzenia, w którym i tak będzie się działo wystarczająco dużo.

Nie skorzystałem z windy. Skrzypiała i grzechotała, więc zdradziłaby moje położenie wszystkim w biurowcu. Zajrzałem do rejestru w holu. Firma Datasafe, Inc. miała swoje biuro na dziewiątym piętrze, pięć poziomów nad moim gabinetem. Zapewne tam znajdowali się Martin i Susan. Tam również kierowały się wampiry.

Wybrałem schody i podjąłem ryzyko. Zaklęcia do tłumienia dźwięków i zagłuszania prywatnych rozmów to łatwizna dla magów o moich umiejętnościach, a niewiele więcej zachodu wymagało zadbanie o to, by dźwięk nie opuszczał obszaru wokół mnie. Oczywiście to oznaczało, że otoczyłem się dźwiękową bańką, nie mogłem więc usłyszeć niczego, co zbliżało się do mnie. Ale chwilowo wiedziałem, że wampiry w budynku nie zdają sobie sprawy z mojej obecności. Chciałem, by tak pozostało.

Poza tym, w tak ciasnej przestrzeni, zanim zdołałbym zareagować na odgłosy wydawane przez wampira, byłbym trupem.

Dlatego wyszeptałem sprawdzone zaklęcie fonoturgiczne i wspiąłem się po schodach otoczony idealną ciszą. Bardzo mi się to przydało. Regularnie biegam, ale truchtanie chodnikiem czy piaszczystą plażą to nie to samo, co

wbieganie po schodach. Kiedy dotarłem do dziewiątego piętra, moje nogi płonęły, ciężko dyszałem, a ból w lewym kolanie nie dawał mi spokoju. Co jest, do cholery? Od kiedy muszę się przejmować swoimi kolanami?

Pocieszony tą myślą przystanąłem przed drzwiami prowadzącymi na korytarz, a następnie otworzyłem je ukryty pod całunem ciszy, po czym cofnąłem zakłęcie, by móc nasłuchiwać.

Sycząca i bulgocząca mowa, której nie rozumiałem, dobiegała z korytarza przede mną, być może z za najbliższego rogu. Wstrzymałem oddech. Wampiry mają nadludzko wyczułone zmysły, ale tak samo jak my łatwo się rozpraszają. Jeśli rozmawiają, być może mnie nie usłyszą, a obecność innych ludzi w budynku zapewne zamaskuje moją woń.

„A niby dlaczego powinienem się ukrywać przed tymi szumowinami i mordercami?” – wyszeptał jakiś głos pośród burzy szalejącej w mojej piersi. Wampiry z Czerwonego Dworu są zabójcami, wszystkie co do jednego. Na wpół przemieniony wampir przechodzi na drugą stronę dopiero po zabiciu człowieka i wypiciu jego krwi. Owszem, ktoś, kogo Czerwony Dwór przyjął wbrew jego woli, musi się zmagać z nowymi i niemal niepowstrzymanymi pragnieniami – ale to nie zmienia faktu, że każdy, kto należy do Czerwonego Dworu, zabił, by się w nim znaleźć.

Potwory. Potwory, które wciągają ludzi w ciemność i dla przyjemności poddają ich niewyobrażalnym cierpieniom – sam powinienem wiedzieć o tym najlepiej. Kiedyś mnie to spotkało. Potwory, których istnienie stanowi udramę dla milionów.

Potwory, które porwały moje dziecko.

Tolkien kiedyś napisał: „Nie wtrącaj się do spraw czarodziejów, bo są chytry i skorzy do gniewu”^[1]. Miał niemal całkowitą rację.

Wszedłem do korytarza, pozwalając, by drzwi zatrzasnęły się za mną.

– Pierdolić subtelności – warknąłem.

Bełkoczący syk dobiegający z za rogu ustał zawieszony na niepewnym dźwięku, który nie wymagał tłumaczenia: „Co?”.

Wycelowałem różdżkę w zakręt korytarza przed sobą, wlałem w nią całą swoją wściekłość, siłę woli oraz moc i ryknąłem:

– *Fuego!*

Srebrzysto-biały płomień pomknął z wyciem korytarzem i wgrzył się w narożnik ściany, tak łatwo jak pocisk przeszywający papierową tarczę. Przesunąłem linię ognia w lewo, a płomień rozdarł kilka sąsiednich słupów szkieletowych i płyt gipsowo-kartonowych, przebijając się do prostopadłego korytarza, z którego docierały do mnie głosy wampirów. Hałas był niesamowity. Drewno rozpadało się na kawałki. Płyty zmieniały się w obłoki pyłu. Rury pękały ze zgrzytem, jakby ktoś przecinał je szczypcami. Przewody sypały skwierczącymi iskrami.

Coś całkowicie nieludzkiego wydało z siebie przeszywający wrzask bólu, który w nienaturalnie potężnych płucach zmienił się w krzyk donośniejszy od wystrzału.

Odpowiedziałem krzykiem, rzucając wyzwanie, a następnie pomknąłem naprzód. Runy na mojej różdżce lśniły białym ogniem, rozświetlając mroczny budynek srebrzystobiałym światłem.

Kiedy skręciłem za róg, jakiś kształt mknął w moją stronę. Miałem w pogotowiu bransoletę z tarcz. Uniosłem lewą dłoń, układając z palców gest, który nie miał nic wspólnego z magią, ale był powszechnie uważany za obraźliwy. Gdy tylko moja wola zasiliła bransoletkę obwieszoną malutkimi tarczami, pojawiła się przede mną niewidzialna kopuła pola siłowego. Czarna sylwetka wampira zderzyła się z tarczą, wywołując na niej rozchodzące się koncentrycznie kręgi niebieskiego światła oraz białych iskier, i odbiła się od niej.

Natychmiast wyłączyłem tarczę, szybkim ruchem nadgarstka uniosłem różdżkę i rozerwałem wampira na pół słowem i promieniem srebrnego ognia. Części ciała poleciały w różne strony, wierzgając i miotając się ohydnie.

Na środku korytarza leżał drugi przepołowiony wampir, którego najwyraźniej trafiłem, gdy strzeliłem na oślep przez ścianę. On również niechlujnie konał. Widziałem wystarczająco dużo horrorów, by znać zasady przetrwania, dlatego po upewnieniu się, że w korytarzu nie czają się kolejne zagrożenia, czym prędzej uniosłem różdżkę nad głowę.

Jeden z wampirów przywarł do sufitu w odległości niecałych sześciu metrów. Ludzie wyobrażają sobie wampiry jako nieskazitelnych, pięknych

bogów mrocznej seksualności i pokusy. Choć Czerwony Dwór potrafi stworzyć coś w rodzaju zewnętrznej ludzkiej powłoki zwanej cielesną maską, która zazwyczaj wygląda ujmująco, pod spodem kryje się coś bardzo odmiennego – prawdziwy ohydny, pozbawiony skrupułów potwór, jaki właśnie spoglądał na mnie z góry.

Miał mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, ale jego chude ręce były na tyle długie, że zakończone pazurami dłonie ciągnęły się po ziemi. Gumowata i czarna skóra była miejscami obsypana niezdrowo wyglądającymi różowymi plamami, a obwisły brzuch wyglądał groteskowo. Wampir miał krzywe nogi i garb na plecach, a jego oblicze przypominało połączenie pyska nietoperza z jedną z halucynacji H.R. Giger'a.

Zobaczył, jak wyłaniam się zza rogu, i jego wyłupiaste ślepią powiększyły się jeszcze bardziej. Wydał z siebie wrzask...

Przerażenia.

Krzyczał ze strachu.

Kiedy wystrzeliłem po raz trzeci, rzucił się w przeciwną stronę, odbijając się od sufitu, ścian i podłogi, rozpaczliwie uchylając się przed strumieniem niszczącej energii, który za nim posłałem.

– Właśnie tak! – zawołałem. – Lepiej bierz nogi za pas, piękniś!

Zniknął za rogiem, a ja wrzasnąłem wściekle, kopnąłem wciąż drgającą głowę jednego z powalonych wampirów stalowym czubkiem buta, i rzuciłem się w pogoń, klnąc przy tym jak szewc.

Cała walka trwała może sześć albo siedem sekund.

Potem sprawy nieco się skomplikowały.

Moje wystrzały wywołały kilkanaście niewielkich pożarów i wkrótce rozległ się przenikliwy pisk alarmów przeciwpożarowych. Wokół mnie uruchomiły się spryskiwacze. W tej samej chwili gdzieś przede mną rozległy się wystrzały. To wszystko nie wyglądało najlepiej.

Alarm zapowiadał pojawienie się władz, które – nie licząc najbystrzejszych członków Wydziału Dochodzeń Specjalnych – nie były gotowe na spotkanie z wampirem. Dla tych nadludzkich drapieżników staną się tylko ofiarami i potencjalnymi zakładnikami.

Spryskiwacze również mi nie sprzyjały. Bieżąca woda uziemia magiczną

energię i chociaż nie może całkowicie pozbawić mnie mocy, wiedziałem, że znacznie utrudni mi działanie, zupełnie jakbym musiał biegać po mokrym piasku albo wilgotnej glinie. Strzały także stanowiły złą wiadomość, zwłaszcza że dwa pociski przebiły ścianę w odległości niecałych dwóch metrów, a jeden z nich mocno szarpnął za nogawkę moich jeansów, tuż nad lewą kostką.

– Aj! – rzuciłem.

Nieustraszony mistrz błyskotliwych dialogów to właśnie ja.

Skręciłem lewy nadgarstek przed sobą i ponownie postawiłem tarczę. Dwa pociski, które zapewne by mnie trafiły, odbiły się od niej, wzbudzając kręgi migoczącego niebieskiego światła rozchodzące się koncentrycznie od punktów uderzenia. Popędziłem korytarzem i skręciłem za róg, trzymając bojową różdżkę w pogotowiu.

Przed drzwiami gabinetu znajdowały się dwa wampiry. Jeden z sykiem miotał się po podłodze, kurczowo trzymając się za obwisły brzuch. Obficie krwawił na posadzkę. Kilkadziesiąt dziur wylotowych w drzwiach tłumaczyło jego zachowanie. Takie obrażenia nie mogły go zabić, ale były bolesne i odbierały mu źródło nadludzkiej mocy – pochłoniętą krew. Drugi wampir przykucnął obok futryny, jakby zastanawiał się, czy powinien pójść w ślady swojego towarzysza i zaatakować drzwi.

Mój uciekinier dopadł do nich, zawodząc ze strachu.

Zahamowałem na coraz bardziej mokrej podłodze, uniosłem różdżkę i ponownie wystrzeliłem. Energia z jękiem pomknęła korytarzem, a uciekający wampir chwycił swojego rannego pobratymca i postawił go, by osłonić się przed moim zaklęciem. Ranny stwór wrzasnął i przyjął na siebie wystarczająco dużo energii, by uciekinier mógł czmychnąć, przebijając płytę gipsową na końcu korytarza. Zniknął mi z oczu, a po chwili usłyszałem brzęk szkła, gdy umknął z budynku.

Pechowy wampir nie żył albo był bliski śmierci, gdyż promień odciął niemal całe ciało po lewej stronie jego kręgosłupa. Ostatni wampir obrócił się w moją stronę i wyraźnie się zawahał.

To go zgubiło. Ściana za nim nagle eksplodowała, gdy przebił się przez nią Martin, na którego skórze kłębiły się mroczne tatuaże. Przeciągnął

wampira przez korytarz i grzmotnął nim o ścianę. Jedną ręką sięgnął w stronę brzucha zaskoczonego przeciwnika, a w jego garści błysnął nóż. Szkarłatna krew trysnęła na ścianę i wampir upadł, wrzeszcząc chrapliwie.

Martin odskoczył, zanim miotający się stwór zdołał dosięgnąć go pazurami, a potem rozejrzał się po korytarzu i zauważył dziurę w przeciwległej ścianie.

– Na potępienie. Pozwoliłeś jednemu uciec?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, Susan prześlizgnęła się przez otwór w ścianie. Na ramieniu niosła plecak, a w dłoni trzymała dymiący automat kalibru 45 z powiększonym magazynkiem. Zerknęła na wampira na podłodze i uniosła broń. Spojrzenie miała twarde i zimne.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Było ich sześć. Ten jest czwarty.

– Zawsze jest ich sześć – odpowiedziała Susan. – Standardowa grupa operacyjna.

Spokojnie pociągnęła za spust, wypuszczając krótką, precyzyjną serię i zmieniając głowę rannego wampira w odrażającą papkę.

Martin popatrzył na zegarek.

– Mamy mało czasu.

Susan pokiwała głową i oboje ruszyli w stronę schodów.

– Chodź, Harry. Znaleźliśmy plan piętra. Budynek jest zaminowany.

Zamrugąłem i pobiegłem za nimi.

– Jak to zaminowany?

– Ładunki wybuchowe znajdują się na czwartym piętrze – spokojnie wyjaśnił Martin. – Kiedy uciekinier da im znać o tym, co się stało, zdetonują je. Lepiej się pośpieszmy.

– Jasna cholera – sapnąłem.

Pognaliśmy do schodów. Schodzenie trwało znacznie krócej niż wchodzenie, ale trudniej było utrzymać równowagę. Potknąłem się i Susan chwyciła mnie za rękę. Jej palce przypominały stalowe obręcze. Razem dotarliśmy na dół.

– Nie przez główne drzwi! – warknąłem. – Już jedzie policja!

Minąłem ich i poprowadziłem krótkim korytarzem do bocznego wyjścia wychodzącego na niewielką uliczkę. Biegiem okrążyliśmy budynek

i uciekliśmy kolejną ulicą.

Kiedy dotarliśmy do następnej przecznicy, błysnęło i jakiś olbrzym o rozmiarach budynku Searsa trzepnął nas poduszką ze swojego potężnego posłania. Straciliśmy grunt pod nogami. Susan i Martin kilkakrotnie przetoczyli się po ziemi. Ja z kolei z hukiem wpadłem na kubek na śmieci.

Oczywiście był pełny.

Leżałem przez chwilę, a w moich uszach rozbrzmiewał nieprzerwany wysoki pisk. Obłok pyłu i cząsteczek osiadł na mnie, mieszając się z obrzydliwą zawartością kubła, tworząc zaschniętą skorupę.

– Chyba nie daję z siebie wszystkiego – powiedziałem. Poczułem te słowa w krtani, ale ich nie usłyszałem.

Po kilku sekundach dźwięki zaczęły powracać. Wszędzie odzywały się klaksony i alarmy samochodowe. Alarmy w witrynach sklepowych były rozdzierająco. Syreny – mnóstwo syren – coraz bardziej się zbliżały.

Ktoś wsunął mi dłoń pod pachę i pomógł wstać. Susan. Była pokryta cienką warstwą pyłu, który wypełniał powietrze i ograniczał widoczność do kilku metrów. Spróbowałem ruszyć z miejsca, ale się zatoczyłem.

Martin ujął mnie pod drugą rękę i zaczęliśmy wlec się poprzez pył. Po chwili świat przestał szaleńczo wirować. Uświadomiłem sobie, że Martin i Susan rozmawiają.

– ...pewno nic nie zostało? – pytała Susan.

– Będę musiał sprawdzić wszystkie sektory – odrzekł Martin bezgłośnie. – Może znajdziemy jakieś ślady. Co go podkusiło, żeby użyć tak potężnej mocy, skoro szukaliśmy elektronicznych danych?

– Pewnie uznał, że te informacje i tak nam się nie przydadzą, jeśli będziemy martwi – odparła Susan z naciskiem. – Mieli nas. Dobrze o tym wiesz.

Martin przez chwilę się nie odzywał.

– Być może. Albo nie chciał, żebyśmy zdobyli te dane. Był wściekły.

– On taki nie jest – odrzekła Susan. – To nie w jego stylu.

– To nie było w jego stylu – poprawił ją Martin. – A ty jesteś tą samą osobą co przed ośmioma laty?

Długo milczała.

Przypomniałem sobie, jak się chodzi, i zacząłem to robić samodzielnie. Potrząsnąłem głową, by nieco się otrzeźwić, i obejrzałem się przez ramię.

Budynki płonęły. Nadciągały kolejne syreny. Fragment miejskiego pejzażu, w którym zazwyczaj widniał mój biurowiec, był pusty, nie licząc rozszerzającej się chmury pyłu. Płomienie i światła służb ratowniczych barwiły pył na pomarańczowo, czerwono i niebiesko.

Moje akta. Mój stary ekspres do kawy. Mój zapasowy rewolwer. Mój ulubiony kubek. Moje rozsypujące się, wygodne wiekowe biurko i krzesło. Moja matowa szyba z namalowanym napisem: HARRY DRESDEN, MAG.

Wszystko to zniknęło.

– Psiakrew – syknąłem.

Susan podniosła na mnie wzrok.

– Co się stało?

– Dzisiaj rano zapłaciłem czynsz – wybełkotałem.

¹ Przekład Marii Skibniewskiej.

5

Złapaliśmy taksówkę i wynieśliśmy się, zanim policja odgrodziła okolicę. Nie było to aż takie trudne. Chicago ma pierwszorzędnych policjantów, ale w środku nocy nie da się szybko odgrodzić tak dużego terenu. Musieliby wyciągać funkcjonariuszy z łóżek, a związane z tym zamieszanie spowolniłoby ich działania.

Wiedziałem, że do rana wszystkie media doniosą o wybuchu. Pojawią się dziennikarze, teorie i wywiady ze świadkami, którzy coś słyszeli lub widzieli obłok pyłu. To nie był zwykły pożar, z jakim już kilkakrotnie mieliśmy do czynienia. To była eksplozja, rozmyślny akt zniszczenia. Odkryją to po śladach.

Na miejscu wydarzeń będzie prowadzona akcja ratunkowa.

Zamknąłem oczy i oparłem się głową o szybę. Przy odrobinie szczęścia w budynku nie było nikogo innego. Rezydowały tam wyłącznie firmy. Żadna z nich raczej nie pracowała w nocy. Ale wszyscy mieli klucze, żeby w razie potrzeby wejść do biurowca, tak jak ja. Możliwe, że przebywali tam dozorczy albo konserwatorzy, którzy co prawda pracowali dla Czerwonego Dworu, ale o tym nie wiedzieli. Nie tłumaczysz dozorcóm, że twoja firma jest częścią złowieszczej organizacji, która dąży do globalnej infiltracji i kontroli. Po prostu każesz im myć podłogi.

Niewykluczone, że w budynku znajdują się trupy, których by tam nie było, gdyby nie fakt, że na czwartym piętrze mieściło się moje biuro.

Jezu!

Czułem na sobie spojrzenie Susan. Żadne z nas nie odzywało się w towarzystwie taksówkarza.

– To tutaj. Proszę się zatrzymać – przerwał ciszę Martin.

Podniosłem wzrok. Taksówka podjeżdżała pod tani motel.

– Powinniśmy trzymać się razem – powiedziała Susan.

– Tutaj możemy przejrzeć dysk – orzekł Martin. – Nie zrobimy tego u niego. Potrzebuję twojej pomocy. On nie.

– Idźcie – odrzekłem. – Niedługo pojawią się u mnie ludzie. – Miałem na myśli policję. – Będzie łatwiej, jeśli porozmawiają tylko z jedną osobą.

Susan gwałtownie wypuściła powietrze nosem. Potem pokiwała głową. Oboje wysiedli z taksówki. Martin wręczył kierowcy gotówkę i podał mój adres.

Wracałem do domu w milczeniu. Taksiarz słuchał wiadomości w radiu. Byłem wyczerpany po ostrym czarowaniu w budynku. Magia bywa rewelacyjna, ale kosztuje mnóstwo sił. Energia, jaka we mnie pozostała, nie wystarczyła do zakłócenia radia, w którym już dyskutowano o wybuchu. Taksówkarz, wyglądający, jakby miał bliskowschodnie korzenie, sprawiał wrażenie niezadowolonego.

Czułem to.

Zatrzymaliśmy się przed moim mieszkaniem. Martin już zapłacił z nadwyżką za kurs, ale dorzuciłem kolejną dwudziestkę i posłałem taksiarzowi poważne spojrzenie.

– Masz na imię Ahmahd?

Wyczytałem to z jego licencji. Z wahaniem pokiwał głową.

– Masz rodzinę, Ahmahdzie?

Wbił we mnie wzrok.

Dotknąłem ust wyprostowanym palcem.

– Nigdy mnie nie widziałeś. Jasne?

Skrzywił się, ale skinął głową.

Wysiadłem z taksówki, czując się podle. Nie skrzywdziłbym rodziny tego faceta, ale on tego nie wiedział. A zresztą nawet moja groźba w połączeniu z łapówką nie skłoniłyby go do milczenia, gdyby przyszła do niego policja – chociaż może przynajmniej sam nie wyrzywałby się do zeznawania. Wybuchaly budynki. Ludzie przy zdrowych zmysłach woleli się nie wychylać, póki zamieszanie się nie skończy.

Odprowadziłem wzrokiem odjeżdżający samochód, schowałem ręce do kieszeni płaszcza i powlokłem się do domu. Mocno nadszarpnąłem swoje fizyczne i duchowe zasoby, gdy przypuściłem energetyczny atak na

wampiry, i teraz płaciłem za to cenę. Nieświadomie wlewałem Ogień Duszy w każdy swój strzał – to dlatego płomienie nie były czerwono-pomarańczowe jak zwykły ogień, tylko miały tę efektowną srebrzystobiałą barwę. Miałem ochotę zwalić się na łóżko, ale to nie byłoby zbyt mądre. Mimo wszystko poważnie to rozważałem.

Zdażyłem wziąć prysznic, wyprowadzić Myszka na spacer, którego bardzo potrzebował, zaparzyć kawę i właśnie kończyłem usuwać zabrudzenia ze swojego płaszcza za pomocą poręcznych szmatek do czyszczenia skóry, które przysłała mi Charity Carpenter, matka Molly, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Myszek podniósł łeb z posłania, a jego brązowe oczy były czujne i poważne. Potem postawił uszy i zaczął merdać ogonem. Wstał i zbliżył się do drzwi, a następnie na mnie popatrzył.

– Tak, tak – odezwałem się. – Już idę.

Wstałem i otworzyłem drzwi. Zablockowały się w połowie. Szarpnąłem mocniej i otworzyły się do końca.

Kobieta stojąca za progiem miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu i zmęczoną, nieumalowaną twarz. Opadały na nią złociste włosy, którym przydałaby się szczotka, a może także lokówka. A przynajmniej frotka. Nosila spodnie od dresu oraz stary rozciągnięty T-shirt i garbiła się nerwowo.

Przypatrywała mi się przez chwilę. Potem zamknęła oczy i rozluźniła ramiona.

– Cześć, Murphy – powiedziałem.

– Hej – odrzekła słabym głosem. Rozkoszowałem się tą chwilą. Rzadko miałem okazję zobaczyć łagodną stronę Murphy. – Czy to zapach kawy?

– Właśnie zaparzyłem. Napijesz się?

Stęknęła niemal pożądlawie.

– Ożeń się ze mną.

– Może kiedy będziesz przytomna.

Cofnąłem się i wpuściłem ją do mieszkania. Usiadła na kanapie, a Myszek bezwstydnie położył łeb na jej kolanach. Ziewnęła i zaczęła go usłużnie głaskać i drapać. Pod wpływem drobnych, silnych dłoni Murphy zachwycony

pies zamknął ślepią.

Napełniłem dwa kubki. Murphy piła kawę bez mleka i z dwiema porcjami bezkalorycznego słodzika. Do swojego kubka wlałem śmietankę i wsypałem mnóstwo cukru. Raczyliśmy się gorącym napojem, a jej oczy stopniowo ożywiały się dzięki kofeinie. Milczeliśmy, aż w końcu Murphy zlustrowała wzrokiem moje mieszkanie i mnie. Słyszałem trybiki obracające się w jej głowie.

– Brałeś prysznic niecałą godzinę temu. Wciąż czuję zapach mydła. Poza tym właśnie skończyłeś czyścić płaszc. O czwartej nad ranem.

Upiłem łyk kawy i nie potwierdziłem ani nie zaprzeczyłem.

– Byłeś w budynku, kiedy wyleciał w powietrze – powiedziała.

– Nie w środku – odrzekłem. – Jestem dobry, ale nie wiem, czy aż tak, żeby przeżyć zawalenie się budynku.

Pokręciła głową. Popatrzyła na resztkę kawy.

– Dzwonił Rawlins. Powiedział mi, że twój biurowiec eksplodował. Myślałam, że ktoś w końcu cię dopadł.

– Rozmawiamy oficjalnie? – spytałem.

Murphy była sierżantem w Wydziale Dochodzeń Specjalnych. Był to jedyny wydział w chicagowskiej policji, który miał jakiegokolwiek pojęcie o nadprzyrodzonym świecie. Mimo wszystko Murphy była policjantką z krwi i kości. Czasami naginała zasady, ale stawiała wyraźne granice. Już kiedyś je przekroczyłem.

Pokręciła głową.

– Nie. Jeszcze nie.

– Czerwony Dwór – wyjaśniłem. – Kilka lat temu kupili budynek. Podłożyli w nim ładunki wybuchowe, żeby móc go w każdej chwili wysadzić.

Murphy zmarszczyła czoło.

– Dlaczego zrobili to teraz? Dlaczego nie wysadzili cię w powietrze lata temu?

Stęknąłem.

– Pewnie chodzi o osobistą urazę – odrzekłem. – Księżnej Ariannie nie spodobało się to, co spotkało jej męża, gdy ze mną zadarł. Uważa, że to moja wina.

– A tak jest?

– Owszem.

Zamieszała kawę na dnie kubka.

– Więc dlaczego po prostu cię nie zabili? Klik, bum.

– Nie wiem. Może uznała, że to nie wystarczy. Klik-bum to bardzo zawodowe podejście. Nasza relacja jest bardziej osobista.

Moje szczęki lekko zaskrzypiały, gdy je zacisnąłem.

Niebieskie oczy Murphy dostrzegały niemal wszystko.

– Osobista? – Ponownie się rozejrzała. – Twoje mieszkanie wygląda zbyt ładnie. Kto tu był?

– Susan.

Lekko się wyprostowała. To była jedyna oznaka zaskoczenia, na jaką sobie pozwoliła. Murphy wiedziała wszystko o Susan.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Nie chciałem, ale Murphy musiała poznać prawdę. Wyłożyłem jej wszystko w zdaniach złożonych z trzech albo czterech słów. Odstawiła kubek na stół i słuchała mnie z napięciem.

– Jezus Maria – westchnęła. – Harry.

– No tak.

– Co za... co za suka.

– Szukanie winnych nie pomoże Maggie. Zajmiemy się tym później.

Skrzywiła się, jakby połknęła coś gorzkiego. Potem pokiwała głową.

– Masz rację.

– Dziękuję.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała.

– Martin i Susan sprawdzają, co da się odzyskać z dysku – odrzekłem. – Skontaktują się ze mną, gdy tylko będą coś wiedzieli. Tymczasem złapię parę godzin snu, a potem odezwę się do swoich kontaktów. Poproszę o pomoc Radę.

– Tę bandę bezdusznych, tchórzliwych staruchów bez charakteru – odparła.

Delikatnie uśmiechnąłem się nad kubkiem.

– Myślisz, że ci pomogą? – spytała Murphy.

– Być może. To nie takie proste. A ty nakłonisz policję, żeby udzieliła mi wsparcia?

Jej oczy pociemniały.

– Być może. To nie takie proste.

Rozłożyłem ręce, jakbym chciał powiedzieć „no właśnie”, a ona pokiwała głową. Potem wstała i podeszła do zlewu, żeby odstawić kubek.

– Jak ci mogę pomóc?

– Byłoby miło, gdyby policja na razie mnie nie zamknęła. W końcu odkryją, że ładunki wybuchowe rozmieszczono w moim biurze.

– Żadnych obietnic. Zrobię, co będę mogła.

– Dziękuję.

– Dopuszczcie mnie do sprawy. Oboje jesteście zbyt zaangażowani. Przyda wam się ktoś zdystansowany.

Chciałem odpowiedzieć coś złośliwego, ale zamknąłem jadaczkę, ponieważ Murphy zapewne miała rację. Odstawiłem kubek do zlewu, żeby zyskać chwilę na ochłonięcie.

– Sam bym cię o to poprosił, Murph. Dobry strzelec jest na wagę złota.

Murphy była drobniutka, ale przetrwała więcej starć z nadprzyrodzonymi istotami niż jakikolwiek zwykły śmiertelnik. Potrafiła zachować spokój w kryzysowej sytuacji, nawet jeśli w grę wchodziły skrzydlate demony, wyjące ghoulle, toczące pianę z ust wampiry czy ofiary z ludzi. Potrafiła powstrzymać każdego – w tym przypadku Martina – przed zadaniem mi zdradzieckiego ciosu. Poza tym nie wahała się sięgać po broń. Widziałem, jak to robi.

– Harry... – zaczęła.

Machnąłem ręką.

– Nie wymagam, żebyś łamała jakiegokolwiek chicagowskie prawa. Ani amerykańskie. Ale wątpię, żeby tę sprawę dało się załatwić na miejscu.

Przez chwilę przetrawiała to ze skrzyżowanymi rękami, wpatrując się w palenisko. Myszek obserwował ją w ciszy ze swojego miejsca przy kanapie.

– Jestem twoją przyjaciółką, Harry – odezwała się w końcu.

– Nigdy w to nie wątpiłem.

– Zamierzasz odbić Maggie.

Zabolęła mnie szczęka.

– Oczywiście, że tak.

– Dobrze, wchodzę w to.

Skłoniłem głowę, czując, że pieką mnie oczy; ogarniające mnie emocje starły się z burzą w moim brzuchu.

– Dzi... – zacząłem, ale łamał mi się głos. Spróbowałem ponownie. –
Dziękuję, Karrin.

Wzięła mnie za rękę; miała ciepłą dłoń.

– Odzyskamy ją – powiedziała bardzo cicho. – Uda nam się, Harry.
Pomogę ci.

6

Spałem krótko, ale twardo. Kiedy mój stary nakręcany budzik z Myszka Mickey zadzwonił o siódmej, musiałem siłą wydobyć się z otchłani po drugiej stronie krainy snów. Miałem wrażenie, że przydałoby mi się kolejne osiemnaście albo dwadzieścia godzin.

Po raz kolejny uległem emocjom. Instynktowne użycie Ognia Duszy było błędem, który mógł mieć fatalne skutki. Nie do końca rozumiem nadprzyrodzone źródło mocy, jakie stanowi Ogień Duszy. Nie jestem pewien, czy dzięki niemu moje zaklęcia są skuteczniejsze przeciwko Czerwonemu Dworowi – chociaż podejrzewam, że czyni je skutecznymi jak cholera – ale wiem na pewno, że wyczerpuje moją własną energię życiową. A jeśli ta energia to rzeczywiście ta sama siła, którą nazywamy duszą, konsekwencją może być niebyt.

Chociaż to pewnie zależy od tego, co się naprawdę z nami dzieje, gdy przechodzimy na drugą stronę. Osobiście nie mam pojęcia. Żadna spośród śmiertelnych i nieśmiertelnych istot, jakie spotkałem, również nie była tego pewna.

Zdaję sobie sprawę, że silne emocje stanowią doskonale źródło dodatkowej energii do czarowania, coś w rodzaju turbodopalacza. Jeśli rzucisz niszczące zaklęcie pod wpływem furii, uzyskasz lepsze efekty, niż kiedy spokojnie ćwiczysz na placu treningowym. Niebezpieczeństwo oczywiście polega na tym, że nie możesz mieć pewności, jak silny wpływ emocje wywrą na dane zaklęcie, co oznacza znacznie wyższe ryzyko utraty kontroli. Ktoś o moich umiejętnościach może zabić innych albo siebie na skutek najdrobniejszego błędu.

Może Ogień Duszy pochodzi z podobnego miejsca, co emocje. Może nie da się uzyskać jednego bez przynajmniej odrobiny drugiego. Może są ze sobą wymieszane jak białko i chude mleko w zdrowym koktajlu.

Tak naprawdę to bez znaczenia. Niecała minuta walki poprzedniego wieczoru całkowicie pozbawiła mnie sił. Gdybym nie zapanował nad Ogniem Duszy, mógłbym się nim zabić.

– Weź się w garść, Harry – warknąłem.

Wywlokłem się z łóżka i przeszedłem do salonu, gdzie odkryłem, że moja uczennica, Molly, przyszła, kiedy spałem, i właśnie profanuje śniadanie w mojej malutkiej kuchni.

Miała na sobie prosty strój – jeansy i czarny T-shirt z drobnym białym napisem: JEŚLI MOŻESZ TO PRZECZYTAĆ, MAM NADZIEJĘ, ŻE POSTAWIŁEŚ MI KOLACJĘ. Jej złociste włosy urosły – zapuszczała je – i sięgały już do łopatek. Ufarbowane końcówki miały zielony kolor, który stopniowo przechodził w granat.

Nie jestem pewien, czy Molly to „laska”, „szprycha” albo „kociak”, ponieważ te określenia co chwila się zmieniają, ale jeśli użyjesz jakiegoś słowa, które wyraża uznanie dla piękna młodej kobiety, zapewne będzie ono do niej pasowało. W moim przypadku efekt nieco psuł fakt, że znałem ją jeszcze jako chudego dzieciaka, którego bardziej od sportowych biustonoszy interesował rowerek z bocznymi kółkami, ale to nie znaczy, że nie mogę obiektywnie docenić jej urody. Kiedy tylko jej na tym zależy, mężczyźni tracą dla niej głowę.

Myszek siedział czujnie u jej stóp. Pies potrafił się powstrzymać przed zabieraniem jedzenia ze stołu, kuchenki, blatu albo szczytu lodówki, ale nie zamierzał odpuszczać linoleum. Jeśli tylko coś spadło na podłogę, dopadał do tego jako pierwszy. Jego brązowe ślepie bacznie śledziły dłonie Molly. Sądząc po radośnie merdającym ogonie, dziewczyna zapewne upuściła już kilka smakołyków. Miała słabość do kundla.

– Dzień dobry, szefie – zaświergotała.

Posłałem jej groźne spojrzenie, ale powlokłem się do kuchni. Molly ułożyła na talerzu świeżo usmażoną jajecznicę, boczek, tost i kawałki owoców, a do ręki wcisnęła mi szklankę soku pomarańczowego.

– Kawy – rzuciłem.

– W tym tygodniu rzucasz, pamiętasz? Umówiliśmy się: ja robię śniadanie, a ty rezygnujesz z porannej kawy.

Skrzywiłem się, patrząc na nią zamglonym bezkawowym wzrokiem. Coś mi świtało. Molly wcześniej zainteresowała się zdrowym trybem życia, a ostatnio przywiązywała do niego coraz większą wagę. Uważała na to, czym się odżywia, i postanowiła uszczęśliwić w ten sposób także mnie.

– Nienawidzę rannych ptaszków – odburknąłem i zabrałem śniadanie. Poczłapałem na kanapę. – Nie karm Myszka. To mu nie służy.

Myszkowi nawet nie drgnęło ucho. Wpatrywał się w Molly z szerokim uśmiechem.

Wypiłem sok pomarańczowy, który stanowił całkowicie nieodpowiedni początek dnia. Boczek okazał się kawałkiem indyka o przypalonych krawędziach. Mimo wszystko zjadłem go, podobnie jak niedopieczony tost. Nowicjuszka miała wiele talentów, ale gotowanie się do nich nie zaliczało.

– Dużo się dzieje – zagadnąłem.

Z zaciekawieniem podniosła na mnie wzrok znad szorowanej patelni.

– Naprawdę? Co takiego?

Stęknąłem i przez chwilę się zastanawiałem. Molly nie znała się na walce. To nie była jej specjalność. Kolejne kilka dni z pewnością zapowiadało się ryzykownie dla mnie i nie miałem z tym problemu. Ale zaangażowanie Molly mogło mieć tragiczne konsekwencje.

Widziałem na własne oczy zarówno dobre, jak i złe skutki stosowania maksymy „bezpieczniej jest nie wiedzieć”. Widziałem, jak umierają ludzie, którzy mogliby ocaleć, gdyby tylko ktoś opowiedział im o nadprzyrodzonym świecie i związanych z nim zagrożeniach, lecz byłem także świadkiem śmierci osób, które zostały ostrzeżone, a niebezpieczeństwo nie zrobiło na nich wrażenia. Nie sposób przewidzieć, co się stanie.

A skoro tak, to – przy braku dowodów, które mogłyby skłonić mnie do zmiany zdania – doszedłem do wniosku, że nie mam prawa odmawiać ludziom prawa wyboru. Molly była częścią mojego życia, zatem ta sprawa i tak musiała mieć na nią istotny wpływ. Jedyne odpowiedzialne rozwiązanie to pozwolić jej samodzielnie zdecydować, jak chce żyć. Nawet jeżeli postanowi nadstawić karku.

Dlatego opowiedziałem nowicjuszcze o wszystkim, podobnie jak wcześniej zrobiłem w przypadku Murphy.

Kiedy skończyłem, Molly klęczała obok mnie na podłodze z szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

– Ojej, Harry.

– No właśnie – odrzekłem.

– Ojej.

– Już to mówiłaś.

– To wszystko zmienia.

Pokiwałem głową.

– Jak mogę pomóc?

Miałem nadzieję, że nie postanowiła dać się zabić.

– Sama mi powiedz. Jaki będzie najmądrzejszy ruch, padawanko?

Przez chwilę przygryzała wargę, po czym podniosła na mnie wzrok.

– Potrzebujemy informacji. No i wsparcia. Edynburg?

Dopiłem sok pomarańczowy, przeklinając w duchu jego zdrowotne właściwości.

– Strzał w dziesiątkę – oceniłem.

Wybraliśmy się do Edynburga za pomocą Ścieżek, wykorzystując dziwną geografie duchowego świata, by przenieść się na większą odległość w świecie fizycznym. Tylko niektóre wcześniej zbadane trasy były bezpieczne i godne zaufania, a otwarcie drzwi, jeśli można je tak nazwać, między naszą rzeczywistością a Nigdy nigdy wymagało mnóstwa energii, tyle że jeśli to się udało, Ścieżki okazywały się cholernie przydatne. Podróż z Chicago do Edynburga zajęła nam około pół godziny.

Siedziba główna Białej Rady magów to posępne, ponure i przewiewne miejsce – podobnie jak głowy wielu ludzi, którzy tam pracują. Cała mieści się pod ziemią – sieć tuneli o ścianach pokrytych mistycznymi runami i magicznymi znakami, stylizowanymi wzorami i autentycznie pięknymi dziełami sztuki. Strop w niektórych miejscach jest dla mnie za niski. W niektórych tunelach panują egipskie ciemności, ale większość wypełnia światło bez widocznego źródła, co wygląda bardzo dziwnie – jak jedno z tych czarnych światel, przy których część kolorów zaczyna lśnić.

Minęliśmy dwa punkty kontrolne, a po kolejnych pięciu minutach marszu Molly pokręciła głową.

– Jak duże jest to miejsce? – Jej przytłumiony głos odbił się echem w pustych tunelach.

– Duże – odrzekłem. – Niemal tak duże jak miasto na powierzchni, a ma kilka poziomów. Znacznie więcej, niż rzeczywiście wykorzystujemy.

Powiodła palcami po misternym wzorze wyrzeźbionym w kamieniu, muralu przedstawiającym leśny pejzaż, którego krawędzie i linie pozostały wyraźne i czyste mimo działania dymu pochodni i upływu wieków. Jej palce pozostawiły delikatne ślady na cienkiej warstwie pyłu pokrywającej ścianę.

– Rada to wyrzeźbiła?

– Nie – odrzekłem. – To za bardzo przypominałoby pracę. Plotki głoszą, że kiedyś to był pałac władcy Daoine Sidhe. Merlin potem zdobył go w wyniku wygranego zakładu.

– Prawdziwy Merlin? – spytała. – Ten od miecza w kamieniu i tak dalej?

– Właśnie on – potwierdziłem. – Ale wątpię, żeby przypominał faceta w filmach.

– Napisał Prawa Magii, stworzył Białą Radę, był strażnikiem jednego z Mieczów, a do tego założył twierdzę dla Rady – wyliczyła Molly. – Musiał być z niego nie byle kto.

– Raczej kawał drania – odparłem. – Goście, o których tak wiele mówią książki historyczne i folklor, rzadko bywają harcerzykami.

– Ależ z ciebie cynik.

– Uważam, że cynicy są zabawni i uroczy.

Główny korytarz był pusty, co mnie zaskoczyło. Nigdy nie panował tutaj tłok, ale zazwyczaj na kogoś się natrafiało.

Skierowałem się do siedziby Strażników. Biała Rada przygotowała dla swojego zbrojnego odłamu rozległą salę sypialną, gdzie zawsze można było zobaczyć jakieś ponure, podejrzliwe oblicze. Poza tym często przebywała tam Anastasia Luccio, kapitan Strażników. W pobliżu mieściły się kantyna oraz biura administracyjne, czyli najbardziej oblegane części twierdzy.

Siedziba Strażników oraz kantyna były puste, chociaż na stole w jednej z bawialni leżała rozłożona talia kart.

– Dziwne – mruknąłem. – Gdyby nie to, że w punktach kontrolnych wszystko gra, pomyślałbym, że stało się coś złego.

Molly zmarszczyła czoło.

– Może ktoś dobrał się do głów wartowników.

– Nie. To banda palantów, ale znają się na swojej pracy. Nikomu tutaj nie ujdzie na sucho kontrola umysłów.

Przeszliśmy przez hol do części administracyjnej i wreszcie kogoś znaleźliśmy: udręczoną kobietę, która siedziała przy staroświeckiej centrali – takiej z milionem otworów i wtyczek, które trzeba własnoręcznie przełączać. Miała na głowie wiekowe słuchawki i mówiła do starego radiowego mikrofonu.

– Nie. Na razie nie mamy żadnych informacji. Kiedy się czegoś dowiemy, natychmiast was powiadomimy. – Wyszarpnęła wtyczkę, wpięła ją pod kolejnym migoczącym światelkiem i powtórzyła to samo zapewnienie. Patrzyłem, jak robi to kilka razy, aż w końcu pomachałem dłonią przed jej twarzą, by zwróciła na nas uwagę.

Przerwała i zamrugła. Była postawną kobietą o kasztanowych włosach poprzetykanych siwizną, co oznaczało, że równie dobrze mogła mieć czterdzieści pięć, jak i dwieście lat. Przyjrzała się nam, a jej ciało wyraźnie się napięło. Lekko cofnęła się na krześle na kółkach – podobnie jak większość starszego pokolenia magów, zapewne uważała mnie za socjopatę, który tylko szuka odpowiedniego gniazda snajperskiego. Światelka na staroświeckiej centrali równomiernie migotały, czemu towarzyszyły ciche pstryknięcia.

– Ach, mag Dresden – powiedziała kobieta. – Jestem zajęta.

– Właśnie widzę – odrzekłem. – Czarodziejka MacFee, zgadza się? Gdzie są wszyscy?

Ponownie zamrugła, jakbym odezwał się w języku Ewoków.

– Oczywiście w sali Rady Starszych. To jedyne miejsce wystarczająco duże, by pomieścić wszystkich, którzy chcieli to zobaczyć.

Pokiwałem głową, starając się zachować spokój.

– Co zobaczyć?

– Ambasadora – odrzekła MacFee z nutą zniecierpliwienia w głosie. Wskazała centralę. – Nie słyszał pan?

– Wczoraj byłem bardzo zajęty – wyjaśniłem. – O czym miałem słyszeć?

– Oczywiście o Czerwonym Dworze – odparła. – Wysłali pełnomocnika. –
Rozpromieniła się. – Chcą zmienić zawieszenie broni w trwały pokój.
Wysłali samą księżną Arianę Ortegę z zapytaniem o warunki.

Poczułem, jak żołądek wywraca mi się na lewą stronę.

Księżna grała nieczysto. Jako wysłanniczka Czerwonego Dworu oczywiście znała zamiary swojego ludu. To za cholereę nie mógł być przypadek. Wszystko zbyt doskonale się ułożyło.

Jeżeli Czerwony Dwór zaproponuje powrót do dawnego porządku – a starsi magowie o niczym innym nie marzą – i dorzuci coś jeszcze dla uatrakcyjnienia oferty, Rada Starszych nie zezwoli na żadne działania mogące zagrozić pokojowi. Na pewno nie ze względu na jakąś nieistotną dziewczynkę, a tym bardziej córkę najsłynniejszego psychotycznego wychowanka Białej Rady, Harry’ego Dresdena, i terrorystki połowicznie zmienionej w wampirzycę.

Wielu członków Rady uważało, że należało mnie ściąć, gdy miałem szesnaście lat. Z tego powodu młodszy magowie uważali, że jestem fajny i niebezpieczny, co zapewne tłumaczy moją popularność w ich gronie. Ale lwia część wpływów pozostawała w rękach starszych członków Rady, którzy chętnie rozprawiliby się ze mną pod byle pretekstem, a księżna Arianna właśnie zamierzała im go dać.

Pozbywała się mnie.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że kiedy mózg spokojnie podążał tym logicznym tropem, w moich trzewiach kipiał gniew, a ja szybko ruszyłem korytarzem z laską w lewej i bojową różdżką w prawej dłoni. Runy i rzeźbienia na obu płonęły karminowym światłem.

To było nieco niepokojące.

Ktoś zaczął mnie szarpać za rękę, a gdy opuściłem wzrok, zobaczyłem, że Molly uwiesiła się na mnie obiema rękami. Wlokłem jej tenisówki po kamiennej posadzce, chociaż wyraźnie starała się mnie zatrzymać.

– Harry! – zawołała rozpaczliwie. – Harry! Nie możesz!

Odwrociłem się od niej i szedłem dalej.

– Harry, proszę! – niemal wrzasnęła. – To nie pomoże Maggie!

Potrzebowałem kilku sekund, by wykombinować, w jaki sposób się zatrzymać. W końcu to zrobiłem i wziąłem głęboki wdech.

Molly oparła się czołem o moje ramię, ciężko dysząc. Wciąż kurczowo mnie trzymała.

– Proszę – odezwała się drżącym głosem. – Nie możesz. Nie możesz tak tam wejść. Zabiją cię. – Przerazenie na chwilę odebrało jej mowę. – Jeśli musimy tak to zrobić... przynajmniej pozwól, żebym cię osłoniła.

Zamknąłem oczy i wziąłem jeszcze kilka głębokich wdechów, starając się stłumić gniew. Miałem wrażenie, że połykam kwas. Ale kiedy otworzyłem oczy, runy na lasce i różdżce znów były wygaszone.

Zerknąłem na Molly. Patrzyła na mnie zaczerwienionymi, wystraszonymi oczami.

– Już w porządku – powiedziałem.

Przygryzła wargę i pokiwała głową.

– To dobrze.

Nachyliłem się i delikatnie pocałowałem ją w głowę.

– Dziękuję, Molly.

Uśmiechnęła się niepewnie i ponownie pokiwała głową.

Przez chwilę stałem nieruchomo, po czym odezwałem się łagodnie:

– Już możesz puścić moją rękę.

– No tak – zreflektowała się. – Przepraszam.

Popatrzyłem w głąb korytarza przed sobą, próbując uporządkować myśli.

– W porządku – powiedziałem. – W porządku.

– Harry? – zagadnęła Molly.

– To nie czas ani miejsce na walkę.

– Tak – odrzekła. – Niewątpliwie.

– Nawet nie zaczynaj – odparłem. – No dobrze, więc księżna przybyła tutaj, żeby z nami igrać... – Zacisnąłem zęby. – Niech będzie. Dostanie to, czego chciała.

Znów ruszyłem naprzód zdeterminowanym krokiem, a Molly pośpieszyła za mną.

Weszliśmy do zbytkarium Białej Rady.

Wiem, nie ma takiego słowa. Ale powinno być. Gdybyście zobaczyli kwatery Rady Starszych, przyznałibyście mi rację.

Przeziąłem salę, skinąwszy głową w stronę oddziału dwunastu Strażników pilnujących wejścia do komnat Rady Starszych. Wszyscy byli przedstawicielami młodszego pokolenia – najwyraźniej po drugiej stronie podwójnych drzwi załatwiano sprawy dorosłych, w których dzieci tylko by przeszkadzały.

Tym razem geriatokracja Rady działała na moją korzyść. Gdyby pozostawili na zewnątrz kogoś ze starszych wartowników, ten z pewnością dla zasady by mnie nie wpuścił. Tymczasem młodzi strażnicy tylko pokiwali do mnie głowami i pozdrowili mnie cicho, gdy się zbliżyłem.

Energicznie odwzajemniłem powitanie, nie zwalniając kroku.

– Nie mam czasu, chłopcy. Muszę wejść.

Pośpiesznie otworzyli drzwi, a ja wkroczyłem do komnat Rady Starszych.

To miejsce zawsze robiło na mnie wrażenie. Było ogromne. Można by pomieścić w nim boiska do baseballa i koszykówki. Rozpostarła się przede mną prostokątna środkowa sala o marmurowej posadzce poprzecinanej żyłami złota. Marmurowe schody na przeciwległym końcu prowadziły na okalający pomieszczenie balkon, który opierał się na marmurowych kolumnach korynckich pasujących kolorem do posadzki. W głębi cicho szumiał wodospad, a pośród otaczających go drzew i roślin od czasu do czasu rozlegał się świergot ptaka.

Na środku pomieszczenia wzniesiono scenę oświetloną jaskrawo lśniącymi kryształami oraz drewniany podest, który zapewne miał wzmacniać głos przemawiającej na nim osoby. Wokół roilo się od magów – kłębili się na posadzce jak miniaturowe ludzkie morze oraz stali na całej długości balkonu, szczelnie wypełniając salę.

Ogólnie rzecz biorąc, zbytkarium było tak przesadzone, że aż wzbudzało podziw, i taki był jego cel, a chociaż mój mózg wiedział, że znajduję się ponad sto metrów pod ziemią, to oczy upierały się, że pomieszczenie rozświetla naturalne światło słoneczne.

Ale tak nie było. Na scenie stał wampir, a towarzyszył mu najnowszy

członek Rady Starszych, mag Cristos, który właśnie przemawiał z podestu do zgromadzonych. Reszta Rady Starszych, ubrana w eleganckie oficjalne czarne szaty i fioletowe stuły, patrzyła na niego spod kapturów.

– ...kolejnym przykładem tego, że musimy witać przyszłość z szeroko otwartymi oczami i umysłami, gotowi na możliwość zmiany – mówił Cristos. Miał głos stworzony do przemawiania, silny i płynny baryton, który bez trudu przetaczał się przez ogromną salę. Mówił po łacinie, w oficjalnym języku Rady – co najlepiej świadczyło o ich nastawieniu. – Ludzkość już zaczyna uwalniać się z zakłętego kręgu bezmyślnej przemocy i wojny, uczy się współistnieć ze swoimi sąsiadami w pokoju i współdziałać z nimi w poszukiwaniu rozwiązań wspólnych problemów, zamiast uciekać się do rozlewu krwi.

Uśmiechnął się życzliwie – wysoki, szczupły mężczyzna z bujną siwą czupryną, ciemną brodą i ciemnymi oczami. Oficjalne szaty miał rozpięte, by wszyscy zobaczyli szyty na miarę elegancki garnitur.

– Właśnie z tego powodu poprosiłem o telefoniczną konferencję z Czerwonym Królem – ciągnął. Słowo „telefoniczną” wypowiedział po angielsku, ponieważ w łacinie brakowało odpowiedniego określenia. Nie spodobało się to członkom Rady słuchającym przemówienia. Takich rzeczy się nie robi. – Po dłuższej rozmowie udało mi się uzyskać jego poparcie dla jasno zdefiniowanego, wiążącego i obustronnie akceptowalnego porozumienia pokojowego. Pokój leży w interesie wszystkich i z tym przekonaniem przedstawiam wam, magowie Białej Rady, księżnę Arianę Ortegę z Czerwonego Dworu.

Kilku magów stojących na scenie niedaleko Cristosa zaczęło entuzjastycznie klaskać, a kolejni zgromadzeni dołączali do nich z wahaniem, aż w końcu w całej sali rozbrzmiewał grzeczny aplauz.

Arianna stanęła z uśmiechem na podeście.

Była olśniewająca. Ale nie jak odpicowane dziewczyny w klubie. Naprawdę wyglądała jak bogini. Szczegóły w zasadzie nie miały znaczenia. Wysoka. Ciemne włosy. Skóra jak mleko, jak wypolerowana kość słoniowa. Oczy niebieskie jak niebo o zmroku. Miała na sobie suknię z czerwonego jedwabiu z przepysznie głębokim dekoltem. Klejnoty zdobiły jej szyję i uszy.

Włosy upięła na czubku głowy, tylko kilka kosmyków opadało na twarz. Jej piękno było tak czyste, że patrzenie na nią prawie sprawiało mi ból. Była jak Atena, która w piątkowy wieczór wyrusza na miasto.

Dopiero po kilku sekundach gapienia się na nią uświadomiłem sobie, że pod tym pięknem kryje się coś, co wcale mi się nie podoba. Zrozumiałem, że jej uroda jest bronią – istoty takie jak ona doprowadzają mężczyzn do obłędu, wzbudzając w nich pożądanie i obsesję. A przede wszystkim zdawałem sobie sprawę, że to piękno jest tylko powierzchowne. Wiedziałem, co czai się pod spodem.

– Dziękuję, magu Cristosie – odezwała się księżna. – To wielki zaszczyt przybyć tutaj w celu zbudowania pokoju pomiędzy naszymi ludami i zakończenia potwornego rozlewu krwi.

Kiedy Arianna zrobiła pauzę, Drużyna Klakierów znów ruszyła do akcji. Ludzie tym razem szybciej poszli w ich ślady, jednak widzowie stojący dalej od sceny wciąż klaskali bez przekonania.

Zaczekałem, aż aplauz ucichnie, i puściłem drzwi. Zatrzasnęły się z hukiem dokładnie pomiędzy końcem owacji a kolejnymi słowami księżnej.

Prawie tysiąc twarzy odwróciło się w moją stronę.

Zapadła cisza. Nagle usłyszałem szum wodospadu i świergot ptaka.

Wbiłem wzrok w Ariannę i odezwałem się donośnym głosem:

– Chcę odzyskać dziewczynkę, wampirzyco.

Przez chwilę patrzyła mi w oczy. Potem na jej ustach zagościł cień uśmiechu naznaczonego kpina. Krew zagotowała mi się w żyłach i usłyszałem trzask swoich knykci, gdy kurczowo zacisnąłem dłoń na lasce.

– Ależ magu Dresden! – ostro skarcił mnie Cristos. – To nie czas ani miejsce na twoje idiotyczne prowokacje.

Zrobił na mnie tak duże wrażenie, że odezwałem się jeszcze głośniejszym głosem.

– Oddaj dziecko, które odebrałaś rodzinie, Arianno Ortego, porywaczko i złodziejko, albo zmierz się ze mną zgodnie z zasadami Code Duello.

Wśród zgromadzonych poniósł się szmer, niczym pomruk nadchodzącej burzy.

– Magu Dresden! – wykrzyknął oburzony Cristos. – To ambasadorka ludu, który podpisał Przymierze. Ma zagwarantowane bezpieczeństwo podczas

swojej pokojowej misji. Tego już za wiele! – Rozejrzał się po sali i wskazał palcem kilku odzianych w szare szaty magów, którzy stali niedaleko mnie. – Strażnicy! Wyprowadźcie tego człowieka z sali!

Rzuciłem na nich okiem. Wszyscy byli Strażnikami starej daty, niebezpiecznymi i twardymi, a do tego bardzo mnie nie lubili. Popatrzyło na mnie sześć par oczu, w których było tyle miłosierdzia i współczucia co w wycelowanej broni.

Usłyszałem, jak Molly przetyka ślinę.

Obejrzałem się na nich.

– Na pewno chcecie tak to rozegrać, koledzy? – spytałem po angielsku.

Zapewne moje słowa zabrzmiały groźniej, niż zamierzałem, ponieważ twardziele nagle się zatrzymali. Wymienili spojrzenia.

Ponownie odwróciłem się w stronę sceny i przemówiłem do wampirzycy.

– No i co, złodziejko?

Arianna zwróciła się do Cristosa i posłała mu smutny, łagodny uśmiech.

– Przepraszam za to zamieszanie, magu Cristosie. Nie jestem pewna, o co chodzi, ale wygląda na to, że mag Dresden uważa, że został skrzywdzony przez mój lud. Nie zapominajmy, że to jego uczucia, niezależnie od tego, czy były uzasadnione, przyczyniły się do wybuchu tej wojny.

– Proszę wybaczyć jego niedopuszczalne zachowanie – odrzekł mag Cristos.

– Nie żywię urazy – zapewniła go Arianna. – Ja także poniosłam osobiste straty podczas tego konfliktu. Wiem, jak trudno opanować związane z tym emocje, zwłaszcza ludziom bardzo młodym. To jeden z problemów, które musimy przezwyciężyć, jeśli chcemy wyrwać się z kręgu przemocy. Weterani wojen noszą w sobie straszliwe mentalne i emocjonalne blizny, dotyczy to zarówno wampirów, jak i magów. Nie czuję się urażona słowami ani działaniami maga Dresdena i nie mam do niego żalu. – Odwróciła się w moją stronę i odezwała pełnym współczucia głosem: – Mogę szczerze powiedzieć, że doskonale rozumiem, jak bardzo pan teraz cierpi, magu Dresdenie.

Z trudem powstrzymałem się przed podniesieniem bojowej różdżki i wypaleniem fałszywej empatii z twarzy księżnej. Mocno zacisnąłem dłonie

na swoim sprzeczcie, by nie spróbował zadziałać bez pytania mnie o zgodę.

– Nie zdołamy odzyskać ukochanych, których odebrała nam ta wojna – ciągnęła Arianna. – Możemy tylko ją zakończyć, nim ucierpią kolejne bliskie nam osoby. Przybyłam tutaj, by zapobiec nowym bezcelowym tragediom, magu Dresdenie. Z pewnością pan rozumie, dlaczego to robię.

Jeszcze jak. Zabicie mnie to za mało. Księżna chciała najpierw mnie pognać, zachować ciastko, a zarazem je zjeść. Gdyby udało jej się w ten sposób zakończyć wojnę, zyskałaby silną pozycję w nadprzyrodzonym świecie – a gdyby przy okazji rozprawiła się ze mną, jej zwycięstwo byłoby znacznie bardziej stylowe.

Ponownie posłała mi uśmiech, naznaczony kpina tak delikatną, że niedostrzegalną dla nikogo, kto się jej nie spodziewał. Chciała jedynie, bym dostrzegł jej złą wolę i miał świadomość, że igra ze mną na oczach całej Białej Rady. Zapewne ćwiczyła przed lustrem.

– Daję ci szansę! – zawołałem chrapliwie. – Oddaj dziecko, a wszystko się skończy. Będziemy kwita. Jeśli będę musiał odebrać dziewczynkę siłą, nie cofnę się przed niczym.

Przyłożyła długie, eleganckie palce do piersi w udawanym geście zaskoczenia.

– Nie wiem, dlaczego jest pan na mnie tak zdenerwowany ani co mogę mieć wspólnego z tym dzieckiem – rzekła. – Ale rozumiem pańską złość. Żałuję, że nie mogę jakoś pomóc.

Ktoś stanął u mojego boku, nieco z przodu. To była młoda kobieta, niezbyt wysoka, z kręconymi kasztanowymi włosami i twarzą w kształcie serca, która może nie była piękna, ale wzbudzała sympatię. Popatrzyła na mnie surowym wzrokiem.

– Harry – odezwała się Anastasia Luccio, kapitan Strażników. – Nie rób tego, proszę.

Zacisnąłem zęby i wyszeptałem rozgorączkowanym tonem:

– Ana, gdybyś wiedziała, co ona zrobiła.

– Nie pozwolę, żebyś na nowo rozpętał wojnę i pozbawił Białą Radę resztek honoru, atakując ambasadora, któremu zagwarantowaliśmy nietykalność – powiedziała spokojnie. – Jesteś silny, Dresden, ale nie aż tak.

Jeśli spróbujesz to zrobić, wiedz, że w tej sali znajduje się co najmniej trzydziestu magów, którzy mogą cię samodzielnie pokonać. Wspólnymi siłami nie tylko cię pokonają, ale zdepczą jak robaka, a potem posiedzisz w więzieniu, dopóki nie zdecydują, co dalej z tobą zrobić, za jakieś trzy albo cztery miesiące.

Miałem wrażenie, że w moim brzuchu i klatce piersiowej płonie ogień. Znów podniosłem wzrok na księżną Arianę.

Obserwowała mnie – psiakrew, zapewne też słyszała naszą rozmowę, gdyż dysponowała wampirzym słuchem. Jej uśmiech był jak ostrze skalpela powoli sunące po mojej skórze.

Anastasia dotknęła mojej ręki – łagodnie, a nie stanowczo. Nie rozkazywała, tylko prosiła.

– Harry, błagam.

– W ten sposób nie pomożesz Maggie, szefie – odezwała się Molly za moimi plecami.

Chciałem krzyczeć. Chciałem walczyć.

Na scenie jeden z członków Rady Starszych zdjął kaptur. Mój dawny mentor, Ebenezar McCoy, był krępy staruszką o szerokich dłoniach i pokrytych bliznami knykciach oraz łysej głowie, nie licząc cienkiej obwódki białych włosów. Z jego surowej twarzy o wyrazistych rysach trudno było cokolwiek wyczytać, ale popatrzył mi w oczy i delikatnie skinął głową. Przesłanie było jasne. Niemal usłyszałem jego ryk. Zaufaj mi, Hoss. Idź z nią.

Poczułem, jak unosi się moja górna warga, a w krtani rodzi się gniewny pomruk.

Odwrociłem się i wyszedłem z sali, głośno tupiąc i kurczowo ściskając laskę. Anastasia wyszła ze mną, cały czas trzymając dłoń na moim ramieniu i dając wszystkim jasno do zrozumienia, że mnie wyprowadza, nawet jeśli użyła mniej zdecydowanych metod, niż chciałby Cristos.

Strażnicy zamknęli za mną drzwi z cichym, lecz stanowczym hukiem, odcinając mnie od połączonej potęgi Białej Rady.

– Hej – odezwał się jeden z młodych Strażników, gdy wyszedłem ze zbytkarium. – Hej, Harry. Co się dzieje?

Carlos Ramirez zasłużył na coś więcej niż szybkie skinienie głową, ale tylko tyle mogłem mu zaoferować. W ogóle nie chciałem rozmawiać, ponieważ nie byłem pewien, czy nie zacznę wściekle krzyczeć. Usłyszałem, że Molly pośpiesznie odwraca się w jego stronę.

– Nie teraz! – zawołała. – Mamy problem, pracujemy nad rozwiązaniem i obiecujemy, że się odezwiemy, jeśli będzie mógł nam pan w czymś pomóc.

– Ale... – zaczął, ruszając za nami.

– Strażniku – odezwała się Luccio stanowczo. – Pozostań na swoim posterunku.

Luccio poprowadziła mnie tunelem, którego nigdy wcześniej nie widziałem, skręciła w kilka ciemnych korytarzy rozświetlonych tylko zawieszonymi w powietrzu światłami, które przywołała, aż w końcu otworzyła drzwi prowadzące do ciepłego pomieszczenia z kominkiem. Wyglądało jak jaskinia. Ogień trzaskał w okazałym palenisku, płonęło kilka świec, a liczne wygodne meble stały pojedynczo albo w grupkach, dzięki czemu każdy mógł wybrać, czy szuka towarzystwa do rozmowy. Był także bar. Bardzo duży i dobrze wyposażony.

– Ojej – szepnęła Molly, wchodząc za mną do pokoju. – Przytulnie.

Anastasia puściła moją rękę i pomaszerowała prosto do baru. Zdjęła z półki czarną szklaną butelkę i napełniła trzy małe kieliszki bursztynowym płynem. Zniosła je do pobliskiego stolika, zaprosiła nas gestem, byśmy usiedli, a następnie postawiła trunek na środku blatu, pozwalając nam wybrać, z którego kieliszka się napijemy – dwieście lat strażniczej paranoi wchodzi człowiekowi w krew.

Usiadłem przy stoliku. Wziąłem kieliszek i go wychyliłem. Trunek rozpałił

mój przeryk, czego bardzo potrzebowalem.

Anastasia podniosła swój kieliszek i opróżniła go bez mrugnięcia okiem. Molly popatrzyła na swoją porcję, ostrożnie upiła łyżeczek, po czym usprawiedliwiła się przed rozbawioną panią kapitan:

– Jedno z nas powinno pozostać trzeźwe... chociaż nie przyjechaliśmy samochodem.

– Harry – odezwała się Anastasia, zwracając się w moją stronę. – To, co dzisiaj zrobiłeś, było niebezpieczne.

– Mogłem załatwić tę sukę – warknąłem.

– Nie mamy pojęcia, jak stara jest Arianna, ponieważ żaden ludzki język nie jest w stanie tego wyrazić – odparła kapitan. – Rozumiesz, co mówię?

Odepchnąłem pusty kieliszek palcami.

– Mogłem załatwić tę prehistoryczną sukę. – Przez chwilę rozglądałem się po pomieszczeniu. – Co to za miejsce?

Anastasia rozparła się na krześle i rozłożyła dłonie.

– Witaj w Sali Zmartwień.

– Sali Zmartwień, co?

Uniosła brew.

– Nie widziałeś baru?

Molly stłumiła chichot.

– Przepraszam.

W głosie Anastasii zabrzmiał lekko ironiczny ton.

– To miejsce, do którego przychodzimy my, starzy zręczliwi Strażnicy, gdy mamy po dziurki w nosie tchórzliwych magów o miękkich sercach, domagających się, byśmy darowali życie utalentowanym marnotrawnym dzieciakom, które mogą zostać czarnoksiężnikami. Takim jak twoja uczennica. Zapewniam cię, że po jej procesie w tej sali wychylono wiele kieliszków i wypowiedziano wiele gorzkich słów o tym, że będziemy tego żałować.

Stęknąłem.

– A ty nalewałaś, piłaś czy mówiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli nawet nie w jej przypadku, to było wielu innych. Byłam tutaj, gdy

Morgan zalał się w trupa po twoim procesie, Harry.

– Nic dziwnego, że tak tutaj przytulnie.

Uśmiechnęła się w wymuszony sposób.

– To prawdopodobnie najbardziej prywatna i bezpieczna sala w całym kompleksie.

– W Ośrodku Paranoi tylko prawdopodobnie nie ma szpiegów? Traciecie formę.

– Cholera, Harry. – Luccio pokręciła głową. – Przez jakiś czas pracowałeś jako Strażnik. A przynajmniej wykonywałeś większość naszych obowiązków. Wciąż uważasz, że Strażnicy nigdy nie mają powodu działać... równie zdecydowanie, jak ty czasami to robisz?

Westchnąłem. Życie nigdy nie jest proste. Przez lata miałem ze Strażnikami na pieńku za to, że zabijają dzieci, młodych mężczyzn i kobiety, którzy zostali czarnoksiężnikami, a następnie stracili kontrolę nad swoimi magicznymi talentami i postradali zmysły, oddając się czarnej magii. A potem zobaczyłem skutki wyrwania się kilku czarnoksiężników na wolność. Były paskudne. Paskudne, paskudne, paskudne.

– Macie dobre powody – przyznałem. – Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać. Ani że postępujecie właściwie.

– Nie każdy jest nieodwracalnie stracony – dodała Molly cicho. – Ludzie czasami po prostu... po prostu się gubią. Potrzebują kogoś, kto wskaże im drogę powrotną.

– Owszem. A w czasie niezbędnym, by dokonać tego rozróżnienia, zginęło wielu niewinnych ludzi, panno Carpenter – odrzekła Anastasia szczerze i delikatnie. – W ciągu ostatnich dwustu lat ludzka populacja niewyobrażalnie się rozrosła. Rodzi się coraz więcej dzieci o magicznych zdolnościach. Za każdym razem, gdy któreś z nich zostaje czarnoksiężnikiem, mamy mniej czasu, by zająć się tym problemem, a nie otrzymujemy wystarczającej pomocy.

– Prewencja – odparłem. – Znajdujcie ich wcześniej, to nie będą mieli okazji zostać czarnoksiężnikami.

– Środki – westchnęła. Już kiedyś odbyliśmy tę rozmowę. – Nawet gdyby cała Rada wypełniała obowiązki Strażników, na pełny etat, i tak by to nie

wystarczyło.

– Edukacja – dodałem. – Korzystajcie z paranetu. Niech pomniejsze talenty pomagają identyfikować tych najzdolniejszych.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Wciąż nad tym pracuję. To dobry pomysł, Harry. Może się sprawdzić. Problem polega na przekonaniu do tego niektórych członków Rady. Oni widzą w tym tylko zagrożenie dla bezpieczeństwa, zwłaszcza po sprawie Peabody’ego. Ale pomysł jest godny uwagi. W końcu przyjdzie na niego czas.

Mruknąłem coś pod nosem, po czym na chwilę zamilkłem.

– Znajomy argument, prawda? Zapewniasz, że masz plan. Uspokajasz mnie. O to ci chodzi?

– Niepokój, złość i pobudzenie mogą otępiać umysł. Po to mamy Salę Zmartwień. – Uśmiechnęła się słabo. – Doskonale zdaję sobie sprawę, jak to wygląda, gdy maga doprowadzi się do ostateczności. – Napełniła nasze kieliszki. – Może mi opowiesz, co ci zrobiła ta prehistoryczna suka.

Wziąłem kieliszek, ale się nie napiłem.

– Porwała pewną dziewczynkę.

– Wampiry często porywają dzieci – odparła Anastasia. – Dlaczego ta dziewczynka jest wyjątkowa?

Nie odpowiedziałem. Zapanowała cisza. Podniosłem wzrok i popatrzyłem jej w oczy.

Anastasia i ja kiedyś byliśmy razem. Znała mnie lepiej niż większość ludzi. Przyglądała się mojej twarzy przez pół sekundy i wzięła głęboki wdech.

– Harry, nie mów o tym nikomu, komu nie ufasz bezgranicznie.

Posłałem jej gorzki uśmiech i pokiwałem głową. Wiedza to potęga. Każdy, kto dowie się, że Maggie jest moją córką, może wykorzystać tę informację przeciwko mnie. Anastasia nigdy by tego nie zrobiła, z żadnego powodu, ale inni członkowie Białej Rady owszem. Zapewne działaliby subtelniej od Arianny: zaproponowałiby pieniądze na utrzymanie Maggie, zapewnili jej dobre szkoły, wychowanie w luksusie i wszystko, czego ojciec może pragnąć dla dziecka – tylko po to, by móc się wycofać, gdybym odmówił współpracy. W końcu oni stoją po stronie dobra.

Ale może być jeszcze gorzej. Aż zadrzałem na myśl o tym, co mógłby zrobić z tą wiedzą Nicodemus albo, cóż za radosna myśl, Mab. (Tak, właśnie ta Mab. Uwierzcie, że opowieści o niej to tylko wierzchołek góry lodowej). Poznałem też innych przyjemniaczków, z których żaden nie miał powodu, by mnie lubić. Z drugiej strony, pomyślałem z drżeniem, Arianna stanowiła dla mnie niewiadomą.

Tak czy inaczej, lepiej nie rozpowszechniać wiedzy o Maggie. Nigdy nie zamierzałem zdradzać naszego pokrewieństwa Radzie. Nie przysporzyłoby mi to sympatii, tylko niepotrzebnie zwróciło na nią uwagę. Im mniej ludzi wie, że jestem jej ojcem, tym bezpieczniej dla niej.

Owszem.

Zdaję sobie sprawę z ironii sytuacji.

Wciąż wpatrywałem się Anastasię.

– Mogę na ciebie liczyć? – spytałem.

Położyła dłonie na blacie i patrzyła na nie przez kilka sekund, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Już nie potrafię walczyć jak kiedyś, Harry – odezwała się w końcu.

Zazgrzytałem zębami.

– Zatem wolisz bezpiecznie siedzieć tutaj.

Po raz pierwszy, odkąd przybyliśmy do Edynburga, w ciemnych oczach Anastasii Luccio zapłonął prawdziwy gniew i nagle przypomniałem sobie, że ta kobieta przez dziesięciolecia była kapitanem Strażników. Powietrze między nami wyraźnie zwiększyło temperaturę.

– Dobrze się zastanów, nim nazwiesz mnie tchórzem – powiedziała bardzo cicho.

Odkąd surowa, siwowłosa kapitan została magicznie przeniesiona do ciała studentki, jej moc znacznie zmalała, ale spryt i doświadczenie pozostały na dawnym poziomie. Wołałem nie mierzyć się z Luccio, niezależnie od naszych warunków fizycznych. Zresztą kilkakrotnie widziałem, jak walczy, już po przemianie.

Wzbierający we mnie gniew chciał się na nią wylać, ale niczym sobie na to nie zasłużyła, dlatego stłumiłem wściekłość i uniosłem dłoń w geście przeprosin. O Anastasii Luccio można było powiedzieć wiele rzeczy, ale na

pewno nie to, że jest tchórzem. Poza tym przyszła na świat i wychowała się w czasach, gdy takie oskarżenie mogło doprowadzić do pojedynku.

Dziękuję, nie skorzystam.

Pokiwała głową udobruchana i nieco się rozluźniła.

– Chciałam powiedzieć, że najbardziej wam się przydam tutaj – zbierając informacje, zadając pytania i wyszukując pożyteczne materiały. Oczywiście ty powinieneś walczyć, ale dopiero, kiedy znajdziesz dziewczynkę. Pamiętaj też, że część naszych ludzi postara się, żebyś nie zakłócił procesu pokojowego. Jeżeli będę pracować na miejscu, mogę pokrzyżować im szyki.

Nagle z zażenowaniem spuściłem wzrok. Anastasia myślała znacznie trzeźwiej ode mnie.

– Nawet nie przyszło mi do głowy... Tak. Przepraszam, Ano.

Skłoniła głowę.

– Nic się nie stało.

– To było niepotrzebne. – Podrapałem się po głowie. – Myślisz, że uda ci się powstrzymać Merlina?

Uniosła brwi.

– Na dzwony piekiel, dziwię się, że nie zdarł z głowy kaptura i nie zaczął na mnie wrzeszczeć. Albo nie wyzwał mnie na pojedynek. Na pewno nie będzie siedział na tyłku, skoro może wbić mi szpilę... – Urwałem, widząc, że Molly wytrzeszczyła oczy. Obejrzałem się przez ramię.

Jeden z obrazów na ścianie właśnie skończył się przesuwając, ukazując ukryte przejście. Drzwi otworzyły się bezgłośnie i do Sali Zmartwień wkroczył poważny mag, który wyglądał jak filmowa wersja starego Merlina.

Arthur Langtry był jednym z najstarszych i najpotężniejszych magów w Białej Radzie. Miał idealnie przystrzyżone długie włosy i brodę, śnieżnobiałe ze srebrzystymi pasemkami. Jego czujne oczy przypominały barwą zimowe błękitne niebo, a szlachetne rysy pociągłej twarzy wywoływały uroczyście wrażenie.

Merlin Białej Rady miał na sobie proste białe szaty. Na biodrach nosił coś, co skojarzyło mi się z pasem rewolwerowca zrobionym z białej skóry. Sprzęt wyglądał, jakby zaprojektowano go w oparciu o wyposażenie agentów sił specjalnych, ale nagle uświadomiłem sobie, że raczej było odwrotnie.

W osobnych skórzanych przegródkach tkwiły liczne fiołki, zapewne z magicznymi miksturami. Z kabury sterczała owinięta skórą rączka jasnej różdżki. Kilka powiązanych woreczków zapewne zawierało elementy standardowego ekwipunku maga, jaki zazwyczaj mam przy sobie podczas pracy. Merlin niósł także długą białą laskę, prostą drewnianą żerdź wyciętą z nieznanego mi drewna.

Przez chwilę mu się przypatrywałem.

– Rozmowy pokojowe już się skończyły? – spytałem.

– Oczywiście, że nie – odparł Merlin. – Do licha, Dresden, przecież nie dopuścimy, żeby cała Rada Starszych stanęła na scenie w zasięgu wampirzych pazurów. Oszalałeś?

Zamrugalem zdziwiony.

– Mag McCoy był jedynym członkiem Rady Starszych, który wyszedł na scenę – wyjaśnił Merlin, po czym się skrzywił. – Oczywiście, nie licząc Cristosa, który nie zdaje sobie sprawy z podjętych środków bezpieczeństwa. Poseł może się okazać zabójcą.

Kilka razy poruszyłem zuchwą.

– Więc puściliście go tam samego, dbając o własne bezpieczeństwo.

Merlin wzruszył ramionami.

– Jeden z nas musiał się tam znaleźć, żeby odpowiadać na pytania. To był pomysł McCoya, Dresden. Jest irytujący, arogancki i wzbudza respekt.

Skrzywiłem się i w myślach skarciłem swój mózg za ospałość, zmuszając się do przewyciężenia swej naznaczonej emocjami wrogiej reakcji.

– Wcale nie ufacie wampirom – powiedziałem powoli. – Podczas rozmów pokojowych nie zamierzacie raczyć się soczkiem z cyjankiem.

Langtry przez chwilę patrzył na mnie cierpliwie. Potem zwrócił się do Luccio.

– Chodzi o Jonestown – wyjaśniła. – Masowe samobójstwo w zeszłym wieku.

Zmarszczył czoło.

– No tak, rozumiem metaforę. Nie, Dresden, nie mamy zamiaru wierzyć im na słowo, ale bardzo wielu członków Rady się z nami nie zgadza. Cristos zgromadził liczną grupę zwolenników, którzy pragną przyjąć warunki

porozumienia.

– Skoro nie chcecie zakończyć wojny, to po jaką cholere mnie powstrzymaliście, kapitan Luccio? Mógłbym załatwić sprawę na miejscu.

– Nie dałbyś rady – odrzekł Langtry spokojnie. – Daliby ci po głowie i wrzucili do jakiejś dziury. – Delikatny uśmiech pojawił się na jego ustach, gdy wypowiadał te słowa. – Przyznaję, że to miła perspektywa, ale niezbyt praktyczna.

Obok mnie Molly postawiła łokcie na stole i oparła brodę na dłoniach, z namysłem wpatrując się w Merlina.

Mój mózg pracował na wysokich obrotach, jak mała lokomotywa wspinająca się na strome wzgórze. Kiedy znalazł się na szczycie, szerzej otworzyłem oczy.

– Nie zamierzacie wypalić fajki pokoju. Spodziewacie się ataku.

Popatrzył na mnie bez emocji i niby przypadkiem oparł dłoń na rękojeści bojowej różdżki.

– Przebóg, Dresden, jak na to wpadłeś?

Miałem na końcu języka ciętą ripostę, nie zważając na to, z kim rozmawiam, ale Anastasia położyła dłoń na moim nadgarstku.

– Nasze źródła donoszą o zwiększonej aktywności w obozie Czerwonego Dworu – powiedziała, zdusiwszy moją obraźliwą odpowiedź w zarodku. – Wampiry się mobilizują.

Popatrzyłem na nich oboje.

– Uważacie, że próbują taktyki konia trojańskiego?

– Albo czegoś w tym rodzaju – przyznał Langtry.

– Dlatego się na to przygotowujemy – oznajmiła Anastasia. – A także szykujemy najpotężniejszy kontratak, jaki kiedykolwiek przeprowadziliśmy.

– A jeśli oni nie żartują w sprawie zawarcia pokoju? – spytała Molly.

Wszyscy na nią popatrzyli, a moja uczennica wyraźnie skuliła się pod wpływem wzroku Merlina.

– To możliwe – dodała.

Langtry uśmiechnął się słabo.

– Natura ciągnie wilka do lasu, panno Carpenter. Owca nie zaprzyjaźni się z głodnym drapieżnikiem. Czerwony Dwór to bestialstwo podlane

krokodylimi łzami. Jeśli chcą zawrzeć pokój, to tylko dlatego, że potrzebują czasu, by uzupełnić zapasy przed walką.

– Ktoś tak stary nie może się zmienić – wyjaśniłem Molly, sugerując tonem głosu, że mam na myśli także Langtry'ego. – Zawsze należy liczyć na najlepsze, ale być gotowym na najgorsze.

Molly z namysłem przygryzła wargę i pokiwała głową.

Langtry na mnie popatrzył.

– Mam to wyjaśnić dokładniej, Dresden?

– Lepiej tak – odrzekłem. – Nawet nie użył pan ilustracji, profesorze.

Langtry zaczerpnął tchu, przymknął oczy, a potem odwrócił ode mnie wzrok.

– Eee? – odezwała się Molly, marszcząc czoło.

– Chcemy, by Czerwony Dwór zaatakował, jeśli mają takie zamiary – wytłumaczyłem. – Chcemy, by pomyśleli, że ich sztuczka zadziałała. Żeby byli nadmiernie pewni siebie. A kiedy na nas uderzą, oddamy im tak mocno, że nie będą wiedzieli, co się stało, dopóki nie będzie po wszystkim.

– Nie – zaprzeczył Langtry. – Nigdy się tego nie dowiedzą. Koniec kropka. Już nie zamierzamy prowadzić wojny, ani zimnej, ani gorącej, z tymi szumowinami. Wyrwiemy ich z korzeniami. – Lekko uniósł brodę, a jego głos stał się zimny jak lód. – Wytępimy ich.

Zapadła cisza. Ogień wesoło trzaskał.

Poczułem, że moje dłonie zaciskają się w pięści.

– Ale najpierw chcecie ich zdemaskować – wyszeptałem. – I właśnie dlatego poprosisz mnie, żebym odpuścił księżnej Ariannie.

– Nie bądź śmieszny – odpowiedział Langtry spokojnym, cichym głosem. – O nic nie będę cię prosił. Rozkazuję ci się wycofać, Strażniku Dresden.

– Mam pozwolić, żeby to dziecko umarło – odrzekłem.

– Dziewczynka prawdopodobnie już nie żyje albo została przemieniona – odparł Langtry. – A jeśli nawet przetrwała, musimy zmierzyć się z brutalną prawdą. Jeśli powstrzymamy Czerwony Dwór przed żerowaniem na ludzkości, uratujemy miliardy ludzi, którzy obecnie żyją na świecie i którzy dopiero się narodzą. – Jego głos stał się jeszcze bardziej lodowaty. – Żadne pojedyncze życie, nawet niewinne, nie jest warte więcej.

Nie odzywałem się przez kilka długich sekund.

Potem wstałem. Przez chwilę stałem przed Merlinem. Czułem zatwardziałą i nieugiętą wolę, która napędzała tego człowieka i czyniła go najpotężniejszym śmiertelnym magiem na ziemi.

– Jest dokładnie odwrotnie – odrzekłem cicho. – Żadne życie nie jest warte więcej? Nie, Merlinie. Żadne życie nie jest warte mniej.

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale palce mocniej zacisnęły się na lasce. Lodowate spojrzenie niebieskich oczu na chwilę spoczęło na Molly, a następnie znów skierowało się na mnie.

Groźba była jednoznaczna.

Nachyliłem się do jego ucha.

– No, dalej, Arthurze. Tylko spróbuj. – Potem powoli się wyprostowałem, a wszystkie emocje i myśli odpłynęły z mojego oblicza. W powietrzu wyczuwało się napięcie. Nikt się nie poruszał. Molly tylko drżała.

Powoli skinąłem głową Merlinowi.

Potem odezwałem się cicho:

– Nowicjuszko.

Molly natychmiast wstała.

Szedłem pomiędzy dziewczyną a Langtrym, gdy kierowaliśmy się do drzwi. Nie rzucił mi wyzwania, ale jego oczy były zimne i bezwzględne. Za jego plecami Luccio porozumiewawczo pokiwała głową.

Na dzwony piekieł. Od początku wiedziała, z kim będzie musiała sobie radzić.

Molly i ja zostawiliśmy Edynburg za sobą i wróciliśmy do Chicago.

Przez całą drogę powrotną wypatrywałem kłopotów, ale nic się nie wydarzyło.

Podróż z Edynburga byłaby trudna, gdybyśmy musieli się ograniczyć do czysto fizycznych środków transportu. Magowie i samoloty pasują do siebie jak tornada i mieszkalne przyczepy, a skutki ich spotkania bywają równie opłakane. Najpewniejszą formą nowoczesnego transportu są dla nas łodzie, ale ze Szkocji do Chicago jest spory kawałek.

Dlatego robimy to, co każdy dobry mag, gdy napotyka przeciwności losu: oszukujemy.

Nigdynigdy, świat duchowy, istnieje obok naszej rzeczywistości jako osobny wymiar, ale ma odmienny kształt. Styka się ze śmiertelnym światem w miejscach, które są z nim jakoś powiązane i energetycznie zsynchronizowane. Jeżeli punkt A jest mrocznym i niesamowitym miejscem w Nigdynigdy, łączy się z mrocznym i niesamowitym miejscem w prawdziwym świecie – na przykład biblioteką na uniwersytecie w Chicago. Jednakże miejsce oddalone o półtora metra od punktu A w Nigdynigdy, punkt B, jest tylko mroczne i smutne, a nie przerażające. Możliwe więc, że łączy się z cmentarzem w Seattle.

Jeżeli jesteś magiem, możesz wyruszyć z biblioteki uniwersyteckiej w Chicago, otworzyć drzwi do Nigdynigdy, przejść półtora metra, otworzyć kolejne drzwi do prawdziwego świata i wyjść na cmentarzu w Seattle. Zrobisz tylko dwa kroki, ale pokonasz prawie trzy tysiące kilometrów.

Nieźle, prawda?

Owszem, w Nigdynigdy prawie zawsze trzeba przejść nieco więcej niż dwa kroki, a taka przechadzka może wymagać spotkania z jakimś olbrzymim straszylem pełnym macek, które wpędzi cię w obłąd samym widokiem. Nigdynigdy to przerażające miejsce. Lepiej go nie zwiedzać bez

dokładnego planu i wsparcia, ale jeśli znasz bezpieczne szlaki – tak zwane Ścieżki – możesz szybko i bez problemu odbyć daleką podróż, nie narażając się na utratę zmysłów.

Kiedyś nie zgodziłbym się wejść do Nigdynigdy, gdyby nie było to absolutnie konieczne. Dziś nie jest to dla mnie bardziej stresujące od wybrania się na dworzec autobusowy. Wszystko się zmienia.

Wróciliśmy do Chicago przed porą lunchu i wyłoniliśmy się z Nigdynigdy w bocznej uliczce za dużym starym budynkiem, w którym kiedyś działała rzeźnia. Niedaleko czekał Niebieski Chrabąszcz, mój poobijany garbus. Pojechaliśmy do mojego mieszkania.

Susan i Martin już na nas czekali. Mniej więcej dwie minuty po naszym powrocie rozległo się pukanie do drzwi, a gdy otworzyłem, w progu stały oba na wpół przemienione wampiry. Martin miał na ramieniu skórzaną walizkę na pasku.

– Co to za dziewczyna? – spytał Martin, skupiając spokojne spojrzenie na Molly.

– Ja też się cieszę, że znów cię widzę, stary – odpowiedziałem. – No i nie ma za co. Stale ratuję ludziom życie.

Susan uśmiechnęła się do mnie, jednocześnie poddając Molly typowo kobiecej analizie, która polega na opracowaniu szczegółowego profilu w oparciu o milion detali dotyczących ubioru, biżuterii, makijażu i budowy ciała oraz oszacowaniu, jak duże zagrożenie stanowi rywalka. Mężczyźni stosują analogiczny proces, przy czym jest on binarny: czy on ma piwo? A jeśli tak, to czy się ze mną podzieli?

– Harry – odezwała się Susan, cmokając mnie w policzek. Czułem się jak sosna w lesie zamieszkanym przez pumy. Miałem tylko nadzieję, że następne w kolejce nie jest znakowanie kory. – Kto to jest?

– Moja uczennica, Molly Carpenter – wyjaśniłem. – Nowicjuszek, to Susan Rodriguez. A to Marvin jakiś tam.

– Martin – poprawił mnie. – Można jej ufać?

– Tak samo jak mnie.

– No cóż. – Głos Martina nie mógł być bardziej oschły, chociaż facet bardzo się starał. – W takim razie jestem spokojny.

– Wiem, kim oni są, Harry – odezwała się Molly cicho. – Pracują dla Bractwa Świętego Idziego, prawda? To łowcy wampirów?

– Blisko – odrzekła Susan, stając obok mnie i wyraźnie naruszając moją przestrzeń prywatną. Znalazła się bardzo blisko. Przez chwilę dotykała mojej ręki gorącymi palcami, ale nie spuszczała wzroku z Molly. – Uczennica maga? Naprawdę? Jak to wygląda?

Molly wzruszyła ramionami, odwracając wzrok i lekko marszcząc czoło.

– Mnóstwo czytania i nudnej praktyki z przebłyskami czystej grozy.

Susan przeniosła spojrzenie na mnie i najwyraźniej doszła do jakiegoś wniosku. Opuściła moją przestrzeń prywatną.

– Rozmawiałeś z Radą?

– Przez chwilę – odrzekłem. – W siedzibie głównej była też księżna. Z nią również porozmawiałem.

Susan wstrzymała oddech.

– Co takiego? Nie wyjeżdżała z Meksyku od ponad stu osiemdziesięciu lat.

– Zadzwoń do Guinnessa. Przerwała rekordową passę.

– Dobry Boże. – Susan westchnęła. – Co ona tam robiła?

– Okazywała współczucie i zrozumienie oraz przebaczyła mi, że wyzwalałem ją na pojedynek w obecności tysiąca magów.

Martin się zakrztusił. Susan wytrzeszczyła oczy.

– Chciałem ją od razu dopaść, ale miała gwarancję nietykalności. Wywiad Rady twierdzi, że wampiry ostatnio stały się bardzo aktywne. Czekam na kolejne wieści, ale to trochę potrwa.

– Wiedzieliśmy o mobilizacji – przyznała Susan. – Bractwo ostrzegło radę trzy dni temu.

– W takim razie miło ze strony Rady, że wszystkich poinformowała – odrzekłem. – W ciągu kolejnych kilku godzin dowiem się wszystkiego, co wie Rada. A wy coś odkryliście?

– W pewnym sensie – odpowiedziała Susan. – Chodź.

Podeszliśmy do siedzeń wokół stolika i Martin postawił walizeczkę na blacie. Wyjął ze środka brązową teczkę i mi ją podał.

– Z niemal petabajta informacji... – zaczął.

– Petaczego? – spytałem.

– Biliarda bajtów – wyjaśnił Martin. Bardzo mi pomógł.

Susan przewróciła oczami.

– Tyłu informacji, ile zmieściłoby się w kilku bibliotekach.

– Aha.

Martin odchrząknął i mówił dalej:

– Wydobyliśmy niecałe trzysta plików. Większość z nich to spisy przedmiotów.

Otworzyłem teczkę i znalazłem kilka wydrukowanych list oraz kilka arkuszy zdjęć różnych przedmiotów opatrzonych numerami identyfikacyjnymi.

– Wszystkie obiekty zawarte w tym rejestrze skategoryzowano jako metakondensatory.

Mruknąłem pod nosem, powoli przeglądając zdjęcia. Kamienny nóż. Wiekowy, wyszczerbiony miecz. Zaplamiona sadzą cegła. Urna pokryta dziwnymi, nieco niepokojącymi abstrakcyjnymi wzorami.

– No tak. Nie mogę być pewien, skoro nie zbadałem tych przedmiotów osobiście, ale to wygląda na sprzęt rytualny.

Zmarszczyłem czoło i zacząłem zestawiać zdjęcia z numerami na liście.

– Z rejestru wynika, że wszystkie te przedmioty zabrano z zabezpieczonego magazynu w Newadzie i przetransportowano... – Podniosłem wzrok na Susan. – Kiedy dokładnie porwano Maggie?

– Niecałe dwadzieścia cztery godziny przed moim telefonem do ciebie.

Przyjrzałem się datom.

– Wysłali je tego samego dnia, gdy Maggie została uprowadzona.

– Tak, mniej więcej trzy godziny po porwaniu.

– Dokąd je przetransportowali?

– Oto pytanie – odrzekła. – Zakładając, że to w ogóle ma jakiś związek z Maggie.

– Wiele wskazuje na to, że nie – wtrącił Martin.

– Jasne. Lepiej spożytkujesz swój czas, jeśli sprawdzisz pozostałe ślady, Marvinie. – Oszczędziłem mu karcącego spojrzenia i znów zabrałem się do przeglądania kartek. – Jeśli uda mi się odkryć, do czego ten sprzęt służy, może wtedy wykluczę tę możliwość. Na razie nie wiem, czy ktoś nie używa

go po prostu do wywoływania deszczu. – Z namysłem postukałem kartkami o kolano. – Od tego zacznę. Molly, chciałbym, żebyś w tym czasie porozmawiała z ojcem Forthillem – osobiście, ponieważ musimy zakładać, że linie telefoniczne nie są bezpieczne. Forthill ma informatorów na południu. Spytaj go, czy żaden z nich nie doniósł o czymś nietypowym. Zabierz Myszka dla bezpieczeństwa.

– Potrafię o siebie zadbać, Harry. Wciąż jest dzień.

– Twoja broń, nowicjuszko – odezwałem się głosem Yody. – Potrzebować jej nie będziesz.

Zmarszczyła czoło z rozdrażnieniem.

– Uważam, że czasem można cytować coś więcej poza *Gwiezdnymi Wojnami*, szefie.

Zmrużyłem oczy, robiąc mądrą minę muppeta.

– Właśnie dlatego ponosisz porażki.

– To nawet nie... Ech, będzie prościej, jeśli po prostu się tym zajmę. – Wstała i wyciągnęła rękę. Rzuciłem jej kluczyki do Niebieskiego Chrabąszcza. – Chodź, Myszek.

Myszek wstał ze swojego miejsca w kuchni i podszedł do nogi Molly.

– Zaczekaj chwilę, mała – powiedziałem. – Susan, coś mi śmierdzi w tej całej historii. Wczoraj w nocy wampiry wiedziały, gdzie nas znaleźć. Na pewno jesteśmy śledzeni, a lepiej nie chodzić z tarczą wymalowaną na plecach. Może ty i Martin spróbujecie złapać nasz cień.

– Zobaczą nas i rozpląną się w powietrzu, gdy tylko wyjdziemy z mieszkania – odparł Martin.

– Aha! – nagle zawołała Molly, a jej oczy się rozjarzyły. – No tak!

Poszedłem odebrać pocztę i wyprowadzić psa na małe podwórko, podczas gdy Molly, Susan i Martin, osłonięci zasłoną pierwszej klasy utkaną przez nowicjuszkę, wymknęli się z budynku. Dałem Myszkowi pięć minut, a potem go zawołałem i wróciłem do mieszkania.

Molly mnie uprzedziła, po tym jak odprowadziła Susan i Martina poza zasięg wzroku każdego, kto mógł obserwować drzwi mojego mieszkania.

– No i jak? – spytała. Starła się brzmieć swobodnie, ale znałem ją na tyle dobrze, że wiedziałem, jak ważna jest dla niej moja odpowiedź.

– Gładko poszło – odrzekłem. – Jestem z ciebie dumny.

Pokiwała głową nieco zbyt energicznie jak na nonszalanckie podziękowanie. Na dzwony piekieł, pamiętałem, jakie to uczucie: desperacko pragnąc przekonać nauczyciela o swoich zdolnościach, talencie i zdyscyplinowaniu. Potrzebowałem prawie dziesięciu lat refleksji, by zrozumieć, jaki byłem niedoświadczony i głupi i jakie miałem szczęście, że przetrwałem swój okres nauki z nienaruszonymi oczami i palcami.

Nie obawiałem się wysłać małej na solową misję. Było dosyć spokojnie, a Forthill ją lubił. Molly nie znała się na walce, ale potrafiła świetnie unikać niebezpieczeństw, jeśli tylko ktoś ją w porę ostrzegł – na tym polegała rola Myszka. Bardzo niewiele umykało uwagi mojego psiska. Gdyby pojawiło się jakieś zagrożenie, Myszek uprzedzi Molly i oboje czym prędzej znikną.

Nic jej nie będzie.

– Pośpiesz się – powiedziałem cicho. – Miej oczy szeroko otwarte. Nie ryzykuj.

Posłała mi promienny uśmiech.

– Nie jesteś moim szefem.

Mogłem niemal smakować dumę, którą czuła, ponieważ przysłużyła się mojej sprawie.

– Akurat – odparłem. – Zrób to albo przez rok nie będziesz dostawała pensji.

– Zdajesz sobie sprawę, że mi nie płacisz, prawda?

– Niech to richo, znowu wpadka.

Posłała mi kolejny uśmiech i wyszła, po czym wesoło zbiegła po schodach. Myszek deptał jej po piętach z czujnie uniesionymi uszami i poważną miną. Po drodze zabrał swoją skórzaną smycz ze stolika przy drzwiach. Molly o niej zapomniała, ale w mieście można wyprowadzać psy tylko na smyczy. Podejrzywałem, że Myszek niespecjalnie dba o przepisy, ale chce chodzić na smyczy, ponieważ ludzie czują się bardziej komfortowo w obecności olbrzymiego psa i zachowują się wobec niego przyjaźniej, gdy jest „bezpiecznie uwiązany”.

W odróżnieniu ode mnie Myszek to towarzyski gość.

Zaczekałem na odgłos uruchamianego silnika Niebieskiego Chrabąszcza

i zamknąłem drzwi. Następnie wziąłem wydruki od Martina, odsunąłem dywan skrywający włącz w salonie i zszedłem do swojego laboratorium.

– Moje laboratorium – powiedziałem, na próbę wydłużając każdą sylabę. – Dlaczego po tych słowach zawsze mam ochotę dodać „muaa-ha-ha-haaa”?

– Za dużo tandetnych horrorów w dzieciństwie? – zaświergotał wesoły głos na dole.

Dotarłem do końca schodków, mruknąłem pod nosem pojedyncze słowo i wykonałem obszerny gest ręką. Zapłonął tuzin świec.

Moje laboratorium nie było wyszukane. Zwykła betonowa klatka w dolnej piwnicy budynku. Ktoś zapewne zapomniał zasypać ją żwirem i ziemią podczas budowy. Pod ścianami stały stoły i regały pełne magicznych bibelotów. Na środku pomieszczenia ciągnął się długi stół, niemal w całości zajęty przez cynową makietę śródmieścia Chicago, na której nie brakowało nawet ulicznych latarni i drzew.

Stanowisko mojej uczennicy mieściło się przy malutkim biurku pomiędzy dwoma stołami. Chociaż w miarę trwania szkolenia przybywało jej notatek, narzędzi i materiałów, jakimś cudem stale dysponowała taką samą ilością wolnej przestrzeni. Wszystko miała idealnie zorganizowane i lśniący czyste. Granica między miejscem pracy Molly a resztą pomieszczenia była równie wyraźna jak linie na mapie.

Unowocześniłem swój krąg przywołania znajdujący się po przeciwległej stronie pokoiku. Była to półtorametrowa obręcz upleciona z miedzi, srebra i żelaza, która kosztowała mnie trzy patyki u ciemnych elfów. Materiały nie były aż takie drogie, ale musiałem sporo zapłacić, żeby elfi rzemieślnik zgodził się pracować z żelazem.

Każde metalowe włókno naznaczono magicznymi znakami i runami, tworzącymi formuły pozwalające zapanować nad magicznymi energiami znacznie lepiej niż zwykły krąg. Na każdym włóknie widniały inne symbole, tak drobne i precyzyjnie wykonane, że mogły je stworzyć tylko ciemne elfy, ewentualnie pracownicy wywiadu. Iskierki światła, podobne do wyładowań elektrycznych, ale bardziej płynne, ślizgały się wzdłuż poszczególnych metalowych włókien, błyskając na czerwono, niebiesko i zielono, tańcząc i przeplatając się w niekończących się spiralach.

Wciąż jestem młody jak na maga, ale bywa, że udaje mi się stworzyć coś czadowego.

Jedna półka różniła się od wszystkich pozostałych w pomieszczeniu. Była to prosta drewniana deska. Na obu końcach stały wulkaniczne stożki stopionych woskowych świec. Na środku znajdowała się ludzka czaszka otoczona romansami w miękkiej oprawie. Na moich oczach pomarańczowe migoczące światło zapłonęło w pustych oczodołach i czaszka skupiła na mnie wzrok.

– Za dużo tandetnych horrorów – powtórzył Bob Czaszka. – Albo seansów Rocky Horror Picture Show.

– Janet, Brad, Rocky, mhm... – przyznałem. Podszedłem do półki, zdjąłem z niej czaszkę („Jupii!” – zawołał Bob) i przenieśliem ją na prawie pusty blat jednego ze stołów. Ustawiłem czaszkę na stercie notatników i położyłem przed nią brązową teczkę.

– Chciałbym, żebyś rzucił na coś okiem – powiedziałem, po czym otworzyłem teczkę i zacząłem wyklądać zdjęcia, które dał mi Martin.

Bob przez chwilę się im przyglądał.

– Na co patrzymy? – spytał.

– Metakondensatory – wyjaśniłem.

– Dziwne, bo wyglądają jak kolekcja rytualnych przedmiotów.

– Owszem. Widocznie metakondensator to fachowa nazwa rytualnego przedmiotu.

Bob uważnie obejrzał zdjęcia, mrużąc coś pod nosem. Tak naprawdę nie jest mówiącą czaszką, tylko inteligentnym duchem, który mieszka w specjalnie zaklętej czaszce. Towarzyszy magom od średniowiecza i wie o świecie magii więcej, niż ja kiedykolwiek się dowiem, głównie dlatego, że nigdy niczego nie zapomina.

– Są przewożone razem. Muszę mieć chociaż ogólne pojęcie, do czego można ich użyć.

– Trudno powiedzieć na podstawie dwuwymiarowych obrazów – odrzekł Bob. – Wszystko zaczyna mi się plątać, gdy w grę wchodzi mniej niż cztery wymiary. – Kilka razy z namysłem zagrzechotał zębami. – Masz coś jeszcze? Opisy albo coś takiego?

Otworzyłem teczkę.

– Tylko inwentarz. – Pokazałem palcem zdjęcie kamiennego noża i przeczytałem: – „Krzemienne ostrze”. – Dotknąłem starej cegły o pokruszonych krawędziach. – „Cegła”.

– Tak, to oszałamiająco pomocne – mruknął Bob.

Stęknąłem.

– Możliwe, że to tylko przypadkowe badziewie. Jeśli uważasz, że nie ma konkretnego zastosowania, to...

– Tego nie powiedziałem – przerwał mi Bob naburmuszonym tonem. – Rany, Harry. Miej odrobinę wiary.

– Powiesz mi coś czy nie?

– Powiem ci, że balansujesz na granicy obłądu, sahibie.

Zamrugąłem.

– Co takiego?

Bob nie podniósł wzroku znad zdjęć.

– Masz pochranioną aurę. Zupełnie jakbym patrzył na wybuch w fabryce farby. U szaleńców to się zdarza.

Mruknąłem coś pod nosem i przez chwilę zastanawiałem się nad słowami Boba. Potem wzruszyłem ramionami.

– Może jestem za blisko tej sprawy.

– Potrzebujesz odpoczynku w jakimś spokojnym miejscu, szefie. Musisz wyprostować myśli. Złapać trochę luzu.

– Dziękuję, doktorze Freud – odparłem. – Wezmę to pod rozwagę. Powiesz mi cokolwiek o tych przedmiotach czy nie?

– Nie, jeśli ich nie zbadam – odrzekł Bob.

– Świetnie. Kolejna przegrana runda magicznego detektywa.

– Przykro mi, ale na razie mogę ci tylko powiedzieć, jaki będzie impuls wyzwalający.

Zmarszczyłem czoło.

– Co masz na myśli?

– Och, tych przedmiotów używa się do mrocznej, niebezpiecznej magii – odrzekł Bob. – To akurat oczywiste. Wystarczy popatrzeć na kąty. Nic nie jest proporcjonalne ani zrównoważone. Ich przeznaczeniem jest sianie

zniszczenia, zamętu, śmierci.

– To by się zgadzało. Plotki głoszą, że niedługo znów wybuchnie wojna. –
Z wysiłkiem przeczesalem włosy palcami. – To jaki będzie ten impuls
wyzwalający?

– Dla czegoś tak mrocznego? – spytał Bob. – Jest tylko jedna możliwość.

Poczułem lodowaty dreszcz. Pozbawiona kawy zawartość żołądka
podeszła mi do gardła.

– Ofiara z człowieka – zaświergotała czaszka wesoło. – Rzeź niewiniątek.

Z zamkniętymi oczami oparłem się o stół.

Czerwony Dwór przygotowywał niszczycielski atak czarnej magii.

Rytuał, na czymkolwiek polegał, wymagał ofiary z człowieka.

W myślach zobaczyłem, jak Maggie wykrwawia się niczym zarzynana owca w rytualnym kręgu, otoczona przez armię wampirów pod niebem rodem z koszmaru.

Była w tym jakaś ohydna elegancja. Moja córka umrze, a jej śmierć zada cios Radzie. Mogłem tylko zgadywać, że tak się stanie, ale ten scenariusz pasował do księżnej. Mogła zadać mi potworny ból i zarazem przeprowadzić czarodziejski atak. Zemsta i wojna za jednym zamachem, podczas gdy ona sama będzie się uśmiechać, obiecując pokój i zrozumienie, chroniona przede mną przez tych samych idiotów, których planuje zniszczyć.

Mogłem spróbować ich ostrzec, ale wiedziałem, że niewielu mnie posłucha. Może Ebenezar i Anastasia oraz kilku młodych Strażników – ale nawet jeśli mi uwierzą, będą jeszcze musieli przekonać pozostałych. Cholerna Rada nigdy nie działa szybko i miałem przecucie, że *tempus* błyskawicznie *fugit*.

Dlatego musiałem to zrobić sam.

Ale do tego potrzebowałem informacji.

Ponownie popatrzyłem na swój krąg przywołania i powoli, głęboko odetchnąłem. Mogłem coś zrobić. Coś strasznego. Wezwać specjalistów od zła, niegodziwych mędrców, którzy sprawią, że niepoznane stanie się jasne jak słońce.

Gdybym to zrobił, musiałbym zapłacić straszliwą cenę.

Oderwałem wzrok od kręgu i pokręciłem głową. Nie byłem aż tak zdesperowany.

Na razie.

Ktoś głośno zapukał do drzwi mojego mieszkania.

Wspiąłem się po schodach, zamknąłem laboratorium i wziąłem do ręki bojową różdżkę. Podeszedłem do drzwi i wyjrzałem przez judasza. Na zewnątrz stała Murphy z rękami w kieszeniach płaszcza i zgarbionymi plecami.

– Nie mogłam skorzystać z telefonu – powiedziała, kiedy jej otworzyłem. Weszła, a ja zamknąłem za nią drzwi.

– No tak, domyślam się, że Czerwony Dwór może podsłuchiwać.

Pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo, Harry. Ale wiem, że mój telefon jest na podsłuchu Biura Spraw Wewnętrznych.

Zamrugąłem.

– Tych idiotów? Znowu? Rudolph nie może odpuścić?

Rudolph Brązowonosy Gliniarz, jak go pieśczośliwie nazywano w Wydziale Dochodzeń Specjalnych, zdołał podlizać się wystarczająco wielu ludziom, by trafić do Biura Spraw Wewnętrznych. Najwyraźniej miał pretensje do swoich byłych współpracowników, gdyż bezpodstawnie obwiniał ich za (już zakończone) zesłanie w pospolite szeregi WDS.

– Jak widać nie – odrzekła Murphy. – Zyskał tam już nie lada reputację.

– Murph, jesteś dobrą policjantką. Na pewno...

Machnęła ręką.

– Teraz to nieistotne. Wysłuchaj mnie, dobrze?

Zmarszczyłem czoło i skinąłem głową.

– Prowadzą szeroko zakrojone dochodzenie w sprawie wybuchu w twoim biurowcu – oznajmiła. – Rudolph rozmawiał z wiodącym agentem FBI oraz głównym detektywem z lokalnej policji przydzielonym do tej sprawy i przekonał ich, że jesteś podejrzanym typem i wymarzoną kandydatką na sprawcę.

Jęknąłem.

– Badania laboratoryjne utwierdzą ich w tym przekonaniu. Materiały wybuchowe znajdowały się na moim piętrze, część w ścianach mojego biura.

Murphy odgarnęła włosy jedną dłonią. Miała wyraźnie podkrążone oczy.

– W ciągu najbliższych dwóch godzin zgarną cię na przesłuchanie.

Zapewne zatrzymają cię na dwadzieścia cztery godziny. Może dłużej, jeśli zdołają postawić ci jakiś zarzut.

– Nie mam na to czasu – odparłem.

– W takim razie musisz się ulotnić – poradziła Murphy. – Ja także. Nie pomoże nam, jeśli ktoś zobaczy nas razem.

– Sukinsyn – warknąłem. – Wrzucę Rudolpha do jeziora Michigan i sprawdzę, czy ten oślizgły wypierdek unosi się na wodzie.

– Zabiorę ołowiane ciężarki – odrzekła Murphy. Wyjęła spod koszuli amulet, który sporządziłem dla niej, żeby mogła sforsować magiczne zabezpieczenia mojego mieszkania. – Przy odrobinie szczęścia nie będę w stanie cię znaleźć. Odezwij się, jeśli będziesz potrzebował mojej pomocy, dobrze?

– Murph, jeśli władze zamierzają mnie dopaść... nie możesz kręcić się koło mnie.

Lekko uniosła brwi. To był sygnał ostrzegawczy.

– Słucham? – spytała grzecznie.

– To i tak źle wygląda, że tak często współpracowaliśmy. Jeżeli teraz mi pomożesz... odbiorą ci odznakę. Wiesz, że tak będzie. A mogą na tym nie poprzestać. Możesz skończyć w więzieniu.

Wściekłe napięcie, które kryło się w jej wnętrzu, nagle ustąpiło.

– Mój Boże, Dresden. Ale z ciebie osioł.

Zamrugąłem zdziwiony.

– Jeśli z tobą pójde, mogę trafić do piachu – dodała. – To cię jakoś nigdy nie martwiło.

– No cóż...

– Sama wybieram swoje bitwy, Dresden. Nie wyręczaj mnie. – Popatrzyła na mnie spokojnie. – Powiem to tak, żeby dotarło do twojej pustej czaszki. Mój przyjaciel zamierza uratować dziecko przed potworami. Idę z nim. Od tego są przyjaciele, Harry.

Pokiwałem głową i milczałem przez kilka sekund.

– Znam cię, Karrin. Nie przeraża cię śmierć w słusznej sprawie. Wiesz, że tak się może stać, i jesteś gotowa. – Wzięłem głęboki wdech. – Ale gdyby odebrali ci odznakę... Rozumiem, jak wiele ta robota dla ciebie znaczy.

Umierałabyś po kawałku każdego dnia. Nie mógłbym tego znieść.

– Więc postanowiłeś odstawić mnie na boczny tor? Nie liczy się, czego ja chcę?

– Nie wiem – odparłem. – Być może.

– I to ty o tym decydujesz?

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

– Nie – odrzekłem w końcu.

– Dobra odpowiedź. – Dotknęła opuszkami palców amuletu schowanego pod T-shirtem. – Zadzwoń.

– Dobrze. Może wyślę wiadomość, ale na pewno się odezwę.

– Przyszło mi do głowy, że ktoś, kto chce cię skrzywdzić, może spróbować odstrzelić twoich przyjaciół. Jak mam się upewnić, że wiadomość pochodzi od ciebie?

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że nawet tutaj, w swoim własnym domu, mogę zostać podsłuchany. Moje mieszkanie osłaniała magiczna ochrona, ale nie brakowało ludzi (oraz nie-ludzi), którzy byli ode mnie silniejsi, bardziej doświadczeni lub sprytniejsi.

– Jeśli będę musiał wysłać wiadomość, zrobię wszystko, żebyś wiedziała, od kogo ona pochodzi.

Murphy przez chwilę mi się przyglądała, a potem powoli rozejrzała się po pokoju, jakby wypatrywała ukrytego obserwatora. W końcu pokiwała głową ze zrozumieniem.

– W porządku. Nie zostawaj tutaj za długo, Harry.

– Dobrze. Nie martw się o mnie, Murph.

Skrzywiła się.

– Nie martwię się tylko o ciebie. Ukryłeś tutaj co najmniej jedną sztukę broni palnej, a w laboratorium na sto procent masz jakieś nielegalne materiały. Jeśli widzą w tobie podejrzanego, postarają się o nakaz. A z tego, co mi wiadomo, FBI nie dysponuje amuletami, które pozwolą im się tutaj dostać i przeżyć.

Stęknąłem. Murph miała rację. Trzymałem w mieszkaniu kilka sztuk nielegalnej broni. Poza tym w laboratorium wciąż miałem Miecze oraz kilka materiałów, które raczej nie spodobałyby się rządowi, między innymi

niewzbogacony uran na specjalne okazje.

Ośłony chroniące moje mieszkanie też stanowiły problem. Nie zaszkodziłyby nikomu, kto zapukałby do drzwi, a nawet zaczął kręcić gałką, ale każdego, kto spróbowałby otworzyć drzwi siłą, czekał szok. I to o sile siedemdziesięciu tysięcy woltów, dzięki zabezpieczeniom umieszczonym wokół drzwi. Potężne uderzenie, ale to tylko pierwsza warstwa zabezpieczeń. Całkiem niedawno armia zombie wdarła się do mojego salonu, a ja nie miałem zamiaru dopuścić do powtórki.

Moje osłony nie odróżniają zombie od szalonego wampira albo zagubionego agenta FBI. Po prostu reagują na intruzów. Musiałem je dezaktywować, zanim komuś stanie się krzywda, a potem usunąć cały podejrzany sprzęt.

Na dzwony piekieł! Jakbym nie miał wystarczająco dużo na głowie. Pomasowałem kciukiem miejsce między brwiami, gdzie zaczynał się formować ból.

– Nie potrzebuję takiego dodatkowego kłopotu. I właśnie dlatego ona to zrobiła.

– Dlatego kto co zrobił?

– Księżna Arianna z Czerwonego Dworu – wyjaśniłem, po czym opowiedziałem Murphy o swoim dniu.

– To nie w ich stylu, nie uważasz? – spytała Murphy. – Naprawdę zrobili coś aż tak napastliwego? Wyszadzili budynek w powietrze?

– Robili podobne rzeczy podczas wojny – odparłem. – Księżna chciała przekazać wiadomość. Zniszczyła moje miejsce pracy na oczach wszystkich, tak jak magowie postąpili z posterunkiem jej męża w Hondurasie. Poza tym odwraca moją uwagę i zmusza mnie do wysiłku, jednocześnie pozbawiając mnie potencjalnego wsparcia.

Murphy pokręciła głową.

– Jest taka cwana, a jednak popełniła błąd.

– Czyżby?

– Tak. Gdyby naprawdę miała głowę na karku, wysadziłaby cię w powietrze razem z biurem.

– Owszem, to najpraktyczniejsze rozwiązanie.

– Więc dlaczego tego nie zrobiła?

– Pewnie chce mi zadać jak najwięcej bólu, nim się mnie pozbędzie.

Murphy uniosła brwi.

– Dla zemsty? To... jak scenariusz kiepskiego filmu. „Nie, panie Dresden. Oczekuję, że pan umrze” – dodała, naśladowując brytyjski akcent.

Murphy miała rację. Księżna Arianna nie miała zwyczaju ulegać swojej sadystycznej naturze kosztem praktyczności. Nie przetrwasz tysiącleci jako wampir, jeśli nie umiesz zachować zimnej krwi.

A to oznacza...

– Dzieje się tutaj coś innego – stwierdziłem. – Toczy się jakaś inna rozgrywka.

– Jesteś pewien, że Susan jest z tobą szczerą?

– Całkowicie – odrzekłem, ale moja odpowiedź zabrzmiała nieprzekonująco, nawet w moich uszach.

Na ustach Murphy pojawił się gorzki uśmiech.

– Tak myślałam. Kochałeś ją. Dlatego łatwo tobą manipulować.

– Susan by tego nie zrobiła – zaprotestowałem.

– Mam nadzieję, że nie – odrzekła Murphy. – Ale... dość długo jej nie było, Harry. Wygląda na to, że brała udział w jakiejś wojnie. To wystarczy, by kogoś zmienić, niekoniecznie na lepsze.

Powoli pokręciłem głową.

– Na pewno nie Susan.

Murphy wzruszyła ramionami.

– Harry... mam złe przeczucie, że... – Zmarszczyła nos, starannie dobierając słowa. – Mam złe przeczucie, że za chwilę wszystko się posypie.

– Co masz na myśli?

– Po prostu... o wybuchu w biurówcu mówią we wszystkich serwisach informacyjnych. Nikt nie zajmuje się innymi tematami. Ludzie gardłują o terrorystach. Cała ta sytuacja wzbudza ogromne zainteresowanie na szczytach władzy. Twierdzisz, że większość Białej Rady pozostaje pod kontrolą tego Cristosa. Teraz do akcji wkraczają także wysocy rangą członkowie Czerwonego Dworu, a z tego, co mówisz, wynika, że wszyscy już sięgają po broń. – Rozłożyła ręce. – To... to przypomina kryzys kubański.

Wszyscy są na krawędzi.

Na dzwony piekieł. Murphy miała rację. Nadprzyrodzony świat rzeczywiście znalazł się na krawędzi, a w dole czekała wojenna zagłada.

Powoli odetchnąłem pogrążony w myślach.

– Nie dbam o to – odpowiedziałem w końcu.

Murphy uniosła złociste brwi.

– Nie odpowiadam za wszystkich ludzi na świecie, Murph. Zamierzam znaleźć dziewczynkę i zabrać ją w bezpieczne miejsce. To wszystko. Reszta świata poradzi sobie beze mnie.

– A jeśli ta dziewczynka okaże się kroplą, która przepelni kielich, Harry? Co wtedy zrobisz?

Warknąłem, a fala czystego gniewu popłynęła wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Zadbam o bezpieczeństwo Maggie – odparłem chrapliwym głosem. – Jeśli z tego powodu świat spłonie, to trudno. Razem z małą usmażymy pianki nad płomieniami.

Murphy przez kilka sekund przyglądała mi się z namysłem.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Harry – powiedziała bardzo łagodnym głosem.

Przełknąłem ślinę i skłoniłem głowę, zawstydzony bardziej jej tonem i wyrazem twarzy niż słowami.

– Może nie zawsze racjonalnym – dodała z uśmiechem. – Ale to najlepszy rodzaj szaleństwa.

– Dziękuję, Karrin.

Ścisnęła moją rękę.

– Muszę już iść. Zadzwoń do mnie.

– Tak zrobię.

Chwilę później wyszła, a ja zacząłem przygotowywać mieszkanie do przeszukania przez władze. Miało mi to zająć sporo cennego czasu, ale gdybym trafił za kraty, straciłbym go jeszcze więcej. Wciąż chowałem resztki kontrabandy, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zamarłem. Po chwili pukanie się powtórzyło.

– Harry Dresden! – zawołał jakiś mężczyzna. – Mówi agent specjalny Tilly z Federalnego Biura Śledczego. Mam nakaz przeszukania tej nieruchomości

oraz zatrzymania jej lokatorów w związku z wczorajszym wybuchem. Jeśli pan nie otworzy drzwi, będziemy zmuszeni je wyważyć.

Cholera.

Ponownie zerwałem dywan z kłapy wjazdu. Spakowałem niemal wszystkie swoje podejrzane materiały do dużej nylonowej torby sportowej. Zarzuciłem ją na ramię, chwyciłem płaszcz, laskę i bojową różdżkę i niemal się zabiłem, próbując zbyt szybko zejść po schodkach. Zatrzymałem się na przedostatnim stopniu i zamknąłem za sobą kłapę. Od spodu znajdowały się dwa proste rygle, dzięki którym nowicjuszka i ja mogliśmy dawać sobie nawzajem do zrozumienia, że zajmujemy się czymś delikatnym, w czym nie należy nam przeszkadzać, dla własnego bezpieczeństwa. Solidnie zamknąłem wjazd.

– Co się dzieje? – mruknął Bob ze swojej półki.

– Bob, musisz zdjąć osłony.

– Dlaczego po prostu nie...

– Ponieważ znów się uaktywnią pięć minut po tym, jak rzucę zaklęcie rozbijające. Trzeba je wyłączyć. Rusz kościsty tyłek i zrób to!

– Ale potem będą bezużyteczne przez co najmniej tydzień...

– Wiem. Pośpiesz się! Pozwalam ci opuścić czaszkę.

– Tak jest, kapitanie, mój kapitanie – odparł Bob cierpkim głosem.

Niewielki obłok pomarańczowego migoczącego światła wyleciał przez oczodoły czaszki i pomknął na górę, przenikając przez szpary przy krawędzi wjazdu.

Czym prędzej zacząłem upychać swoje rzeczy w torbie. Narobiłem przy tym sporego bałaganu, ale nie mogłem nic na to poradzić.

Niecałą minutę później Bob wrócił i wleciał do wnętrza czaszki.

– Do drzwi puka kilku gości w garniturach i mundurach, Harry.

– Wiem.

– Dlaczego? – spytał. – Co się dzieje?

– Kłopoty – wyjaśniłem. – Co mamy tutaj nielegalnego?

– Wyglądam na adwokata? Nie otaczają mnie kodeksy prawne.

Na górze rozległ się głośny huk. Ktokolwiek stał przed drzwiami, starał się je wyważyć. Powodzenia, chłopcy. Już kiedyś miałem włamanie, po którym zamontowałem ciężkie metalowe drzwi, których nie da się sforsować bez użycia dynamitu.

– Gdzie jest duchowy pył? – spytałem.

– Na następnym regale, druga półka od dołu, w blaszanej papierošnicy w brązowym kartonowym pudełku – pośpiesznie odpowiedział Bob.

– Dzięki. A kawałek rogu nosorożca?

– Pod półką po twojej lewej, w plastikowym pudełku.

Pakowałem się dalej, korzystając z bezbłędnej pamięci Boba. W końcu torba była pełna. Wtedy zdarłem ze ściany mapę paranketu i również wcisnąłem ją do torby razem z rejestrem numerów telefonicznych do członków. Jeszcze tego brakowało, żeby FBI uznała moje mieszkanie za centrum kontaktowe siatki terrorystów.

Schowałem także czaszkę Boba. Zasunąłem torbę, pozostawiając szparę, przez którą Bob mógł wyglądać. Zabrałem dwa Miecze (z których co najmniej jednego użyto do popełnienia morderstwa w okolicach Chicago), wsunąłem je pod paski z boku torby i pośpiesznie zabezpieczyłem taśmą klejącą, żeby ich nie zgubić. Potem założyłem płaszcz i ze stęknieniem zarzuciłem sobie torbę na ramię. Była ciężka.

Na górze wciąż rozlegały się odgłosy uderzeń. Nagle coś ostro trzasnęło. Skrzywiłem się. Drzwi i futryna może i były pancerne, ale dom, do którego je przytwierdzono to drewniany staroć sprzed ponad stu lat. Wyglądało na to, że zaczął ustępować.

– Mówiłem ci – rzekł Bob. – Już dawno powinienesz być sprawdzić, co się znajduje w tym miejscu po drugiej stronie.

– A ja ci mówiłem, że ostatnie, czego mi trzeba, to osłabienie bariery pomiędzy moim domem a cholernym Nigdy nigdy poprzez przejście przez nią i zwrócenie na siebie uwagi wszystkich głodnych strachów.

– Zatem myliłeś się – zauważył Bob z wyższością. – Trzeba było mnie posłuchać.

Na górze rozległ się potężny trzask i ktoś zawołał: „FBI!”. W tej samej

chwili ktoś inny krzyknął „Policja!”.

Następnie ktoś zaklął i huknął strzał.

– Co to było?! – usłyszałem piskliwy głos.

– Kot – odpowiedział agent Tilly z pogardą. – Strzelił pan do cholernego kota. I nie trafił.

Mister. Serce szybciej zabiło mi w piersi. Zupełnie o nim zapomniałem. Na szczęście, w zgodzie ze swoją naturą, Mister najwyraźniej sam o siebie zadbał i czmychnął.

Kilka osób zachichotało.

– To wcale nie jest śmieszne – odburknął ktoś. To na pewno był Rudolph. – Ten facet jest niebezpieczny.

– Pusto! – dobiegło z innego pokoju, czyli sypialni i łazienki, ponieważ w moim mieszkaniu nie ma innych pomieszczeń. – Niczego tutaj nie ma.

– Cholera – rzucił Rudolph. – On gdzieś tutaj jest. Jest pan pewien, że pańscy ludzie widzieli go przez okno?

– Zauważyli, że ktoś się tutaj rusza, niecałe pięć minut temu. To nie musiał być on. – Po chwili ciszy agent Tilly dodał: – Kurczę, a może siedzi w dolnej piwnicy pod tamtą klapą?

– Pańscy ludzie wciąż pilnują okien? – spytał Rudolph.

– Tak – odrzekł Tilly znużonym głosem. Potem odezwał się głośniejszym, jakby mówił do kogoś po drugiej stronie dużego pomieszczenia. – To miejsce jest otoczone. Nie wymknie się. Miejmy nadzieję, że w końcu się pokaże i nie będzie stawiał oporu. Uszanujemy wszystkie jego prawa, a jeśli zgodzi się z nami współpracować, niedługo będzie po wszystkim.

Znieruchomiałem. Musiałem podjąć decyzję.

Mogłem skorzystać z propozycji Tilly’ego. Na dłuższą metę było to dla mnie najlepsze rozwiązanie. Zostanę przesłuchany, a każdy rozsądny śledczy (czyli nie Rudolph) oczyści mnie z zarzutów. Mogłbym nawet nakierować ich na firmy należące do księżnej i w ten sposób uprzykrzyć jej życie. A potem wrócilibyśmy do status quo, czyli niechętniej współpracy. Ale to wszystko wymagało czasu. Co najmniej dwóch dni.

Nie miałem go aż tyle.

Agent Tilly sprawiał wrażenie nie do końca nierozsądnego. Ale gdybym

teraz do niego wyszedł, zarzekając się, że jestem niewinny, a następnie zniknął, oskarżyliby mnie co najmniej o stawianie oporu przy zatrzymaniu. Nawet gdyby cała reszta potoczyła się po mojej myśli, groziłoby mi więzienie, czego wolałem uniknąć. Poza tym Tilly nie mógł nijak pomóc Maggie.

Zresztą nie da się ukryć, że byłem wściekły. W końcu to mój dom, psiakrew. Nie wolno wyważać komuś drzwi na podstawie słów takiej żmii jak Rudolph. Nosilem już w sobie mnóstwo gniewu, ale kiedy usłyszałem głosy w swoim salonie, zagotowałem się jeszcze bardziej. Wątpiłem, czy zdołam zachować się grzecznie.

Dlatego, zamiast uciąć sobie pogawędkę z władzami, wkroczyłem do kręgu przywołań i używając siły woli, szepnąłem „Aparturum”.

Machnąłem laską z lewa na prawo, napełniając ją energią, a wtedy rzeczywistość zawinęła się wokół niej jak zwój. Łagodne zielone światło zaczęło promieniować z pustej przestrzeni przede mną, tworząc prostokąt o wysokości dwóch i szerokości jednego metra – przejście pomiędzy moim mieszkaniem a Nigdynigdy. Nie miałem pojęcia, co się znajduje po drugiej stronie.

Rygle na klapie zaczęły grzechotać. Usłyszałem, jak ktoś prosi o piłę. Właz nie był szczelnie dopasowany. Uda im się wsunąć ostrze piły w szparę i błyskawicznie przepiłować bolce.

Otoczyłem się ochronną barierą, przepuszczając moc przez bransoletkę z tarcz, i zacisnąłem zęby. Moje serce waliło jak młotem. Całkiem możliwe, że drzwi między światami zaprowadzą mnie na dno jeziora roztopionej lawy albo na skraj wodospadu. Nie mogłem wcześniej tego sprawdzić.

– Mówiłem ci! – Bob zachichotał.

Nad moją głową zabrzęczał elektryczny silnik, ale zaraz zgasł. Ktoś wydał z siebie zaskoczony odgłos. Potem smukłe stalowe ostrze wślizgnęło się w szparę przy krawędzi włazu i ktoś zaczął ręcznie piłować bolce.

Wyszedłem z prawdziwego świata do Nigdynigdy.

Byłem przygotowany na wszystko. Lodowate zimno. Pałace gorąco. Miażdżącą podwodną głębię – nawet próżnię. Otaczające mnie pole siłowe było hermetyczne i mogło utrzymać mnie przy życiu nawet w kosmosie,

przynajmniej przez kilka chwil.

Wszedłem do Nigdy nigdy z osłoną na pełnej mocy i bojową różdżką gotową siać zniszczenie, a otaczająca mnie niewidzialna kula uderzyła o...

...urokliwą rabatkę ze stokrotkami.

Moje osłony ją zmiażdżyły. Cała rabatka, znajdująca się na niewielkim białym gazonie, w jednej chwili zmieniła się w kolekcję sprasowanych kwiatów.

Powoli się rozejrzałem, napięty i gotowy, wyęzając wszystkie zmysły.

Byłem w ogrodzie.

Urządzono go w stylu włoskim. Tylko niewielką część krzewów i kwiatów zasadzono na wzniesionych rabatach. Resztę rozmieszczono w taki sposób, by wyglądały, jakby naturalnie wyrosły w zajmowanej przestrzeni. Kręte trawiaste ścieżki wiły się w ogrodzie o nieregularnym kształcie. Koliber wielkości srebrnej monety dolarowej opadł z nieba, by zanurzyć dziób w wyjątkowo jaskrawo ubarwionym kwiecie, po czym zniknął. Obok mnie zabrzęczał owad – zwyczajny trzmiel, nie jakiś olbrzymi zmutowany potwór.

Nie śmiecie się. Widziałem takie stwory po drugiej stronie.

Zmodyfikowałem zakłęcie tarczy, żeby wpuścić do środka powietrze, i podejrzliwie pociągnąłem nosem. To miejsce wyglądało przyjemnie, ale atmosfera mogła się składać z chloru.

Poczułem zapach słonecznej jesieni, gdy dni są łagodne, ale noce potrafią zmrozić. Skoro wpuściłem powietrze, pod moją osłonę przedostały się także dźwięki. Ptaki leniwie świergotały. Gdzieś niedaleko szumiała woda.

Bob zaczął chichotać.

– Uważaj! Uważaj na bezwzględną mega-wiewiórkę, szefie! – wykrztusił z trudem. – O rany! Tamten fikus zaraz będzie cię napastował!

Posłałem czaszce groźne spojrzenie i jeszcze przez chwilę się rozglądałem. Potem ostrożnie zdjąłem osłony. Zużywały mnóstwo energii. Gdybym zbyt długo je podtrzymywał, nie miałbym siły do działania.

Nic się nie wydarzyło.

To było zwyczajne senne popołudnie w bardzo przyjemnym, ładnym ogrodzie.

– Szkoda, że nie widziałeś swojej twarzy – odezwał się Bob, wciąż trzęsąc

się od tłumionego śmiechu. – Zupełnie jakbyś miał się zmierzyć z rozjuszonym smokiem.

– Przymknij się – odrzekłem cicho. – Jesteśmy w Nigdynigdy. Idzie nam zbyt gładko.

– Nie każde miejsce w duchowej rzeczywistości to fabryka koszmarów – skarcił mnie Bob. – To zrównoważony wszechświat. Na każdy mroczny zakątek przypada miejsce pełne światła.

Obróciłem się powoli, wypatrując zagrożeń, a następnie machnąłem laską z lewa na prawo, zamykając przejście do laboratorium. Potem wróciłem do ostrożnego badania otoczenia.

– Na gwiazdy i kamienie, Harry! – zawołał wesoło Bob. – Chyba za długo nosisz tę ponurą pelerynę. Masz paranoję?

Znowu posłałem mu groźne spojrzenie, nie tracąc czujności.

– Idzie nam... zbyt... gładko...

Minęło pięć minut i nic złego się nie stało. Trudno podtrzymać niepokój i paranoję, gdy nic ci nie grozi, a otoczenie wygląda tak sielankowo.

– No dobrze – powiedziałem w końcu. – Może masz rację. Tak czy inaczej, musimy ruszać. Miejmy nadzieję, że znajdziemy jakieś znajome miejsce, które pozwoli nam wrócić na Ścieżki.

– Chcesz zostawić szlak z okruszków? – spytał Bob.

– Po to zabrałem ciebie – odparłem. – Zapamiętaj, jak tutaj wrócić.

– Załatwione – odrzekł. – Którędy pójdziemy?

Były trzy ścieżki. Jedna prowadziła przez wysoką trawę między roslymi drzewami. Druga, kamienista, wiodła w górę zbocza pośród mnóstwa potężnych głazów. Trzecia była wyłożona zielonkawym brukiem i przecinała pole ładnych niskich kwiatów, zapewniając dobrą widoczność we wszystkich kierunkach. To mnie przekonało i ruszyłem brukowanym szlakiem.

Po kilkudziesięciu krokach zacząłem odczuwać niepokój. Nie miałem ku temu żadnego widocznego powodu. To była czysto instynktowna reakcja.

– Bob? – odezwałem się po chwili. – Co to za kwiaty?

– Pierwiosnki – natychmiast odpowiedziała czaszka.

Stałem jak wryty.

– O cholera.

Zatrzęsła się ziemia.

Grunt wokół moich stóp i wzdłuż ścieżki zafalował, a kamienie brukowe poruszyły się i wysunęły spod ziemi. Okazało się, że są delikatnie zaokrąglonymi wierzchołkami kolejnych segmentów egzoszkieletu należącego do niewyobrażalnie wielkiej zielonej stonogi, która właśnie zaczęła się wydobywać na powierzchnię. Patrzyłem z chorą fascynacją, jak stwór podnosi głowę, oddaloną od nas o piętnaście metrów, i ogląda się w naszą stronę. Szczęki stonogi kilkakrotnie się zatrzasnęły niczym ogromne nożyce. Mogłyby mnie przeciąć na pół.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że poprzednie piętnaście albo dwadzieścia metrów ścieżki również unosi się spod ziemi. Kamień, na którym stałem, także stanowił część stwora, lecz poruszył się jako ostatni.

Starałem się utrzymać równowagę, ale i tak runąłem na pierwiosnki, a głowa potężnej stonogi ruszyła w moją stronę z zatrważającą szybkością, kołysząc się na lewo i prawo.

Wielkie ślepia jasno migotały, a śluz kapał z żarłocznie kłapiących szczęk. Setki nóg wbijały się w ziemię niczym śledzie od namiotu, popychając istotę naprzód. Stonoga huczała jak cholerna lokomotywa.

Przeniosłem wzrok na czaszkę.

– Mówiłem ci! – wrzasnąłem. – Idzie nam zbyt gładko!

Tak.

Nie tego się spodziewałem, gdy rano wstałem z łóżka.

To cholera powinno być powolne. Zgodnie ze wszystkimi prawami fizyki stonoga tych rozmiarów powinna być powolna. Jak dinozaur. Jak słoń.

Ale byliśmy w Nigdynigdy. Tutaj nie obowiązują te same zasady. Prawa fizyki to tylko ogóle zalecenia, traktowane luźno i elastycznie. Tutaj większe znaczenie niż materia mają umysł i serce, zatem wielki robał był szybki. Ogromna drapieżna głowa wystrzeliła w moją stronę niczym oszałała lokomotywa, rozdziawiając śmiercionośne szczęki.

Na szczęście byłem odrobinę szybszy.

Wysunąłem przed siebie otwartą lewą dłoń we władczym geście protestu, przyjmując uniwersalną pozę, która oznacza: stop! W tym miejscu zamiary są ważne. Otoczyłem się kulistą osłoną, a energia zaszumiała w mojej bransoletce, która jaskrawo rozbłysła, gdy krążąca w niej magia przebiła się przez efemeryczną materię metali.

Szczęki zamknęły się z chrzęstem i trzaskiem, a bransoletka rozżarzyła się jeszcze jaśniej. Osłona wybuchła licznymi kolorami i kształtami, jak wewnątrz kalejdoskopu, i odbiła pysk bestii – jej siła była przecież tylko odrobiną materialnej mocy w niematerialnym świecie.

Wyjąłem spod płaszcza prawą rękę, w której trzymałem bojową różdżkę, i wykrzykując pojedyncze słowo, uderzyłem palącą dawką mocy jak młotem. Promień zanurkował i tuż przed uderzeniem w cel skręcił w górę, trafiając magicznym hakiem w pysk stonogi. Łeb stwora odskoczył na kilka metrów, a całe cielsko przeszła fala bólu.

Co w sumie nie powinno mnie aż tak bardzo zaskoczyć.

Ziemia pod moimi stopami zafalowała i ustąpiła, a ja runąłem, rozpaczliwie wywijając rękami. Wylądowałem na pierwiosnkach, które

natychmiast zaczęły się poruszać i okładać mnie małutkimi kosmykami łądyg pokrytych piekielnie ostrymi cierniami. Kiedy próbowałem się podnieść, odrywając kwiaty od swoich nadgarstków i kostek, zauważyłem, że otaczające mnie rośliny zaczynają przybierać krwistoczerwoną barwę.

– Wiesz co, Harry?! – zawołał Bob. – Wydaje mi się, że to wcale nie jest ogród!

– Geniusz z ciebie – mruknąłem, gdy stonoga odzyskała równowagę i zaczęła się szykować do kolejnego ataku.

Jej ciało popłynęło naprzód, podążając za głową. Doszedłem do wniosku, że odgłos, z jakim przypominające świdy odnóża stwora rytmicznie uderzają o ziemię, bardziej niż z lokomotywą kojarzy się z jakąś potężną maszyną rolniczą.

Pobiegłem w stronę stonogi, skupiając siłę woli, po czym wbiłem koniec laski w ziemię i poderwałem nogi jak skoczek o tyczce. Dzięki wyładowaniu mocy pod sobą i za plecami, zdołałem przelecieć nad grzbietem stwora, który wciąż na mnie nacierał. Stonoga mruknęła z niezadowoleniem i spróbowała się obrócić, a wtedy musiała zwolnić, by jej tylne nogi mogły usunąć się z drogi. Dzięki temu zyskałem kilka sekund.

Większy niekoniecznie znaczy lepszy, zwłaszcza w Nigdynigdy. Wystarczyła jedna sekunda, by się obrócić, skupić kolejny ognisty promień na znacznie mniejszym obszarze i ciąć niczym potężnym palnikiem dokładnie przez środek ciała robala, wykorzystując precyzyjną magię, której nauczyłem się od Luccio i której być może nie zdołałbym użyć w prawdziwym świecie.

Promień o obwodzie równym dwóm moim palcom przekroił stwora na pół, tak elegancko i łatwo, jakbym użył gilotyny do papieru wielkości ciężarówki.

Trafiona stonoga donośnie wrzasnęła i chociaż miałem do czynienia z całkowicie obcą formą życia, nie miałem wątpliwości, że bardzo cierpi. Tylne ciało wciąż parła naprzód, jakby nie zauważyła utraty głowy. Przednia połowa poruszała się coraz bardziej chaotycznie i chwiejnie. Być może ograniczony mózg przytłaczały próby wysyłania impulsów nerwowych do nieistniejących elementów anatomii. Stwór zaczął gonić uciekającą

środkową część tułowia, przetaczając się po szerokim okręgu i miażdżąc rzędy pierwiosnków po obu stronach szlaku.

– Trafiony, zatopiony! – zawołałem triumfalnie, a przyływ adrenaliny zmienił mój męski baryton w przerażony pisk. – Co poradzisz na ognisty promień śmierci? Nic nie poradzisz na ognisty promień śmierci! Wracaj do swojego Atari, robalu, bo w tej grze nie masz szans!

Dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, co się dzieje.

Rana, którą zadałem, od początku prawie nie krwawiła, gdyż promień ją przyżegł, ale teraz krew całkowicie przestała płynąć z obu połówek potwora. Końcówka przedniej połowy nagle się zaokrągliła. Końcówka tylnej połowy zadrżała i wybrzuszyła się, a po chwili z kikuta zaczęła się wyłaniać nowa głowa.

W ciągu sekund obie połówki robaka skupiły się na mnie i ruszyły w moją stronę, kłapiąc szczękami, równie silne i śmiertcionośne jak poprzednio. Tylko teraz zamierzały dopaść mnie z dwóch kierunków.

– O kurczę – odezwał się Bob spokojnym, rzeczowym, swobodnym tonem.
– To niezwykle niesprawiedliwe.

– Taki już mam dzień – odrzekłem.

Zamieniłem bojową różdżkę na laskę. Różdżka świetnie się nadawała do rażenia ogniem, ale musiałem sięgnąć po bardziej złożone zaklęcie, a laska maga jest znacznie wszechstronniejsza i ma szeroką gamę zastosowań. Przywołałem siłę woli i w swoim wnętrzu splotłem ją z Ogniem Duszy, a następnie wyciągnąłem przed siebie laskę i zawołałem:

– *Fuego murus! Fuego vellum!*

Energia gwałtownie ze mnie wypłynęła i przede mną pojawił się srebrzystobiały ognisty krąg o średnicy niemal dwudziestu metrów, grubości prawie metra i wysokości trzech albo czterech metrów. Ryk płomieni sprzęgał się z osobliwym tonem, który kojarzył się z biciem potężnego dzwonu.

Stonogi (liczba mnoga – na dzwony piekieł, muszę przestać być tak arogancki) stanęły na tylnych odnóżach, próbując utworzyć żywy łuk nad płomienistą przeszkodą, ale cofnęły się jeszcze gwałtowniej niż wtedy, gdy zdzieliłem pierwotną wersję stwora w głowę ognistą kulą.

– Hej, dobra robota! – pochwalił Bob. – Ogień Duszy to miły dodatek.

Wysiłek związany z panowaniem nad taką ilością energii szybko dał mi się we znaki i zacząłem sapać oraz spływać potem.

– Tak, dzięki – odrzekłem.

– Oczywiście teraz jesteśmy uwięzieni – zauważył Bob. – A ta bariera wkrótce straci zasilanie. Przez jakiś czas będziesz w stanie je siekać na kawałki. Potem cię zjedzą.

– Nie – odparłem, ciężko dysząc. – Tkwimy w tym razem. Zjedzą nas obu.

– Ach, w takim razie lepiej otwórz Ścieżkę do Chicago – zaproponował Bob.

– Do mojego mieszkania? – spytałem. – FBI tam jest i tylko czeka, żeby mnie skuć.

– W takim razie nie trzeba było zostawać terrorystą, Harry!

– Ejże! Nigdy...

Bob głośno zawołał w stronę stonóg:

– Nie jestem z nim!

Moje perspektywy nie wyglądały dobrze. Gdybym dał się pożreć demonicznej stonodze o nadprzyrodzonej odporności, moja misja ratunkowa doznałaby szwanku. Aresztowanie przez FBI nie było dużo lepsze, ale z federalnej celi przynajmniej miałbym szansę się wydostać – w odróżnieniu od żołądka stonogi. Żołądków.

Tyle że nie mogłem wrócić do swojego mieszkania z torbą pełną zakazanych sprzętów. Musiałem je ukryć, a to oznaczało konieczność pozostawienia bagażu tutaj. Nie był to genialny pomysł, ale nie miałem wyboru. Musiałem podjąć wszystkie możliwe środki bezpieczeństwa i mieć nadzieję, że okażą się wystarczające.

Magia ziemi nie jest moją specjalnością. To niezwykle wymagająca dziedzina pod względem fizycznym. W końcu chodzi o przemieszczanie ogromnych ciężarów. Stosowanie magii nie pozwala ignorować fizyki. Moc wymagana do wytworzenia gorąca albo wywołania ruchu co prawda pochodzi z innego źródła, ale wchodzi w interakcje z rzeczywistością w taki sam sposób jak każda inna energia. To oznacza, że wywarcie wpływu na tony ziemi pochłania ogromną ilość energii i jest cholernie trudne, ale nie

niemożliwe. Ebenezar upierał się, żebym poznał przynajmniej jedno bardzo użyteczne, choć straszliwie wymagające zaklęcie z dziedziny magii ziemi. Jego użycie w prawdziwym świecie wiązałoby się z całodziennym wysiłkiem. Ale tutaj, w Nigdynigdy...

Uniosłem laskę, skierowałem ją w stronę gruntu i zaintonowałem donośnym, monotonnym głosem: „*Dispertius!*”. Jednocześnie, pomimo zmęczenia, uwolniłem siłę woli, a ziemia i kamienie rozstały się z trzaskiem i przed moimi palcami powstała czarna szczelina podobna do kamiennych ust.

– O nie, nie! – zawołał Bob. – Nie włożysz mnie do...

Wymagało to ogromnego wysiłku od mojego szybko słabnącego ciała, ale wrzuciłem do dziury torbę z Mieczami, Bobem i całą resztą. Zniknęła w ciemności wraz z krzykiem Boba:

– Lepiej, żebyś wrócił!

Wściekły syk rozjuszonych stonóg przeciął powietrze.

Ponownie skierowałem laskę w stronę otworu i zaintonowałem: „*Resarcius!*”. Wy płynęła ze mnie kolejna porcja sił, dziura się zasklepiła, a wydobyte ziemia i kamienie rozproszyły się po dużym obszarze, dzięki czemu w miejscu ukrycia torby pozostało jedynie trudne do zauważenia wybrzuszenie. Zaklęcie sprawi, że sprzęt trudno będzie wydobyć komukolwiek, kto nie zna jego dokładnego położenia, a torbę ukryłem na tyle głęboko, by nikt nie natrafił na nią przypadkiem. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Bob i Miecze byli bezpieczni w stopniu, w jakim to możliwe w tych okolicznościach, a moja bariera ze srebrzystego ognia systematycznie słabła. Najwyższa pora się stąd zabierać, póki to jeszcze wykonalne.

Nogi drżały mi ze zmęczenia i podpierałem się laską, żeby nie upaść. Musiałem zmusić się do jeszcze jednego wysiłku, by uciec z tej urokliwej śmiertelnej pułapki, a potem...

Ognisty krąg opadł na tyle nisko, że jedna ze stonóg uniosła się nad nim, tworząc most z własnego ciała, i opadła na drugą stronę. Skupiła na mnie wzrok, kłapiąc szczękami z łapczywym zniecierpliwieniem.

Odwrociłem się, skupiłem myśli i wolę, po czym przeciąłem dłonią

powietrze, otwierając wąskie przejście, ledwie szczelinę, pomiędzy Nigdy a rzeczywistością. Następnie rzuciłem się do środka.

Nigdy wcześniej nie przechodziłem przez tak wąskie drzwi. Poczułem się tak, jakby zmiażdżyła mnie duchowa zgniatarka do śmieci. Ból trwał tylko chwilę, ale był tak dotkliwy, że miałem wrażenie, że rozciągnął się na całą godzinę, podczas gdy moje myśli ściśnięto do niemożliwie gęstej psychicznej czarnej dziury, w której wszystkie mroczne i przygnębiające emocje, jakie kiedykolwiek odczuwałem, zalały i zatrwały moje myśli i wspomnienia, dodając przytłaczający smutek do fizycznej udręki.

Ta chwila minęła i przedostałem się przez wąski otwór. Wyczułem, że stonoga spróbowała podążyć za mną, ale rozcięcie między światami niemal natychmiast się zasklepiło.

Spadłem z wysokości około metra, uderzyłem biodrem o krawędź stołu w laboratorium i runąłem na betonową posadzkę jak worek wyczerpanych cegieł.

Rozległy się krzyki i ktoś się na mnie rzucił, przewrócił mnie na brzuch, wcisnął kolano w mój kręgosłup i wykręcił mi ręce za plecy. Wokół mnie toczyły się ożywione rozmowy, na które nie zwracałem uwagi. Byłem zbyt obolały i zmęczony.

Prawdę mówiąc, czułem tylko ogromną ulgę, że zostałem zatrzymany. Wreszcie mogłem się odprężyć w eleganckich kajdankach.

Albo w kaftanie bezpieczeństwa, w zależności od tego, jak potoczą się sprawy.

Zabrali mnie do chicagowskiego oddziału Federalnego Biura Śledczego przy Roosevelt. Przed budynkiem czekał tłum dziennikarzy, którzy natychmiast zaczęli wykrzykiwać pytania i robić zdjęcia, gdy dwaj policjanci prowadzili mnie od samochodu do wejścia. Żaden z federalnych nie powiedział nic do kamer, ale Rudolph zatrzymał się na chwilę i potwierdził, że trwa dochodzenie w sprawie wybuchu i zatrzymano kilka „podejrzanych” osób, a obywatele Chicago nie mają się czego bać, bla, bla, bla.

Szczupły, drobny agent federalny o skórze białej jak ryba i włosach czarnych jak atrament podszedł do Rudolpha, po przyjacielsku objął go ramieniem i niemal odciągnął od dziennikarzy. Rudolph zaprotestował, ale Chudy skarcił go wzrokiem, zmuszając do uległości.

Pamiętam, że przeszedłem przez punkt kontrolny, wjechałem windą, a następnie zostałem posadzony na krześle. Chudy zdjął mi kajdanki. Od razu położyłem dłonie na stole przed sobą i spuściłem głowę. Nie wiem, jak długo nie kontaktowałem, ale gdy wreszcie się ocknąłem, jakaś sztywna i ponura kobieta świeciła mi w oczy małą latarką.

– Nie ma śladów wstrząśnienia mózgu – orzekła. – Normalna reakcja. Chyba po prostu jest wyczerpany.

Chudy stał w drzwiach do małego pokoju, w którym znajdowało się kilka krzeseł, wysokie ściennie lustro i stał pojedynczy stół konferencyjny. Towarzyszył mu Rudolph – młodo wyglądający mężczyzna w garniturze, na który z pewnością nie mógł sobie pozwolić z pensji, ciemnowłosa, obłądnie schludnie uczesany i nerwowo zgarbiony.

– Udaje – upierał się Rudolph. – Straciliśmy go z oczu najwyżej na kilka minut. Jak mógł w tym czasie doprowadzić się do skrajnego wyczerpania? Nawet się nie spocił. Nie ma ciężkiego oddechu. Coś knuje, wiem to. Niepotrzebnie daliśmy mu godzinę na wymyślenie jakiejś historyjki.

Chudy popatrzył na Rudy'ego, a na jego smukłej, bladej twarzy nie odmalowały się żadne emocje. Potem przeniósł wzrok na mnie.

– Więc chyba pan będzie dobrym gliną – stwierdziłem.

Chudy przewrócił oczami.

– Dziękuję, Roz.

Kobieta zdjęła stetoskop z szyi, posłała mi nieprzychylnie spojrzenie, a następnie wyszła z pomieszczenia.

Chudy podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko mnie. Rudolph stanął za moimi plecami. To była prosta psychologiczna sztuczka, ale podziałała. Obecność Rudolpha poza moim polem widzenia drażniła mnie i rozpraszała.

– Nazywam się Tilly – odezwał się Chudy. – Może pan do mnie mówić „agencje Tilly”, „panie agencje” albo „panie Tilly”. Jak panu wygodnie.

– Dobra, Chudy – odrzekłem.

Powoli wciągnął i wypuścił powietrze.

– Dlaczego po prostu nie otworzył pan drzwi, panie Dresden? Tak byłoby dużo łatwiej. Dla nas wszystkich.

– Nie słyszałem was – odparłem. – Spałem w dolnej piwnicy.

– Gówno prawda – wtrącił się Rudolph.

Chudy zerknął na Rudy'ego.

– Spał pan, tak?

– Mam mocny sen – dodałem. – Mam posłanie pod jednym ze stołów w laboratorium. Czasami lubię się tam zdrzemnąć. Jest tam sympatycznie i chłodno.

Chudy przyglądał mi się z namysłem przez kolejną minutę.

– Nie, wcale pan tam nie spał. Nie było tam pana. W dolnej piwnicy nie ma wystarczająco dużej otwartej przestrzeni, w której mógłby się pan ukryć. Był pan gdzie indziej.

– Niby gdzie? – spytałem. – To nieduże mieszkanie. Salon, sypialnia, łazienka, dolna piwnica. Znaleźliście mnie na posadzce piwnicy, do której prowadzi tylko jedno wejście. Gdzie indziej mógłbym być? Sądzicie, że się zmaterializowałem?

Chudy zmrużył oczy. Potem pokręcił głową.

– Nie wiem. Widziałem wiele sztuczek. Kiedyś widziałem, jak pewien

facet sprawił, że Statua Wolności zniknęła.

Rozłożyłem ręce.

– Sądzicie, że użyłem luster albo czegoś w tym rodzaju?

– Niewykluczone – odrzekł. – Nie potrafię wytłumaczyć, w jaki sposób nagle się pan pojawił, panie Dresden. A kiedy nie umiem czegoś wytłumaczyć, robię się nieprzyjemny. Zaczynam szukać głębiej, aż w końcu coś znajduję.

Uśmiechnąłem się do niego. Nie mogłem się powstrzymać.

– Spałem w swoim laboratorium. Obudziłem się, kiedy zaczęliście mi wykręcać ręce. Uważacie, że wyszedłem z jakiegoś tajnego schowka, tak dobrze ukrytego, że nikt go nie znalazł podczas przeszukania pomieszczenia? A może po prostu się zmaterializowałem? Która z wersji bardziej spodoba się sędziemu podczas cywilnego procesu, jaki wytoczę policji i FBI? Wasza czy moja?

Chudy się skrzywił.

Rudolph nagle pojawił się po mojej prawej stronie i uderzył pięścią w stół.

– Gadaj, dlaczego wysadziłeś budynek, Dresden!

Parsknąłem śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać. Nie pozostało mi zbyt wiele sił, ale śmiałem się, aż rozboleł mnie brzuch.

– Przepraszam – odezwałem się po chwili. – Przepraszam. Po prostu to było takie... aaach! – Pokręciłem głową, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– Rudolph, wyjdź – polecił Chudy.

– Nie może mi pan rozkazywać. Jestem wyznaczonym przedstawicielem policji miasta Chicago i członkiem tej grupy specjalnej.

– Jesteś bezużyteczny, nieprofesjonalny i przeszkadzasz w składaniu zeznań – odparł Chudy obojętnym tonem. Patrzył na Rudolpha. – Wyjdź.

Chudy miał nie lada spojrzenie. Niektórzy ludzie posiadają taki dar. Patrzą na ciebie i bez słowa przekazują ci wiadomość, że są zdolni do stosowania przemocy i chętnie to zademonstrują. Takie spojrzenie nie przekazuje żadnej konkretnej emocji ani komunikatu, który da się oddać słowami. Chudy nie potrzebował słów. Popatrzył na Rudolpha z cieniem śmierci w oczach i to wystarczyło.

Rudolph się wzdrygnął. Mruknął pod nosem coś o złożeniu skargi na FBI, po czym wyszedł z pokoju.

Agent Tilly zwrócił się w moją stronę. Jego oblicze na chwilę złagodniało i pojawiło się na nim coś, co niemal przypominało uśmiech.

– Zrobił to pan? – spytał.

Popatrzyłem mu w oczy.

– Nie.

Zacisnął usta. Potem kilkakrotnie pokiwał głową.

– W porządku.

Uniosłem brwi.

– Tak po prostu?

– Wiem, kiedy ludzie kłamią – odpowiedział.

– Właśnie dlatego składam zeznania, a nie jestem przesłuchiwany?

– Składa pan zeznania, ponieważ Rudolph łągał jak pies, kiedy wystawił pana mojemu szefowi – odrzekł Tilly. – Teraz zobaczyłem pana na własne oczy. Nie wygląda mi pan na terrorystę.

– Dlaczego nie?

– Pańskie mieszkanie to jedna wielka rupieciarnia. Terrorysty bałaganiarze nie żyją zbyt długo. Moja kolej. Dlaczego ktoś próbuje pana wrobić w wysadzenie biurowca?

– Podejrzewam, że to polityka – odparłem. – Karrin Murphy wkurzyła wielu bogaczy, rujnując ich podejrzane interesy. Bogacze wpływają na polityków. Ja dostałem rykoszetem, ponieważ byłem jej konsultantem podczas niektórych z tych spraw.

– Pierdolone Chicago – rzucił Tilly z pogardą w głosie. – Nigdzie nie ma tak skorumpowanej władzy jak w tym stanie.

– Amen – odrzekłem.

– Czytałem pańską teczkę. Podobno moje biuro już kiedyś się panu przyglądało. Kilka dni później czterej agenci zniknęli bez śladu. – Zacisnął usta. – Jest pan podejrzany o porwanie, zabójstwo i co najmniej dwa podpalenia, między innymi budynku użyteczności publicznej.

– To nie była moja wina – odparłem. – Tamten budynek.

– Prowadzi pan ciekawe życie, Dresden.

– Nieszczęśliwie. Może od czasu do czasu zdarzy mi się szalony weekend.

– Wprost przeciwnie – odrzekł Tilly. – Bardzo mnie pan zaciekawił.

Westchnąłem.

– Kurczę. Szczerze odradzam.

Tilly przez chwilę się nad tym zastanawiał, a między jego brwiami pojawiła się cienka zmarszczka.

– Wie pan, kto wysadził pański biurowiec?

– Nie.

Twarz Tilly'ego wyglądała jak wykuta z kamienia.

– Kłamca.

– Jeśli panu powiem, i tak mi pan nie uwierzy... a potem zamknie mnie w psychiatryku. Dlatego nie. Nie wiem, kto wysadził budynek.

Przez chwilę kiwał głową.

– To, co pan robi, można uznać za utrudnianie śledztwa. W zależności od tego, kto stoi za zamachem i jakie miał powody, można to podciągnąć nawet pod zdradę stanu.

– Innymi słowy, nie udało się wam znaleźć w moim mieszkaniu niczego, co by mnie obciążało albo pozwalało mnie dłużej przetrzymać – odparłem. – Dlatego teraz ma pan nadzieję, że zdoła mnie zastraszyć i zmusić do mówienia.

Agent Tilly odchylił się do tyłu na krześle i zmrużył oczy.

– Mogę pana zatrzymać na dwadzieścia cztery godziny bez żadnego powodu. Mogę także postarać się, żeby ten czas był dla pana bardzo nieprzyjemny, i to bez łamania żadnych przepisów.

– Wolałbym, żeby pan tego nie zrobił – odrzekłem.

Tilly wzruszył ramionami.

– A ja bym wolał, żeby mi pan opowiedział, co wie o wybuchu. Ale podejrzewam, że obaj nie dostaniemy tego, na czym nam zależy.

Podparłem brodę dłonią i przez chwilę się namyślałem. Nie wykluczałem, że to ktoś z nadprzyrodzonego świata, zapewne księżna, skorzystał ze swoich wpływów, by posłać Rudolpha moim tropem. Jeżeli tak było w istocie, może mógłbym odbić ten granat w jej stronę.

– Możemy porozmawiać nieoficjalnie? – spytałem Tilly'ego.

Wstał, wyszedł za drzwi, a po chwili wrócił, zapewne wyłączwszy urządzenia nagrywające. Usiadł przy stole i popatrzył na mnie.

– Z pewnością odkryjecie, że w budynku znajdowały się materiały wybuchowe – powiedziałem. – Na czwartym piętrze.

– Skąd pan o tym wie?

– Ktoś, komu ufam, widział plany architektoniczne, na których zaznaczono, gdzie rozmieszczono ładunki, zapewne na żądanie właścicieli. Pamiętam, że kilka lat temu ekipa remontowa przez jakiś tydzień kuła w ścianach. Twierdzili, że usuwają azbest. Właściciele ich wynajęli.

– Właścicielem budynku jest spółka Nuevo Verita. To mi wygląda na bardzo kiepskie oszustwo ubezpieczeniowe.

– Nie chodzi o ubezpieczenie – zaproponowałem.

– Więc o co?

– O zemstę.

Tilly przekrzywił głowę i uważnie mi się przyjrzał.

– Naraził się pan jakoś tej spółce?

– Zrobiłem coś pewnej osobie wysoko postawionej w korporacyjnym środowisku, do którego należy Nuevo Verita.

– Co to było?

– Nic nielegalnego – zapewniłem. – Proponuję sprawdzić działalność finansową niejakiego Paola Ortegi. Wykładał mitologię w Brazylii. Zmarł kilka lat temu.

– Aha – odrzekł Tilly. – Jego rodzina chce pana dopaść?

– To dosyć precyzyjny opis sytuacji. Chodzi zwłaszcza o jego żonę.

Tilly nieśpiesznie przyswajał fakty. W pomieszczeniu na kilka chwil zapadła cisza.

W końcu agent podniósł na mnie wzrok.

– Bardzo szanuję Karrin Murphy. Zadzwoiłem do niej, kiedy pan odpoczywał. Zapewniła, że poprze pana bez żadnych zastrzeżeń. Zważywszy na źródło, to bardzo znaczące stwierdzenie.

– Owszem – przyznałem. – Zwłaszcza zważywszy na źródło.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy mogę panu jakoś pomóc. Nie stoję na czele dochodzenia, a całej sprawie kierunek nadają politycy. Nie

mogę panu obiecać, że nie będzie pan ponownie przesłuchiwany, chociaż dzisiejsze wydarzenia powinny utrudnić uzyskanie sądowej zgody na ściganie pana.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem – odrzekłem.

Tilly machnął ręką w stronę pozostałej części budynku.

– W ich oczach jest pan winny, Dresden. Już układają nagłówki i notki prasowe. Teraz wystarczy znaleźć dowody na poparcie ich wniosków.

– Ale pana to nie dotyczy.

– To banda dupków – odparł Tilly.

– Pan nim nie jest?

– Jestem innego rodzaju dupkiem.

– He, he – zaśmiałem się. – Mogę odejść?

Pokiwał głową.

– Ale skoro nie mają żadnych dowodów na to, że to pan podłożył ładunki wybuchowe, będą grzebać w pańskim życiu osobistym. W pańskiej przeszłości. Będą szukać czegoś, co można przeciwko panu wykorzystać. To nie będzie czysta gra.

– Mnie to nie przeszkadza – odparłem. – Też potrafię tak grać.

W oczach Tilly'ego pojawił się wesoly błysk.

– Na to wygląda. – Podał mi rękę. – Powodzenia.

Uścisnąłem jego dłoń. Poczułem bardzo delikatne mrowienie charakterystyczne dla kogoś o śladowych magicznych zdolnościach. Zapewne dzięki nim Tilly skuteczniej potrafił oddzielać prawdę od fikcji.

Wstałem i ciężkim krokiem powędrowałem do wyjścia.

– Hej! – zawołał Tilly, nim otworzyłem drzwi. – Całkiem nieoficjalnie. Kto to zrobił?

Zatrzymałem się i obejrzałem na niego.

– Wampiry.

Przez jego twarz przemknęły szybko stłumione emocje: rozbawienie, potem zrozumienie, a wreszcie niedowierzanie i usilne próby racjonalizacji.

– Widzi pan – dodałem. – Mówiłem, że pan nie uwierzy.

Po wyjściu z siedziby FBI natrafiłem na wianuszek paparazzich, którzy czekali z cierpliwością drapieżników na nowe materiały do swoich artykułów. Dwaj podbiegli, zasypując mnie pytaniami i wyciągając w moją stronę mikrofony. Skrzywiłem się. Wciąż byłem bardzo zmęczony, ale zakłóciłbym działanie ich sprzętu, gdybym zanadto się zbliżył.

Rozejrzałem się, szukając bezpiecznej drogi przejścia, by nie popsuć żadnych urządzeń, i wtedy ktoś spróbował mnie zabić.

Już kiedyś padłem ofiarą ataku z przejeżdżającego samochodu. Ten zamach przygotowano znacznie bardziej profesjonalnie. Nie ostrzegł mnie ryk silnika ani gwałtowna zmiana kierunku jazdy auta. Poczułem tylko nagłe mrowienie na karku i kątem oka dostrzegłem, że w ciemnym sedanie opuszcza się szyba po stronie pasażera.

Potem coś uderzyło mnie w lewą stronę klatki piersiowej i powaliło na schody. Oszołomiony uświadomiłem sobie, że ktoś do mnie strzela. Mogłem stoczyć się po schodach i wmieszać w tłum dziennikarzy, którzy odgradziliby mnie od napastnika, ale nie wiedziałem, czy zamachowiec nie jest na tyle zdeterminowany, by zacząć strzelać na oślep. Dlatego zwinąłem się w kłębek i poczułem dwa kolejne mocne uderzenia: jedno w żebra, drugie w lewą rękę, którą osłaniałem głowę.

Z dołu dobiegł krzyk i stanęło nade mną kilka osób.

– Hej, kolego – odezwał się brzuchaty kamerzysta w myśliwskiej kurtce. Podał mi dłoń, żeby mnie podnieść. – Paskudnie upadłeś. Jesteś cały?

Wpatrywałem się w niego przez chwilę, czując, jak adrenalina krąży w moich żyłach, aż w końcu uzmysłowiłem sobie, że kamerzysta – podobnie jak reszta dziennikarzy – nie ma pojęcia, co się właśnie wydarzyło.

To dziwne, ale całkiem możliwe. W końcu ja też niczego nie słyszałem. Zamachowiec zapewne użył tłumika. Nie było żadnych błysków, więc musiał

celować do mnie przez okno samochodu, siedząc na tyle głęboko, by lufa podejrzenie nie wystawała na zewnątrz, a on sam nie stał się celem. Ja także się do tego przyczyniłem, odmawiając gapiom widoku podziurawionego kulami trupa. Żadnych odgłosów, żadnych śladów, żadnej ofiary. Dlaczego ktokolwiek miałby podejrzewać, że właśnie dokonano próby zabójstwa?

– Z drogi! – zawołałem, przytrzymując się łapy kamerzysty i dźwigając na nogi.

Próbowałem dostać się wyżej, popatrzeć ponad tłumem i dostrzec numery rejestracyjne ciemnego sedana. Wystarczyło ominąć kilka osób i stanąć na palcach, by zobaczyć, jak samochód napastnika spokojnie się oddala. Nie żyłował silnika, nie wjeżdżał na chodnik ani nie ignorował czerwonych świateł. Po prostu włączył się do ruchu jak rekin znikający w głębinach. Nie udało mi się odczytać tablic.

– Cholera – warknąłem. Ból, zwłaszcza ręki, zaczął dawać mi się we znaki. Ochronne zakłęcia, którymi otoczyłem swój płaszcz, powstrzymały pociski, ale skórzane rękawy mocno przylegały do ciała, więc czułem się tak, jakby ktoś zdzielił mnie kijem baseballowym w przedramię. Czułem mrowienie w palcach lewej dłoni, które odmawiały posłuszeństwa i tylko lekko drgały. Podobny pulsujący ból promieniował z pozostałych dwóch miejsc trafienia, więc powiodłem dłońmi po płaszczu, by się upewnić, że żaden z pocisków niepostrzeżenie się nie przedostał.

Znalazłem kulę wbitą w lewy rękaw. Wniknęła w materiał na najwyżej pół centymetra, ale tkwiła mocno i odkształciła się podczas uderzenia. Wyjąłem z kieszeni chustkę, owinąłem nią pocisk i go schowałem. Nikt niczego nie zauważył, chociaż kilkanaście osób patrzyło na mnie jak na szaleńca.

Na ulicy rozległo się ciche rżące trąbienie! Niebieski Chrabąszcz nadjechał powoli i zatrzymał się przed budynkiem. Molly siedziała za kółkiem i rozpaczliwie do mnie machała.

Pośpiesznie zszedłem na ulicę i wsiałem do auta, zanim jego kontrastujące kolory doprowadziły do szału dręczonych obsesją agentów federalnych w budynku za moimi plecami. Kiedy Molly ruszyła, zapiąłem pas, a następnie otrzymałem wilgotny pocałunek od Myszka, który jechał na tylnym siedzeniu i bębnił ogonem o oparcie fotela kierowcy.

– Fúj! – zawołałem. – Moje usta dotknęły ust psa! Dajcie mi płyn do płukania! Dajcie mi jodynę!

Pies dalej merdał ogonem i jeszcze raz mnie polizał, po czym uspokoił się wyraźnie zadowolony.

Opadłem na siedzenie i zamknąłem oczy.

Minęły może dwie minuty.

– Nie ma za co – odezwała się Molly sfrustrowanym tonem. – Ależ to żaden kłopot, Harry. Pomagam, jak umiem.

– Wybacz, padawanko – odparłem. – To bardzo długi dzień.

– Wróciłam z kościoła i zobaczyłam, że jacyś goście oraz gliniarze wchodzą i wychodzą z twojego domu. Drzwi były wyważone, a mieszkanie wyglądało na splądrowane. – Zadrżała i kurczowo ścisnęła kierownicę. – Boże. Byłam pewna, że nie żyjesz albo wpadłeś w tarapaty.

– Miałaś rację w dziewięćdziesięciu procentach – odrzekłem. – Ktoś powiadomił federalnych, że to ja wysadziłem budynek w powietrze. Chcieli ze mną porozmawiać.

Molly wytrzeszczyła oczy.

– A co z Mieczami? Musimy czym prędzej powiedzieć mojemu tacie, bo...

– Spokojnie – przerwałem jej. – Ukryłem je. Na razie powinny być bezpieczne.

Molly odetchnęła z ulgą.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała po chwili. – Pobili cię czy co?

Cały czas wodziłem wzrokiem na lewo i prawo.

– Olbrzymia stonoga.

– Aha... – odrzekła Molly, przeciągając sylaby, jakby to wszystko tłumaczyło. – Czego szukasz?

Rozglądałem się za ciemnym sedanem. Świetny ze mnie detektyw, więc jak dotąd wypatrzyłem ich już trzydzieści.

– Samochodu, z którego do mnie strzelano. – Pokazałem niewielki pocisk z miedzianą łuską, cieńszy od mojego małego palca i długi na dwa centymetry.

– Co to jest? – spytała Molly.

– Remington dwieście dwadzieścia trzy – odpowiedziałem. – Chyba. Tak

sądzę.

– Co to oznacza?

– Że mógł strzelać niemal każdy. Takich pocisków używa się w większości karabinów automatycznych w krajach NATO. A także w licznych karabinkach myśliwskich. – Nagle coś mi przyszło do głowy i zmarszczyłem czoło. – Hej, jak mnie znalazłaś?

– Myszek prowadził auto.

Ogon zabębnił.

Byłem zmęczony. Mój mózg potrzebował chwili, żeby rozpoznać żartobliwy ton jej głosu.

– To nie jest śmieszne, kiedy wszyscy to robią, Molly. Na brzemień ciągłego cwaniakowania niegotowa jesteś.

Uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej zadowolona, że zdobyła punkt.

– Użyłam zaklęcia tropiącego i włosa, który mi dałeś na wypadek, gdybym kiedyś musiała cię znaleźć.

Oczywiście, że tak.

– Aha, no dobrze. Brawo.

– Eee... nie jestem pewna, dokąd jedziemy. O ile się nie mylę, w twoim mieszkaniu ciągle roi się od tych gości.

– Priorytety, nowicjuszko. Najpierw sprawy najważniejsze.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Czyli do Burger Kinga?

– Umieram z głodu – przytaknąłem. – Potem do mieszkania. Zanim tam dotrzemy, powinni już sobie pójść, a to jedyne miejsce, w którym Susan i Martin spróbują się ze mną skontaktować.

Zmarszczyła czoło.

– Tylko że... osłony są wyłączone. Tam już nie jest bezpiecznie, prawda?

– Nigdy nie było – odrzekłem spokojnie. – Jeśli ktoś naprawdę chce cię zabić, trudno go powstrzymać. Możesz tylko postarać się, żeby jak najwięcej go to kosztowało, a wtedy może dojdzie do wniosku, że mu się nie opłaci.

– Jasne, ale... czy bez osłon ta cena nie jest wyjątkowo atrakcyjna?

Mała miała rację. Każdy, kto kiedykolwiek chciał mnie dopaść, właśnie zyskał doskonałą okazję. Uwaga, klienci! Specjalna promocja na życie

Harry'ego Dresdena. Lekko zużyte reklamacje nie będą uwzględniane, tylko jedna sztuka na osobę. Prosimy o przemyślane zakupy.

Oparłem się głową o szybę i zamknąłem oczy.

– Co ci powiedział Forthill? – spytałem.

– To, co zawsze. Nie może niczego obiecać, ale postara się pomóc. Poprosił, żebym zadzwoniła za kilka godzin, a on zdradzi, czego dowiedziały się jego wtyki.

– Jestem pewien, że rzymskokatolicki ksiądz nie mają wtyk – odrzekłem ponuro. – To przemijająca moda. Jak samochody. Albo prasa drukarska.

Molly nie odpowiedziała na moje komentarze, chociaż rzuciłem je tak swobodnie. Miała wiele wątpliwości co do Kościoła, a ja uważałem, że to dobrze o niej świadczy. Ludzie, którzy zadają pytania i myślą o swojej wierze, niechętnie przyjmują dogmaty i równie niechętnie porzucają swoją ścieżkę, gdy już nią wyruszą. Byłem przekonany, że Wszechmogący, jakkolwiek On się teraz nazywa, poradzi sobie z kilkoma pytaniami od ludzi szczerze poszukujących odpowiedzi. Psiakrew, może nawet się z nich ucieszy.

– Harry, moglibyśmy porozmawiać z moim ojcem.

– Nie – odparłem spokojnie, ale stanowczo. – To nie wchodzi w rachubę.

– Może powinno. Może pomógłby ci odnaleźć Maggie.

Poczułem ostre ukłucie wściekłości i bólu – powróciło żywe wspomnienie. Michael Carpenter, Rycerz Miecza i mój wierny przyjaciel, został straszliwie poraniony i pobity, gdy usiłował pomóc mi podczas jednej ze spraw. Dysponował Mieczem zespolonym z jednym z gwoździ z Krzyża, darem od jednego z archaniołów, i bronił świata przed realnymi, dosłownie rozumianymi siłami zła. To niezwykle krzepiące mieć go po swojej stronie. Wspólnie pakowaliśmy się w wiele absurdalnie niebezpiecznych sytuacji i wychodziliśmy z nich cało.

Poza ostatnim razem.

Michael z radością zakończył karierę pogromcy zła. Teraz chodził o lasce i spędzał czas na budowaniu domów oraz przebywaniu z rodziną, czego zawsze pragnął. Podejrzewałem, że dopóki pozostaje na emeryturze, jest częściowo chroniony przed nadprzyrodzonymi siłami ciemności. Nie

zdziwiłbym się, gdyby u jego boku stał prawdziwy anioł, gotowy bronić jego i jego bliskich. Coś jak Secret Service, tylko z mieczami, skrzydłami i aureolą.

– Nie – powtórzyłem. – On już się wycofał. Zasługuje na odpoczynek. Jeśli poproszę go o pomoc, na pewno mi jej udzieli, nie zważając na konsekwencje. Tylko że już nie jest w stanie chronić przed nimi siebie i swojej rodziny.

Molly wzięła bardzo głęboki wdech, a potem pokiwała głową, skupiając zmartwione spojrzenie na drodze.

– Masz rację – odrzekła. – W porządku. Po prostu...

– Tak?

– Chyba przywykłam do tego, że jest dostępny. Do świadomości, że... jeśli będę go potrzebowała, zawsze mi pomoże. Żyłam w przeświadczeniu, że jeśli sprawy naprawdę się skomplikują, on się *pojawi* – wyjaśniła, kładąc delikatny nacisk na ostatnie słowo.

Nie odpowiedziałem. Mój ojciec zmarł, kiedy byłem mały, zanim nauczyłem się, że istnieje coś silniejszego od niego. Przez całe życie funkcjonowałem bez jego wsparcia. Molly dopiero teraz uświadamiała sobie, że pod pewnymi względami musi liczyć tylko na siebie.

Zastanawiałem się, czy moja córka w ogóle wie, że ma ojca, że jest ktoś, kto rozpaczliwie pragnie się *pojawić*.

– Jeśli kupisz mieszkanie i pęknie ci rura, na pewno przyjdzie z pomocą – powiedziałem cicho. – Jeśli jakiś facet złamie ci serce, Michael wpadnie i przyniesie lody. Wielu ludzi nie ma ojców gotowych zrobić coś takiego. Najczęściej właśnie to jest najważniejsze.

Kilka razy zamrugła i pokiwała głową.

– Tak, ale...

Rozumiałem, co chce powiedzieć. Czasami naprawdę potrzebujesz, żeby ktoś wyważył drzwi i skopał kilka tyłków. A Michael nie mógł już tego zrobić dla swojej córki.

– Zawrzyjmy umowę, Molly – odezwałem się. – Jeśli kiedyś będziesz potrzebowała ratunku, ja się tym zajmę. Zgoda?

Popatrzyła na mnie załzawionymi oczami i kilkakrotnie pokiwała głową. Chwyła mnie za dłoń i mocno ścisnęła. Potem znów skupiła się na drodze

i dodała gazu.

Zatrzymaliśmy się w restauracji dla kierowców, a potem wróciliśmy do mojego mieszkania.

Kiedy wspiąłem się po schodach prowadzących do wejścia, poczułem, że ogarnia mnie złość. Drzwi leżały na podłodze. Nosiły kilka śladów po uderzeniach, ale nie zostały poważnie uszkodzone. Były naprawdę solidne. Niestety, drewniana rama była w kawałkach. Nie dało się ponownie wstawić drzwi bez generalnego remontu, który zapewne przekraczał moje możliwości.

Trząśłem się ze złości. Przecież nie mieszkałem w wieży z kości słoniowej ani Bag End. To była zwykła obskurna nora. Nic wielkiego, ale stanowiła jedyne miejsce, w którym czułem się bezpiecznie.

To był mój dom.

A Rudolph i jego ludzie go zdemolowali. Zamknąłem oczy i wziąłem głęboki wdech, próbując się uspokoić.

Molly dotknęła mojego ramienia.

– Nie jest tragicznie. Znam pewną złotą rączkę.

Westchnąłem i pokiwałem głową. Już wiedziałem, że kiedy to wszystko się skończy, Michael *pojawi się* także u mnie.

– Mam tylko nadzieję, że Mister niedługo wróci. Może będę musiał go gdzieś oddać, dopóki nie naprawię drzwi. – Ruszyłem w dół schodów. – Mam tylko nadzieję...

Myszek nagle nisko zawarczał.

Wyjąłem bojową różdżkę i postawiłem osłonę w niecałe dwie sekundy. Myszek nie jest przewrażliwiony. Nigdy nie słyszałem, żeby warczał, jeśli w pobliżu nie czaiło się jakieś niebezpieczeństwo. Zerknąłem w prawo i nie zobaczyłem Molly. Nowicjuszka zniknęła z pola widzenia jeszcze szybciej, niż ja przygotowałem się do obrony.

Przełknąłem ślinę. Słyszałem różne rodzaje warczenia u swojego psa. To nie brzmiało najbardziej ostrzegawczo, więc zapewne nie chodziło o siły mroku. Postura Mysza łączyła w sobie napięcie z odprężeniem i świadczyła raczej o zwykłej ostrożności, a nie gotowości do walki, jaką już u niego widywałem. Wywęszył coś, co uznał za niezwykle niebezpieczne, ale

niekoniecznie musiał od razu to zaatakować i unicestwić.

Powoli zszedłem po schodach z osłoną w pogotowiu i wyciągniętą przed siebie lewą dłonią, którą ułożyłem w ochronnym magicznym geście – kciuk, mały palec i palec wskazujący sztywne i rozczapierzone, a środkowe palce zgięte. W prawej dłoni ścisnąłem bojową różdżkę. W wyrzeźbionych runach kipiała szkarłatna energia, a z czubka bił jaskrawy kosmyk płomienia, który w każdej chwili mógł zadać niszczycielski cios, a zarazem oświetlał mi drogę. Myszek zszedł razem ze mną, trzymając się przy moim prawym udzie. Warczał jednostajnie, jak dobrze wyregulowany silnik samochodu.

Kiedy znalazłem się na dole, zauważyłem, że w kominku płonie ogień. Dzięki blaskowi bijącemu od paleniska i różdżki oraz zabłąkanym promieniom popołudniowego słońca całkiem wyraźnie widziałem swoje otoczenie.

FBI pewnie mogło gorzej potraktować moje mieszkanie. Zdjęli książki z półek, ale przynajmniej poukładali je w stertach, a nie rozrzucili po podłodze. Poprzesuwali meble i pozdejmowali poduszki, ale odłożyli je na miejsce. Niewłaściwie, ale jednak. Także moja kuchnia została skrupulatnie przeszukana, lecz nie była w ruinie.

To wszystko obchodziło mnie mniej niż dwa kokony o rozmiarach trumien zbudowane z czegoś, co przypominało zielony jedwab. Jeden z nich był przyklejony do sufitu, a drugi do ściany obok kominka. Z drugiego kokonu wystawała twarz Susan, obwisła i prawie nieprzytomna, z bezwładnie dyndającymi ciemnymi włosami. Na suficie widziałem tylko usta i kawałek podbródka, ale byłem przekonany, że należą do Martina. Wrócili do mojego mieszkania, zapewne po wyjściu federalnych, i dali się złapać.

– Myszku – szepnąłem. – Czujesz kordyt?

Pies potrząsnął łbem, jakby otrzepywał się z wody, a przywieszki na jego obroży zabrzęczały.

– Ja też nie – przyznałem. Zatem. Cokolwiek ich spotkało, wydarzyło się błyskawicznie, zanim niezwykle szybka Susan i niezwykle paranoiczny Martin zdążyli użyć broni.

Jeden z moich starych rozkładanych foteli stał zwrócony oparciem do

drzwi. Kiedy przekroczyłem próg, obrócił się (mimo że nie powinien, ponieważ nie był osadzony na mechanizmie, który by to umożliwił), a ja zobaczyłem, w cieniu i blasku płomieni intruzkę z moim kotem.

Była wysoka i bardziej niż piękna – jak większość sidhe. Skórę miała jasną i nieskazitelną, oczy ogromne, nieco skośne i szmaragdowe. Prawdę mówiąc, wyglądały niemal identycznie jak ślepiec Mistera, który siedział kobiecie na kolanach. Usta miała pełne i bardzo czerwone, a długie rude włosy, naznaczone śnieżnobiałymi kosmykami, opadały jedwabistymi lokami i falami na szmaragdowozieloną suknię.

Kiedy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się szeroko, ukazując spiczaste psie zęby, zarazem delikatne i drapieżne.

– Ach – odezwała się ciepłym tonem. – Harry. Tak dawno nie rozmawialiśmy.

Zadrżałem, ani na chwilę nie opuszczając różdżki. Miałem do czynienia z elfem, a liczne doświadczenia nauczyły mnie, że elfów, zarówno z Królestwa Lata, jak i Zimy, nie można lekceważyć. Tylko głupiec by im zaufał, ale z drugiej strony tylko szaleniec by ich obraził. Przywiązywali duże znaczenie do kurtuazji, etykiety i zasad gościnności. Złamanie tych zasad groziło... drastycznymi konsekwencjami ze strony władców Krainy Elfów.

Dlatego, zamiast wystrzelić i liczyć na zadanie zaskakującego ciosu, opuściłem różdżkę i wykonałem płytki, precyzyjny ukłon, nie odrywając wzroku od Leanansidhe.

– Rzeczywiście. Minęło dużo czasu, matko chrzestna.

– Nie jesteś ze mnie zadowolony? – spytała Leanansidhe. Wskazała wypielegnowaną dłonią dwa kokony, a potem wróciła do głaskania Mistera. – Natrafiłam na tych rozbójników plądrujących twoją małą jaskinię i... Jak to się mówi? – Uśmiechnęła się szerzej. – Aresztowałam ich.

– Widzę – odrzekłem.

– Z tego, co wiem o sprawach śmiertelników, wynika, że teraz czeka ich proces, a następnie... Jak śmiertelnicy nazywają morderstwo? Ach, egzekucja. – Jej rudozłociste brwi na chwilę się nastroszyły. – A może najpierw jest egzekucja, a potem proces? – Wzruszyła ramionami. – Mniejsza z tym. Tak czy inaczej, to bardziej kwestia semantyki. Harry, wołałbyś być sędzią, ławą przysięgłych czy katem?

Tylko na nią patrzyłem.

Kiedy ostatnio widziałem swoją elfią matkę chrzestną, wygłaszała tyrady i wściekała się jako dwie odrębne osobowości o różnych głosach, na wpół pogrzebana w lodowej płycie w samym sercu Zimowego Dworu. Odkąd skończyłem szesnaście lat, niestrudzenie mnie ścigała za każdym razem, gdy przechodziłem do Nigdynigdy, najwyraźniej zdeterminowana, by zmienić mnie w jednego ze swoich ogarów.

Na litość boską. Teraz nagle jest cała w skowronkach? Chroni moje mieszkanie? Proponuje zabawę w salę rozpraw, jakbym był dzieckiem, a Martin i Susan parą lalek?

– Nie chodzi o to, że nie cieszy mnie twój widok – odrzekłem. – Po prostu zastanawiam się, czego chcesz.

– Jedynie dbam o stan twojego ducha – odpowiedziała. – Czyż nie taka jest rola matki chrzestnej?

– Liczyłem na nieco bardziej konkretną odpowiedź.

Jej dźwięczny śmiech przypominał bicie dalekich dzwonów niosące się

ponad śniegiem.

– Moje słodkie dziecko. Nie nauczyłeś się niczego o elfach?

– Czy komukolwiek się to udało?

Głaskała futro Mistera smukłymi palcami.

– Sądzisz, że to niemożliwe?

– A ty nie?

– Jakie znaczenie ma moja opinia wobec prawdy?

– Będziemy przez cały dzień odpowiadać sobie pytaniem na pytanie?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Chciałbyś tego?

Uniosłem dłoń w geście kapitulacji.

Skloniła głowę, łaskawa zwyciężczyni. Lepiej ode mnie znała się na takich słownych potyczkach, w końcu miała kilka wieków praktyki.

Poza tym godna przegrana z gościem to również element tradycyjnej kurtuazji.

– Chciałbym, żebyś wypuściła tę dwójkę – odrzekłem, wskazując głową kokony. – Nie są włamywaczami. To moi goście. A w końcu jesteśmy w moim domu.

– Oczywiście, moje dziecko – przyznała potulnie. – Nic się nie stało.

Pstryknęła palcami i kokony zmieniły się w zieloną mgłę, która szybko się rozwiała. Susan bezwładnie opadła ze ściany, ale zdołałem ją złapać i delikatnie opuścić na podłogę.

Martin runął spod sufitu i wylądował na wytartym dywanie zakrywającym betonową posadzkę. Nikt go nie złapał, co było straszne. Po prostu straszne.

Szybko przyjrzałem się Susan. Nie miała żadnych widocznych zranień. Oddychała. Wyczuwałem jej puls. Na tym kończyła się moja wiedza medyczna. Rzuciłem okiem także na Martina, ale czekał mnie zawód. Był w takim samym stanie jak Susan.

Podniosłem wzrok na swoją matkę chrzestną. Mister leżał na jej kolanach brzuchem do góry, rozkoszując się dotykiem długich paznokci Leanansidhe. Jego pomruki nieprzerwanie pulsowały w pomieszczeniu.

– Co im zrobiłaś?

– Uśpiłam ich drapieżnego ducha – wyjaśniła spokojnie. – Biedne owieczki. Nie zdawały sobie sprawy, jak wiele sił z niego czerpały. Może to będzie dla nich użyteczną lekcją.

Zmarszczyłem czoło.

– Chcesz powiedzieć... ich wampirzą część?

– Oczywiście.

Przez chwilę siedziałem oszołomiony.

Jeśli naturę wampira u połowicznie przemienionych, takich jak Susan i Martin, można uśpić magią, to zapewne można z nią zrobić także inne rzeczy. Na przykład stłumić, być może trwale.

A nawet zniszczyć.

Poczułem, że w moim umyśle otwiera się furka prowadząca do nadziei, którą już dawno porzuciłem.

Może mógłbym ich oboje ocalić.

– Szukałem... – Pokręciłem głową. – Szukałem sposobu na... Spędziłem ponad... – Jeszcze mocniej pokręciłem głową. – Spędziłem ponad rok na poszukiwaniu sposobu, by... – Popatrzyłem na swoją matkę chrzestną. – Jak? Jak to zrobiłaś?

Odwzajemniła moje spojrzenie, a jej usta wygięły się w coś, co nie do końca było uśmiechem.

– Och, moje słodkie dziecko. Taka informacja to prawdziwy skarb. Co mógłbyś mi zaoferować w zamian za tak cenny klejnot wiedzy?

Zacisnąłem zęby.

– Z tobą zawsze trzeba się targować, prawda?

– Oczywiście, moje dziecko. Ale też zawsze dotrzymuję warunków umowy. Dlatego cię chronię.

– Chronisz? – spytałem ostro. – Przez prawie dwadzieścia lat próbowałaś zmienić mnie w psa!

– Tylko wtedy, gdy zdarzyło ci się zbłądzić poza świat śmiertelników – odparła jakby zaskoczona moimi pretensjami. – Moje dziecko, zawarliśmy umowę. A ty nie chciałeś jej dotrzymać. – Uśmiechnęła się szeroko do Myszka. – Poza tym psy są takie urocze.

Myszek obserwował ją spokojnymi, czujnymi ślepiami, a jego ciało trwało

w bezruchu.

Zmarszczyłem czoło.

– Przecież... sprzedawaś mój dług Mab.

– Otóż to. Zresztą za doskonałą cenę. Dlatego teraz wszystko, co dzieje się między nami, jest sprawą twojej matki. Chyba że wolisz zawrzeć nowy układ...

Zadrżałem.

– Nie, dziękuję. – W końcu opuściłem osłony. Leanansidhe się rozpromieniła. – Widziałem cię w wieży Mab – dodałem.

Coś mrocznego mignęło w jej szmaragdowych oczach i lekko odwróciła głowę.

– Zaiste – odrzekła cicho. – Widziałeś, co dla mojej królowej oznacza uleczenie dolegliwości.

– Jakiej dolegliwości?

– Ogarnął mnie obłąd – wyszeptała. – Odebrał mi tożsamość. Zdradzieckie dary... – Pokręciła głową. – Nie mogę dłużej o tym myśleć, ponieważ wtedy znów staję się podatna. Wystarczy, jeśli powiem, że czuję się już znacznie lepiej. – Pogładziła opuszką palca biały jak lód kosmyk we włosach. – Potęga mojej królowej zwyciężyła, a ja odzyskałam umysł.

– Dbasz o stan mojego ducha – wyszeptałem, po czym zamrugalem. – Ogród po drugiej stronie tego miejsca... On należy do ciebie.

– Zgadza się, moje dziecko. Nie wydawało ci się dziwne, że w tak niespokojnych czasach żaden z twoich wrogów – ani jeden – nie spróbował przedostać się tutaj z drugiej strony? Nie posłał zmaterializowanego ducha prosto do twojego łóżka, pod prysznic, do lodówki? Nie wrzucił do twojej szafy kosza żmij, które mogłyby się ukryć w twoich butach lub kieszeniach? – Pokręciła głową. – Moje słodkie dziecko. Gdybyś zawędrował dalej, zobaczyłbyś kopiec kości należących do wszystkich istot, które próbowały cię dosięgnąć, a które zniszczyłam.

– Tak, no cóż. Prawie do nich dołączyłem.

– Mniejsza z tym – odrzekła z uśmiechem. – Moi strażnicy zostali stworzeni, by atakować wszystkich intruzów. W końcu nie możemy przepuścić jakiegoś sprytnego zmiennokształtnego, prawda? – Westchnęła.

– Okrutnie rozprawiliś się z moimi pierwiosnkami. Naprawdę, moje dziecko, istnieją inne żywioły niż ogień. Powinieneś postarać się o nieco zróżnicowania. Teraz mam dwie ogromne gęby do wykarmienia zamiast jednej.

– Będę... ostrożniejszy następnym razem – obiecałem.

– Powinnam to docenić. – Przyjrzała mi się w milczeniu. – Tak było przez całe twoje życie. Podążam za tobą w świecie duchowym. Stworzyłam strażników i zabezpieczenia po drugiej stronie, żebyś mógł spokojnie spać. Czuwają nad twoim domem. Nawet nie masz pojęcia, jak wielu próbowało cię dopaść. – Uśmiechnęła się, ponownie ukazując lekko spiczaste psie zęby. – Próbowało i zawiodło.

To także tłumaczyło, dlaczego zawsze była w pobliżu, gdy wkraczałem do Nigdynigdy. W jaki sposób od razu wpadała na mój trop.

Ponieważ tam była, żeby mnie chronić.

Przede wszystkim przed sobą samą.

– Jeszcze jedno – dodała rzeczowym tonem. – Zostawiłeś spory zapas sprzętu w moim ogrodzie.

– To była sytuacja awaryjna.

– Tak podejrzewałam – odrzekła. – Oczywiście mogę go przypilnować albo zwrócić, jak wolisz. A gdybyś zginął, przekażę go wyznaczonemu spadkobiercy.

Roześmiałem się ze znużeniem.

– Oczywiście, że to zrobisz. – Zerknąłem na Myszka. – Co o tym sądzisz, piesku?

Myszek popatrzył na mnie, a następnie na Leę. Potem usiadł, ale wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

– Tak, ja też tak uważam – powiedziałem.

Leanansidhe się rozpromieniła.

– Dobrze, że wzięłaś sobie moje lekcje do serca, dziecko. Żyjemy w zimnym i obojętnym wszechświecie. Tylko dzięki sile ciała i umysłu możemy kierować własnym losem. Nie ufaj nikomu. Nawet swojemu obrońcy.

Przez chwilę się namyślałem.

Moja matka była bardzo przewidująca, gdy próbowała zadbać o moje bezpieczeństwo. Domyślała się, że w końcu zechcę poszukać i znaleźć swojego przyrodniego brata Thomasa. Czy przygotowała coś jeszcze? Coś, czego się nie spodziewałem?

Jak mam przekazać własne dziedzictwo swojemu dziecku, skoro mnie przy tym nie będzie? A zresztą jakim dysponuję dziedzictwem, nie licząc kolekcji magicznych sprzętów, jakie każdy mógłby zgromadzić bez niczyjej pomocy?

Moim jedynym prawdziwym skarbem była wiedza.

Ale niech mnie kule biją, wiedza to niebezpieczne dziedzictwo. Wyobraziłem sobie, co mogłoby się stać, gdybym w wieku piętnastu lat poznał tajniki magii, do których sam doszedłem dopiero po trzydziestce. Równie dobrze można by dać dziecku naładowany i odbezpieczony pistolet.

Potrzebowałem jakiegoś zabezpieczenia – czegoś, co zapobiegnie otrzymaniu przez moją córkę wspomnianego zasobu wiedzy, dopóki nie będzie wystarczająco duża, by mądrze go wykorzystać. Czegoś prostego, ale przemawiającego do wyobraźni dziecka. Dziecka maga.

Uśmiechnąłem się. Czymś takim może być umiejętność przyznania się do niewiedzy. Wyrażona w najprostszej możliwej formie: pytania. Już wiedziałem, że moja matka nie bez kozery nazywała się „LeFay”.

– Matko chrzestna – zagadnąłem spokojnie. – Czy moja matka zostawiła ci coś, co miałaś mi przekazać, gdy będę gotowy? Jakąś książkę? Mapę?

Lea bardzo powoli i głęboko odetchnęła, a jej oczy rozbliły się.

– No cóż – szepnęła. – No cóż, no cóż, no cóż.

– Tak było, prawda?

– Zaiste. Ale miałam cię uczciwie ostrzec, że to śmiercionośne dziedzictwo. Jeśli je przyjmiesz, musisz przyjąć także to, co się z nim wiąże.

– To znaczy? – spytałem.

Wzruszyła jednym ramieniem.

– U każdego to się objawia inaczej. Twoja matka straciła zdolność spokojnego snu. U ciebie może się wydarzyć coś gorszego. Albo nic.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem, aż w końcu pokiwałem głową.

– Chcę to przyjąć.

Lea nie odrywała ode mnie wzroku. Uniosła pustą dłoń, zacisnęła palce i znów je rozwarła.

Na jej dłoni leżał mały lśniący rubin, jaskrawy jak kropla krwi, przycięty do kształtu pięciokąta.

– Oto jej cała wiedza dotycząca Ścieżek – powiedziała Lea cicho. – Każdy szlak, każdy skrót, każde połączenie. Była tak wyszkolona w ich wyszukiwaniu, że w końcu nauczyła się je przewidywać. Ścieżki mogą się zmieniać wraz z upływem dziesięcioleci, ale twoja matka wiedziała, gdzie były, są i będą. Tylko nieliczni z mojego ludu to potrafią. – Zmrużyła oczy. – Ta wiedza to brzemię, które trzymam w dłoni, moje dziecko. Osobiście uważam, że cię zniszczy. Ale sam musisz dokonać wyboru.

Długo wpatrywałem się w klejnot, zmuszając się do spowolnienia oddechu. Wszystkie Ścieżki. Zdolność podróżowania po całym świecie, bez ograniczeń geografii. Taka wiedza mogła zapewnić zwycięstwo w wojnie z Czerwonym Dworem jeszcze przed jej wybuchem. Ktokolwiek posiada taką wiedzę, może drwić z wszelkich praw i unikać kar, tak ze strony śmiertelników, jak i mieszkańców nadprzyrodzonych krain. Może udać się wszędzie. Przede wszystkim uciec. Zgromadzić więcej informacji niż ktokolwiek.

Na dzwony piekieł. Ten lśniący klejnocik krył w sobie niezrównany potencjał. Cóż za potęga.

Cóż za pokusa.

Zastanawiałem się, czy zdołam nad nią zapanować. Nie jestem świętym.

Ale zarazem nigdy nie widziałem narzędzia, które bardziej mogłoby pomóc ojcu w uratowaniu córki. Niezależnie od tego, gdzie się znajdowała, mogłem się do niej przenieść. Dotrzeć do niej i ją uwolnić.

Maggie.

Wyciągnąłem rękę i zabrałem klejnot z dłoni matki chrzestnej.

– Harry! – zawołała z salonu Molly. – Chyba się budzą.

Stęknąłem i przyjrzałem się swojemu pięciokątnemu naszyjnikowi. Mały rubin najwyraźniej przycięto z myślą o tym konkretnym elemencie biżuterii. Przynajmniej zanim zostałem zmuszony, by użyć naszyjnika jako srebrnego pocisku. Mój mały pentagram, pięcioramienna gwiazda wpisana w okrąg, wypaczył się pod wpływem ekstremalnych obciążeń, jakim go poddałem. Prostowałem go za pomocą zestawu narzędzi jubilerskich, których używałem do przebudowywania makiety Chicago.

Klejnot nagle wskoczył z trzaskiem w środek pięciokąta. Kilkakrotnie potrząsnąłem naszyjnikiem, ale rubin nie wypadł. Mimo wszystko nie chciałem ryzykować. Odwróciłem go i wysmarowałem tylną stronę klejem. Wiedziałem, że po wyschnięciu nie będzie to wyglądało ładnie od frontu, ale musiałem się śpieszyć.

– Wystarczy, ty niechluj – mruknąłem pod nosem.

Podniosłem wzrok na półkę Boba, na której rozłożył się Mister, używając dwóch książek w miękkiej oprawie jako poduszek. Dla rozrywki drapał pazurami górkę stopionego wosku ze świecy. Zamruczał, kiedy poczochrąłem go za uszami. Obiecałem sobie, że wkrótce odzyskam Boba. Na razie, podobnie jak Miecze, był zbyt cenny i groźny, by pozostawić go bez opieki. W krwiożerczym ogrodzie Lei zapewne byli bezpieczniejsi niż w moim mieszkaniu.

Zostawiłem amulet matki i lśniący rubin na stole, żeby klej mógł wyschnąć, po czym wspiałem się po schodkach.

Wcześniej przeniósłem Susan na sofę, wsunąłem jej poduszkę pod głowę i okryłem kocem. Molly zdołała wtoczyć Martina na karimatę i również przyniosła mu poduszkę oraz kocyk. Myszek ułożył się do snu na podłodze obok Martina. Chociaż miał zamknięte oczy i cicho pochrapywał, jego uszy

drżały pod wpływem każdego dźwięku.

Kiedy byłem w laboratorium, Molly posprzątała mieszkanie. Zapewne wiedziała lepiej ode mnie, gdzie powinny stać naczynia. A może wszystko przeorganizowała. Tak czy inaczej, byłem pewien, że kiedy następnym razem zapragnę usmażyć pojedyncze jajko, znajdę małą patelnię dopiero po tym, jak użyję dużej i ją wyszoruję.

Przysiadłem obok Susan, a ona drgnęła i coś szepnęła. Potem gwałtownie wypuściła powietrze nosem i szeroko otworzyła oczy, jakby wpadła w panikę.

– Spokojnie – powiedziałem od razu. – Susan. To ja, Harry. Nic ci nie grozi.

Wyglądało na to, że moje słowa dotarły do niej dopiero po kilku sekundach. Wtedy uspokoiła się, kilkakrotnie zamrugnęła i obróciła głowę w moją stronę.

– Co się ze mną stało? – spytała.

– Omyłkowo wzięto cię za intruza – wyjaśniłem. – Zostałaś trafiona czarem, który cię uśpił.

Z wysiłkiem zmarszczyła czoło.

– Och. Śniło mi się...

– Tak?

– Śniło mi się, że klątwa zniknęła. Że byłem człowiekiem. – Pokręciła głową z gorzkim uśmiechem. – Myślałam, że ten sen już przestał mnie dręczyć. Co z Martinem?

– Jestem tutaj – wybełkotał Martin. – Nic mi nie jest.

– Ale może nie na długo – odrzekłem. – Osłony w mieszkaniu zostały zdjęte. Jesteśmy nadzy.

– No cóż – odparł Martin zjadliwym tonem. – Chyba już się nauczyliśmy, do czego to prowadzi.

Susan przewróciła oczami, ale potem posłała mi spojrzenie i delikatny uśmiech, które były jak ogień.

Tak. Było naprawdę świetnie.

– Odkryliście, kto nas śledzi? – spytałem.

– Okazało się, że mieliśmy aż trzy ogony. Miejscowe agencje

detektywistyczne – wyjaśnił Martin. – Zapłacono im z góry za śledzenie nas od chwili, gdy tutaj przyjechaliśmy. Wszyscy inaczej opisali kobietę, która ich wynajęła, ale we wszystkich relacjach była ona niewiarygodnie piękna.

– Arianna? – spytałem.

Martin stęknął.

– Zapewne. Najstarsi z nich mogą nosić dowolną cielesną maskę i wychodzić w ciągu dnia, ukryci przed słońcem w cieniu swojego przebrania.

Uniosłem brwi. To było coś nowego. Nie zdawałem sobie sprawy, że Strażnicy dysponują takimi informacjami. Martin zapewne był trochę oszołomiony po swojej drzemce.

– Jak długo byliśmy nieprzytomni? – spytała Susan.

– Dotarłem tutaj około pięciu godzin temu. Już zaszło słońce.

Na chwilę zamknęła oczy, jakby zbierała siły, a potem pokiwała głową.

– No dobrze. Martin i ja musimy ruszać.

– Dokąd? – spytałem.

– Na lotnisko – odpowiedział Martin. – Powinniśmy być w Newadzie późnym wieczorem albo wczesnym rankiem. Dobierzemy się do magazynu i poszukamy kolejnych informacji.

– Już o tym rozmawialiśmy, Harry – dodała cicho Susan. – Nie możesz latać, a liczy się każda chwila. Samolotem dotrzemy na miejsce w siedem godzin. Samochodem zajęłoby nam to dwa dni. Nie mamy na to czasu.

– Tak, to ma sens – przyznałem.

Martin wstał i przeciągnął się przy wtórze strzelających stawów.

– Wejście na teren obiektu może wymagać wcześniejszego rozpoznania. Będziemy musieli ustalić słabe punkty, trasy patroli i tak dalej, zanim...

Przerwałem mu, kładąc zamasyżuje kartkę z notatnika na blacie stołu.

– Magazyn opiera się o zbocze kamienistego wzgórza. Na podwórzu otoczonym czterometrowym ogrodzeniem z drutem kolczastym stoją kontenery. Droga prowadzi do wzgórza, a następnie w głąb jaskiń, które albo specjalnie wykuto, żeby zyskać dodatkową przestrzeń, albo przejęto po zakończeniu jakiejś operacji wydobywczej. – Wymieniając kolejne miejsca, wskazywałem różne punkty na kartce.

– Mają jedną wieżyczkę ze strażnikiem uzbrojonym w długolufowy karabin z lunetą. Dwie osoby z psami patrolują teren wzdłuż ogrodzenia. Są wyposażone w mniejszą broń palną...

– Karabinki automatyczne – zawołała Molly wesoło z kuchni.

– ...oraz granaty odłamkowe. Nie śpieszy im się. Pełna runda zajmuje im mniej więcej dwadzieścia minut; potem wchodzą do budynku, żeby się napić, i dopiero wtedy wracają na patrol. Kamery monitoringu są tutaj, tutaj i tutaj, a po liczbie samochodów na parkingu dla pracowników wnioskuje, że podziemna część obiektu jest bardzo duża i zapewne znajdują się tam koszary dla ochroniarzy.

Pokiwałem głową.

– Tak to wygląda na powierzchni, ale nie mamy szansy wcześniej dostać się do środka, żeby trochę się rozejrzeć. Nie powinniśmy mieć problemów. Zbliżywszy się pod osłoną, ja zakłócę komunikację. Odwrócimy ich uwagę, a kiedy wybiegną posiłki, dostaniemy się do środka. Przy odrobinie szczęścia uda nam się zamknąć budynek od środka, żeby nie mogli wrócić. Potem to już tylko kwestia...

Urwałem, widząc, że Martin i Susan wbijają we mnie wzrok z szeroko otwartymi ustami.

– No co? – spytałem.

– Jak... – zaczął Martin.

– Skąd... – odezwała się Susan.

Molly nawet nie próbowała stłumić chichotu.

– Skąd wiem? – Podniosłem ze stołu starą lornetkę. – Wybrałem się tam, żeby rzucić okiem. Podróż w jedną stronę zajęła mi kwadrans. Mógłbym was zabrać, ale jeśli wolicie samolot, to nie ma sprawy. Zaczekam na was.

Martin torpedował mnie wzrokiem.

– Ty... – zaczęła Susan, a w jej głosie zabrzmiało coś w rodzaju gniewu. Potem odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem. – Ty niemożliwa, arogancka świnię – powiedziała z czułością. – Nie doceniałam cię. W sytuacjach podbramkowych nie zawsze działasz z klasą, ale można na tobie polegać.

– Mam nadzieję – odrzekłem cicho, po czym wstałem. – Lepiej coś zjedzcie. Muszę jeszcze popracować w laboratorium nad czymś, co może

nam pomóc. Ruszamy za godzinę.

Wyjechaliśmy po pięćdziesięciu pięciu minutach.

Niebieski Chrabąszcz pękał w szwach, ale musieliśmy pokonać tylko kilka przecznic. Wejście na właściwą Ścieżkę znajdowało się w bocznej uliczce za jedną z kamienic w typowej chicagowskiej dzielnicy. Robiło się późno, więc nie było dużego ruchu. Myszek podążał za nami, trzymając się w cieniu i bez trudu nadążając za samochodem.

To świadczy jedynie o potędze mojego psa, a nie o słabości mojego auta. Naprawdę.

Molly zatrzymała się u wlotu uliczki. Rozejrzała się nerwowo, gdy wysiadaliśmy. Pomogłem Susan wstać z ciasnego tylnego siedzenia, a potem przytrzymałem otwarte drzwi, gdy Myszek wskakiwał na miejsce pasażera.

Podrapałem go za uszami i nachyliłem się w stronę Molly.

– Możesz iść na kawę. Wrócimy za godzinę, najwyżej półtorej.

– A jeśli nie wrócicie? – spytała. Odruchowo zanurzyła palce w futrze Myszka. – Co mam wtedy zrobić?

– Jeżeli się nie pojawimy, wracaj do domu swoich rodziców. Tam się z tobą skontaktuję.

– Ale co, jeśli...

– Molly – przerwałem jej stanowczo. – Jeśli będziesz próbowała wszystko dokładnie zaplanować, nigdy nie ruszysz z miejsca. Bierz się do roboty. I nie pozwól, żeby pies wszedł ci na głowę. Ostatnio zrobił się przemądrzały.

– Dobrze, Harry – odrzekła, nie kryjąc niezadowolenia. Wyjechała na ulicę, a Myszek obrócił łeb i patrzył na nas, gdy samochód się oddalał.

– Biedne dziecko – odezwała się Susan. – Nie lubi być wykluczona.

Stęknąłem.

– Mała jest wystarczająco silna, żeby pokonać całą naszą trójkę, gdyby udało jej się nas zaskoczyć – odparłem. – Nie chodzi o to, że jest za słaba.

– Wcale nie o tym mówię.

– Więc o co ci chodzi?

Susan spoważniała i uniosła brwi.

– Dobry Boże. Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy.

– Z czego?

Pokręciła głową, a jeden kącik jej ust uniósł się w znajomym uśmiechu. Ten widok sprawił, że drgnęło mi serce, jeśli to w ogóle możliwe.

– Molly ma do ciebie słabość, Harry.

Zmarszczyłem czoło.

– Wcale nie. Już na początku to sobie wyjaśniliśmy. Nic z tego.

Susan wzruszyła jednym ramieniem.

– Może ty to sobie wyjaśniłeś, ale nie ona. Jest zakochana.

– Nieprawda – odparłem, krzywiąc się. – Chodzi na randki i tak dalej.

– Powiedziałam, że jest zakochana, a nie martwa. – Patrzyła na mnie z obojętną miną. – Albo na wpół umarła. – Przez chwilę patrzyła w ślad za moim samochodem. – Mogę zdradzić ci coś, czego dowiedziałam się w ciągu ostatnich kilku lat?

– Chyba tak.

Odwróciła się w moją stronę z poważną miną.

– Życie jest za krótkie, Harry. I jest w nim zdecydowanie za mało radości. Jeśli ją znajdziesz, chwytaj śmiało, zanim zniknie.

Te słowa sporo ją kosztowały. Starła się to ukrywać, ale za dobrze ją znałem. Wyrażenie tych myśli sprawiło jej autentyczny ból. Chciałem ponownie się z nią nie zgodzić, ale się zawahałem.

– Nigdy nie przestałem cię kochać – powiedziałem w końcu. – Nigdy nie chciałem, żebyś odeszła.

Lekko się odwróciła, a włosy opadły na jej twarz jak zasłona. Potem z trudem przełknęła ślinę i odrzekła drżącym głosem:

– Ja też nie. Ale to nie znaczy, że możemy być razem.

– Pewnie nie.

Nagle zacisnęła pięści i wyprostowała plecy.

– Nie mogę tego robić. Nie teraz. Musimy się skupić. Muszę... – Pokręciła głową i odeszła. Dotarła do końca przecznicy i zatrzymała się, głęboko

i powoli oddychając.

Zerknąłem na Martina, który stał oparty o ścianę budynku i jak zwykle miał obojętną minę.

– No co? – warknąłem na niego.

– Wydaje ci się, że to, co czujesz w sprawie porwania swojej córki, to wściekłość, Dresden. Ale to nieprawda. – Wskazał Susan podbródkiem. – Oto prawdziwa wściekłość. Ona знаła Mendozów, rodziców zastępczych, i kochała ich jak swoją rodzinę. Weszła do ich domu i znalazła ich. Znalazła ich dzieci. Wampiry dosłownie rozerwały ich na strzępy. Jedno z dzieci Mendozów miało trzy latka. Dwoje było w wieku Maggie.

Nic nie odpowiedziałem. Wyobraźnia podsunęła mi straszliwe obrazy.

– Znalezienie wszystkich kawałków zajęło nam pół godziny – ciągnął Martin spokojnie. – Musieliśmy je dopasować jak elementy układanki. A przez cały ten czas żądza krwi doprowadzała nas oboje do szaleństwa. Mimo że Susan знаła tych ludzi. Mimo że bała się o swoją córkę. Wyobraź sobie przez chwilę. Wyobraź sobie, jak Susan tam stoi, walcząc z pragnieniem zatopienia zębów w zakrwawionej kończynie, chociaż wie, że ta urwana nóżka może należeć do jej córki. Widzisz to?

W tej chwili raczej nie potrafiłbym tego uniknąć.

– Dopiero kiedy układanka była gotowa, zrozumieliśmy, że Maggie uprowadzono – kontynuował Martin, spokojnym i grzecznym tonem. – Susan ledwo się trzyma. Jeśli straci nad sobą kontrolę, ktoś zginie. Możliwe, że także ona. – Spojrzenie Martina stało się twarde i lodowate. – Dlatego byłbym wdzięczny, gdybyś jej, kurwa, nie dręczył i nie rozbudzał jej emocji na pięć minut przed wtargnięciem do silnie strzeżonego magazynu.

Obejrzałem się przez ramię na Susan. Wciąż stała do nas tyłem, ale właśnie energicznie związywała włosy w kucyk.

– Nie wiedziałem – odrzekłem.

– W tej sytuacji emocje stanowią przeszkodę – wyjaśnił Martin. – Nie pomogą Rodriguez. Nie pomogą dziewczynce. Proponuję, żebyś je powściągnął, dopóki nie będzie po wszystkim.

– O czym rozmawiacie? – spytała Susan, podchodząc.

– Eee, o naszej wyprawie – odpowiedziałem, ruszając przodem w głąb

uliczki. – To nie potrwa długo, jakieś trzydzieści sekund spaceru równym korytarzem. Ale jest tam ciemno i lepiej wstrzymajcie oddech i zatkajcie nos.

– Dlaczego? – spytała Susan.

– Jest tam pełno metanu i tlenku węgla, między innymi. Jeśli użyjecie jakiegoś źródła światła, możecie spowodować wybuch.

Susan uniosła brwi.

– A twój amulet?

Pokręciłem głową.

– Jego światło tak naprawdę jest... Ech, to zbyt skomplikowane, żebym to teraz objaśniał. W każdym razie istnieje niewielkie ryzyko, że amulet wywoła eksplozję. To tak jak w przypadku ostrzeżeń przed wylądowaniami elektrycznymi na stacjach benzynowych. Po co się narażać?

– Aha, czyli mamy przejść na oślep przez tunel pełen trujących gazów, które mogą wybuchnąć pod wpływem najmniejszej iskry – odparła Susan.

– Tak.

– A ty... jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– To fatalny pomysł – odrzekłem. – Ale nie ma szybszej drogi do magazynu. – Dotknąłem opuszkami palców czerwonego kamienia na swoim amulecie, gdy zbliżyłem się do wejścia na Ścieżkę. To były stare, zamurowane drzwi na parterze bloku.

Usłyszałem cichy głos dochodzący z nieznanego źródła – kobiety, gardłowy i spokojny. Głos mojej matki. Zmarła wkrótce po moich narodzinach, ale byłem pewien, jak niczego w swoim życiu, że to ona do mnie mówi. Wypełniło mnie ciepło, jakbym usłyszał ulubiony utwór muzyczny, którego nie słuchałem od lat.

– W korytarzu po drugiej stronie jest pełno metanu i tlenku węgla o niebezpiecznym stężeniu, a także innych gazów. Mieszanka sprawia wrażenie lotnej, a po drugiej stronie nigdy nie ma pewności, jaki rodzaj energii może spowodować wybuch. Czterdzieści dwa kroki do przeciwległego końca, za którym znajduje się górski łańcuch niedaleko Corwin w Newadzie. – Na chwilę zapadła cisza, a potem ten sam głos znów się odezwał, zdyszany i drżący. – Uwaga! Korytarz nie jest pusty. Coś próbowało mnie chwycić, gdy przechodziłam. – Kilka razy zakaszłała. –

Uwaga numer dwa: następnym razem, kiedy będziesz musiała wybrać się do Corwin, nie wkładaj sukienki, głuptasie. Jakiemuś farmerowi zbieleje oko.

– Może to był grue[2] – mruknąłem z uśmiechem.

– Co mówiłeś? – spytała Susan.

– Nic – odrzekłem. – Nieważne. – Położyłem dłoń na drzwiach i poczułem, że ustępują pod moimi palcami jak guma. Granica między światami ciała i ducha była tutaj słaba. Wzięłem głęboki wdech, przywołałem nieco siły woli i szepnąłem: – *Aparturum*.

Krąg ciemności zaczął gwałtownie rozszerzać się wokół mojej dłoni, zachodząc także na ścianę. Nie pozwoliłem, żeby zbyt szybko urósł. Brama w końcu sama się zamknie, ale im będzie mniejsza, tym szybciej to nastąpi, a nie chciałem, by jakiś biedny głupiec przez nią przeszedł.

Oczywiście, nie licząc obecnych.

Obejrzałem się na Susan i Martina.

– Susan, chwyć się mojego płaszcza. Martinie, złap się jej ubrania. Nabierzcie dużo powietrza, załatwimy to szybko i po cichu.

Obróciłem się w stronę Ścieżki, wzięłem głęboki wdech i ruszyłem naprzód.

Klejnót matki nie wspominał, że będzie tam tak gorąco. Kiedy po raz pierwszy wszedłem do tego korytarza, miałem wrażenie, że znalazłem się w trzech saunach zagnieżdżonych w sobie nawzajem jak rosyjskie matrioski. Wymacałem prawą ścianę i zacząłem iść przed siebie, licząc kroki. Były krótsze niż zwykle, dzięki czemu idealnie dostosowałem się do chodu mamy. Dotarłem do wyjścia po czterdziestu trzech krokach.

Znów wyteżyłem siłę woli, wyszeptałem kolejne słowo i otworzyłem drugą bramę, po czym wyszedłem na zimny górski wiatr o zmierzchu. Susan i Martin wyszli za mną i jednocześnie odetchnęliśmy. Znajdowaliśmy się na górzystym pustkowiu porośniętym surową, włóknistą roślinnością i zamieszkanym przez szybką, bezgłośną zwierzynę. Okrągłe przejście za moimi plecami wisiało w powietrzu przed czymś, co przypominało dawno zamurowane wejście do starej kopalni.

– Którędy teraz? – spytał Martin.

– Osiemset metrów w tamtą stronę – powiedziałem i ruszyłem przodem.

Musiałem przyznać, że to doskonała kryjówka. Znajdowaliśmy się w samym sercu łańcucha pustynnych wzgórz, daleko od wszelkiej cywilizacji. Budynki stały na granitowej półce w głębi kanionu. Prowadziła do nich pojedyncza droga, a dno kanionu było szerokie, puste i pozbawione nierówności terenu, na przykład głazów, za którymi można by się schować. Zbocza były całkowicie pionowe. Nikt nie mógł tutaj dotrzeć od góry bez stumetrowej liny albo śmigłowca.

Albo pomocy maga.

– No dobrze – odezwałem się. Wieczór robił się coraz zimniejszy. Kiedy mówiłem, z moich ust wydobywała się para. – To dla was. Wypijcie połowę. Resztę zachowajcie. – Podąłem Martinowi i Susan próbówki z jasnoniebieskim płynem.

– Co to jest? – spytała Susan.

– Spadochron – wyjaśniłem. – Technicznie to mikstura latania, ale ją rozwodniłem. Powinna umożliwić nam bezpieczne dotarcie na dno doliny.

Martin łypnął na swoją próbówkę, a potem na mnie.

– Harry – zaczęła Susan. – Kiedy ostatnio wypijałam jedną z twoich mikstur, zrobiło się... niezręcznie.

Przewróciłem oczami.

– Po wylądowaniu przetoczcie się – poradziłem, a następnie wypilem połowę swojej mikstury i zszedłem z krawędzi urwiska.

Latanie to niełatwa sztuka dla maga. Zdolności każdego z nas działają nieco inaczej, dlatego musimy się uczyć metodą prób i błędów. A skoro latanie zazwyczaj oznacza poruszanie się z dużą prędkością wysoko nad ziemią, pierwsza pomyłka niedoszłego aeromanty oznacza nagłe skrócenie kariery (i życia).

Latanie jest trudne – ale za to spadanie łatwe.

Runąłem w dół, stale przyśpieszając, aż w końcu moja prędkość ustabilizowała się na poziomie około dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Wkrótce dotarłem do dna doliny i przetoczyłem się, by rozproszyć energię uderzenia. Wstałem i otrzepałem ubranie. Susan i Martin wylądowali w pobliżu i również się podnieśli.

– Nieźle – oceniła Susan. Na próbę wybiła się w powietrze i z uśmiechem

powoli opadła na ziemię. – Czadowa sprawa. Potem wypijemy więcej, żeby wspiąć się na górę?

– To zbrocze nie powinno nam wtedy sprawić kłopotu – odrzekłem. – Ale będziemy musieli się śpieszyć. Mikstura działa mniej więcej dwadzieścia minut.

Susan pokiwała głową, poprawiając paski małego plecaka.

– Jasne.

– Trzymajcie się blisko mnie – poleciłem. – Nie zdołam nas wszystkich osłonić, jeśli nie będziecie w zasięgu ręki.

Posłuchali mnie i po kilku sekundach skupienia otoczyłem nas zasłoną, która powinna uczynić nas niewidocznymi, a także rozproszyć nasze ciepło. Nie była idealna. Nadal dało się nas dostrzec za pomocą noktowizji. Liczyłem na to, że strażnicy pilnujący tak odizolowanego budynku nie muszą często interweniować. Na pewno popadli w wygodną rutynę, która skutecznie stępiła ich czujność. Taka jest ludzka natura.

Zachęciłem swoich towarzyszy gestem i razem ruszyliśmy w stronę budynku. Nie przemykaliśmy między cieniami ani nie pomalowaliśmy twarzy na maskujące barwy. Zakłęcie wystarczyło. Po prostu maszerowaliśmy przez nierówny teren, skupiając się na tym, by trzymać się blisko siebie. Byłoby to nawet przyjemne, gdyby nie obecność Martina.

Zatrzymałem się, kiedy znaleźliśmy się trzydzieści metrów od ogrodzenia. Uniosłem laskę, wskazałem pierwszą kamerę monitoringu i szepnąłem: – *Hexus*.

Nie przywykłem do podtrzymywania tak wymagającego zakłęcia jak zasłona jedną ręką i jednoczesnego rzucania kolejnego zakłęcia drugą – nawet tak prostego jak klątwa technologiczna. Przez chwilę miałem wrażenie, że stracę zasłonę, ale w końcu się ustabilizowała. Światelko na kamerze zgasło.

Przemierzaliśmy się po obwodzie terenu, a ja czarami zmieniałem kolejne dwie kamery w bezużyteczny złom, ale kiedy załatwiłem kamerę numer trzy, Susan chwyciła mnie za rękę i coś wskazała. Zbliżał się pieszy patrol.

– Pies nas wyczuje – zauważyła.

Martin wyjął pistolet spod kurtki i przykręcił tłumik.

– Nie – prawie warknąłem.

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i znalazłem drugą miksturę, którą sporządziłem, przygotowując się do wyprawy. Znajdowała się w delikatnej szklanej kuli o ściance grubości kartki. Rzuciłem kulę w stronę dróżki, którą nadchodziło zwierzę, i usłyszałem cichy brzęk.

Dwaj strażnicy z psem minęli miejsce, w którym zostawiłem swoją niespodziankę, a czworonóg zaczął węszyć z zainteresowaniem. Potem szarpnął łbem i dogonił strażników, a cała trójka przeszła obok nas, nawet nie zerkając w naszą stronę.

– Pies do rana odzyska zmysły węchu i słuchu – wyszeptałem. – Ci goście tylko wykonują swoją pracę. Nie będziemy ich za to zabijać.

Martin sprawiał wrażenie zakłopotanego. Wciąż trzymał pistolet w dłoni.

Dotarliśmy do miejsca, w którym ogrodzenie stykało się ze ścianą kanionu, naprzeciwko dużego parkingu. Susan wyjęła nożyce do cięcia drutu. Rozwarła je i już miała zabrać się do pracy, gdy nagle Martin chwycił ją za nadgarstek, nie pozwalając jej dotknąć ogrodzenia.

– Jest pod prądem – wyszeptał. – Dresden.

Stęknąłem. Kiedy o tym powiedział, odniosłem wrażenie, że też to wyczuwam – niemal słyszalny szum prądu, od którego włoski stawały mi dęba na rękach. Rzucenie kłatwy na sprzęt z mikroprocesorem jest łatwe. Zakłócenie przepływu prądu w przewodniku to znacznie trudniejsza sprawa. Użyłem swojego najlepszego heksa na drucie łączącym ogrodzenie z linią elektryczną i zostałem nagrodzony smrodem palonej gumy. Martin dotknął siatki grzbietem dłoni. Prąd go nie przypalił.

– W porządku – szepnęła Susan i zabrała się do przecinania drutów, wykonując cięcia tylko w chwilach, gdy zrywały się najsilniejsze podmuchy wiatru, które zagłuszały szcęk nożyc. – Gdzie jest to odwrócenie uwagi?

Mrugnąłem do niej, uniosłem różdżkę, wcisnąłem ją w jeden z otworów w siatce i starannie wycelowałem. Potem zerknąłem na strażnika na wieży, upewniając się, że patrzy w inną stronę.

– *Fuego, fuego, fuego, fuego* – wyszeptałem.

Malutkie kule przygaszonego czerwonego światła zamigotały nad

ogrodzonym terenem i parkingiem. Z sykiem stopiły tylną dolną część karoserii kilku samochodów, docierając do baków.

Skutki były łatwe do przewidzenia. Wybuch baku z paliwem nie jest tak głośny jak eksplozja bomby, ale kiedy stoi się w odległości kilku metrów, trudno zauważyć różnicę. Rozległo się kilka głuchych eksplozji, a zaatakowane pojazdy rozbłyły i z rykiem stanęły w płomieniach.

Strażnik na wieży zaczął coś krzyczeć do krótkofalówki, ale najwyraźniej nie uzyskał odpowiedzi. Nic dziwnego. Druga kamera znajdowała się na szczycie jego wieży, a heks, który ją unieszkodliwił, prawdopodobnie popsuł też jego radiostację. Korzystając z tego, że miał pełne ręce roboty, Susan, Martin i ja prześlizgnęliśmy się przez otwór w ogrodzeniu i rozpląnęliśmy się w cieniu u podstawy jednego z kontenerów.

Samochód zaparkowany pomiędzy dwoma płonącymi autami zajął się ogniem, a pożar jeszcze przybrał na sile. Kilka sekund później w kilku miejscach na terenie obiektu zamigotały czerwone światła i rozległ się dźwięk ostrzegawczej syreny. Potężne metalowe wrota prowadzące do magazynu zaczęły się podnosić jak drzwi garażu.

Dwaj strażnicy i ich tymczasowo upośledzony owczarek niemiecki wybiegli jako pierwsi, a po chwili podążyło za nimi dziesięciu facetów w mniej więcej takich samych mundurach. Wyglądało na to, że niektórzy właśnie zerwali się z łóżka i włożyli to, co akurat wpadło im w ręce. Kilku ciągnęło gaśnice, jakby mogły się okazać skuteczne wobec tak dużych pożarów. Powodzenia, chłopcy.

Kiedy ostatni ze strażników minął naszą kryjówkę, wytrzeszczając oczy na płonące auta, pośpiesznie ruszyłem naprzód, wkładając całą moc w zasłonę, licząc na to, że Martin i Susan będą się trzymali blisko. Tak zrobili. Przeszliśmy przez duże garażowe drzwi i zeszliśmy po długiej rampie w głąb budynku.

– Idźcie przodem – odezwał się Martin. Podbiegł do tablicy kontrolnej na ścianie i wyjął z kieszeni jakieś wielofunkcyjne narzędzie. – Zamknę drzwi.

– Tylko żebyśmy później mogli je otworzyć – mruknąłem.

– Tak, Dresden – odparł oschle. – Robiłem to przez sześćdziesiąt lat, zanim się urodziłeś.

– Lepiej wyłącz niewidzialność, Harry – poradziła Susan. – To, czego szukamy, może się znajdować w komputerze, więc...

– Więc dam sobie spokój z magią, dopóki się nie upewnimy. Zrozumiałem.

Ruszyliśmy w głąb obiektu. Jaskinie wnikały bardzo głęboko w skałę, a czterystumetrowa kręta rampa sprowadziła nas o mniej więcej sto metrów pod ziemię. Powietrze stało się chłodniejsze, jak w typowej jaskini.

Ale oprócz tego wyczuwałem wokół siebie wyraźny duchowy chłód. Otaczała nas złowroga energia, gęsta jak zmrożony miód. Triumfalna i zarazem żalosna atmosfera przywoływała na myśl starego Smauga zawistnie drzemiącego na swoim skarbie. Właśnie dlatego Czerwony Dwór ukrywał tutaj swoje mroczne skarby. Taka energia nie stanowiła bezpośredniego zagrożenia, ale w prosty sposób zazdrośnie chroniła magiczne narzędzia przed upływem czasu.

Rampa doprowadziła nas do większej strefy, która kojarzyła mi się z wewnętrznymi korytarzami sportowego stadionu. Naprzeciwko nas znajdowały się trzy pary drzwi. Jedne były lekko uchylone i widniał na nich napis KWATERY MIESZKALNE. Na drugich, zamkniętych, napisano ADMINISTRACJA.

Ostatnie drzwi, duże i stalowe jak w skarbcu, oznaczono napisem MAGAZYN. Przed nami ciągnęła się betonowa rampa załadunkowa z krawędziami pomalowanymi w żółto-czarne paski, zapewne dopasowana wysokością do dużej transportowej furgonetki zaparkowanej w pobliżu.

No a przed drzwiami skarbcza stali dwaj strażnicy uzbrojeni w nieprzyjaźnie wyglądające czarne śrutówki.

Susan się nie wahała. Ruszyła z niemal nadnaturalną szybkością, a jeden ze strażników upadł, zanim się zorientował, że z kimś walczy. Drugi zdążył odwrócić się w moją stronę i otworzył ogień. Tak się śpieszył, że nie wycelował. Ludzie uważają, że ze śrutówki trafią we wszystko, co znajduje się przed nimi, ale to nieprawda. Użycie takiej broni pod presją wymaga znacznych umiejętności, a spanikowanemu strażnikowi ich zabrakło. Śrut zabrzęczał wokół mnie jak wściekłe osy, a ja zrobiłem trzy szybkie kroki w lewo i zanurkowałem w otwartych drzwiach koszar, schodząc z linii

strzału.

Z zewnątrz dobiegł ostry trzask, który być może towarzyszył uderzeniu rękojeści broni o czaszkę, a potem rozległ się głos Susan.

– Droga wolna.

Nonszalanckim krokiem wyszedłem z opustoszałych koszar. Dwaj strażnicy leżeli nieprzytomni u stóp Susan.

– Boże, ale jestem dobry w te klocki – powiedziałem.

Susan pokiwała głową i odrzuciła obie śrutówki na bok.

– Nigdy nie widziałam lepszego odwrócenia uwagi.

Podszedłem do niej i zerknąłem na drzwi.

– Jak się przez nie przedostaniemy?

– Nie przedostaniemy się – odparła. Wyjęła mały zestaw narzędzi ślusarskich i zbliżyła się do drzwi pomieszczenia administracyjnego, całkowicie ignorując skarbiec. – Nie potrzebujemy ich skarbów. Wystarczą nam kwity.

Wiem co nieco o forsowaniu zamków, ale Susan oczywiście umiała więcej. Wystarczyło, że zerknęła na zamek, wyjęła pistolet ślusarski i otworzyła zamek tak szybko, jakby miała klucz.

– Zaczekaj tutaj – poleciła, uchylając drzwi. – Niczego nie popsuj.

Schowałem ręce za plecy, udając niewiniątko. Na jej usta wypłynął żarliwy uśmiech, po czym zniknęła w biurze.

Podszedłem do koszar. Ukryłem swoją broń palną razem z resztą kontrabandy w ogrodzie matki chrzestnej, a z zasady nie lubiłem być bezbronny. Magia to cholernie fajna sprawa, gdy wpakujesz się w tarapaty, ale czasami nic nie zastąpi sploty. To doskonałe narzędzie, chociaż bardzo wyspecjalizowane.

Po dwóch sekundach rozglądania się dostrzegłem kilka możliwości i podniosłem duży półautomat oraz dwa magazynki. Wepchnąłem je do kieszeni płaszcza. Potem zabrałem karabin automatyczny ze stojaka i odkryłem dwa zapasowe magazynki w przypominającym skarpety urządzeniu nad korpusem broni.

Karabiny to nie moja specjalność, ale znałem się na nich na tyle, by się upewnić, że w komorze nie ma pocisku. Sprawdziłem, czy broń jest

zabezpieczona, a następnie zawiesiłem ją na ramieniu na nylonowym pasku. Potem wróciłem do pomieszczenia administracyjnego i czekałem przed drzwiami.

Wewnątrz Susan klęła jak cała armia szewców. Po chwili wyszła i splunęła.

– Niczego tu nie ma. Ktoś nas uprzedził. Usunęli wszystko, co odnosiło się do transportów z ostatnich trzech godzin.

– A papierowe kopie? – spytałem.

– Harry, nie słyszałeś o skomputeryzowanych biurach?

– Owszem, są jak Wielka Stopa. Ktoś twierdzi, że zna kogoś, kto go widział, ale samemu nigdy się go nie spotyka. – Zamilkłem na chwilę. – Chociaż ja akurat widziałem Wielką Stopę i sprawiał wrażenie porządnego gościa. Ale to nadal dobra metafora. Pamiętaj, do kogo należy to miejsce. Uważasz, że ktoś taki jak księżna zna się na komputerach? Jeśli żyjesz ponad dwieście lat, sporządzasz potrójne kopie każdego dokumentu.

Susan uniosła brew i pokiwała głową.

– No dobrze. Więc chodźmy.

Splądrowaliśmy biuro. Znajdowało się w nim mnóstwo akt, ale znaleźliśmy numer identyfikacyjny transportu z magicznymi przedmiotami (000937, jeśli to ma jakieś znaczenie), ateczki można było błyskawicznie przeglądać. Ponownie niczego nie znaleźliśmy. Ktokolwiek zacierał ślady, zrobił to bardzo umiejętnie.

– Cholera – szepnęła Susan drżącym głosem.

– Spokojnie – odrzekłem. – Spokojnie. Jeszcze mamy pole manewru.

– To był nasz jedyny trop – powiedziała.

Dotknąłem jej ręki.

– Zaufaj mi.

Uśmiechnęła się niewyraźnie. Widziałem napięcie w jej oczach.

– Chodź – odezwałem się. – Wynośmy się stąd, zanim przybędzie kawaleria. Aha, to dla ciebie. – Podałem jej karabin automatyczny.

– Myślisz o wszystkim – odrzekła, uśmiechając się szerzej. Powiodła dłońmi wzdłuż broni, również sprawdzając komorę, ale znacznie szybciej i sprawniej niż ja. – Ale ja nie mam niczego dla ciebie.

Odwrociłem się, zerknąłem na furgonetkę i podszedłem do jej tylnych drzwi.

– Otworzysz je dla mnie?

Wyjęła narzędzia i spełniła moją prośbę szybciej, niż trwało jej wypowiedzenie.

W furgonetce znajdowało się kilka pionowo ustawionych długich skrzyń, a ja po chwili uświadomiłem sobie, że to transport ubrań. Otworzyłem jedną ze skrzynek i...

Znalazłem zawieszoną na drążku długą pelerynę utkaną z białych i zielonych piór. Była gruba i z pewnością ważyła ponad dwadzieścia kilogramów. W środku natrafiłem także na pałkę wysadzaną kawałkami ostrego jak brzytwa obsydianu z rękojeścią pokrytą rzeźbionymi piktogramami. Nie potrafiłem odczytać tego pisma, ale je rozpoznałem, a także domyśliłem się, że wcale nie patrzę na wiekowy artefakt. Przedmiot wykonano w ostatnich dziesięcioleciach.

– To ceremonialna szata Majów – mruknąłem, marszcząc czoło. – Dlaczego zapakowano ją do furgonetki przygotowanej do odjazdu...?

Odpowiedź spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Odwróciłem się w stronę Susan i wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Przeszła na przód furgonetki i otworzyła drzwi. Zaczęła wyjmować z kabiny różne przedmioty i upychać je w nylonowej sportowej torbie, którą najwyraźniej znalazła w środku.

– Co tam masz? – spytałem.

– Później, nie mamy czasu – odparła.

Szybko wspięliśmy się po rampie do Martina.

Duże wrota wyglądały, jakby walczyły same ze sobą. Drżały, skrzypiały i próbowały się podnieść, a kiedy Martin robił coś z dwoma przewodami na rozmontowanej tablicy kontrolnej, ponownie opadały. Strażnicy próbowali wepchnąć broń w szparę pod drzwiami, by do nas strzelić, ale Martin odstraszył ich za pomocą swojego pistoletu z tłumikiem.

– Nareszcie! – zawołał, kiedy do niego podeszliśmy. – Zaraz się przedostaną.

– Psiakrew – rzuciłem. – Myślałem, że gaszenie pożaru zajmie ich na

dłużej. – Rozejrzałem się po surowym tunelu. Byłem zmęczony i roztrzęsiony. Gdybym miał więcej sił, nie martwiłaby mnie perspektywa starcia z kilkoma facetami uzbrojonymi w broń maszynową – pod warunkiem, że miałbym ich wszystkich przed sobą. Ale byłem wyczerpany. Wystarczyła najdrobniejsza utrata koncentracji, by zasłona stała się dziurawa i elastyczna. Wtedy dostałbym kilka kulek. Płaszcz mógł zatrzymać większość z nich, ale nie chroniłby mnie bez końca i nie zakrywał mi głowy.

– Plan B – zarządziłem. – No dobrze, potrzebujemy planu B. Gdybyśmy chociaż mieli taczkę, to już byłoby coś[3].

Susan parsknęła śmiechem, a ja odwróciłem się w jej stronę z błyskiem w oku.

– Mamy wielką furgonetkę – zauważyła Susan.

– Czemu od razu nie powiedziałeś, że mamy coś jeszcze? – odrzekłem z kiepskim brytyjskim akcentem. – Ruszaj!

Susan zniknęła w tunelu, poruszając się z zatrważającą szybkością.

– Martinie! – zawołałem. – Stań za mną!

Tak zrobił, a ja uniosłem lewą rękę i postawiłem czysto fizyczną tarczę. Kilka sekund później drzwi uniosły się o kilkadziesiąt centymetrów, a dwaj niecierpliwi strażnicy zaczęli strzelać do pierwszej rzeczy, którą zobaczyli – do mnie.

Drzwi dalej się podnosiły, a tarcza powstrzymywała pociski, które rozpadały się w świetlistych kręgach koncentrycznie rozchodzących się po jej niewidzialnej powierzchni. Utrzymanie tarczy kosztowało mnie coraz więcej wysiłku, gdy kolejni strażnicy otwierali ogień. Zobaczyłem, że jeden z nieszczęśników dostał rykoszetem w brzuch i padł na ziemię, ale nie miałem czasu go żałować. Zaciśnąłem zęby i podtrzymałem tarczę, podczas gdy strażnicy nie przerywali ostrzału.

Potem rozległ się ryk potężnego silnika i furgonetka niczym rozszalały bizon zaszarżowała na grupę strażników blokujących drogę wyjazdową.

W ostatniej chwili rozbiegli się z wrzaskiem. Kiedy samochód gwałtownie skręcił i zarzucił tyłem, wpadając w zabójczy poślizg, Martin nie musiał mnie popędzać. Korzystając z zamieszania, obaj pomknęliśmy w stronę furgonetki i wskoczyliśmy na tył, którego Susan przezornie nie zamknęła.

Jeden z bardziej przytomnych strażników spróbował tej samej sztuczki, ale Martin go zauważył i postrzelił w nogę z małego pistoletu. Mężczyzna krzyknął i upadł, a furgonetka nabrała prędkości. Susan wcisnęła pedał gazu do podłogi i przy wtórze trzasku metalu i drutu kolczastego przebiła się przez ogrodzenie, wyjeżdżając na dno doliny. Natychmiast skręciła w stronę zaplanowanego miejsca ucieczki. Auto zaczęło oddalać się od magazynu, podskakując na wybojach i grzechocząc.

Potem było już łatwo.

Wróciliśmy do miejsca, w którym zeskoczyliśmy w głąb doliny, wypiliśmy rozwodnioną miksturę latania i pomknęliśmy w górę zbocza jak kozice. Albo wiewiórki. Tak czy inaczej, pokonanie nachylonej o osiemdziesiąt stopni skalnej ściany było równie łatwe jak wspinaczka po długich schodach.

– Harry – wydyszała Susan, gdy dotarliśmy na szczyt. – Spalisz dla mnie tę furgonetkę?

– Z przyjemnością – odrzekłem i potraktowałem furgonetkę tak samo jak auta na parkingu. Po trzydziestu sekundach eksplodowała, a Susan pokiwała głową.

– Dobrze. Mam nadzieję, że to im utrudni życie, cokolwiek zamierzają.

– Co znaleźliście? – spytał Martin.

– Ceremonialne przedmioty Majów – odpowiedziałem. – Żadnych narzędzi ogniskujących, tylko trochę rekwizytów. Zamierzali je wywieźć furgonetką.

Susan sięgnęła do nylonowej torby i wyjęła jakąś kartkę.

– List przewozowy – wyjaśniła. – Transport zero-zero-zero-dziewięć-trzy-osiem. Kolejna przesyłka, która miała wyjechać po pierwotnym transporcie. Zlecona dwa dni po wywiezieniu narzędzi ogniskujących.

Martin zamyślił się, mrużąc oczy.

– Miała dotrzeć do tego samego miejsca co pierwszy transport...

– To oznacza, że cel zapewne jest oddalony o nie więcej niż dwa dni jazdy – stwierdziłem. – Wampiry odebrały pierwszy transport, zorientowały się, że czegoś brakuje, po czym zleciły dostawę przegapionych przedmiotów.

Martin pokiwał głową.

– A więc? Gdzie oni są?

Susan przeglądała zawartość torby, którą sobie przywłaszczyła.

– W Meksyku – powiedziała, pokazując nam amerykański paszport, prawdopodobnie podrobiony, ponieważ większość ludzi nie nosi swoich paszportów w brązowych kopertach, a także portfel pełen meksykańskich pieniędzy. – Zamierzali przewieźć te peleryny i inne przedmioty do Meksyku.

Stęknąłem i ruszyłem w stronę Ścieżki. Martin i Susan podążyli za mną.

– Harry? Czy zniszczenie tego sprzętu pokrzyżuje im plany?

– Sprawi im kłopot – odrzekłem cicho. – Ale nic więcej.

Prawdziwa magia nie wymaga kostiumów. Potrzebują ich ludzie, którzy rzucają zaklęcia. Dlatego wystarczy im dowolna peleryna z papuzich piór, a jeśli będą zdeterminowani, to odprawią rytuał także bez niej.

– Dowiedzą się, kto tutaj był – powiedział Martin. – Zbyt wielu ludzi nas widziało. Kamery wewnątrz budynku też mogły coś zarejestrować.

– To dobrze – odparłem. – Chcę, żeby wiedzieli. Żeby zdawali sobie sprawę, że ich bezpieczne kryjówki wcale nie są bezpieczne.

Susan mruknęła coś pod nosem, najwyraźniej przyznając mi rację.

Nawet Martin pozwolił sobie na chłodny uśmiech.

– Czyli co właściwie osiągnęliśmy, poza zakłóceniem snu niektórych członków Czerwonego Dworu?

– Wiemy, gdzie zamierzają odprawić rytuał – zauważyła Susan.

Pokiwałem głową.

– W Meksyku.

– No tak – przyznał Martin. – To zawsze jakiś początek.

² Atakujący w ciemności stwór, który po raz pierwszy pojawił się w serii gier komputerowych *Zork*.

³ Cytaty z *Narzeczonej Księżniczki* Williama Goldmana w przekładzie Pauliny Braiter.

Pani Spunkercief była fantastyczną gospodynią. Mieszkała na parterze naszego starego domu. Rzadko wychodziła, była prawie głucha i zazwyczaj nie wtykała nosa w moje sprawy, dopóki nie zalegałem z czynszem – co obecnie praktycznie się nie zdarzało; czasami płaciłem nawet przed czasem.

Kiedy niewielka armia szaleńczo silnych zombie zaatakowała moje mieszkanie, nawet się nie obudziła, zapewne dlatego, że byli na tyle grzeczni, by pojawić się po zachodzie słońca, gdy zawsze się kładła. Ale policja i FBI musieli narobić więcej hałasu, ponieważ gdy Molly zatrzymała Niebieskiego Chrabąszcza na zwirowym parkingu, zobaczyłem, że gospodyni wspina się po schodach prowadzących do mojego mieszkania, powoli pokonując kolejne stopnie, ciężko opierając się na lasce. Miała na sobie miękką niebieską koszulę nocną i szal, który chronił ją przed chłodem październikowego wieczora. Rozglądała się czujnie lśnącymi niebieskimi oczami.

– Jesteś – odezwała się z irytacją. – Cały wieczór dzwonię do twojego mieszkania, Harry.

– Przepraszam, pani S. – odrzekłem. – Wyszedłem.

Chyba nie do końca zrozumiała, co powiedziałem, ale nie była głupia.

– Oczywiście, że wyszedłeś – odparła. – Co się stało z twoimi nowymi drzwiami? Są otwarte na oścież! Jeśli przyjdzie kolejna niespodziewana burza, do środka napada deszczu i zanim się obejrzysz, będziemy mieli pleśń na ścianach.

Rozłożyłem ręce i odpowiedziałem najgłośniej, jak potrafiłem bez krzyczenia.

– Miałem trochę kłopotów z policją.

– Umowa najmu jest jasna – odrzekła. – Jesteś odpowiedzialny za wszystkie zniszczenia w mieszkaniu, dopóki jesteś lokatorem.

Westchnąłem i pokiwałem głową.

– Jutro to naprawię.

– Och, nie jestem zmartwiona, raczej zaskoczona, Harry. Dobry z ciebie chłopak. – Przeniosła wzrok na Molly, Susan i Martina. – Przeważnie. Poza tym zawsze pomagasz, kiedy pogoda się psuje.

Posłałem jej przepraszający uśmiech.

– Zajmę się drzwiami, proszę pani.

– Dobrze, miałam nadzieję, że to zrobisz. Przyjdę sprawdzić za kilka dni.

– Myszek wyłonił się z ciemności. Nawet nie był zdyszany po pogoni za Chrabąszczem. Od razu podszedł do pani Spunkelcrief i podał jej prawą łapę. Uśmiechnęła się szeroko do psa, potrząsnęła jego łapą, a potem z uczuciem pogłaskała go po łbie. – Można się wiele dowiedzieć o człowieku na podstawie tego, jak traktuje swojego psa.

Myszek podszedł do mnie i usiadł, dysząc z zadowoleniem. Oparł się z uczuciem o moje biodro, prawie mnie przewracając.

Pani Spunkelcrief pokiwała z zadowoleniem głową i zebrała się do odejścia. Po chwili zatrzymała się, mruknęła coś pod nosem i zwróciła się w moją stronę. Sięgnęła do kieszeni koszuli nocnej i wyjęła z niej białą kopertę.

– Prawie zapomniałam. To leżało na twoich schodach, chłopcze.

Wziąłem od niej kopertę z grzecznym skinieniem głowy.

– Dziękuję pani.

– Nie ma za co. – Zadrżała i szczerzej otuliła się szalem. – Do czego ten świat zmierza? Ludzie wyłamują drzwi.

Zerknąłem na Molly, która pokiwała głową i szybko podeszła do pani Spunkelcrief, żeby ją podtrzymać. Gospodyni się rozpromieniła.

– Niech ci Bóg błogosławi, moje dziecko. Zmęczyłam się, kiedy do was schodziłam, i nie mam siły podpierać się laską. – Molly pomogła jej wspiąć się po niewielkiej rampie prowadzącej do drzwi jej mieszkania.

Myszek natychmiast zbiegł na dół schodów i zaczął węszyć. Potem odwrócił się w moją stronę, delikatnie merdając ogonem. W moim mieszkaniu nie kryły się żadne niespodzianki. Zszedłem do niego i zapaliłem świecę oraz drewno w kominku za pomocą pojedynczego

zaklęcia i gestu, a potem otworzyłem kopertę i usiadłem przy ogniu.

W środku znalazłem złożoną kartkę oraz drugą, mniejszą kopertę, na której zapisano, potoczystym pismem Luccio, TO PRZECZYTAJ NAJPIERW. Tak zrobiłem.

Jeśli otrzymałeś ten list, to znaczy, że ktoś uniemożliwił mi kontakt z Tobą. Musisz założyć, że całkowicie wyeliminowano mnie z gry.

Osobie, która dostarczy Ci ten list, ufam najbardziej spośród wszystkich Strażników stacjonujących w Edynburgu. Nie znam szczegółów tego, jak mnie zneutralizowano, ale możesz całkowicie zaufać relacji tego człowieka, a jego osąd w subiektywnych sprawach zawsze okazywał się wyjątkowo rzetelny.

Powodzenia, Harry.

A

Przez chwilę wpatrywałem się w liścik. Potem bardzo powoli rozłożyłem drugą kartkę. Zapisano ją wielkimi literami, tak precyzyjnie nakreślonymi, że bardziej przypominały druk.

Witaj, Dresden!

Luccio prosiła, żebym dostarczył Ci ten liścik, gdyby jej coś się stało. Nie mam pojęcia, co w nim napisała, ale mam za zadanie przekazać Ci wszelkie informacje.

Obawiam się, że nie mam dobrych wieści. Wygląda na to, że Rada postradała zmysły.

Po Twoim wystąpieniu przed obliczem Cristosa wydarzyło się kilka paskudnych rzeczy. Przyłapano kilku młodych Strażników, którzy naradzali się, czy nie lepiej byłoby unicestwić księżną w Edynburgu, by zagwarantować dalsze trwanie wojny – argumentowali, że wampiry nie proponowałyby pokoju, gdyby wciąż mogły walczyć. Na rozkaz Cristosa starsi członkowie Rady, spośród których żaden nie był Strażnikiem, aresztowali ich i osadzili, by Zapobiec Destabilizacji Dyplomatycznych Obrad.

Ramirez dowiedział się o tym, co się stało, a jego hiszpańska natura, jak się

pewnie domyślasz, zareagowała bardziej emocjonalnie niż racjonalnie. Razem z grupką przyjaciół, z których tylko jeden znał sytuację, włamali się do skrzydła, w którym przetrzymywano Strażników. W efekcie wszystkich ich (oczywiście poza samym geniuszem) zatrzymano i również zamknięto pod kluczem.

Sytuacja jest rozpaczliwa. Nie możemy zlokalizować nikogo z Rady Starszych poza Cristosem, który z zacięciem stara się Uratować Nas Przed Nami Samymi, podlizując się księżnej Ariannie. Hierarchia Strażników całkowicie się rozsypała. Kapitan Luccio zażądała od Cristosa uwolnienia jej ludzi, gdyż straciła około czterdziestu procent najstarszych rangą Strażników.

Kazała Ci przekazać, żebyś pod żadnym pozorem nie wracał do Edynburga, dopóki Rada Starszych nie posprząta tego bałaganu. Nie jest pewna, co by się z Tobą stało.

Prosiła także, abym Ci przekazał, że musisz sobie Radzić Sam.

Kiedy dowiem się czegoś nowego, prześlę kolejną relację – pod warunkiem, że sam nie Zniknę.

„Rumak”

P.S. Tak, mogę pisać wielką literą każde słowo, jakie mi się spodoba. To język angielski. Jestem Anglikiem. Dlatego moja opinia ma znaczenie, kolonialny barbarzyńco.

Przeczytałem list ponownie, tym razem wolniej. Potem przysiadłem na kominku i z trudem przełknąłem ślinę.

„Rumakiem” nazywałem Strażnika Chandlera, który służył w Edynburgu jako jeden z ochroniarzy Białej Rady. Przypomniałem sobie, że zawsze towarzyszył Anastasii, która obdarzała go zaufaniem. Samotnie stał na posterunku, który zazwyczaj wymagał pół tuzina ludzi. Parzył herbatę Strażnikom i ich kapitanowi.

Nikt nie słyszał rozmowy, podczas której nadałem mu takie przezwisko, zainspirowany jego szykownym garniturem, melonikiem oraz parasolem, który zawsze przy sobie nosił – być może taki był zwyczaj w Anglii – dlatego

ten podpis potwierdzał jego tożsamość. Impertynencki ton listu również pasował do Chandlera. Znałem charakter pisma Anastasii, a papier, na którym napisano list, pachniał jej ulubionymi, bardzo delikatnymi i subtelnymi perfumami.

Wiadomość była jak najbardziej autentyczna.

Co oznaczało, że wpadliśmy w prawdziwe tarapaty.

Biała Rada wzbudzała respekt nie tylko dlatego, że była w stanie stanąć do bezpośredniej walki z wrogiem, ale także ze względu na swoją znaczną potęgę gospodarczą. Nie trzeba być geniuszem, żeby wzbogacić się po dwustu pięćdziesięciu latach inwestowania i gromadzenia procentu składanego. Biała Rada zatrudniała całą armię ekonomicznych wojowników, którzy stale szukali sposobów na ochronę jej inwestycji przed zakusami innych długowiecznych bytów, takich jak wampiry. Taki majątek zapewniał ogromne wpływy. Poza tym Rada potrafiła na milion sposobów uprzykrzyć życie komuś, kto im się naraził, nawet nie używając w tym celu magii. W skład Rady wchodziłi ludzie zdolni do równie brudnych sztuczek jak najpodlejsze umysły w historii.

Ogólnie rzecz biorąc, była to potężna instytucja, zakorzeniona i niewzruszona jak wiekowe drzewo, pełne życia i siły, sięgające daleko w głąb ziemi, odporne na burze, którymi atakuje je świat.

Ale te pieniądze, wpływy i moc opierały się na jednym kluczowym warunku – wszyscy członkowie Białej Rady działali w zgodzie. A przynajmniej taki wizerunek prezentowano światu. Przeważnie tak było. Możemy sprzeczać się i oszukiwać w czasach pokoju, ale kiedy zbliża się wróg, zwieramy szeregi. Psiakrew, postąpili tak nawet w stosunku do mnie, a przecież większość członków Rady uznawała mnie za kreaturę pokroju Dartha Vadera. Podejrzewam jednak, że wielu z nich w głębi duszy cieszy się, że mają Vadera po swojej stronie, gdy pojawiają się potwory. Wiedziałem, że mnie nie kochają i że to się nigdy nie zmieni, ale nie potrzebowałem ich miłości, by walczyć u ich boku. Kiedy robiło się gorąco, Rada stanowiła jedność.

Tylko że teraz tak nie było.

Popatrzyłem na złożony list i nagle odniosłem wrażenie, że patrzę na

upadek potężnego drzewa. Przez jego rozmiary mieliśmy wrażenie, że przechyla się powoli, ale niewątpliwie się przewracało, grożąc zagładą wszystkiemu, co dotychczas chroniło się pod jego konarami.

Byłem bardzo zmęczony, co zapewne tłumaczyło, dlaczego nie zareagowałem emocjonalnie na te myśli. Powinny mnie przerazić z mnóstwa powodów. Ale tak się nie stało.

Susan do mnie podeszła.

– Harry. Co się stało?

Wbiłem wzrok w płomienie.

– Biała Rada nie może nam pomóc w odszukaniu Maggie – odpowiedziałem cicho. – Coś się dzieje. Nie możemy na nich liczyć.

Po wszystkich krzywdach, jakie mi wyrządzili, i po tym, jak wielokrotnie nadstawiałem za nich karku, odmówili mi pomocy, gdy najbardziej ich potrzebowałem.

Moje ręce same zgmiotły listy i koperty, po czym cisnęły je w ogień. Z ponurą miną patrzyłem, jak płoną. Nie zauważyłem, że płomienie trzykrotnie zwiększyły wysokość, dopóki niebiesko-biały blask nie zmusił mnie do osłonięcia oczu. Kiedy odwróciłem twarz, ogień natychmiast przygasł, zupełnie jakbym przykręcił kurek z gazem.

Panuj nad sobą, kretynie, ostrzegłem siebie. Panuj nad sobą. Jesteś naładowaną bronią.

Nikt się nie odzywał. Martin rozsiadł się na jednej z sof i czyścił na stole swój pistolecik. Molly stała przy opalanej drewnem kuchni i mieszała coś w garnku.

Susan usiadła obok mnie, prawie mnie dotykając, i położyła ręce na kolanach.

– Co nam zostało?

– Osoby – odrzekłem cicho.

– Nie rozumiem – odparła Susan.

– Ludzie jako tacy są do dupy – wyjaśniłem. – Ale pojedyncza osoba może być niezwykła. Rozmawiałem z Radą. Powiedziałem im, co robi Arianna. Szukałem pomocy u grupy i sama widziałaś, co z tego wynikło. Dlatego teraz... porozmawiam z konkretnymi osobami.

– Z kim? – spytała cicho.

– Z osobami, które mogą pomóc.

Czułem na sobie poważne i przenikliwe spojrzenie jej ciemnych oczu.

– Podejrzewam, że niektóre z nich nie są zbyt przyjemne.

– Prawdę mówiąc, większość – przyznałem.

Przełknęła ślinę.

– Nie chcę, żebyś się narażał. Nie jesteś winien tej sytuacji. Jeśli ktoś musi ponieść koszty, niech to będą ja.

– To tak nie działa – odparłem.

– On ma rację – wtrącił się Martin. – Na przykład zapłaciłaś za to, że nie zdołał zniechęcić cię do śledztwa w sprawie Czerwonego Dworu.

– Sama podjęłam decyzję – zaprotestowała Susan.

– Ale nie dysponowałaś wszystkimi faktami – odrzekłem cicho. – Opierałaś się na błędnych założeniach, ponieważ nie wiedziałaś wszystkiego. Mogłem cię doinformować, ale tego nie zrobiłem. A też nie byłaś winna tamtej sytuacji.

Z rezygnacją pokręciła głową.

– Nie ma sensu, żebyśmy kłócili się, kto jest najbardziej winny.

Martin zaczął szorować lufę pistoletu krótkim wyciorem.

– Skupmy się na zadaniu – odezwał się tonem człowieka powtarzającego mantrę.

Susan pokiwała głową.

– Skupmy się na zadaniu. Od czego zaczniemy, Harry?

– Nie my, tylko ja – odparłem. – Zejdę do laboratorium, a wy zostaniecie tutaj i będziecie wypatrywać kłopotów. Ostrzeżcie mnie, kiedy się pojawią.

– Kiedy się pojawią? – spytała Susan.

– Taki mam dzisiaj dzień.

Molly odwróciła się od kuchenki ze zmartwioną miną.

– Co zamierzasz, szefie?

Miałem wrażenie, że moje wnętrze zmieniły się w kłęby czarnego dymu, ale przywołałem wystarczająco dużo entuzjazmu, by puścić do niej oko.

– Muszę wykonać kilka zamiejscowych telefonów.

Zszedłem do swojego laboratorium i zacząłem sprzątać krąg przywołania. Podczas usuwania obciążających mnie dowodów zrzuciłem na niego kilka rzeczy. FBI i Rudolph dodatkowo zwiększyli bałagan. Zepchnąłem wszystkie przedmioty z kręgu, a potem dokładnie go zamiotłem. Kiedy używasz kręgu podczas rytualnej magii, musi on być nienaruszony. Każdy przedmiot, który na niego wpada lub zaśmieca jego powierzchnię, może zakłócić przepływ energii. Kurz ani inne cząsteczki nie unieważnią zaklęcia, ale zmniejszą jego skuteczność.

Kiedy skończyłem zamiatać, przyniosłem czystą szmatkę oraz butelkę alkoholu i wyczyściłem krąg tak dokładnie, jakbym zamierzał przeprowadzić na nim operację. Zajęło mi to mniej więcej dwadzieścia minut.

Następnie otworzyłem stojącą na półce starą papierošnicę pełną rzecznych kamyków. Wszystkie poza jednym były atrapami, kamuflażem. Grzebałem w środku, aż w końcu znalazłem zaokrąglony kawałek obsydianu wygładzony w ogniu.

Usiadłem wewnątrz kręgu, krzyżując nogi przed sobą. Dotknąłem kręgu, przywołując odrobinę siły woli, a on gwałtownie ożył, okrywając się cieniutką zasłoną energii. Krąg mógł mi pomóc opanować i ukształtować magię, której zamierzałem użyć.

Położyłem przed sobą czarny kamień, wziąłem głęboki wdech, wyprostowałem plecy i zacząłem przywoływać siłę woli. Cały czas byłem odprężony i głęboko oddychałem, formułując zaklęcie w myślach. Był to delikatny czar, który zapewne przekraczałby moje możliwości, nim zacząłem uczyć Molly panowania nad mocą. Teraz był tylko irytująco trudny.

Kiedy energia uformowała się w moim umyśle, zaczerpnąłem głęboko tchu i wyszeptalem:

– *Voce, voco, vocius.* – Odczekałem kilka sekund i powtórzyłem: – *Voce, voco,*

vocius.

Robiłem to przez dwie minuty, udając staroświecki telefon. Właśnie zaczynałem się zastanawiać, czy ten cholerny kamień zadziała, gdy laboratorium wokół mnie zniknęło i zastąpiła je ciemność, czarna jak atrament. Pojawiło się pole energetyczne kręgu, bladoniebieskie światło w kształcie walca, ciągnącego się od podłogi w górę, bez końca. Nie oświetlało otoczenia, zupełnie jakby nie miało się od czego odbijać.

– Eee... – odezwałem się, a mój głos odbił się dziwnym echem. – Halo?

– Nie gorączkuj się – odpowiedział gderliwy, daleki głos. – Już idę.

Chwilę później błysnęło światło i bezpośrednio przede mną pojawił się walec podobny do mojego. Siedział w nim Ebenezar z identycznie skrzyżowanymi nogami. Przed nim leżał czarny kamień bliźniaczo podobny do mojego obsydianu. Ebenezar sprawiał wrażenie zmęczonego. Miał potargane włosy i podkrążone oczy. Był ubrany tylko w spodnie od piżamy, a ja zdziwiłem się, jak bardzo jest umięśniony pomimo swojego wieku. Oczywiście przez ostatnie kilka stuleci głównie pracował w swoim gospodarstwie. Takie życie każdemu zapewni wysportowaną sylwetkę.

– Hoss – przywitał się. – Gdzie jesteś?

– U siebie.

– Jak sytuacja?

– Wyłączyłem osłony. Mam awaryjne zabezpieczenia, ale nie chcę długo tutaj zostawać. W sprawę wplątały się policja i FBI, a Czerwoni zaatakowali mnie dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni. Gdzie pan jest?

Ebenezar stęknął.

– Lepiej nie będę mówił. Merlin przygotowuje kontratak i staramy się odkryć, jak dużo już o nim wiedzą.

– Kiedy pan mówi „staramy się”, ma na myśli Szarą Radę?

Nazwa Szara Rada przyłgnęła do naszej niewielkiej awanturniczej organizacji działającej wewnątrz Białej Rady. W jej skład wchodził ludzie, którzy widzieli błysk, słyszeli grzmot i potrafili przyznać, że magowie na całym świecie są coraz bardziej narażeni na zagładę lub uwięzienie za sprawą innych grup takich jak Dwory Wampirów czy Czarna Rada.

Czarna Rada była w większości hipotetyczną organizacją. Składała się

z mnóstwa tajemniczych postaci ubranych w czarne szaty, którym ubzdurało się, że są jak Upiory Pierścienia. Jej członkowie lubili przywoływać śmiercionośne demony spoza rzeczywistości, zwane Intruzami, oraz przenikać i sprowadzać na manowce wszelkie ludy nadprzyrodzonego świata. Ich motywy pozostawały nieznane, jednak od dawna sprawiali kłopoty Radzie i wszystkim innym. Spotykałem przedstawicieli ich grupy, ale nie miałem niepodważalnego dowodu na jej istnienie, zresztą nikt go nie miał.

Ostrzegawcze plotki dotyczące ich obecności nieodmiennie spotykały się z kpinami i oskarżeniami o paranoję ze strony Białej Rady, aż do zeszłego roku, gdy jeden z agentów Czarnej Rady zabił ponad sześćdziesięciu magów i tak skutecznie przeniknął do placówki w Edynburgu, że ponad dziewięćdziesiąt pięć procent jej pracowników i ochroniarzy skończyło z przemeblowanymi mózgami. Dotyczyło to nawet członków Rady Starszych.

Zdrajcę zatrzymano, ale z trudem i ogromnym kosztem. Od tamtej pory Rada wierzyła w istnienie anonimowej, bezimiennej organizacji, która grasuje po świecie, a także dopuszczała myśl, że dowolna liczba jej członków może zasiadać w Białej Radzie, działając pod przykrywką.

Paranoja i nieufność. Obie rosły w siłę wewnątrz Białej Rady, której przywódca, Merlin, wciąż nie chciał uznać, że Czarna Rada istnieje, ze strachu, że nasi ludzie zechcą dołączyć do złoczyńców, pod wpływem strachu lub ambicji. Jego decyzja odniosła odwrotny skutek w szeregach wystraszonych, spiętych członków Białej Rady. Zamiast wyjaśnić sytuację, Merlin uczynił ją jeszcze bardziej tajemniczą i mroczną, przez co strach zbierał potężniejsze żniwo wśród magów.

Tutaj na scenę wkraczała Szara Rada, w której skład wchodziliśmy ja, Ebenezar oraz nieokreślone inne osoby, zorganizowane w osobne komórki, dzięki czemu inne Rady nie mogły nas zdemaskować i usunąć za jednym zamachem. To my staraliśmy się zachować zdrowe zmysły w szalonych czasach. Całe to zamieszanie mogło odbić się nam czkawką, ale niektórzy ludzie po prostu nie potrafią beczynn timer patrzeć. Muszą zacząć działać.

– Tak – rzekł Ebenezar. – Właśnie ich mam na myśli.

– Potrzebuję pomocy Szarej Rady – powiedziałem.

– Hoss... nad nami wszystkimi wisi miecz Damoklesa. To, co teraz dzieje się w Edynburgu, może oznaczać koniec zorganizowanej, kontrolowanej magii. Koniec Praw Magii. Może zepchnąć nas z powrotem w epokę chaosu, uwolnić nową falę półbogów i potworów pozostających na smyczy czarnoksiężników.

– Z jakiegoś powodu zawsze czuję się pewniej pod tym mieczem. Pewnie to kwestia praktyki.

Ebenezar się skrzywił.

– Hoss...

– Potrzebuję informacji – odezwałem się surowym głosem. – Zaginęła mała dziewczynka. Ktoś wie, gdzie ona jest. A ja wiem, że Rada mogłaby się do czegoś dokopać. Biała Rada już zatrzaskała mi drzwi przed nosem. – Wysunąłem do przodu żuchwę. – Co zrobi Szara?

Ebenezar westchnął, jego twarz sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zmęczonej.

– Postępujesz szlachetnie i słusznie. Ale niemądrze. Tej lekcji najwyraźniej jeszcze nie odrobiłeś.

– Jakiej lekcji?

– Czasami się przegrywa – odrzekł bardzo łagodnie. – Czasami ciemność kogoś zabiera. Czasami potwór ucieka, by ponownie zabić. – Pokręcił głową i spuścił wzrok. – Czasami niewinni malcy tracą życie, a ty nie możesz nic na to poradzić.

– Mam pozwolić jej umrzeć – warknąłem. – To mi pan proponuje?

– Proponuję, żebyś pomógł ocalić miliony albo miliardy małych dziewczynek, chłopcze – odparł, również zniżając głos do surowego warkotu. – Zamiast zgubić je wszystkie ze względu na jedną.

– Nie zostawię jej – odburknąłem. – Ona...

Ebenezar machnął prawą ręką i moja krtań przestała działać. Moje usta się poruszały, mogłem swobodnie oddychać, ale przestałem mówić.

W jego ciemnych oczach pojawił się błysk wściekłości, jaki rzadko u niego widywałem.

– Psiakrew, chłopcze, chyba nie jesteś aż taki głupi. Nie rozumiesz, co

robisz? Dajesz Ariannie właśnie to, czego pragnie. Tańczysz jak jej marionetka. Reagujesz zgodnie z jej planem, co w końcu doprowadzi cię do śmierci. Już dawno temu powiedziałem ci, że bycie prawdziwym magiem polega na ofiarności. Na rozumieniu rzeczy, które umykają innym – warknął. – Powiedziałem ci, że być może będziesz musiał działać zgodnie ze swoją wiedzą i sumieniem, nawet jeśli cały świat będzie przeciwko tobie. Albo że będziesz musiał robić straszne, ale niezbędne rzeczy. Pamiętasz?

Pamiętałem. Wyraźnie. Wciąż czułem woń ogniska, przy którym wtedy siedzieliśmy. Pokiwałem głową.

– Musisz odkryć, kim jesteś – dodał chrapliwym, beznamiętnym głosem. – Mamy mnóstwo pracy i mało czasu, więc nie zamierzam go marnować na kłótnie o czymś, co już powinienesz wiedzieć. – Na chwilę zamknął oczy i głęboko odetchnął, jakby odzyskiwał panowanie nad sobą. – Spotkaj się ze mną w kryjówce w Toronto za dwanaście godzin. – Przemawiał władcym tonem, jaki słyszałem u niego tylko kilka razy w życiu. Oczekiwał, że wykonam jego polecenie.

Odwróciłem głowę. Kątem oka dostrzegłem, że znów się skrzywił i podniósł swój czarny kamień. Nagle znalazłem się na posadzce swojego laboratorium.

Ostrożnie podniosłem kamień i wsunąłem go do kieszeni. Potem położyłem się na podłodze, przerywając krąg, i przez chwilę wpatrywałem się w sufit. Odwróciłem głowę w lewo i zauważyłem zielony segregator, w którym przechowywałem wszystkie akta dotyczące istot, jakie mogłem przywołać z Nigdy nigdy.

Nie.

Odwróciłem wzrok. Kiedy przywołujesz te stwory, by zdobyć informacje, musisz zapłacić ich cenę. Zawsze jest ona inna. Nigdy nie bywa przyjemna.

Ta myśl mnie przerażała.

Te istoty na pewno czekały na taką chwilę. Kiedy będę tak zdesperowany, że zgodzę się na niemal wszystko, by ocalić dziecko. Dla Maggie mógłbym zawrzeć układ, jakiego nigdy wcześniej nie brałbym pod uwagę.

Mógłbym nawet przywołać...

Powstrzymałem się przed wymienieniem imienia Królowej Powietrza

i Ciemności, bojąc się, że ona to wyczuje i zareaguje. Przez lata biernie i cierpliwie mnie kusiała. Czasami się zastanawiałem, dlaczego nie podejmuje większego trudu, by mnie zachęcić. Z pewnością mogła to zrobić, gdyby tylko chciała.

Teraz już rozumiałem. Wiedziała, że w końcu nadejdzie dzień, w którym moje potrzeby przewyżczą ostrożność. Nie musiała tkać sieci słodkich pokus, by mnie usidlić. Wystarczyło czekać. To było zimne, logiczne podejście – bardzo w jej stylu.

Ale mogłem wypytać inne istoty – opisane w błękitnym segregatorze, który leżał na zielonym – mniej potężne i gorzej poinformowane, ale nie tak zachłanne. Wątpiłem, by udało mi się uzyskać od nich jakiegokolwiek konkrety, ale nigdy nie wiadomo.

Sięgnąłem po niebieski segregator i wziąłem się do przyzywania stworów, które mogły odpowiedzieć na kilka moich pytań.

Po trzech godzinach przywoływania niczego nie osiągnąłem. Rozmawiałem z duchami natury w postaci trzech malutkich puszczyków oraz duchami posłańcami, gońcami między poszczególnymi krainami wewnątrz Nigdynigdy. Żaden z nich nic nie wiedział. Dopadłem dwa wyjątkowo wścibskie duchy, które mieszkały w okolicach Chicago w nadprzyrodzonym świecie, i wezwałem sługi Tylwyth Teg, z których królem byłem w dobrej komitywie. Spytałem duchy wody, co one i ich pobratymcy wiedzą o Maggie, i wpatrywałem się w migoczące płomienie istot z rozumnego ognia, których myśli pojawiają się w postaci obrazów drgających w ich wnętrzach.

Jeden z duchów ognia pokazał mi obraz, który utrzymywał się przez nie więcej niż trzy czy cztery sekundy – twarz małej dziewczynki ze zdjęcia Susan, bladej, nieco brudnej i drżącej ze strachu albo zimna, próbującej ogrzać dłonie nad łopoczącymi płomieniami. Z profilu bardzo przypominała swoją matkę, dzięki dużym ciemnym oczom i smukłemu nosowi. Miałem wrażenie, że odziedziczyła po mnie podbródek, który nadawał jej obliczu aurę siły i uporu. Była znacznie bledsza od Susan, w czym również bardziej przypominała ojca.

Ale po chwili obraz zniknął.

Nie udało mi się bardziej zbliżyć.

Usiadłem na stołku po trzech godzinach harówki, wyczerpany bardziej niż kiedykolwiek. Nie dowiedziałem się niczego, co pomogłoby mi ustalić, gdzie ona się znajduje i jaki czeka ją los. Nie licząc pojedynczego przebłysku świadomości, że Maggie wciąż żyje, niczego nie uzyskałem.

Ale być może to wystarczy. Mała wciąż oddycha.

Trzymaj się, dziecinko. Tata już po ciebie idzie.

Przez kilka chwil siedziałem znużony na stołku. Potem sięgnąłem po kartkę oraz stary ołówek i napisałem:

Ivy!

Potrzebuję Twojej pomocy.

Chodzi o małą dziewczynkę przetrzymywaną przez złych ludzi.

Proszę, skontaktuj się ze mną.

Harry Dresd...

Zanim skończyłem się podpisywać, zadzwonił telefon.

Właśnie skontaktowałem się z Archiwum, magicznie stworzonym katalogiem wszelkich informacji kiedykolwiek zapisanych przez ludzi. Znajdował się on w głowie nastolatki – suma naszej wiedzy w dłoniach dziewczyny, która w tym roku powinna pójść do dziewiątej klasy.

Wiedza to potęga, a dwa lata wcześniej Archiwum tego dowiodła. Jako dziecko niewiele starsze niż Maggie przeciwstawiła swoją magię zdolnościom istot o wielowiekowym doświadczeniu i można powiedzieć, że wyszła z tej konfrontacji zwycięsko. Była niesamowicie potężnym dzieckiem i chociaż zawsze cechowała ją powaga czterdziestolatki, czasami widziałem w niej przebłyski małej dziewczynki, która dźwiga na swoich barkach dotkliwe brzemie Archiwum. Wiedziałem, co się stanie, jeśli kiedyś postanowi przejąć kontrolę nad sposobem zarządzania Archiwum. Zapewne skończy się to tak jak tamten odcinek *Strefy mroku* z potwornym dzieciakiem obdarzonym nadludzkimi mocami.

Telefon ponownie zadzwonił. Zadrzałem i podniosłem słuchawkę.

Przeciągnęliśmy linię do laboratorium, a stary telefon z tarczą stał obok biurka Molly, ciesząc się miejscem na obrzeżach doskonale zorganizowanej przestrzeni.

– Słucham?

– Mówi Kincaid – usłyszałem męski głos, baryton.

Kincaid był kierowcą Ivy, a także jej ochroniarzem, kucharzem i pluszowym misiem. Był również najbardziej śmiertelnie niebezpiecznym bandziorem, jakiego miałem wątpliwą przyjemność oglądać, i jedną ze stosunkowo niewielu osób, które wzbudzały we mnie zarówno niechęć, jak i zaufanie. Kiedyś opisał mi, w jaki sposób mnie zabije, jeśli będzie do tego zmuszony, i muszę przyznać, że miał olbrzymią szansę powodzenia. Był twardy, bystry, uzdolniony i kierował się honorem najemnika – ktokolwiek go wynajął, miał kontrolę nad jego ciałem i umysłem, a on sam nigdy nie zrywał zawartej umowy.

– Dresden – odpowiedziałem. – Ta linia prawdopodobnie nie jest bezpieczna.

– Wiem – odrzekł Kincaid. – Czego chcesz?

– Muszę znaleźć pewną dziewczynkę. Kilka dni temu uprowadził ją Czerwony Dwór. Podejrzewamy, że przebywa gdzieś w Meksyku.

– Gdzieś w Meksyku? – spytał Kincaid, a ja usłyszałem, że wyszczerzył zęby. – Próbowaleś już chodzić po okolicy i wołać ją po imieniu?

– Wkrótce to zrobię – odparłem. – Czy ona cokolwiek o tym wie?

Kincaid zasłonił czymś mikrofon, zapewne dłonią. Słyszałem jego cichy, brzęczący głos, gdy zadawał jakieś pytanie. Miałem wrażenie, że odpowiedział mu delikatny sopran.

Kincaid wrócił do telefonu.

– Ivy twierdzi, że nie może się angażować. To śmiertelnie niebezpieczna sprawa. Nie śmie zakłócić równowagi, gdyż mogłaby wpłynąć na ostateczny rezultat.

Warknąłem do telefonu.

– Niech to szlag, Kincaid. Ma wobec mnie dług. Przypomnij jej, kto ją wyciągnął od tych pieprzonych denariańskich świrów.

Głos Kincaida stał się cichszy, bardziej zrównoważony.

– Możesz mi wierzyć, że pamięta, Dresden. Ale nie wolno jej dzielić się wiedzą tak swobodnie, jak tobie czy mnie. Kiedy twierdzi, że nie może czegoś zdradzić, mówi dosłownie. Fizycznie nie jest w stanie wypuścić takiej informacji ze swojej głowy.

Uderzyłem dłonią w ścianę i oparłem się o nią, zamykając oczy.

– Powiedz jej, że muszę zdobyć tę informację. Jeśli nie zdoła mi pomóc, skorzystam z innych źródeł. Tych w moim zielonym segregatorze.

Kincaid znów przez chwilę z kimś rozmawiał. Tym razem z pewnością odpowiedziała mu Ivy.

– Nie może powiedzieć, gdzie znajduje się dziewczynka – odrzekł Kincaid. W jego głosie pobrzmiwało surowe ostrzeżenie, żebym nie naciskał. – Ale skieruje cię do kogoś, kto może to wiedzieć.

– Będę wdzięczny za każdą pomoc – odrzekłem, wypuszczając powietrze z płuc.

– Mam ci przekazać, że zanim spróbujesz skorzystać z zielonej książki, możesz wziąć pod uwagę jeszcze jedno rozwiązanie. Ostatni człowiek, z którym chcesz się spotkać, może posiadać użyteczne informacje.

Od razu zrozumiałem, o kogo chodzi, i jęknąłem.

– Psiakrew – szepnąłem. – Psiakrew.

Wybrałem kolejny numer. Recepcjonistka spytała, z kim ma mnie połączyć.

– Mówi Harry Dresden – odrzekłem cicho. – Proszę mnie połączyć z prywatnym numerem pana Marcone.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Molly, krzywiąc usta. – Na pewno nie chcesz, żebym tam z tobą weszła? On ma ludzi.

– W żadnym wypadku – odrzekłem spokojnie. – Nie chcę, żebyś znalazła się na jego radarze.

– Niechby tylko czegoś spróbował – powiedziała Molly, zaciskając jedną pięść i dla podkreślenia swoich słów uderzając nią w kierownicę Niebieskiego Chrabąszcza. – Zjadłabym go na śniadanie.

– Nie, Molly – odparłem stanowczym tonem. – Nie zrobiłabyś tego. Marcone może być śmiertelnikiem, ale jest niebezpieczny. Większość ludzi ma jakieś granice. On nie. Nigdy o tym mnie zapominaj.

– Skoro jest taki groźny, to dlaczego z nim rozmawiasz?

– Ponieważ ma także zasady – wyjaśniłem. – A poza tym po prostu musiałem się z nim tutaj spotkać. Uważaj, żeby nikt nam nie przeszkodził. Ja będę się martwił Marcone'em. Zgoda?

– Zgoda – odpowiedziała Molly, kiwając głową i patrząc na mnie z naciskiem. Potem pociągnęła solidny łyk napoju energetyzującego z puszki wielkości kartonu z mlekiem, jakby walczyła o tytuł hipokrytki roku. – Zgoda.

Wysiadłem z Niebieskiego Chrabąszcza i udałem się na spotkanie z dżentelmenem Johnniem Marcone, niekwestionowanym królem przestępczego świata Chicago.

Burger King dopiero się otworzył, ale już był w połowie zapełniony. Po wejściu zignorowałem Marcone'a i stanąłem w kolejce. Odebrawszy hamburgera i kawę, przeszedłem do kąta w głębi lokalu, gdzie Marcone siedział w otoczeniu swojej świty.

Oczywiście towarzyszył mu Hendricks, w nadwymiarowym garniturze i z krótko przystrzyżonymi rudymi włosami. Chyba ostatnio ćwiczył,

ponieważ wyglądało na to, że przybrał na wadze. Gdyby jeszcze trochę urósł, potrzebowałby pozwolenia na budowę, by gdziekolwiek stanąć. Panna Gard stała nieco oddalona od Hendricksa i zabezpieczała pozostałe drogi dostępu. Z blond włosami i wysportowaną sylwetką wyglądała jak Amazonka, a garnitur, który maskował jej kształty, nie czynił jej mniej atrakcyjną.

Marcone siedział w boksie jak w sali konferencyjnej. Miał na sobie jedwabny garnitur, zapewne wart więcej od mojego samochodu, trzymał łokcie na stole i miał złączone palce. Wyglądał jak mężczyzna w kwiecie wieku, elegancki i precyzyjny, od fryzury po wypolerowane skórzane buty. Patrzył, jak podchodzę do stolika i stawiam przed sobą plastikową tacę. Wsypane cztery albo pięć saszetek cukru do kawy i zamieszałem ją patyczkiem.

– Nie jesz?

Zerknął na zegarek, a potem na mnie. Miał bladezielone oczy w kolorze starych banknotów, ale bardziej obojętne. Patrzył na mnie beztrosko, przygotowując mnie o gęsią skórę. Już kiedyś zbadaliśmy nawzajem swoje dusze. Dlatego doskonale wiedziałem, jak niebezpieczny potrafi być człowiek siedzący po drugiej stronie stołu, i starałem się traktować go jak najbardziej nonszalancko. Nie należy okazywać groźnym drapieżnikom słabości ani strachu. Robią się wtedy głodne.

Odgryzłem kawałek hamburgera, co tylko mi uświadomiło, jak smaczne są hamburgery domowej roboty, ale ze względu na otaczającą mnie widownię mruknąłem z rozkoszą.

– Na pewno? – Siorbnałem jeszcze trochę kawy. – Omija cię prawdziwa ambrozja.

– Dresden, to irytujące – odezwał się Marcone. – Nawet jak na ciebie.

– Tak – przyznałem z uśmiechem i odgryzłem kolejny kęs.

Hendricks warknął groźnie.

Skończyłem żuć.

– Jesteś pewien, wielkoludzie?

– Hendricks – syknął Marcone.

Hendricks się uspokoił.

Pokiwałem głową.

– Masz informacje, których potrzebuję – powiedziałem.

– Niewątpliwie – odrzekł Marccone. – Jakich informacji szukasz i co proponujesz w zamian?

– Nie przyszedłem, żeby wymieniać się z tobą znaczkami, Marccone.

– A ja nie jestem organizacją dobroczynną, Dresden. Domyślam się, że to ma jakiś związek z wybuchem w twoim biurówcu. – Pokręcił głową, okazując prawie niezauważalny żal.

– Zgadza się. Widzę, że jesteś załamany tą katastrofą.

– Nie zleciłem jej. Nie zarobiłem na niej. Zniszczenie biurowca nie przyniosło mi żadnych zysków finansowych ani politycznych. A do tego ty przeżyłeś. Całkowite marnotrawstwo.

Hendricks znów warknął, co w języku goryli mogło uchodzić za śmiech.

– Może to ma coś wspólnego z budynkiem. Jak dużo wiesz o jego właścicielach?

Marccone uśmiechnął się lodowato.

– Wiem, że należą do organizacji, której słudzy próbują przeszkadzać mi w interesach.

Uniosłem brew.

– Ktoś wpycha się na twoje terytorium?

– Od czasu do czasu, ale uporczywie – odrzekł Marccone.

– Zatem możliwe, że mamy wspólny problem.

Marccone popatrzył na mnie, jakbym był mało pojętym dzieckiem.

– Tak. Dlatego się spotkaliśmy.

Stęknąłem i dokończyłem hamburgera.

– Czerwony Dwór zaczął działać. Narasta konflikt między nimi a Radą. Mnie w tej sprawie interesuje pewna ośmioletnia dziewczynka. Czerwoni porwali ją z jej domu. Prawdopodobnie przetrzymują ją gdzieś w Meksyku. Muszę się dowiedzieć gdzie.

Marccone wpatrywał się we mnie przez kilka sekund.

– Gdzieś. W Meksyku. Nie da się konkretniej?

– Tylko tyle wiem – przyznałem.

– W jakim celu ją tam wywieziono?

– Jakie to ma znaczenie?

– Jeśli ma zostać wykorzystana jako obiekt seksualny, trafi w inne miejsce niż niewolnicy czy dawcy organów.

Zacisnąłem zęby i na chwilę odwróciłem wzrok, gdyż jego słowa przywołały galerię uroczych obrazów.

Marcone zmrużył oczy.

– Kim ona dla ciebie jest, Dresden?

– To dziecko mojego klienta – odrzekłem, z trudem panując nad głosem. – Podejrzewam, że zamierzają ją rytualnie złożyć w ofierze.

– To znacznie zawęży ich możliwości. Jeśli dobrze rozumiem, takie rytuały trzeba przeprowadzać w miejscach mocy. – Podniósł wzrok na pannę Gard, która skinęła głową i natychmiast wyszła z restauracji, kierując się do swojego samochodu. – Myślę, że zdołam jeszcze precyzyjniej wskazać cel, Dresden. Porozmawiajmy o cenie.

– Wykorzystam te informacje, żeby poważnie zaszkodzić ludziom, którzy usiłują przejąć twoje terytorium, Marcone – odparłem. – To wystarczająca zapłata.

– A jeśli się nie zgodzę? – spytał Marcone.

– Wtedy będziemy się bili, tu i teraz, a kiedy już cisnę twoje gończe psy na dach budynku Searsa, będę cię katował, dopóki nie wydobędę z ciebie tych informacji.

Lodowaty uśmiech powrócił.

– Uważasz, że właśnie tak się stanie?

Wzruszyłem jednym ramieniem, zachowując beznamienne oblicze.

– Chyba jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Nachyliłem się nieco i dodałem konspiracyjnym szeptem: – Ale tak między nami, obawiam się, że ten teren ci nie sprzyja.

Przez chwilę przypatrywał mi się ponad złączonymi palcami.

– Z pewnością nie sprzyja mi tak, jakbym tego chciał. – Położył dłonie na blacie i lekko się odchylił. – Nie ma sensu zmieniać naszego spotkania w konfrontację. Zresztą zawsze byłem zadowolony, gdy pozwalałem, abyś usunął któregoś z moich wrogów.

– Nie robiłem tego z myślą o tobie.

Wzruszył ramionami.

– Twoje motywy są nieistotne. Liczą się skutki.

– Tylko pamiętaj, że jesteś na mojej liście, Marccone. Kiedy już uporam się z innymi potworami w tym mieście, przestanę postrzegać cię jako mniejsze zło.

Marccone popatrzył na mnie spod przymkniętych powiek.

– Ojej.

– To cię śmieszy?

– Nie przejmuję się nadmiernie trupami, Dresden.

Najeżyłem się.

– Grozisz mi?

– Ależ skąd. Pewnego dnia, zapewne niedługo, trafisz do piachu za sprawą tych irracjonalnych popędów, które nazywasz sumieniem. Nie zdążysz trafić na szczyt mojej listy. Nie muszę nawet ruszyć palcem. – Wzruszył ramionami. – Przekazanie ci informacji to doskonały sposób na przyśpieszenie tego procesu. A także na uszczuplenie zasobów moich wrogów. – Marccone przez chwilę o czymś dumał. – Poza tym... raczej nie mam nic przeciwko zaszkodzeniu organizacji, która krzywdzi dzieci.

Posłałem mu surowe spojrzenie. Po części dlatego, że zapewne miał rację, a po części dlatego, że znów dostrzegłem u niego przebłysk człowieczeństwa, który nie pozwalał mi na zrównanie go z innymi złymi i wygłodniałymi drapieżcami krążącymi po świecie. Z jakiegoś powodu Marccone zadawał sobie mnóstwo trudu, by pomagać dzieciom i je chronić. Każdy dorosły w Chicago mógł paść ofiarą jego interesów. Ale dzieci były nietykalne. Plotki głosiły, że wszyscy jego pracownicy, którzy przekroczyli tę granicę, zniknęli bez śladu.

Wróciła Gard i podeszła do stolika ze zmarszczonym czołem.

Marccone na nią zerknął.

– No i co?

Zawahała się.

– Nie chce o tym rozmawiać przez telefon. Twierdzi, że nie zaciągnął pan u niego żadnego długu, zadając to pytanie. Będzie rozmawiał tylko z Dresdenem. Osobiście.

Marccone uniósł brwi.

- Ciekawe.
- Też tak sędzę – odrzekła Gard.
- Ehem – wtrąciłem się. – Kto chce się ze mną spotkać?
- Mój... pracodawca – wyjaśniła Gard. – Donar Vadderung, prezes zarządu Monoc Securities.

Gard i ja wybraliśmy się do Oslo.

Wydawało się, że czeka nas długa podróż, ale wszystko przebiega znacznie szybciej, gdy nie musisz się martwić odprawą, kontrolą bezpieczeństwa, kontrolą celną czy wreszcie pokonywaniem rzeczywistej odległości.

Gard otworzyła Ścieżkę do Nigdynigdy niedaleko zoo, po prostu przecinając strukturę rzeczywistości sztyletem pokrytym runami. Ścieżka powiodła nas kawałek przez mroczny las martwych drzew i zakończyła się w Islandii, a przynajmniej tak twierdziła moja towarzyszka. Z pewnością było tam wystarczająco zimno. Druga Ścieżka poprowadziła nas po powierzchni zamrożonego jeziora do korzeni olbrzymiego starego drzewa, w którego pniu mogłoby się zmieścić całe moje mieszkanie i jeszcze zostałyby miejsce na garaż.

Stamtąd przeszliśmy do jakiejś zimnej i wilgotnej piwnicy, gdzie stanąłem twarzą w twarz z dwoma tuzinami mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych, którzy celowali mi w twarz ze smukłych, nowoczesnych karabinów automatycznych.

Powstrzymałem się od jakiegokolwiek reakcji. Ostrożnie.

Jeden z uzbrojonych mężczyzn odezwał się zwięźle w języku, którego nie rozumiałem. Gard odpowiedziała, zapewne w tej samej mowie, po czym na mnie wskazała.

Dowódca przez chwilę przyglądał się nam podejrzliwie, a następnie powiedział coś cicho i lufy karabinów się opuściły. Dwaj strażnicy stanęli obok drzwi. Kolejni dwaj zajęli pozycję naprzeciwko Gard i mnie, wyraźnie obawiając się, że ktoś jeszcze nadejdzie tą samą Ścieżką, z której skorzystaliśmy. Reszta wróciła do dwóch stolików karcianych i na kilka prycz.

Gard pokręciła głową.

– Einherjar – mruknęła. – Wystarczy dać im posmakować odnowionej śmiertelności, a cztery tysiące lat dyscypliny pójdą na marne.

– Rozpoznaję niektórych z nich – odrzekłem, wskazując głową trzech gości grających w karty. – Tamtą trójkę. Byli wśród najemników, których Marcone przyprowadził na tamto przyjęcie w Czeluści Raithów.

Gard zerknęła na nich i przewróciła oczami.

– No i co z tego?

– Tak po prostu można ich wynająć? – spytałem.

– Jeśli kogoś stać – odrzekła Gard, pokazując zęby w uśmiechu. – Ale ostrzegam, że cena może być bardzo zróżnicowana. Tędy, Dresden.

Podążyłem za nią korytarzem, mijając kilka pomieszczeń wypełnionych wystarczającą ilością broni, by wygrać niewielką wojnę w dowolnie wybranej epoce. Jesionowe włócznie stały obok starych samopowtarzalnych mauserów i nowoczesnych automatów. Katany sąsiadowały z rusznicami skałkowymi i karabinami maszynowymi Maxim. Na jednej z półek leżały egzemplarze kolejnych modeli granatów, od napełnionych prochem glinianych kul z lontem po najnowocześniejsze miniaturowe granaty błyskowo-hukowe. Zróżnicowanie sprzętów przywodziło na myśl muzeum, ale ich ilość jednoznacznie wskazywała na zbrojownię.

Wsiedliśmy do windy o ścianach z metalowych krat, przez które mogliśmy wyglądać, jadąc na górę. Przestałem liczyć po siódmym podobnie wyposażonym piętrze zbrojowni.

– Widzę, że twój szef lubi być dobrze przygotowany – zagadnąłem.

Gard się uśmiechnęła.

– Owszem, to jedna z jego cech.

– Nie uważasz, że trochę przesadza?

Uniosła brew.

– Stopień gotowości zależy od zdolności przewidywania.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem i uznałem, że to wyjątkowo nieudane zagadkowe stwierdzenie.

Winda wciąż jechała w górę. Na zewnątrz przemykały kolejne piętra. Jedno z nich wyglądało jak wielka sala gimnastyczna, w której ćwiczili

spoceni mężczyźni i kobiety. Inne przypominało drogą kancelarię prawniczą. Kolejne, urządzone w sterylnej bieli, było nieco zbyt jasno oświetlone i cuchnęło środkiem odkażającym. Na innym, rozświetlonym blaskiem świec, rozbrzmiewały ciche śpiewy. Na jeszcze innym znajdowało się jakby olbrzymie laboratorium chemiczne. Minęliśmy także poziom wypełniony celami, w których majaczyły cienie mieszkańców. I tak dalej.

Pokręciłem głową.

– Na dzwony piekieł. Zupełnie jak w jakimś zwariowanym wesołym miasteczku.

– Z tą różnicą, że nic z tego, co widzisz, nie ma na celu bawić – odrzekła Gard. – Nie próbuj mnie o nic pytać. I tak nie odpowiem. No, jesteśmy na parterze.

Winda dalej się wznosiła przez olbrzymie atrium zajmujące dziesięć albo dwanaście kondygnacji, na których mieściły się eleganckie biura. Każde z pięter było otwarte na hol, który, dzięki roślinom, ozdobnym drzewom, wodospadowi oraz licznym oknom i świetlikom wysoko w górze, wyglądał jak potężny ogród. Odgłosy pracy biurowej i sprzętu, śpiew ptaków oraz plusk wodospadu mieszały się ze sobą, tworząc biały szum pełen życia, zróżnicowania i ruchu. Przemierzyliśmy atrium i nasza przejrzysta winda zniknęła w krótkim tunelu.

Po chwili drzwi się otworzyły i zobaczyłem dosyć nowoczesną recepcję.

Znajdowały się w niej rzeczy, jakie zazwyczaj można spotkać w biurach: okazałe biurko, kilka siedzeń w poczekalni oraz stół ze stertą czasopism. Ale w tym biurze wszystkie meble wykonano z nierdzewnej stali. Podobnie jak podłogę. Podobnie jak ściany. Podobnie jak sufit. Nawet lampy i dzbanek na kawę. Czasopisma odznaczały się na ich tle jako bezkształtne plamy krzykliwego koloru.

Na jednej ze ścian znajdowała się płaskorzeźba z logo Monoc Securities, z jakiegoś powodu bardziej mi przypominająca herb na tarczy niż korporacyjny symbol marketingowy: gruby okrąg przecięty na pół prostą pionową linią, która wystawała po jego obu stronach. Mogło to być uproszczone, abstrakcyjne przedstawienie oka wycinanego z oczodołu za pomocą jakiegoś ostrza – część tego symbolu noszę na twarzy, gdzie blizna

po cięciu ciągnie się od brwi do policzka, minimalnie omijając oko. Mógł to być także abstrakcyjny symbol przedstawiający kobietę i mężczyznę w postaci okrągłego i prostego kształtu, oznaczający pełnię i równowagę. Albo nawet nałożone na siebie greckie litery omega i jota. Omega-jota. Ostatni szczegół? Ostateczny szczegół? Może logo oznaczało coś w tym rodzaju.

Albo łączyło wszystkie te znaczenia: ślepe, wszechwidzące oko.

Tak. To ma sens.

Dwie kobiety siedziały za dużym biurkiem przed komputerowymi monitorami mającymi postać niewielkich obłoków drobnej mgiełki, w której unosiły się obrazy i litery firmowej cyberrzeczywistości, niczym ulotne miraż. Wyższa technologia.

Same kobiety najwyraźniej były bliźniaczkami. Obie miały kruczoczarne fryzury ciasno przylegające do głowy, idealnie dopasowane kolorem do identycznych czarnych zakietów. Obie miały blade twarze o niezwykłych rysach, choć nie były klasycznie piękne. W przyjemny sposób wyróżniałyby się z tłumu, ale nikt nie wziąłby ich za modelki.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, bliźniaczki wstały i popatrzyły na nas z naciskiem czarnymi oczami. Nieraz celowano do mnie z broni palnej. Teraz miałem wrażenie, że jednocześnie zaglądam w cztery lufy gotowe do strzału. Kobiety trwały w nieludzkim bezruchu. Obie miały na głowie słuchawki, ale tylko jedna szeptała coś do mikrofonu.

Chciałem wyjść z windy, ale Gard wyciągnęła rękę w ostrzegawczym geście.

– Dopiero, kiedy uzyskasz zgodę – pouczyła. – W przeciwnym razie cię zabiją. Być może mnie też.

– Zatrudniają twarde recepcjonistki, co?

– Byłoby mądrzej powstrzymać się od żartów – odrzekła cicho. – One wszystko widzą i niczego nie zapominają.

Recepcjonistka, która mówiła do mikrofonu, powoli zamknęła i otworzyła jedną dłoń. Jej paznokcie zdrapały srebrzyste strużyny ze stalowego blatu.

Miałem ochotę rzucić żartem o manikiurze... ale się powstrzymałem. Dalej, dalej, mądrości Gadżeta.

– Obierają panie nimi pomarańcze? – spytały moje usta, nie konsultując się z resztą. – A może ostrzą panie noże, nożyczki i narzędzia ogrodowe? Kosiarce mojej gospodyni przydałaby się pomoc takich...

– Dresden – syknęła Gard, patrząc na mnie z mieszanką wściekłości i paniki.

Obie recepcjonistki wbiły we mnie wzrok. Ta, która nic nie mówiła, przestąpiła z nogi na nogę, jakby przygotowała się do zrobienia kroku.

– Daj spokój, Sigrun – odezwałem się do swojej towarzyszki. – Próbuję zachowywać się dyplomatycznie. W końcu słynę z mądrości. Gdybym im nie dogadał po tym, jak pyskowałem królowym elfów, Dworom Wampirów, półbogom i władcom demonów, mogłyby się poczuć urażone.

Gard jeszcze przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem, a potem w jej niepewnych niebieskich oczach pojawił się błysk beztrioskiej przekory. Pasował do niej znacznie bardziej niż lęk.

– Być może twoje kpiny i bezczelność nie są aż tak cenione, jak ci się wydaje.

– Dobrze – parsknąłem.

Gadatliwa bliźniaczka lekko przekrzywiła głowę.

– Natychmiast, proszę pana – odezwała się i wskazała mnie paznokciem. – Proszę wejść do biura przez drzwi znajdujące się za moimi plecami. – Wycelowała paznokieć w Gard. – Pani będzie mu towarzyszyła i go przedstawi.

Gard przytaknęła, a potem skinęła na mnie głową, zachęcając, żebym z nią poszedł. Wyszliśmy z windy i minęliśmy bliźniaczki. Cały czas wiodły za mną wzrokiem, śledząc każdy mój ruch. Czułem ciarki na plecach.

Po drugiej stronie drzwi ciągnął się długi korytarz z nierdzewnej stali. W ścianach rozmieszczono liczne zamknięte okienka o średnicy talerzy. Miałem wrażenie, że goście, którzy spróbowaliby przystawek podawanych na tych talerzach, nie prosiliby kucharza o przepis.

Na końcu korytarza znajdowały się stalowe drzwi. Otworzyły się przed nami bezgłośnie, ukazując kolejne stalowe pomieszczenie z potężnym biurkiem, za którym siedział mężczyzna.

Dohar Vadderung opierał brodę na dłoni i wpatrywał się w holograficzny

wyświetlacz komputera, a intuicja od razu podpowiedziała mi, że mam do czynienia z kimś niezwykle niebezpiecznym.

Nie wyglądał aż tak imponująco. Wysportowany facet po pięćdziesiątce. Szczupły, o sylwetce biegacza, ale zbyt barczysty, by ograniczać się tylko do tej aktywności. Miał nieco potargane włosy, dosyć długie jak na mężczyznę. Barwą przypominały chmurę burzową, a jego oko było jasnoniebieskie. Czarna opaska zakrywająca drugi oczodół oraz pionowa blizna przypominająca tę, którą sam nosiłem, świadczyły o tym, że nie myliłem się co do znaczenia firmowego logo. Vadderung nosił krótką, elegancko przystrzyżoną brodę. Był typem przystojnego awanturnika, głównie dzięki opasce, i wyglądał jak człowiek, który odsiedział trzydzieści lat z potrójnego dożywocia, po czym zdołał namówić komisję do spraw zwolnień warunkowych, by wypuściła go na wolność, czego zapewne miała pożałować.

– Sigrun – odezwał się grzecznym tonem.

Gard opadła na jedno kolano i skłoniła głowę. W jej ruchach nie było wahania – ten gest nie był tylko konieczną formalnością. Naprawdę wierzyła, że Vadderung zasługuje na taką uniżoność.

– Panie – odezwała się. – Przyproceedziłam maga, tak jak rozkazałeś.

– Dobrze się spisałaś – odrzekł siwowłosy mężczyzna i gestem polecił jej, by wstała. Chyba tego nie zauważyła, skoro miała pochyloną głowę, ale i tak go usłuchała. Może ćwiczili to od setek lat?

– Panie. Oto Harry Dresden, mag i Strażnik z Białej Rady.

Skinąłem głową do Vadderunga.

– Magu, oto Donar Vadderung, prezes zarządu Monoc Sec...

– Doskonale zdaję sobie sprawę, czym zarządza – przerwałem jej cichym głosem.

Kąciki ust starszego mężczyzny lekko się uniosły, gdy się odezwałem. Wskazał stalowe krzesło po przeciwnej stronie biurka.

– Usiądź, proszę.

Wskazałem palcem holograficzny wyświetlacz.

– Na pewno chce pan narażać sprzęt? Jeśli stanę za blisko...

Vadderung odchylił głowę i ryknął śmiechem.

– Zaryzykuję.

– Jak pan uważa. – Podeszedłem do biurka i usiadłem na stalowym krześle. Nie leżała na nim żadna poduszka, ale i tak było zaskakująco wygodne.

– Kawy? – zaproponował Vadderung. – A może coś do jedzenia?

Przez chwilę się zastanawiałem. Takie oficjalne spotkania wiążą się z pewnymi obowiązkami gościa wobec gospodarza i wzajemnie. Jeśli Vadderung był tym, za kogo go uważałem, to od czasu do czasu miał w zwyczaju sprawdzać, czy ludzie są wierni tej tradycji – po czym szczerze nagradzał wiernych i sprowadzał straszliwą śmierć na skąpych, bezdusznych i okrutnych.

W nadprzyrodzonym świecie takie zobowiązania i ograniczenia są niezwykle ważne dla przytłaczającej większości istot. Nie jestem pewien dlaczego. Może ma to coś wspólnego z ochronnymi barierami energetycznymi, jakie powstają wokół domostw.

– Tylko jeśli nie sprawi to panu kłopotu – odpowiedziałem.

– Przynieś też coś do jedzenia – polecił Vadderung Gard.

Skłoniła głowę.

– Tak, panie – odrzekła i opuściła pomieszczenie.

Chociaż mężczyzna nie wstał z za biurka, widziałem, że jest bardzo wysoki. Prawie jak olbrzym. Na stojąco przewyższałby mnie o kilka centymetrów, a w porównaniu z jego barkami moje były wąskie jak grzbiet książki. Ponownie oparł brodę na dłoni i przyglądał mi się uważnie jasnoniebieskimi oczami.

– Cóż, zapewne sądzisz, że wiesz, kim jestem.

– Mam kilka tropów – odrzekłem. – Myślę, że całkiem niezłych. Sigrun to była istotna podpowiedź. Ale, szczerze mówiąc, nie dlatego tutaj przyszedłem.

W kącikach niebieskiego oka pojawiły się zmarszczki.

– Na pewno?

Spochmurniałem i przekrzywiłem głowę.

– Co pan ma na myśli?

Uniósł dłoń i zaczął tłumaczyć.

– Ktoś odpowiednio przewidujący mógłby na przykład postarać się o to, by pewnego dnia móc udzielić wsparcia młodemu porywczemu magowi

z Białej Rady. Być może to, kim jestem, ma bezpośredni związek z tym, po co tutaj jestem.

– Owszem, to możliwe – odrzekłem. – Niewykluczone, że chce mi pan pomóc z altruistycznych powodów. Ale równie dobrze może pan być oszustem, który szuka sposobu, by mnie wykorzystać, gdy jestem w trudnej sytuacji. – Wzruszyłem ramionami. – Bez obrazy, ale na świecie nie ma zbyt wielu altruistów.

– Taki cynizm w tak młodym wieku. – Zmierzył mnie wzrokiem. – Ale w zasadzie mnie to nie dziwi. Nie u ciebie.

– Mam kilka pytań. Co prawda nie są tak ważne jak „Kim jestem?” albo „Co tutaj robię?”, ale dla mnie w tej chwili mają znacznie większą wagę.

Vadderung pokiwał głową.

– Szukasz swojej córki.

Poczułem, że moje ciało sztywnieje.

– Skąd...?

Uśmiechnął się chytrze.

– Ja wiele wiem, Dresden. A jeśli czegoś nie wiem, mogę się dowiedzieć. Właśnie w tym się specjalizuję, podobnie jak ty.

Wpatrywałem się w niego przez niemal minutę.

– Wie pan, gdzie ona jest?

– Nie – odpowiedział cicho, ale stanowczo. – Ale wiem, gdzie będzie.

Popatrzyłem na swoje dłonie.

– Jak wiele będzie mnie kosztować zdobycie tej informacji?

– Chichén Itzá – powiedział Vadderung.

Gwałtownie podniosłem głowę. Przez chwilę patrzyłem na niego ze zdziwieniem.

– Nie...

– Nie rozumiesz? – spytał Vadderung. – To proste. Jestem po twojej stronie, chłopcze.

Przeczesałem palcami włosy wciąż zatopiony w myślach.

– Dlaczego właśnie tam?

– Czerwony Król i jego zaufani ludzie, Władcy Zewnętrznej Nocy, muszą upichcić jakąś ważną magię. W tym celu potrzebują miejsca mocy.

Wykorzystają Chichén Itzá.

– Dlaczego akurat to miejsce?

– Chcą złożyć ofiarę. Jak w dawnych czasach – warknął gniewnie, przez co jego głos zabrzmiał groźnie. – Przygotowują rodową klątwę.

– Co takiego?

– To magia śmierci skupiona na danym rodzie. Przechodzi ze złożonego w ofierze dziecka na jej braci, siostry i rodziców. Z rodziców na ich rodzeństwo oraz rodziców i tak dalej. Rozprzestrzenia się po drzewie genealogicznym, aż w końcu nikt się nie oстане.

Poczułem lodowaty ucisk w żołądku.

– Nigdy... nie słyszałem, by ktoś używał magii śmierci na taką skalę. To wymaga... potężnej energii. – Na chwilę umilkłem. – Poza tym to idiotyzm. Susan była jedynaczką i już straciła rodziców. To samo dotyczy mnie...

Vadderung uniósł brew.

– Na pewno? Te potwory lubią działać skrupulatnie.

Zapanowałem nad swoją twarzą, nie chcąc niczego zdradzać. Przygotowywane zaklęcie by mnie uśmierciło. Mogło także zabić mojego ostatniego krewnego, przyrodniego brata Thomasa.

– Jak to działa? – spytałem spokojnym głosem.

– Wyrywa serce z piersi – wyjaśnił Vadderung. – A po drodze rozszarpuje je na kawałki. Brzmi znajomo?

– Na dzwony piekieł – szepnąłem. Od lat nie myślałem o Victorze Sellsie ani jego ofiarach, ale kiedyś często nawiedzali moje koszmary.

Vadderung nachylił się w moją stronę, wwiercając się we mnie wzrokiem.

– To wszystko jest połączone, Dresden. Cała ta rozgrywka. A ty dopiero dowiadujesz się, kim są uczestnicy. – Rozparł się na krześle i zamilkł na chwilę dla wzmocnienia efektu. – Czarownik, który kiedyś użył tego zaklęcia w Chicago, nie miał wystarczająco dużo mocy, by rozprzestrzeniło się poza pierwotną ofiarę. Czerwony Dwór dysponuje taką potęgą. Nikt nie korzystał z Mocy na taką skalę od ponad tysiąclecia.

– A oni skierują tę moc przeciwko mnie?

– Podobno człowieka można ocenić po jego wrogach, Dresden. – Uśmiechnął się, a jego kolejne słowa były podszyte powstrzymanym

śmiechem. – Walczysz z istotami, które powinny cię onieśmielać. Opierasz się niepowstrzymanym siłom, tylko dlatego, że uważasz, iż powinno się im przeszkodzić. Nie kłaniasz się ani demonom, ani aniołom i nadstawiasz karku w obronie tych, którzy sami nie potrafią o siebie zadbać. – Powoli pokiwał głową. – Chyba cię lubię.

Uniosłem brew i przez chwilę mu się przyglądałem.

– Więc niech mi pan pomoże.

Vadderung wydał usta z namysłem.

– Może czeka cię rozczarowanie, ale... już nie jestem tym, kim byłem dawniej. Moje dzieci są rozsiane po świecie. Większość z nich zapomniała o naszej misji. Kiedy wycofali się Jötunnowie... – Pokręcił głową. – Musisz zrozumieć, że w tej bitwie stajesz przeciwko istotom takim jak ja.

Zmarszczyłem czoło.

– To znaczy... bogom?

– W większości emerytowanym – przyznał Vadderung. – Kiedyś kłaniały się im całe cywilizacje. Teraz czci ich tylko garstka wyznawców, a moc ich krwi rozlała się wśród tysięcy potomków. Ale nawet resztką ich dawnej mocy to dla ciebie za dużo.

– Już to słyszałem – odparłem.

Vadderung tylko na mnie popatrzył.

– Pomogę ci zrozumieć.

Nagle uderzenie jakby setki kowadeł zrzuciło mnie z krzesła na posadzkę.

Upadłem na plecy, dysząc jak ryba wyciągnięta z wody. Próbowałem się poruszyć i podźwignąć z podłogi, ale nie byłem w stanie podnieść rąk. Przywołałem siłę woli, chcąc za jej pomocą odbić część tej siły, a wtedy...

...nagle poczułem, że moja wola bezpośrednio zмага się z inną. Potęga, która mnie przytrzymała, to nie była magia ziemi, jak podejrzewałem. To była prosta, surowa i brutalna siła woli Donara Vadderunga, Ojca Gromu, Ojca i Króla Asów. Wola Odyna przygniatała mnie do ziemi, a ja miałem równie niewielką szansę ucieczki bądź walki jak owad miażdżony butem.

Kiedy tylko to sobie uświadomiłem, nacisk ustąpił, jakby nigdy go nie było. Leżałem na podłodze, ciężko dysząc.

– Jestem władny cię zabić, młody magu – odezwał się Vadderung cicho. –

Mógłbym to zrobić samą myślą. Zwłaszcza tutaj, w ośrodku mojej mocy w Midgardzie. – Wstał, okrążył biurko i podał mi dłoń.

Przyjąłem ją. Pociągnął mnie, a ja mocno stanąłem na nogach.

– Znajdziesz się w ośrodku ich mocy. Będzie ich tuzin, a każde z nich niemal tak potężne jak ja. – Na chwilę położył dłoń na moim ramieniu. – Jesteś śmiały, sprytny i od czasu do czasu masz szczęście. To cenne cechy podczas bitwy, Ale przeciwko takiej mocy sobie nie poradzisz. Nawet jeśli staniesz do walki z Czerwonym Królem w Chichén Itzá, zostaniesz zmiażdżony, tak jak przed chwilą. Będziesz mógł tylko patrzeć, jak twoja córka umiera.

Przez jakiś czas przyglądał mi się w milczeniu. Potem drzwi jego gabinetu się otworzyły i zajrzała jedna z recepcjonistek.

– Za pięć minut jest pan umówiony na lunch – oznajmiła.

– Rzeczywiście – odrzekł Vadderung. – Dziękuję, M.

Skinęła głową i się wycofała.

Vadderung zwrócił się w moją stronę, a wtedy Gard wróciła do pomieszczenia, niosąc zakrytą tacę. Postawiła ją na dużym stalowym biurku i dyskretnie się cofnęła.

– Przeciwwstawiałeś się wyrokowi losu, Dresden – rzekł Vadderung. – Stawiałeś czoło wrogom znacznie potężniejszym od siebie. Za to należy ci się mój szacunek.

– Czy mógłbym wymienić ten szacunek na... czy ja wiem... pół tuzina Walkirii, jedną recepcjonistkę i dwa plutony martwych bohaterów?

Vadderung ponownie się roześmiał. Miał serdeczny śmiech, jak Święty Mikołaj, kiedy jeszcze był młody i grał w piłkę.

– Obawiam się, że nie poradziłbym sobie bez swoich recepcjonistek. – Nagle spoważniał. – A cała reszta... nie byłaby taka silna w ośrodku mocy Czerwonego Króla. – Pokręcił głową. – Czy ci się to podoba, czy nie, to sprawa śmiertelników i oni muszą ją załatwić.

– Czyli pan nie pomoże – odrzekłem cicho.

Zbliżył się do jednej ze stalowych szaf, otworzył drzwi i wyjął płaszcz. Włożył go i ponownie do mnie podszedł.

– Działam w tej branży od bardzo dawna, chłopcze. Skąd wiesz, że już ci

nie dałem tego, czego potrzebujesz?

Zdjął pokrywkę z tacy, skinął do mnie głową z sympatią i wyszedł.

Popatrzyłem na tacę. Stała tam parująca filiżanka herbaty, a przy niej leżały trzy puste papierowe saszetki po cukrze. Herbata pachniała miętą, tak jak lubię najbardziej. Obok znajdował się talerzyk z dwoma pączkami pokrytymi grubą warstwą lukru, nieskażonymi posypką ani innymi jadalnymi dekoracjami.

Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, jak Vadderung razem z dwiema recepcjonistkami znikają, zapewne na którejś ze Ścieżek.

– No i co? – zagadnęła Gard. – Gotowy do drogi?

– Jeszcze chwileczkę.

Usiadłem przy biurku. Potem z namysłem wypilem herbatę i zjadłem pączki.

Potrzebowałem snu.

Rankiem wróciłem z Molly do swojego mieszkania. Myszek wybiegł nam na powitanie, gdy wysiedliśmy z samochodu, a jego czujna postawa ustąpiła miejsca merdaniu ogonem oraz entuzjastycznemu węszeniu i trącaniu nosem. Spokojnie powlokłem się do mieszkania. Wszystko oczywiście było w porządku.

Susan i Martin byli w środku, oboje bardzo zajęci, a Mister spoglądał na nas wyniośle ze swojego stanowiska na szczycie najwyższego regału z książkami. Susan wytrzepała wszystkie dywany i wykładziny zakrywające podłogę w moim salonie i teraz je układała, zapewne w innej kolejności. Dwoma palcami uniosła jeden koniec kanapy, by wsunąć róg dywanu na miejsce.

Martin układał książki na półkach w porządku alfabetycznym.

Kiedyś za takie świętokradztwo karano śmiercią.

Starałem się zapanować nad nerwami. W końcu byli przekonani, że mi pomagają.

– Sukces – oznajmiła Susan. – Przynajmniej częściowy. Nasi ludzie dowiedzieli się, kto siedzi nam na ogonie.

– Tak? – spytałem. – Kto?

– Eebowie – odrzekła.

Molly weszła i przyjrzała się surowo temu, co robili. Owszem, po wizycie policji i FBI w mieszkaniu panował nieporządek, ale bez przesady. Zapewne była przyzwyczajona do dawnego wystroju tak samo jak ja.

– Nie znam tej rasy.

Martin pokręcił głową.

– Esteban i Esmeralda Batiste – wyjaśnił. – Jeden z małżeńskich zespołów, które Czerwony Dwór wysyła w teren.

– Jest ich więcej? – spytałem.

– Podróżujące pary mniej rzucają się w oczy – odrzekła Susan. – Stróżowie prawa są bardziej skłonni im ufać. Dzięki temu idzie im nieco łatwiej.

– Tak jak tobie i Martinowi – zauważyłem.

– Tak – przyznał Martin. – Oczywiście.

– Esteban i Esmeralda cieszą się złą sławą – dodała Susan. – Działają nieszablonowo i nieprzewidywalnie, nawet jak na wampiry. Poza tym nie mają skrupułów, żeby pozbywać się swoich ludzi, jeśli przybliży ich to do celu. Osobiście uważam, że łączy ich jakiś ohydny rodzaj miłości. Przez to zachowują się bardziej emocjonalnie.

– Po prostu karmią nawzajem swój obłąd – odrzekł Martin. – Nie próbuj ich nobilitować.

– Harry, tamten, który uciekł, to zapewne Esteban – powiedziała Susan. – Zazwyczaj szybko daje nogę, co tłumaczy, dlaczego wciąż żyje. Esmeralda pewnie stała na czatach na dachu pobliskiego budynku i zdetonowała ładunki wybuchowe.

– Musimy zakładać, że odpowiadają także za próbę zamachu przed budynkiem FBI – odrzekłem. – Przyciemnione szyby. Strzelec siedział z tyłu, daleko od okna.

– Możliwe – przyznała Susan. – Są skłonni włożyć ochronne stroje i działać w świetle dnia, jeśli uznają, że to konieczne.

Stęknąłem.

– A więc Esteban i Esmeralda...

– Eebowie – poprawiła mnie Susan z naciskiem.

– A więc Eebowie tak naprawdę nie są wojownikami. Zajmują się planowaniem. Można tak powiedzieć?

– Jak najbardziej – zgodził się Martin. W jego głosie wyczułem delikatną nutę uznania.

Pokiwałem głową.

– Zatem oni i ich gang wampirów mieli za zadanie was śledzić, ale kiedy zobaczyli, że zmierzacie do centrum przetwarzania danych, zostali zmuszeni do podjęcia konkretniejszych działań. Próbowali chronić dane. To

logiczne.

Susan zmarszczyła czoło i skinęła głową.

– Oczywiście – odrzekł Martin. – Są nieprzewidywalni, ale nigdy nie postępują głupio.

– Ale skoro księżna rozkazała, by pokrzyżowali wam plany, dlaczego zadali sobie trud, by spróbować mnie zabić?

Martin otworzył usta, ale zaraz ponownie je zamknął, marszcząc czoło.

– Przecież Arianna chce, żebym cierpiał, prawda? Przy okazji, dzięki Bogu za jej schematyczny sposób myślenia. Ale nie będę mógł cierpieć, jeśli umrę. Pozbawi ją to całej przyjemności.

– W szeregach Czerwonego Dworu nie ma zgodności – wyszeptała Susan.
– Tylko takie może być wyjaśnienie. Sprzeczne interesy, nawet na szczycie hierarchii.

– Albo to nie... Eebowie dokonali zamachu – rzekł Martin z westchnieniem.

– Ostatnio nie widziałem nikogo innego spośród ludzi, którzy życzą mi śmierci – odparłem. – Eebów spotkałem wczoraj. To najprostsze wyjaśnienie.

Martin lekko przekrzywił głowę, jakby przyznawał mi rację.

– Pamiętaj, że to tylko teoria, a nie fakt. Nie brakuje ci wrogów, Dresden.

– Eee, Harry? – odezwała się Molly.

Zwróciłem się w jej stronę.

– Nie wiem, czy powinnam się w to mieszać, ale... skoro w Czerwonym Dworze doszło do rozłamu... być może porwanie i tak dalej to tylko... zasłona dymna, która ma odwrócić uwagę od czegoś innego. Może wcale nie chodzi o ciebie. A przynajmniej nie tylko.

Przez chwilę wpatrywałem się w nią z obojętnym wyrazem twarzy.

– Ale to by oznaczało, że nie jestem pępkiem wszechświata – odparłem.

Molly przewróciła oczami.

– Dobra myśl, nowicjuszko – dodałem. – Warto wziąć to pod uwagę. Możliwe, że jesteśmy tylko odwróceniem uwagi.

– Czy to ważne? – spytała Susan. – Czy coś to dla nas zmienia?

Wzruszyłem ramionami.

– Będziemy musieli się przekonać.

Skrzywiła się.

– Jeśli Eebowie pracują dla innej frakcji niż Arianna, to przepadł nasz jedyny trop. Miałam nadzieję, że zmusimy ich, by powiedzieli nam, gdzie jest przetrzymywana Maggie.

– Mimo wszystko warto spróbować – wtrącił Martin. – Jeśli uda nam się ich złapać.

– Albo możemy obstawić Chichén Itzá – odrzekłem. – Przechwycimy małą, kiedy Czerwoni sprowadzą ją tam w celu odprawienia swojego superrytuału.

Susan gwałtownie obróciła się w moją stronę.

– Co takiego?

– Odprawią swoją wielką ceremonię w Chichén Itzá – wyjaśniłem, patrząc Susan w oczy i kiwając głową. – Znalazłem ją. Ona tam będzie. A my się po nią wybierzemy.

Susan wykrzyknęła radośnie i skoczyła na mnie z drugiego końca pokoju. Impet uderzenia pchnął mnie plecami na jeden z regałów. Susan oplotła mnie nogami i pocałowała w usta.

Miała gorące i słodkie wargi, a ich dotyk nappełnił moje ciało ogniem, który na chwilę pochłonął wszystkie moje myśli. Objąłem jej ciało, tak ciepłe, prawdziwe i... tak bardzo bliskie. Moje serce szybciej zabiło i zakręciło mi się w głowie.

Nagle przez pokój przetoczyło się gardłowe warczenie Myszka.

– Rodriguez – rzucił Martin napiętym głosem.

Susan oderwała ode mnie usta, a kiedy otworzyła oczy, były całkowicie czarne, jak u wampirów z Czerwonego Dworu. Moje wargi i język wciąż mrowiły po zetknięciu z jej ustami, wyczuwając dalekie echo zdradliwego wampirzego jadu. Jaskrawoczerwone tatuaże zapłonęły na twarzy Susan, jej szyi i jednej z rąk. Przez chwilę patrzyła na mnie oszołomiona, a potem powoli zamrugnęła i obejrzała się przez ramię na Martina.

– Jesteś blisko – odezwał się bardzo cichym, uspokajającym głosem. – Musisz się wycofać. Potrzebujesz chwili oddechu.

Twarz Susan na moment wykrzywił wściekły grymas. Potem zadrżała,

zerknęła kolejno na Martina i na mnie, po czym wyswobodziła mnie z uścisku.

– Wyszło słońce i zrobiło się ciepło – rzekł Martin, delikatnie chwytając ją za łokieć. – Chodź. Ogrzejemy się, pospacerujemy i wszystko sobie wyjaśnimy.

– Słońce – odrzekła Susan, a w jej cichym chrapliwym głosie wciąż pobrzmiwało podniecenie. – Dobrze, wyjdźmy na słońce.

Martin posłał mi spojrzenie, które zapewne miało mnie zabić, a potem razem z Susan wyszli z mieszkania na światło poranka.

Molly zaczęła, aż oddała się od drzwi.

– Cóż, oboje zachowaliście się głupio – stwierdziła.

Obejrzałem się na nią i zmarszczyłem czoło.

– Mówię, jak jest – dodała cicho. – Wiesz, że ona ma trudności z kontrolowaniem emocji, instynktów. Nie powinna tak się na ciebie rzucać. A ty nie powinieneś odwzajemniać jej pocałunku. – Zaciśnęła usta. – Komuś mogła się stać krzywda.

Powstrzymując wybuch złości, potarłem wargi, w których wciąż czułem mrowienie.

– Molly...

– Rozumiem – odparła. – Naprawdę. Wiem, że ci na niej zależy. Może nawet ją kochałeś. Może ona kochała ciebie. Ale już tak nie może być. – Rozłożyła ręce. – Chociaż to popaprane, musisz żyć z tą świadomością. Nie możesz jej ignorować. Jeśli się do niej zbliżysz, nic dobrego z tego nie wyniknie, szefie.

Wpatrywałem się w nią, a gniew, który czułem, zabrzmiał w moim głosie, chociaż starałem się go powstrzymać.

– Uważaj, Molly.

Zbladła i odwróciła wzrok. Ale skrzyżowała ręce na piersiach i nie ustąpiła.

– Mówię to, ponieważ mi zależy, Harry.

– Na Susan? – spytałem. – Nawet jej nie znasz.

– Nie na Susan – odparła. – Na tobie.

Zbliżyłem się do niej o krok.

– Niczego nie wiesz o mnie i Susan, Molly.

– Wiem, że już się obwiniasz o to, co ją spotkało – odrzekła, wypluwając słowa. – Zastanów się, co ona poczuje, jeśli zapamięta się w pocałunku, a potem zorientuje się, że rozerwała ci krtań, wypła twoją krew i zmieniła się w potwora. Chcesz, żeby właśnie tak skończyła się historia Susan i Harry'ego?

Słyszając te słowa, miałem ochotę na nią nawrzeszczyć. Nie wiem, co mnie powstrzymało.

Poza tym, że ona nigdy by nie uwierzyła, że jestem do tego zdolny.

Miała rację. Może właśnie to zaważyło.

Dlatego wziąłem głęboki wdech, zamknąłem oczy i ponownie zapanowałem nad złością. Byłem już tym zmęczony.

Kiedy odezwałem się po kilku chwilach, miałem zachrypnięty głos.

– Terminowanie u maga nauczyło cię manipulacji.

Pociągnęła nosem, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że płacze.

– N-nie – wyksztusiła. – Zawdzięczam to mamie.

Mruknąłem coś potakująco i pokiwałem głową.

Popatrzyła na mnie, ale nie próbowała otrzeć łez z twarzy.

– Okropnie wyglądasz.

– Czegoś się dowiedziałem – odrzekłem.

Przygryzła wargę.

– Jest źle, prawda?

Przytaknąłem.

– Bardzo źle. Jesteśmy... – Pokręciłem głową. – Nie wiem, jak sobie poradzimy bez wsparcia Rady.

– Coś wymyślimy – odpowiedziała. – Zawsze jest jakiś sposób.

– Właśnie... na tym polega problem. – Popatrzyłem na beznadziejnie uporządkowane książki na najbliższym regale. – Chyba... chciałbym przez jakiś czas побыć sam.

Molly wyglądała jak ktoś, kto boi się poruszyć, by nie rozbić delikatnego przedmiotu.

– Jesteś pewien?

Myszek cicho zaskowyczał.

– Nie zamierzam robić niczego desperackiego – obiecałem. Przynajmniej na razie. – Po prostu potrzebuję trochę czasu.

– Dobrze – odrzekła. – Myszek, chodź.

Pies popatrzył na mnie z troską, ale wyszedł z mieszkania i wspiał się po schodach razem z Molly.

Podszedłem do kabiny prysznicowej, odkręciłem wodę, rozebrałem się i wskoczyłem pod lodowaty strumień. Przez chwilę tak stałem oblewany wodą, próbując myśleć.

Rozmyślałem głównie o tym, jak wspaniałe były usta Susan. Czekałem, aż zimna woda wypłucze ze mnie tę myśl. Potem przypomniałem sobie ostrzeżenie Vadderunga dotyczące Czerwonego Dworu.

Swego czasu stawiałem czoło wielu twardzielom. Ale żaden z nich nie był boską istotą, czy raczej jej pozostałością, jeśli właśnie tym byli Władcy Zewnętrznej Nocy i Czerwony Król. Nie dało się pokonać kogoś takiego w bezpośredniej konfrontacji. Owszem, dysponowałem sporą mocą. Kiedy miałem dobry dzień, można było mnie zaliczyć do czołowej dwudziestki albo trzydziestki magów na świecie, biorąc pod uwagę czystą magiczną siłę. Stale się rozwijałem także pod względem finezji i umiejętności. Za dwieście lat mogę się znaleźć w pierwszej trójce.

Oczywiście, jeśli Marcone miał rację, nigdy nie zajdę tak wysoko. A ten drapieżca z betonowej dżungli nie był głupi. Prawdę mówiąc, wiele wskazywało na to, że nie pożyję dłużej niż kilka dni.

Nie mogłem pokonać mistrzów z Czerwonego Dworu.

Tylko że oni mieli moją córeczkę.

Wiem. Nie powinno mieć znaczenia, że to właśnie moja córka. Powinienem być tak samo oburzony, niezależnie od tego, czyje dziecko trafiło w ich potworne łapy. A jednak to było istotne. Maggie była moim dzieckiem i to miało ogromne znaczenie.

Stałem pod prysznicem, dopóki zimna woda nie stłumiła potęgi hormonów i emocji, bezmyślnego pożądania. Po namyśle doszedłem do wniosku, że mam trzy możliwości. Wróg był potężny. Zatem mogłem się pojawić z przeważającymi siłami. Mogłem zwołać wszystkich przyjaciół, sojuszników i podejrzanych typków, którzy byli mi coś winni. Takie wsparcie

mogło odwrócić losy każdej bitwy, a nie miałem wątpliwości, że czeka mnie bitwa o epickiej skali.

Problem polegał na tym, że do takiej rozpaczliwej walki stanęliby tylko moi przyjaciele. A wtedy czekałaby ich śmierć. Dosłownie wykorzystałbym ich jako tarczę przeciwko miazdzącej sile Czerwonego Króla i jego dworu, a nie miałem wątpliwości, jaka byłaby cena takiej konfrontacji. Moi przyjaciele straciliby życie. Większość z nich. Psiakrew, zapewne wszyscy, wliczając mnie. Może udałoby mi się wydostać małą, podczas gdy oni oddawaliby życie, by mi to umożliwić. Ale co potem? Do końca życia uciekalibyśmy razem z Maggie? Stale oglądalibyśmy się przez ramię, nie spędzając w żadnym miejscu więcej niż kilka dni?

Mogłem także zmienić tę konfrontację w coś innego. Znaleźć jakiś sposób na podkradnięcie się na tyle blisko, by zabrać dziewczynkę i zniknąć, pomijając etap walki. Taki plan nie wymagałby śmierci moich przyjaciół.

Oczywiście w tym celu musiałbym stać się sprytniejszy i przebieglejszy od istot z tysiącami lat doświadczenia w aktach infiltracji i zdrady. Nie da się przetrwać tak długo jak oni pośród ludu drapieżców bez nieprzeciętnej inteligencji i czujności. Podejrzywałem, że nie wystarczy ogłuszyć strażników, przebrać się w ich mundury i zakraść się na miejsce razem z moimi przyjaciółmi Tchórzliwym Lwem i Blaszanym Drwalem.

(W tym scenariuszu przydzieliłem sobie rolę Stracha na Wróble. Gdybym ja rozum miał, obmyśliłbym lepszy plan).

Zatem bezpośrednia walka z udziałem wszystkich sprzymierzeńców była złym pomysłem. Zapewne okazałaby się nieskuteczna.

Zakradnięcie się do serca Czerwonego Dworu było złym pomysłem. Zapewne również okazałoby się nieskuteczne.

To pozostawiało mi trzecią możliwość. Która była nie do pomyślenia. Przynajmniej kilka dni temu. Zanim dowiedziałem się, że jestem ojcem.

Moja kariera maga była... bardzo bogata. Dałem po pysku wielu potężnym istotom. Zazwyczaj uchodziło mi to płazem, chociaż nosiłem kilka blizn, nie tylko fizycznych. Wiele grubych ryb dostrzegało mój potencjał do siania chaosu.

Niektórzy z nich proponowali mi moc.

Potęzną moc.

Gdybym w tej chwili zebrał wszystkie swoje siły – niezależnie od ceny, jaką przyszloby mi zapłacić – zmieniłbym przebieg rozgrywki. Nie byłbym już tylko wziętym młodym magiem. Moja moc zyskałaby niewyobrażalną intensywność, głębię i skalę. Mógłbym przywołać nowych sojuszników. Miałbym do dyspozycji niemal nieograniczony zasób nowych broni, otworzyłyby się przede mną możliwości, o których w przeciwnym razie nie mógłbym marzyć.

Ale co potem?

Już nie musiałbym uciekać razem z Maggie, by ochronić ją przed potworami. Sam stałbym się jednym z nich.

Może nie tego samego dnia. Może nie tego samego tygodnia. Ale kiedyś, całkiem niedługo, istoty, którym udostępniłbym swoje wnętrze, zmieniłyby mnie. A ja zapewne nie miałbym nic przeciwko temu, jeśli w ogóle bym to zauważył. Taka jest natura tego rodzaju mocy. Nie czujemy, jak nas przemienia.

Nie otrzymujemy żadnego ostrzeżenia, gdy nasza dusza staje się czarna.

Trzecia możliwość miała coś wspólnego z pierwszymi dwiema: doprowadziłaby do mojej śmierci. A przynajmniej do śmierci człowieka, którym byłem. Tego, który chciał uczynić świat nieco jaśniejszym i bardziej zrównoważonym miejscem. Tego, który próbował pomagać i czasami zawałał sprawę. Tego, który wierzył w takie wartości jak rodzina, odpowiedzialność, miłość.

Ale gdyby mi się udało, Maggie mogła przeżyć. Tylko po to, by znów zostać sierotą, w taki czy inny sposób.

Byłem taki zmęczony.

Może nie ma żadnego wyjścia, wyszeptał jakiś głos w mojej głowie.

Zakręciłem wodę i sięgnąłem po ręcznik.

– Chrzanić takie podejście, Dresden – skarciłem się. – Da się z tego wyjść. Istnieje rozwiązanie. Musisz tylko je znaleźć.

Wytarłem się i wbiłem wzrok w odbicie swojej surowej, pokrytej bliznami, nieogolonej twarzy. Nie wyglądała na twarz, którą mogłoby pokochać dziecko. Mała pewnie by się rozplakała na mój widok.

Ale ta twarz być może należy do człowieka, który potrafi wyrwać ją z tłumu krwiożerczych bestii. Za wcześnie, żeby rzucać ręcznik.

Nie miałem pojęcia, co zrobię.

Wiedziałem tylko, że nie mogę się poddać.

Zadzwońiłem na komórkę do Murphy.

– Murphy, słucham.

– Cześć, Murph. Jak się masz?

– Ta linia nie jest...

– Wiem – przerwałem jej. – Wiem. Moja też nie. Halo, goście z FBI. Nie nudzi wam się stale to robić?

Murphy parsknęła do telefonu.

– Co słycać?

– Chyba sobie kupię popsutą wycieraczkę, żeby pasowała do moich popsutych drzwi i popsutej futryny – odrzekłem. – Dziękuję, goście z FBI.

– Nie demonizuj Biura – odparła Murphy. – Nie są dużo bardziej nieudolni od innych. Nic nie poradzą, skoro otrzymują błędne informacje.

– A co z twoim mieszkaniem? – spytałem.

– Przyszli, przeszukali, poszli sobie. Asystowali im Rawlins, Stallings oraz kilkunastu innych gości z Dochodzeń Specjalnych. Przed wyjściem agenci pościerali kurze i wynieśli śmieci.

Parsknąłem śmiechem.

– Chłopcom z DS upiekło się coś takiego?

Murphy sprawiała wrażenie zadowolonej z siebie.

– Pojawili się u mnie na rozkaz nowego agenta dowodzącego.

– Tilly'ego?

– Poznałeś go, prawda?

– Owszem i bardzo się z tego cieszę. Dobrze o tobie mówił.

– Ćwiczy aikido – dodała Murphy. – Kilka razy odwiedziłam jego dojo, żeby poprowadzić zajęcia praktyczne. On naucza tam form i walki bronią.

– No tak, to on nauczył cię walki kijem?

– Właśnie. Zaczynaliśmy w tej samej grupie, wiele miesięcy temu.

Stęknąłem.

– Szkoda, że musiałem go poznać w takich okolicznościach.

– W Biurze ogólnie pracują porządni ludzie. Problemem jest Rudolph. Albo ten, kto wydaje mu rozkazy.

Nagle zamilkłem, ponieważ coś przyszło mi do głowy.

– Harry? Jesteś tam jeszcze?

– Tak, przepraszam. Właśnie miałem się wybrać na kanapkę ze stekiem.

Zainteresowana?

– Jasne. Za dwadzieścia minut?

– Może być.

Murphy się rozłączyła, a ja powiedziałem do słuchawki:

– Jeśli obserwujecie moje mieszkanie, to czy moglibyście wezwać gliny, gdyby ktoś próbował ukraść mój plakat z Gwiezdnymi Wojnami? To oryginał. – Potem mściwie rozłączyłem się z FBI. Moja dziecięca natura zaklaskała z radości.

Dwadzieścia minut później wszedłem co McAnally's.

O tak wczesnej porze jeszcze nie było tłoku, więc razem z Murphy usiedliśmy w kącie, jak najdalej od okien i laserowych mikrofonów, na wypadek gdyby nasi federalni prześladowcy jeszcze głębiej popadli w paranoję.

Zacząłem bez zbędnych wstępów.

– Kto powiedział, że Rudolph otrzymuje rozkazy od swoich bezpośrednich przełożonych? Albo w ogóle od kogoś w Chicago?

Murphy zmarszczyła czoło i przez chwilę się zastanawiała. Czekałem cierpliwie.

– Chyba nie mówisz poważnie? – odrzekła.

– Myślę, że warto to sprawdzić. Był bardzo roztrzęsiony, kiedy go widziałem.

– Racja – przyznała Murphy z namysłem. – U mnie też.

Opowiedziałem jej ze szczegółami o tym, co się wydarzyło w moim mieszkaniu i budynku FBI, a kiedy skończyłem, stanowczo pokiwała głową.

– Mów dalej.

– Oboje wiemy, że tacy karierowicze jak Rudolph zazwyczaj nie działają

w nerwach, pośpiechu i pod presją, gdy mają oficjalną aprobatę. Sprawia im przyjemność tłuczenie ludzi po głowie pałką władzy.

– Nie wiem, czy wszyscy tak się zachowują, ale na pewno dotyczy to Rudolpha – przyznała.

– Otóż to. Ale tym razem był niespokojny i niecierpliwy. Wręcz zdesperowany. – Opowiedziałem o jego zachowaniu, zwłaszcza w moim mieszkaniu i w pokoju przesłuchań w śródmieściu. – Tilly powiedział, że Rudolph łąał w żywe oczy, żeby naprowadzić na mnie FBI.

– I ty w to wierzysz? – spytała Murphy.

– A ty nie?

Wzruszyła ramionami.

– Owszem. Ale to nie oznacza, że ktoś wykorzystuje go jako agenta.

– Chyba jednak tak – zaoponowałem. – Nie ma pełnej aprobaty przełożonych. Ktoś inny go naciska; ktoś, kogo Rudolph tak się boi, że działa nerwowo i w pośpiechu.

– Może to ma ręce i nogi – odrzekła Murphy. – Ale po co miałyby to robić?

– Ktoś chciał się upewnić, że nie zaangażuję się w poszukiwania Maggie. Być może w tym celu napuścili na mnie Rudolpha. A kiedy Tilly mnie wypuścił, podwyższyli stawkę i spróbowali mnie załatwić przed budynkiem FBI.

Niebieskie oczy Murphy zlodowaciały na wzmiankę o próbie zamachu.

– Udałoby im się tak szybko kogoś wysłać?

Próbowałem to przeanalizować.

– Wszedłem wkrótce po tym, jak Tilly wyprosił Rudolpha z pokoju. Minęło dziesięć, najwyżej piętnaście minut. Myślisz, że to wystarczyło, by Rudolph zgłosił porażkę, a jego opiekun wysłał zabójców?

Murphy zastanowiła się nad tym i powoli pokręciła głową.

– Musieliby być bardzo blisko i działać z prędkością błyskawicy. Ale... Harry, ten zamach przebiegł zbyt spokojnie i sprawnie, by zorganizowano go na poczekaniu.

Zmarszczyłem czoło i oboje się uciszyliśmy, gdy Mac podszedł do naszego stolika i postawił na nim dwie brązowe butelki. Był drobnym łysym mężczyzną i odkąd go znałem, ubierał się w ciemne ubrania oraz

nieskazitelnie biały fartuch. Podziękowaliśmy mruknięciami i Mac nas opuścił.

– No dobrze – odezwała się Murphy i pociągnęła łyk z butelki. – Może opiekun Rudolpha już wcześniej umieścił zabójców na pozycjach, na wypadek gdybyś wyszedł na wolność pomimo jego wysiłków.

Pokręciłem głową.

– Bardziej prawdopodobne wydaje się, że zabójca miał za zadanie usunąć Rudolpha po tym, jak ten wypełni swoje zadanie. Kimkolwiek był jego opiekun, zapewne chciał się zabezpieczyć, przeciąć pojedyncze ogniwo łańcucha, by nikt nie wpadł na jego trop. Dopiero kiedy Rudy zadzwonił i przekazał, że nie udało się mnie zamknąć, postanowiono zmienić cel ataku.

A to by oznaczało, że... przyjąłem trzy kulki przeznaczone dla Rudolpha.

– Harry? – spytała Murphy. – Dlaczego się śmiejesz?

– Wczoraj usłyszałem żart – odrzekłem. – Dopiero teraz go zrozumiałem.

Popatrzyła na mnie surowo.

– Powinieneś odpocząć. Wyglądasz koszmarnie. Najwyraźniej jesteś tak zmęczony, że dostałeś głupawki.

– Magowie nie miewają głupawki – wykrztusiłem z trudem. – Zawsze rechoczemy z godnością.

Spojrzała na mnie z ukosa, sącząc piwo. Zaczekała, aż skończę się śmiać.

– Dowiedziałeś się czegoś o Maggie?

– W pewnym sensie – odrzekłem, nagle poważniejąc. – Chyba wiem, gdzie będzie za kilka dni. – Przekazałem jej, czego się dowiedzieliśmy o zamiarach księżnej, ale przemilczałem wszystkie naruszenia prawa takie jak kradzież, wtargnięcie na teren prywatny czy wandalizm. – W tej chwili wszyscy sprawdzają swoje kontakty w Meksyku.

– Susan? – spytała Murphy.

– Oraz ojciec Forthill. Wspólnie powinni odkryć, co się dzieje w Chichén Itzá.

Murphy pokiwała głową.

– Jak ona się trzyma? – spytała.

Wypiłem kolejny łyk.

– Uważa, że Molly na mnie leci.

Murphy parsknęła.

– Kurczę, pewnie użyła swoich wampirzych supermocy, żeby to wydedukować.

Zamrugalem.

Murphy przez chwilę mi się przyglądała, a potem przewróciła oczami.

– Daj spokój, Harry. Serio? Naprawdę jesteś aż tak zaślepiiony?

– Eee, najwyraźniej tak – odparłem, wciąż mrugając.

Murphy uśmiechnęła się kpiąco.

– Zawsze doznaję szoku, kiedy natrafiam na któreś z twoich martwych pól. Nie jest ich wiele, ale są potężne. – Pokręciła głową. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Pokiwałem głową.

– Susan jest rozbita. Problemy z wampiryzmem pewnie jeszcze pogarszają sytuację.

– Czy ja wiem, Harry. Wydaje mi się, że nie musisz się tu dopatrywać niczego poza obawami matki.

– Możliwe. Tak czy inaczej, ledwo się trzyma.

– Tak jak ty – odrzekła Murphy.

Skrzywiłem się.

– Co takiego?

Uniosła brew i popatrzyła na mnie.

Już wpadałem w gniew, ale powstrzymałem się i zmusiłem do namysłu.

– Tak uważasz?

Powoli pokiwała głową.

– Zauważyłeś, że od pięciu minut stukasz lewym palcem u nogi o podłogę?

Zmarszczyłem czoło, a potem spuściłem wzrok na swoją stopę, która tak gwałtownie podrygiwała, że aż zmęczyły mi się mięśnie łydki.

– Ale ja... Nie.

– Jestem twoją przyjaciółką, Harry – zapewniła cicho. – Mówię ci, że w tej chwili też jesteś na krawędzi.

– Potwory zamierzają zabić moje dziecko, Murph. Może już dzisiaj wieczorem, może jutro. W każdym razie niedługo. Nie mam czasu na

normalność.

Murphy powoli pokiwała głową, a potem westchnęła jak ktoś, kto bierze na siebie niechciane brzemię.

– Zatem Chichén Itzá.

– Na to wygląda.

– Świetnie. Kiedy ich zaatakujemy?

Pokręciłem głową.

– Z tymi ludźmi nie możemy się bawić w Dziką Bandę. Zmiotą nas z powierzchni ziemi.

Zmarszczyła czoło.

– Przecież Biała Rada...

– Nie przyłączy się do nas – warknąłem. – A w odpowiedzi na twoje pytanie... nie jesteśmy pewni, kiedy ma się odbyć rytuał. Muszę zdobyć więcej informacji.

– Rudolph – odrzekła Murphy z namysłem.

– Rudolph. Ktoś, kto jest w to zaplątany, zapewne ktoś z Czerwonego Dworu, wywiera na niego nacisk. Zamierzam znaleźć tego kogoś i wycisnąć z niego coś przydatnego.

– Ja też chciałabym porozmawiać z Rudolphem. A więc zaczniemy działać na swoich poletkach i spotkamy się w połowie drogi?

– Dobry plan. – Pomachałem do Maca, a potem udałem, że trzymam przed sobą kanapkę i biorę gryza. Pokiwał głową i zerknął na Murphy. – Ty też chcesz kanapkę ze stekiem?

– Myślałam, że nie masz czasu na normalność.

– Bo nie mam – odrzekłem. – Ale nie mam też czasu się głodzić.

– Jak to możliwe, że policjanta stać na taką chatę? – spytała Molly.

Siedzieliśmy w Niebieskim Chrabąszczu zaparkowanym przy spokojnej ulicy mieszkaniowej w Crestwood. Późnopołudniowe niebo było mocno zachmurzone. Przy ulicy wznosiły się okazałe domy. Ten należący do Rudolpha, którego adres dostałem od Murphy, był najmniejszy, ale stał w tej samej eleganckiej dzielnicy. Przylegał do leśnego rezerwatu hrabstwa Cook, a stary las i dojrzałe drzewa tworzyły nastrój bezpieczeństwa i sielankowości.

– Niemożliwe – odpowiedziałem cicho.

– Chcesz powiedzieć, że jest skorumpowany? – spytała Molly.

– Niewykluczone – odrzekłem. – A może jego rodzina ma pieniądze. Albo wziął potężny kredyt. Ludzie popełniają wiele głupstw podczas kupowania własnego lokum. Płacą o ćwierć miliona więcej za dom w dobrej dzielnicy. Kupują posiadłości, których nie będą w stanie utrzymać. – Pokręciłem głową.
– Przed złożeniem oferty kupna klient powinien rozwiązywać test badający poziom zdrowego rozsądku.

– Może to wcale nie głupota – odrzekła Molly. – Każdy chce, żeby jego dom coś znaczył. Może wyłożenie większych pieniędzy dodaje mu znaczenia.

Skrzywiłem się.

– Wolalbym, żeby to dodatkowe znaczenie wynikało ze starożytnego cmentarzyska pod basenem albo świadomości, że wybudowałem dom własnymi rękami.

– Nie każdy ma tak małe mniemanie o rzeczach materialnych jak ty, szefie – odrzekła Molly. – Być może dla nich dodatkowa wartość, którą odzwierciedla wyższa cena, jest istotna.

– Nadal uważam, że to głupie – stęknąłem.

– Z twojej perspektywy. Ale wszystko zależy od punktu widzenia, prawda?

– A z punktu widzenia ludzi w potrzebie dodatkowe ćwierć miliona dolców, które materialista wydał na prestiżowy dodatek do domu, to mnóstwo jedzenia i ratujących życie lekarstw, które mogłyby się pojawić, gdyby palant z wielkiego domu na przedmieściach nie wyrzucił pieniędzy na sztuczne powiększenie swojego socjograficznego penisa.

– A poza tym jego dom jest znacznie ładniejszy od twojego – dodała Molly.

– Otóż to – przyznałem.

Myszek cicho zamruczał przez sen na tylnym siedzeniu, a ja obróciłem się, żeby uspokajająco podrapać go za uszami.

Molly odezwała się ponownie dopiero po minucie.

– Co jeszcze będziemy robić?

– Poza siedzeniem na miejscu i obserwowaniem? – spytałem. – Zastawiliśmy zasadzkę, Molly. Właśnie na tym ona polega.

– Zasadzki są do bani – odparła Molly, dmuchnięciem odrzucając kilka kosmyków z oczu. – Dlaczego Murphy się tym nie zajmuje? Dlaczego my nie możemy użyć magii?

– Murphy śledzi poczynania Rudolpha w pracy – wyjaśniłem. – Ja obserwuję jego dom. Jeśli jego opiekun chce go wykończyć, zapewne właśnie tam się na niego zaczai.

– A my nie używamy magii, ponieważ...?

– A co według ciebie powinniśmy zrobić?

– Namierzyć Rudolpha i Maggie za pomocą zaklęć tropiących – odrzekła bez wahania.

– Masz próbkę krwi Rudolpha? Jego włosy? Obcięte paznokcie?

– Nie.

– Więc nici z zaklęcia tropiącego.

– No a Maggie? – nie ustępowała. – Wiem, że nie masz jej włosów ani niczego w tym rodzaju, ale kiedy szukałeś mnie, do zaklęcia tropiącego użyłeś krwi mojej matki, prawda? Nie mógłbyś wykorzystać swojej krwi?

Starłem się zapanować nad oddechem i nie pozwolić, żeby w moim głosie dało się wyczuć gniew, który mnie ogarniał.

– Od razu tego spróbowałem. Zaraz po zakończeniu rozmowy telefonicznej z Susan.

Molly zmarszczyła czoło.

– Dlaczego to nie podziałało?

– Nie wiem – odrzekłem. – Może potrzebne jest coś więcej niż proste pokrewieństwo. Rodzinna więź łącząca rodzica z dzieckiem wykorzystywana do wzmocnienia działania zaklęcia. A może Czerwony Dwór używa magii maskującej lub zakłócającej. W końcu musieli opracować jakieś środki obronne podczas wojny. – Pokręciłem ze znużeniem głową. – Albo to kwestia dystansu. Nigdy nie tropiłem niczego, co było oddalone o więcej niż trzysta kilometrów w linii prostej. Słyszałem o zaklęciach tropiących, które działają nawet na odległość trzech tysięcy kilometrów, ale nie znam nikogo, kto z powodzeniem by je stosował. Myślałem, że masz o mnie lepsze mniemanie, nowicjuszek. Oczywiście, że tego próbowałem. W przeciwnym razie nie spędziłbym pół dnia na przyzywaniu swoich kontaktów.

– Aha. – Molly sprawiała wrażenie zatroskanej. – No tak. Wybacz.

Westchnąłem, odchyliłem głowę i zamknąłem oczy.

– Nic się nie stało. Przepraszam, dzieciaku. Po prostu jestem spięty.

– Odrobinę – przyznała. – A swoją drogą, dlaczego tak siedzimy na otwartym terenie? Nie schowamy samochodu albo coś?

– Nie – odparłem. – Chcemy być widoczni.

– Dlaczego?

– Zdrzemnę się – zapowiedziałem. – Tylko przez chwilę. Bądź czujna, dobrze?

– Dobrze – odrzekła, chociaż popatrzyła na mnie krzywo.

Zamknąłem oczy, ale Molly już po chwili trąciła mnie łokciem.

– Obudź się, Harry. Mamy towarzystwo.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że szare późne popołudnie zmieniło się w mrok wczesnego wieczora. Zerknąłem we wsteczne lusterko i zauważyłem białe sportowe auto, które zaparkowało przy ulicy za nami. Zgasły światła i kierowca wysiadł.

– Nie śpieszyło mu się – mruknąłem.

Molly popatrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Co masz na myśli?

– Poprosiłem, żeby się tutaj ze mną spotkał. Nie wiedziałem, gdzie go szukać.

Molly wyjrzała przez tylną szybę. Nawet Myszek uniósł łeb, żeby się obejrzeć.

– Aha – odezwała się dziewczyna ze zrozumieniem, a Myszek zabębnił niepewnie ogonem o oparcie mojego siedzenia.

Wysiadłem z samochodu i wyszedłem na spotkanie swojemu przyrodniemu bratu, wampirowi.

Thomas był moim dokładnym przeciwieństwem. Miałem dwa metry wzrostu i szczupłą sylwetkę. On mierzył około metra osiemdziesięciu, a sylwetką przypominał modela. Miałem brudnobrązowe włosy, zazwyczaj bardzo krótko przystrzyżone po bokach i z tyłu, a dłuższe na czubku głowy. Po kilku minutach od uczesania już sterczały na wszystkie strony. Włosy Thomasa były czarne, naturalnie pofalowane i opadały mu na ramiona. Zazwyczaj nosiłem dzinsy, T-shirt i długi czarny skórzany płaszcz. Thomas ubrał się w szyte na miarę spodnie z białej skóry, białą jedwabną koszulę i jedwabną kurtkę, również białą, którą ozdobił kunsztowny wypukły wzór. Jego twarz mogłaby się pojawić na reklamowym plakacie. Moja nadawała się do listu gończego.

Mieliśmy takie same rysy podbródka oraz oczy o podobnym kształcie, choć różnego koloru. Zawdzięczaliśmy je naszej mamie.

Thomas i ja poznaliśmy się dopiero w dorosłym życiu. Był przy moim boku w najgorszych miejscach, jakie odwiedzałem. Kilkakrotnie uratował mi życie, a ja odwzajemniłem przysługę. Ale to było wtedy, gdy postanowił walczyć z Głodem, wampiryczną naturą cechującą wampiry z Białego Dworu. Przez lata trzymał w ryzach swoje mroczne żądze, integrując się z mieszkańcami Chicago i próbując żyć jak istota ludzka. Musieliśmy trzymać nasze pokrewieństwo w tajemnicy. Gdyby Rada się o nim dowiedziała, wykorzystałaby Thomasa w walce przeciwko Białemu Dworowi. Natomiast wampiry dobrałyby się do Rady za moim pośrednictwem.

Potem przytrafiło mu się coś złego i przestał się starać być człowiekiem. Spędziłem w jego towarzystwie dwie, może trzy minuty od czasu, gdy się

stoczył i znów zaczął obficie raczyć się siłą życiową.

Thomas podszedł do mnie swobodnym krokiem, jakbyśmy rozmawiali wczoraj, i zmierzył mnie wzrokiem.

– Przydałby ci się konsultant od wizerunku, braciszku – zagadnął.

– Nigdy nie zgadniesz. Jesteś wujkiem – odparłem.

Thomas odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Co takiego? Wątpię, chyba że któryś z bękartów ojca przeżył. Co raczej się nie zdarza wśród...

Urwał w połowie zdania i wytrzeszczył oczy.

– Tak – powiedziałem.

– Aha – rzekł, wciąż wpatrując się we mnie szeroko otwartymi, zdumionymi oczami. Wyglądało to niesamowicie. Ludzie wciąż wyglądają po ludzku, gdy stoją nieruchomo. Błada skóra i jasnoniebieskie oczy Thomasa upodobały go do posągu. – Aha.

Pokiwałem głową.

– Powiedz „oliwa”.

Thomas zamrugał.

– Słucham?

– Możesz być Blaszanym Drwalem.

– Co?

– Nieważne – westchnąłem. – Słuchaj, mówiąc w wielkim skrócie: mam ośmioletnią córkę, o której Susan mi nie powiedziała. A teraz księżna Arianna z Czerwonego Dworu ją porwała.

– Gdybym o tym wiedział, być może przyjechałbym wcześniej – odrzekł Thomas.

– Nie mogłem o tym wspomnieć przez telefon. W sprawę są zaangażowane FBI i policja, które ktoś wykorzystuje jako blokady mające mnie spowolnić. – Przekrzywiłem głowę w stronę ulicy. – Gliniarz, który mieszka w domu na końcu tej ulicy, został zmuszony do współpracy przez tych, którzy próbują mnie powstrzymać. Mam nadzieję, że uda mi się dorwać jego opiekuna albo czyściciela i wycisnąć z nich jak najwięcej informacji.

Thomas na mnie popatrzył.

– Jestem wujkiem.

Przeciagnałem dłonią po twarzy.

– Wybacz – rzekł. – Myślałem, że to będzie kolejna pogawędka, podczas której będziesz mi mówił, jak bardzo się martwisz, że zły Biały Dwór niewłaściwie mnie traktuje. Muszę ochłonać.

– Byle nie za długo – odparłem. – Śpieszymy się.

Thomas pokiwał głową i najwyraźniej wziął się w garść.

– W porządku, a więc szukasz... Jak ona ma na imię?

– Maggie.

Mój brat na chwilę zamilkł i skinął głową.

– Dobre imię.

– Susan też tak uznała.

– A więc szukasz Maggie i potrzebujesz mojej pomocy?

– Nie znam dokładnej daty, ale wiem, że zabiorą ją do Chichén Itzá. Zapewne dzisiaj wieczorem, najpóźniej jutro.

– Po co? – spytał Thomas. – No i co to ma wspólnego ze mną?

– Używają jej do rzucenia klątwy rodowej – wyjaśniłem. – Kiedy złożą ją w ofierze, klątwa zabije jej braci i siostry, potem jej rodziców, potem ich rodzeństwo i tak dalej.

– Chwileczkę. Maggie ma braci i siostry? Kiedy zdążyłeś tak się uwinąć?

– Nie, do diabła! – wykrzyknąłem z frustracją. – Chciałem tylko zilustrować, jak działa klątwa rodowa.

Gwałtownie uniósł brwi.

– O cholera. Chcesz powiedzieć, że ona zabije także mnie.

– Tak, właśnie to chcę ci, kurde, powiedzieć. Ty tępaku.

– Eee, wcale mi się to nie podoba – przyznał Thomas i ponownie wytrzeszczył oczy. – Chwileczkę, a co z pozostałymi Raithami? Czy coś im grozi z mojego powodu?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem.

– Na pustkę nocy – zaklął. – No dobrze. Wiesz, gdzie ona będzie. Chcesz, żebym zebrał tyłek w troki i pomógł ci odzyskać Maggie, tak jak zrobiliśmy z Molly?

– Tylko jeśli nie będzie innego wyjścia. Nie sądzę, żebyśmy przeżyli bezpośredni atak na Czerwonego Króla i jego świtę na ich terenie.

– My dwaj rzeczywiście nie mielibyśmy szans, ale jeśli stoi za tobą Rada...

– Bardzo daleko za mną – przerwałem mu chrapliwym, gniewnym głosem. – Tak daleko, że w ogóle jej nie widać.

W niebieskich oczach mojego brata błysnął wściekły ogień.

– Co za dupki.

– Popieram, wniosek przegłosowany – odrzekłem.

– Więc co powinniśmy zrobić?

– Potrzebuję informacji. Dowiedz się wszystkiego, co się da, o aktywności Czerwonego Dworu w Chichén Itzá lub pobliskich warowniach. Może ktoś widział małą dziewczynkę w towarzystwie Czerwonych. Musi być jakiś słaby punkt w ich zbroi. Jeśli odkryjemy, gdzie przetrzymują Maggie, będziemy mogli zaatakować to miejsce. Jeśli dowiem się, jakich ochronnych zaklęć używają, być może zrobię w nich wyrwę, dzięki czemu uda nam się błyskawicznie uciec z małą. W przeciwnym razie...

– Tak – przyznał Thomas. – W przeciwnym razie będziemy musieli ich zaatakować w Chichén Itzá. Co nie byłoby miłe.

– Bardzo delikatnie powiedziane.

Thomas zmarszczył czoło.

– A może poprosimy Larę o pomoc? Dysponuje sporymi siłami pochodzącymi z innych Domów Białego Dworu.

– Dlaczego miałaby mi pomóc? – spytałem.

– Instynkt samozachowawczy. Zawsze go słucha.

Stęknąłem.

– Nie jestem pewien, czy reszta twojej rodziny jest zagrożona.

– Oni też nie mogą być pewni – odrzekł Thomas. – Zresztą jeśli ty tego nie wiesz, to Lara też nie.

– Nie bądź taki pewien – odparłem. – Nie. Jeśli z tym do niej pójde, założy, że jestem zdesperowany.

Thomas skrzyżował ręce na piersi.

– Kiepska motywacja. Ale nie bierzesz pod uwagę pewnej kwestii.

– Czyżby?

Thomas opuścił ręce, a potem je uniósł, obramowując swój tors w taki sposób, w jaki asystentka prezentuje litery w Kole Fortuny.

– Mnie samemu niewątpliwie grozi niebezpieczeństwo. Będzie chciała mnie chronić.

Popatrzyłem na niego sceptycznie.

Thomas wzruszył ramionami.

– Obecnie gram dla swojej drużyny, Harry. Wszyscy o tym wiedzą. Jeśli zwrócę się do niej o pomoc, a ona pozwoli, żeby spotkało mnie coś złego, narazi się wielu ludziom, którzy w końcu mogą przestać bać się z nią zadzierać.

– Żeby ta taktyka mogła zadziałać, reszta Dworu musiałaby znać stawkę – odrzekłem. – Musieliby wiedzieć, że zagrażała ci klątwa rodowa wymierzona we mnie. A wtedy wszyscy dowiedzieliby się o naszym pokrewieństwie. Nie tylko Lara.

Thomas przez chwilę rozmyślał o tym ze zmarszczonym czołem. W końcu wzruszył ramionami.

– Mimo wszystko być może warto się do niej odezwać. Moja siostra to zaradna kobieta. – Jego twarz złagodniała. – Ma talent do usuwania przeszkód. Zapewne mogłaby ci pomóc.

W normalnych okolicznościach bez wahania odrzucam takie propozycje. Ale tym razem...

Zawahałem się.

Lara prawdopodobnie doskonale знаła Czerwony Dwór. Współpracowała z nim na różne sposoby od lat. Służyła swoją potęgą Białemu Dworowi, który chlubił się swoimi zdolnościami szpiegowskimi, technikami manipulacji i innymi formami niebezpośredniego działania. Jeśli ktokolwiek wiedział coś o Czerwonych, to z pewnością Lara Raith.

Zegar nie przestawał tykać. Maggie miała coraz mniej czasu. Nie mogłem mieć skrupułów.

– Wolałbym tego nie robić – powiedziałem cicho. – Chciałbym, żebyś jak najwięcej się dowiedział.

– A jeśli nie uda mi się nic odkryć?

– W takim wypadku... – Pokręciłem głową. – Jeśli niczego nie zrobię, moja

córeczka umrze. Podobnie jak mój brat. Nie zniósłbym tego.

Thomas pokiwał głową.

– Zobaczą, co da się zrobić.

– Po prostu to zrób.

Moja riposta była tak surowa, że Thomas delikatnie się skrzywił.

– W porządku – odrzekł. – Bierzmy się...

Gwałtownie obejrzał się w stronę domu Rudolpha.

– Co? – spytałem.

Uciszył mnie uniesioną dłonią i na czymś się skoncentrował.

– Brzęk tłuczonego szkła – wyszeptał. – Dużej ilości.

– Harry! – zawołała Molly.

Obróciłem się i zobaczyłem, że drzwi Niebieskiego Chrabąszcza się otwierają. Molly wysiadła, trzymając obiema rękami obroź Myszka. Psisko także skupiało się na domu Rudolpha, a w jego piersi kotłował się głęboki warkot, jaki słyszałem tylko kilka razy, zawsze gdy w pobliżu pojawiali się drapieżcy z nadprzyrodzonego świata.

– Ktoś chce dopaść Rudolpha – powiedziałem i rzuciłem się naprzód. –
Chodźmy!

Przez jakieś półtorej sekundy wyglądałem jak wyluzowany gość prowadzący szarżę, a potem mój brat oraz mój pies zostawili mnie i Molly w tyle. Gdybym często nie biegał, Molly zrobiłaby to samo, chociaż bardziej stopniowo. Kiedy byłem w połowie dystansu, Thomas i Myszek już wbiegali na tyły domu Rudolpha, każdy ze swojej strony.

– Zniknij, nowicjuszko! – zawołałem i Molly w biegu ukryła się za swoją najlepszą zasłoną.

Dotarliśmy do celu po kolejnych piętnastu sekundach, a ja podążyłem śladem Thomasa. Wypadłem zza narożnika domu i zobaczyłem, że duże oszklone drzwi przesuwne prowadzące na drewnianą werandę zostały rozbite. W domu donośnie rozbrzmiewał łomoczący rytm, jakby dochodził z basowego głośnika.

Jednym susem pokonałem schody na werandę i ledwie uniknąłem fali szkła, drewna, gipsu i desek, która gwałtownie ku mnie pomknęła. Gdy tylko uświadomiłem sobie, że pociskiem, który właśnie przebił ścianę, był mój brat, coś potężnego, czarnego i szybkiego wypadło z domu w ślad za nim, pięciokrotnie powiększając otwór.

Istota stanęła w odległości kilku kroków ode mnie, a ja puściłem się biegiem. Nie zatrzymywałem się. Opuściłem dłoń na balustradę i ją przeskoczyłem, a stwór natychmiast rozbił ją na kawałki ogromnym, oślepiająco szybkim pazurem. Donośny rytm stawał się coraz głośniejszy i szybszy, a ja uświadomiłem sobie z przerażeniem, że słyszę przyspieszające bicie serca istoty, wyraźne jak odgłos bębna.

Nie miałem szans uciec przed czymś tak szybkim. Zyskałem przewagę kilku kroków, ale stwór błyskawicznie ją zniwelował i z przeraźliwą siłą zamachnął się na moją głowę.

Rozpaczliwie się obróciłem, wyciągając bojową różdżkę i strzelając

płomieniem, ale zatoczyłem się przy tym i upadłem. Ogień trafił stwora, ale równie dobrze mógłbym w niego rzucić gumowym kurczakiem.

Myślałem, że już po mnie, ale wtedy Myszek wypadł z domu na werandę skąpany w delikatnym niebieskim świetle. Wykonał trzydziestometrowy skok i opadł na olbrzymie, zniekształcone ramiona napastnika. Pazury psa wbiły się w skórę istoty, a potężne szczęki zacisnęły się na jej grubej, niemal niezauważalnej szyi.

Stwór wygiął się z bólu, nie wydając żadnego dźwięku. Potknął się o mnie, zbyt rozproszony, by zaatakować, ale jego potężna masa i tak dotkliwie obita mi żebra oraz udo.

Myszek przewrócił go na ziemię, rozdzierając ciało zębami i złościąc pazurami bruzdy w grzbiecie. Warczenie psa rozbrzmiewało w wieczornym powietrzu, a przy każdym szarpnięciu i skręceniu ciała z jego futra unosiły się obłoczki niebieskiej mgły.

Myszek rozłożył istotę na łopatki, ale najwyraźniej nikt jej tego nie powiedział. Wiła się wściekle i odbijała od gruntu jak gumowa piłka, aż w końcu chwyciła psa za ogon i pociągnęła, a zwierzak zatoczył łuk w powietrzu. Gruchnął o ziemię jak dziewięćdziesięciokilogramowy młot, skowycząc z bólu.

Bez namysłu uniosłem różdżkę i napełniłem ją po brzegi siłą woli oraz Ogniem Duszy.

– Puść mojego psa! – wrzasnąłem.

Biały płomień wystrzelił z różdżki i nakreślił linię na ciele istoty, od biodra aż po czaszkę, wgryzając się w mięso i je podpalając. Stwór ponownie wygiął się w milczącym cierpieniu, a basowy rytm jego serca jeszcze przyspieszył. Przewrócił się, nie mogąc utrzymać Myszkę, i zaczął się wić.

Próbowałem wstać, nie mogłem jednak oprzeć się na zranionej nodze, do tego pod wpływem nagłej fali znużenia opadły mi ręce. Leżałem bezradnie na ziemi, ciężko dysząc. Myszek powoli wstał ze zwieszonym łbem i bezwładnie wiszącym językiem. Za sobą usłyszałem jęk. Kiedy niezdarnie się odwróciłem, zobaczyłem, że Thomas usiadł. Miał nienaturalnie wykrzywione, obwisłe ramię, ubranie w strzępach, a z brzucha tuż obok pępka sterczał mu kawałek metalu. Połowę jego twarzy pokrywała krew, zbyt

jasna jak na ludzką.

– Thomasie! – zawołałem. A raczej próbowałem zawołać. W tunelu, w którym niespodziewanie się znalazłem, panowała osobliwa akustyka. – Wstawaj, stary!

Popatrzył na mnie bezrozumnym, oszołomionym wzrokiem.

Ruchy stwora stały się wolniejsze. Zaczynał się odprężyć, jego ciało dygotało, bębnienie serca stawało się bardziej miarowe. Wreszcie mogłem mu się dokładniej przyjrzeć.

Był ogromny, wielkości dorosłego byka, i równie potężnie cuchnął. Ale może to dlatego, że go przysmażyłem. Miał dziwaczne ciało, które najwyraźniej pozwalało mu równie swobodnie poruszać się na dwóch i czterech nogach. Było czarne i gąbkowate, jak prawdziwa skóra wampira z Czerwonego Dworu, a głowa stanowiła mieszankę ludzkich rysów z łbem jaguara, może także krokodyla lub dzika. Nawet oczy, język i usta tej istoty były czarne jak smoła.

Pomimo doznanych obrażeń, istota właśnie się podnosiła.

– Thomasie! – zawołałem. A raczej zarzęziłem.

Stwór potrząsnął łbem i skupił na mnie spojrzenie czarnych ślepi. Ruszył w moją stronę, przystając tylko na chwilę, żeby odtrącić z drogi mojego oszołomionego psa. Myszek runął na ziemię i bezskutecznie próbował odzyskać równowagę.

Ponownie uniosłem bojową różdżkę, ale nie miałem wystarczająco dużo energii, by wydusić z niej cokolwiek poza odrobiną dymu.

Nagle znikąd nadleciał kamień i trafił stwora w pysk.

– Hej! – rozległ się głos Molly. – Hej, Kapitanie Asfalt! Hej, smołku! Tutaj!

Obejrzeliśmy się i zobaczyliśmy Molly – stała na otwartej przestrzeni w odległości około dwudziestu metrów. Rzuciła kolejny kamień, który odbił się od szerokiej piersi potwora. Dudnienie serca znów przyśpieszyło i przybrało na sile.

– No dalej, śliczny! – zawołała Molly. – Tylko ty i ja! – Odwróciła się bokiem do stwora, zakręciła biodrami i w przesadzony sposób klepnęła się po pośladku. – Chodź sobie poużywać!

Stwór napiął się i ruszył naprzód, mknąc z oszalamiającą prędkością.

Molly zniknęła.

Istota opadła na ziemię w miejscu, w którym stała dziewczyna, wbijając na dwadzieścia centymetrów w grunt wściekle zaciśnięte szponiaste dłonie.

Rozległ się kpiący śmiech i kolejny kamień odbił się od ciała potwora, tym razem z lewej strony. Rozjuszona bestia okręciła się i rzuciła w stronę Molly, ale ta ponownie rozplynęła się w powietrzu. Stwór jeszcze raz uderzył w gołą ziemię. Molly znów odwróciła jego uwagę ciśniętym kamieniem i kilkoma prowokacyjnymi okrzykami, tylko po to, by zniknąć mu z oczu.

Za każdym razem pojawiała się coraz bliżej istoty, która wyraźnie przewyższała ją szybkością. Za każdym razem odciągała ją nieco dalej od naszej trójki. Dwa razy nawet zawołała: „Toro, toro. Ole!”.

– Thomasie! – krzyknąłem. – Wstawaj!

Mój brat kilkakrotnie zamrugał z coraz większą szybkością. Potem otarł dłonią zakrwawiony bok twarzy, gwałtownie potrząsnął głową, żeby usunąć krew z oczu, a następnie spuścił wzrok na metalowy pręt sterczący mu z brzucha. Zacisnął na nim dłoń, skrzywił się i powoli wyciągnął z ciała piętnastocentymetrowy trójkąt, będący zapewne narożnym zastrzałem ze ściany, którą przebił. Upuścił go na ziemię, stękając z bólu, a jego źrenice na chwilę uciekły do góry.

Zobaczyłem, jak ulega swojej drugiej naturze. Jego skóra pobladła i niemal rozbłysła. Oddech momentalnie się ustabilizował, a krwawiące rozcięcie wzdłuż linii włosów zaczęło się zasklepiać. Otworzył oczy, których barwa zmieniła się ze spokojnego błękitu na wyglodniałe metaliczne srebro.

Sprawnie wstał i zerknął na mnie.

– Krwawisz?

– Nie, nic mi nie jest – odrzekłem.

W odległości metra od nas Myszek wstał i otrzepał się, pobrzękując przywieszkami. Molly dotarła aż do ulicy, skąd dobiegł potężny trzask.

– Tym razem zrobimy to z głową – rzekł Thomas i zwrócił się w stronę psa. – Ruszę pierwszy i ściągnę na siebie jego uwagę. Zaatakuj jego ścięgna. Chyba będziesz musiał okaleczyć dwie kończyny, żeby utrudnić mu poruszanie.

Myszek zaszczekał, wyraźnie się zgadzając, dudniąc zawarczał, a wokół

niego znów pojawiło się bardzo słabe bladoniebieskie światło.

Thomas pokiwał głową i podniósł kawałek połamanej werandy z miejsca, w którym upadł. Zarzucił sobie na ramię słupek o średnicy dziesięciu centymetrów i długości półtora metra.

– Nie martw się, Harry! – zawołał. – Za chwilę po ciebie wrócimy.

– Naprzód, drużyno Dresdena – zarzęziłem.

Ruszyli z miejsca, w sekundę osiągając prędkość biegnącego geparda. Po chwili zniknęli mi z oczu. Usłyszałem wysoki wrzask Thomasa, doskonale imitujący okrzyk Bruce'a Lee. A potem rozległ się głośny trzask drewna uderzającego w twardej cel.

Po chwili zagrzmiał bojowy ryk Myszka. Zamigotały barwne światła, gdy Molly zaatakowała stwora olśniewającą magią. Nie mogła zrobić mu w ten sposób krzywdy, ale potrafiła przywołać oślepiające światło w dowolnym kolorze, któremu mogły towarzyszyć rozmaite dźwięki. Nazywała to zaklęcie Jednoosobową Dyskoteką, a podczas ostatniego Dnia Niepodległości za jego pomocą urządziła na podwórzu rodziców pokaz fajerwerków tak imponujący, że spowodował korek na drodze ekspresowej.

Nie uśmiechało mi się tak leżeć w wykręconej pozycji i oglądać okazjonalne błyski światła oraz słuchać odgłosów uderzeń i bojowych warknięć. Ponownie spróbowałem oprzeć się na rannej nodze, ale bez powodzenia. Dlatego tylko skupiłem się na tym, żeby nie zemdleć ani nie oddychać zbyt głęboko. Stwór z pewnością złamał mi przynajmniej jedno zebro.

Wtedy zauważyłem dwie pary czerwonych ślepi świecących w lesie. Wpatrywały się we mnie z uporczywością typową dla drapieżników i zbliżały się powoli, miarowo i bezgłośnie.

Nagle uświadomiłem sobie, że wszyscy, którzy mogliby mi pomóc, są akurat zajęci.

– Aha – westchnąłem. – O cholera.

Oczy pomknęły w moim kierunku i coś mrocznego i silnego uderzyło mnie w szczękę.

Byłem już bliski utraty przytomności. Cios wystarczył, by całkowicie mnie ogłuszyć.

Czułem, że ktoś mnie podnosi i zarzuca sobie na ramię. Potem zrobiło mi się niedobrze od gwałtownego ruchu. Trwało to tak długo, że w końcu zwymiotowałem. Zabrakło mi sił, by chociaż wcelować w swojego oprawcę.

Po jakimś czasie, który wydawał mi się wiecznością, zostałem rzucony na ziemię. Leżałem nieruchomo, mając nadzieję, że przekonam porywacza, że jestem półprzytomny i słaby jak kociak. Nie powinno to być trudne, ponieważ taka była prawda. Nigdy nie miałem aktorskich ambicji.

– Nie podoba mi się to coś – odezwała się kobieta. – Jego Moc paskudnie cuchnie.

– Musimy być cierpliwi – odpowiedział mężczyzna. – Może się okazać bardzo pomocne.

– Słucha nas – zauważyła kobieta.

– Wiemy – odrzekł mężczyzna.

Usłyszałem ciche kroki tłumione przez sosnowe igły, a potem kobieta znów się odezwała, powoli i mniej donośnie. Sprawiała wrażenie... wygłodniałej.

– Biedactwo. Takie poobijane. Powinniśmy je pocałować i pozwolić zasnąć. Okazalibyśmy miłosierdzie. A On byłby z nas zadowolony.

– Nie, ukochana. Byłby usatysfakcjonowany. To co innego.

– Czy jeszcze nie zrozumieliśmy tego prostego faktu? – odparła jadowitym głosem. – Nigdy nie włączy nas do Kręgu, niezależnie od tego, ile zdobyczy przyniesiemy Dworowi. Jesteśmy intruzami. Nie należymy do pierwszych Majów.

– Wiele może się zmienić na przestrzeni wieczności, ukochana. Będziemy cierpliwi.

– Chcesz powiedzieć, że On może upaść? – Zachichotała niepokojąco. – Więc dlaczego nie staramy się o względy Arianny?

– Nie będziemy nawet brali tego pod uwagę – odpowiedział surowym tonem. – Gdybyśmy chociaż o tym myśleli, On by się dowiedział. Mógłby zareagować. Rozumiemy się?

– Owszem. – Tym razem miała nadąsany głos.

Potem czyjeś silne palce zacisnęły się na moim ramieniu i przewróciły mnie na plecy. Mroczne kształty drzew wirowały nade mną – czarne zarysy na tle świateł Chicago odbijających się od chmur.

W słabym świetle ledwie widziałem bladą, delikatną twarz drobnej kobiety o wroście dziecka. Poważnie, miała niespełna metr czterdzieści, a zarazem proporcje dorosłej osoby. Jej bardzo bladą skórę pokrywały piegi i wyglądała na dziewiętnaście lat. Miała dziwacznie wyglądające oczy. Jedno było bladoniebieskie, a drugie ciemnozielone, ja zaś instynktownie poczułem, że istota kryjąca się za tymi niedopasowanymi oczami nie jest rozumna.

Miała na sobie suknię z długimi, powiewającymi rękawami, a na wierzchu coś w rodzaju opończy bez rękawów oraz gorset. Przy tym była boso, o czym się przekonałem, gdy poczułem nacisk jej drobnej zimnej stopy, którą postawiła na mojej piersi, by się nachylić i na mnie popatrzeć.

– Za późno. Zobacz, zaczyna się psuć.

– Bzdura – rzucił jej towarzysz. – To doskonale zachowany okaz. Śmiertelni magowie zazwyczaj są tacy wymęczeni i surowi, ukochana.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem tego faceta. Miał około metra siedemdziesięciu wzrostu, krótką rudą czuprynę, czarną brodę i skórę zbrązowiałą od słońca. Był ubrany w czarny jedwabny strój i wyglądał, jakby właśnie wyszedł z próby kostiumowej do *Hamleta*.

– Aha, wy pewnie jesteście Esteban i Esmeralda – odezwałem się. – Słyszałem o was.

– Jesteśmy sławni – syknęła drobna kobieta, uśmiechając się promiennie do swojego towarzysza.

Mężczyzna posłał jej surowe spojrzenie i westchnął.

– Zgadza się, jesteśmy – przyznał. – Mamy przeszkodzić ci w umożliwieniu Ariannie realizacji jej planu.

Zamrugalem.

– Co takiego?

Esmeralda nachyliła się niżej. Jej włosy otarły się o moje usta i nos.

– Popsuły mu się uszy? Jeśli tak, może je oddzielimy i odeślemy?

– Spokojnie, ukochana – odrzekł Esteban. Przykucnął i uważnie mi się przyjrzał. – To nie jego wina. Nie rozumie, w jaki sposób Arianna nim manipuluje.

– O czym wy mówicie? – spytałem. – Słuchajcie, ludzie, nikt nie pragnie powstrzymać Arianny bardziej niż ja.

Esteban machnął ręką.

– Tak, tak. On uważa że musi uratować swoje potomstwo. Spróbuje je odebrać, z samego serca Jego krainy. Umieści je w centrum wydarzeń, co może zakłócić równowagę na wiele sposobów.

– Chyba nie da rady. – Esmeralda pociągnęła nosem. – To tylko obdarte, brudne zwierzątko.

Esteban wzruszył ramionami.

– Już wiemy, że to, co na zewnątrz, nie ma znaczenia. Najważniejsze, co kryje się w środku. Zgodzisz się ze mną, obdarty magu?

Oblizalem usta. Naprawdę nie miałem ochoty przekomarzać się z parą obłąkanych wampirów, ale zapewne to było najlepsze wyjście. Każdy, kto tak długo istnieje, łatwo traci poczucie czasu w codziennym życiu. Po kilku tysiącach lat godzina przestaje mieć znaczenie. Jeśli mój brat i reszta wygrali walkę, w ciągu kilku minut powinni zorientować się, że zniknąłem, a Eebowie raczej nie zabrali mnie na tyle daleko, by zmylić Myszka. Z tego, co wiem, Myszek potrafi złapać trop nawet w kosmosie.

Rozmawiaj z nimi. Graj na zwłokę.

– To zależy od natury obiektu i obserwatora – odrzekłem. – Ale jeśli używacie tej metafory w najprostszym znaczeniu, to owszem. Prawdziwa natura każdej istoty przewyższa znaczeniem jej zewnętrzny wygląd. – Spróbowałem się uśmiechnąć. – A tak przy okazji, całkiem dobrze mnie

traktujecie. Spodziewałem się czegoś zupełnie innego.

– Chcieliśmy cię zjeść i zabić. Albo zabić, a potem zjeść – odparła Esmeralda i również się uśmiechnęła. Jej uśmiech był znacznie bardziej obłąkany od mojego. Przynajmniej miałem taką nadzieję. – Wciąż możemy to zrobić.

– Ale najwyraźniej macie inne zamiary – zauważyłem. – Wygląda na to, że chcecie porozmawiać. Bardzo chętnie was wysłucham.

– Doskonale – rzekł Esteban. – Cieszymy się, że potrafisz racjonalnie podejść do tej kwestii.

– O jakiej dokładnie kwestii mówimy?

– O twoim zaangażowaniu w plan Arianny – wyjaśnił Esteban. – Chcemy, żebyś się wycofał.

– To... może być problematyczne. Jeżeli ona zrobi to, co zamierza, zginie ja, a także matka dziecka.

Wampiry w milczeniu wymieniły długie spojrzenia. Odniosłem wrażenie, że wiele sobie przekazały.

Esteban zwrócił się w moją stronę.

– Jak się o tym dowiedziałeś, obdarty magu?

– Na tym polega moja praca – odrzekłem.

– Ooo! – odezwała się Esmeralda. Przywarła do mnie, unieruchamiając moje biodra swoimi. Była tak drobna, że ledwie czułem jej ciężar. Pachniała... dziwnie. Formaldehydem i pleśnią. – Arogant z niego. Uwielbiamy arogancję. Wspaniale jest patrzeć, jak mali aroganci się poddają. Podobają ci się nasze oczęta, obdarty magu? Który kolor wolisz? Przyjrzyj się dokładnie.

Nie wolno patrzeć wampirowi w oczy. Każdy o tym wie. Mimo to kilkakrotnie mierzyłem się ze spojrzeniami członków Czerwonego Dworu i nigdy nie miałem problemu z załatwieniem ich. Nie było to szczególnie trudne.

Tyle że tamte wampiry najwyraźniej były nowicjuszami.

W moim polu widzenia zawirowało bladoniebieskie głębokie morze. W ostatniej chwili uświadomiłem sobie, co się dzieje, i zatrzasnąłem skarbce swojego umysłu, pozostawiając tylko twarde fortyfikacje, zamek idei

i wspomnień gotowy na obłączenie.

– Proszę, przestańcie – odezwałem się cicho. – W ten sposób nasza rozmowa do niczego nie doprowadzi.

Drobna wampirzyca zacisnęła usta i przekrzywiła głowę, jakby się zastanawiała, czy powinna być zdenerwowana, czy rozbawiona. Postawiła na tę drugą emocję. Zachichotała i zaczęła lekko poruszać biodrami.

– Cudownie, cudownie, cudownie. Jesteśmy bardzo zadowoleni.

– Masz kilka możliwości – rzekł Esteban. Jeśli nie spodobało mu się zachowanie Esmeraldy, to nie dawał tego po sobie poznać. Psiakrew, chyba nawet go nie zauważył.

– Ależ proszę – zachęciłem. – Wymień je.

– Myślę, że najprostszym rozwiązaniem naszego problemu byłoby twoje samobójstwo – wyjaśnił. – Jeżeli umrzesz, Arianna nie będzie miała powodu krzywdzić twojego potomstwa.

– Nie licząc samej śmierci, ten pomysł ma kilka wad.

– Ależ proszę – odrzekł Esteban. – Wymień je.

– Skąd miałbym wiedzieć, że dziecko jest bezpieczne i wróciło do matki? Jaką miałbym gwarancję, że Arianna nie spróbuje tego samego za miesiąc?

– Moglibyśmy sporządzić kontrakt – zaproponował Esteban. – Podpiszecie go przy świadkach, w obecności jednej z neutralnych stron Przymierza. Dla bezpieczeństwa moglibyśmy poprosić naszego Pana, by dał słowo, że twoja partnerka i potomstwo zostaną wykluczeni z tego cyklu zemsty.

– To możliwość warta rozważenia – przyznałem. – Chociaż moja śmierć jest lekkim zgrzytem.

– To zrozumiałe – odrzekł Esteban. – Dlatego moglibyśmy zaproponować ci alternatywne wyjście.

Ruchy bioder Esmeraldy stały się wolniejsze, bardziej zmysłowe. Już wcześniej byłem krzywdzony przez wampiry z Czerwonego Dworu. Wciąż miewam senne koszmary. Ale ta dosiadająca mnie ładna dziewczyna emanowała tajemniczą kobiecością, której nie dało się opisać ani zdefiniować. Jej bliskość wywoływała mdłości, jednak moje ciało reagowało na nią z niepokojącą intensywnością.

– Alternatywne – wyszeptała chrapliwie. – W dzisiejszych czasach to oznacza modne. A my uwielbiamy uczyć małych śmiertelników, jak być modnymi.

– Zmienilibyście mnie w jednego z was – powiedziałem cicho.

Esmeralda powoli pokiwała głową, na jej ustach pojawił się leniwy, zmysłowy uśmiech, a jej biodra wciąż obłądnie krążyły. Pokazała kły.

– Miałoby to dla ciebie kilka zalet – dodał Esteban. – Nawet gdyby Arianna dopełniła rytuału pomsty, przemiana krwi zapewniłaby ci ochronę. No i oczywiście nie zostałbyś zabity, schwytany ani zamęczony na śmierć, ponieważ za jakieś pół roku już nie będzie Białej Rady.

– To także wyjście godne uwagi – odrzekłem. – Bardzo praktyczne. Czy istnieją jeszcze jakieś możliwe rozwiązania?

– Tylko jedno – odpowiedział Esteban. – Podaruj swoje potomstwo naszemu Panu, Czerwonemu Królowi.

Gdybym miał siłę dać mu po gębie, zapewne bym to zrobił. Dobrze więc, że byłem zbyt słaby.

– Co by to dało?

– Wzięłoby ją w posiadanie i znalazłoby się pod jego ochroną, dopóki nie uznałby, że już się nie nadaje, nie zasługuje na taką opiekę bądź jej nie potrzebuje.

Esmeralda energicznie pokiwała głową.

– Należałoby do niego. On bardzo dba o swoje zwierzątka. To całkiem urocze. – Otworzyła usta w kształt litery O, jak uczennica przyłapana na szeptanej rozmowie na zakazane tematy. – Ależ Arianna by się wściekła. Wyłaby przez całe stulecia.

– Moglibyśmy zapewnić ci jakąś rekompensatę, żeby osłodzić warunki umowy, Dresden – stwierdził Esteban. – Jesteśmy skłonni zaproponować do siedmiu młodych kobiet. Mógłbyś wybrać z naszej kolekcji albo z naturalnego środowiska, a my byśmy je przygotowali i właściwie usposobili.

Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad tym, masując brodę.

– To wszystko bardzo racjonalne propozycje. Ale chyba czegoś nie rozumiem. Dlaczego Czerwony Król po prostu nie rozkaże Ariannie odstąpić

od jej planów?

Eebowie z oburzeniem wstrzymali oddech.

– Ze względu na jej towarzysza, Dresden – odrzekł Esteban.

– Którego zabił mag czarnego kostura – wyjaśniła Esmeralda. – To dług krwi.

– Święta krew.

– Uświęcona.

Esteban pokręcił głową.

– Nawet nasz Pan nie może przeszkadzać w odebraniu długu krwi. Arianna ma do tego prawo.

Esmeralda przytaknęła.

– Podobnie jak Bianca w pierwszych dniach wojny. Chociaż wielu żałowało, że tak postąpiła, miała do tego prawo, nawet jako bardzo młoda członkini Dworu. Jako jej potomek towarzysz Arianny przejął dług. A teraz zrobiła to sama Arianna. – Popatrzyła na Estebana i rozpromieniła się. – Bardzo nam się podoba ten obdarty mag. Jest taki grzeczny i przyjemny. Zupełnie inny niż pozostali magowie. Może go sobie zatrzymamy?

– Mamy pracę do wykonania, ukochana – skarcił ją Esteban. – Przede wszystkim praca.

Esmeralda wysunęła do przodu dolną wargę, po czym nagle się obróciła i znieruchomiała, skupiając uwagę w jednym punkcie.

– Co się stało, ukochana? – spytał Esteban cicho.

– Ik'k'uox – odpowiedziała nieobecny, zaskoczony głosem. – Odczuwa ból. Ucieka. Jest... – Szeroko otworzyła oczy, które nagle poczerniały, tak jak ślepiec stwor. – Och! Oszust! – Popatrzyła na mnie, obnażając kły. – Oszust! Sprowadził własnego demona! Górskiego demona lodowego z Krainy Snów!

– Jeśli nie zapewniam im się odrobiny ruchu, są nie do wytrzymania – odrzekłem refleksyjnie.

– Marszałek – odezwał się Esteban. – Czy zabił marszałka?

Esmeralda przez chwilę wpatrywała się w nicłość.

– Nie. Został zaatakowany kilka sekund po wejściu do domu. – Zadrżała i popatrzyła na Estebana. – Demon obdartego maga się zbliża, i to szybko.

Esteban westchnął.

– Mieliśmy nadzieję, że dogadamy się w cywilizowany sposób. To twoja ostatnia szansa, obdarty magu. Co myślisz o mojej propozycji?

– Pierdol się – odpowiedziałem.

Oczy Estebana poczerwieniały i straciły wszelki wyraz.

– Zabij go.

Ciało Esmeraldy się napięło, jakby pod wpływem seksualnego pożądania, i wampirzyca nachyliła się z obnażonymi zębami, wydając z siebie cichy pomruk pełen erotycznej i fizycznej żądz.

W ciągu ostatnich kilku chwil palce mojej prawej dłoni odpięły zatrząsk na amulecie mojej matki. Kiedy drobna wampirzyca się nade mną pochyliła, zetknęła się ze srebrnym pentagramem, symbolem tego, w co wierzę. Pięcioramienną gwiazdą oznaczającą cztery żywioły oraz ducha, zamkniętą wewnątrz kręgu śmiertelnej kontroli, woli i współczucia. Nie jestem wiccaninem. Nie przepadam za Kościołami wszelkiego rodzaju, mimo że rozmawiałem twarzą w twarz z archaniołem Wszechmogącego.

Ale w pewne rzeczy wierzę. W pewnych rzeczach pokładam nadzieję. A wiara nie polega na stuprocentowym uczestnictwie w nabożeństwach ani kładzeniu pieniędzy na tacę. Nie polega na odprawianiu nago świętych obrządków ani codziennej medytacji nad bóstwem.

W wierze najważniejsze jest to, co robimy. Podejmowanie starań, by być lepszym, szlachetniejszym i miłszym. Poświęcanie się dla dobra innych – nawet jeśli nikt nie powie nam, że jesteśmy bohaterami.

Wiara także jest mocą, jeszcze bardziej ulotną i trudną do zdefiniowania niż magia. Symbol wiary, okazany z prawdziwym przekonaniem i szczerością, przynosi zgubę wielu drapieżcom z nadprzyrodzonego świata, a jednymi z najbardziej podatnych istot są wampiry z Czerwonego Dworu. Nie wiem, jak to działa ani dlaczego. Nie wiem, czy wymagana jest interwencja jakiegoś potężnego bytu albo Bytu. Nigdy ich o to nie prosiłem, ale wyglądało na to, że jeden z nich i tak mnie wspiera.

Pentagram rozjarzył się srebrzystym światłem, które uderzyło Esmeraldę jak dwumetrowa fala, zrzuciło ją ze mnie i zdarło z niej cielesną maskę, ukazując kryjącą się pod nią istotę.

Obróciłem się i wyciągnąłem symbol w stronę Estebana, on jednak zdążył

się cofnąć o kilka kroków, więc musiał tylko osłonić dłonią oczy podczas odwrotu.

Esmeralda zasyczała jak wąż i zobaczyłem smukłą czarnoskórą kreaturę, która stała pośród strzępów sukni i cielesnej maski. Była równie drobna jak wcześniej, ale chude kończyny miała dłuższe o jedną trzecią. Przed nią zwisał zwiotczały czarny brzuch, a jej twarz zawstydziłaby nawet najbardziej paskudnego z południowoamerykańskich nietoperzy.

Rozwarła szczęki, obnażając kły i długie, wijące się języki, różowy w czarne plamy. W jej czarnych oczach płonęła furia.

Cienie się poruszyły, gdy zbliżyło się do nas bladoniebieskie światło, a w lesie nagle zabrzmiało triumfalne myśliwskie wycie Myszka. Pies wpadł na mój trop – albo wyczuł wampiry – i był coraz bliżej.

Esmeralda ponownie syknęła i był to odgłos pełen wściekłości i nienawiści.

– Nie wolno nam! – warknął Esteban.

Obiegł mnie z nadnaturalną szybkością, omijając świecący wisiorek szerokim łukiem. Chwycił drobną wampirzycę za ramię. Oboje przez chwilę przypatrywali mi się zimnymi, pustymi czarnymi oczami, a potem rozległ się szum wiatru i zniknęli.

Z ulgą opadłem na ziemię. Moje rozszalałe serce stopniowo zwalniało, strach ustępował. Wciąż jednak czułem się zagubiony i nie wiedziałem, co się dzieje. Może wszystko mi się mieszało ze zmęczenia.

Tak. Jasne.

Myszek głośno szczechnął i po chwili stanął nade mną. Zaczął mnie trącać nosem, aż w końcu uniosłem dłoń i podrapałem go za uszami.

Potem pojawili się Thomas i Molly. Cieszyłem się, że Thomas pozwolił, by to Myszek ruszył na czele pościgu, a on sam zwolnił, dzięki czemu moja uczennica nie została sama w lesie. Jego oczy lśniły srebrzyście, usta zaciskały się w cwany grymasie, a we włosach błyskały kawałki tłuczonego szkła. Lewą stronę tułowia Molly obficie pokrywała zielona farba.

– No dobrze – wybelkotałem. – Jestem zacofany.

– Co mówisz? – spytała Molly, klękając obok mnie ze zmartwioną miną.

– Zacofany. Jestem detektywem. Powinienem zdobywać informacje.

Tymczasem się cofam. Im dłużej na to patrzę, tym bardziej jestem pewien, że nie mam pojęcia, co się dzieje.

– Możesz wstać? – spytał Thomas.

– Noga – odpowiedziałem. – Żebra. Mogą być złamane. Nie utrzymają mojego ciężaru.

– Poniosę go – zaproponował Thomas. – Znajdź telefon.

– Dobrze.

Mój brat wziął mnie na ręce i wyniósł z lasu. Wróciliśmy do samochodu.

Do szczątków samochodu.

Tępo patrzyłem na wrak. Miałem wrażenie, że coś wsadziło białego jaguara Thomasa do zgniatarki razem z Niebieskim Chrabąszczem. Oba auta ściśnięto razem na placek o wysokości około stu dwudziestu centymetrów. Płyny i paliwo wyciekły na ulicę.

Thomas ostrożnie postawił mnie na sprawnej nodze, podczas gdy przyglądałem się swojemu samochodowi.

Niemożliwe, żeby Chrabąszcz to przetrwał. Łzy napłynęły mi do oczu. To nie był drogi samochód. Nie był efektowny. Ale był mój.

A teraz zniknął.

– Cholera – mruknąłem.

– Mówiłeś coś? – spytał Thomas. Sprawiał wrażenie wyraźnie mniej załamane ode mnie.

– W aucie była moja laska. – Westchnąłem. – Wykonanie nowej zajmie tygodnie.

– Lara się na mnie zdenerwuje – odrzekł Thomas. – To już trzeci w tym roku.

Przewróciłem oczami.

– Tak. Czuję twój ból. Co się stało z tamtą wielką poczwarą?

– Pytasz o walkę? – Thomas wzruszył ramionami. – Zastosowaliśmy taktykę z corridy. Kiedy stwór skupiał się na jednym z nas, pozostała dwójka zachodziła go od tyłu. Możesz być dumny z Myszka.

Psisko wesoło zamierdało ogonem.

– A farba? – spytałem.

– Och, brzydal cisnął w nią dwudziestolitrowym pojemnikiem farby. Albo

chciał ją zabić, albo próbował ją zobaczyć pomimo osłony. Działo przez około pięć sekund, ale potem dziewczyna poprawiła zakłęcie i znów zniknęła. Dobrze sobie poradziła jak na kogoś o tak ograniczonych umiejętnościach ofensywnych – przyznał Thomas. – Sprawdzę, czy uda mi się cokolwiek uratować z bagażnika. Przepraszam na chwilę.

Usiadłem na ulicy przed samochodem, a Myszek przysiadł obok mnie, pozwalając, abym oparł się o jego kudłaty bok. Niebieski Chrabąszcz zakończył żywot. Byłem zbyt zmęczony, by płakać.

– Zadzwońłam po taksówkę – oznajmiła Molly, gdy znów się pojawiła. – Zaczeka na nas dwie przecznice stąd. Podnieś go, a ja nas osłonię aż do jej przyjazdu.

– W porządku – odrzekł Thomas i dźwignął mnie z ziemi.

Pewnie zasnąłem, bo nie pamiętam podróży taksówką.

Thomas podtrzymał mnie, gdy uszkodzona noga zaczęła się pode mną uginać, a potem posadził mnie na jednym z krzeseł w salonie.

– Nie możemy tutaj długo zostać – oznajmił. – Tamta dwójka Czerwonych wie, że Harry jest ranny i wyczerpany. Wrócą, żeby poszukać swojej szansy, albo spróbują załatwić jedno z nas, korzystając z chwili słabości.

– Jasne, jasne – odrzekła Molly. – Co z nim?

Thomas przykucnął przede mną i uważnie mi się przyjrzał. Jego tęczywki przypominały polerowany chrom.

– Wciąż jest skołowany.

– To szok?

– Możliwe. Bardzo cierpi.

Naprawdę? Aha, no tak. Pewnie dlatego się nie odzywałem.

– Boże – wyszeptała Molly drżącym głosem. – Przyniosę jego rzeczy.

– To nic nie da – odparł Thomas. – Przynieś Boba.

Molly sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Co mam przynieść?

Na twarzy Thomasa odmalowało się zdumienie, ale zaraz znów zrobił obojętną minę.

– Przepraszam. Usta nie słuchają mózgu. Przynieś Miecze.

– Nie ma ich tutaj – odpowiedziała Molly, krążąc po mieszkaniu. Jej głos dobiegł z sypialni. – Przeniósł je. Ukrył, razem z duchowym pyłem i kilkoma innymi nielegalnymi rzeczami.

Thomas zmarszczył czoło, a potem pokiwał głową.

– W porządku. To będzie musiało wystarczyć. Dokąd go zabierzemy?

Molly pojawiła się w moim polu widzenia i uklękła obok mnie. Ujęła moją dłoń w obie ręce.

– Gdzieś, gdzie mu będzie dobrze.

Thomas powoli zaczerpnął tchu. Jego srebrne oczy jeszcze pojaśniały. Wyglądały cholernie niesamowicie i fascynująco.

– Miałem nadzieję, że znasz jakieś odpowiednie miejsce. Na pewno nie mogę zawieźć go do siebie.

Głos Molly stał się ostrzejszy.

– Ja nawet nie mam mieszkania – odparła. – Wciąż mieszkam z rodzicami.

– Nie marudź – skarcił ją Thomas. – Lepiej powiedz, gdzie nikt go nie zabije.

– Po prostu... – zaczęła Molly. Potem na chwilę zamknęła oczy i zapanowała nad głosem. – Przepraszam. Ja... – Podniosła wzrok na Thomasa. – Po prostu się boję.

– Wiem – rzucił Thomas przez zaciśnięte zęby.

– Eee – odezwała się Molly i przełknęła ślinę. – Dlaczego masz takie oczy? Thomas długo nie odpowiadał.

– To nie są moje oczy, panno Carpenter. To oczy mojego demona. Żeby cię lepiej widzieć.

– Demona... – rzekła Molly, nie przestając się w niego wpatrywać. – Jesteś głodny. Tak jak wampiry.

– Po takiej walce? – zachnął się Thomas. – Jestem bliski obłądu.

Oboje powinni mieć więcej rozumu. Za każdym razem, gdy mag patrzy komuś w oczy, ryzykuje zerknięcie niczym podglądacz w okna czyjejś duszy. Wtedy dostrzega się prawdziwą naturę danej osoby, a ona może rzucić okiem na nasze wnętrze.

Dopiero drugi raz widziałem, jak spojrzenie w duszę przytrafia się komuś innemu. Przez chwilę wpatrywali się sobie w oczy, a potem oczy Molly nagle się rozszerzyły, jak u wystraszonej łani, i dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze. Patrzyła na Thomasa z przekrzywioną głową, jakby bezskutecznie usiłowała odwrócić wzrok.

Thomas nienaturalnie znieruchomiał. Jego oczy również się rozszerzyły i teraz przypominał kota, który szykuje się do ataku na upatrzoną ofiarę.

Molly lekko wygięła plecy i cicho jęknęła. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Boże – szepnęła. – Boże. Nie. Nie, jesteś piękny. Boże, tak bardzo

cierpisz, tak wiele potrzebujesz... Pomogę ci... – Niezdarnie poszukała jego dłoni.

Thomas nawet nie drgnął, gdy dotknęły go jej palce. Nie poruszył się ani jeden jego mięsień. Bardzo powoli zamknął oczy.

– Panno Carpenter – wyszeptał. – Proszę mnie nie dotykać.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała Molly. – W porządku. Jestem tutaj.

Ręka Thomasa poruszyła się jak błyskawica. Chwycił Molly za nadgarstek bladymi palcami, a ona wstrzymała oddech. Popatrzył dziewczynie w oczy, a ona zaczęła ciężko dyszeć. Pod jej koszulką uwydatniły się sutki, a z otwartych ust wydobył się cichy jęk.

Wydaje mi się, że cicho zaprotestowałem. Żadne z nich mnie nie usłyszało.

Nachylił się bliżej. Ten ruch przywodził na myśl zarazem kota, jak i węża. Molly zaczęła drżeć. Oblizwała usta i powoli zaczęła pochylać się ku niemu. Ich wargi się spotkały. Ciało dziewczyny zadygotało, napięło się i zeszywniało. Westchnęła bezgłośnie, przewróciła oczami, a Thomas nagle do niej przywarł. Molly zaczęła kołysać biodrami. Jej dłonie szarpały jego koszulę, odrywały guziki od jedwabiu, by móc dotknąć jego nagiego torsu.

Myszek uderzył w Thomasa jak kula do burzenia.

Szarżujące psisko oderwało go od mojej uczennicy i pchnęło na ceglany kominek. Thomas warknął pod wpływem szoku i wściekłości, ale Myszek złapał go za gardło, zanim mój brat zdążył się pozbierać.

Pies nie zacisnął zębów, ale wbił ich czubki w ciało i przytrzymał Thomasa, warcząc bulgotliwie. Mój brat próbował po omacku chwycić pogrzebacz wiszący obok kominka. Myszek to zauważył i ostrzegawczo szarpnął, nieco głębiej wbijając zęby. Thomas nie zrezygnował z prób osiągnięcia broni, a ja dostrzegłem, że ciało psiska coraz bardziej się napina.

Błyskawicznie doszedłem do siebie.

– Thomasie – odezwałem się słabym głosem.

Znieruchomiał. Myszek przekrzywił ucho w moją stronę.

– Thomasie – zaskrzeczałem. – Przestań. On chroni dziewczynę.

Thomas boleśnie westchnął. Potem z grymasem na twarzy zmusił się do rozluźnienia mięśni i kapitulacji. Jego ciało powoli przestało walczyć; wyciągnął w górę obie ręce i uniósł podbródek.

– Dobrze – wychrypiał. – Dobrze. Już w porządku.

– Pokaż oczy – poleciłem.

Usłuchał. Miały bladoszary kolor i migotały w nich tylko drobne plamki głodu.

– Myszek – stęknąłem.

Pies powoli się odsunął, stopniowo zmniejszając nacisk szczęk i odrywając zęby od gardła Thomasa. Cofnął się o kilka kroków, a następnie usiadł z pochylonym łbem, przyjmując bojową postawę, w której osłaniał własne gardło. Wciąż patrzył na Thomasa, nieruchomo i bezgłośnie. Wyglądało to osobiwie.

– Nie mogę tutaj zostać – rzekł Thomas. Ugryzienia na jego szyi były opuchnięte i zaczerwienione. Ich krawędzie lekko poczerniały, jakby zęby psa były rozpalone do czerwoności. – To niemożliwe ze względu na nią. – Zamknął oczy. – Nie chciałem. Przepraszam.

Popatrzyłem na Molly, która dygotała w pozycji płodowej i wciąż ciężko dyszała.

– Wyjdź – powiedziałem.

– Jak zdołasz...

– Thomasie – przerwałem mu nieco bardziej stanowczo, a w moim głosie pobrzmiwał gniew. – Mogłeś skrzywdzić Molly. Mogłeś ją zabić. Mój jedyny obrońca musi cię pilnować, zamiast stać na warcie. Wyjdź. Na nic mi się nie przydasz w takim stanie.

Myszek warknął ostrzegawczo.

– Przepraszam – powtórzył Thomas. – Przepraszam.

Potem ominął Myszkę i wspiął się po schodach, niemal bezszelestnie.

Przez chwilę siedziałem w miejscu, odczuwając ból praktycznie wszystkimi zmysłami. Całe moje ciało nieprzyjemnie mrowiło, jakby zdrewniało i teraz powracało do niego krązenie. Ogień Duszy. Pewnie za dużo go przez siebie przetoczyłem. Adrenalina przez jakiś czas dodawała mi siłę, ale potem popadłem w otępienie.

Przerażenie tym, co zaszło między moim bratem a Molly, przywróciło mi głos i wolę, ale wiedziałem, że to nie potrwa długo. Bolał mnie każdy oddech. Cierpiałem przy każdym ruchu i kiedy się nie poruszałem.

Zatem równie dobrze mogłem działać.

Spróbowałem wstać, jednak moja noga odmówiła posłuszeństwa i ledwie uniknąłem runięcia na podłogę. Chociaż mu nie kazałem, Myszek wstał i pośpieszył do mojego pokoju. Usłyszałem głuchy łoskot, gdy zaczął grzebać pod moim łóżkiem, co wymagało od niego dźwignięcia mebla na potężnych barkach. Po chwili wrócił, niosąc w zębach jedną z moich kul, pamiątkę dawnych obrażeń.

– Kto jest dobrym pieskiem? – powiedziałem.

Zamerdał ogonem i poszedł po drugą kulę. Kiedy już miałem komplet, mogłem wstać i pokuśtykać do kuchni. Tylenol 3 jest bardzo skuteczny, ale nie można go kupić bez recepty poza Kanadą, dlatego obecnie ukrywałem swoje zapasy pod ziemią w obłąkanym ogrodzie matki chrzestnej. Zażyłem dużą dawkę zwykłego tylenolu, skoro nie miałem jego trzeciej odsłony ani ich mniej znanego i zapomnianego kuzyna, Tylenolu 2: Ból Kontratakuje.

Uświadomiłem sobie, że mówię to wszystko Myszkowi, co mogło się stać kłopotliwe, gdyby weszło mi w nawyk. Popiłem tabletki jedną trzecią szklanki wody, a następnie podszedłem do Molly i sprawdziłem jej puls. Był równomierny. Oddychała nieco wolniej. Miała rozchylone powieki i nieobecny wzrok.

Mruknąłem coś pod nosem. Dziewucha w końcu postrada życie. Już drugi raz prawie ugryzł ją wampir, chociaż za pierwszym był to pośredni atak. Mimo wszystko lepiej nie powtarzać takiego doświadczenia. A gdyby Thomas rzeczywiście zaczął na niej żerować, trudno przewidzieć, co by się z nią stało.

– Molly – odezwałem się, a po chwili powtórzyłem głośniejszym głosem: – Molly!

Gwałtownie zaczerpnęła tchu i zamrugnęła.

– Brudzisz farbą mój dywan – powiedziałem znużonym głosem.

Usiadła, popatrzyła na siebie i na zieloną farbę, którą była pokryta. Podniosła na mnie oszołomiony wzrok.

– Co się stało?

– Spojrzałaś w duszę Thomasa. Oboje straciliście kontrolę. Prawie cię pożał. – Dźgnąłem ją kulą. – Myszek cię uratował. Wstawaj.

– No tak – odrzekła. – No tak. – Podniosła się bardzo powoli, krzywiąc się i masując nadgarstek. – Eee, czy... czy Thomasowi nic się nie stało?

– Myszek prawie go zabił. Jest wystraszony, zawstydzony i oszalały z głodu. Poszedł sobie. – Lekko stuknąłem ją w nogę kulą. – Co ci strzeliło do głowy?

Molly westchnęła.

– Gdybyś widział... Gdybyś tylko go zobaczył. Zobaczył, jaki jest samotny. Poczuł, jak bardzo cierpi, jaką pustkę nosi w sobie, Harry... – Łzy ponownie napłynęły jej do oczu. – Nigdy nie czułam czegoś tak straszego. Ani nie widziałam nikogo tak odważnego.

– Najwyraźniej uznałaś, że mu pomożesz, jeśli pozwolisz, by wyrwał z ciebie życie.

Przez chwilę patrzyła mi w oczy, a potem poczerwieniała i odwróciła wzrok.

– On... To nie jest wyrwanie, tylko... – Zaczerwieniła się. – Myślę, że jedynym właściwym określeniem jest „zlizanie”. Jak zlizanie lukru z ciastka. Albo... posypki z lizaka.

– Tylko że kiedy przekonujesz się, ilu on potrzebuje liźnięć, by dotrzeć do twojego słodkiego wnętrza, jesteś już martwa – odparłem. – Albo obłąkana. Co jest dosyć przerażające, biorąc pod uwagę, na co cię stać. Dlatego pytam jeszcze raz. – Stukałem ją w nogę czubkiem kuli, podkreślając każde słowo. – Co. Ci. Przyszło. Do. Głowy.

– To już się nie powtórzy – odrzekła, ale zobaczyłem, że zadrżała, wypowiadając te słowa.

Westchnąłem sceptycznie, wbijając w nią wzrok.

Molly nie była gotowa. Nie na coś takiego, co zamierzaliśmy zrobić. Była zbyt pewna siebie i brakowało jej trzeźwego osądu sytuacji.

Frustrowała mnie ta myśl. W jej wieku już skończyłem terminować w zawodzie prywatnego detektywa i właśnie otwierałem własny biznes. A poza tym od ponad pięciu lat żyłem pod mieczem Damoklesa.

Oczywiście przewyższałem Molly doświadczeniem. Zawarłem pierwszy

mroczny pakt ze swoim dawnym mistrzem Justinem DuMorne, gdy miałem dziesięć albo jedenaście lat, chociaż wtedy nie miałem pojęcia, w co się pakuję. Kolejny pakt zawarłem z Leanansidhe w wieku szesnastu lat. Skończyło się całodobową obserwacją ze strony paranoicznego Strażnika Morgana.

Miałem wtedy za sobą krótkie życie, ale naznaczone wieloma trudnymi lekcjami. Podjąłem mnóstwo głupich decyzji i jakimś cudem przetrwałem.

Ale nie wplątywałem się w tak gorące sytuacje. Troll pod mostem albo rozgniewany duch to najgorsze, z czym się mierzyłem. Te doświadczenia przygotowały mnie na to, co napotykałem obecnie.

Molly nie miała żadnego przetarcia. Już kiedyś się sparzyła, ale ja też potrzebowałem więcej niż jednej próby, by przyswoić lekcję.

Problem w tym, że mogła nie przeżyć kolejnego sprawdzianu.

Podniosła na mnie wzrok.

– No co? – spytała.

– Musimy ruszać – odrzekłem. – Spotkałem Eebów, kiedy wasza trójka bawiła się z Ik'k... Ik'ku-ku-kaczu... – Zmarszczyłem nos, bezskutecznie próbując przypomnieć sobie imię stwora. – Okazali się uroczy w całkowicie amoralny i morderczy sposób. Thomas miał rację: będą na mnie polować, czekając na swoją szansę. Idziemy.

– Dokąd?

– Do Świętej Marii – odrzekłem. – Członkowie Czerwonego Dworu nie mogą wkraczać na poświęconą ziemię, a Susan wie, że już kiedyś się tam ukrywałem. Ona i Martin mogą mnie tam później znaleźć. Muszę trochę odpocząć.

Molly wstała i pokiwała głową.

– Dobrze. Przyniosę ci ubranie na zmianę.

– Najpierw zadzwoń po taksówkę – odparłem. – Poza tym spakuj trochę tylenolu. No i jedzenie dla Myszka.

– Zgoda.

Oparłem się na kulach i stałem na środku pokoju, podczas gdy ona krzątała się wokoło. Wołałem nie siadać. Lekarstwo złagodziło ból, a moje myśli, chociaż zmęczone i ospałe, znów trzymały się ciała. Nie chciałem

teraz wpaść w otępienie.

– Powtórz to szybko pięć razy – mruknąłem i spróbowałem. Przynajmniej tego zadania nie mogłem koncertowo schrzanić.

Wkrótce usłyszałem szczekanie Myszka dobiegające ze szczytu schodów, a Molly leniwie się po nich wspięła.

– Przyjechała taksówka – oznajmiła.

Ruszyłem z miejsca. Wspinaczka o kulach to kiepska zabawa, ale już kiedyś to robiłem. Nie śpieszyłem się. Szedłem powoli i miarowo.

– Uważaj! – wrzasnęła Molly.

Butelka roztrzaskała się o ścianę na górze klatki schodowej, a jej zawartość rozbryzgnęła się wokół i zapłonęła. Stary dobry koktajl Mołotowa, wiekowa, ale wciąż potężna broń. To nie tylko płonące paliwo. Tak gorący ogień wysysa tlen, zwłaszcza w wilgotnej klatce schodowej, która działa jak komin. Wcale nie trzeba zostać oblanym benzyną, by zostać poparzonym. Płomienie o takiej temperaturze spalą odsłonięte ciało z odległości nawet kilkudziesięciu centymetrów, upodabniając najbliższą okolicę do wnętrza rozgrzanego pieca.

Byłem dopiero na drugim albo trzecim stopniu, ale zatoczyłem się do tyłu, unikając upieczenia – już kiedyś to przeżyłem i nie miałem ochoty na powtórkę. Próbowałem upaść na zdrowy bok, gdyż uznałem, że jemu też coś się należy od życia. Mniej więcej mi się udało i zabołało jak cholera, ale przynajmniej nie zemdlałem. Rzuciłem kilka zjadliwych przekleństw, gdy ogień buchnął z klatki schodowej do wnętrza domu, wgrzając się w stare drewno jak jakaś wygłodniała istota.

– Harry! – zawołała Molly. – Harry!

Myszek zaskowyczał żałośnie, a ja zobaczyłem, jak płomienie zaczynają się wspinać po ścianach. Pożar wybuchł na zewnątrz. Kiedy uruchomi alarmy, będzie za późno na ucieczkę.

O tej porze pani Spunkelcrief, która mieszkała nade mną, już spała, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Ogień zagrażał także państwu Willoughby, staruszkom z drugiego piętra, a wszystko dlatego, że mieli pecha dzielić ze mną budynek.

Upuściłem jedną z kul na schody, gdzie zajęła się ogniem. Wiedziałem, że

nie mam szans zaimprovizować żadnego zaklęcia, przynajmniej dopóki się nie najem i nie wypocznę. Na dzwony piekiel, nie byłem pewien, czy zdołam samodzielnie utrzymać się na nogach. Ale jeśli niczego nie zrobię, troje niewinnych osób zginie w pożarze, a ja wraz z nimi.

– No dalej, Harry – powiedziałem. – Nie jesteś kaleką. Jesteś tylko niedostatecznie wykwalifikowany.

Płomienie buchnęły z rykiem w górę, a ja nie uwierzyłem w ani jedno swoje słowo.

Mimo wszystko oparłem się dłońmi o ziemię i zacząłem się podnosić.

– Wóz albo przewóz, Dresden – powiedziałem z naciskiem, ignorując strach dudniący mi w piersi. – Wóz albo przewóz.

To drugie wydawało się znacznie bardziej prawdopodobne.

Kuśtykając o jednej kuli, podniosłem wzrok na sufit swojego mieszkania. Znalazłem miejsce, w którym powinien się znajdować środek salonu pani S, i zauważyłem, że stoi pod nim jedna z moich starych sof.

Wsunąłem koniec kuli za jeden z potężnych regałów z książkami i pociągnąłem, używając jej jako dźwigni. Regał zadrżał, a potem z hukiem runął na kanapę, zasypując podłogę książkami w miękkiej oprawie i drewnianymi półkami. Stęknąłem z zadowoleniem i wspiąłem się na powalony regał jak na rampę. Zmagając się z bólem, doczołgałem się do końca rampy, uniosłem prawą rękę i aktywowałem jeden z pierścieni.

Były to magiczne narzędzia, które przy każdym ruchu ręki zachowywały odrobinę energii kinetycznej. Przy pełnej wydajności dysponowały ogromną mocą, a ja niedawno je naładowałem na worku bokserkim. Kiedy uwolniłem energię pierścienia, niewidzialna siła przebiła sufit i podłogę mieszkania na następnym piętrze, rozrywając wyblakłą wykładzinę koloru zaschniętej musztardy.

Wycelowałem nieco dokładniej i uwolniłem cały ładunek z pierścienia na drugim palcu, a potem z kolejnego, coraz bardziej poszerzając otwór, aż w końcu uznałem, że się w nim zmieszczę.

Zaczepiłem zabezpieczony podkładką koniec kuli o pęknięty legar podłogowy i stanąłem na sprawnej nodze. Potem wrzuciłem kulę do otworu i chwyciłem krawędź, by się podciągnąć.

Wtedy usłyszałem chrapliwe, żalosalne miauczenie. Mój kot Mister wciąż był w mieszkaniu.

Rozejrzałem się rozpaczliwie i zauważyłem go w jego ulubionym miejscu na szczycie najwyższego regału. Miał nastroszone futro i napięte wszystkie mięśnie.

Tylko że już pozbyłem się kuli. Gdybym teraz po niego wrócił, możliwe, że

nie zdołałbym stanąć na rampie. Zresztą nie miałem pojęcia, jak miałbym się na nią wspiać z kotem na rękach. Mister ważył prawie piętnaście kilogramów. To spore obciążenie podczas podciągania.

Ponadto, jeśli pożar będzie się rozprzestrzeniał tak szybko, jak przewidywałem, dodatkowe opóźnienie może sprawić, że odetnie mi drogę ucieczki. A wtedy nikt nie uratuje pani S ani państwa Willoughby.

Kochałem swojego kota. Był członkiem rodziny.

Ale wiedziałem, że nie mogę mu pomóc.

– Chyba że użyjesz mózgu, Harry – warknąłem. – Też coś. Nigdy się nie poddawaj. Nigdy się nie poddawaj.

Wpuszczone w ścianę okna w moim mieszkaniu były zbyt małe, bym mógł przez nie uciec, ale Mister bez trudu zdołałby się przez nie przecisnąć. Wycelowałem i za pomocą pojedynczego ładunku z pierścienia rozbiłem okno znajdujące się najbliżej kota. Mister od razu zrozumiał, co się dzieje, i przebiegł po dwóch sąsiednich regałach. Od okna dzieliło go jeszcze półtora metra, ale przeskoczył tę odległość ze swobodą. Uśmiechnąłem się od ucha do ucha, gdy wydostał się przez rozbitą szybę na chłodne powietrze październikowego wieczora.

Na gwiazdy i kamienie, przynajmniej jedno mi się dzisiaj udało.

Odwróciłem się, chwyciłem krawędź otworu ponad moją głowę i z całej siły odbiłem się zdrową nogą. Nie był to imponujący skok, ale udało mi się zaprzeć łokciami o krawędzie otworu. Moje żebra płonęły, gdy wierzgałem nogami, przeciskając się do salonu pani Spunkelcrief.

Ostatni remont zapewne wykonano tutaj w latach siedemdziesiątych, sądząc po musztardowej wykładzinie i oliwkowej tapecie. Salon był pełen mebli i bibelotów. Wydostałem się z otworu, przy okazji przewracając gablotkę z kolekcją talerzy. Pomieszczenie było słabo oświetlone przez płomienie, które stale przybierały na sile na zewnątrz. Podniosłem swoją kulę, wyprostowałem się pomimo wściekłego bólu i pokuśtykałem w głąb mieszkania.

Znalazłem panią S w sypialni. Drzemała na siedząco, oparta o stertę poduszek przed starym telewizorem. Dźwięk był wyłączony, a na dole ekranu pojawiały się napisy. Dowlokłem się do niej i lekko nią potrząsnąłem.

Obudziła się gwałtownie i zdzieliła mnie drobną pięścią. Zaskoczony gruchnąłem na tyłek i skrzywiłem się z bólu, pod wpływem upadku, a nie ciosu. Wziąłem się w garść i podniosłem wzrok, a wtedy zobaczyłem, że staruszka trzyma niewielki rewolwer, zapewne trzydziestkę ósemkę. W jej dłoniach wyglądał jak magnum. Wyglądało na to, że umie się nim posługiwać, gdyż ścisnęła go w obu dłoniach i trzymała mnie na muszce.

– Panie Dresden! – zawołała piskliwym głosem. – Jak pan śmie?!

– Pali się! – odrzekłem. – Pani S, pali się!

– Nie ruszaj się, bo strzelam – odparła zrzędlivym tonem. Puściła broń lewą ręką i sięgnęła po telefon. – Dzwonię na policję. Siedź spokojnie albo będę musiała cię podziurawić. Nie blefuję. To prawdziwy pistolet. Mam pozwolenie.

Próbowałem wskazać drzwi sypialni, wykonując ruchy palcami i głową.

– Zażyłeś coś, chłopcze? – spytała, bez patrzenia wybierając numer. – Zachowujesz się jak ćpun. Wszedłeś do sypialni staruszki... – Zerknęła za moje plecy, gdzie na korytarzu coś jasno migotało.

Nie przestawałem rozpaczliwie wskazywać palcami i kiwać głową w tamtą stronę.

Pani S wytrzeszczyła oczy i szeroko otworzyła usta.

– Pali się! – zawołała. – Tam jest pożar!

Energicznie pokiwałem głową.

Opuściła broń i zaczęła skopywać z siebie narzutę i poduszki. Miała na sobie flanelową piżamę, ale chwyciła jeszcze niebieski szlafrok i pośpiesznie ruszyła do drzwi.

– Szybciej, chłopcze! Pali się!

Rozpaczliwie się podniosłem i pokuśtykałem za nią. Obejrzała się na mnie, najwyraźniej zaskoczona, że nie poruszam się szybciej. Mogliśmy już usłyszeć ogień, a powietrze stało się gęste od dymu.

Wskazałem sufit.

– Państwo Willoughby! – zawołałem. – Państwo Willoughby!

Podniosła wzrok.

– Boże Wszechmogący! – Odwróciła się i pośpieszyła korytarzem. Zatrzymała się w odległości trzech metrów od ściany, którą już pokryły

plłomienie. Prłóbowala coř chwycić i zakłęła, a potem owinęła sobie dłóń szlafrokiem i zabrała jakiś przedmiot, używając materiału jako kuchennej rękawicy. Pośpiesznie do mnie wróciła, niosąc kółko z kluczami. – Chodźmy! Drzwi frontowe już się zajęły! Wyjdziemy tyłem!

Oboje wypadliśmy przez tylne drzwi na malutkie podwórze, a wtedy zobaczyłem, że cały front domu płonie.

Pożar ogarnął schody prowadzące do mieszkania państwa Willoughby.

Odwróciłem się w jej stronę.

– Drabina! – zawołałem. – Gdzie jest drabina? Muszę z niej skorzystać!

– Nie! – odkrzyknęła. – Musisz użyć drabiny!

O rany.

– Dobrze! – zawołałem, unosząc oba kciuki.

Podeszła do małej szopy na podwórzu i otworzyła ją kluczem. Szarpnąłem drzwi i chwyciłem metalową rozkładaną drabinę, której każdego roku używałem podczas rozwieszania bożonarodzeniowych światełek. Odrzuciłem kulę i oparłem ciężar ciała na drabinie. Szedłem najszybciej, jak potrafiłem, ale miałem wrażenie, że minęła wieczność, zanim ustawiłem drabinę pod oknami sypialni państwa Willoughby.

Pani Spunkelcrief wręczyła mi cegłę obluzowaną z jednej z donic z kwiatami.

– Proszę. Ja nie zdołam tam wejść. Moje biodro.

Wziąłem cegłę i wrzuciłem ją do kieszeni płaszcza. Potem zacząłem wdrapywać się po drabinie, chwytając kolejne szczeble obiema rękami, a następnie wskakując wyżej. Każdy skok był coraz trudniejszy i bardziej bolesny. Zaciskałem zęby, żeby stłumić krzyki.

W końcu znalazłem się przed oknem.

Wyjąłem cegłę z kieszeni, zamachnąłem się i rozbiłem szybę.

Na zewnątrz buchnął czarny dym, a ja nim odetchnąłem. Zacząłem gwałtownie kaszleć, jednocześnie próbując wołać zduszonym głosem:

– Państwo Willoughby! Pali się! Musicie uciekać! Pali się! Chodźcie do okna i zejździe po drabinie!

Usłyszałem dwie kaszłące i krztuszące się osoby. Prłóbowwały wołać o pomoc.

Coś, być może niewielki zbiornik z propanem przy grillu pani Spunkelcrief, wybuchło z hukiem, jaki mógłby wywołać arbuz wielkości dinozaura upadający na ziemię. Fala uderzeniowa przewróciła panią S i wypchnęła spode mnie drabinę.

Spadłem. Czułem straszliwą bezradność, a moje ciało skręcało się niezdarnie, próbując bezpiecznie wylądować – wszystko na próżno. Uderzyłem krzyżem o ceglana donicę i osiągnąłem osobisty rekord bólu.

– Boże na Niebie – odezwała się pani Spunkelcrief. Przyklękła obok mnie. – Harry?

W oddali zawyły syreny. Nie miały szans uratować państwa Willoughby.

– Uwięzieni – wykrztusiłem, gdy tylko odzyskałem oddech. – Są na górze i wzywają pomocy.

Ogień huczał coraz głośniejszy i stawał się coraz jaśniejszy.

Pani S podniosła wzrok na okno. Chwyciła drabinę i ponownie ustawiła ją na właściwym miejscu, chociaż kosztowało ją to mnóstwo sił. Potem spróbowała postawić stopę na pierwszym szczeblu. Kurczowo chwyciła drabinę, przeniosła ciężar ciała, a potem stęknęła i upadła, gdy ugięła się pod nią noga.

Wrzasnęła boleśnie drżącym głosem.

– Boże na Niebie, pomóż nam!

Młody czarnoskóry mężczyzna w ciemnym płaszczu do kolan przesadził żywopłot w głębi podwórza i wskoczył na drabinę. Był zbudowany jak zawodowy futbolista grający na pierwszej linii, ale poruszał się szybciej od gracza drugiej linii. Wspinał się po drabinie, jakby to były szerokie schody. Jedyny na świecie Rycerz Krzyża posłał mi szeroki uśmiech.

– Dresden!

– Sania! – zawyłem. – Dwoje! W sypialni są dwie osoby!

– *Da*, dwoje! – powtórzył donośnym głosem.

Przy jego pasie kołysało się zakrzywione ostrze Esperacchiusa, a on panował nad nim z instynktowną biegłością, gdy wskoczył do budynku przez okno. Po chwili wrócił, niosąc na jednym ramieniu panią Willoughby, a drugą ręką podtrzymując jej zataczającego się męża.

Sania wyszedł jako pierwszy, dźwigając bezwładną staruszkę, a następnie

pomógł panu Willoughby wyczołgać się przez okno na drabinę. Zeszli powoli i ostrożnie, a kiedy Sania delikatnie ułożyła starszą kobietę na trawie, pojawiły się pierwsze służby ratunkowe.

– Boże na Niebie – załkała pani S, kładąc dłoń na ramieniu Sani. – To pewnie On nam cię zesłał, synu.

Sania uśmiechnęła się do niej, pomagając panu Willoughby usiąść na ziemi. Potem odwrócił się do mojej gospodyni i odpowiedział, z mniej wyraźnym rosyjskim akcentem niż podczas naszego ostatniego spotkania:

– To pewnie był tylko przypadek, proszę pani.

– Nie wierzę w przypadki – odparła pani Spunkercrief. – Niech cię Bóg błogosławi, synu – powiedziała i mocno go uściskała.

Nie była w stanie objąć go nawet w połowie, ale Sania delikatnie odwzajemniła jej gest.

– Proszę pani, trzeba przywołać tutaj sanitariuszy.

– Dziękuję, dziękuję – odrzekła, odrywając się od niego. – Ale teraz muszę przyprowadzić chłopców z karetki. – Zamilkła i posłała mi uśmiech. – Tobie też dziękuję, Harry. Jesteś takim dobrym chłopcem. – Pośpiesznie się oddaliła.

Myszek wybiegł z za rogu domu, za którym zniknęła pani S, dopadł do mnie i zaczął mnie lizać po twarzy. Molly biegła tuż za nim. Krzyknęła i zarzuciła mi ręce na szyję.

– O Boże, Harry! – Odepchnęła Myszka ramieniem i na kilka sekund mocno do mnie przywarła. Potem podniosła wzrok. – Sania? Co ty tutaj robisz?

– Hej, hej – odezwałem się. – Nie tak mocno.

Molly poluzowała uścisk.

– Przepraszam.

– Sania – powiedziałem, kiwając do niego głową. – Dziękuję za pomoc.

– To część mojej pracy, *da?* – odrzekł z szerokim uśmiechem. – Cieszę się, że mogłem się przydać.

– Mimo wszystko dziękuję – wychrypiałem. – Gdyby coś im się stało...

– Och, Harry. – Molly znów mnie przytuliła.

– Spokojnie, padawanko, spokojnie – rzuciłem cicho. – Powinnaś uważać.

Odsunęła się ode mnie ze zmarszczonym czołem.

– Dlaczego?

Powoli zaczerpnąłem tchu i odpowiedziałem bardzo cicho:

– Nie czuję nóg.

Szybko przekonałem Sanię i Molly, by nie zabierali mnie do szpitala. Okazało się, że to Eebowie cisnęli bombę zapalającą z przejeżdżającego samochodu i natychmiast się oddalili, co pasowało do ich sposobu działania podczas poprzedniego zamachu na moje życie, tylko że tym razem zostali zidentyfikowani. Przekazany przez Molly opis mężczyzny, który rzucił bombę, idealnie pasował do Estebana.

Musiałem przyznać, że wampirza para miała bardzo praktyczne długoterminowe podejście do przemocy – uderzali w słaby punkt i krzywdzili ofiarę, samemu podejmując minimalne ryzyko. Gdybym znajdował się o kilka stopni wyżej, gdy uderzył koktajl Mołotowa, byłbym martwy albo pokryty oparzeniami trzeciego stopnia. Podejmowane przez nich próby może nie były zbyt skuteczne, ale wystarczyło, że uda im się tylko raz.

Zgodnie z tym praktycznym, bezwzględnym podejściem teraz powinni mieć na oku szpitale, by mnie wykończyć – na przykład podczas zabiegu chirurgicznego albo kiedy będę wracał do zdrowia. Ale Sania, który odbył przeszkolenie na sanitariusza, bez mrugnięcia okiem podprowadził usztywniane nosze z karetki, kiedy jej załoga zajmowała się państwem Willoughby. Ułożyli mnie na noszach, żeby ochronić mój kręgosłup. Miałem wrażenie, że jest na to trochę za późno, ale byłem zbyt zmęczony, żeby się kłócić.

Nie czułem niczego od pasa w dół, ale to niestety nie oznaczało, że pozostała część mojego ciała da mi odpocząć od bólu. Czułem, jak mnie niosą, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, jak prawie jedna trzecia budynku zapada się aż do piwnicy – do mojego mieszkania. Budynek już się do niczego nie nadawał. Strażacy skupiali się na opanowaniu pożaru i ochronieniu sąsiednich domów.

Nosze trafiły na tył wynajętego minivana, którego Sania szczęśliwym zbiegiem okoliczności otrzymał na lotnisku bez dodatkowej dopłaty, gdy okazało się, że nie może dostać zarezerwowanego małego auta. Zanim odjechaliśmy, korzystając z zamieszania i tego, że policja jeszcze nie zdążyła zamknąć ulicy, zdążyłem zobaczyć przez tylną szybę, jak płonie mój dom.

Nawet gdy oddaliliśmy się o kilka przecznic, wciąż widziałem słup czarnego dymu. Zastanawiałem się, jak duża część tego dymu pochodzi z moich książek. Z mojej używanej gitary. Moich ubrań. Wygodnych starych mebli. Łóżka. Koców. Budzika z Myszka Mickey. Wyposażenia laboratorium, które z takim trudem zdobyłem albo zbudowałem – kosztem wielu lat cierpliwej pracy, niezliczonych godzin koncentracji i czarowania. Wszystko zniknęło.

Ogień niszczy nie tylko materialnie, ale też duchowo. To oczyszczająca siła, która może pożerać i rozpraszać magiczną energię. Z tak potężnego pożaru nie ocaleje nic z tego, co zbudowałem, wliczając czysto magiczne twory.

Cholera.

Cholera, jak ja nie znoszę wampirów.

Miałem za sobą piekielny dzień, ale jedynym, co mi pozostało, była moja duma. Nie chciałem, żeby ktoś oglądał moje łzy. Dlatego się nie odzywałem, a Myszek leżał tuż przy mnie z tyłu furgonetki.

W pewnej chwili smutek zmienił się w sen.

Obudziłem się w pomieszczeniu gospodarczym w kościele Świętej Marii od Aniołów, gdzie ojciec Forthill trzymał kilka zapasowych połówek razem z pościelą. Odwiedzałem to miejsce już kilkakrotnie. Świątynia stanowiła zaskakująco solidny bastion przeciwko nadnaturalnym złoczyńcom niemal każdego rodzaju. Stała na poświęconej ziemi, a wszystkie ściany, drzwi, podłogi i okna na przestrzeni dziesięcioleci były nieustannie błogosławione za sprawą modlitw i uroczystych rytuałów, odprawianych mszy i udzielanych komunii, aż w końcu ta delikatna, pozytywna energia wniknęła w grunt i każdy kamień.

Czułem się bezpieczniej, ale tylko odrobinę. Wampiry co prawda nie mogą postawić stopy na świętej ziemi, ale doskonale zdają sobie z tego

sprawę i ktoś taki jak Eebowie musiał wziąć to pod uwagę. Wynajęci ludzcy zabójcy potrafią być równie groźni jak wampiry, może nawet bardziej, a ochronna aura otaczająca budynek nie ma na nich żadnego wpływu.

Poza tym, jeśli naprawdę będą chcieli mnie dopaść, zawsze mogą podłożyć ogień i spalić kościół ze mną w środku. Próbowałem wyobrazić sobie siebie za sto lat, jak wciąż uciekam przed wampirami, które od czasu do czasu palą moje kolejne domy.

Nie miałem zamiaru na to pozwolić. Musiałem rozwiązać problem Eebów.

Nagle przypomniałem sobie o swoich nogach. Dotknąłem dłonią uda.

Niczego nie poczułem. Zupełnie niczego. Jakbym dotknął kończyny należącej do kogoś innego. Spróbowałem poruszyć nogami, ale bezskutecznie. Może byłem zbyt ambitny. Podciągnąłem koc, odsłaniając palce u nóg. Spróbowałem nimi poruszyć. Nie udało się.

Czułem usztywniane nosze pod sobą oraz pas na głowie, który miał mnie powstrzymać przed rozglądaniem się. Sfrustrowany dałem sobie spokój z nogami i podniosłem wzrok na sufit.

Bezpośrednio nad moją głową przyklejono taśmą kawałek papieru. Widniał na nim koślawy napis flamastrem. Rozpoznałem charakter pisma Molly: „Harry. Nie próbuj wstawać, ruszać szyją ani plecami. Zaglądamy do ciebie kilka razy na godzinę. Wkrótce ktoś się pojawi”.

Na stojącym niedaleko rozkładanym stoliku stała zapalona świeca. Było to jedyne źródło światła w pomieszczeniu. Nie potrafiłem ocenić, od jak dawna się pali, ale wyglądała na trwałą i pozostał z niej tylko ogarek. Zacząłem spokojnie oddychać nosem i poczułem kilka nie do końca znajomych woni. Może to jakieś perfumy? A może tylko zapach nowej skóry, która wciąż cuchnie garbnikami i barwnikiem. Oprócz tego czułem woń starego zakurzonego pokoju. W kościele dopiero od niedawna używano ogrzewania w zimie. Wyczuwałem ciepły zapach przypalonego kurzu, jaki zawsze wydobywa się z przewodów wentylacyjnych, gdy ktoś włączy dawno nieużywany grzejnik.

Cieszyłem się, że nie jest zimno. Nie mógłbym na to nic poradzić.

Świeca zgasła i zostałem sam w ciemności.

W moich wspomnieniach zakrwawiona wiekowa karykatura człowieka o skórze niemal całkowicie pokrytej plamami wątrobowymi uśmiechnęła się do mnie pożądliwie z wariacką satysfakcją i wyszeptała: „Umrzyj samotnie”.

Zadrzałem i odpędziłem ten obraz. Cassius umarł na dobre. Dobrze o tym wiedziałem. Ten wyrzutek ze stowarzyszenia obłąkanych dziwadeł zwanych Zakonem Poczerniałego Denara połączył siły z szalonym nekromantą, by mieć ze mną jakiegokolwiek szanse. Był o włos od przeprowadzenia na mnie sekcji. Ostatecznie udało mi się go załatwić, a tuż przed śmiercią rzucił na mnie właśnie taką klątwę. Magiczne przekleństwo wypowiedziane w ostatnich chwilach życia może mieć paskudny wpływ na ofiarę. Jego klątwa, abym umarł samotnie, była mało precyzyjna. Możliwe, że nie miała wystarczającej mocy, by się spełnić.

Jasne. Może i nie miała.

– Halo? – odezwałem się w ciemności. – Jest tam kto?

Nikogo nie było.

Umrzyj samotnie.

– Przestań – warknąłem. – Panuj nad sobą, Dresden.

To brzmiało jak dobra rada. Dlatego zacząłem głęboko oddychać i spróbowałem skupić myśli. Koncentracja. Przezorność. Rozsądek. Trzeźwy osąd. One miały mi pomóc przez to przejść.

Fakt pierwszy: moja córka wciąż jest w niebezpieczeństwie.

Fakt drugi: jestem ranny. Być może poważnie. Być może nieodwracalnie. Nawet wytrzymałe ciało maga ma swoje ograniczenia, a złamany kręgosłup zdecydowanie je przekracza.

Fakt trzeci: Susan i Martin nie zdołają sami wydostać dziewczynki.

Fakt czwarty: nie mogę liczyć na dodatkową pomoc. Możliwe, że przy wsparciu Sani ta samobójcza misja może być uznana za tylko częściowo samobójczą. W końcu Rycerze Krzyża to nie byle co. Trzech z nich podobno wystarczy, by chronić cały świat. Przez ostatnie kilka lat ciemnoskóry Rosjanin sam obsadzał wszystkie trzy stanowiska i najwyraźniej dobrze sobie radził. Co w sumie miało sens, skoro Sania dzierżył Esperacchiusa, Miecz Nadziei. W tej chwili potrzebowaliśmy nadziei. Przynajmniej ja jej potrzebowałem.

Fakt piąty: przegapiłem spotkanie z Ebenezarem wiele godzin temu. I tak nie miałem zamiaru się stawić i nie mogłem nic poradzić na to, że będzie niezadowolony, ale moja nieobecność zapewne kosztowała mnie wsparcie Szarej Rady, jakiegokolwiek by ono było.

Fakt szósty: Sania, Susan, Martin i nieliczne inne osoby, które mogę poprosić o pomoc, nie zdołają dotrzeć do Chichén Itzá beze mnie, a ja za cholere nie mogę tam dotrzeć w obecnym stanie. Zgodnie ze wspomnieniami zapisanymi w klejnocie matki tamta Ścieżka wymaga pływania.

Fakt siódmy: przyjdę swojej córce z pomocą i nie obchodzi mnie, jakim kosztem.

Miałem niewiele możliwości.

Wybrałem tę najmniej przerażającą. Zamknąłem oczy, uspokoiłem oddech i zacząłem sobie wyobrażać pokój. Na podłodze znajdował się mój krąg przywołania, obecnie w ruinie. Pięć płonących świec stało na jego obwodzie w równych odległościach. W powietrzu czuć było kadzidło o zapachu sandałowca oraz stopiony wosk. Potrzebowałem kilku minut, żeby sobie to wszystko szczegółowo wyobrazić i utrzymać ten obraz w umyśle, gdzie stał się równie realny jak prawdziwe pomieszczenie.

To wymagało mnóstwa energii i dyscypliny.

Magia tak naprawdę nie potrzebuje rekwizytów. To przeświadczenie od wieków jest utrwalane przez środowisko magów, gdyż pozwala dowieść wystraszonym wieśniakom, inkwizytorom i innym zaniepokojonym osobom, że dany człowiek na pewno nie jest magiem. W przeciwnym razie dysponowałby mnóstwem magicznych przedmiotów niezbędnych w tej branży.

Magia nie wymaga rekwizytów, ale posługują się nią ludzie, a oni ich potrzebują. Każdy rekwizyt ma zarówno symboliczne, jak i praktyczne znaczenie dla danego zaklęcia. Proste czynności, takie jak zapalenie świec, można wykonać w myślach, aż w końcu staną się równie łatwe i odruchowe jak wiązanie buta.

Ale kiedy przejdziemy do bardziej złożonych kwestii, musimy pamiętać o ogromnej liczbie elementów, wyobrażać sobie przepływy energii,

manipulować nią i tak dalej. Rekwizyty mogą posłużyć jako narzędzia mnemoniczne. Każdy z nich w myślach łączymy z konkretnym obrazem, który pojawia się w naszym umyśle za każdym razem, gdy widzimy dany przedmiot albo go dotykamy. Proste.

Tylko że nie miałem żadnych rekwizytów.

Improwizowałem. Polegałem wyłącznie na wyobraźni. Na koncentracji.

A tak naprawdę na arogancji. Jednakże zazwyczaj nie byłem tak zdesperowany.

W myślach zapaliłem świecę, powoli idąc po obwodzie kręgu w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara – albo ruchem słońca, jak określa się go w baśniach, celtyckich pieśniach i niektórych odłamach Wicca – stopniowo napełniając go niezbędną energią. Uświadomiłem sobie, że w myślach zapomniałem określić materiał, z którego jest sporządzona posadzka, przez co sięgająca po horyzont płaszczyzna przybrała postać linoleum z mojego pierwszego zaszczurzonego mieszkania w Chicago. Ohydne zielone linie na szarym tle, ale łatwe do wyobrażenia.

Nie wykonując żadnego ruchu, wyobraziłem sobie, że rzucam zaklęcie. Przywołałem w myślach każdy detal, od nieprzyjemnego ucisku podłogi na kolana, po niezdarność palców lewej dłoni, która zawsze mi nieco dokuczała, gdy byłem zdenerwowany.

Zamknąłem krąg. Zebrałem moc. A potem, kiedy już byłem gotowy i miałem w myślach obraz bardziej wyraźny od otaczającego mnie pomieszczenia, pozwoliłem Mocy wnikać do mojego głosu i cicho zawołałem:

– Urielu, przybądź.

Przez chwilę nie wiedziałem, czy łagodne białe światło rozbłysło tylko w mojej głowie, czy też pojawiło się w pokoju. Potem uświadomiłem sobie, że boleśnie razi moje oczy. Było prawdziwe.

Dalej wypowiadałem zaklęcie w myślach, co było łatwiejsze, gdy już przybrało postać żywego obrazu. Musiałem tylko utrzymać koncentrację.

Zmrużyłem oczy i zobaczyłem wysokiego młodzieńca. Miał na sobie dzinsy, T-shirt i farmerską kurtkę. Blond włosy opadały mu na oczy, które były niebieskie, jasne i szczerze. Rozglądał się po pokoju. Wsunął dłonie do

kieszeni kurtki i powoli pokiwał głową.

– Zastanawiałem się, kiedy zostanę przywołany.

– A więc wiesz, co się dzieje? – spytałem.

– Tak, tak – odpowiedział lekko zniecierpliwionym tonem.

Przeniósł na mnie wzrok i nagle zmarszczył czoło. Lekko się nachylił, uważnie mi się przyglądając.

Ostrożnie umocniłem w myślach obraz magicznego kręgu. Tylko on chroni maga przed gniewem przywołanej istoty.

– Daj spokój, Dresden – odezwał się archanioł Uriel. – To bardzo ładny krąg, ale chyba nie sądzisz, że stanowi dla mnie przeszkodę.

– Wolę nie ryzykować – odrzekłem.

Uriel parsknął wyjątkowo nieanielsko. Potem pokiwał głową.

– No tak, rozumiem.

– Co rozumiesz?

Przez chwilę milczał.

– Dlaczego mnie wezwałeś, rzecz jasna. Twój kręgosłup.

Stęknąłem. Przyszło mi to z większym trudem niż zazwyczaj.

– Źle z nim?

– Jest złamany – odparł. – Jesteś magiem, więc możliwe, że twoje ciało go naprawi w ciągu czterdziestu albo pięćdziesięciu lat. Ale to nic pewnego.

– Muszę wydобрzeć – odrzekłem. – Natychmiast.

– W takim razie lepiej było nie chodzić po drabinie w twoim stanie.

Warknąłem i spróbowałem obrócić się w jego stronę. Moje ciało tylko lekko drgnęło, nie odrywając się od noszy.

– Nie rób tego – rzekł Uriel spokojnie. – Nie warto się tak denerwować.

– Nie warto się denerwować?! – zawołałem. – Moja córeczka umrze!

– Dokonałeś kilku wyborów – oznajmił Uriel. – Jeden z nich cię tutaj doprowadził. – Rozłożył ręce. – To uczciwa partia, synu. Musisz rozegrać ją do końca.

– Ale ty mógłbyś mnie uzdrowić, gdybyś chciał.

– Moje pragnienia nie mają tutaj nic do rzeczy – odpowiedział spokojnie.

– Mógłbym cię uleczyć, gdybym miał tak uczynić. Wolna wola zawsze ma pierwszeństwo, jeśli ma cokolwiek znaczyć.

– Filozofujesz – odparłem. – Mówię ci, że umrze dziecko.

Uriel na chwilę spochmurniał.

– A ja ci mówię, że moje możliwości udzielenia ci pomocy są bardzo ograniczone. Tak naprawdę ograniczone do tego, co już zrobiłem.

– No tak, Ogień Duszy. Prawie się nim zabiłem. Dzięki.

– Nikt cię nie zmusza, żebyś z niego korzystał, Dresden. To twój wybór.

– Współpracowałem z tobą, kiedy potrzebowałeś pomocy – odparłem. – Tak mi się odpłacasz?

Uriel przewrócił oczami.

– Próbowaleś wysłać mi rachunek.

– Jeśli chcesz ustalić cenę, proszę bardzo – odrzekłem. – Zapłacę ją. Zrobię wszystko.

Archanioł mnie obserwował. Miał spokojne, mądre i smutne oczy.

– Wiem – odpowiedział cicho.

– Cholera – rzuciłem łamiącym się głosem. Łzy napłynęły mi do oczu. Kolory i linie w mojej wyobraźni zaczynały się rozmazywać. – Proszę.

Uriel jakby zadrżał pod wpływem tego słowa. Odwrócił twarz wyraźnie zmieszany. Milczał.

– Proszę – powtórzyłem. – Wiem, kim jestem. Wiesz, że wolałbym dać sobie wyrwać paznokcie niż błagać. A jednak cię błagam. Nie jestem wystarczająco silny, żeby zrobić to samemu.

Uriel słuchał, nie patrząc na mnie. Potem powoli pokręcił głową.

– Zrobiłem już wszystko, co mogłem.

– Przecież niczego nie zrobiłeś – odparłem.

– Z twojego punktu widzenia to zapewne prawda. – Pomasował podbródek kciukiem, w zamyśleniu marszcząc czoło. – Chociaż... myślę, że to znacząco nie zaburzy równowagi, jeśli się dowiesz...

Nie mogłem poruszyć głową i oczy bolały mnie od ciągłego spoglądania w jedną stronę. Przygryzłem wargę i czekałem.

Uriel wziął głęboki wdech i wyglądało na to, że bardzo starannie waży słowa.

– Twoja córka, Maggie, żyje i czuje się dobrze. Na razie.

Serce drgnęło mi w piersi.

Moja córka.

Nazwał ją moją córką.

– Wiem, że chciałeś kochać Susan i nosić ją w pamięci. Chciałeś jej zaufać. Ale chociaż nie przyznawałeś się do tego przed sobą, miałeś wątpliwości. Nie mam ci tego za złe. Zwłaszcza po tym, jak zaklęcia tropiące zawiodły. To naturalne. Ale owszem. – Popatrzył mi w oczy. – To krew z twojej krwi. Twoja córka.

– Po co mi to mówisz? – spytałem.

– Ponieważ zrobiłem wszystko, co mogłem – odrzekł. – Reszta zależy od ciebie. Jesteś jedyną nadzieją Maggie. – Zaczął się odwracać, ale nagle znieruchomiał. – Dokładnie zastanów się nad słowami Vadderunga.

Zamrugalem.

– Znasz Od... Vadderunga?

– Oczywiście. W końcu działamy w podobnej branży.

Z trudem odetchnąłem i przestałem się starać podtrzymać zaklęcie.

– Nie rozumiem.

Uriel pokiwał głową.

– To najtrudniejsza część bycia śmiertelnym. Dokonywanie wyborów, gdy wiele jest przed tobą zakryte. – Westchnął. – Kochaj swoje dziecko, Dresden. Z tego wypływa cała reszta. Powiedział to pewien mądry człowiek. Cokolwiek robisz, rób to z miłości. Wtedy nigdy nie pobłędzisz tak bardzo, żebyś nie mógł wrócić do światła.

Potem zniknął, równie nagle, jak się pojawił.

Leżałem w ciemności, drżąc ze zmęczenia, wyczerpany rzuconym zaklęciem. Wyobraziłem sobie Maggie w dziecięcej sukience ze wstążkami we włosach, jak na fotografii.

– To dla ciebie, mała. Tatuś już idzie.

Potrzebowałem niespełna trzydziestu sekund, by odnowić zaklęcie, i nieco więcej, by zgromadzić kolejną falę energii. Do ostatniej chwili nie byłem pewien, czy naprawdę to zrobię. Potem zobaczyłem w myślach straszliwą wizję Maggie porywanej przez wampira z Czerwonego Dworu, a całe moje oburzenie skoncentrowało się w pojedynczy, rozpalony do białości punkt niezachwianej woli.

– Mab! – zawołałem pewnym głosem. – Mab, Królowo Powietrza i Ciemności, Królowo Zimowego Dworu! Przyzywam cię!

Trzecie powtórzenie jej imienia rozbrzmiało w powietrzu, a potem zapadła ogłuszająca cisza, w której czekałem na odpowiedź.

Kiedy chwytasz w pułapkę coś niebezpiecznego, musisz zastosować się do kilku podstawowych zasad, by odnieść sukces. Potrzebujesz dobrej przynęty, która zwabi cel. Potrzebujesz dobrej pułapki, która działa skutecznie i szybko. A kiedy cel już w nią wpadnie, potrzebujesz odpowiednio silnej sieci albo klatki, by go zatrzymać.

Jeśli zawiedziesz w którymkolwiek z tych trzech elementów, zapewne ci się nie uda. Jeśli zawalisz dwie kwestie, może cię czekać coś znacznie bardziej katastrofalnego niż zwykła porażka.

Zabrałem się do dzieła, doskonale wiedząc, że mam tylko przynętę. Mab z jakiegoś sobie tylko znanego powodu od lat chciała nakłonić mnie, bym jej służył. Wiedziałem, że wystarczy, jeśli zawołam ją, używając jej imienia i tytułu. Chociaż mechanizm mojego ulepszonych kręgu przywołań stanowiłby dobrą pułapkę – oczywiście gdyby wciąż istniał – klatka mojej woli zawsze była najslabszym ogniwem podczas każdego takiego przedsięwzięcia.

Mówiąc w skrócie, potrafiłem nakłonić tygrysa, by się pojawił. Ale potem mogłem najwyżej narysować kredą na chodniku wilczy dół i powiedzieć: „Grzeczny kotek”.

Jednakże nie byłem całkowicie zaślepiony ani nieświadomy. Byłem zdesperowany, ale nie głupi. Uznałem, że dysponuję przewagą statusu. Mab nie mogła zabić śmiertelnika. Mogła tylko nakłonić go, by całym sercem zapragnął śmierci, zamiast angażować jej uwagę. Nie miałem wiele do stracenia. Nie mogłem stać się jeszcze bardziej bezużyteczny dla swojej córki niż teraz.

Czekałem w idealnej ciemności, aż pojawi się królowa rodem

z najbardziej mrocznych baśni, jakie ludzie opowiadali szeptem po zmroku.

Mab mnie nie zawiodła.

Zaskoczyła, owszem. Ale nie zawiodła.

Przed moimi oczami zaczęły się pojawiać gwiazdy.

Przez chwilę myślałem, że to bardzo niedobrze. Ale one nie wirowały leniwie, tak jak gwiazdy, które świadczą o tym, że mózg się dusi. Płonęły miarowo, lodowato i czysto nad moją głową. Pięć gwiazd, jak klejnot na szyi Pani Nocy.

Po kilku sekundach zimny wiatr dotknął mojej twarzy i poczułem pod sobą twardą gładkość. Ostrożnie położyłem dłonie na płask, ale nie wymacałem polówki ani noszy. Moje ręce dotknęły chłodnego, równego kamienia, płaskiej i równej powierzchni, która rozciągała się pod całym moim ciałem. Poruszyłem stopą i potwierdziłem, że pod nią także znajduje się kamień.

Nagle uzmysłowiłem sobie, że czuję swoją stopę. Mogłem nią poruszać.

Czułem całe swoje ciało. Byłem nagi. Nie wiedziałem, czy mam krzyczeć pod wpływem zimna, które nagle zmroziło mi tyłek, czy z radości, że w ogóle je odczuwam. Po jednej stronie zobaczyłem ziemię i spróbowałem wstać z zimnej płyty, kucając i przytrzymując się jej krawędzi, by złapać równowagę.

Zatem to nie rzeczywistość, tylko sen, wizja albo coś pomiędzy światami śmiertelników a duchów. Miało to sens. Moje ciało wciąż leżało w kościele i głęboko oddychało, ale umysł i duch znalazły się tutaj.

Gdziekolwiek było „tutaj”.

Mój wzrok przywyknął do ciemności i zobaczyłem łagodną mgiełkę wiszącą w powietrzu. Kłębiące się obłoki przepuszczały blask księżyca, który tańczył jak promień szperacza na szczycie wzgórza i wiekowym kamiennym stole obok mnie. Dotyk księżyca migotliwie rozświetlał okalające krawędź stołu głęboko rzeźbione runy zapisane w języku, którego nie znałem.

W końcu zrozumiałem. Mab kiedyś stworzyła to miejsce dla potrzeb naszego spotkania. Nazywało się Doliną Kamiennego Stołu. Wiedziałem, że ma postać szerokiej, miskowatej doliny, chociaż teraz mgła skrywała jej większą część przed moim wzrokiem. Dokładnie na środku znajdowała się

potężna kamienna płyta podtrzymywana przez cztery przysadziste słupy. Otaczał ją krąg innych kamieni, z których część się wywróciła, część popękała, a tylko jeden przypominał obiekty ze Stonehenge. Wszystkie kamienie emitowały delikatne światło w różnych odcieniach błękitu, fioletu i ciemnej zieleni. Zimne kolory.

Kolory Zimy.

No tak. Było już po równonocy. Wszystko się zgadzało. Stół znajdował się na terenie Zimy. Był starożytnym przewodnikiem mocy, przekazywanej w najbardziej prymitywny, atawistyczny sposób – za pośrednictwem gorącej krwi. Powierzchnię stołu pokrywały rowki i linie naznaczone starymi plamami. Stół przycupnął na szczycie wzgórza, cierpliwy, wygłodniały i nieruchomy, jak żółw jaszczurowaty czekający, aż ciepłe, pełne życia stworzenia zbytnio się do niego zbliżą.

Krew przelana na tym stole niosła w sobie moc życia i wpływała do studni mocy kontrolowanej przez Królową Zimy.

Mój wzrok przyciągnął ruch po drugiej stronie stołu. Mgła zastygła w smukłą kobiecą sylwetkę okrytą peleryną z kapturem. Pod nim migotały zielone płomienie świec, które wyglądały jak para oczu.

Zaschło mi w gardle. Dopiero za drugim razem zdołałem wychrypieć:

– Królowo Mab?

Sylwetka zniknęła. Mgłę po mojej prawej stronie przeszył cichy kobiecy śmiech. Odwróciłem się w jego kierunku.

Kilkanaście centymetrów za mną rozległ się wściekły koci pisk, a ja niemal wyskoczyłem ze skóry. Okręciłem się na pięcie, ale niczego nie zobaczyłem, a śmiech kobiety, tym razem bardziej rozbawiony, odbił się echem na szczycie zamglonego wzgórza.

– Dobrze się bawisz, prawda? – spytałem, czując serce w przetyku. – Sama mi to mówiłaś, czyż nie?

Szepczące głosy syczały niezrozumiale pośród kamieni. Zobaczyłem kolejny błysk kpiących zielonych oczu.

– T-to propozycja o krótkim terminie – odezwałem się, próbując zapanować nad głosem. – Zmusiły mnie do niej okoliczności. Jeśli zaraz nie ruszysz swojego królewskiego tyłka, zabieram się stąd.

– Ostrzegałam cię – usłyszałem za plecami spokojny głos. – Nigdy nie pozwól, żeby cię tutaj przyprowadziła, mój chrześniaku.

Z trudem powstrzymałem się przed wrzaśnięciem. Takie zachowanie nie przystoi magowi. Zamiast tego wziąłem głęboki wdech i odwróciłem się w stronę Leanansidhe, która stała w odległości metra, odziana w pelerynę w kolorze ostatnich sekund zmierzchu. Granatowo-fioletowy materiał całkowicie ją okrywał, nie licząc bladej twarzy pod kapturem. Jej zielone kocie oczy były szeroko otwarte i nieruchome, a oblicze poważne.

– Ale tutaj jestem – odrzekłem cicho.

Pokiwała głową.

Obok niej pojawił się kolejny cień o zielonych płonących oczach. Podejrzałem, że to królowa Mab, i zauważyłem, że jest o kilka centymetrów niższa od mojej matki chrzestnej. Oczywiście w takim miejscu Mab mogła być olbrzymką albo liliputką, wedle uznania.

Zapewne-Mab podeszła bliżej, wciąż skryta w cieniu, chociaż była jeszcze bliżej niż moja matka chrzestna. Jej oczy zapłonęły jaśniej.

– Tak wiele blizn – odezwała się moja matka chrzestna, a jej głos stał się nieco bardziej lodowaty i rzeczowy. – Twoje blizny są piękne. Te w środku i te na zewnątrz. – Okryta cieniem postać schowała się za jednym z powalonych kamieni, po czym wyłoniła się zza innego, po przeciwnej stronie kręgu.

– Tak – rozległ się lodowaty głos Leanansidhe. – Mogę coś z tym zrobić.

Zadrzałem. Na pewno dlatego, że było bardzo zimno, a ja byłem nagi. Przeniosłem wzrok z mrocznej sylwetki na swoją matkę chrzestną i z powrotem.

– Wciąż używasz tłumaczki? – spytałem.

– Ze względu na ciebie – odrzekł lodowaty głos, a spowita w cień postać skryła się za kolejnym menhirem, po czym pojawiła się na szczycie innego. Przemieszczała się zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara.

Mab zamykała krąg wokół mnie.

– Dl-dlaczego ze względu na mnie? – spytałem.

Zimny głos roześmiał się przez usta Leanansidhe.

– Ta rozmowa szybko by mi się znudziła, gdybyś wciąż padał na kolana,

wrzeszczał z bólu i drapał swoje krwawiące uszy, magu.

– Tak. Ale dlaczego? – spytałem. – Dlaczego twój głos wyrządziłby mi krzywdę?

– Ponieważ ona jest wściekła – odpowiedziała Leanansidhe swoim normalnym głosem. – Ponieważ jej głos jest częścią jej mocy, a jej gniewu nie da się powstrzymać.

Przełknąłem ślinę. Dwa lata temu Mab powiedziała do mnie kilka słów i zareagowałem dokładnie tak, jak to opisała. Dostałem kilkuminutowego ataku, z którego nic nie pamiętałem.

– Wściekła? – spytałem. – Dlaczego?

Mroczna postać syknęła jak kot, a ja wzdrygnąłem się i odsunąłem, jakby ktoś uderzył mnie batem. Coś gwałtownie szarpnęło nią w jedną stronę. Kiedy powoli się wyprostowała, zobaczyłem długie, cienkie rozcięcie na jej policzku. Skapywała z niego krew.

Moja matka chrzestna skłoniła głowę przed Mab, a wtedy z jej ust znów dobiegł lodowaty głos.

– Moja służąca nie powinna mnie osądzać, kwestionować moich działań ani wypowiadać się w moim imieniu.

Lea ponownie się ukloniła. Z jej twarzy nie dało się wyczytać nawet odrobiny złości czy rozgoryczenia. Mab znów przeniosła się między dwoma kamieniami, nie przekraczając dzielącej je przestrzeni. Powinienem już do tego przywyknąć, ale wcale tak się nie stało. Za każdym razem, gdy to robiła, uświadamiałem sobie, że równie dobrze mogłaby pojawić się tuż za mną i zrobić mi krzywdę, a ja nie mógłbym nic na to poradzić.

– Należy uhonorować dawne proroctwa – odezwała się Mab wyważonym, oficjalnym tonem. – Należy wypowiedzieć właściwe słowa. Odprawić rytuały. Powiedz, czego pragniesz, śmiertelniku.

Teraz naprawdę dygotałem z zimna. Objąłem się rękami i skuliłem. Nic mi to nie pomogło.

– Mocy – odrzekłem.

Spowita cieniem postać zamarła i wbiła we mnie wzrok. Płonące zielone oczy lekko się przechyliły, jakby Mab przekrzywiła głowę.

– Powiedz, w jakim celu?

Przełknąłem ślinę.

– Porwano moją córkę.

Postać zadrżała, a jej bezcielesny głos westchnął z rozkoszą.

– Ach. Tak. Nie ze względu na siebie, tylko dla dziecka. Dla miłości.

Energicznie kiwnąłem głową.

– Tak wiele straszliwych rzeczy czyni się dla miłości – ciągnęła Mab. – Dla miłości ludzie się kaleczą i mordują swoich rywali. Dla miłości nawet pokojowo nastawiony człowiek idzie na wojnę. Dla miłości ludzie niszczą samych siebie, i to z własnej woli. – Zaczęła mnie okrążyć, ale jej ruchy były tak pełne niespodziewanych gestów i obcej gracji, jakby pod peleryną kryło się coś innego. – Znasz moją cenę, śmiertelniku. Wymień ją.

– Chcesz, żebym został Rycerzem Zimy – wyszeptałem.

Śmiech, zarazem radosny i zimny, zaszemrał pod jej słowami.

– Tak.

– Zrobię to – rzekłem. – Pod jednym warunkiem.

– Słucham.

– Zanim rozpocznie się moja służba, przywrócisz mi zdrowie. Następnie dasz mi wystarczająco dużo czasu, żebym mógł ocalić swoją córkę i zabrać ją w bezpieczne miejsce, oraz wystarczająco dużo siły i wiedzy, bym mógł tego dokonać. A także dasz mi słowo, że nigdy nie każesz mi podnieść ręki na tych, których kocham.

Postać ponownie mnie okrążyła dziwacznym krokiem, a ja odniosłem wrażenie, że temperatura spadła o kilka stopni.

– Chcesz, żebym pozwoliła swojemu Rycerzowi udać się do śmiertelnie niebezpiecznego miejsca, co nie przyniesie żadnego pożytku mojej krainie ani mojemu ludowi. Dlaczego miałabym to zrobić?

Przez chwilę się w nią wpatrywałem. Potem wzruszyłem ramionami.

– Jeśli nie chcesz ubić ze mną targu, pójdę gdzie indziej. Mogę w jednej chwili przywołać monetę Lasciel... a Nicodemus i Denarianie z przyjemnością mi pomogą. Jestem także jednym z nielicznych żywych, którzy potrafią odprawić Darkhallow Kemmlera. Więc jeśli Nicky i jego Moneciarze nie będą chcieli się bawić, mogę samodzielnie zdobyć niezbędną moc. A kiedy następnym razem cię zawołam, nie będę musiał być taki

grzeczny.

Mab roześmiała się niewesoło ustami mojej matki chrzestnej.

– Masz tak wiele możliwości, mój magu. Dlaczego wybrałeś akurat mnie?
Skrzywiłem się.

– Nie bierz tego do siebie, ale jesteś z nich wszystkich najmniej zła.
Lodowaty głos nie zdradzał żadnych emocji.

– Wyjaśnij.

– U Denarian już za kilka lat musiałbym nosić bródkę i bez przerwy triumfalnie się uśmiechać, chyba że wcześniej bym się załamał i wpadł w morderczy szal. A gdybym chciał odprawić Darkhallow, najpierw musiałbym zabić całą masę ludzi. – Przełknąłem ślinę. – Ale zrobię to. Jeżeli nie będzie innego sposobu na wyrwanie mojego dziecka z ich rąk, zrobię to.

Przez pełną minutę na wzgórzu panowała cisza.

– Tak – odezwała się Mab z namysłem. – Zrobisz to, prawda? Poza tym wiesz, że nie zabijam bez skrupułów ani nie nakłaniam do tego swojego Rycerza. – Po chwili dodała szeptem: – Ale w przeszłości pokazałeś, że jesteś skłonny do samobójczych zachowań. Właśnie w taki sposób zwyciężyłeś moją służącą, współpracując z aniołem śmierci. Co cię powstrzyma przed podjęciem podobnych kroków, by pozbawić mnie mojej nagrody?

– Moje słowo – odrzekłem cicho. – Wiem, że cię nie przechytrzę. Nie zabiję się. Chcę zawrzeć z tobą układ w dobrej wierze.

Płnące oczy Mab wpatrywały się we mnie przez dłuższą chwilę. Potem znów ruszyła z miejsca, tym razem powoli, po raz trzeci okrążając kamienny krąg.

– Musisz zrozumieć, magu. Kiedy już zostaniesz moim Rycerzem, kiedy wypełnisz swoje ostatnie zadanie, będziesz mój. Zniszczysz wszystko, co rozkażę ci zniszczyć. Zabijesz każdego, kogo rozkażę ci zabić. Będziesz należał do mnie, twoja krew, kości i oddech. Rozumiesz to?

Przełknąłem ślinę.

– Tak.

Powoli pokiwała głową. Potem obejrzała się na Leanansidhe.

Lea ponownie skłoniła głowę i pstryknęła palcami.

Sześć okrytych pelerynami postaci wyłoniło się z mgły. Drobne,

zniekształcone istoty, które mogłyby być koboldami, gnomami albo przedstawicielami którejkolwiek z sześciu służalczych ras sidhe. Nie potrafiłem tego stwierdzić, ponieważ peleryny zasłaniały im twarze, odbierając tożsamość.

Znałem jednak mężczyznę, którego niosły przywiązanego do deski.

Był nagi, tak samo jak ja. Nie dorównywał mi wzrostem, lecz kiedyś był lepiej zbudowany, bardziej umięśniony. Tylko że od tego czasu minęły lata. Teraz przypominał wymizerowaną ludzką skorupę, niechlujnie nakreślony szkic węglem. Nie miał oczu. Wyglądało na to, że ktoś usunął je z chirurgiczną precyzją. Tatuaze pokrywały całą jego twarz, a zwłaszcza zapadnięte powieki. Każdy z nich był tym samym słowem, zapisanym w różnych językach i różnym krojem pisma: zdrajca. Spod rozchylnych warg wyzierały zęby, na których nakreślono spirale i celtyckie wzory, po czym zaplamiono je czymś ciemnym i brązowym, zmieniając jego usta w żywą kościaną ozdobę.

Tak naprawdę całe jego ciało zdobiły tatuaze oraz artystyczne, rytualne blizny. Był przywiązany do deski siedmioma zwojami jedwabnej liny, ale wyglądało na to, że jego wychudzone kończyny nie były w stanie uwolnić się nawet z tak delikatnych pęt.

Płakał, cicho szlochał, co brzmiało jak odgłosy wydawane przez potwornie cierpiące zwierzę, a nie człowieka.

– Jezu – powiedziałem, odwracając wzrok.

– Jestem z tego dumna – odezwała się Mab lodowatym głosem. – Biały Chrystus z pewnością nie cierpiał tak długo ani straszliwie jak ten zdrajca. Trzy dni na drzewie. To ledwie preludium. Jeśli chodzi o zadawanie bólu, Rzymianie byli amatorami.

Słudzy położyli deskę na kamiennym stole, umieszczając Slate'a na samym jego środku. Potem uklonili się Mab i wycofali w milczeniu. Przez chwilę słyhać było tylko delikatne podmuchy zimnego wiatru oraz szlochanie Slate'a.

– Przez jakiś czas doprowadzałam go na skraj szaleństwa torturami, i to mi wystarczało. Potem postanowiłam sprawdzić, jak daleko poza tę granicę może dotrzeć śmiertelnik. – Jej oczy wesoło zamigotały w cieniu. – Szkoda,

że tak niewiele z niego zostało. A jednak jest Rycerzem Zimy, młody magu. Nosicielem mojej mocy pośród śmiertelników i towarzyszem Królowej Zimy. Zdradził mnie. Zobacz, do czego go to doprowadziło.

Istota, która kiedyś była Lloydem Slate'em, wydawała ciche, bezradne odgłosy.

Zadrżałem ze strachu.

Mroczny kształt się zbliżył, a spod fałd materiału wysunęła się blada dłoń. Coś zamigotało lodowato w dziwnym świetle i upadło na gęstą trawę pod moimi stopami. Pochyliłem się i znalazłem wiekowy nóż z prostym ostrzem w kształcie liścia i drewnianą rękojeścią owiniętą sznurkiem i skórą. Chyba wykonano go z brązu. Obusieczne ostrze złowieszczo lśniło, a ostry czubek z jakiegoś powodu sprawiał wrażenie wygłodniałego.

Energia wypełniła niewielkie ostrze, dzika i nieskrępowana moc, która kpiła z ograniczeń i gardziła zakazami. Nie była zła sama w sobie, ale głodna i przeniknięta pragnieniem uczestnictwa w cyklu życia i śmierci. Tęskniła za rozlewem krwi.

– Póki Lloyd Slate żyje i oddycha, jest moim Rycerzem – odezwała się Mab. – Weź sztylet Medei, magu. Przelej jego krew.

Stałem z nożem w dłoni i patrzyłem na Lloyd Slate'a. Kiedy ostatnio słyszałem jego głos, błagał mnie, żebym go zabił. Teraz zapewne nie byłby do tego zdolny.

– Jeśli chcesz zostać moim Rycerzem, oto pierwsza śmierć, której od ciebie żądam – rzekła Mab niemal delikatnym głosem. Stała naprzeciwko mnie po drugiej stronie Kamiennego Stołu. – Odeślij jego moc z powrotem do mnie. A ja przekażę ją tobie.

Stałem nieruchomo na zimnym wietrze.

Wiedziałem, że to, co za chwilę zrobię, określi przebieg całego mojego życia.

– Znasz tego człowieka – ciągnęła Mab łagodnie. – Widziałeś jego ofiary. Był mordercą. Gwałcicielem. Złodziejem. Potworem w ludzkim ciele. Z pewnością zasłużył na śmierć.

– Nie mnie to oceniać – wyszeptałem. To prawda. Kusiło mnie, żeby tak to sobie uzasadnić – tylko na chwilę, dopóki tego nie zrobię. Mogłem sobie

wmówić, że jestem prawowitym katem.

Ale nim nie byłem.

Mogłem sobie powiedzieć, że kończę jego mękę. Że w akcie współczucia przerywam to ohydne nieszczęście. W tym celu muszę przelać krew, ale zrobię to szybko i gładko. Żadna istota nie powinna cierpieć tak bardzo jak Lloyd Slate. Mogłem sprzedać sobie samemu tę historię.

Ale tego nie zrobiłem.

Szukałem mocy. Może ze szlachetnych pobudek. Ale nie zamierzałem okłamywać siebie ani nikogo innego. Gdybym go zabił, odebrałbym życie, które nie należy do mnie. Rozmyślnie popełniłbym zabójstwo.

Powiedziałem sobie, że to najmniejsze zło. Inne drogi, którymi mogłem pójść, zmieniłyby mnie w potwora. Dzięki Lloydowi Slate'owi wiedziałem, że chociaż Mab twierdzi inaczej, nie w pełni panuje nad swoim Rycerzem. Slate oparł się jej mocy i wpływowi.

„Tylko popatrz, do czego to go doprowadziło”, wyszeptał cichy głos w mojej głowie.

Księżyc w pełni wyłonił się zza chmur i skąpał całą Dolinę Kamiennego Stołu w wyraźnym zimnym blasku. Runy na stole i menhirach zapłonęły migoczącym lodowatym światłem.

– Magu – szepnęła Mab przywłaszczonym głosem, który odezwał się prosto do mojego ucha. – Nadszedł czas.

Moje serce zaczęło walić jak młotem i ogarnęły mnie mdłości.

– Harry Blackstonie Copperfieldzie Dresdenie – odezwała się Mab, niemal z uwielbieniem. – Wybieraj.

Wpatrywałem się w skatowanego człowieka. Bez trudu potrafiłem sobie wyobrazić własną zmasakrowaną twarz ślepo spoglądającą z powierzchni stołu. Zbliżyłem się o krok. Potem kolejny. Po chwili stanąłem nad zdruzgotaną sylwetką.

Gdyby to była walka, nie zastanawiałbym się ani chwili. Ale ten człowiek nie stanowił dla mnie żadnego zagrożenia. Już nikomu nie zagrażał. Nie miałem prawa odebrać mu życia, a gdybym twierdził inaczej, przemawiałaby przeze mnie przytłaczająca, nihilistyczna arogancja. Gdybym zabił Slate'a, kiedy nadeszłaby moja kolej? Możliwe, że patrzyłem na siebie za kilka miesięcy albo lat.

Nie mogłem tego zrobić, tak jak nie mogłem poderżnąć sobie gardła.

Poczułem, że moja ręka opada i nóż staje się zbyt ciężki, bym mógł trzymać go przed sobą.

Mab nagle stanęła naprzeciwko mnie, po drugiej stronie Kamiennego Stołu. Wykonała prosty ruch prawą ręką, a wtedy mgła nad stołem zgęstniała i zawirowała, płonąc barwnym światłem. Obraz przed moimi oczami na chwilę się rozmazał. Potem znów stał się ostry.

W kącie surowej kamiennej komnaty kucała mała dziewczynka. Obok niej leżała rozrzucona słoma, a także niezbyt czysty wełniany koc. Miała ciemne włosy, które upięła z obu stron, ale jedna z różowych plastikowych spinek najwyraźniej się zgubiła albo została skradziona, więc pozostał tylko jeden kucyk. Twarz miała czerwoną od płaczu. Na białej koszulce ozdobionej żółtymi kwiatami i rysunkowym trzmiem odznaczały się plamy brudu i czegoś gorszego. Skuliła się, jakby miała nadzieję, że ten, kto po nią przyjdzie, jej nie zauważy.

Z jej brązowych oczu dało się wyczytać nieme przerażenie. Dostrzegałem w nich coś znajomego. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że

przypominają mi moje odbicie w lustrze. Dojrzałem także inne cechy wyglądu, które w pełni rozkwitną dopiero podczas dorastania – podbródek i linię szczęki identyczne jak u mnie i Thomasa, usta jak u matki, proste, lśniące czarne włosy Susan. Dłonie i stopy sprawiały wrażenie nieco za dużych, niczym łapy szczenięcia.

Usłyszałem daleki i niewyraźny okrzyk wampira z Czerwonego Dworu w jego prawdziwej formie, a dziewczynka wzdrygnęła się i zaczęła płakać, drżąc na całym ciele z przerażenia.

Maggie.

Przypomniałem sobie, jak Bianca i jej słudzy trzymali mnie w niewoli.

Przypomniałem sobie, co mi robili.

Ale wyglądało na to, że nie skrzywdzili mojego dziecka – na razie.

– Tak – odezwała się Mab zimnym głosem wyzutym z emocji. Obraz zaczął powoli się rozwiewać. – To prawdziwa wizja twojego dziecka w tej chwili. Daję ci swoje słowo. Żadnych sztuczek. Żadnych oszustw. To rzeczywistość.

Popatrzyłem przez przejrzysty obraz na Mab i swoją matkę chrzestną. Lea miała poważną twarz. Oczy Mab zwięzły się do lśniących zielonych szparek pod kapturem peleryny.

Przez chwilę przed nimi stałem. Lodowaty wiatr chłostał szczyt wzgórza, powiewając pelerynami obu sidhe. Wpatrywałem się w ich stare oczy pełne wiedzy o mrocznych i niegodziwych sprawach. Wiedziałem, że ani dziecko w wizji, ani mężczyzna na stole nic dla nich nie znaczą. Wiedziałem, że gdybym przyjął warunki Mab, zapewne sam skończyłbym na tym blacie.

Oczywiście właśnie dlatego Mab pokazała mi Maggie: żeby mną manipulować.

Nie. Zrobiła coś innego. Pokazała mi córkę, żebym miał pełną jasność, jakiego wyboru muszę dokonać. Z pewnością mogło to wpłynąć na moją decyzję, ale czyż nie powinniśmy znać nawet najgorszej prawdy?

Nie jestem pewien, czy można kims manipulować za pomocą uczciwości i prawdy.

To chyba nazywa się oświeceniem.

Kiedy patrzyłem na rozwiewający się obraz mojego dziecka, strach

wyparował.

Jeśli skończę jak Slate, jeśli właśnie taką cenę będę musiał zapłacić za bezpieczeństwo swojej córki, to trudno.

Jeśli do końca życia będę się zmagał z wyrzutami sumienia, ponieważ ze względu na Maggie musiałem podjąć trudną decyzję, to trudno.

A jeśli będzie mnie czekała potworna, długotrwała śmierć, aby moja córka otrzymała szansę na przeżycie...

Trudno.

Mocniej zacisnąłem dłoń na ohydny starożytnym nożu z brązu.

Delikatnie położyłem dłoń na czole Lloyda Slate'a, żeby go przytrzymać.

A potem poderżnąłem mu gardło.

To była szybka i czysta śmierć, a jednak skutek był równie ostateczny, jakbym porąbał go toporem. Śmierć zrównuje wszystkich. Nieważne, jak dotrzesz do celu. Liczy się tylko to, kiedy to nastąpi.

I z jakiego powodu.

Nie próbował walczyć. Odetchnął, co brzmiało jak westchnienie ulgi, i obrócił głowę na bok, jakby zasypiał. Nie wyglądało to ładnie, ale nie przypominało sceny z krwawego horroru. Podobny bałagan powstaje podczas przygotowywania steków w kuchni. Większość krwi spłynęła do wyłobień na blacie, gdzie upodobniła się do rtęci i szybko uciekła rynienkami do liter wyrzeźbionych na krawędziach oraz nogach stołu. Pod wpływem krwi litery zamigotały światłem podobnym do tego, które nas otaczało. Był to straszliwy i zarazem piękny widok. Krew pulsowała mocą; litery, kamień i powietrze drżały od jej cichej potęgi.

Wyczułem za sobą obie sidhe. Patrzyły spokojnie i drapieźnie na śmierć Rycerza, który zdradził swoje królowe. Domyśliłem się, kiedy było po wszystkim. Obie cicho westchnęły z... uznaniem. Nie potrafiłem tego inaczej nazwać. Rozumiały wagę tej śmierci, chociaż nie czuły żadnej empatii wobec ofiary. Życie wyciekło ze zdruzgotanego ciała na Kamienny Stół, a one traktowały mój czyn z szacunkiem, a nawet czcią.

Stałem w miejscu. Krew skapywała z noża na ziemię pod moimi stopami. Zadrżałem pod wpływem zimna i popatrzyłem na szczątki człowieka, którego zabiłem, zastanawiając się, co powinienem teraz czuć. Smutek?

Niezupełnie. Slate był sukinsynem pierwszej wody i chętnie zabiłbym go w walce, gdybym miał taką okazję. Wyrzuty sumienia? Na razie nie. Wyświadczyłem mu przysługę. Nie było dla niego żadnego ratunku. Radość? Nie. To też nie to. Satysfakcję? Nieznaczoną, ale tylko dlatego, że było już po wszystkim, dokonano się, kości zostały rzucone.

Co naprawdę czułem? Było mi zimno.

Po minucie albo godzinie Leanansidhe uniosła dłoń i pstryknęła palcami. Słudzy odziani w peleryny bezgłośnie wyłonili się z mgły i zabrali to, co zostało z Lloyda Slate'a. Podnieśli go w milczeniu i zniknęli.

– Proszę bardzo – odezwałem się do Mab. – Wykonałem zadanie. Teraz ty dotrzyмай warunków umowy.

– Nie, dziecko – odrzekła Mab ustami Leanansidhe. – Twoja praca dopiero się zaczęła. Ale nie obawiaj się. Jestem Mab. Prędzej gwiazdy spadną z nieba, niż ja nie dotrzymam danego słowa. – Lekko przekrzywiła głowę w stronę mojej matki chrzestnej. – Przydzielam ci doradczynię, która pomoże ci podczas twego ostatniego zadania, Rycerzu. Moja służąca to druga po mnie najpotężniejsza istota w całej Zimie.

Z ust mojej matki chrzestnej wydobył się jej cieplejszy i bardziej ospały głos.

– Moja królowo, jak dużej swobody działania mi udzielasz?

Miałem wrażenie, że światło rozbiły się na zębach Mab.

– Masz pełną swobodę.

Lea uśmiechnęła się szeroko i groźnie, po czym skłoniła głowę i górną część ciała przed Królową Zimy.

– A teraz, mój Rycerzu – odezwała się Mab, zwracając się w moją stronę. – Przywrócimy siłę twojemu okaleczonemu ciału. A ja uczynię cię swoją własnością.

Z trudem przełknąłem ślinę.

Mab lekceważąco machnęła dłonią, a Leanansidhe się jej ukłoniła.

– Już nie jestem tutaj potrzebna, moje dziecko – wyszeptała. – Będę gotowa ci towarzyszyć, gdy tylko mnie wezwiesz.

Miałem tak zaschnięte gardło, że z trudem mówiłem.

– Potrzebuję rzeczy, które u ciebie zostawiłem. Dostarcz mi je jak

najszybciej.

– Oczywiście – zapewniła. Skłoniła przede mną głowę i cofnęła się o kilka kroków, aż połknęła ją mgła.

Zostałem sam z Królową Mab.

– A więc... – przerwałem milczenie. – Chyba... musimy odprawić jakąś ceremonię.

Mab do mnie podeszła. Nie była potężna ani imponująca. Znacznie ustępowała mi wzrostem. Była smukła. Ale kroczyła z tak doskonałą pewnością siebie, że nie było wątpliwości, kto jest drapieżcą, a kto ofiarą. Lekko się cofnąłem. To była instynktowna reakcja, nad którą nie mogłem zapanować, tak jak nie mogłem powstrzymać drżenia z zimna.

– Trudno nam będzie złożyć przysięgę, skoro nie możesz mówić – odezwałem się słabym i drżącym głosem. – Eee, może podpiszemy jakiś dokument?

Błede dłonie wyslizgnęły się spod ciemnej peleryny i zdjęły kaptur. Potrząsnęła głową, uwalniając blade, jedwabiste loki, bielsze od blasku księżyca i martwego ciała Lloyd Slate'a.

Na chwilę straciłem głos. Uderzyłem gołymi udami o Kamienny Stół i na nim usiadłem.

Mab wciąż szła w moją stronę, krok po chwiejnym kroku. Peleryna zsuwała się z jej ramion, coraz niżej i niżej.

– P-pewnie... – wykrztusiłem, odwracając wzrok. – Pewnie jest ci zimno.

Spomiędzy jej ust przypominających mrożone jagody wydobył się cichy gardłowy śmiech. Głos Mab, naznaczony gniewem, mógł uszkodzić żywe ciało. Głos pełen tłącego się pożądanego... miał inne działanie.

Zimno nagle stało się moim najmniejszym problemem.

Jej usta przywarły do moich i już nawet nie próbowałem się odzywać. To nie była ceremonia, ale rytuał, odwieczny jak zwierzęta i ptaki, ziemia i niebo.

Po tym pocałunku zawiodła mnie pamięć.

Pamiętam jej jasno lśniące ciało nade mną, zimną i miękką kobiecą doskonałość. Nie mam słów, by ją opisać. Nieludzkie piękno. Elfią grację.

Zwierzęcą zmysłowość. A kiedy jej ciało znalazło się na moim, zmieszały się nasze oddechy, lodowata słodycz z ludzką niedoskonałością. Czułem rytm jej sylwetki, jej oddech, jej serce. Czułem, jak kamienny blat stołu, wiekowe wzgórze i cała dolina pulsują w rytmie Mab. Obłoki pędziły po niebie, a im szybciej Mab się poruszała, tym jaśniej płonęła, aż w końcu uświadomiłem sobie, że niezwykle światło, które otaczało nas tego wieczoru, było tylko bladym, stłumionym odbiciem jej cudowności, osłoniętej przed śmiertelnym umysłem, który mogła unicestwić.

Nie osłaniała jej, gdy jej oddech zaczął przyśpieszać. Była tak czysta, że mnie paliła.

To, co robiliśmy, nie było seksem, chociaż mogło tak wyglądać. Nie da się uprawiać seksu z burzą, trzęsieniem ziemi, wściekłą zimową wichurą. Nie można się kochać z górą, jeziorem lodu, mrozącym wiatrem.

Przez kilka chwil dostrzegałem szerokość i głębię mocy Mab, a przez ułamek sekundy mignęły mi także jej zamiary, gdy nasze splecione ciała miały się ku spełnieniu. Krzychałem. Od dłuższego czasu.

Potem krzyk Mab dołączył do mojego i nasze głosy się złączyły. Jej paznokcie wbiły się w moją pierś, jak odłamki lodu wsuwające się pod skórę. Zobaczyłem, jak jej ciało wygina się w łuk pod wpływem rozkoszy, a potem zielone kocie oczy otworzyły się i wwierciły w...

Otworzyła usta i syknęła:

– MÓJ.

Pod wpływem tej absolutnej prawdy moje ciało zawibrowało jak szarpnięta struna gitary i targnął nim krótki, gwałtowny skurcz.

Jej dłonie ześlizgnęły się po moich żebrach i nagle na nowo poczułem ogień strzaskanych kości, póki lodowate dłonie znów się nie zacisnęły, gdy Mab powtórzyła:

– MÓJ.

Moje ciało gwałtownie wygięło się w łuk, a każdy mięsień próbował oderwać się od szkieletu.

Mab syknęła pożądliwie, obejmując mnie w pasie, zakrywając dłońmi odrętwiałe miejsce, w którym mój kręgosłup zapewne został złamany. Wrzeszczałem i wiłem się, nie panując nad swoim ciałem.

Kocie oczy Mab złowiły moje spojrzenie i skupiły moją uwagę na swoim mroźnym pięknie, podczas gdy straszliwe, słodkie zimno wypłynęło z jej opuszków, a jej usta wyszeptały słowo, które było jak aksamitna pieszczota:

– ...mój...

– Jeszcze raz! – krzyknął głos, który ledwo rozpoznawałem.

Coś zimnego i metalicznego przywarło do mojej piersi.

– Uwaga! – zawołał głos.

Piorun uderzył w moją pierś, bolesna wstęga srebrzystej mocy, która wygięła moje ciało w łuk. Zacząłem wrzeszczeć i zanim opadły moje biodra, wykrzyknąłem: „*Hexus!*”, plując mocą w powietrze.

Ktoś krzyknął, ktoś inny zaklął, a wokół mnie trysnęły iskry, także z żarówki pod sufitem, która najwyraźniej uległa przeładowaniu i rozleciała się w drobny mak.

W pomieszczeniu przez kilka sekund było ciemno i cicho.

– S-straciliśmy go? – spytał spokojnie starszy mężczyzna. Forthill.

– O Boże – odezwała się Molly drżącym głosem. – H-Harry?

– Nic mi nie jest – odrzekłem. Bolało mnie gardło. – Co ze mną wyprawiacie, do diabła?

– T-twoje serce stanęło... – usłyszałem trzeci głos, ten znajomy.

Dotknąłem swojej klatki piersiowej i niczego tam nie znalazłem, podobnie jak wokół szyi. Moje palce zaczęły obmacywać łóżko i wezglowie, gdzie w końcu natrafiły na naszyjnik z rubinem wciąż przytwierdzonym za pomocą brzydkiego kleksa kleju. Chwyciłem łańcuszek i przesłałem nieco siły woli do naszyjnika, a wtedy zimne niebieskie światło wypełniło pokój.

– ...zatem zrobiłem to, co zrobiłby każdy porządny pracownik zakładu pogrzebowego – ciągnął Butters. – Poraziłem cię prądem i spróbowałem reanimować. – Podniósł dwie elektrody, na których najwidoczniej stopiły się przewody, ponieważ teraz nie były do niczego przytwierdzone. Butters był drobnym, żylastym mężczyzną ubranym w szpitalny fartuch, miał czarną czuprynę, wąskie ramiona i chude, niespokojne ciało. Uniósł dłonie i pokazał, w jaki sposób użył elektrod. Potem odezwał się głupawym głosem, który zapewne miał zabrzmieć niesamowicie: – On żyje. Żyyyyjeee. – Po chwili dodał: – Nie ma za co.

– Butters – westchnąłem. – Kto cię wezwał do... – Urwałem i po chwili dokończyłem: – Molly. Nieważne.

– Harry – odezwała się. – Nie byliśmy pewni, jak poważnie jesteś ranny, a skoro nic nie czułeś, ty także nie mogłeś nam tego powiedzieć. Pomyślałam, że przydałby nam się prawdziwy lekarz, ale wiedziałam, że ufasz tylko Buttersowi, więc wezwałam właśnie jego...

– Hej! – oburzył się Butters.

Zsunąłem opaskę z głowy i z irytacją szarpnąłem pasami na nogach.

– Chwileczkę, tygrysie! – zawołał Butters. Drobny lekarz sądowy rzucił się na moje nogi. – Wstrzymaj się, wielkoludzie! Spokojnie, spokojnie!

Forthill i Molly mieli dobre zamiary. Przyłączyli się i we trójkę docisnęli mnie do noszy.

Zakląłem pod nosem i sflaczałem. Przez chwilę nie stawiałem oporu, dopóki nie uznałem, że mnie wysłuchają.

– Nie mamy na to czasu – powiedziałem. – Odepnijcie mnie.

– Dresden, możliwe, że masz złamany kręgosłup – odrzekł Butters. – Ściągnięty nerw, połamane kości, uszkodzone organy w podbrzuszu. Na litość boską, człowieku, co ci strzeliło do głowy, że nie pojechałeś do szpitala?

– Może nie chciałem wystawiać się na odstrzał – odparłem. – Nic mi nie jest. Czuję się lepiej.

– Dobry Boże, człowieku! – wykrztusił Forthill. – Bądź rozsądny. Jeszcze trzy minuty temu twoje serce nie biło.

– Molly – odezwał się stanowczo. – Rozepnij pasy. Natychmiast.

Usłyszałem, jak pociąga nosem. Ale po chwili podniosła się i podeszła do miejsca, z którego mogła zobaczyć moje oczy.

– Eee, Harry. Czy wciąż jesteś... no wiesz. Sobą?

Tak mi zaimponowała, że przez chwilę nic nie mówiłem, tylko mrugałem. Na intuicji nowicjuszki można było polegać.

– Jestem sobą – odrzekłem, patrząc jej w oczy. To powinno wystarczyć. Gdyby ktoś inny zasiadł za kierownicą mojego samochodu, spojrzenie w duszę wyjawiloby prawdę. – Przynajmniej na razie.

Molly przygryzła wargę.

– Dobrze. Dobrze, odepnijcie go.

Butters wstał z moich nóg, krzywiąc się.

– Chwileczkę. Po prostu to... To wszystko toczy się trochę za szybko jak dla mnie.

Drzwi za jego plecami otworzyły się i wtedy krępy mężczyzna ubrany w uliczne ciuchy uniósł pistolet i wpakował dwa pociski w plecy Buttersa z odległości metra. Huk wystrzałów oszołomił mnie i ogłuszył.

Butters przewrócił się jak zarżnięta krowa.

Zanim padł na podłogę, strzelec już zlustrował pozostałych. Wiedziałem, kogo szuka, gdy zatrzymał wzrok na mnie.

Nic nie mówił, nie przechwalał się, nie zwlekał. Zawodowiec. Nie brakuje ich w Chicago. Wycelował mi w głowę, a ja leżałem z nogami przypiętymi do noszy i nie mogłem się poruszyć. Kiedy uniosłem lewy nadgarstek, zauważyłem, że zniknęła moja bransoletka z tarcz. Oczywiście. Pewnie mi ją zdjęli, żeby nie zakłócała pracy defibrylatora, podobnie jak metalowy naszyjnik i pierścienie.

Chcieli mi pomóc.

To wyraźnie nie był mój dzień.

Byłem przywiązany, ale miałem wolne ręce. Ułożyłem palce prawej dłoni w mistyczny symbol ataku, tak że przypominały wycelowany pistolet.

– *Arctis!* – rzuciłem.

Zakłęcie pochłonęło całe ciepło otaczające broń i zaczerpnęło wodę z powietrza, błyskawicznie tworząc grubą lodową skorupę wokół kurka. W odpowiedzi na czar zamachowiec drgnął i pociągnął za spust.

Lód przytrzymał kurek i nie pozwolił mu opaść.

Strzelec zamrugnął i jeszcze kilkakrotnie spróbował pociągnąć za spust, ale bezskutecznie. Forthill uderzył go w kolana. Obaj mężczyźni upadli, a pistolet wysunął się ze zmarzniętych palców napastnika i zawirował na podłodze. Uderzył o ścianę, która skruszyła lód wokół kurka, po czym z hukiem wystrzelił, nie robiąc nikomu krzywdy.

Strzelec kopnął Forthilla w twarz, a stary ksiądz przewrócił się na plecy z jękiem bólu. Molly wściekle rzuciła się na napastnika, powaliła go i zaczęła okładać pięściami z dziką brutalnością i zerową techniką. Mężczyzna trafił ją łokciem w szyję i odrzucił do tyłu, a następnie wstał, przeszukując wzrokiem podłogę, aż w końcu zauważył swoją broń. Ruszył w jej stronę.

Zgasilem światło amuletu. Zamachowiec potknął się i upadł w niespodziewanych ciemnościach. Usłyszałem, że zмага się z oszołomionym Forthillem.

Potem coś błysnęło i zobaczyłem, jak jego ciało wygina się z bólu. Znow zrobiło się ciemno i rozległ się odgłos towarzyszący upadaniu na podłogę czegoś ciężkiego. Kilka osób głośno dyszało.

Dotknąłem amuletu i znow oświetliłem pomieszczenie.

Poblady Forthill siedział pod ścianą i trzymał się za szczękę. Molly kuciała z uniesioną dłonią, jakby właśnie miała zrobić użytek ze swoich magicznych zdolności. Gdyby zachowała jasność umysłu, czyniłaby to, gdy tylko padły

pierwsze strzały. Zamachowiec leżał na boku i zaczynał się poruszać.

– Uwaga – wychrypiał Butters i dotknął piersi mężczyzny końcami przewodów, które trzymał w dłoni.

Przewody łączyły się z defibrylatorem. Kiedy oddzieliły się od elektrod, na ich końcówkach pozostało kilka włókien nagiej miedzi. Prąd zadziałał tak, jak powinien, i napastnik przez chwilę miotał się z bólu, po czym znieruchomiał.

– Palant – wychrypiał Butters. Położył sobie dłoń na krzyżu. – Au. Au, au, au, AU!

– Butters! – zaskrzeczała Molly i go objęła.

– Auć! – stęknął Butters. – Au! – Ale wyglądał na zadowolonego z jej reakcji.

– Nowicjuszek, nie męcz go, dopóki się nie dowiemy, co z nim jest – powiedziałem. – Cholera. – Zacząłem szarpać pasy i zdejmować je z górnej części ciała, żeby móc usiąść i zabrać się do uwalniania nóg. – Forthill? Jesteś cały?

Ojciec Forthill powiedział coś niezrozumiałego i stęknął z bólu. Potem dźwignął się na nogi i zaczął mi pomagać ze sprzączkami. Szczękę miał fioletową i spuchniętą z jednej strony. Dostał piekielnie mocny cios, ale nie stracił przytomności. Twardy był z niego staruszek, chociaż sprawiał tak łagodne wrażenie.

Wstałem z noszy i podniosłem pistolet.

– Nic mi nie jest – rzekł Butters. – Chyba. – Nagle wytrzeszczył oczy, jakby ogarnięty paniką. – O Boże, żeby tylko nic mi się nie stało! – Zaczął szarpać swoją koszulę. – Ten szaleniec mnie postrzelił!

Zdjął fartuch i obrócił się, pokazując Molly plecy. Miał na sobie podkoszulek.

A na niego włożył kamizelkę z kevlaru. Była to lekka kamizelka przeznaczona do noszenia pod ubraniem i mogła ochronić tylko przed strzałem z pistoletu, ale zamachowiec strzelał dziewięćmilimetroowymi pociskami. Wpakował obie kulki w dolną część pleców Buttersa, więc kamizelka spełniła swoje zadanie. Spłaszczony pocisk wciąż w niej tkwił.

– Dostałem, prawda? – wyjąkał Butters. – Jestem w szoku. To dlatego nic

nie czuję. Zgadza się? Dostałem w wątrobę? Czy krew jest czarna? Zadzwońcie po karetkę.

– Butters – odezwałem się. – Popatrz na mnie.

Tak zrobił, szeroko otwierając oczy.

– Polka nigdy nie umrze – powiedziałem.

Zamrugał, a potem pokiwał głową i zmusił się do spowolnienia oddechu.

– Nic mi nie jest?

– Magiczna bielizna zadziałała – odrzekłem. – Jesteś cały.

– Więc dlaczego tak bardzo bolą mnie plecy?

– Ktoś właśnie dwukrotnie przyłożył ci w nie młotem poruszającym się z prędkością trzystu sześćdziesięciu metrów na sekundę – wyjaśniłem.

– Aha. – Obejrzał się na Molly, która skinęła głową i uśmiechnęła się do niego pocieszająco. Potem zadrżał i z ulgą zamknął oczy. – Chyba z moim temperamentem nie nadają się do takich akcji.

– Właśnie. Od kiedy nosisz kamizelkę? – spytałem.

Butters skinął głową w stronę Molly.

– Włożyłem ją jakieś dziesięć sekund po tym, jak ona do mnie zadzwoniła i powiedziała, że potrzebujesz pomocy – odrzekł. Wyjął z kieszeni małe pudełko i je otworzył. – Widzisz, mam też kredę, wodę święconą i czosnek.

Uśmiechnąłem się do niego, ale zrobiło mi się trochę niedobrze. Zamachowiec postrzelił Buttersa tylko dlatego, że ten blokował mu widok do wnętrza pokoju. Gdyby to on był celem, po dwóch strzałach w plecy nastąpiłby trzeci w tył głowy. Oczywiście, gdyby Butters tam nie stał, moja głowa miałaby równie małe szanse.

Wszyscy jesteśmy tak cholernie delikatni.

Za drzwiami rozległy się kroki, a ja uniosłem broń, chwytając ją obiema rękami i mocno stając na nogach. Właśnie ustawiałem w jednej linii małe zielone kropki celownika, gdy do pomieszczenia wszedł Sania z tacą pełną kanapek. Zatrzymał się gwałtownie, uniósł brwi, a potem szeroko się uśmiechnął.

– Dresden! Jesteś cały. – Przez chwilę rozglądał się po pomieszczeniu ze zmarszczonym czołem. – Coś przegapiłem? Kto to jest?

– Chyba nic nie jest złamane – pocieszył Butters Forthilla. – Ale dla

pewności lepiej zrobić prześwietlenie. Pęknięcie szczęki to nie przelewki.

Stary ksiądz pokiwał głową ze swojego krzesła w kościelnej kwaterze mieszkalnej, a następnie zapisał coś w małym notatniku. Pokazał kartkę Buttersowi.

Niski mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Nie ma za co, ojcze.

Molly zmarszczyła czoło.

– Powinniśmy go zabrać na ostry dyżur?

Forthill pokręcił głową i zapisał w notatniku: *Najpierw muszę wam coś powiedzieć.*

Odebrałem złoczyńcom już dwie spluwy: czterdziestkę ochroniarza i pistolet kalibru dziewięć milimetrów należący do zamachowca. Oglądałem je obie na stole, zapoznając się z ich działaniem i zastanawiając się, czy nie powinienem spiłować numerów seryjnych. Myszek siedział obok mnie, opierając się bokiem o moją nogę i obserwując poważnymi brązowymi ślepiami, jak dotykam broni.

– Dowiedział się ojciec czegoś? – spytałem Forthilla.

W pewnym sensie, odpisał. Czerwony Dwór przerzuca duże siły przez Amerykę Południową i Środkową. Przywódcy wykorzystują ludzkich służących do kontaktów ze śmiertelnikami. Wiele takich osób widywano na lotniskach w ciągu ostatnich trzech dni. Wszyscy zmierzają do Meksyku. Czy nazwa Chichén Itzá coś ci mówi?

Stęknąłem. A więc Donar Vadderung miał sprawdzone informacje.

– Owszem.

Forthill pokiwał głową i pisał dalej.

W tamtej okolicy mieszka pewien ksiądz. Nie może pomóc ci w twojej walce, ale chętnie zapewni tobie i twoim ludziom schronienie oraz opiekę, a także umożliwi bezpieczny wyjazd, gdy już wykonacie zadanie.

– Planowanie triumfalnego wyjazdu, skoro nawet nie wiemy, czy uda nam się tam dostać, to proszenie się o kłopoty – stwierdziłem. – Mogę przetransportować nas w tamte okolice, ale nie do samych ruin. Muszę dowiedzieć się jak najwięcej o środkach bezpieczeństwa, których użyje Czerwony Dwór.

Forthill przez chwilę marszczył czoło. Potem napisał: *Zapytam go. Ale ktoś*

będzie musiał mówić w moim imieniu.

Pokiwałem głową.

– Molly, ty dołączysz do ojca. Prześpij się, kiedy tylko będziesz miała okazję. Możesz nie mieć kolejnej szansy przed wyjazdem.

Spochnurniała, ale pokiwała głową, zamiast próbować mnie przekonywać. To ciekawe, że bliskość gwałtownej śmierci potrafi nauczyć rozsądku nawet najbardziej upartego i niezależnego ucznia.

Forthill uniósł rękę. Potem napisał: *Przede wszystkim muszę wiedzieć, jak to możliwe, że stanąłeś na nogi. Dr Butters powiedział, że jesteś zbyt poważnie ranny, by wstać z łóżka.*

– Magia – odrzekłem spokojnie, jakby to tłumaczyło wszystko.

Forthill przez chwilę mi się przyglądał. Potem napisał: *Jestem zbyt obolały, żeby się z tobą kłócić. Zadzwoń, do kogo trzeba.*

– Dziękuję – odrzekłem cicho.

Pokiwał głową i napisał: *Bóg z tobą.*

– Dziękuję – powtórzyłem.

– A co ze mną? – spytał Butters. W jego głosie przerażenie mieszało się z podnieceniem.

– Miejmy nadzieję, że już nie będzie nam potrzebna twoja pomoc – odparłem. – Ale byłoby miło, gdybyś pozostawał do naszej dyspozycji. Tak na wszelki wypadek.

– Jasne – odrzekł Butters, kiwając głową. – Coś jeszcze?

Zacisnąłem dłoń i powstrzymałem się przed odpowiedzią, że najlepiej zrobi, jeśli schowa się pod łóżkiem. Sam doskonale o tym wiedział. Był wystraszony jak królik w lesie pełnym niedźwiedzi, ale chciał pomóc.

– Ojciec Forthill chyba ma samochód. Zgadza się, ojcze?

Zaczął coś pisać, ale to skreślił i po prostu uniósł wyprostowany kciuk.

– Zostań z nimi – poleciłem. Włożyłem magazynki do obu pistoletów, pewny, że zapoznałem się z nimi na tyle dobrze, że na pewno wystrzelą, gdy pociągnę za spust. – Kiedy Forthill skończy, zabierz go na ostry dyżur.

– Ostry dyżur – powtórzył Butters. – Załatwione.

Forthill zmarszczył czoło i napisał: *Jesteś pewien, że nie powinniśmy oddać napastnika w ręce policji?*

– Nic w życiu nie jest pewne, ojciec – odrzekłem. Wsunąłem pistolety do kieszeni płaszcza. – Ale jeśli policja się w to zaangażuje, zaczną zadawać mnóstwo pytań i będą aż do skutku próbowali rozwikłać tę sprawę. Nie mam tyle czasu.

Nie uważasz, że zamachowiec zawiadomi władze?

– I co im powie? – spytałem. – Że został porwany na ulicy przez księdza z kościoła Świętej Marii? Że go pobiliśmy i odebraliśmy mu nielegalną broń? – Pokręciłem głową. – On tak samo jak my nie chce w to angażować glin. Dla niego to była tylko praca. Chętnie zawrze z nami układ, jeśli pozwolimy mu odejść.

Mamy puścić mordercę wolno?

– Żyjemy w niedoskonałym świecie, ojciec – odparłem. – Z drugiej strony nie wynajmuje się zawodowych zabójców, żeby likwidować miłe staruszki i szczeniaczki. Gwarantuję, że większość osób, z którymi ten facet ma umówione spotkania, to przestępcy – przeważnie tacy, którzy zamierzają zeznawać przeciwko swojej organizacji. Wcześniej czy później któremuś z nich się poszczęści i będzie po zabójcy.

Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, napisał Forthill.

– Otóż to.

Pokręcił głową i skrzywił się, ponieważ ruch sprawił mu ból. *Trudno będzie pomóc takiemu człowiekowi.*

Parsknąłem.

– To bardzo szlachetne z ojca strony, ale tacy ludzie nie chcą pomocy. Nie widzą takiej potrzeby. – Wzruszyłem ramionami. – Niektórzy po prostu lubią zabijać.

Mocno zmarszczył czoło, ale nie napisał żadnej odpowiedzi. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Sania je otworzył i zajrzał do środka.

– Dresden – odezwał się Rycerz. – Ocknął się.

Wstałem, a Myszek razem ze mną.

– Świetnie. Może niech ojciec zacznie dzwonić.

Forthill znów pokazał wyprostowany kciuk, żeby nie musieć kiwać głową. Wyszedłem z pomieszczenia z Myszkim deptającym mi po piętach i razem z Sanią udałem się do schowka na narzędzia, żeby porozmawiać z naszym...

gościem, tak jakby.

Masywny zamachowiec leżał na noszach, przywiązany pasami i dodatkowo skrępowany kokonem z taśmy klejącej.

– Postaw go – poleciłem.

Sania to zrobił, swobodnie dźwigając mężczyznę razem z noszami, i oparł go o ścianę pod niewielkim kątem.

Zamachowiec patrzył na mnie ze spokojem. Wziąłem portfel leżący na niewielkim rozkładanym stoliku do gry w karty i zajrzałem do środka.

– Steven Douglas – odczytałem z prawa jazdy. – To ty?

– Stevie D – odpowiedział.

– Słyszałem o tobie. Dwa lata temu sprzątnąłeś Torelliego.

Uśmiechnął się lekko.

– Nie znam żadnego Torelliego.

– Tak też myślałem.

– Jak on się czuje? – spytał Stevie D.

– Kto?

– Ten mały gość.

– W porządku – odrzekłem. – Miał na sobie kamizelkę.

Stevie D pokiwał głową.

– To dobrze.

Uniosłem brew.

– Zawodowy zabójca cieszy się, że kogoś nie zabił?

– Nic do niego nie mam. Nie za niego mi zapłacono. Nie chcę iść do paki za niewłaściwego gościa. To nieprofesjonalne. Ale z tego, co o tobie słyszałem, wynikało, że nie powinienem zbyt długo czekać na okazję do strzału, więc musiałem się go pozbyć.

– Stevie, to może się skończyć na kilka sposobów – odrzekłem. – Najprościej będzie, jeśli powiesz mi, kto cię wynajął, a ja puszcze cię wolno.

Zmrużył oczy.

– Żadnych glin?

Wskazałem jego skrępowaną sylwetkę jedną ręką.

– Czy to wygląda, jakbyśmy chcieli wzywać gliny? Puść farbę, a odejdiesz wolno, kiedy tylko uda nam się zdjąć taśmę.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Nie.

– Nie?

Wykonał gest, który mógł być wzruszeniem ramion.

– Jeśli to dla ciebie zrobię, mogę już nigdy nie znaleźć roboty. Ludzie się denerwują, kiedy zleceniobiorca ujawnia osobiste dane klienta. Muszę myśleć długofalowo.

Pokiwałem głową.

– Potrafię to uszanować. Chcesz dotrzymać umowy i tak dalej.

Cicho parsknął.

– Zatem pozostaje nam druga możliwość. Zadzwońię do Marcone'a. Opowiem mu, co się stało. Spytaam, czy ma ochotę z tobą porozmawiać, Stevie. Na pewno chętnie się dowie, kto zleca zabójstwa na jego terytorium. Jak sądzisz, jaki to będzie miało długofalowy wpływ na twoją wydajność?

Stevie nie wytrzymał nerwowo. Oblizwał usta.

– Eee, a jaka jest trzecia możliwość?

Sania wystąpił naprzód. Uśmiechnął się promiennie do Stevie'ego D, bez trudu podniósł nosze z podłogi i odezwał się grubym głosem z silnym rosyjskim akcentem:

– Złamię te nosze na pół i wsadzę obie połówki do pieca.

Stevie D wyglądał jak człowiek, który nagle sobie uświadamia, że siedzi obok gniazda szerszeni, i rozpaczliwie próbuje nie uciec z wrzaskiem. Ponownie oblizwał usta.

– Połowa moich informatorów twierdzi, że Marcone chce cię załatwić, a ty go nienawidzisz. Druga połowa mówi, że czasami dla niego pracujesz. Zabijasz ludzi, którzy według niego powinni zniknąć.

– Na twoim miejscu nie zwracałbym uwagi na plotki, Stevie – odparłem.

– Jaka jest prawda? – spytał.

– Możesz się dowiedzieć – odrzekłem. – Wystarczy, że nic mi nie powiesz.

Sania odstawił nosze pod ścianę. Stałem przed nimi z wyczekiwaniem.

– Dobrze – rzekł Stevie w końcu. – To była laska.

– Kobieta, co? Kto?

– Nie znam nazwiska. Zapłaciła gotówką.

– Opisz ją.

Stevie pokiwał głową.

– Metr siedemdziesiąt pięć, długie nogi, ciemne oczy. Dosyć umięśniona, ważyła pewnie pod siedemdziesiąt kilo. Długie ciemne włosy. Miała tatuaże na twarzy i szyi.

Serce zamarło mi w piersi.

Zamknąłem wszystkie drzwi i okna w swojej głowie, by powstrzymać wichur, który rozszalał się w moim sercu. Musiałem się skupić. Nie mogłem pozwolić, żeby nagły przyływ emocji zmałował mi umysł.

Wyjąłem z kieszeni portfel. Nosilem w nim zdjęcie Susan od tak dawna, że kiedy je wyciągnąłem, część kolorów przywarła do folii. Pokazałem fotkę zamachowcowi.

Zmrużył oczy, a potem pokiwał głową.

– Tak, to ona.

– Podaj szczegóły – zażądałem cicho.

– Powiedziała, że tutaj będziesz. Zapłaciła dwadzieścia tysięcy z góry, kolejne dwadzieścia złożyła w depozycie, do odbioru po potwierdzeniu wykonania zlecenia.

Myszek wydał cichy, nieprzyjemny odgłos, który prawie zmienił się w skowyt. Siedział, bacznie przypatrując się mojej twarzy.

– Kiedy? – spytałem.

– Wczoraj wieczorem.

Przez chwilę mu się przyglądałem. Potem rzuciłem portfel Stevie’ego na stolik.

– Uwolnij go. Odprowadź do drzwi.

Sania westchnął z rozczarowaniem. Potem wyjął nóż i zaczął przecinać pęta.

Ruszyłem korytarzem w stronę kwater mieszkalnych. Szedłem ze spuszczoną głową, w której wściekle kłębiły się myśli.

Susan wynajęła płatnego zabójcę, żeby mnie załatwić. Dlaczego?

Zatrzymałem się i oparłem o ścianę. Dlaczego miałyby zlecić komuś zabicie mnie? A co jeszcze istotniejsze – dlaczego wynajęła w tym celu zwykłego zamachowca, a nie kogoś, kto miałby większą szansę powodzenia?

Owszem, facet z pistoletem może zabić nawet maga, jeśli go zaskoczy. Ale pistolet wymaga znalezienia się niebezpiecznie blisko celu, a Stevie D zasłynął jako specjalista od broni białej. W takich okolicznościach mag ma więcej czasu na reakcję i pośpieszne użycie obronnej magii, podczas gdy o strzale z karabinu o dużej mocy dowiedziałby się dopiero w chwili, gdy pocisk trafiłby go w pierś. Trudno to nazwać idealnym podejściem.

Jeśli Susan pragnęła mojej śmierci, nie musiała nikogo wynajmować. Wystarczyło osobiste spotkanie pod byle pretekstem. Na pewno nie

spodziewałbym się ataku.

Coś tu nie grało. Mógłbym uznać Stewiego za kłamcę, ale podejrzewałem, że naprawdę wierzy w swoje słowa.

Zatem albo Stevie kłamie, a ja jestem zbyt tępy, żeby to zauważyć, albo mówi prawdę. Jeżeli kłamie, to jest także idiotą, zważywszy na to, w jakie mogę go wpakować tarapaty. Nie uważałem go za idiotę. A jeżeli mówi prawdę, to oznacza...

To oznacza, że albo Susan naprawdę wynajęła kogoś, by mnie zabił, albo ktoś, kto potrafi upodobnić się do Susan, zawarł umowę ze Steviem D. Gdyby Susan miała kogoś wynająć, dlaczego zdecydowałaby się właśnie na tego gościa? Po co płacić komuś, kto ma niewielkie szanse powodzenia? Na coś takiego prędzej wpadliby Esteban i Esmeralda.

Taka wersja wydarzeń znacznie bardziej do mnie przemawiała. Pod wpływem niebieskich i zielonych oczu Esmeraldy Stevie mógł uwierzyć, że wynajął go Wielki Ptak, gdyby tego zapragnęła. Ale skąd mogła wiedzieć, gdzie mnie znaleźć? Czyżby udało im się śledzić Sanię w drodze z mojego mieszkania do kościoła i nie wzbudzić czujności Myszka?

No i gdzie są Susan i Martin, do diabła? Mieli wystarczająco dużo czasu, by do nas dołączyć. Dlaczego więc tego nie zrobili?

Ktoś ze mną pogrywał. Miałem przeczucie, że jeśli szybko nie znajdę odpowiedzi na te pytania, to wszystko obróci się przeciwko mnie w najgorszej możliwej chwili.

No dobrze.

A zatem najwyższa pora poszukać odpowiedzi.

W moich kręgach paranoja ułatwia przetrwanie. Zapewnia zajęcie w wolnym czasie i pozwala obmyślać rozwiązania absurdalnych problemów, które nigdy się nie pojawiają. A kiedy któryś z nich jednak się ziści, czujesz się aż nadto usprawiedliwiony.

Na przykład spędziłem ponad dwie godziny na rozmyślaniu, jak mógłbym namierzyć kogoś w Chicago, gdybym nie dysponował żadnym przedmiotem należącym do tej osoby, który mógłbym wykorzystać jako rekwizyt ogniskujący. Podstawowa magia tropiąca wymaga posiadania próbki pochodzącej od poszukiwanego człowieka. Zazwyczaj są to włosy, krew albo

obcięte paznokcie. Ale założmy, że nie dysponujesz takimi przedmiotami, a jednak chcesz kogoś namierzyć. Jeśli masz próbkę jakiegoś przedmiotu, który należy do danej osoby, na przykład skrawek ubrania czy metkę oderwaną od bielizny, zakłęcie również okaże się skuteczne.

A jeśli jesteś porywczym wariatem, któremu ktoś właśnie spalił dom razem z laboratorium, i mimo tego chcesz kogoś odnaleźć?

Wtedy potrzebujesz wyraźnego zdjęcia. Oraz pomocników. Mnóstwo pomocników. Najlepiej takich, którzy nie domagają się wygórowanej zapłaty.

Niecałe dwie przecznice od kościoła znajdowała się pizzeria. Udaliśmy się tam z Sanią. Ja płaciłem.

– Nie rozumiem, jak to ma nam pomóc – odezwał się Sania, gdy wyszliśmy z niewielkiego lokalu z czterema pudełkami pizzy.

– Przywykłeś do rozwiązywania wszystkich swoich problemów w prosty sposób – odparłem. – Otwierasz drzwi kopniakiem, siekasz na kawałki każdego, kto wygląda na złoczyńcę, ratujesz wszystkich, którzy wyglądają, jakby potrzebowali pomocy. Zgadza się?

– Nie zawsze jest tak łatwo – odrzekł Sania sztywno. – Poza tym czasami używam broni palnej.

– Bardzo postępowo, to ci się chwali – odparłem. – Ale szkopuł w tym, że zawsze działasz bezpośrednio. Wiesz, dokąd zmierzasz, albo ktoś wskazuje ci drogę, a potem musisz tylko wykonać zadanie.

– *Da* – przyznał Sania. – Chyba masz rację.

– Moja praca polega mniej więcej na tym samym. Tylko że nikt nie wskazuje mi drogi.

– Sam musisz odkryć, dokąd się skierować – rzekł Sania.

– Tak.

– I poprosisz o radę cztery duże pizze.

– Zgadza się.

Olbrzym zmarszczył czoło.

– Twoje poczucie humoru trudno przelożyć z angielskiego na język normalnych ludzi.

– Ciekawa uwaga z ust agnostycznego Rycerza Krzyża, który walczy

świętym Mieczem i słucha rozkazów archanioła – odparłem, obficie okraszając swoją wypowiedź rosyjskim akcentem.

Sania jakimś cudem zdołał popatrzeć na mnie z góry, mimo że byłem od niego o kilkanaście centymetrów wyższy.

– Gabriel równie dobrze może być kosmitą – odparł. – Nie umniejsza to wartości tego, co robię – ani dla mnie, ani dla tych, których chronię. Nie potrzebuję spisane go wyznania wiary, żeby zachowywać się jak porządny człowiek.

– Jesteś bardziej świrnięty ode mnie – powiedziałem, skręcając w boczną uliczkę. – A ja rozmawiam z pizzą.

Położyłem cztery pudełka na czterech sąsiadujących ze sobą kubłach na śmieci i rozejrzałem się, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu. Zbliżała się przerwa na lunch, więc nie był to najlepszy moment na to, co zamierzałem zrobić, ale uznałem, że sobie poradzę. Rzuciłem okiem w stronę obu końców ulicy, zaczerpnąłem tchu, a potem coś sobie przypomniałem.

– Hej, Sania. Wsadź sobie palce do uszu.

Potężny Rosjanin wbił we mnie wzrok.

– Słucham?

– Palce. – Pomachałem swoimi palcami. – Do uszu. – Wskazałem swoje uszy.

– Oczywiście rozumiem, co do mnie mówisz, ale po co?

– Ponieważ zamierzam powiedzieć do pizzy coś, czego nie powinienes słyszeć.

Sania popatrzył z anielską cierpliwością w niebo. Potem westchnął i zatkał sobie uszy.

Uniosłem wyprostowane kciuki, odwróciłem się, osłoniłem usta złożonymi dłońmi, żeby nikt nie mógł czytać z ruchu moich warg, a następnie zacząłem raz za razem szeptać pewne imię, wlewając w każde powtórzenie swoją wolę.

Musiałem powtórzyć imię zaledwie kilkanaście razy, nim nad moją głowę zamigotał cień i istota wielkości polującego sokoła opadła z nieba przy wtórze szumu rozmazanych skrzydeł, po czym zawisała w powietrzu pół

metra ode mnie.

– *Boże mojej!* – wykrztusił Sania i zanim skończył wypowiadać te słowa, do połowy wysunął Esperacchiusa z pochwy.

Nie potrafiłem się powstrzymać.

– Cóż za ironia, że użyłeś tych słów, Sceptyczny Rycerzu.

– No dalej! – rozległ się przenikliwy głos. Brzmiał jakby należał do szekspirowskiego aktora, który nałykał się helu. – Dobądź miecza, łotrze, wtedy przekonamy się, kto wykrwawi się na śmierć od tysiąca drobnych cięć!

Sania stał z rozdziawionymi ustami i do połowy wyciągniętym mieczem.

– To przecież... – Pokręcił głową, jakby ktoś założył mu pętlę na szyję. – To... domowik, *da?*

Mały elf miał prawie czterdzieści centymetrów wzrostu i postać smukłego, wysportowanego młodzieńca z rozmytymi skrzydłami wąski wyrastającymi z ramion oraz czupryną przypominającą puch dmuchawca. Był ubrany w strój, który wyglądał, jakby ściągnięto go ze staroświeckiej figurki G.I. Joe, oliwkowy kombinezon z odciętymi rękawami i dziurami na skrzydła. Miał przy sobie kilka rodzajów broni, większość na nylonowych paskach, które wyglądały, jakby pochodziły z konwentowych odznak. Przy boku miał nóż do otwierania listów w kształcie długiego miecza, a dwa kolejne wisiały skrzyżowane na jego plecach. W zeszłym roku podarowałem mu zestaw tych noży pod choinkę i poradziłem, żeby schował połowę w bezpiecznym miejscu jako zapasowy oręż.

– Domowik? – zapiszczał wściekle mały elf. – A niech cię!

– Spokojnie, generale – wtrąciłem się. – Saniu, oto generał dywizji Toot-toot Minimus, kapitan mojej domowej straży. Toot, oto mój dobry kompan Sania, Rycerz Krzyża, który stawiał czoło niebezpieczeństwu u mego boku. Jest w porządku.

Elf zadrżał ze złości.

– To Rosjanin! A nawet nie odróżnia domowika od polewika z odległości pół metra! – Toot-toot wypluł potok rosyjskich słów, grożąc palcem potężnemu Rycerzowi.

Sania początkowo słuchał z zakłopotaniem, ale po chwili zamrugął, schował miecz i uniósł dłonie. Powiedział coś, co zabrzmiało poważnie

i bardzo uroczyście, a wtedy Toot jakby się uspokoił. Rzucił jeszcze kilka ostrych słów, dumnie uniósł podbródek i zwrócił się w moją stronę.

– Toot – odezwałem się. – Jak to się stało, że znasz rosyjski?

Zamrugnął.

– Harry – odrzekł takim tonem, jakby moje pytanie nie miało sensu. – Po prostu otwierasz usta i mówisz, czyż nie? Dajże spokój. – Ukłonił się oficjalnie. – Czym mogę ci służyć, mój seniorze?

Przyjrzałem mu się dokładnie.

– Dlaczego połowę twarzy masz pomalowaną na niebiesko?

– Ponieważ nastąpiła Zima, mój seniorze! – odrzekł Toot, po czym zaczął się rozglądać. – Ale... czy to oznacza, że będziemy musieli jeść zimną pizzę?

– Oczywiście, że nie – zapewniłem.

Toot odetchnął z ulgą.

– To dobrze. Eee, o czym rozmawialiśmy?

– Mam zadanie dla ciebie i dla każdego, kogo uda ci się zwerbować do pomocy. – Wskazałem głową pizzę. – Standardowa stawka.

– Doskonale – odrzekł Toot, salutując. Ponownie spuścił wzrok. – Może ktoś powinien sprawdzić tę pizzę. No wiesz, czy nie jest zatruta albo coś. Fatalnie by to wyglądało, gdyby ktoś otrul twoich wasali.

Popatrzyłem na niego spode łba i uniosłem palec.

– W porządku. Jeden kawałek. A potem... Ach!

Toot rzucił się na pudełko z pizzą jak rekin na fokę. Odrąbał błyszczącym mieczem wierzch pudełka, a następnie chwycił największy kawałek i zaczął go łapczywie pożerać.

Sania i ja obserwowaliśmy go zafascynowani. Wyglądało to tak, jakby człowiek usiłował zjeść kawałek pizzy o rozmiarach niewielkiego samochodu. Kawalki ciasta wylatywały w powietrze, a Toot nabijał je na ostrze. Wszędzie chlapał sos, co w obrzydliwy sposób przypominało mi wydarzenia przy Kamiennym Stole.

– Harry? – odezwał się Sania. – Dobrze się czujesz?

– Zaraz mi się polepszy – odrzekłem.

– Ta istota ci służy? – spytał Sania.

– On i około setki mniejszych. A do tego pięciokrotnie więcej dorywczych

pomocników, których od czasu do czasu mogę wezwać. – Zamyśliłem się. – Oni mi nie służą, po prostu zawarliśmy biznesowy układ, który odpowiada obu stronom. Co jakiś czas mi pomagają, a ja regularnie karmię ich pizzą.

– Którą... uwielbiają – zauważył Sania.

Toot z rozkoszą zakręcił się na pięcie i padł na plecy z bezwstydnym entuzjazmem. Brzuch sterczał mu spod kombinezonu. Przez chwilę leżał bez ruchu, radośnie bulgocząc.

– No tak – przyznałem.

Sania miał trzeźwe oblicze, ale rozbiegany wzrok.

– Sprzedajesz narkotyki. Malutkim elfom. Wstydź się.

Parsknąłem.

– Co on powiedział o Zimie? – spytał Sania.

– Harry jest nowym Rycerzem Zimy – wybełkotał Toot-toot. – Fantastyczna sprawa! Dawny Rycerz Zimy tylko siedział na miejscu i dawał się torturować. Nie brał udziału w żadnych przygodach. – Na chwilę umilkł, po czym dodał: – Chyba że uznamy za przygodę popadanie w obłąd.

– Toot – odezwałem się. – Wolałbym... nie afiszować się z tym całym Rycerzem Zimy.

– W porządku – odrzekł Toot. – Dlaczego?

Przeniosłem wzrok z małego elfa na Sanię.

– Widzisz... To sprawa osobista i...

– Ponieważ każda istota w Krainie Elfów widziała ceremonię – rzekł Toot z dumą. – Mab się o to postarała! Wszystko odbijało się w strumieniach, stawach, jeziorach, kałużach i najmniejszych kroplach wody!

Wpatrywałem się we wzdętego elfa całkiem oniemiały.

– Eee – odezwałem się. – Aha. To... bardzo, bardzo niepokojące.

– Czy pocałunek z Mab bolał? – spytał Toot. – Zawsze sobie myślałem, że jej usta wyglądają na tak zimne, że muszą parzyć. Jak uliczne latarnie w zimie! – Toot nagle usiadł z wytrzeszczonymi oczami. – Ooooo, czy twój język przymarzył do jej języka, jak w tamtym bożonarodzeniowym programie?

– No dooobrze – odrzekłem z udawaną wesołością, klaszcząc w dłonie. – Zbyt osobiste pytanie. Praca. Mam dla ciebie pracę.

Toot-toot zerwał się na nogi. Jego brzuch już kurczył się do normalnych rozmiarów.

– Tak jest, mój seniorze!

Gdzie on to wszystko pomieścił, do diabła? Przecież... niemożliwe, żeby zjadł tyle pizzy, a potem... Pokręciłem głową. Nie miałem na to czasu.

Pokazałem mu zdjęcie Susan.

– Ta kobieta jest gdzieś w Chicago. Chcę, żebyście ją znaleźli. Zapewne towarzyszy jej mężczyzna z blond włosami, mniej więcej tej samej wielkości co ona.

Toot ponownie uniósł się w powietrze i obejrzał zdjęcie z bliska. Przytrzymał je w wyciągniętej ręce i skinął głową.

– Mogę je zatrzymać, mój panie, i pokazać pozostałym?

– Tak, ale bądź ostrożny. Chcę je odzyskać.

– Oczywiście, mój seniorze! – odrzekł Toot. Machnął mieczem, schował go do pochwy, a następnie wzbił się w paździenikowe niebo.

Sania uważnie mi się przypatrywał.

Zakaszlałem. Czekałem.

– A więc – odezwał się. – Mab.

Mruknałem coś niewyraźnie.

– Zaliczyłeś ją – rzekł Sania.

Nie patrzyłem na niego. Moja twarz poczerwieniała.

Zmarszczył nos, jakby coś sobie przypominał.

– Dobrałeś się jej do tyłka. Pewnie jest za co złapać.

– Sania!

Roześmiał się i pokręcił głową.

– Kiedyś ją widziałem. Jest nieopisanie piękna.

– Zgadza się – przyznałem.

– I niebezpieczna.

– Tak – odrzekłem z naciskiem.

– A ty jesteś jej wojownikiem.

– Każdy musi mieć jakieś zajęcie, czyż nie?

Pokiwał głową.

– Żartujesz sobie. To dobrze. Przyda ci się poczucie humoru.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ ona jest zimna jak lód, Dresden. Zna złowrogie tajemnice, o których zapomniał sam Czas. Jeśli wybrała cię na swojego Rycerza, to ma dla ciebie jakiś plan. – Powoli pokiwał głową. – Śmieję się przy każdej okazji. Dzięki temu nie skończysz ze sobą, kiedy zrobi się źle. No i dzięki wódce.

– To jakieś rosyjskie powiedzenie?

– Widziałeś kiedyś tradycyjne tańce ludowe? – spytał Sania. – Wyobraź sobie, że ktoś je tańczy po wypiciu butelki wódki. Wszyscy się śmieją, a ty przetrwałeś kolejny dzień. – Wzruszył ramionami. – Albo skrzyłeś kark. Tak czy inaczej, w ten sposób panujesz nad cierpieniem.

Jego głos brzmiał niemal wesoło, chociaż mówił o piekielnie ponurych sprawach.

Spodziewałem się, że spróbuje mnie zniechęcić. Albo przynajmniej nazwie mnie idiotą. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Spokojna akceptacja nawet najstraszniejszych wydarzeń leżała w jego naturze. Niezależnie od tego, jak źle toczyły się sprawy, nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi. Po prostu godził się z faktem, że czasem zdarzają się złe rzeczy, i radził sobie z nimi najlepiej, jak potrafił.

Zapewne mogłem czegoś się od niego nauczyć.

Przez chwilę milczałem, zanim postanowiłem mu zaufać.

– Najpierw będę mógł uratować swoją córkę – oznajmiłem. – Taka była umowa.

– Aha – odrzekł, a po chwili namysłu pokiwał głową. – To rozsądne.

– Naprawdę tak uważasz?

Uniósł brwi.

– Jest twoim dzieckiem, prawda?

Pokiwałem głową.

– Owszem – odpowiedziałem cicho.

Rozpostarł ręce, jakby to był oczywisty fakt, którego nie trzeba roztrząsać.

– Czeka cię tragiczny los, ale mogło być gorzej – stwierdził. – Gra jest warta świeczki. Ocal swoją córeczkę. – Klepnął mnie w ramię. – Jeśli zmienisz się w ohydny potwór i poślą mnie, żebym cię zabił, będę o tym pamiętał i postaram się załatwić sprawę bezboleśnie, z szacunku do ciebie.

Wiedziałem, że żartuje. Tylko nie byłem pewien, która część jego zapowiedzi jest żartem.

– Eee, dzięki – odrzekłem.

– Nie ma za co. – Staliśmy w milczeniu przez kolejne pięć minut, aż wreszcie Sania zmarszczył czoło i popatrzył na pozostałe pudełka z pizzą. – Czy był jakiś konkretny powód, dla którego kupiłeś pozostałe...?

W uliczce nagle rozegrały się sceny rodem z *Ptaków*. Powiał wiatr wzbudzony ruchem skrzydeł i setki malutkich postaci błyskawicznie opadły na pizzę. Dostrzegłem wśród nich kilku Strażników Władcy Pizzy, rozpoznawalnych dzięki pomarańczowym plastikowym obudowom nożyków do tektury przyczepionym do pleców. Pozostali przemykali obok mnie pośród barwnych rozbłysków, stłumionych za sprawą dziennego światła, ale i tak pięknych. Pojawiło się mnóstwo elfów. Gdyby to się działo w nocy, mógłbym dostać jakiegoś ataku.

Elfy uwielbiają pizzę. Kochają ją z niewyobrażalną namiętnością. Patrzenie, jak ją pożerają, przypominało obserwowanie samolotów rozpadających się w powietrzu na filmach z czasów II wojny światowej. Pojedyncze skrawki odrywały się od pizzy, a potem nagle zaczynały fruwać na wszystkie strony unoszone przez elfy.

Wszystko trwało niecałe trzy minuty.

Poważnie. Gdzie one to wszystko mieszczą?

Toot zawisł w powietrzu przede mną i wepchnął sobie do ust garść pizzy. Przelknął ją i zasalutował.

– No i co, generale? – spytałem.

– Znalazłem ją, mój seniorze – doniósł Toot. – Została porwana i znajduje się w niebezpieczeństwie.

Sania i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Gdzie? – spytałem.

Toot pokazał mi zdjęcie, wciąż w jednym kawałku, oraz dwa splecione kosmyki ciemnych włosów, które ścisnął w malutkich dłoniach.

– Oto włosy z jej głowy. Albo, jeśli tego pragniesz, mogę cię do niej zaprowadzić.

Sania lekko się odchylił. Wyraźnie był pod wrażeniem.

– Znaleźli ją? Tak szybko?

– Elfy są cholernie niedoceniane – odrzekłem spokojnie. – Pomimo swoich ograniczeń są co najmniej równie skuteczne jak inne znane mi sposoby zdobywania informacji, a w Chicago jest ich mnóstwo i od czasu do czasu chętnie mi pomagają.

– Niech żyje Władca Pizzy! – zapiał Toot-toot.

– Niech żyje Władca Pizzy! – odpowiedział chór piskliwych głosików, które nie dobiegały z żadnego konkretnego źródła. Elfy potrafią być niewidoczne, gdy tego chcą.

– Generale dywizji Minimusie, jeśli będziesz dalej tak się spisywał, mianuję cię pełnym generałem – odrzekłem.

Toot zamarł.

– Dlaczego? Czy to coś złego? Co zrobiłem?

– Wszystko w porządku, Toot. To wyższy stopień od generała dywizji.

Szerzej otworzył oczy.

– Jest wyższy stopień?

– Jak najbardziej. A ty jesteś na dobrej drodze na sam szczyt. – Wziąłem od niego włosy. – Przyprowadzimy samochód. Zaprowadź nas do niej, Toot.

– Tak jest!

– Doskonale – odezwał się Sania z szerokim uśmiechem. – Teraz już wiemy, dokąd mamy się udać, i mamy kogoś do uratowania. Na tym się akurat znam.

– Przyznam, że zazwyczaj nie szturmuję siedzib Federalnego Biura Śledczego – rzekł Sania kilka minut później. – Zwłaszcza w środku dnia.

Zaparkowaliśmy przecnicę od chicagowskiego biura FBI, dokąd doprowadził nas Toot, który przykucnął na desce rozdzielczej i dopytywał, dlaczego Sania nie wypożyczył latającego samochodu zamiast starej ociężałej furgonetki. Nie satysfakcjonowała go odpowiedź, że „takie samochody nie istnieją”. Rzucił kilka komentarzy po rosyjsku, po których Sania tylko szerzej się uśmiechnął.

– Psiakrew – odezwałem się, obserwując budynek. – Toot? Czy był z nią Martin?

– Ten złotowłosey? – Toot siedział naprzeciwko nas na desce rozdzielczej i wymachiwał nogami. – Nie, mój seniorze.

Stęknąłem.

– To też mi się nie podoba. Dlaczego nie byli razem? Na którym piętrze ją trzymają?

– Tam – wskazał Toot. Nachyliłem się i popatrzyłem wzdłuż jego małej ręki na wskazane okno.

– Na trzecim – powiedziałem. – Tam rozmawiał ze mną Tilly.

Sania wyjął półautomat spod siedzenia i wprowadził pocisk do komory, nie odrywając wzroku od bocznego lusterka.

– Mamy towarzystwo.

Łysy włóczęga z lekką nadwagą, ubrany w obdarty płaszcz i stare ciuchy, wlekł się chodnikiem z nieobecny spojrzeniem, ale kierował się w naszą stronę w nieco zbyt celowy sposób, by nas nabrać. Patrzyłem mu na ręce, trzymając w pogotowiu bransoletę z tarczami, spodziewając się, że facet nagle wyciągnie broń spod obszernego płaszcza, i dopiero kiedy znalazł się kilka kroków od nas, uświadomiłem sobie, że to Martin.

Przystanął obok okna pasażera i zachwiał się. Zapukał w szybę i wyciągnął rękę, jakby zebrał o drobne. Otworzyłem okno.

– Co się stało? – spytałem.

– FBI odrobiło lekcję – odrzekł. – Sprawdzili nasz wypożyczony samochód i dotarli do mojego dokumentu tożsamości, po czym pokazali moje zdjęcie w telewizji. Jeden z policjantów, których przycisnęliśmy, potwierdził, że byłem w twoim mieszkaniu. Czekali na nas, kiedy po ciebie wróciliśmy. Susan odwróciła ich uwagę, żebym mógł uciec.

– A ty ją zostawiłeś, co?

Wzruszył ramionami.

– Ma papiery w porządku, i chociaż wiedzą, że ze mną przyszła, nie mogą jej niczego udowodnić. Działam w tej branży od tak dawna, że Czerwony Dwór zadbał o umieszczenie mnie na kilku międzynarodowych listach poszukiwanych terrorystów. Gdyby mnie złapali, oboje trafilibyśmy za kratki.

Stęknąłem.

– Czego się dowiedziałeś?

– Ostatni członkowie wewnętrznego kręgu Czerwonego Dworu przybyli dziś rano. W nocy odprawią ceremonię. O północy albo trochę później, jeśli nasz astronom się nie myli.

– Cholera.

Martin pokiwał głową.

– Jak szybko możesz nas tam przenieść?

Dotknąłem opuszką palca klejnotu mojej matki i sprawdziłem drogę.

– Nie prowadzi tam bezpośrednia trasa. Trzy przeskoki, dwie przechadzki, jedna z nich w trudnym terenie. W ciągu półtorej godziny powinniśmy się znaleźć w odległości ośmiu kilometrów od Chichén Itzá.

Martin przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

– To bardzo wygodne, że jesteś w stanie zapewnić nam taki szybki transport akurat do miejsc, do których musimy się udać.

– Czerwony Dwór przechowuje swoje skarby niedaleko punktów, w których zbiegają się linie geomantyczne i gromadzi się magiczna moc – wyjaśniłem. – Chichén Itzá również jest takim miejscem, tylko znacznie

większym. Chicago to rozstaje dróg, zarówno w sensie fizycznym, jak i metafizycznym. W granicach miasta i w promieniu czterdziestu kilometrów istnieją dziesiątki punktów zbiegu. Większość znanych mi szlaków wiodących przez Nigdynigdy biegnie pomiędzy takimi punktami, dlatego Chicago bezpośrednio łączy się z wieloma innymi miejscami.

Sania mruknął z zainteresowaniem.

– Tak jak lotniska w Dallas i Atlancie. Albo tutaj. Ośrodki transportowe.

– Właśnie.

Martin pokiwał głową, chociaż nie sprawiał wrażenia szczególnie zaangażowanego.

– To daje nam nieco ponad dziewięć godzin – zauważył.

– Kościół próbuje zdobyć informacje na temat środków bezpieczeństwa w Chichén Itzá. Spotkajmy się u Świętej Marii. – Wręczyłem mu drobniaki, które wyszperałem w kieszeniach. – Powiedz im, że Harry Dresden zapewnia, że nie jesteś Steviem D. Tam rozpoczniemy podróż.

Nieznacznie pokręcił głową.

– Nakłoniłeś Kościół, żeby ci pomagał?

– Do diabła, stary. Rycerz Krzyża to mój szofer.

Sania parsknął.

Martin przyjrzał się Sani lekko wytrzeszczonymi oczami.

– Rozumiem...

Kiedy pokiwał głową, jakby coś w niego wstąpiło, a ja dobrze znałem to uczucie – przyływ pozytywnych emocji, ożywienie wywołane świadomością, że nie tylko śmierć nie jest pewna, ale zwycięstwo może być osiągalne.

Nadzieja to żywioł. Nie dajcie sobie wmówić, że jest inaczej.

Martin pokiwał głową.

– A co z Susan?

– Ja ją wydostanę – odrzekłem.

Ponownie skłonił głowę. Potem wziął głęboki wdech.

– Dziękuję – powiedział, odwrócił się i oddalił chwiejnym krokiem, ściskając w dłoni monety.

– Wygląda na porządnego gościa – stwierdził Sania. Jego nozdrza lekko

się rozszerzyły. – A więc to półwampir? Z Bractwa Świętego Idziego?

– Zgadza się, tak samo jak Susan. – Patrzyłem, jak Martin znika wśród tłumu pieszych śpieszących na lunch. – Nie jestem pewien, czy mu ufam.

– Zapewne z wzajemnością – odrzekł Sania. – Ktoś, kto żyje tak jak Martin, uczy się nikomu nie ufać.

Stęknąłem z goryczą.

– Przestań być taki logiczny. Lubię mieć z nim na pieńku.

Sania zachichotał.

– Co teraz?

Wyjąłem pistolety z kieszeni płaszcza i wepchnąłem je pod siedzenie pasażera.

– Wracaj do kościoła. Spotkamy się tam, kiedy wyciągnę Susan.

Sania uniósł brwi.

– Wyciągniesz ją stamtąd?

– Jasne.

Z namysłem zacisnął usta, a następnie wzruszył ramionami.

– W porządku. W końcu to twój pogrzeb, *da*?

Stanowczo pokiwałem głową.

– *Da*.

Wszedłem do budynku i przeszedłem przez wykrywacze metalu. Zapiszczały. Zatrzymałem się i włożyłem do plastikowego pojemnika wszystkie pierścienie oraz bransoletę z tarczami, po czym spróbowałem ponownie. Tym razem mnie nie niepokoiły. Odebrałem swoje rzeczy i zbliżyłem się do stanowiska w samym środku holu, które wyglądało jak punkt informacyjny. Położyłem na blacie jedną ze swoich wizytówek, która nazywała mnie prywatnym detektywem. Zostało mi ich tylko sześć. Resztę trzymałem w szufladzie biurka w biurze.

– Muszę porozmawiać z agentem Tillym o prowadzonym przez niego dochodzeniu.

Kobieta za biurkiem pokiwała głową, zadzwoniła do biura Tilly'ego i spytała, czy mnie przyjmie. Ponownie skinęła głową.

– Tak, proszę pana – rzekła z uśmiechem. – Będzie pan potrzebował identyfikatora dla gościa. Proszę bardzo. Niech go pan zawsze nosi na

wierzchu.

Odebrałem identyfikator i przypiąłem go do płaszcza.

– Dziękuję. Znam zasady.

– Trzecie piętro – oznajmiła i skinęła głową do kolejnej osoby w kolejce.

Udałem się do windy, wjechałem na trzecie piętro i poszedłem do gabinetu Tilly'ego, który znajdował się naprzeciwko pokoju przesłuchań. Tilly, drobny, szykowny i najwyraźniej bystry, stał w drzwiach i przeglądał teczkę z dokumentami. Nim ją zamknął i schował pod pachę, zauważyłem, że do wewnętrznej części okładki przypięto spinaczem zdjęcie Susan.

– No proszę – odezwał się. – Oto i pan Wspólnik. Niech będzie. I tak musiałem z panem porozmawiać.

– W tym tygodniu cieszę się wyjątkową popularnością – odrzekłem.

– Co pan nie powie – odparł Tilly. Skrzyżował ręce na piersi i zmarszczył czoło. – Podsumujmy. Mamy samochód, wypożyczony przez tajemniczego mężczyznę posługującego się fałszywą tożsamością, widziany przed budynkiem, który wyleciał w powietrze. Mamy zeznanie dwóch miejscowych ciekawskich, którzy potwierdzają, że mężczyźni towarzyszyła długonoga ślicznotka, Susan Rodriguez. Mamy spłaszczony volkswagena garbusa należącego do Harry'ego Dresdena oraz zniszczenia oszacowane na siedemdziesiąt tysięcy dolarów w pobliżu domu miejscowego skorumpowanego policjanta, który łągał w żywe oczy, żeby naprowadzić mnie na pański trop. Mamy dokumenty, według których Susan Rodriguez kiedyś była pańską dziewczyną. Naocznych świadków, którzy widzieli ją oraz tajemniczego mężczyznę w pańskim mieszkaniu, które wyglądało na nieco zbyt czyste, jakby ktoś usunął z niego obciążające dowody. Ale zanim zdołaliśmy tam wrócić i dokładnie się rozejrzeć, doszczętnie spłonęło. Szef straży pożarnej wciąż prowadzi śledztwo, ale wstępnie podejrzewa podpalenie. – Tilly z namysłem podrapał się po brodzie. – Nie wiem, czy zna się pan na najnowszych technikach dochodzeniowych, ale kiedy istnieje tak wiele powiązań między względnie niewielką liczbą osób i wydarzeń, czasami może to wskazywać na jakieś nikczemne sprawy.

– Nikczemne, tak? – spytałem.

Tilly pokiwał głową.

– Dobre słowo, prawda? – Zmarszczył nos. – To rozczarowujące, ponieważ intuicja podpowiadała mi, że był pan wobec mnie szczerzy. Skryty, ale szczerzy. Ale wygląda na to, że zawsze trafi się jakiś kłamca, który zdoła nas przechytrzyć.

– Zapewne – przyznałem. – Ale tym razem tak się nie stało. Przynajmniej, jeśli chodzi o mnie.

Mruknął coś pod nosem.

– Może. Może. – Zajrzał do swojego gabinetu. – Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że znów bawisz się dynamitem, Tilly – odezwała się Murphy.

– Murph – powiedziałem z ulgą. Wyjrzałem zza Tilly'ego i pomachałem do niej.

Popatrzyła na mnie i pokręciła głową.

– Psiakrew, Dresden. Nie potrafisz niczego zrobić dyskretnie i w uporządkowany sposób?

– Nic z tego – odparłem. – Tylko to powstrzymuje Tilly'ego przed uznaniem mnie za terrorystę.

Murphy drgnął kącik ust.

– Nic ci nie jest? – spytała poważnie.

– Spalili mój dom, Murph – odrzekłem. – Mister się wydostał, ale nie wiem, gdzie teraz jest. Wiem, że zaginionego kota trudno w tej chwili uznać za priorytet, ale... – Wzruszyłem ramionami. – Chyba się o niego martwię.

– Jeśli przegapi karmienie, bardziej będę się bała o siebie – odpowiedziała Murphy drwiąco. – Mister to najbliższy krewny pumy w promieniu kilkuset kilometrów. Nic mu nie będzie.

Tilly zamrugał i zwrócił się w stronę Murphy.

– Naprawdę?

Murphy zmarszczyła czoło.

– No co?

– Wciąż go wspierasz – odparł Tilly. – Pomimo wszystkich ostrzegawczych sygnałów.

– Tak – potwierdziła Murphy.

Tilly powoli wypuścił powietrze.

– W porządku, Dresden. Zapraszam do gabinetu.

Wszedłem, a Tilly zamknął za nami drzwi.

– No dobrze, niech mi pan powie, co się tutaj dzieje.

– Nie chcesz wiedzieć – odezwała się Murphy. Uprzedziła mnie.

– Dziwne, godzinę temu pytałem o zdanie swój mózg i powiedział mi, że chcę – odparł Tilly.

Murphy odetchnęła i zerknęła na mnie.

Uniosłem obie dłonie.

– Ledwo znam gościa. Ty zdecyduj.

Murphy pokiwała głową.

– Jak dużo wiesz o archiwum Czarnych Kotów? – spytała Tilly’ego.

Agent przez chwilę się jej przyglądał. Potem zerknął na swój identyfikator przypięty do marynarki.

– Zabawne, przez chwilę myślałem, że ktoś zmienił moje nazwisko na „Mulder”.

– Mówię poważnie, Till.

Uniósł ciemne brwi.

– Hmm. Byli poprzednikami Wydziału Dochodzeń Specjalnych, zgadza się? Działali chyba w latach sześćdziesiątych albo siedemdziesiątych. Zajmowali się wszystkimi dziwacznymi sprawami. W ich archiwum znajdują się informacje, które moim zdaniem świadczą o tym, że niektórzy z nich eksperymentowali z różnymi cudownymi psychotropami, które się wtedy pojawiły.

– A gdybym ci powiedziała, że wcale nie byli naćpani, Till? – spytała Murphy.

Zmarszczył czoło.

– Właśnie to chcesz mi powiedzieć?

– Nie byli naćpani – zapewniła Murphy.

Tilly jeszcze bardziej spochmurniał.

– WDS zajmuje się takimi samymi sprawami co Czarne Koty. Po prostu dano nam jasno do zrozumienia, że nasze raporty nie mogą przypominać opisów narkotycznych halucynacji. Dlatego znajdują się w nich wyjaśnienia, chociaż nie są one zbyt dokładne.

– Chcesz... chcesz mi powiedzieć, prosto w oczy, że kiedy Dresden

wspomniał o wampirach, mówił poważnie?

– Całkowicie – odrzekła Murphy.

Tilly skrzyżował ręce na piersi.

– Jezu, Karrin.

– Uważasz, że cię okłamuję? – spytała.

– Nie, ale to nie znaczy, że po świecie biegają wampiry. Po prostu ty wierzysz, że to prawda.

– Może jestem łatwowierna – podsunęła Murphy.

Tilly zganił ją wzrokiem.

– A może po prostu ulegasz presji i brakuje ci obiektywizmu. Chcę powiedzieć...

– Jeśli chociaż pośrednio odwołasz się do menstruacji albo menopauzy i ich wpływu na mój osąd sytuacji, złamię ci rękę w jedenastu miejscach – weszła mu w słowo.

Skwaszony Tilly zacisnął usta.

– Psiakrew, Murphy. Czy ty siebie słyszysz? Wampiry? Na miłość boską. Co mam o tym myśleć?

Murphy rozłożyła ręce.

– Nie jestem pewna. Harry, co dokładnie się dzieje?

Zrelacjonowałem ostatnie dwa dni, skupiając się na wydarzeniach w Chicago i tylko ogólnie wspominając o zaangażowaniu Białej Rady oraz Czerwonego Dworu.

– Tamta para wampirów – odezwała się Murphy. – Myślisz, że to oni dobrali się do Rudolpha?

– Wszystko na to wskazuje. Mogli go poddać rozmaitym naciskom. Chcieli go usunąć, nim zacznie sypać, więc wysłali ciężką artylerię.

– Nie wierzę w to, co słyszę – wtrącił Tilly.

– Kiedy wyruszacie? – spytała Murphy, ignorując agenta.

– Dziś wieczorem.

– Nikt nigdzie się nie wybiera, dopóki nie poznam kilku odpowiedzi – zaznaczył Tilly. Muszę przyznać, że w jego słowach nie było zbytnej zuchwałości. Po prostu stwierdził fakt.

– Nie wiem, jak wielu odpowiedzi będę w stanie udzielić – odrzekłem. –

Mamy mało czasu, a moja córeczka jest w niebezpieczeństwie.

– To nie są negocjacje – odparł.

– Agencie Tilly... – Westchnąłem. – Wciąż mamy trochę czasu, a ja chętnie z panem porozmawiam. Ale niezbyt długo – dodałem bardziej stanowczym tonem. – Proszę mi wierzyć, że mogę wyciągnąć Susan z tego budynku także bez pańskiej współpracy.

– Harry – skarciła mnie Murphy, jakbym powiedział coś niewyobrażalnie niegrzecznego, czego powinienem się wstydzić.

– Tik-tak, Murphy – odpowiedziałem. – Jeśli będzie mnie naciskał, nie mogę tylko spokojnie stać i się uśmiechać.

– Zaciekawiał mnie pan – odrzekł Tilly, wyraźnie podrażniony. – Chciałbym to zobaczyć.

– Till – rzuciła Murphy takim samym głosem. – Matko Boska, chłopcy, czy naprawdę nie potraficie zachowywać się jak dorośli? Proszę?

Skrzywiłem się i skrzyżowałem ręce na piersi. Tilly zrobił to samo. Obaj się przymknęliśmy.

– Dziękuję – powiedziała Murphy. – Till... Pamiętasz tamtą taśmę, którą puszczała w wiadomościach kilka lat temu? Po zgonach w biurze Dochodzeń Specjalnych?

– Chodzi ci o wilkołaka? – spytał Till. – Tak. Rozmazany i nieostry obraz, słabe oświetlenie, fatalne efekty specjalne. Tamta istota w ogóle nie przypominała wilkołaka. Tylko że taśma zniknęła w tajemniczych okolicznościach, więc nie da się jej zbadać. Ale w internecie pewnie krążą nagrania z drugiej ręki. – Zamyślił się. – Chociaż aktorka, która się w ciebie wcielała, była całkiem niezła.

– To nie była aktorka, Till – odrzekła Murphy. – Byłam tam. Widziałam to na własne oczy. Taśma była autentyczna. Masz moje słowo.

Tilly ponownie zmarszczył czoło. Lekko pochylił głowę i zatopił się w myślach, jakby czytał raport, który tylko on widział.

– Niech pan posłucha – odezwałem się cicho. – A gdyby nigdy nie padło z moich ust słowo wampir? Gdybym powiedział, że chodzi o kartel narkotykowy albo terrorystów finansowanych przez podejrzaną korporację, z których jedna wysadziła w powietrze biurowiec, by uniemożliwić kradzież

i ujawnienie nielegalnych danych? Gdybym powiedział, że wkurzyłem grupę terrorystów, a oni w odwecie porwali moją córkę? Że zamierzają odciąć jej głowę i umieścić nagranie w internecie? Że Susan i tamten tajemniczy mężczyzna są szpiegami pracującymi dla organizacji, której nazwy nie mogę zdradzić, a która pomaga mi odnaleźć dziewczynkę? Czy wciąż brzmiałoby to jak wariactwo?

Tilly przekrzywił głowę.

– Brzmiałoby to jak fabuła kiepskiej powieści – odrzekł przytłumionym głosem. Wzruszył ramionami. – Ale... miałoby ręce i nogi. W końcu nie nazywają tych dupków „ekstremistami” bez powodu.

– W porządku – powiedziałem łagodnie. – W takim razie... może po prostu będziemy udawać, że mówiłem o terrorystach, i na tym się oprzemy. Chodzi o moją córkę.

Tilly przenosił wzrok między mną a Murphy.

– Albo oboje zwariowaliście... albo ja postradałem zmysły... albo mówicie prawdę. – Pokręcił głową. – Nie jestem pewien, która z tych możliwości bardziej mnie niepokoi.

– Ma pan kartkę? – spytałem.

Zbity z tropu otworzył szufladę i wyjął notatnik.

Chwyciłem długopis i napisałem:

Susan, powiedz mu wszystko.

Harry

Wyrwałem kartkę i ją złożyłem.

– Podejrzewam, że Susan niewiele panu powiedziała.

Tilly mruknął coś pod nosem.

– Nie powiedziała nic. Dosłownie. To naprawdę twarda sztuka, mówię z doświadczenia.

– Potrafi być uparta – przyznałem. – Proszę jej to dać. Wie pan, że nie widziałem jej od wielu godzin. Niech pan wysłucha jej wersji, nieoficjalnie. Zobaczymy, czy zgadza się z moją.

Wziął kartkę i na nią popatrzył. Potem przeniósł wzrok na mnie.

– Trudno ocenić, komu można zaufać – stwierdziłem. – Niech pan z nią porozmawia. Spróbuje rozłożyć jej opowieść na czynniki pierwsze. Sprawdzi, czy trzyma się kupy.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Zatrzymaj go tutaj, Murphy – polecił.

– Dobrze.

Tilly wyszedł.

W pomieszczeniu stały dwa krzesła i żadne nie wyglądało na wygodne. Usiadłem na podłodze i zamknąłem oczy.

– Jest kiepsko? – spytała Murphy.

– Bardzo – odrzekłem cicho. – Muszę cię prosić o przysługę.

– Jasne.

– Jeśli... Posłuchaj, w skrytce w Narodowym Banku w Michigan znajduje się mój testament. Jeżeli coś mi się stanie... byłbym wdzięczny, gdybyś się nim zajęła. Znajdujesz się na liście osób upoważnionych do otwarcia go. Jesteś jednym z wykonawców.

– Harry.

– Zgadza się, nie mam zbyt wielkiego majątku do rozdania – ciągnąłem. – Wszystko trzymałem w domu i biurze, ale... pozostało nieco wartości niematerialnych i... – Urwałem, czując, że ścisną mnie w gardle. – Zajmiesz się tym dla mnie?

Murphy przez chwilę milczała, a potem usiadła obok mnie. Uścisnęła moją dłoń. Odwzajemniłem ten gest.

– Pewnie – obiecała.

– Dzięki. Oczywiście... nie ma tam żadnej wzmianki o Maggie – dodałem.

– Ale jeśli nie będę w stanie... Chciałbym, żeby trafiła do dobrego domu. W bezpieczne miejsce.

– Nie zgrywaj emo – odparła. – Dajmy sobie na chwilę spokój z ponurymi myślami. Zgoda? Jeszcze nie umarłeś, o ile się nie mylę.

Cicho parsknąłem i otworzyłem oczy.

– Sam się nią zaopiekujesz, kiedy to się skończy.

Powoli pokręciłem głową.

– Nie mogę, Murph. Susan miała rację. Mogę jej zapewnić tylko życie w ciągłym obłączeniu. Moi wrogowie by ją wykorzystali. Ona musi zniknąć. Wyjechać w jakieś bezpieczne miejsce. Naprawdę bezpieczne. Żeby nawet ja nie wiedział, gdzie jest. – Z trudem przełknąłem ślinę. – Ojciec Forthill z kościoła Świętej Marii może w tym pomóc. Myszek powinien pojechać razem z nią. Pomoże ją chronić.

Murphy popatrzyła na mnie zaniepokojonym wzrokiem.

– Czegoś mi nie mówisz.

– Na razie to nieważne – odrzekłem. – Gdyby udało ci się znaleźć Mistera... Molly pewnie chciałaby go mieć przy sobie. Ktoś powinien się nim zaopiekować.

– Jezu, Harry.

– Nie planuję samobójczej misji, jeśli tego się obawiasz – odparłem. – Ale istnieje możliwość, że nie wrócę. Jeżeli tak się stanie, będę potrzebował kogoś zaufanego, kto zajmie się moimi sprawami, gdybym sam nie mógł tego zrobić.

– Możesz na mnie liczyć – obiecała Murphy i zaśmiała się krótko. – Na litość boską, zajmę się tym, żebyśmy tylko mogli porozmawiać o czymś innym.

Również się uśmiechnąłem, a kiedy Rudolph wszedł do gabinetu Tilly'ego, zastał nas siedzących na podłodze i radośnie wyszczerzonych.

Wszyscy zamarli. Nikt nie był pewien, jak zareagować.

– No proszę – odezwał się Rudolph cicho. – Od początku wiedziałem, co się tutaj kroi. Nieźle zakpiłaś ze swoich przełożonych, Murphy.

– Cześć, Rudy – powiedziałem. – Masz piękny dom.

Rudolph zazgrzytał zębami i wyjął kopertę z kieszeni. Rzucił ją na podłogę obok Murphy.

– To dla ciebie. Nakaz zaprzestania działalności, zgodnie z którym nie możesz zbliżać się na odległość dwustu metrów do nikogo, kto ma związek z tą sprawą, dopóki specjalny policyjny trybunał nie zbada twoich kompetencji i oskarżeń o niesubordynację. A także pisemny rozkaz porucznika Stallingsa, który wyłącza cię z dochodzenia w sprawie przyczyn eksplozji pod groźbą zwolnienia ze służby. – Przeniósł wzrok na mnie. –

O tobie też pamiętam.

– A szkoda – odparłem. – Bo ja o tobie prawie zapomniałem, dopóki wszystkiego nie popsuleś, kiedy wszedłeś do pokoju i tak dalej.

– To jeszcze nie koniec, Dresden.

Westchnąłem.

– No tak, mam ciężki tydzień.

Murphy otworzyła kopertę i przeczytała dwie kartki. Potem popatrzyła na Rudolpha.

– Co im powiedziałaś?

– Masz swoje rozkazy, sierżancie – odparł oschle Rudolph. – Opuść budynek, zanim odbiorę ci broń i odznakę.

– Ty cwaniaczku z małym fiutem – odpowiedziała z lodowatą furią.

– Ta odpowiedź znajdzie się w raporcie, który złożę na ręce trybunału, Murphy – odrzekł Rudolph z jadowitą satysfakcją. – A kiedy przeczytają całą resztę, będzie po tobie. Z twoją kartoteką? Przestaną ci pobłażać, suko. Już nie istniejesz.

Coś mrocznego i paskudnego zbudziło się w mojej piersi, a w mózgu pojawił się obraz Rudolpha przyszpilonego do ściany toną krystalicznego lodu.

– Suko? – spytała Murphy, wstając z podłogi.

– Ejże – odezwałem się, przeciągając to słowo, i również zerwałem się na nogi, zwracając się w równym stopniu do siebie, jak do rozwścieczonej przyjaciółki. – Murph, nie daj się wciągnąć w jego grę.

– Grę? – odrzekł Rudolph. – Stanowisz zagrożenie, Murphy, jesteś zakałą. Twoje miejsce jest za kratkami. Kiedy wylecisz, to będzie tylko kwestia czasu. To samo dotyczy tego błazna.

– Błazna? – spytałem, takim samym tonem jak wcześniej Murphy.

Wtedy zgasły światła.

Wokół nas zapadła cisza, a cała siedziba FBI pogrążyła się w ciemności. Mijały kolejne sekundy, ale awaryjne oświetlenie się nie włączało.

– Harry – odezwała się Murphy z rozdrażnieniem.

Poczułem, że stają mi włoski na karku.

– To nie moja sprawka – odpowiedziałem cicho.

– Dlaczego nie włączyły się awaryjne światła? – spytał Rudolph. – Powinny się uruchomić w ciągu kilku sekund. Prawda?

– He! – rzuciłem w mrok. – He, he. Rudy, stary druhu, pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?

Gabinet Tilly’ego przylegał do windy. W jej szybie wyraźnie rozległ się łowiecki zew wampira z Czerwonego Dworu.

Po chwili odezwał się chór ponad dwudziestu podobnych okrzyków.

Mnóstwo wampirów w zamkniętej przestrzeni. Niedobrze.

W tle okrzyków ohydnie dudniło pulsujące serce, które słyszeliśmy przez ścianę na wysokości trzeciego piętra. Zadrzałem.

Mnóstwo wampirów oraz Ik w zamkniętej przestrzeni. Jeszcze gorzej.

– Co to jest? – spytał Rudolph piskliwym szeptem.

Siłą woli rozświetliłem swój amulet, przygotowałem bransoletę z tarczami i dobyłem bojowej różdżki spod płaszcza. U mojego boku Murphy wyciągnęła sigę. Sprawdziła małą latarkę, uznała ją za użyteczną i podniosła na mnie spokojny wzrok, równo oddychając, co przekonało mnie, że panuje nad strachem.

– Co robimy? – spytała.

– Zabierz Susan i uciekaj – odrzekłem. – Jeśli mnie tu nie będzie i jej tu nie będzie, nie będą miały powodu, żeby zaatakować.

– Co to jest? – powtórzył Rudolph. – Co to za hałas?

Murphy lekko skłoniła głowę w stronę Rudolpha, pytająco unosząc brew.

– Psiakrew – westchnąłem. – Masz rację. Jego też będziemy musieli zabrać.

– Odpowiedzcie! – zawołał bliski paniki Rudolph. – Musicie mi powiedzieć, co to jest!

– Powiemy mu? – spytałem.

– Jasne.

Murphy i ja zwróciliśmy się w stronę drzwi z uniesioną bronią i odpowiedzieliśmy spontanicznym dwugłosem.

– Terrorysty.

Kiedy razem z Murphy wyszliśmy na korytarz, na niższych piętrach już wybuchła strzelanina. Brzmiała niegroźnie – staccato głuchych huków – ale nikt, kto słyszał wystrzały z broni palnej, nie może ich pomylić z niczym innym. Miałem nadzieję, że strzelcy nie używają pocisków, które mogłyby przebić sufit i mnie trafić. Taki postrzał nigdy nie kończy się lekkimi obrażeniami.

– Te wrzaski – odezwała się Murphy. – To Czerwony Dwór, prawda?

– Tak. Gdzie Susan?

– Tam, w pokoju przesłuchań. – Skinęła głową w lewo, a ja ruszyłem przodem, ocierając się ramieniem o lewą ścianę. Murph, po wywleczeniu bełkoczącego Rudolpha z gabinetu, szła krok za mną, przesunięta nieco w prawo, by w razie czego móc strzelać obok mnie. Już kiedyś graliśmy w tę grę. Gdyby zaatakowało nas coś groźnego, powstrzymałbym to na tyle długo, by ona mogła złożyć się do strzału.

Te dodatkowe kilka sekund było kluczowe. Wampiry nie są odporne na pociski, ale potrafią się wylizać z większości trafień, poza najbardziej śmiertcionośnymi. Wampir z Czerwonego Dworu prawie zawsze chętnie szarżuje na śmiertelnika z bronią, wiedząc, jak trudno jest oddać zabójczy strzał, zwłaszcza gdy pędzi na ciebie wyjący potwór. Trzeba trafić prosto w głowę, przerywając rdzeń kręgowy, albo w brzuch, przebijając zbiornik z krwią, by powstrzymać członka Czerwonego Dworu, a nawet takie rany zazwyczaj nie okazują się śmiertelne, jeśli wampir ma wystarczająco dużo czasu i dostęp do krwi.

Murphy dobrze wiedziała, do czego strzela, i udowodniła, że potrafi zachować zimną krew na tyle, by poradzić sobie z Czerwonymi, ale reszcie pracowników budynku brakowało wiedzy i doświadczenia.

FBI czekał naprawdę trudny dzień.

Szliśmy korytarzem, szybko i cicho, a kiedy ze świetlicy wytoczył się jakiś wystraszony urzędnik, prawie przeszyłem go płomieniem. Murphy, która zawiesiła sobie odznakę na szyi, poleciła mu wrócić do pokoju i zabarykadować drzwi. Był wyraźnie przerażony i bez sprzeciwów posłuchał spokojnego, władczego głosu Murph.

– Może my też powinniśmy to zrobić – odezwał się Rudolph. – Schować się do któregoś z pokoi. Zabarykadować drzwi.

– Mają ze sobą mięśniaka – wyjaśniłem Murphy, ponownie wysuwając się na przód. – Dużego, silnego, szybkiego. Coś jak loup-garou. To majański stwór, Ik-jakiś-tam.

Murphy zakłęła.

– Jak można go zabić?

– Nie jestem pewien. Ale podejrzewam, że światło słoneczne może zadziałać. – Wzdłuż korytarza znajdowało się kilka biur z oknami wychodzącymi na zewnątrz. Światło jesiennego popołudnia, w niektórych miejscach stłumione przez zasłony, tworzyło półmrok, w którym mogliśmy się przemieszczać i którego moje niebieskie magiczne światło nie było w stanie rozproszyć.

Jeszcze bardziej niesamowita od światła była cisza. Wentylacja nie szumiała. Windy nie grzechotały. Telefony nie dzwoniły. Dwukrotnie usłyszałem pośpieszne i bezużyteczne paniczne serie strzałów. Wampiry od czasu do czasu wznosiły łowieckie okrzyki. Miarowe dudnienie dziwnego serca Ika było wszechobecne i powoli przybierało na sile.

– Może przydałyby nam się lustra – zaproponowała Murphy. – Żeby wypełnić wnętrza światłem.

– To znacznie trudniejsze niż na filmach – odparłem. – Myślę, że po prostu zrobię dziurę w ścianie budynku. – Oblizałem usta. – Choroba, gdzie jest południe? Najlepiej będzie zrobić to z tamtej strony.

– Grozisz zniszczeniem federalnego budynku! – zapisał Rudolph.

Strzały rozległy się gdzieś w pobliżu – być może na drugim piętrze, bezpośrednio pod nami. Może nawet po drugiej stronie naszego piętra, stłumione przez ścianki boksów.

– O Boże – jęknął Rudolph. – Słodki Jezu. – Zaczął bezmyślnie to

powtarzać wystraszonym szeptem.

– Aha – odezwałem się, kiedy dotarliśmy do pokoju przesłuchań. – Mamy naszego Tchórzliwego Lwa. Osłaniaj mnie, Dorotko.

– Później mi przypomnij, żebym spytała, o czym bredzisz – odrzekła Murphy.

Zacząłem otwierać drzwi, ale się powstrzymałem. Tilly był uzbrojony i zapewne miał tyle rozumu, żeby się bać, więc wparowywanie do jego gabinetu nie było najlepszym pomysłem. Stałem obok futryny i zapukałem, wybijając pierwsze takty wesołej piosenki.

Przez dłuższą chwilę nikt nie odpowiadał, aż w końcu ktoś zapukał z drugiej strony, dopełniając rytm.

Przekręciłem gałkę i bardzo powoli otworzyłem drzwi.

– Tilly? – szepnąłem chrapliwie. – Susan?

W pokoju przesłuchań nie było okien, więc panowała tam całkowita ciemność. Tilly pojawił się w progu, osłaniając oczy dłonią.

– Dresden?

– Oczywiście, że tak – odrzekłem. – Susan?

– Jestem tutaj – odpowiedziała w ciemności głosem drżącym ze strachu. – Jestem przykuta do krzesła. Harry, musimy się stąd wydostać.

– Pracuję nad tym – odrzekłem cicho.

– Nic nie rozumiesz. Ta istota, od której pochodzi bębnienie. To pożeracz. Nie da się z nimi walczyć. Trzeba uciekać i mieć nadzieję, że ktoś powolniejszy zwróci ich uwagę.

– Tak, już spotkałem Ika – odrzekłem. – Wolałbym nie powtarzać tego doświadczenia. – Wyciągnąłem rękę do Tilly’ego. – Potrzebuję kluczyków do kajdanek.

Tilly się zawahał wyraźnie rozdarty między poczuciem obowiązku i umiłowaniem porządku a pierwotnym lękiem, który został wzbudzony w budynku. Pokręcił głową, ale miałem wrażenie, że robi to bez przekonania.

– Tilly – odezwała się Murphy. Zwróciła się w jego stronę z zacięłą determinacją. – Zaufaj mi. Proszę, po prostu to zrób. Zginą ludzie, jeśli ta trójka pozostanie w budynku.

Podał mi kluczyki.

Zaniosłem je do Susan, która siedziała na tym samym krześle co ja podczas swojej pogawędki z federalnymi. Miała na sobie ciemne skórzane spodnie i czarny T-shirt. W sytuacji, w której się znalazła, wyglądała dziwnie krucho. Podszedłem i zacząłem jej zdejmować kajdanki.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Zaczynałam się trochę martwić.

– Musieli się dostać przez piwnicę – stwierdziłem.

Pokiwała głową.

– W końcu przedostaną się na górę, piętro po piętrze. Zabiją każdego, kogo się da. Właśnie tak działają. Usuwają cel i pozostawiają wiadomość dla całej reszty.

Tilly pokręcił głową, jakby oszołomiony.

– Przecież... Co takiego? Tak działają niektóre kartele w Kolumbii i Wenezueli, ale...

Susan posłała mu zniecierpliwione spojrzenie i pokręciła głową.

– O czym mówiłam przez ostatni kwadrans?

Usłyszeliśmy myśliwski zew jednego z wampirów – rozległ się na naszym piętrze.

– Są tutaj – szepnęła Susan, masując oswobodzone nadgarstki. – Musimy się wynosić.

Na chwilę znieruchomiałem. Potem odezwałem się cicho:

– Będą dalej zabijać ludzi na kolejnych piętrach, dopóki nie znajdą celu.

Susan energicznie pokiwała głową.

Przygryzłem wargę.

– Więc jeśli uciekniemy... będą szli dalej. Aż do ostatniego piętra.

Murphy obejrzała się na mnie, a potem czujnie zerknęła w stronę korytarza.

– Walczymy?

– Nie wygramy – odrzekłem z przekonaniem. – Nie tutaj, nie na ich warunkach. Mają ogromną przewagę. Ale nie możemy porzucić tych ludzi.

Zaczerpnęła powietrza, po czym powoli je wypuściła.

– Nie możemy – przyznała. – Więc co zrobimy?

– Czy ktoś ma zapasową broń? – spytała Susan.

Kiedy nikt nie odpowiedział, pokiwała głową, odwróciła się w stronę ciężkiego stołu konferencyjnego i przewróciła go jedną ręką. Oderwała masywną stalową nogę, jakby była przytwierdzona szkolnym klejem, a nie wytrzymałymi stalowymi wkrętami.

Tilly wpatrywał się w nią z szeroko otwartymi ustami. Potem szepnął:

– Aha.

Susan machnęła stołową nogą w powietrzu, sprawdzając jej wyważenie, i pokiwała głową.

– To wystarczy.

Stęknąłem.

– Oto nasz plan. Pokażemy się wampirom i Ikowi. Uderzymy w ich pierwszą linię wszystkim, co mamy, i zmieciemy ich z powierzchni ziemi. To powinno zwrócić uwagę całej grupy uderzeniowej.

– Tak – odrzekła Murphy oschle. – Genialne.

Skrzywiłem się.

– Kiedy już się nami zainteresują, ty, Tilly i Rudolph odłączycie się i ruszycie do najbliższego wyjścia ewakuacyjnego. W ostateczności zapewne będziecie mieli większe szanse przetrwania, jeśli wyskoczycie przez okno niż jeśli zostanieie tutaj. Wszystko jasne?

Murphy zmarszczyła czoło.

– A co z tobą?

– Susan, ja i wasi dublerzy przeskoczmy do Nigdynigdy i spróbujemy wciągnąć tam złoczyńców.

– Dublerzy? – zdziwiła się Murphy.

– Tak zrobimy? – zaniepokoiła się Susan.

– Jasne. Potrzebuję twojej krzepy. W końcu jesteś babką ze stali.

– Dobrze – odrzekła Susan, zerkając na mnie, jakbym postradał zmysły, co w sumie było całkiem możliwe. – Co jest po drugiej stronie?

– Nie mam pojęcia – przyznałem, a kiedy dotknąłem klejnotu matki, poczułem, że nigdy nie odwiedziła tego budynku podczas swoich międzywymiarowych podróży. – Miejmy nadzieję, że nie ocean kwasu albo chmura wisząca półtora kilometra nad wielką skałą.

Oczy Susan lekko się rozszerzyły. Potem posłała mi lubieżny uśmiech.

– Cudowny plan.

– Wiedziałem, że ci się spodoba – odrzekłem. – Tymczasem wy troje powinniście wyjść. Czy ten budynek ma zewnętrzne schody przeciwpożarowe?

Rudolph kołysał się w tył i w przód, cicho pojękując. Tilly wciąż sprawiał wrażenie oszołomionego po tym, co pokazała Susan.

Murphy lekko trzepnęła go w tył głowy.

– Hej. Barry.

Tilly potrząsnął głową i popatrzył na nią.

– Schody przeciwpożarowe. Nie.

– Więc znajdźcie klatkę schodową – poleciłem Murphy. – Idźcie cicho i szybko, na wypadek gdyby niektórzy z nich okazali się zbyt tępi, by za mną podążyć.

Murphy pokiwała głową i lekko potrząsnęła Tilly'ego za ramię.

– Hej. Tilly. Zajmiesz się Rudolphem. W porządku? Dopilnuj, by się nie zatrzymywał i nie wpakował pod ostrzał.

Smukły mężczyzna pokiwał głową, początkowo powoli, a potem coraz energiczniej, gdy odzyskał nad sobą panowanie.

– W porządku. Będę jego niańką. Zrozumiałem.

Murphy uśmiechnęła się do niego półgębkiem i zdecydowanie skinęła głową.

– Dobrze – powiedziałem. – Świetny plan, prawda? Pójdę pierwszy, Murph na mojej szóstej, a Susan zabezpiecza tyły.

– Jasne – potwierdziła Susan.

Miarowy rytm pulsującego serca Ika stał się odrobinę głośniejszy.

– W drogę – rzuciłem i ponownie ruszyłem korytarzem. Na moją prośbę Tilly skierował nas w stronę środkowej klatki schodowej, która biegła równolegle do szybów wind, ponieważ uznałem, że zapewne skorzystała z niej większość grupy uderzeniowej, podczas gdy pozostałych schodów mogli pilnować pojedynczy strażnicy.

Napotkaliśmy garstkę zagubionych ludzi, którzy nie wiedzieli, co robić, ale patrzyli na mnie takim wzrokiem, jakby mieli uznać moje rady za niezbyt wiarygodne.

– Tilly – odezwałem się błagalnym tonem.

Pokiwał głową i zaczął do nich przemawiać spokojnym, władcym głosem.

– Padliśmy ofiarą ataku. Tammy, ty, Joe i Mickey udajcie się do jakiegoś gabinetu, w którym jest okno. Zrozumieliście? Okno. Zerwijcie zasłony, wpuście do środka światło, zabarykadujcie drzwi i nie wychodźcie. – Popatrzył na mnie i dodał: – Pomoc już jest w drodze.

Wymieniłem spojrzenia z Murphy, która pokiwała głową. Tilly zderzył się twarzą w twarz z nadnaturalnymi zjawiskami, ale pozbierał się z zadziwiającą sprawnością. A może po prostu się załamał. Czas pokaże.

Pracownicy biurowi pośpiesznie wykonali polecenie Tilly’ego i pobiegli korytarzem w kierunku, z którego przyszliśmy.

Gdybyśmy byli o dziesięć sekund wolniejsi, wampir natrafiłby na nich, a nie na nas.

Usłyszałem wrzask, przenikliwy i straszny, który miał za zadanie przeszyć ofiarę prerażeniem, by wampir mógł się do niej zbliżyć. Ta prosta taktyka wiele mówiła o Czerwonym Dworze. Zwierząt nie da się w taki sposób sparaliżować. Tylko myślący umysł, który usiłuje zrozumieć, co się dzieje, może wpaść w taką psychologiczną pułapkę.

Z kolei o mnie wiele mówił fakt, że byłem na nią całkowicie odporny. Chociaż może to nic wielkiego. Jako Strach na Wróble dowiodłem, że nie mam mózgu, w którym można by mieszać.

Dlatego zamiast bezradnego celu wampir znalazł pole niewzruszonej, niewidzialnej mocy, gdy postawiłem osłonę. I chociaż dysponował nadludzką siłą, nie czyniła go ona masywniejszym. Odbił się od tarczy jak każdy obiekt w kontakcie z przednim zderzakiem auta pędzącego z prędkością osiemdziesięciu albo dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Błysnęło niebieskie światło i wampir runął na ziemię po prawej stronie korytarza, dokładnie na linii strzału Murphy, a ja ponownie ruszyłem naprzód.

Murphy spokojnie wpakowała wampirowi dwie kulki w głowę, czym nieludzko zabrudziła ścianę za jego plecami. Kolejne dwie wpakowała we

wzdęty od krwi brzuch, a ja usłyszałem paskudny, wilgotny odgłos uderzenia.

Tilly na chwilę zamarł, ale Susan go ponagliła. Agent chwycił Rudolpha i pociągnął go za Murphy i za mną.

Kilka kroków dalej znaleźliśmy pierwsze ludzkie zwłoki, młodą kobietę o szklistych oczach pokrytą własną krwią. Za nią leżał na brzuchu mężczyzna w garniturze, a trupy kolejnych dwóch kobiet spoczywały w odległości metra.

Zza uchylonych drzwi ciemnego magazynku niedaleko skrzyżowania korytarzy dobiegł ukradkowy dźwięk. Nie dałem po sobie poznać, że go usłyszałem.

– Wiecie co? – odezwałem się cicho do nikogo konkretnego. – Strasznie mnie to wkurza.

Gwałtownie się obróciłem, unosząc różdżkę, na której rozświetliły się runy.

– *Fuego!* – ryknąłem.

Strzała rozpalonego do białości ognia wyleciała z różdżki i przebiła wewnętrzną ścianę, rozrzucając na boki kawałki materiałów. Przeciągnąłem płomień wzdłuż magazynku na wysokości pasa, przecinając ścianę niczym olbrzymią piłą mechaniczną.

W odpowiedzi na moje starania rozległ się zaskoczony wrzask niehumanoidalnego bólu, a ja natychmiast obróciłem się na pięcie i postawiłem osłonę. Drugi wampir wypadł zza rogu, pomknął na czworakach po ścianie i rzucił się na mnie. Jednocześnie kolejna z gumowatych czarnych istot wyskoczyła z przewodu wentylacyjnego, który powinien być zbyt mały, by ją pomieścić, i opadła niemal pionowo w dół.

Odbiłem pierwszego wampira za pomocą tarczy, podobnie jak kilka chwil wcześniej, a pistolet Murphy szczeknął, gdy tylko stwór odbił się od ściany i spadł na podłogę.

Nie zdołałem podnieść osłony na czas, by powstrzymać opadającego wampira.

Wylądował na mnie całym straszliwym, miękkim ciężarem. Dzięki zmysłom wyostrzonym za sprawą adrenaliny zobaczyłem, jak jego szczęki

rozwierają się koszmarnie szeroko jak u węża. Zalśniły zęby. Czarne pazury na wszystkich czterech kończynach przygotowały się do ciosu, a sześćdziesięciocentymetrowy język również wystrzelił z ust, szukając obnażonej skóry, by zaaplikować mi otępiający jad.

Runąłem na twarz, pośpiesznie zakrywając głowę rękami. Wampir wściekle uderzył pazurami, ale ochronne zaklęcia na moim płaszczu wytrzymały i odbiły cios. Wampir błyskawicznie zmienił taktykę i przerzucił mnie jak kowboj w rodeo powalający cielaka. Próbował smagnąć mnie wijącym się, oślizgłym językiem po odsłoniętej twarzy.

Susan chwyciła język, po czym pojedynczym skrętem nadgarstka i ramion wyrwała go z ust wampira. Ten odrzucił do tyłu łeb i wrzasnął, a moja była ukochana wbiła mu czaszkę w tułów prowizorycznym buzdyganem.

Wampir w magazynku, wciąż niewidoczny, nie przestawał wyc z bólu, gdy wstałem i upewniłem się, że jesteśmy w komplecie.

– Ktoś został ranny?

– Ni-nic nam nie jest – odezwał się Tilly. Jak na człowieka, który właśnie przeżył dwa bliskie spotkania z wymyślonymi istotami, sprawiał wrażenie całkiem przytomnego. Rudolph zamknął się w sobie i tylko kołysał się, płakał i szeptał. – A co z panem, Dresden?

– Wybornie.

Murphy obróciła się w stronę szafy z ponurą miną i pistoletem w dłoni. Pokręciłem głową.

– Nie. Niech wrzeszczy. Ściągnie pozostałych do nas, z dala od ludzi.

Murphy przez chwilę patrzyła na mnie z lekko zmarszczonym czołem, ale w końcu pokiwała głową.

– Boże, jesteś bezlitosny, Harry.

– Już dawno pozbyłem się skrupułów wobec Czerwonych – odparłem.

Ranny wampir wrzeszczał cały czas. Ogień zadaje im poważne obrażenia, gdyż zewnętrzna warstwa ich skóry jest łatwopalna. Mój atak zapewne rozciął go na pół albo w inny sposób zmniejszył masę jego ciała. Wampir zmienił się w dymiącą kupkę cierpienia i wił się na podłodze w takiej agonii, że mógł tylko krzyczeć.

To mi odpowiadało.

– Chyba nie będziemy beczynnie stali? – spytał Tilly.

Z przewodów wentylacyjnych i szybów wind jednocześnie dobiegły dwa wyjątkowo donośne wrzaski, które przeplatały się ze sobą. Były szczególnie przenikliwe i trwały dłużej od pozostałych. W odpowiedzi chór słabszych głosów krótco zawył.

Eebowie, jako generałowie, przesyłali rozkazy swoim oddziałom. Z pewnością koordynowali atak i wysyłali swoich podwładnych do rannego członka grupy.

– Nic z tych rzeczy. No dobrze, ludziska. Murph, Tilly, Rudolph, zmywajcie się. Idźcie za Murphy i róbcie wszystko, co wam rozkaże, jeśli chcecie wyjść z tego żywi.

Murphy się skrzywiła.

– Bądź ostrożny, Dresden.

– Ty też – odpowiedziałem. – Do zobaczenia w kościele.

Energicznie skinęła głową, po czym przywołała Tilly’ego i razem ruszyli korytarzem w stronę jednej z bocznych klatek schodowych. Przy odrobinie szczęścia Eebowie właśnie wysłali wszystkich swoich żołnierzy w moją stronę. Podejrzewałem, że nawet jeśli Murphy i Tilly będą mieli pecha, w najgorszym wypadku zostaną zmuszeni do zmierzenia się z jednym wartownikiem. Szacowałem, że Murphy ma pięćdziesiąt procent szans na wyjście z tego cało. Pół na pół to niezbyt zachęcająca perspektywa, ale o pięćdziesiąt procent wyższa, niż gdyby zostali.

Susan odprowadziła ich wzrokiem, a potem popatrzyła na mnie.

– Ty i Murphy nigdy nie zostaliście parą?

– Musisz teraz o to pytać? – odrzekłem ostro.

– Może zaparzę nam herbaty w wolnej chwili?

Przewróciłem oczami i pokręciłem głową.

– Nie, nie zostaliśmy.

– Dlaczego nie? – spytała.

– Z wielu powodów. Zły moment. Inne związki. Sama wiesz. – Wziąłem głęboki wdech. – Rozglądaj się uważnie. Muszę spróbować czegoś trudnego.

– Jasne – odrzekła Susan. Wróciła do wpatrywania się w ciemność, trzymając pałkę w gotowości.

Zamknąłem oczy i przywołałem siłę woli. Najwyższy czas na prawdziwy opis.

Iluzje są fascynującą dziedziną magii. Istnieją dwa podstawowe sposoby na ich wywoływanie. Można stworzyć obraz i umieścić go w czyjejś głowie. Dany obiekt nie istnieje, ale mózg ofiary podpowiada jej, że fantazmat jest realny. To metoda ocierająca się o granice Praw Magii, ale niekiedy bardzo skuteczna.

Drugi sposób polega na stworzeniu rzeczywistego obiektu albo istoty – czegoś w rodzaju hologramu. Znacznie trudniej powołać go do istnienia, ponieważ wymaga to dużego nakładu energii, a podczas gdy fantazmat wykorzystuje umysł przeciwnika, by zapewnić spójność iluzji, w tym wypadku musisz sam się o to postarać za pomocą holomancji.

Łatwo było stworzyć w umyśle wizerunek Murph, podobnie jak Rudolpha, chociaż przyznaję, że uczyniłem go nieco chudszy i bardziej niechlujnym niż w rzeczywistości. Moja holomancja, moje zasady.

Najtrudniej było z Tillym. Wciąż mieszał się w mojej głowie z aktorem z *Archiwum X*, a końcowy efekt nie robił dobrego wrażenia. Ale musiałem się śpieszyć.

Wyobraziłem ich sobie najwyraźniej, jak potrafiłem, i użyłem woli oraz odrobiny ognia duszy, by stworzyć miraż.

Ogień duszy tak naprawdę nie jest niszczyielską siłą. Tak naprawdę jest odwrotnie. Chociaż używam go podczas walki, by wzmocnić zaklęcia ofensywne, najbardziej pomocny okazuje się podczas stwarzania.

– *Lumen, camerus, factum!* – wyszeptałem i wlałem energię w mentalne obrazy.

Hologramy Murphy, Tilly'ego i Rudolpha zamigotały i pojawiły się tak rzeczywiste, że nawet ja mógłbym je wziąć za prawdziwe.

– Zbliżają się! – zawołała Susan. Odwróciła się w moją stronę i prawie wyskoczyła z butów, gdy zobaczyła iluzje. Przesunęła dłonią przez wizerunek Tilly'ego, który zamigotał. Cicho zagwizdała. – Zbieramy się?

Dudnienie serca Ika gwałtownie przybrało na sile. Czulem jego wibracje przez podeszwy butów.

Wampiry wyroiły się z głównej klatki schodowej, gwałtowna fala

falujących, gumowatych czarnych ciał z czarnymi oczami, plamistymi różowymi językami i lśniąщими kłami. W środku grupy, w cielesnym kamuflażu, szli Esteban i Esmeralda. Górował nad nimi Ik.

Susan i ja obróciliśmy się na pięcie i rzuciliśmy do ucieczki. Trzy iluzje zrobiły to samo, czemu towarzyszyły głośnie tupanie oraz ciężkie dyszenie. Wampiry zawyły jednym głosem i ruszyły za nami.

Biegłem najszybciej, jak potrafiłem, przywołując kolejną porcję siły woli. Powinienem odczuwać zmęczenie, ale tak nie było. Dalej, dalej, faustowski pakcie Gadżeta.

Przywołałem wolę, zawołałem „*Aparturum!*” i przeciąłem prawą dłonią powietrze w korytarzu.

Zużyłem dużo energii, by otworzyć Ścieżkę, która wyrwała szeroką ukośną dziurę w strukturze przestrzeni, przekrzywioną i przesuniętą względem osi korytarza. Zawisała jak osobliwy geometryczny obłok mgły, a ja ją wskazałem, bezgłośnie wołając do Susan. Coś odkrzyknęła i pokiwała głową, podczas gdy wampiry z każdą sekundą coraz bardziej się zbliżały.

Oboje zaczęliśmy wrzeszczeć pod wpływem dzikiego strachu i przyływu adrenaliny, po czym pędem wpadliśmy na Ścieżkę.

Przebiliśmy się i znaleźliśmy... w powietrzu.

Runąłem w dół z krzykiem przekonany, że właśnie podjąłem ostatnie rozpaczliwe ryzyko w swoim życiu, ale po niecałej sekundzie moje wymachujące kończyny uderzyły o kamień i przetoczyłem się po twardym podłożu. Podniosłem się na nogi i puściłem biegiem przez przestronną jaskinię, a Susan pognała za mną.

Nie dotarliśmy daleko. Z ciemności wyłoniła się ściana, przed którą z trudem wyhamowaliśmy.

– Jezu – wydyszała Susan. – Czyżbyś trenował?

Odwróciłem się z bojową różdżką w pogotowiu, czekając, aż pojawi się pierwszy ze ścigających nas wampirów. Słyszeliśmy wrzaski, zawodzenie i skrobanie pazurów, ale żaden nie wyłonił się z cienia.

Co... nie mogło świadczyć o niczym dobrym.

Susan i ja staliśmy oparci plecami o ścianę, niepewni, co dalej robić. Nagle wokół nas zaczęło się jarzyć zielone światło.

Powoli przybierało na sile, docierało znikąd i zewsząd jednocześnie, a po kilku chwilach uświadomiłem sobie, że nie jesteśmy w jaskini. To była sala. A dokładniej średniowieczna sala biesiadna. Zobaczyłem rozdzielone przejściami dwa rzędy stołów na kozłach ciągnące się przez całą długość pomieszczenia, czyli ponad sto metrów. Przy stołach siedziały... istoty.

Dostrzegałem między nimi osobliwe podobieństwo, chociaż każda była inna. Miały mniej więcej humanoidalny kształt. Były ubrane w stroje z tkaniny i skóry oraz zbroje, ozdobione dziwacznymi geometrycznymi kształtami w kolorach, które z trudem dało się odróżnić od czerni. Widziałem stwory wysokie i wychudzone, przysadziste i muskularne, średniej wielkości, w pełnej gamie kształtów i rozmiarów. Niektóre miały olbrzymie uszy, inne były ich pozbawione, jeszcze inne miały obwisłe podbródki. Żadna z istot nie była piękna ani symetryczna. Łączyła je niedoskonałość; ciało każdej z nich toczyło estetyczną wojnę z samym sobą.

Jedno pozostawało niezmiennie: wszystkie miały lśniąco czerwone oczy, a ja nigdy nie widziałem tak złowroziej bandy.

Miały ze sobą jeszcze coś wspólnego. Wszystkie były uzbrojone w noże, miecze, topory i inne, jeszcze prymitywniejsze rodzaje oręża.

Susan i ja pobiegliśmy przejściami między stołami. Zapewne wystraszyliśmy naszych gospodarzy, którzy zdążyli zareagować dopiero na drugą grupę intruzów. Kilka największych istot, które musiały ważyć co najmniej pół tony, zważyło się na Ika i przygwoździło go do ziemi. W pobliżu kłębiła się grupa wampirów zaplątanych w sieci wykonane z materiału, który przypominał elastyczny drut kolczasty.

Tylko Esteban i Esmeralda stali na własnych nogach, oparci o siebie plecami, pomiędzy Ikiem a spętanymi podwładnymi. Na zbryzganej krwią kamiennej posadzce leżały dwie z miejscowych istot.

– Jezu – szepnęła Susan. – Co to za stwory?

– To... – Przełknąłem ślinę. – To chyba gobliny.

– Chyba?

– Jeszcze nigdy ich nie widziałem – odrzekłem. – Ale... pasują do znanych mi opisów.

– Nie powinniśmy być w stanie poradzić sobie z milionem ich?

Parsknąłem.

– Tobie też podobały się te filmy?

W odpowiedzi uśmiechnęła się smutno.

– Tak, ja też myślałem o tobie, gdy je oglądałem – dodałem i pokręciłem głową. – Niestety w tej kwestii folklor się myli. Ci goście to zabójcy. Są podstępni, bystrzy i bezwzględni. Jak ninja. Tylko z Kryptonu. Sama zobacz, co zrobili.

Susan przez chwilę patrzyła na powaloną grupę uderzeniową z Czerwonego Dworu. Widziałem, jak w jej głowie obracają się kółka zębate, gdy analizowała, co spotkało wampiry oraz Ika, w ciągu kilku sekund, w całkowitej ciemności i ciszy.

– Eee, w takim razie lepiej bądźmy dla nich mili, co? – Schowała pałkę za plecy i przywołała na usta klasyczny uśmiech dziennikarki, którego używała do rozbrajania wrogich rozmówców.

Nagle coś mi przyszło go głowy.

Coś naprawdę straszliwego.

Powoli się obróciłem. Popatrzyłem na ścianę, o którą się opierałem.

A potem podniosłem wzrok.

To wcale nie była ściana. To był podest. Duży. Na nim stał potężny kamienny tron.

A na tronie siedział mężczyzna w czarnej zbroi, zakryty od stóp do głów. Był ogromny, miał co najmniej dwa i pół metra wzrostu i szczupłą, wysportowaną sylwetkę, pomimo zbroi. Hełm osłaniał jego głowę i skrywał twarz w ciemności, a z niego sterczały wielkie i ostre rogi, chociaż nie wiedziałem, czy stanowią ozdobę, czy wyrastają z czaszki. W wizurze hełmu widziałem nieruchome czerwone oczy, które pasowały do tysięcy innych w sali.

Nachylił się, Władca Goblinów z Krainy Elfów, przywódca Dzikiego Gonu, koszmar z legend i towarzysz Królowej Powietrza i Ciemności, samej Mab.

– No proszę – mruknął Król Goblinów. – Proszę, proszę, proszę. Czyż to nie ciekawe?

Podniosłem wzrok i z typową dla siebie błyskotliwością powiedziałem:

– O kurczę.

Z ust Króla Goblinów wydobył się donośny chichot, który poniósł się echem po sali, odbijając się od ścian, niczym subtelna harmonijna muzyka. Jeśli jeszcze miałem jakieś wątpliwości, że stoję w samym sercu mocy króla, ten śmiech i sposób, w jaki cała sala na niego odpowiedziała, ostatecznie mnie ich pozbawił.

– Wygląda na to, mój ludu, że mamy gości.

Chichot znów dobył się z tysięcy gardeł, a w złowrogich czerwonych oczach błysnęła wesołość.

– Przyznaję, że to... wyjątkowe wydarzenie – odezwał się Król Goblinów. – Nie przywykliśmy do odwiedzin. Mam nadzieję, że cierpliwie zaczekacie, aż odkurzę dawne zasady gościnności.

Gobliny ponownie się roześmiały. Miałem wrażenie, że ten dźwięk bezpośrednio drażni nerw, który sprawia, że włoski na moich rękach stają dęba.

Król wstał, szybko i bezgłośnie, pomimo zbroi i swojego ciężaru, po czym zszedł z podestu. Okrążył nas, górując nad nami, a ja zauważyłem potężny miecz u jego boku. Głowica i rękojeść były najeżone ostrymi metalowymi wypustkami, które wyglądały jak ciernie. Przez chwilę nam się przyglądał, a potem zrobił coś, czym mnie zaskoczył.

Najpierw zdjął hełm. Okazało się, że rogi są przytwierdzone do ciemnego metalu. Przygotowałem się na straszny widok, ale... Władca Goblinów nie wyglądał tak, jak się spodziewałem.

Na jego obliczu odbijały się ohydne asymetrie pozostałych goblinów, tyle że w odmienionej postaci. Chociaż miał nieregularne rysy, nie robiły one odpychającego wrażenia, lecz nadawały mu zawadiacki charakter.

Zakrzywiony nos nie wyglądał jak wrodzona cecha, ale coś, na co sobie zapracował. Dawne, blade blizny szpecące jego twarz dodawały mu wdzięku. Stojąc przed Królem Goblinów, miałem wrażenie, że patrzę na dzieło prawdziwego rzeźbiarskiego mistrza, być może stworzone z kawałka powykrećanego drewna wyrzuconego na brzeg morza, który sam w sobie był osobliwie piękny, a cierpliwe ręce artysty wygładziły go i uczyniły czymś unikatowym.

Ta twarz, sama jej obecność, promieniowała mocą. Wyczuwało się to w powietrzu, napięcie i koncentrację drapieżcy, który rzadko wypuszcza z rąk ofiarę.

Po raz drugi mnie zaskoczył, gdy uklonił się z nieludzką elegancją, ujął dłoń Susan i musnął ustami wierzch jej palców. Susan patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, bardziej oszołomiona niż przestraszona, nie przestając się uśmiechać.

– Moja łowczyni – odezwał się. – Otacza cię woń świeżej krwi. Pasuje do twojej natury.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się, pokazując zęby, które były białe, proste i równe, a ja prawie się wzdrygnąłem. Król Goblinów miał ze mną rachunki do wyrównania. Musiałem szybko obmyślić jakiś plan, w przeciwnym razie byłbym trupem.

– Jest także nowy Rycerz Zimy – ciągnął. – Prawie wpadłeś w moje sidła w Arctis Tor, gdy ogry doścignęły cię na stokach. Zabrakło kilku tuzinów uderzeń serca, żebyś odszedł... – Pokręcił głową. – Intrygująca z ciebie ofiara, panie Rycerzu.

Ukloniłem się, starając się okazać szacunek.

– Dziękuję za komplement, o królu – odrzekłem. – Chociaż znalazłem się tutaj za sprawą przypadku, nie zamysłu, uniżenie dziękuję za szczodrość, z jaką nas przyjąłeś. Mój gospodarzu.

Król Goblinów lekko przekrzywił głowę, a potem na jego ustach ponownie pojawił się rozbawiony uśmiech.

– Ach, widzę, że wpadłem w sidła własnych słów. Kurtuazja nie jest moją bliską towarzyszką, nic więc dziwnego, że masz przewagę na froncie manier. Ale w tej sali wysławia się spryt i mądrość na równi z siłą.

Jego słowa wywołały pomruk wśród goblinów, ponieważ właśnie zdobyłem się na niezwykłą bezczelność. Wparowałem do sali biesiadnej największego myśliwego w Królestwie Elfów – praktycznie kładąc się na tacy z jabłkiem w zębach – a potem wykorzystałem jego drobne przejęzyczenie, by odwołać się do starożytnych praw, które zapewniały nietykalność gościom, zmuszając go, jako gospodarza, do ich przestrzegania. Już o tym wspominałem. Zwyczaje dotyczące gościnności są niezwykle ważne dla tych ludów. To szalone, ale taka jest ich natura.

Z szacunkiem skłoniłem głowę, zamiast powiedzieć coś w stylu: „Rany, nieczęsto się zdarza, żeby zwykły człowiek wywiódł w pole elfa”. To dowodziło, że nie jestem całkowicie pozbawiony umiejętności dyplomatycznych.

– Nie chcę korzystać z twojej gościnności dłużej niż to konieczne, Władco Myśliwych. Jeśli pozwolisz, czym prędzej odejdziemy i nie będziemy cię więcej niepokoić.

– Nie słuchaj go, o królu – usłyszałem wyraźny kobiecy sopran. Bez trudu rozpoznałem Esmeraldę. – Wypowiada te słodkie słowa zatrutym językiem i zamierza cię oszukać.

Król Goblinów obejrzał się na parę wampirów, które wciąż stały na własnych nogach, pomimo wysiłków goblinów, które je zaatakowały. Przez kilka sekund przyglądał się im w milczeniu, a zobaczywszy poległe gobliny u ich stóp, skłonił głowę.

– Łowcy z Czerwonego Dworu, mówcie dalej. Słucham. Powiedzcie mi więcej.

– Ten mag to zaiste zmyślna zwierzyna – rzekł Esteban. – Zapędzony w kozi róg i pozbawiony wszelkich szans, poza haniebną ucieczką przed godnym zakończeniem łowów, z pełną premedytacją sprowadził nas tutaj, na twoje włości, by wykorzystać cię, o królu Elfów, do pokonania własnych wrogów.

– Polując na lisa, należy mieć się na baczności, by nie wbiec za nim do gawry niedźwiedzia – odparł król. – Każdy myśliwy powinien to wiedzieć.

– Mądre słowa, Królu Goblinów. Ale swoim działaniem mag zamierza wciągnąć cię w wojnę między swoim ludem a naszym, gdyż polujemy na

niego na rozkaz naszego pana w ramach prawowicie wypowiedzianej wojny.

Król zmrużył czerwone oczy i zerknął na mnie. Jego kolejne słowa były podszyte gniewem:

– Nie wymagam od innych istot niczego poza polowaniem w moim imieniu zgodnie z odwieczną tradycją. Dlatego zapowiadam ci, panie Rycerzu, że jeśli słowa tej łowczyni okażą się prawdą, ciebie i twoich ludzi czeka surowa kara, o której Moce będą szeptaly z przerażeniem przez tysiąc lat.

Przełknąłem ślinę. Przez chwilę się zastanawiałem. Potem uniosłem głowę i odezwałem się spokojnym głosem:

– Daję ci moje słowo, jako Rycerz Zimowego Dworu, że nie miałem takiego zamiaru, gdy tutaj przybyłem. Sprowadził nas tutaj przypadek, o Królu Goblinów. Przyrzekam na swoją moc.

Wiekowa istota wpatrywała się we mnie jeszcze przez kilka sekund, a jej nozdrza falowały. W końcu król powoli podniósł wzrok i skinął głową.

– A zatem za sprawą moich troskliwych gości muszę się zmierzyć z zagadką – odezwał się dudniącym głosem. Przeniósł wzrok z Eebów i ich armii na Susan i mnie. – Cóż mam z wami uczynić? Nie zamierzam zachęcać nikogo do takich wizyt. – Skrzywił się z niesmakiem. – Teraz już pamiętam, dlaczego nie zwracam takiej uwagi na kurtuazję jak sidhe. Oni uwielbiają takie sytuacje. Mnie one szybko powszednieją.

Wtedy odezwał się bardzo duży i potężny goblin stojący z przodu sali.

– Mój władco, skaż ich wszystkich na sąd krwi. Są intruzami w twoim królestwie. Umieść ich głowy na swoich bramach jako ostrzeżenie dla ich naśladowców.

W tłumie goblinów rozległy się pomruki poparcia.

Król przez chwilę rozmyślał nad tą propozycją.

– Albo sprowokuje to kolejnych intruzów – wtrąciłem. – Zniknięcie sług króla Czerwonego Dworu z pewnością nie pozostanie niezauważone. Także Biała Rada magów będzie miała coś do powiedzenia na temat mojego zniknięcia. Nie wspominając o reakcji Mab. Od niedawna pełnię swoją funkcję, więc jeszcze nie zdążyła się mną znudzić.

Król Goblinów machnął ręką.

– Nic z tego. Rycerz złapał mnie za słowo. Są moimi gośćmi, Lordzie Ordulaka, a ja nie mam zamiaru wystawiać na szwank swego honoru, zrywając odwieczną umowę. – Zmrużył oczy. – Mmm... Są moimi gośćmi. Może powinienem ich potraktować z większą kurtuazją. Nalegać na to, by pozostali moimi gośćmi, ciesząc się moją opieką i rozlicznymi rozrywkami przez kolejne stulecie. – Posłał mi lodowaty uśmiech. – W końcu jesteście pierwszymi gośćmi w moich włościach. Poczulbym się wielce urażony, gdybyście nie pozwolili mi należycie was uhonorować.

Eebowie wymienili spojrzenia, a następnie skłonili głowy przed Królem Goblinów.

– Szczodry gospodarzu, wielki to dla nas zaszczyt – odezwał się Esteban. – Chętnie pozostaniemy w twojej gościnie tak długo, jak uznasz to za stosowne.

– Harry – syknęła Susan.

Nie musiała niczego wyjaśniać. Nawet kilkugodzinna zwłoka mogła doprowadzić do śmierci Maggie.

– Szlachetny gospodarzu – powiedziałem. – Miałbyś do tego pełne prawo, zważywszy na... niespodziewaną naturę naszej wizyty. Ale nalegam, abyś wziął pod uwagę moje zobowiązania wobec Lady Mab. Otrzymałem od niej zadanie, które nie cierpi zwłoki. Opiera się ono na wydarzeniach w świecie śmiertelników, więc jeśli skorzystasz ze swoich przywilejów gospodarza, ucierpi na tym mój honor. Wiem, że jako mój gospodarz nie chciałbyś do tego dopuścić.

Król Goblinów popatrzył na mnie z mieszanką rozdrażnienia i rozbawienia.

– Niewielu Rycerzy Zimy dzierżyło miecze równie szybkie jak twój język, chłopcze. Ale ostrzegam cię: jeśli po raz trzeci wypowiesz imię swojej Pani, nie spodoba ci się konsekwencje.

Nawet o tym nie pomyślałem. Na dzwony piekieł, miał rację. Wypowiadając imię Mab w Nigdyningdy, rzeczywiście mogłem ją przywołać. Wtedy nie tylko stałabym się intruzem w krainie innego władcy, który mógłby mieć nad nią kontrolę, ale też niewątpliwie wściekłaby się na pewnego przepracowanego maga, który ją sprowadził. Starcie takich potęg mogło się

okazać niebezpieczne, a nawet śmiercionośne.

Ponownie skłoniłem głowę.

– Oczywiście, mój gospodarzu.

Z cienia wyłonił się półtorametrowy goblin, tak smukły, że mógłby go przewrócić silny podmuch wiatru, i nieśmiało podniósł hełm króla. Już chciał się z nim oddalić, ale zatrzymał się i przemówił nieprzyjemnym szeptem:

– Wszyscy jesteśmy drapieżcami, mój panie. Niech spór rozstrzygnie próba krwi.

Król Goblinów rozpostarł ręce, jakby takie rozwiązanie powinno być oczywiste dla wszystkich obecnych.

– Oczywiście, Rafforucie. Po raz kolejny doskonale się spisałeś.

Wątyły goblin zgiął się w ukłonie i wycofał w cień z ustami wykrzywionymi uśmiechem.

– Aha – mruknąłem. – Psiakrew.

– Co się stało? – spytała Susan.

Odwróciłem się w jej stronę, zamierzając odpowiedzieć szeptem dostosowanym do jej nadludzkiego słuchu, w nadziei, że gobliny nie mają jeszcze bardziej wyczulonych zmysłów.

– Król Goblinów nie może nas skrzywdzić ani pozwolić, by spotkało nas coś złego, dopóki jesteśmy jego gośćmi. To samo dotyczy Czerwonych. Ale skoro pojawiła się między nami różnica zdań, którą należy rozstrzygnąć, może zarządzić pojedynek, by się przekonać się, kto ma rację, a przynajmniej jest bardziej przekonany do swojej wersji wydarzeń.

Susan szerzej otworzyła oczy, gdy to do niej dotarło.

– Jeśli nie będziemy walczyli o swoją wersję, uzna, że to Eebowie mają rację.

Pokiwałem głową.

– Wtedy będzie mógł ogłosić, że nadużyliśmy jego gościnności – odrzekłem. – W takim wypadku będzie mu wolno nas zabić, zapewne bez żadnych konsekwencji.

– Przecież powiedziałaś...

– M... Królowa Zimy o mnie nie dba – odparłem. – Być może będzie

rozdrażniona, ale za tydzień o mnie zapomni.

– Ale Rada...

– Stwierdziłem, że będą mieli coś do powiedzenia na temat mojego zniknięcia. Nie mówiłem, że będą niezadowoleni.

Susan jeszcze szerzej otworzyła oczy.

– A zatem próba umiejętności – odezwał się Król Goblinów. – Starcie. Rycerz i łowczyni przeciwko dwójce łowców z Czerwonego Dworu. Wybierzcie, kto stanie w waszym imieniu. – Klasnął w dłonie, co zabrzmiało jak strzał z niewielkiej armaty. – Przygotować salę.

Gobliny zerwały się na nogi i sprawnie odsunęły stoły na kozłach. Inne zaczęły drapać kamienie gołymi rękami o czarnych paznokciach. Wyrywały je jak mokrą ziemię, szybko tworząc rozległy krąg w posadzce, rów szeroki i głęboki na piętnaście centymetrów o średnicy trzydziestu albo czterdziestu metrów.

– Nie jesteśmy odpowiednio uzbrojeni do takiej walki, mój gospodarzu – zaprotestowałem. – Tymczasem Czerwoni łowcy są w pełni przygotowani do bitwy.

Król ponownie rozpostarł ramiona.

– Są uzbrojeni w to, co uznali za niezbędne podczas polowania. Prawdziwy łowca zawsze jest gotowy na to, co może mu przynieść świat. A może chcesz powiedzieć, że nie jesteście łowcami?

– Nie – natychmiast odrzekła Susan. – Oczywiście, że jesteśmy.

Król Goblinów popatrzył na nią i z uznaniem pokiwał głową.

– Cieszę się zatem, że jesteście odpowiednio uzbrojeni. – Zerknął na Eebów, którzy omawiali coś wściekłym szeptem. – Spokojnie, chłopcze, byłeś tak wygadany, że chętnie bym cię nakarmił i odesłał w dalszą drogę, gdyby nikt cię nie ścigał. Ale nie zamierzam bez powodu wzbudzać gniewu Władców Zewnętrznej Nocy. Wojna z nimi byłaby marnotrawstwem okazji do wielu doskonałych polowań. – Wzruszył ramionami. – Udowodnijcie, że jesteście godni, a będziecie mogli odejść.

Odchrząknąłem.

– A co się wtedy stanie z... twoimi drugimi gośćmi?

Król Goblinów nie uśmiechnął się ani w żaden inny sposób nie zmienił

wyrazu twarzy, ale nagle zrobiło mi się tak nieswojo, że zapragnąłem odsunąć się jak najdalej.

– Moje królestwo jest gotowe na przyjęcie wszelkiego rodzaju przybyszów. W tych jaskiniach znajdują się sale wypełnione zmyślnymi urządzeniami, które powstały dla uciechy mojego ludu, a którym brakuje tylko odpowiednich... uczestników.

– Co się stanie, jeśli przegramy? – spytała Susan.

– Jeśli los okaże się łaskawy, zginiecie podczas próby. A jeśli nie... – Wzruszył ramionami. – Niektórzy z moich pobratymców – na przykład Rafforut – z olbrzymią chęcią wypróbują wszystkie sale mojego królestwa. Zapewnicie im rozrywkę, dopóki będziecie przytomni. Co może potrwać bardzo, bardzo długo.

Susan przez chwilę patrzyła na króla.

– A więc do dzieła – odezwała się w końcu. – Ja także mam swoje zobowiązania.

Skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz, łowczyni. Panie Rycerzu, pani, zapraszam do kręgu. Ruszyliśmy w jego stronę, idąc ramię w ramię.

– Jak to zrobimy? – spytała.

– Szybko i ostro.

– Wiedziałam, że właśnie tak lubisz – odrzekła drwiąco.

Parsknąłem szczerym śmiechem.

– Myślałem, że to ja potrafię myśleć tylko o jednym.

– Kiedy byliśmy młodszy, owszem – odparła. – Ale teraz role się odwróciły.

– Ty też lubisz szybko i ostro?

Posłała mi szelmowskie i bardzo gorące spojrzenie spod ciemnych rzęs.

– Powiedzmy, że czasami ma to swoje zalety. – Zakręciła kilka młynków nogą od stołu.

Wciąż na nią patrzyłem. Przystanęła i pytająco uniosła brew.

Moja matka chrzestna podsunęła mi sposób na uwolnienie Susan od istoty, która pożarła połowę jej jestestwa i pragnęła mojej krwi. Bractwo Świętego Idziego od stuleci bezskutecznie poszukiwało takiego lekarstwa. Możliwe, że przy odrobinie wysiłku mógłbym to dla niej zrobić, oddać jej

kontrolę nad własnym życiem.

Ale nawet wtedy nie moglibyśmy być razem. Nie po tym wszystkim.

Mab była wystarczająco groźna... ale, na dzwony piekieł, zapomniałem, że jej zastępczyni, Maeve, Zimowa Panna, jest jeszcze bardziej szalona. A do tego bardziej małostkowa, złośliwa i skłonna do bawienia się moimi bliskimi.

Ciekawe, ile minie czasu, nim zatracę swoją tożsamość? Kilka tygodni? Miesiący? Ani Mab, ani Maeve nie będą chciały, żebym pozostał sobą. Zastanawiałem się, czy kiedy stanę się tym, w kogo zachce im się mnie zmienić, będą mnie dręczyły wspomnienia o tym, kim byłem i co dla mnie znaczyli inni ludzie.

– Brakuje mi ciebie – powiedziałem.

Spuściła wzrok i zamrugła. Potem uśmiechnęła się do mnie niepewnie i uroniła pojedynczą łzę, jakby nie robiła tego od dłuższego czasu i musiała sobie przypomnieć, jak tego dokonać.

– Brakuje mi naszych żartów – odrzekła.

– Jak mogłaś to zrobić? – spytałem cicho. – Jak mogłaś mi o niej nie powiedzieć?

– Wyrываяjąc część siebie – odparła. – Wiem, że źle zrobiłam. Od razu to wiedziałam oraz że... pewnego dnia będę tego żałowała. Ale musiałam zadbać o jej bezpieczeństwo. Nie proszę, żebyś mi przebaczył. Tylko... tylko zrozumiał.

Przypomniałem sobie tamtą chwilę bezruchu i wyboru przy Kamiennym Stole.

– Tak – odrzekłem. Dotknąłem jej twarzy opuszkami palców. Potem nachyliłem się i pocałowałem ją w czoło. – Rozumiem.

Podeszła bliżej i się przytuliliśmy. Wydawała się zaskakująco smukła i krucha w moich ramionach. Staliśmy tak przez chwilę, obawiając się tego, co nas czeka. Usiłowaliśmy ignorować setki czerwonych oczu, które nas obserwowały. Mniej więcej nam się udało.

W rozległej sali zagrzmiało kolejne klaśnięcie.

– Czerwoni łowcy – odezwał się Król Goblinów. – Niech wasi wybrani wojownicy wejdą do kręgu, w przeciwnym razie próba zakończy się waszą

porażką.

– No dobrze – powiedziałem. – Eebowie to twardy orzech do zgryzienia, ale możemy sobie z nimi poradzić. Zazwyczaj polegają na podstępach, a to będzie bezpośrednie starcie. Trafię ich czymś i dam ci wystarczająco dużo czasu, żebyś się zbliżyła. Bierz tego, który będzie po lewej stronie. Jeśli przesuniesz się za daleko na prawo, znajdziesz się na mojej linii strzału, więc tego nie rób. Ty zdzielisz jednego, ja spalę drugiego, a potem kupimy pamiątkowe kubki do kawy.

– Rzuciłam kawę – odrzekła Susan. – No wiesz, ze względu na kofeinę. Popatrzyłem na nią z udawanym obrzydzeniem.

– Ty poganko.

– Dobrze! – zawołała Esmeralda z drugiej strony kręgu. Wskazała jednego z wampirów uwięzionych pod siecią goblinów. – Ty. Ty się tym zajmij.

Drobna kobieta podeszła zniecierpliwionym krokiem do uwięzionego wampira, który wyglądał ohydnie w swojej prawdziwej postaci, i przecięła dziwny materiał siatki paznokciami, uwalniając jeńca. Bezceremonialnie wepchnęła wampira do kręgu.

Jeden z jej żołnierzy? W porządku. Może być łatwiej, niż sądziłem.

Spokojnym krokiem zbliżył się Esteban.

Towarzyszyło mu powoli przyśpieszające dudnienie serca pożeracza, który górował nad Estebanem, straszliwy i wygłodniały. Na komendę wampira wgramolił się do kręgu, wpatrując się w nas czarnymi ślepiami z niepokojącą intensywnością. Może tylko mi się wydawało, ale miałem wrażenie, że Ik szykuje się, żeby wziąć odwet.

– O cholera – odezwała się Susan bardzo cicho.

– Kiedy okrąg zostanie zamknięty, rozpocznie się próba – oznajmił król donośnym barytonem. – Dobiegnie ona kresu, gdy jedna ze stron zostanie zneutralizowana. Czy wojownicy Czerwonych łowców są gotowi?

Wszystkie wampiry zawyły, nawet Ik zasyczał bulgotliwie jak przepelniony czajnik.

– Co zrobimy? – wyszeptala Susan rozpaczliwie.

Nie miałem pojęcia.

– Zajmij się pętkiem – powiedziały moje usta. – Ja wezmę na siebie

pożeracza.

– Jasne – odrzekła, wytrzeszczając oczy. – Jasne.

Król Goblinów pojawił się obok kręgu, w połowie odległości między obiema parami wojowników.

– Rycerzu! Czy ty i łowczynie jesteście gotowi?

Oboje energicznie przytaknęliśmy, chociaż wbijaliśmy wzrok w przeciwników, a nie w króla. Zacząłem przywoływać siłę woli i po chwili poczułem moc, która kłębiła mi się w brzuchu i piersi oraz osobliwie zwiększała ciśnienie za oczami.

Król Goblinów dobył miecza i podniósł go wysoko, a wszystkie gobliny ryknęły. Ostrze zapłonęło zielonym ogniem, potem król opuścił miecz, wbijając jego czubek w wykopany krąg.

Zielony ogień goblinów buchnął w górę z jękiem, wzbijając w powietrze obłoki cuchnącego dymu. Płomienie pomknęły po obwodzie kręgu w obu kierunkach i spotkały się po przeciwnej stronie.

Susan wrzasnęła. Ja też. Wampir wrzasnął. Ik... zbulgotał jak czajnik.

A potem spróbowaliśmy pozabijać się nawzajem.

Wampiry oraz Iki są szybkie, ale już kiedyś pojedykowałem się z takimi istotami. Podobnie jak apokryficzny Loki, moi byli przeciwnicy przekonali się, że niezależnie od tego, jak jesteś szybki, nie wyprzedzisz myśli.

Zakłęcie, które trzymałem w pogotowiu, odpaliło, zanim nasi wrogowie zdolali ruszyć się choćby o krok. Surowa moc trysnęła z wyciem z mojej wyciągniętej dłoni, ale nie pomknęła w stronę Ika. W nagłym przebłysku inspiracji postanowiłem skierować ją w stronę wampira, który trzymał się nieco z tyłu. Wampir całkiem sprytnie liczył na to, że zdoła skryć się w cieniu pożeracza, gdy rozpocznie się walka.

Wykrzyknąłem „*Forzare!*” i nieskrępowana siła woli spadła na wampira z góry pod kątem, tuż pod stopami Ika.

Jeśli nie masz broni, dzięki której mógłbyś przeciwstawić się wrogowi, znajdź sposób na to, by sam wróg stał się twoją bronią. Jeśli ci się uda, zrobisz niezwykle wrażenie.

Wampir runął pod nogi Ika przy wtórze piskliwego zawodzenia i chrzęstu, a z jego ciała trysnęły paskudne płyny. Potężna istota potknęła się i zaplątała w gumowate, falujące kończyny wampira, po czym zwała się na ziemię. Jej serce wściekle dudniło, gdy ze złością zamachnęła się na przeszkodę, nie zastanawiając się, co właściwie niszczy.

Susan niemal natychmiast dostosowała się do sytuacji i z niezwykłą szybkością dopadła powalonego Ika. Zanim zdążył odzyskać równowagę, błyskawicznie uderzyła go pałką w czaszkę, aż ta odbiła się od podłoża.

Ik ledwie poczuł cios i natychmiast ciął Susan pazurami, ale ona zdążyła wybić się w powietrze i podkurczając kolana, przeskoczyła nad pożeraczem, czym wzbudziła ryk uznania wśród obserwujących goblinów. Wylądowała z poślizgiem jak baseballista i pomknęła naprzód po zbryzganym krwią kamieniu, po drodze chwytając leżącego wampira za gardło.

Pokierszowane ciało odłączyło się od Ika, tracąc przy tym kilka kończyn. Wampir miotał się bezsilnie, spowalniając Susan, która wyhamowała zaledwie kilka centymetrów przed zielonym płomieniem okalającym krąg.

Ik okręcił się i z trudem wstał, przygotowując się do ruszenia w pogoń, ale wtedy uniosłem różdżkę, warknąłem „Fuego” i strzeliłem w potwora całą mocą, jaką udało mi się zogniskować. Niebiesko-biały płomień, oślepiająco jasny na tle bladozielonego ognia króla, wywołał okrzyk zaskoczenia i niezadowolenia u goblinów. Ogień trafił Ika i wyrwał z jego pleców wielki jak arbuza kawałek czarnego, gumowatego ciała. Stwór wygiął się do tyłu tak gwałtownie, że prawie dotknął czubkiem głowy kręgosłupa, tracąc przy tym równowagę i ślizgając się na krwi wampira.

Kiedy to się stało, kątem oka zerknąłem na Susan. Na wpół zmiażdżony, na wpół rozczłonkowany wampir zadawał rozpaczliwe ciosy pazurami i kłami, wściekle walcząc o życie.

Susan otrzymała mocny cios w bok głowy, a kiedy się obróciła, miała rozkrwawioną wargę i wyszczerzone zęby, a ciemne zawijasy i ostre krawędzie tatuaży zaczynały rozprzestrzeniać się po jej twarzy jak czarny tusz wkroplony do wody. Upuściła prowizoryczną pałkę, chwyciła wampira obiema rękami za szyję i ze spokojną precyzją wepchnęła jego głowę w zielony ogień.

Płomień pochłonął wampira w obłoku krwawej eksplozji. Chociaż przypominał zwykle ognisko, w środku panowała temperatura jak we wnętrzu słońca. Czaszka wampira po prostu przestała istnieć przy wtórze wycia parujących płynów. Kawałeczki kości pofrunęły na wszystkie strony jak odłamki pocisku, otaczając Susan i konającego wampira olbrzymią, mroczną, cuchnącą chmurą.

– Susan! – zawołałem i odskoczyłem na bok, żeby przypadkiem nie wcelować w ten obłok.

Trafiłem pozeracza, znacząc jedną z jego rąk niewielką bruzdą, spudłowałem przy trzecim strzale, ale dosięgłem stwora czwartym uderzeniem płomienia, zostawiając na jego biodrze oparzenie szerokie jak moje udo. Rytm jego serca potężnie pulsował, jak podwójna stopa w zespole speedmetalowym. Moje ciosy najwyraźniej tylko rozwścieczały stwora, który

ruszył naprzód, zamierzając przyprzeć mnie do ognistego kręgu i uniemożliwić mi ucieczkę przed jego chciwymi pazurami.

Jednakże cios w łepetynę albo jeden z moich wystrzałów najwyraźniej spowolnił Ika. Pobiegłem w bok pod kątem, by uniknąć pożeracza, i zdołałem uciec przed jego atakiem, wyprzedzając potwora i nie pozwalając schwytać się w potrzask.

Kiedy biegłem, na moje usta wypłynął szeroki uśmiech. Posłałem serię strzałów w nogi Ika, żeby jeszcze bardziej go spowolnić. Trafiłem tylko co czwartym uderzeniem, ale pozostałe ogniste pociski rozbiły się o zielone płomienie w oślepiających eksplozjach światła. Adrenalina wyostrzyła mi zmysły, dzięki czemu wszystkie obrazy i dźwięki docierały do mnie z lodowatą jasnością. Nagle dostrzegłem słaby punkt pożeracza.

Chociaż ciężko się było zorientować po jego nieludzkich ruchach, uświadomiłem sobie, że lekko oszczędza jedną stronę ciała. Podbiegłem, żeby lepiej się przyjrzeć, i niemal straciłem głowę w kontakcie z potężną pięścią, ale zauważyłem, że Ik jest ranny w jedną nogę, z tyłu uda, gdzie czarne ciało było poskręcane i uszkodzone. Gdyby chodziło o skórę i tkankę śmiertelnej istoty, uznałbym, że to skutek poważnego oparzenia – pod warunkiem, że dokonałby go przedmiot gorący jak stopiony metal i ukształtowany jak zęby Myszka. Pies fo dobrał się do Ika podczas spotkania z Thomasem i zadał obrażenia, które mogły okaleczyć stwora. Właśnie dlatego Ik był zmuszony się wycofać. Gdyby został, a Myszek mógł przeprowadzić kolejny atak, pożeracz zostałby całkowicie unieruchomiony.

– Powodzenia tym razem, wielkoludzie – powiedziałem. – Nie masz dokąd uciekać.

Część mojego umysłu, która wciąż opierała się szaleństwu, uznała te słowa za czyste wariactwo. Może nawet za głupotę. W końcu Ik wciąż mnie ścigał. Gdyby uderzył mnie choć raz potężnymi pazurami, moje kości zmieniłyby się w papkę. (Może poza czaszką. Wszelkie dowody wskazują na to, że ktoś wzmocnił ją adamantem, gdy akurat nie patrzyłem).

Miotalem się i ostrzeliwałem z całych sił i nie mogłem zbyt długo utrzymywać takiego tempa. Trafiałem Ika, być może go spowalniałem, ale nie zbliżałem się do uśmiercenia go.

Wszystko sprowadzało się do jednego pytania: Czy wytrzymałość Ika przewyższa moją siłę ognia? Jeżeli tak, to moja przegrana była tylko kwestią czasu, gdyż w końcu będę musiał zapłacić wysoką cenę za nieustający magiczny atak.

Zanim się o tym przekonałem, przebieg walki się zmienił.

Ik rzucił się w moją stronę z wysiłkiem i niemal mnie dosięgnął. Uciekłem w ostatniej chwili i prawie upadłem, ale zrobiłem kilka chwiejnych kroków i odzyskałem równowagę. Ik podążył za mną, a gdy tylko odwrócił się tyłem do Susan, ta wyskoczyła z chmury tłustego dymu.

Jej tatuaże zmieniły kolor z czarnego na ciemnokarmazynowy. Poruszała się z idealną elegancją i w całkowitej ciszy. Kiedy więc elegancko i cicho zdzieliła potwora stalową nogą od stołu w kolano – nieuszkodzonej nogi, żeby było ciekawiej – całkowicie go zaskoczyła.

Rozległ się straszliwy, ostry trzask, który kojarzył mi się z padającym drzewem albo wystrzałem z małokalibrowej broni. Stalowa pałka wykrzywiła kolano Ika pod nienaturalnym kątem prawie trzydziestu stopni.

Stwór zawył z bólu i zamachnął się jedną ręką na napastniczkę. Trafił Susan i chociaż był wtedy oszołomiony i pozbawiony równowagi, odrzucił ją na trzy metry i powalił na ziemię. Pałka wypadła jej z dłoni z dźwięcznym, metalicznym brzękiem i wtoczyła się, dzwoniąc jak blaszany gong, prosto w płomień.

Ogień przeciął stołową nogę na pół precyzyjnie jak palnik. W płomieniach na chwilę mignęły kosmyki bursztynu, fioletu i miedzianej czerwieni. Odcięta końcówka broni wytoczyła się z ognia, a jej rozpalona krawędź lśniła bielą.

Zauważyłem ją kątem oka.

Susan upadła na ziemię z plecami wykręconymi pod niemożliwym kątem.

Zamarłem na chwilę pod wpływem szoku, a wtedy Ik rzucił się w moją stronę. Pozeracz zdążył się zbliżyć, ciąć mnie pazurami i odrzucić na sześć metrów w poprzek kręgu.

Zaklęcia zabezpieczające mój płaszcz wytrzymały brutalną siłę pazurów, ale to nie było muśnięcie ani przypadkowe uderzenie, które otrzymałem, gdy stwór się o mnie potknął. To był centralnie wyprowadzony cios o mocy, która

zapewne wystarczyła, by cisnąć Niebieskiego Chrabąszcza na sportowe auto Thomasa. Właśnie tego się obawiałem, a gdy moje ciało spadło na ziemię, zalała mnie fala spokoju i gobliniego wycia.

Byłem trupem. Po prostu. Nie wiedziałem tylko, czy będę żył na tyle długo, by poczuć ból, teraz chwilowo zagłuszony przez siłę upadku. A także przeciwko komu mam skierować ostatnią klątwę.

Bezwładne ręce i nogi spowolniły upadek i wylądowałem na plecach ze skręconymi biodrami, podczas gdy Ik odrzucił głowę do tyłu i donośnie zabulgotał. Jego serce dudniło jak surrealistyczne burzowe grzmoty, a mnie nagle ogarnęło dojmujące zimno, jakbym wpadł do zbiornika z lodowatą wodą. Ik zaatakował, lecz w jego ruchach dało się dostrzec ból. Zawył i uniósł obie ręce nad głowę gotowy zmiażdżyć mi czaszkę. Cichy głos rozsądku w mojej głowie podpowiedział mi, że nie mam zbyt wiele czasu, by rzucić klątwę.

A potem inny głos w mojej głowie, znacznie donośniejszy i bardziej wściekły, zaprotestował. W moim umyśle zawirowały obrazy Maggie oraz wizja jej śmierci – bądź czegoś jeszcze gorszego – z ręki Arianny. Jeśli tutaj zginę, nikt nie wyciągnie mojej córeczki z ciemności.

Musiałem spróbować.

Wyciągnąłem ręce w stronę rannej nogi Ika i uwolniłem energię ze wszystkich pozostałych pierścieni.

Z zewnątrz zapewne wyglądało to jak jeden z oburęcznych ciosów kung-fu, tylko że moje prawdziwe pięści tylko zapewniały sobie nową porcję sińców i blizn. Energia wystrzelona z pierścieni uderzyła w nogę Ika z taką siłą, że pozeracz upadł.

Przetoczyłem się rozpaczliwie, ledwie unikając zgniecenia. Stwór runął ogarnięty bólem.

Nagle dostrzegłem sposób na jego uśmiercenie, którego bym nie odkrył, gdybym nie leżał na plecach i nie patrzył w górę.

Wycelowałem bojową różdżkę w sufit, skryty w cieniu, ale wciąż widoczny. To był naturalny strop jaskini. Posadzka została wypolerowana, by zapewnić sale mieszkalne Królowi Goblinów, ale stalaktyty wielkości autobusów wciąż zwisały z sufitu jak ponure kły olbrzyma. Upewniłem się,

że Susan znajduje się po przeciwnej stronie kręgu, jak najdalej od tego, co zamierzałem ściągnąć na ziemię.

Następnie cisnąłem cały ten lęk i wściekłość w podstawę wielkiego kamiennego kła, który wisiał niemal dokładnie nad nami. Włożyłem w ten cios niemal wszystkie siły.

Niebiesko-biały płomień z rykiem przeszył bojową różdżkę, tak gwałtownie, że pokryte runami narzędzie wybuchło w obłoku lśniących drzazg, po czym trafił w stalaktyt z ogłuszającym grzmotem. Ik podniósł się i wyciągnął ogromną dłoń w stronę mojej czaszki.

Uniosłem ręce, syknąłem „*Aparturum*” i ostatkiem woli rozdarłem całun oddzielający salę Króla Goblinów od materialnego świata, tworząc okrągłą dziurę o średnicy nieco ponad metra – umiejscowioną niecały metr nad ziemią, równoległe do podłoża, z otworem wlotowym u góry. Potem zwinąłem się do pozycji płodowej pod tą dziurą, próbując zakryć głowę rękami.

Wielotonowy kamień runął z powolną, śmiercionośną gracją. Bicie serca pozeracza dwukrotnie przyśpieszyło. Potem rozległ się niesamowity huk i cały świat zniknął.

Leżałem na boku, bojąc się poruszyć. Kamienie sypały się ze stropu przez kolejne dwie minuty, aż w końcu trzaski stopniowo ucichły, jak w garnku z uprażoną kukurydzą.

Dopiero wtedy podniosłem głowę, żeby się rozejrzeć.

Leżałem w doskonale okrągłym grobowcu o średnicy metra dwudziestu i głębokości półtora metra. Jego ściany były idealnie gładkie, chociaż pokrywające je pęknięcia i szczeliny sugerowały, że zbudowano go z niedopasowanych kawałków kamienia, niektórych o rozmiarach mojej pięści, a innych wielkości samochodu.

Nade mną delikatnie lśniła otwarta Ścieżka. Kamienie, które w przeciwnym razie by mnie przygniotły, zamiast tego wpadły do materialnego świata.

Wziąłem głęboki wdech i zamknąłem przejście. Miałem nadzieję, że nikogo nie było w miejscu, w którym kamienie wysypały się ze Ścieżki. Może to było w stołówce FBI? Mogłem to sprawdzić tylko przechodząc na drugą

stronę. Nie miałem ochoty oglądać skutków takiego bombardowania.

Rozsądna część mojego mózgu podpowiadała mi, że z drugiego końca Ścieżki prawdopodobnie nie wypadły kamienie. Materia z duchowego świata po odcięciu dopływu energii zapewne przekształciła się w prostą ektoplazmę. Przecież nie próbowałem doładować kamieni, zanim wpadły na Ścieżkę. Najpewniej zrzuciłem gdzieś w budynku FBI kilkadziesiąt ton szlamu, który po chwili wyparował. To bardzo zmniejszało ryzyko wyrządzenia krzywdy jakiemuś bezradnemu pracownikowi biura.

Uznałem, że ja i moje zdrowie psychiczne możemy z tym żyć.

Zamknąłem Ścieżkę machnięciem dłoni i wysiłkiem woli, po czym powoli wstałem. Wtedy uświadomiłem sobie, że chwieję się na nogach i drzę ze zmęczenia. Natomiast wcale nie czułem... bólu.

Spróbowałem otrześć się z kurzu i obejrzeć swoje obrażenia. Powinienem mieć połamane żebra. Uszkodzone organy wewnętrzne. Powinienem obficie krwawić.

Ale wyglądało na to, że nawet nie nadwzględylem sobie karku.

Czyżby otaczała mnie i przenikała potęga Mab? Nie potrafiłem tego inaczej wytłumaczyć. Psiakrew, kiedy razem z Susan uciekaliśmy z budynku FBI, to ona pierwsza straciła oddech, podczas gdy ja nie byłem zmęczony bardziej niż po przechadzce do swojej skrzynki pocztowej. Poza tym podczas walki wyprzedziłem pozeracza.

Zapewne powinienem czuć się zaniepokojony tym nagłym wzrostem szybkości i odporności. Ale zważywszy na to, jaką cenę za nie zapłaciłem, czułem tylko satysfakcję. Będę potrzebował każdej możliwej przewagi, kiedy spróbuję wyrwać Maggie z rąk Czerwonego Dworu.

Zielone płomienie okalające krąg zaczęły gasnąć. Wtedy z gardeł goblinów wydobyła się ogłuszająca i mrożąca krew w żyłach symfonia przepelnionego zadowoleniem wycia.

Wygramoliłem się z otworu, wspiąłem na górę gruzu i dopadłem do Susan, która leżała po drugiej stronie kręgu.

Była bezwładna i nieruchoma. Całe jej ciało pokrywały zdobne skaleczenia i sińce. W jej skórzanych spodniach ziały setki małych dziur, zapewne po obsypaniu okruchami kości z wybuchającej czaszki wampira. Miała wygięty

i wykręcony kręgosłup. Nie miałem pojęcia, jak poważnych doznała obrażeń. Zawsze była dosyć gibka, wiedziałem to z pierwszej ręki. Ale nie potrafiłem ocenić jej stanu, skoro była całkowicie bezwładna.

Oddychała i wciąż miała na sobie tatuaże, które teraz przybrały jasnokarmazynową barwę. Jej puls zdecydowanie za bardzo zwolnił i nie byłem pewien, czy jest regularny. Nachyliłem się i podniosłem jedną z jej powiek.

Miała całkowicie czarne oczy.

Oblizalem usta. Tatuaże stanowiły system ostrzegawczy stosowany przez Bractwo. Pojawiały się, kiedy wampirza natura Susan zaczynała wpływać na jej zachowanie. Początkowo były czarne, ale stopniowo jaśniały aż do jaskrawej czerwieni, gdy wampir przejmował kontrolę. Susan była nieprzytomna, w przeciwnym razie szalałaby pod wpływem żądzy krwi. Ostatnim razem, gdy tak się stało, prawie mnie zabiła.

Prawdę mówiąc, od tego zaczęło się całe to zamieszanie.

Jej ciało pokrywały obrażenia różnych rozmiarów, a ja podejrzewałem, co się dzieje. Organizm Susan instynktownie czerpał z wampirzej części jej natury, by odbudować uszkodzone ciało, lecz nie mógł wiele zdziałać, gdyż nie zapewniała mu pożywienia.

Potrzebowała krwi.

Ale gdyby ją dostała, ocknęła się i uznała, że musi zdobyć więcej... auć!

Jej oddech coraz bardziej zwalniał. Na chwilę się urwał, a ja prawie spanikowałem.

Potem pokręciłem głową, wyjąłem scyzoryk z kieszeni płaszcza i przeciąłem swoją lewą dłoń w miejscu, w którym blizny po oparzeniach były najgrubsze i gdzie wciąż byłem niemal pozbawiony czucia.

Zwinąłem krwawiącą dłoń, a następnie, bardzo ostrożnie, przechyliłem ją nad ustami Susan, roniąc kilka kropel.

Równie dobrze mógłbym porazić jej ciało prądem. Zadrżała, zeszywniała, a potem wygięła się w łuk. Jej kręgosłup dziwnie zatrzeszczał. Puste czarne oczy otworzyły się i złapała oddech, a potem powiodła wkoło niewidzącym spojrzeniem, próbując odszukać ustami moją dłoń, tak jak niemowlę szuka piersi matki. Ponownie przytrzymałem rękę nad jej ustami,

pozwalając, by krew powoli do nich ściekała.

Poruszała się leniwie pod moją dłońią, rozkoszując się krwią, jakby to była czekolada, masaż, dobry seks i nowy samochód w jednym. Po dwóch minutach powolnych, rozmarzonych ruchów nagle skupiła na mnie wzrok i zmrużyła oczy. Gwałtownie chwyciła moją rękę, a ja zdzieliłem ją pięścią w twarz.

Nie starałem się złagodzić ciosu. Gdybym pozwolił, by mroczniejsza część jej natury dalej nad nią panowała, nie przetrwałyby tego, a ja zginąłbym przy okazji. Uderzyła głową o ziemię i zamrużyła oszołomiona.

Wstałem, cofnąłem się o kilka kroków i wsadziłem skaleczoną dłoń do kieszeni. Byłem zmęczony i roztrzęsiony. Cała moja ręka zlodowaciała. Cofnąłem się na tyle daleko, by w razie czego zdążyć odeprzeć atak.

Rozpoznałem, kiedy Susan doszła do siebie. Oddychała wolniej i miarowo. Po kilku minutach koncentracji w końcu zapanowała nad swoją mroczną naturą. Powoli usiadła. Oblizwała zakrwawione wargi i zadrżała z rozkoszy, po czym otarła usta rękawem i zmusiła się do wstania. Rozejrzała się dzikim, przerażonym wzrokiem, aż wreszcie mnie zauważyła.

Przez chwilę na mnie patrzyła, a potem zamknęła oczy.

– Dzięki Bogu – wyszeptała.

Skinąłem głową i przywołałem ją do siebie.

Zaczekałem, aż się zbliży. Wtedy oboje zwróciliśmy się w stronę Króla Goblinów.

Członkowie Czerwonego Dworu wciąż pozostawali na swoim miejscu, tylko że teraz Esteban i Esmeralda również byli uwięzieni w sieciach. Najwyraźniej byłem zbyt skupiony na Susan, by usłyszeć odgłosy walki po zakończeniu pojedynku, ale domyślałem się, co się stało. Kiedy tylko Ik zaczął słabnąć, zapewne rzucili się do ucieczki. Ale tym razem nie mieli przewagi zaskoczenia, a gobliny nie były zajęte posiłkiem.

Tym razem wampiry zostały schwytane, prawdopodobnie jeszcze zanim rzuciły się do ucieczki. Eebowie wpatrywali się we mnie i Susan z surową nienawiścią wypisaną na wykrzywionych twarzach.

Król Goblinów popatrzył na schwytane wampiry i lekko się uśmiechnął.

– Dobra walka – rzekł donośnym głosem.

Oboje lekko skłoniliśmy głowy.

Potem uniósł dłoń i pstryknął palcami. Rozległ się huk przypominający wystrzał z broni palnej.

Podniosły się krzyki bezradnych członków Czerwonego Dworu, gdy spadła na nich fala kilkuset nakręconych przemocą goblinów. Przez chwilę patrzyłem na to z niezdrową fascynacją, ale w końcu odwróciłem wzrok.

Nienawidzę Czerwonego Dworu. Ale są pewne granice.

Król Goblinów nie uznaje żadnych.

– Co z Czerwonym Królem? – spytałem. – Z Władcami Zewnętrznej Nocy? Jego czerwone oczy zaśniły.

– Ludzie Jego Królewskiej Wysokości nie zdołali dowieść swoich pokojowych zamiarów. Próba zgodnie z prawem i zwyczajem ujawniła ich oszustwo. Niech wyje ze wściekłości, jeśli tego pragnie. Jeżeli rozpocznie wojnę z tego powodu, wszystkie elfy zwrócą się przeciwko niemu z oburzeniem. A jego lud będzie dla nas znakomitą zwierzyną.

Pod wrzaskami wampirów – krzyki Esmeraldy były wyjątkowo przeszywające – słyszałem chrapliwy chichot, który tańczył z własnym echem. Miałem wrażenie, że słucham ścieżki dźwiękowej z piekła. Pojawił się goblin ubrany w grube skórzane rękawice, w których trzymał pozostałość pałki Susan, ostrożnie, jakby metal był rozpalony do czerwoności. Dotyk żelaza i jego stopów sprawia ogromny ból mieszkańcom Krainy Elfów. Susan spokojnie przyjęła broń i skinęła głową do goblina.

– A więc zakładam, że możemy odejść wolno? – odezwałem się cicho.

– Gdybym teraz was nie wypuścił, jak mógłbym rozkoszować się polowaniem na was pewnego pięknego, jasnego wieczoru? – odrzekł król niemal przyjaznym tonem.

Miałem nadzieję, że nikt nie słyszał, jak przełknąłem ślinę.

Władca Łowów odwrócił się i machnął ręką, a wtedy za nami pojawiła się migocząca Ścieżka. Zielone światło, które do tej pory pozwalało nam widzieć, gwałtownie ciemniało.

– Wam także życzę przyjemnego polowania, Rycerzu, łowczyni. Przekażcie moje pozdrowienia Królowej Zimy.

Mój rozsądek na chwilę przysnął.

– Tak zrobię. To była prawdziwa przyjemność, wasza goblinowatość.

Być może mnie nie zrozumiał. Tylko lekko przekrzywił głowę, jak pies, który słyszy nowy dźwięk.

Wszyscy ukloniliśmy się grzecznie, a potem razem z Susan weszliśmy na Ścieżkę, nie spuszczać naszego gospodarza z oczu, dopóki świat nie zamigotał i sala koszmarów nie zniknęła.

Zastąpił ją olbrzymi budynek w wiejskim stylu, który od piwnicy po dach wypełniały wszelkie przybory, jakie mogą się przydać, by odstrzelić, złapać, znaleźć, wytropić, zawiesić na haku, oprawić, oskórować, ugotować i zjeść praktycznie wszystko, co biega, pełza, skacze albo pływa.

– Co, u diabła? – odezwała się Susan, rozglądając się z zaskoczeniem.

– To chyba sklep wędkarski Bass Pro w Bolingbrook – odrzekłem. – W sumie to ma sens.

– Nie o to mi chodziło – odparła i coś wskazała. – Patrz.

Podążyłem za jej wzrokiem i zobaczyłem duży zegar wiszący na przeciwległej ścianie sklepu.

Według niego była dwudziesta pierwsza trzydzieści.

Pół godziny po naszej godzinie wyjazdu.

– Jak to możliwe? – dziwiła się Susan. – Spędziliśmy tam najwyżej pół godziny. Patrz. Na moim zegarku jest czternasta.

Moje serce zabiło szybciej.

– Na dzwony piekieł, o tym nie pomyślałem.

– O czym?

Ruszyłem przed siebie. Susan schowała swoją pałkę za jedną z półek i podążyła za mną. Z pewnością uroczo się prezentowaliśmy, oboje obdarci, obszarpani i ranni. Kilku późnych klientów powiodło za nami wzrokiem, ale nikt nie miał ochoty do nas podejść.

– W Nigdynigdy czas może płynąć w innym tempie niż tutaj – wyjaśniłem. – Słyszałaś opowieści o ludziach, którzy spędzili noc na przyjęciu u elfów i obudzili się w innym stuleciu? Oto powód. – Zapomniałem o kolejnym ogniwie w logicznym łańcuchu. – Niech to cholera.

– Co się stało? – spytała Susan.

– Od Chichén Itzá dzieli nas trzygodzinna podróż – odrzekłem cicho. –

Nie dotrzemy tam przed północą. – Czułem dotkliwy ciężar w żołądku, na ramionach i karku. Skłoniłem głowę i skrzywiłem usta z goryczą. – Spóźnił się.

– Nie – odezwała się Susan z naciskiem. – Nie. Ceremonia nie jest dostosowana do czasu Greenwich, Harry. Te istoty nie kierują się zegarem. Korzystają z gwiazd. Znamy tylko przybliżony termin. To się może stać po północy.

Albo pół godziny przed północą, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego. Zamiast tego pokiwałem głową. Miała rację. Nie podobało mi się to, co mówiła, ale wiedziałem, że trafiła w sedno. Zmusiłem się do zignorowania rezygnacji, którą usłyszałem.

– Racja – powiedziałem. – Działamy dalej najsprawniej, jak się da. Musimy wrócić do Świętej Marii i wszystkich zabrać.

Susan pokiwała głową.

– Potrzeba na to pół godziny, jeśli nie ma dużego ruchu.

– I jeśli ma się samochód, a my go nie mamy.

Na ustach Susan pojawił się uśmiech.

– W takim razie dobrze, że jest ich tutaj cały parking.

Otworzyłem frontowe drzwi i wyszedłem w ślad za nią na chodnik, gdzie prawie mnie przejechała szmaragdowozielona limuzyna, której pletwy, wydłużona maska i lśniąca chromowana osłona chłodnicy wyglądały, jakby stworzono je w ekstrawaganckich latach po zakończeniu II wojny światowej. Limuzyna zahamowała z piskiem opon i wysiadł z niej kierowca ubrany w prosty czarny garnitur. Pośpiesznie podszedł do najbliższych drzwi auta. Był to mężczyzna średniego wzrostu, szczupły, młody i wystarczająco przystojny, by zostać aktorem lub modelem – prawdę mówiąc, tak przystojny, że od razu uznałem, iż nie jest człowiekiem.

Kiedy tylko w mojej głowie pojawiła się ta myśl, zobaczyłem młodego władcę sidhe w jego prawdziwej postaci – odzianego w szmaragdowe rajtuzy i tunikę, jedno i drugie z fioletowymi akcentami. Jasne jak słońce włosy miał

zaplecione w ciasny warkocz, który sięgał poniżej pasa, a bursztynowe kocie oczy patrzyły przenikliwie. Zobaczył, że mu się przyglądam, i kpiąco skłonił głowę, ledwie nią poruszając, a potem otworzył drzwi limuzyny.

Wyraźnie sfrustrowana Leanansidhe wychyliła się z przestrzeni dla pasażerów.

– Nareszcie jesteś, moje dziecko. Co cię opętało, że odwiedziłeś Łowcę? On żywi do ciebie urazę. Czyżbyś nie wiedział, co to oznacza?

Susan napięła się i cofnęła o krok. Moja matka chrzestna to zauważyła i wyszczerzyła do niej zęby.

– Nie lękaj się, moje półdziecię. Nie mam powodu, by znów cię więzić, chyba że chciałabyś zobaczyć, do czego to prowadzi. – Podniosła wzrok na nocne niebo, ledwie widoczne za sprawą świateł miasta. – Będziemy musieli zaspokoić ciekawość innym razem.

– Matko chrzestna – odezwałem się, nie odrywając od niej wzroku. – Jaki masz... duży samochód.

Pogroziła mi palcem.

– Żeby cię lepiej zawieźć do Domu Płaczącej Matki, gdzie będziesz mógł kontynuować swoje zadanie, moje dziecko. Glenmaelu, pomóż im wsiąść. Czas nas goni.

Młody sidhe z namaszczeniem wskazał tylną część limuzyny i podał mi ramię.

Skrzywiłem się (wywołując u niego kolejny uśmiech i skinienie głowy) i pomogłem Susan wejść do samochodu. Sam wsiadłem bez żadnej pomocy i wkrótce zajęliśmy miejsca naprzeciwko mojej matki chrzestnej, podczas gdy młody sidhe wyjechał z parkingu i ruszył w stronę autostrady międzystanowej nr 55.

– Absurdalnie – odezwała się Lea, zerkając na mnie karcąco. – Wyglądasz wprost absurdalnie.

Zamrugąłem i popatrzyłem na siebie. W sumie racja. Usmarowałem się ichorem, a potem wytarzałem w pyle i szczątkach. Na jednej dłoni miałem krwawiące skaleczenie, które nie dodawało mi uroku. Moje dzinsy były w strzępach, T-shirt należało czym prędzej przeznaczyć na szmaty, nawet mój płaszcz był brudny i rozciągnięty. Susan nie wyglądała dużo lepiej.

– Nie wybieram się na uroczysty obiad, matko chrzestna – odrzekłem.

– To zależy, kto wygra bitwę – odparła drwiąco. Zmierzyła mnie wzrokiem i pokręciła głową. – Nie, tak być nie może. Moja królowa musi dbać o reputację. Twoje pierwsze zadanie jako Rycerza Zimy wymaga mniej... postapokaliptycznego stroju. – Krytycznie przyjrzała się Susan. – Hmm. A twoja konkubina nie może przynosić wstydu tobie, a przez to także królowej.

Parsknąłem. Susan uniosła brew.

– Konkubina?

– Kochanka i matka jego dziecka, której jednakowoż nie poślubił? Wydaje mi się, że to odpowiednie określenie, moja droga. – Machnęła ręką. – To tylko słowa. Przyjrzyjmy się.

Z namysłem dotknęła palcem czubka nosa, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Zaczniemy od jedwabiu – postanowiła.

Wyszeptała jakieś słowo i poruszyła ręką, a wtedy moje ubranie zaczęło się wić, jakby składało się z pojedynczego płaskiego organizmu, który jeszcze nie był łaskawy umrzeć. To było tak zaskakujące uczucie, że poderwałem się z miejsca, uderzając głową o sufit. Trzymając się za głowę, zerknąłem na swoją matkę chrzestną.

– Nie potrzebuję pomocy – warknąłem.

– Harry – odezwała się Susan zduszonym głosem. Wpatrywała się we mnie.

Spuściłem wzrok i zobaczyłem, że mam na sobie nowe ubranie. Moja koszula zmieniła się w obszerny ciuch z ciemnoszarego jedwabiu, dociśnięty do tułowia za sprawą długiej czarnej kamizelki pokrytej wzorami z ciemnych ametystów, zielono-błękitnych opali i wykwinnych pereł. Obcisłe śnieżnobiałe rajtuzy także były uszyte z jedwabiu, a skórzane buty sięgające kolan kolorem pasowały do koszuli.

Nie mogłem oderwać od siebie wzroku. W końcu popatrzyłem na Susan.

– O kurczę – odezwała się. – Masz wróżkę chrzestną.

– Wreszcie mogę o niego zadbać – odrzekła Lea, przyglądając mi się nieobecny wzrokiem. – To nie pasuje. – Ponownie machnęła dłonią. –

Może coś bardziej...

Moje ubranie znów zaczęło się wić, co było tak dziwnym i irytującym doznaniem, że znów uderzyłem głową o sufit.

W ciągu kilku minut wypróbowaliśmy tuzin strojów. Wiktorianański płaszcz i smoking zostały porzucone na rzecz kolejnego jedwabnego ubioru, tym razem inspirowanego imperium chińskim. Susan i Lea czynnie się zaangażowały, wymieniając komentarze i ignorując każde słowo, które wydobywało się z moich ust. Przy siódmym stroju dałem sobie spokój z jakimikolwiek uwagami.

Otrzymałem stroje inspirowane różnymi kulturami i okresami historycznymi. Stanowczo domagałem się powrotu swojego skózanego płaszcza, ale Lea mnie uciszyła i dalej rozmawiała z Susan.

– Jaki ubiór naprawdę rozwścieczy tę sukę? – zapytała Susan.

Lea w końcu się uśmiechnęła.

– Doskonale.

Moje ubranie po raz ostatni się poruszyło i na moim ciele pojawiła się gotycka zbroja w stylu charakterystycznym dla piętnastowiecznej Europy Zachodniej. Była czarna i łączona przegubowo, z dekoracjami na naramiennikach i absurdalnie zdobnym napierśnikiem. Wszędzie były złote ornamenty, a całość wyglądała, jakby ważyła z ćwierć tony.

– Cortés nosił zbroję w tym stylu – wyszeptała Lea. Przyjrzała się mojej głowie. – Ale potrzeba jeszcze...

Nagle coś ciężkiego osłoniło moją głowę. Westchnąłem cierpliwie i zdjąłem hełm konkwistadora z ozdobami pasującymi do zbroi. Położyłem go na podłodze limuzyny.

– Nie używam nakryć głowy – oznajmiłem stanowczo.

– Szkoda – odrzekła Lea. – Arianna wciąż nienawidzi Europejczyków. Dlatego wyszła za konkwistadora.

Zamrugalem.

– Za Ortege?

– Oczywiście, moje dziecko. Miłość często trudno odróżnić od nienawiści. Zdobyła jego serce, zmieniła go, poślubiła, a kolejne stulecia poświęciła na łamanie mu serca. Wzywała go i ponownie odsyłała. Ulegała mu, a następnie

zmieniała zdanie. Powiedziała, że dzięki temu jej nienawiść nigdy nie ostygła ani nie spowszedniała.

– Nic dziwnego, że pracował w Brazylii – zauważyłem.

– Zaiste.

Strzepnęła dłonią, a na moich ramionach zawisła ciemnoszara rzymska peleryna przyczepiona z przodu napierśnika. Kolejny ruch dłoni lekko zmienił styl mojego obuwia. Lea dodała do peleryny przepastny kaptur. Potem z namysłem przemieniła całe złoto na zbroi w taki sposób, że stopniowo stawało się niebieskie, a następnie fioletowe, im dalej odsuwałem je od twarzy, dzięki czemu ozdoby nabrały zimnego, surrealistycznego charakteru. Uzupełniła pelerynę o przednie płyty materiału upodabniające ją do pełnej szaty oraz o ciemnofioletową szarfę, która mocowała ją w pasie. Dzięki ostatniej poprawce zbroja stała się szersza i grubsza na ramionach, nadając mi posturę futbolisty, co przypomniało mi piątkowe mecze w szkole średniej.

Popatrzyłem na siebie.

– To jakiś absurd. Wyglądam jak rycerz Jedi w wydaniu Games Workshop. Susan i Lea zmierzyły mnie wzrokiem, a potem wymieniły spojrzenia.

– Oddajcie mi mój płaszcz, do cholery – zażądałem.

– Tę starą szmatę? – spytała Lea. – Musisz dbać o swój wizerunek.

– Będę o niego dbał w swoim płaszczu – odpowiedziałem z uporem.

– Harry – odezwała się Susan. – Ona może mieć rację z praktycznego punktu widzenia.

Zerknąłem na nią. Potem na swoje ubranie.

– Praktycznego?

– Pozory i pierwsze wrażenie są bardzo istotne – wyjaśniła. – Jeśli właściwie się je wykorzysta, mogą stanowić broń. Nie wiem jak ty, ale ja chcę mieć do dyspozycji każdy możliwy oręż.

– Zaiste – szepnęła Lea.

– W porządku. Nie rozumiem, dlaczego płaszcz nie może wchodzić w skład mojego wizerunku. Poza tym musimy być szybcy. Ten strój krępuje mi ruchy i jest diabelsko ciężki.

Lea uniosła kącik ust.

– Naprawdę?

Skrzywiłem się. Potem potrząsałem ramionami i trochę się powierciłem. Materiał, z którego zbudowano zbroję, elastycznością znacznie przewyższał stal. A co ważniejsze, kiedy już zacząłem się poruszać, nie czułem jego ciężaru. Wcale. Równie dobrze mógłbym mieć na sobie wygodną piżamę.

– Żaden śmiertelnik nie zdoła przeciąć tej zbroi siłą ludzkich rąk – powiedziała spokojnie. – Wytrzyma ciosy nawet takich istot jak wampiry z Czerwonego Dworu – przynajmniej przez jakiś czas. Poza tym powinna osłonić twój umysł przed wolą Władców Zewnętrznej Nocy.

– Powinna? – spytałem. – Jak to powinna?

– Mówimy o odwiecznych potęgach, moje dziecko – odrzekła Lea i posłała mi koci uśmiech. – Nie miałam okazji się z nimi mierzyć. – Jeszcze raz z zadowoleniem zlustrowała mnie wzrokiem. – Robisz wrażenie. A teraz, moje dziecko – odezwała się do Susan. – Zobaczmy, co możemy zrobić dla ciebie.

Susan zniosła całe to zamieszanie znacznie lepiej ode mnie.

Kiedy pracowały, coś odwróciło moją uwagę. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że wyprzedzamy radiowóz, zupełnie jakby stał w miejscu, a nie pędził autostradą z błyskającymi światłami na dachu i wyjącą syreną. Musieliśmy jechać prawie dwieście kilometrów na godzinę, żeby tak szybko zostawić go w tyle.

Policjant na nas nie zareagował, a ja zrozumiałem, że Glenmael zapewne kryje samochód pod jakimś rodzajem zasłony. Zauważyłem także, że wymija inne auta z nieprawdopodobną wprawą, omijając ich zderzaki i błotniki o centymetry, z czego nawet kierowcy nie zdawali sobie sprawy. Co więcej, w ogóle nie odczuwałem tych ruchów wewnątrz pojazdu. Powinniśmy objąć się o szyby i sufit, tymczasem mieliśmy wrażenie, że stoimy w miejscu.

Mówiąc w wielkim skrócie: dowiózł nas do Świętej Marii w ciągu niecałego kwadransa, po drodze przyprowadzając mnie o kilkadziesiąt siwych włosów.

Zatrzymaliśmy się, a Glenmael otworzył tylne drzwi w tej samej chwili, w której ciężar auta oparł się o hamulec postojowy. Wysiadłem z głową zakrytą ciemnoszarą peleryną. Mój cień na chodniku był potężny i wyglądał

przerazająco. Z jakiegoś irracjonalnego powodu poczułem się dzięki temu lepiej.

Obróciłem się, żeby pomóc Susan i wtedy opadła mi szczęka.

Jej strój wyglądał... eee, cholernie seksownie.

Pierwszym, co zauważyłem, było złote przybranie głowy, ozdobione piórami, nefrytami rzeźbionymi w magiczne symbole przypominające te, które widziałem na kamiennym stole, oraz migoczącymi zielonymi i niebieskimi klejnotami. Przez chwilę miałem wrażenie, że znów zbudziła się w niej wampirza natura, ponieważ jej twarz pokrywało coś, co wziąłem za tatuaże. Kiedy przyjrzałem się dokładniej, zobaczyłem, że to precyzyjnie narysowany deseń, coś jak wzór wykonany henną, ale znacznie bardziej pierwotny i dziki. Został nakreślony w czerni oraz ciemnej czerwieni i okalał ciemne oczy, czyniąc je bardziej widocznymi.

Susan miała na sobie luźną sukienkę, zapewne uszytą z kozłej skóry i rozciętą po bokach, by zapewnić swobodę ruchów, a na nogach nosiła buty z podobnego materiału, ozdobione piórami. Zarówno mokasyny, jak i sukienka były śnieżnobiałe i ostro kontrastowały z ciemną skórą, jednocześnie znakomicie podkreślając gładkie, napięte mięśnie rąk i nóg.

Przy białym skórzanym pasie wisiały pusta kabura na pistolet oraz, na drugim biodrze, uchwyt na pochwę miecza. Susan miała też pelerynę z piór, trochę podobną do tych, które widzieliśmy w Newadzie, ale zabarwioną na zimne kolory Zimowego Dworu: błękit lodowca, zieleń morza i fiolet zmierzchu.

Popatrzyła na mnie.

– Czekam na komentarz o tancerce rewiowej z Las Vegas.

Dopiero po chwili moje usta odzyskały łączność z mózgiem.

– Wyglądasz niesamowicie.

Uśmiechnęła się leniwie i podniecająco, nie odrywając ode mnie ciemnych oczu.

– Ale... ten strój nie wygląda praktycznie – dodałem.

Lea przyjęła dłoń Glenmaela i wysiadła z limuzyny. Nachyliła się i wyszeptała coś do ucha Susan.

Susan uniosła brew.

– No dooobrze... – odrzekła i na chwilę zamknęła oczy, marszcząc czoło. Potem zniknęła. Całkowicie. Nie za nieprzeniknioną zasłoną. Po prostu zniknęła.

Moja matka chrzestna parsknęła śmiechem.

– Taka sama jak poprzednio, tylko czerwona, moje dziecko.

– Dobrze – zabrzmiał głos Susan w pustym powietrzu i nagle wróciła, szeroko uśmiechnięta. – Ojej.

– Peleryna ukryje cię przed wzrokiem i innymi zmysłami – powiedziała moja matka chrzestna. – A dopóki nosisz te buty, nie będziesz zostawiała żadnych śladów ani robiła hałasu.

– No tak – wtrąciłem się. – Ale czułbym się lepiej, gdybyś dała jej do tego kamizelkę z kevlaru. Na wszelki wypadek.

– Glenmaelu! – zawołała Lea.

Szofer spokojnie wyciągnął pistolet, wycelował z bliska w skroń Susan i pociągnął za spust. Broń szczęknęła.

Susan zarzuciła głową i zatoczyła się, dotykając dłonią ucha.

– Au! – warknęła, podnosząc się i odwracając w stronę młodego sidhe. – Sukinsynu, takie spluwy robią mnóstwo hałasu. To bolało. Powinnam ci skopać dupsko.

W odpowiedzi sidhe pochylił się z gracją i podniósł coś z ziemi. Wyprostował się i pokazał to Susan, a potem także mnie.

To był pocisk. Czubek miał spłaszczony, co upodabniało go do grzybka.

Wytrzeszczyliśmy oczy.

Lea rozłożyła ręce.

– Jestem waszą wrózką chrzestną – powiedziała spokojnie.

Pokręciłem głową z oszołomieniem. Potrzebowałem lat, by zaprojektować, stworzyć i ulepszyć zaklęcia ochronne dla mojego skórzanego płaszcza, a ochrona i tak dotyczyła tylko samej skóry. Lea w ciągu kilku minut przygotowała zaklęcie osłaniające całe ciało.

Poczułem nagły przyływ pokory. Zapewne wyszło mi to na dobre.

Ale potem przekrzywiłem głowę i zmarszczyłem czoło. Moc darów mojej matki chrzestnej była niesamowita, ale wszechświat nigdy nie daje nam niczego za darmo. To dotyczy magii tak samo jak fizyki. Po latach prób

prawdopodobnie potrafiłbym powielić te zaklęcia. Sidhe pracowali z tą samą magią co ja, chociaż wyraźnie mieli z nią zupełnie inną relację. Mimo wszystko takie nagromadzenie mocy w jednym miejscu oznaczało, że jakoś trzeba było za nią zapłacić.

Na przykład trwałością.

– Matko chrzestna, jak długo utrzymają się te dary? – spytałem.

Jej uśmiech nieco posmutniał.

– Ach, moje dziecko. Przecież jestem wróżką chrzestną. Moje dary nie są wieczne.

– Nie mów mi, że znikną o północy – odrzekłem.

– Oczywiście, że nie. Przecież nie należę do Lata. – Kpiąco pociągnęła nosem. – Utrzymają się do południa.

To miało więcej sensu. Zaklęcia chroniące mój płaszcz działały miesiącami, a ostatnio udało mi się obmyślić, w jaki sposób wydłużyć ich trwałość do ponad roku. Dary matki chrzestnej miały taką samą moc i pozornie powstały bez wysiłku, ale nie mogły przetrwać tak długo jak rzeczy, które sam stworzyłem. Moje poczucie własnej wartości nieco odżyło.

– Przywieźliście moją torbę? – spytałem.

Glenmael otworzył bagażnik i przyniósł mi bagaż. Miecze w pochwach wciąż były przypięte do boku torby. Podniosłem ją i pokiwałem głową.

– Dzięki.

Uklonił się z uśmiechem. Kusiło mnie, żeby dać mu napiwek, tylko po to, by sprawdzić, co się stanie, ale potem przypomniałem sobie, że mój portfel był w niebieskich jeansach i zapewne stał się częścią nowego stroju. Może pojawi się jutro w południe, o ile wciąż będę go potrzebował.

– Zaczekam tutaj – powiedziała Lea. – Kiedy będziecie gotowi skierować się do pierwszej Ścieżki, Glenmael nas tam zabierze.

– Jasne – odrzekłem. – W drogę, księżniczko.

– Oczywiście, panie Rycerzu – odparła Susan z błyskiem w oku i weszliśmy do kościoła.

Sania strzegł drzwi. Otworzył je przed nami na oścież i przyjrzał się Susan z uśmiechem pełnym uznania.

– Są dni, kiedy uwielbiam tę robotę – stwierdził.

– Chodź – rzuciłem, przechodząc obok niego. – Mamy niewiele czasu.

Sania dosłownie strzelił obcasami, ujął Susan za rękę i szarmancko musnął jej dłoń ustami. Bałwan.

– Jesteś przeurocza, pani.

– Dziękuję – odrzekła z uśmiechem. – Ale mamy niewiele czasu.

Przewróciłem oczami, nawet się nie zatrzymując.

W salonie toczyła się cicha rozmowa. Urwała się, gdy przekroczyłem próg. Przystanąłem na chwilę i popatrzyłem na wszystkich, którzy mieli mi pomóc odzyskać córkę.

Molly miała na sobie swój bojowy strój złożony z koszuli utkanej z ciasno połączonych metalowych ogniów, które jej matka wykonała z tytanowego drutu. Kolczuga znajdowała się pomiędzy dwiema długimi kevlarowymi kamizelkami, które z kolei dziewczyna przymocowała do jednego z kilku zewnętrznych okryć, w tym przypadku brązowego strażackiego płaszcza. Włosy – które znów miały naturalny miodowo-brązowy kolor – zaplotła w warkoczyki mocno upięte z tyłu głowy. Na stoliku obok leżał kask do hokeja. Zgromadziła pół tuzina rekwizytów ogniskujących – to ja nauczyłem ją tworzenia ich i nie były przeznaczone do walki. Miała nieco bladą twarz i poważne niebieskie oczy.

Myszek siedział obok Molly, potężny i obojętny, a kiedy wszedłem, wstał i podszedł, żeby powściągliwie się przywitać. Uklęknąłem i przez chwilę targąłem go za uszy. Zamerdał ogonem, ale nic poza tym, a jego surowe brązowe ślepia dowodziły, że zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

Jako następny moim oczom ukazał się Martin, ubrany w proste czarne

bojówki, czarną koszulę z długimi rękawami oraz kamizelkę kuloodporną, czyli strój, który mógł kupić w dowolnym demobilu lub sklepie z bronią. Był zajęty czyszczeniem i sprawdzaniem dwóch zestawów broni palnej: karabinów automatycznych, taktycznych śrutówek i ciężkich pistoletów. W pochwie przy pasku miał maczetę. Druga taka broń, zabezpieczona nylonową osłoną, spoczywała na stole obok zestawu do ostrzenia. Nie podniósł na mnie wzroku ani nie przerwał składania pistoletu, który właśnie skończył czyścić.

Na stoliku naprzeciwko Molly, obok sprzętu Martina, stała niewielka szachownica. Siedział przy niej mój brat, oddzielony od dziewczyny przez Martina (oraz Myszka, gdy ten już mnie przywitał). Miał na sobie białe jedwabne spodnie, które wyglądały na drogie, oraz skórzaną kamizelkę, również białą. Na rogu kanapy zawiesił pas z pistoletem dużego kalibru oraz białą broń o zakrzywionym ostrzu, starą hiszpańską falcatę. Sam leżał leniwie na kanapie, obserwując spod przymkniętych powiek ruchy przeciwniczki.

Murphy była ubrana w czarny wojskowy strój podobny do zestawu Martina, ale bardziej znoszony i lepiej dopasowany. Zazwyczaj nie produkuje się kamizelek kuloodpornych dla ludzi o gabarytach Murph, więc nie mogła często się zaopatrywać. Miała własną kamizelkę z kevlaru i kolczugi, którą Charity w zeszłym roku podarowała jej pod choinkę w podziękowaniu za wszystkie sytuacje, w których Murphy poświęcała się dla ich rodziny, ale Murph po prostu przytwierdziła zbroję do swojej kamizelki kuloodpornej. Przy pasie nosiła automat, a jej osobliwy kanciasty pistolet maszynowy, który zawsze kojarzył mi się z pudełkiem czekoladek, stał oparty o pobliską ścianę. Garbiła się nad szachownicą, marszcząc z namysłem nos. W końcu przesunęła jednego z gońców w sam środek gęstwiny wrogich figur i odwróciła się w moją stronę.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by zaczęła chichotać.

Jej wesołość udzieliła się wszystkim poza Martinem, który nigdy nie zwracał uwagi na innych ludzi w swoim otoczeniu. Śmiech Molly rozbawił Thomasa i nawet Myszek wesoło rozdziawił pysk.

– Ha, ha, ha – powiedziałem, wchodząc do pomieszczenia, żeby Susan

i Sania mogli do nas dołączyć.

Nikt nie śmiał się ze stroju Susan. Miałem wrażenie, że ta niesprawiedliwość w pewnym stopniu symbolizuje niesprawiedliwość mojego całego życia, ale nie miałem czasu przeanalizować tej myśli ani karmić jej retoryką, aż nad moją głową zapłonę żarówka.

– No, cieszę się, że wygrzebałeś się z tarapatów – odezwała się Murphy. – Widzę, że nawet znalazłeś czas na zakupy.

– Nie bardzo – odparłem. – Dobrze, słuchajcie, ludzie. Mamy mało czasu. Czego jeszcze zdołaliśmy się dowiedzieć o miejscu, do którego się wybieramy?

– Mat w sześciu ruchach – oznajmiła Murphy Thomasowi, podając mi teczkę, którą wyjęła spod krzesła.

– Chciałabyś – odpowiedział Thomas leniwie.

Zerknąłem na niego i otworzyłem teczkę. W środku znajdowało się kilka kartek, kolorowe zdjęcia lotnicze i satelitarne przedstawiające ruiny.

– A niech mnie – rzuciłem. – Skąd je macie?

– Z internetu – odrzekła Murphy spokojnie. – Mniej więcej wiemy, gdzie się rozkładają i jakich środków bezpieczeństwa będą potrzebować, ale zanim porozmawiamy o taktyce, musimy wiedzieć, gdzie dokładnie się pojawimy.

Potarłem kciukiem klejnot matki i zaczerpnąłem zgromadzonej w nim wiedzy. Potem przejrzałem mapy, a kiedy znalazłem jedną we właściwej skali, wziąłem długopis i narysowałem na niej X.

– Tutaj. Około ośmiu kilometrów na północ od piramidy.

Thomas cicho zagwizdał.

– No co? – spytałem. – Nie dasz rady przejść ośmiu kilometrów?

– Po chodniku, owszem – odparł Thomas. – Co innego w dżungli, Dresden.

– On ma rację – wtrącił się Martin. – Do tego w nocy.

Thomas rozłożył ręce.

– Mam trochę doświadczenia w takim terenie – oznajmił Sania, podchodząc do mapy. – Jak gęsta jest tam dżungla?

– Bardziej niż w Dolnej Amazonce i mniej niż w Kambodży – odpowiedział spokojnie Martin.

Sania jęknął. Thomas z niesmakiem zmarszczył nos. Próbowałem udawać, że odpowiedź Martina coś mi wyjaśniła, i zastanawiałem się, czy Thomas i Sania robią to samo.

– Jak długo nam to zajmie, Martinie? – spytałem.

– Co najmniej dwie godziny. Może więcej, to zależy.

Stęknąłem.

– Zobaczymy, czy Lea będzie w stanie jakoś nam pomóc.

W pokoju zapadła cisza.

– Eee, twoja szalona elfia matka chrzestna? – spytała Murphy. – Ta Lea?

– Harry, przecież mówiłeś, że jest niebezpieczna – wtrąciła Molly.

– A ja wciąż mam bliźnę na dowód, że to prawda – dodał Thomas.

– Tak – odrzekłem cicho. – Jest potężna i według wszelkich standardów szalona, ale w tej chwili zagięła parol na naszych wrogów. Dlatego ją wykorzystamy.

– A więc to my ją wykorzystujemy. Czyżby? – spytał Sania z uśmiechem.

– Przekazał nam, co Toot powiedział o Mab, Harry – wyjaśniła Molly.

Zapadła długa cisza.

– Zawarłeś umowę – odezwała się Murphy.

– Owszem, zrobiłem to dla Maggie. – Rozejrzałem się po pomieszczeniu. – Będę sobą, dopóki to wszystko nie dobiegnie końca. To była część umowy. Ale jeśli ktokolwiek z was chce odejść, zróbcie to teraz. W przeciwnym razie nie poruszajcie więcej tego tematu. Moja córka nie ma czasu na nasze debaty o etycznych aspektach decyzji, która i tak was nie dotyczy.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu.

– Ja z tobą jadę – oznajmił Sania. – Kto jeszcze do nas dołączy?

Myszek kichnął.

– Tak podejrzewałem – odezwałem się do niego.

Zamerdał ogonem.

– Oczywiście ja też – rzekł Martin.

Murphy pokiwała głową. Molly także. Potem Thomas przewrócił oczami.

– Dobrze – powiedziałem. – Lea zapewne zna jakiś sposób na przyspieszenie podróży.

– Oby tak – mruknął Thomas. – Mamy mało czasu.

– Zdążymy – rzekł Sania z przekonaniem.

Pokiwałem głową.

– Chciałbym prosić was o przysługę.

Postawiłem torbę i odpiąłem od niej Fidelacchiusa. Starożytny Miecz przypominający katanę miał gładką drewnianą rękojeść idealnie dopasowaną do drewnianej pochwy, dzięki czemu wyglądał niepozornie, jak lekko zakrzywiony, wytrzymały kij idealny do podpierania się podczas pieszej wędrówki. Ostrze było ostre jak brzytwa. Kiedyś na próbę upuściłem na nie plastikową słomkę. Wystarczyła prędkość opadania przedmiotu, by niezwykła broń przecięła go na pół.

– Karrin – powiedziałem i wyciągnąłem miecz w jej stronę.

Sania wysoko uniósł brwi.

– Już kiedyś... proponowano mi ten Miecz, Harry – odrzekła cicho. – Od tamtej pory nic się nie zmieniło.

– Nie proszę cię, żebyś wzięła na siebie brzemię Rycerza – wyjaśniłem. – Chcę ci go powierzyć tylko na tę noc. Ten miecz wykuto w celu walki z ciemnością, a my napotkamy jej całe mnóstwo. Przyjmij go. Dopóki moja córka nie będzie bezpieczna.

Murphy zmarszczyła czoło. Popatrzyła na Sanię.

– Czy on może to zrobić?

– Możesz? – spytał Sania, spoglądając na mnie.

– Powierzono mi rolę strażnika Miecza – odrzekłem spokojnie. – Cóż innego mam z nim robić, jeśli nie mogę wybrać wojownika, który będzie się nim posługiwał?

Sania przez chwilę się nad tym zastanawiał. W końcu wzruszył ramionami.

– Dla mnie to oczywiste. Dali ci możliwość wyboru, gdy powierzyli ci Miecze. To się rozumie samo przez się, choć nie powiedzieli tego wprost.

Pokiwałem głową.

– Murph. Jeśli będziesz go używała w słusznej sprawie i z dobrymi zamiarami, Mieczowi nic nie grozi. Tylko ty potrafisz ocenić, czy twoja sprawa jest słuszna. Ale błagam cię, przyjmij go. Pomóż mi ocalić córkę, Karrin. Proszę.

Murphy westchnęła.

– Nie grasz fair, Harry.

– Oczywiście, że nie – przyznałem. – Nie o taką stawkę.

Murphy jeszcze przez chwilę milczała. Potem wstała i do mnie podeszła. Wzięła Miecz z moich rąk. Do pochwy przymocowano stary szmaciany pasek, dzięki któremu broń można było nosić na ramieniu albo ukośnie na plecach. Murphy przepasała się Mieczem.

– Będę go nosiła. Jeśli uznam to za właściwe, użyję go.

– O nic więcej nie proszę.

Potem wziąłem do ręki Amoraachiusa, europejski długi miecz z rękojeścią w stylu krzyżowców i prostym uchwytem, który owinięto drutem.

Zwróciłem się do Susan.

Wbiła we mnie wzrok i powoli pokręciła głową.

– Kiedy ostatnio dotknęłam jednej z tych rzeczy, tak mnie poparzyła, że czułam ból jeszcze przez trzy miesiące.

– To było kiedyś – odparłem. – Teraz jest inaczej. Robisz to, co robisz, ponieważ kochasz swoją córkę. Jeśli będziesz się na tym skupiać, Miecz nie wyrządzi ci krzywdy. – Wyciągnąłem w jej stronę rękojeść. – Połóż na nim dłoń.

Susan zrobiła to powoli, jakby wbrew sobie. Zawahała się w ostatniej chwili. Potem jej palce zacisnęły się na rękojeści.

I to wszystko. Nic się nie wydarzyło.

– Przyrzeknij, że nie skrzywdzisz niewinnych – powiedziałem cicho. – Przyrzeknij, że będziesz go używała w dobrej wierze, by odzyskać swoją córkę. Przyrzeknij, że będziesz chroniła Miecz i zwrócisz go, gdy wypełnisz to zadanie. Jeśli to zrobisz, nie widzę powodu, dla którego nie miałybyś nim władać.

Popatrzyła mi w oczy i pokiwała głową.

– Przyrzekam.

Skinąłem głową i puściłem broń. Susan wysunęła kawałek ostrza z pochwy. Jego krawędź zalśniła. Stał była wypolerowana jak lustro. Kiedy przypięła Miecz do pasa, okazało się, że pasuje, jakby był dla niej stworzony.

Moja matka chrzestna zapewne będzie z siebie zadowolona.

– Mam nadzieję, że Wszechmocny się nie obrazi, jeśli zabiorę także bardziej nowoczesną broń – powiedziała Susan.

Podeszła do stołu, wsunęła do swojej kabury jeden z rewolwerów Martina, a po chwili podniosła także karabin automatyczny.

Sania również zbliżył się do stołu i wybrał dla siebie śrutówkę ze składaną podpórką na ramię.

– Do mnie nigdy nie miał o to pretensji, jeśli istnieje – rzekł wesoło. – *Da*. Jak na razie idzie nam świetnie.

Thomas parsknął śmiechem.

– Jest nas siedmioro przeciwko Czerwonemu Królowi i trzynastu jego najpotężniejszym dworzanom, a ty mówisz, że świetnie nam idzie?

Myszek kichnął.

– Ośmioro – poprawił się Thomas i przewrócił oczami. – A z tą psychotyczną zabójczą fae dziewięcioro.

– Zupełnie jak w filmie – odezwał się Sania, kiwając głową. – Ja będę Legolasem.

– Żartujesz? – oburzył się Thomas. – To jasne, że ja jestem Legolasem. Ty... – Popatrzył z namysłem na Sanię, a potem na Martina. – No tak, on jest Boromirem, a ty Aragornem.

– Martin jest strasznie ponury, bardziej jak Gimli. – Sania wskazał Susan. – Za to jej miecz przypomina broń Aragorna.

– Aragorn chciałby tak dobrze wyglądać – odparł Thomas.

– A co z Karrin? – spytał Sania.

– Czy nadaje się na Gimlię? – Thomas się zamyślił. – Jest dosyć...

– Dokończ to zdanie, Raith, a będziemy się bić – oznajmiła Murphy beznamiętnym głosem.

– Twarda – rzekł Thomas z rozgoryczeniem. – Chciałem powiedzieć „twarda”.

Martin wstał podczas naszej rozmowy. Podeszedł do mnie i przyjrzał się mapie, na którą naniosłem oznaczenia. Potem pokiwał głową. Podczas gdy pozostali nadal się spierali – Myszek przy wsparciu Molly walczył o pozycję Gimlię, jako najniższy, najbardziej krępy i najbardziej włochaty – Martin wyjaśnił mi, co wiedzą o środkach bezpieczeństwa wokół ruin.

– Właśnie dlatego wejdziemy tędy – rzekł, wskazując wschodnią część ruin, gdzie wznosiły się rzędy potężnych kolumn. Kiedyś podtrzymywały dach nad jakimś kompleksem przylegającym do wielkiej świątyni. – Dżungla pochłonęła wschodni kraniec kompleksu. Oświetlają okolicę tylko pochodniami, więc nie powinno być problemu z przejściem krużgankami. Są pogrążone w cieniu.

– Ale to znaczy, że wystawią strażników – zauważyłem.

– Racja. Będziemy musieli ich uciszyć. To da się zrobić. Jeśli przejdziemy krużgankami, znajdziemy się sześćdziesiąt metrów od podstawy świątyni. Podejrzewamy, że właśnie w niej zamierzają odprawić rytuał.

– Wiele świątyń wybudowano na przecięciach linii geomantycznych – powiedziałem, kiwając głową. Przyjrzałem się mapie. – Sporo może się wydarzyć na obszarze sześćdziesięciu metrów. Nawet jeśli będziemy się szybko przemieszczać.

Martin przytaknął.

– Owszem, a jeśli nasi informatorzy się nie mylą, w okolicy przebywa ponad tysiąc osób.

– Tysiąc wampirów? – spytałem.

Martin wzruszył ramionami.

– Wiele z nich to wampiry. Ale także ich osobiści ochroniarze. Jak również... najwyżsi rangą słudzy, chyba tak można ich nazwać. Są jak Susan i ja. Mogą tam także przebywać śmiertelni żołnierze, którzy mają za zadanie pilnować ofiar.

– Ofiar? W liczbie mnogiej?

Martin pokiwał głową.

– Dawne ceremonie Czerwonego Dworu potrafiły trwać całymi dniami, a co kilka minut składano nową krwawą ofiarę. Niewykluczone, że przed rozpoczęciem rytuału umrze setka albo dwie innych ludzi.

Z trudem powstrzymałem drżenie.

– No tak, przygotowują sobie grunt – odrzekłem, kiwając głową. – Pewnie już zaczęli.

– Tak – przyznał Martin.

– Czego potrzebujemy?

– Odwrócenia uwagi – stwierdził Martin.

Przytaknąłem.

– Postaramy się, żeby wszyscy patrzyli w jedną stronę. Wtedy Susan, Lea i ja zaatakujemy świątynię i wyciągniemy małą. Potem wszyscy uciekniemy do sanktuarium ojca Forthilla na poświęconej ziemi.

– Złapią nas, zanim pokonamy taką odległość.

– Próbowalesz kiedyś ścigać elfa w nocy po lesie? – spytałem drwiącym tonem. – Zaufaj mi. Jeśli się im urwiemy, możemy bez trudu pokonać kilka kilometrów.

– Dlaczego nie wycofamy się bezpośrednio do duchowego świata? – spytał Martin.

Pokręciłem głową.

– Nic z tego. Tak stare i potężne istoty znają wszystkie tamtejsze sztuczki, a druga strona w okolicach ich najważniejszych miejsc nie ma przed nimi tajemnic. Nie zamierzam walczyć z nimi na ich terenie, chyba że nie będzie innego wyjścia. Skierujemy się do kościoła. – Wskazałem na mapie kościół położony w niewielkim miasteczku oddalonym zaledwie cztery kilometry od Chichén Itzá.

Martin uśmiechnął się słabo.

– Naprawdę uważasz, że parafialna kaplica oprze się potędze Czerwonego Króla?

– Muszę w to wierzyć, Martinie – odrzekłem. – Poza tym sędzę, że parafialna kaplica, broniona przez wszystkie trzy Miecze, dwóch członków Białej Rady oraz starszą czarodziejkę z Zimy, stanowi twardy orzech do zgryzienia. Wystarczy, że wytrzymamy do świtu. Potem wrócimy do dżungli i uciekniemy.

Martin przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– To może zadziałać – stwierdził w końcu.

– Owszem, może – przyznałem. – Musimy ruszać. Na zewnątrz czeka nasz transport.

– No tak.

Martin popatrzył na Susan i pokiwał głową. Potem przyłożył palce do ust i przeszywająco gwizdnął. Spokojna rozmowa natychmiast się urwała.

– Samochód czeka – oznajmił.

– Chodźmy – powiedziałem cicho. – To ten duży zielony.

Wszyscy nagle spowaźniali i zaczęli zbierać sprzęt.

Susan wyszła jako pierwsza, by się upewnić, że nie ma żadnych problemów z Leą, a pozostali podążyli za nią. Sania zamykał pochód.

– Saniu – zagadnąłem. – Która rola mi przypadła?

– Sama – odrzekł Sania.

Zamrugalem ze zdziwieniem.

– A nie... Och, na litość boską, przecież to oczywiste, kim powinienem być. Sania wzruszył ramionami.

– Nie miałeś szans. Twoja matka chrzestna została Gandalfem. Tobie przypadł Sam. – Chciał odejść, ale nagle przystanął. – Harry, czytałeś też książki, prawda?

– Jasne.

– Zatem wiesz, że to Sam był prawdziwym bohaterem tej opowieści – ciągnął Sania. – Stawił czoło znacznie potężniejszym i straszliwszym wrogom, niż powinien, i sprawił się dzielnie. Podążył samotnie w głąb czarnej, przerażającej krainy, szturmował mroczną fortecę i oparł się najgorszej pokusie tego świata ze względu na przyjaciela, którego kochał. Ostatecznie to właśnie jego działania pozwoliły, by światło przewyciężyło ciemność.

Przez chwilę o tym myślałem.

– Aha – odezwałem się w końcu.

Sania poklepał mnie po ramieniu i wyszedł.

Nie wspomniał o innej części książki. O tym, że w ślad za bohaterami wyruszył dziesiąty członek drużyny. Zrujnowana istota, która zmierzyła się z tymi samymi niebezpieczeństwami i wyzwaniem. Istota, która podjęła jedną błędną decyzję i wzięła na swoje barki moc, której nie rozumiała, przez co postradała zmysły i zmieniła się w żałosny żywy koszmar, lecz ostatecznie okazała się równie istotna dla pokonania ciemności.

Niestety jemu z pewnością nie spodobała się ta część.

Pokręciłem głową i ostro się skarciłem. Oto tracę czas na pogaduszki o cholernej książce. O czarno-białym świecie prawie wyciętym z odcieni

szarości, gdzie w ciągu sekundy można odróżnić dobrych ludzi od złych.

W tej chwili nie obchodziły mnie dobro i zło. Chciałem tylko bezpiecznie sprowadzić do domu małą dziewczynkę.

Nieważne, którym z nich będę, jeśli tylko odzyskam Maggie.

Podniosłem swoją torbę, zostawiłem za sobą kościół Świętej Marii i podszedłem do limuzyny swojej podłej matki chrzestnej, zakrywając głowę miękkim kapturem mrocznej peleryny.

Jeśli podróżowałem drogą do piekła, przynajmniej chciałem to robić w dobrym stylu.

Z tyłu limuzyny było wystarczająco dużo miejsca dla wszystkich. Byłem przekonany, że nie było go aż tak wiele, gdy jechałem nią po raz pierwszy. Ale teraz boczne siedzenia stały się dłuższe i prawie nie było nam ciasno, kiedy Glenmael ruszył na podbój ulic Chicago.

– Nadal uważam, że powinniśmy spróbować frontalnego ataku – zasugerował Sania.

– To by była samobójcza głupota – odparł Martin karcącym tonem.

– Raczej zaskakująca taktyka! – skontrował Sania. – Nie będą się tego spodziewać po kilku tysiącach lat bez żadnych wyzwań. Harry, co o tym sądzisz?

– Hmm... – odpowiedziałem.

Nagle znikąd dobiegł wyraźny głos Ebenezara.

– Niech szlag trafi twoje uparte oczy, chłopcze! Gdzie się podziewałeś?

Na chwilę zeszywniałem z zaskoczenia. Rozejrzałem się po wnętrzu limuzyny, ale nikt nie zareagował, poza moją matką chrzestną. Lea westchnęła i przewróciła oczami.

No tak. Mówiące kamienie. Schowałem swój do torby, ale trzymałem ją na kolanach i ciepło mojego ciała go aktywowało. Za pośrednictwem kamieni można było wysyłać zwięzłe komunikaty bez konieczności uprzedniego nawiązywania wyraźnej łączności. Ja i mój mentor zrobiliśmy to na początku tego całego zamieszania.

– Na potępienie i ogień piekielny, Hoss! – ryknął Ebenezar. – Odpowiedz mi!

Przeniosłem wzrok z Sani na matkę chrzestną.

– Eee, muszę odebrać to połączenie.

Sania zamrugał. Thomas i Murphy wymienili znaczące spojrzenia.

– Och, bądźcie cicho – zachnąłem się. – To magia i tyle.

Zamknąłem oczy i zacząłem grzebać w torbie, aż znalazłem kamień. Nie musiałem pokazywać się swojemu rozmówcy w tym ekstrawaganckim stroju, więc przez chwilę skupiłem myśli na własnej fizyczności, na wizerunku swoich kończyn i ciała, a w moim umyśle uformowało się normalne ubranie.

– Obiecuję ci, chłopcze, że jeśli nie...

Ebenazar pojawił się w moich myślach, ubrany jak zwykle. Nagle urwał, popatrzył na mnie i poblądł.

– Hoss? Dobrze się czujesz?

– Nieszczególnie – odparłem. – Jestem trochę zajęty. Czego pan chce?

– Twoja nieobecność podczas tajnego spotkania nie zrobiła dobrego wrażenia – odpowiedział ostro. – W Szarej Radzie są ludzie, którzy uważają, że nie należy ci wierzyć. Są wobec ciebie bardzo nieufni. Opuszczając zebranie, pokazałeś im, że albo nie szanujesz naszej pracy, albo brakuje ci mądrości i hartu ducha, by oddać się naszej sprawie.

– Nigdy nie byłem miłośnikiem koleżeńskiej presji – odparłem. – Szukam pewnej małej dziewczynki. Możemy pobawić się w polityczne gierki Rady, gdy już dostarczę ją do domu.

– Potrzebujemy cię tutaj.

– Mała potrzebuje mnie bardziej. Wiem, że to zadanie nie tak szlachetne jak ratowanie całej Białej Rady przed jej własną głupotą, ale na Boga, ocalę to dziecko.

Błada łysina Ebenezara poczerwieniała.

– Wbrew moim rozkazom.

– Nie jesteśmy wojskiem. Nie jest pan moim dowódcą.

– Arogancki chłopcze – rzucił. – Zejdź z chmur i popatrz na świat wokół siebie, w przeciwnym razie marnie zginiesz.

– Z całym szacunkiem, ale może pan iść do diabła – odwarknąłem. – Myśli pan, że nie wiem, jak niebezpieczny jest świat? Ja?

– Myślę, że robisz wszystko, co w twojej mocy, żeby odizolować się od jedynek ludzi, którzy mogą cię wesprzeć – odrzekł. – Dręczy cię poczucie winy. Rozumiem to, Hoss. Uważasz, że nie pasujesz do nas ze względu na to, co zrobiłeś. – Jeszcze bardziej spochmurniał. – Swego czasu robiłem rzeczy,

od których skręciłyby ci się włosy. Weź się w garść. Pomyśl.

– Najpierw uwolnię dziewczynkę.

– Wiesz w ogóle, gdzie ona jest? – spytał Ebenezar ostro.

– W Chichén Itzá – odpowiedziałem. – W ciągu dwóch godzin ma się stać główną atrakcją jednej z imprez Czerwonego Króla.

Ebenezar gwałtownie wciągnął powietrze, jakbym dźgnął go w żołądek końcem drąga.

– Chichén Itzá... To na skrzyżowaniu linii. Jednym z największych na świecie. Czerwoni nie korzystali z niego od... odkąd przebywał tam Cortés.

– Skrzyżowanie linii, zgadza się – odrzekłem. – Księżna Arianna zamierza zabić dziewczynkę i wykorzystać jej moc, by rzucić klątwę na jej ród, na Susan i mnie.

Ebenezar chciał coś powiedzieć, ale kilkakrotnie zamrugał, jakby oślepiło go słońce wychodzące zza chmury.

– Susan i... – Na chwilę zamilkł. – Hoss?

– Zamierzałem panu powiedzieć podczas naszej ostatniej rozmowy – odezwałem się cicho. – Ale... tamta rozmowa nie była... – Wziąłem głęboki wdech. – To dziecko moje i Susan Rodriguez.

– Aha – szepnęła. Jego twarz poszarzała. – Aha, Hoss.

– Ma na imię Maggie. Ma osiem lat. Porwali ją kilka dni temu.

Sklonił głowę i kilkakrotnie nią pokręcił, nic nie mówiąc.

– Jesteś pewien? – spytał w końcu.

– Tak.

– Od... od jak dawna wiesz?

– Dowiedziałem się następnego dnia po jej uprowadzeniu – wyjaśniłem. – Byłem cholernie zaskoczony.

Ebenezar pokiwał głową, nie podnosząc wzroku.

– Jesteś jej ojcem, a ona cię potrzebuje – powiedział w końcu. – Dlatego chcesz jej pomóc.

– Nie tylko chcę, ale to zrobię – odrzekłem cicho.

– No tak – zgodził się. – Nie wracaj do placówki w Edynburgu. Podejrzewamy, że Arianna skaziła ją jakąś chorobą, kiedy tam była. Jak dotąd zachorowało sześćdziesięciu magów, ale spodziewamy się, że ta liczba

wzrośnie. Na razie nikt nie umarł, ale cokolwiek to jest, rozkłada ich na łopatki, wliczając Indianina Joego, więc nasz najlepszy uzdrowiciel nie rozwiąże problemu.

– Na dzwony piekieł – zakląłem. – Nie tylko wracają na wojenną ścieżkę, ale próbują usunąć całą Radę jednym ciosem.

Ebenazar stęknął.

– Właśnie. A bez rozgałęzienia Ścieżek w okolicy Edynburga będzie nam bardzo trudno przeprowadzić kontratak. – Westchnął. – Hoss, masz piekielnie wielki talent. Jeszcze nieoszlifowany, ale przez ostatnie kilka lat bardzo dojrzałeś. Walczysz lepiej niż większość magów z kilkusetletnim doświadczeniem. Żałuję, że nie jesteś jednym z nas.

Nie byłem pewien, co o tym myśleć. Ebenezara powszechnie uznawano za mistrza wagi ciężkiej w świecie magów, gdy chodziło o bezpośrednią walkę. A ja jako jeden z niewielu ludzi wiedziałem, że jest także Czarnym Kosturem, oficjalnie nieistniejącym zabójcą działającym na zlecenie Białej Rady, który miał licencję na ignorowanie Praw Magii, gdy uznawał to za konieczne. Staruszek walczył praktycznie ze wszystkim, co stawiało jakikolwiek opór, i rzadko komplementował czyjeś umiejętności.

– Nie mogę do pana dołączyć – powiedziałem.

– Wiem – odrzekł, energicznie kiwając głową. – Zrób to, co musisz, chłopcze. Cokolwiek będzie konieczne, żeby uratować swoją córeczkę. Zrozumiałeś?

– Tak. Dziękuję panu.

– Z Bogiem, synu – dodał Ebenazar, po czym przerwał połączenie.

Powoli się odprężyłem, aż w końcu znów znalazłem się w swoim ciele na siedzeniu limuzyny.

– Kto to był? – spytała Molly.

Pozostali pozwolili jej się odezwać jako pierwszej. Zapewne wyjaśniła im, na czym polega komunikacja za pośrednictwem kamieni. Dzięki temu nie wyszedłem na wariata, ale nie byłem zachwycony, że zdradza takie informacje wszystkim obecnym. Nie był to wielki, śmiercionośny sekret, ale chodzi o zasady...

Potarłem twarz jedną dłonią. Bogowie. Stawałem się taki sam jak moi

mentorzy. Za chwilę zacznę narzekać na te przekłete dzieciaki i ich głośną muzykę.

– Rada – odpowiedziałem. – Cóż za zaskoczenie, nie pomogą nam.

Murphy wyglądała, jakby spała, ale głośno parsknęła.

– Więc jesteśmy zdani na siebie.

– Tak.

– To dobrze. Mamy w tym wprawę.

Lea roześmiała się perliście.

Murphy otworzyła jedno oko i posłała jej zdecydowanie lodowate spojrzenie.

– No co?

– A więc sądzisz, że już kiedyś robiłaś coś podobnego – odrzekła moja matka chrzestna. – Urocze.

Murphy wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na mnie.

– Harry?

Odchyliłem głowę i oparłem ją o szybę, a kaptur opadł mi na oczy. Murphy zdecydowanie za dobrze wyczuwała, kiedy kłamię.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Będziemy musieli zobaczyć.

Dotarcie do Aurory zajęło Glenmaelowi niecałe dwadzieścia minut. Wysiedliśmy obok parku w niewielkiej ładnej dzielnicy. O tej porze ulice były puste, a w domach nie paliły się światła.

– Witajcie na pagórku miotacza – odezwałem się, a kiedy wysiedliśmy, ruszyłem przodem.

Stawiałem długie kroki, wyprzedzając wszystkich. Murphy doścignęła mnie truchtem.

– Harry – odezwała się cicho. – Twoja matka chrzestna?

– Co z nią?

– Możemy jej zaufać?

Skrzywiłem się. Nie mogła zobaczyć mojej twarzy skrytej pod kapturem.

– A mnie ufasz?

– Właśnie dlatego cię pytam.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem, a potem zwolniłem, żeby

pozostali się do nas przybliżyli. Wliczając moją matkę chrzestną.

– No dobrze, ludzie. Wyjaśnijmy sobie parę spraw dotyczących tej strasznej sidhe. Otrzymała rozkazy, by do mnie dołączyć i mi pomóc. Właśnie to zrobi. Zależy jej na tym, żebym wyszedł z tego cały, w przeciwnym razie narazi się królowej. Dopóki będziecie jej pomagać w wykonaniu tego zadania, czyli w zapewnieniu mi bezpieczeństwa, ona również będzie was wspierała. Kiedy tylko uzna, że narażacie na szwank jej misję, pozwoli, żeby spotkało was coś złego. Może nawet sama się o to postara. – Popatrzyłem na matkę chrzestną. – Zgadza się?

– W najdrobniejszych szczegółach – odparła z uśmiechem.

Susan uniosła brew i przeniosła na nią wzrok.

– Wcale się tego nie wstydzisz, prawda?

– Wstyd, moje dziecko, jest dla tych, którzy nie potrafią doścignąć ideału, jaki sami sobie narzucili. – Machnęła ręką. – To wstyd skłonił mnie do poszukania pomocy u mojej królowej. – Jej długie, delikatne palce leniwie uniosły się do białych kosmyków w skądinąd nieskazitelnych rudych lokach. – Ale ona pokazała mi, jak mam wrócić do siebie, poprzez przejmujący ból, i teraz jestem tutaj, by czuwać nad moim drogim chrześniakiem, a także całą resztą, dopóki będzie mi to pasowało.

– Upiorna śmiercionośna pani sidhe – odezwała się Molly. – Teraz już upiorna, szalona i śmiercionośna.

Leanandidhe obnażyła psie zęby w lisim uśmiechu.

– Wszystkiego najlepszego, moje dziecko. Masz taki potencjał. Powinnyśmy porozmawiać, gdy to wszystko się skończy.

Posłałem jej groźne spojrzenie, ale ona nie żałowała swoich słów.

– No dobrze, ludzie. Plan polega na tym, że stanę w miejscu, w którym będzie najgoręcej. A jeśli któreś z was zostanie odcięte od reszty albo trafione, obiecuję, że po was wrócę. – Nie spuszczałem surowego wzroku z matki chrzestnej. – Każdy, kto ze mną wejdzie, również ze mną wyjdzie, żywy albo martwy. Sprowadzę was wszystkich do domu.

Lea przystanąła i uniosła brew. Potem zmrużyła oczy.

– Będzie ci znacznie bardziej „pasowało”, jeśli zdołają wyjść o własnych siłach – odrzekłem. – Czyż nie, matko chrzestna?

Przewróciła oczami.

– Cóż za niemożliwe dziecko. – Westchnęła, ale na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

Lekko skłoniła głowę, jak szermierz przyznający, że został trafiony, a ja odwzajemniłem gest.

Doszedłem do wniosku, że nie powinienem bardziej drażnić jej ego.

– Bądźcie ostrożni w kontaktach z nią – powiedziałem pozostałym. – Nie składajcie jej żadnych propozycji. Niczego nie obiecujcie, także w swobodnej rozmowie, nawet rzeczy, które wydają się niegroźne albo wyrwane z kontekstu. Słowa są wiążące w obecności sidhe, a ona jest jedną z najgroźniejszych istot w całej Krainie Elfów. – Ukłoniłem się jej. – Na szczęście dla nas. Zanim ta noc dobiegnie końca, będziemy szczęśliwi, że nam towarzyszy.

– Och – zamruczała Lea, pyszniąc się jak kotka. – To dosyć oczywiste, ale... moje dziecko tak bardzo urosło.

– *Da* – rzucił Sania radośnie. – Cieszę się, że ona tutaj jest. Po raz pierwszy w życiu miałem okazję przejechać się limuzyną. To już jest dobry wieczór. A jeśli upiorna, szalona śmiertcionośna pani sidhe może nam pomóc w szlachetnej sprawie, my, którzy dzierzymy Miecze... – Na chwilę umilkł z uśmiechem na ustach. – Wszystkie trzy z nich... – Znow umilkł, nie przestając się uśmiechać. – Chętnie przyjmiemy jej pomoc.

– Cóż za urok osobisty, o Rycerzu Miecza – odpowiedziała Leanansidhe, uśmiechając się jeszcze bardziej ujmująco niż Sania. – Dziś w nocy wszyscy jesteście tacy mili. Możecie być pewni, że jeśli któryś z Mieczów zostanie upuszczony lub niewłaściwie wykorzystany, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by go odzyskać.

– Saniu, proszę, przymknij się już – poleciłem.

Ryknął śmiechem, poprawił pasek śrutówki na ramieniu i już nic nie powiedział.

Zajrzałem do wspomnień matki i pokiwałem głową, docierając do pagórka miotacza.

– W porządku, ludzie. Pierwszy etap podróży. Powinien nas czekać prosty spacer szlakiem wzdłuż rzeki. Nie panikujcie, kiedy zobaczycie, że woda

płyń w górę zbocza.

Wbiłem wzrok w powietrze nad pagórkiem i zaczerpnąłem siły woli.

– Dobra – odezwałem się, głównie do siebie. – A więc do dzieła.

Aperturum.

Pierwszy etap podróży był prosty; przespacerowaliśmy się leśnym szlakiem wzdłuż płynącej wstecz rzeki aż do menhira – tym z was, którzy nie mają ochoty sprawdzać, czym jest menhir, śpieszę wyjaśnić, że to taki duży pionowo stojący kamień. Znalazłem miejsce, w którym na kamieniu wyrzeźbiono pentagram, pięcioramienną gwiazdę ujętą w okrąg, taką, jaką noszę na szyi. Dokonano tego za pomocą jakiegoś niewielkiego dłuta i symbol był nieco koślawy. Moja matka go tam umieściła, żeby zaznaczyć, z której strony kamienia należy otworzyć Ścieżkę.

Przez chwilę wodziłem palcami po pentagramie. Podobnie jak naszyjnik oraz klejnot, który go obecnie zdobił, był to namacalny dowód jej obecności. Była prawdziwa, mimo że nieobecna w moich wspomnieniach, a ten niepozorny symbol stanowił kolejny dowód.

– Moja matka wykonała ten znak – powiedziałem cicho.

Nie obejrzałem się na Thomasa, ale wyczułem jego żywe zainteresowanie.

Pamiętał nieco więcej ode mnie, ale i tak niedużo. Niewykluczone, że miał jeszcze większe problemy z autorytetami.

Otworzyłem kolejną Ścieżkę i przeszliśmy do suchego parowu, w którym wznosił się kamienny mur biegnący wzdłuż głębokiego kanału, którym niegdyś mogła płynąć rzeka – obecnie był pełen piasku. Było ciemno i chłodno, a niebo wypełniały gwiazdy.

– No dobrze – powiedziałem. – Dalej idziemy pieszo.

Przywołałem światło i ruszyłem pieszo. Martin przyjrzał się niebu nad naszymi głowami.

– Te gwiazdozbiory... Gdzie my jesteśmy?

Wdrapałem się na strome zbocze z twardego kamienia pokrytego sypkim piaskiem i popatrzyłem na srebrzysto-biały przestwór. Potężne kształty wyłaniały się z piasku, w blasku księżyca ich krawędzie sprawiały wrażenie

ząbkowanych, linie i ostre kąty zderzały się z oceanem piasku i otaczającą je równiną.

– Giza – powiedziałem. – Z tej strony nie widać Sfinksa, ale nigdy nie twierdziłem, że jestem dobrym przewodnikiem. Chodźmy.

Ukryty parów dzieliło od piramid kilka kilometrów wędrówki po piasku. Przemieszczałem się na czele grupy, powłócząc nogami w swobodnym truchcie. Nie musieliśmy się przejmować upałem – zbliżał się świt i za godzinę to miejsce miało się zmienić w ogromną patelnię, ale wtedy już nas tutaj nie będzie.

Amulet matki powiódł mnie prosto do podstawy najmniejszej i najgorzej zachowanej piramidy. Musiałem wspiąć się na trzeci poziom, żeby dosięgnąć wejścia na kolejną Ścieżkę. Ostrzegłem towarzyszy, że wybieramy się do gorącego miejsca i powinni osłonić oczy. Potem otworzyłem przejście i ruszyliśmy dalej.

Wyszliśmy na równinę obok ogromnych piramid, ale nie były one zbudowane z kamienia, tylko z idealnie gładkiego kryształu. Bezpośrednio nad nami wisiało nieprawdopodobnie wielkie słońce, którego światło boleśnie odbijało się od kryształowej równiny i bez końca załamywało się w ścianach piramid.

– Trzymajcie się z dala od tych promieni – powiedziałem, wskazując ręką kilka snopów światła tak jasnych, że mogły zawstydzić lasery z Gwiazdy Śmierci. – Są tak gorące, że roztopiają metal.

Poprowadziłem drużynę naprzód, wokół podstawy piramidy do wąskiego korytarza pogrążonego w... No cóż, trudno to nazwać cieniem, ale było tutaj nieco mniej światła. W końcu dotarliśmy do następnej Ścieżki w miejscu, w którym w idealnej krawędzi jednej z piramid brakowało kawałka kryształu wielkości pięści. Skręciłem pod kątem prostym w prawo i ruszyłem przed siebie.

Odliczyłem pięćset kroków. Czułem, że światło – nie gorąco, tylko przytłaczająca fala czystego światła – zaczyna opalać mi skórę.

W końcu znaleźliśmy coś nietypowego – pojedynczy kamień na kryształowej równinie. Wyrzeźbiono na nim brzydkie twarze, prymitywne i proste.

– Tutaj – odezwałem się, a mój głos odbił się dziwnym echem, chociaż pozornie nie miał się od czego odbić.

Otworzyłem kolejną Ścieżkę i wkroczyliśmy ze świetlistej równiny w chłodną mgiełkę i rozrzedzone górskie powietrze. Uderzył w nas zimny wiatr. Staliśmy na jakimś wiekowym kamiennym dziedzińcu. Otaczały nas pokruszone mury, a nad nami nie było dachu.

Murphy popatrzyła na gwiazdy, ledwie widoczne przez mgłę, i pokręciła głową.

– Dokąd teraz?

– Machu Picchu – odpowiedziałem. – Ktoś zabrał wodę?

– Ja! – zawołali jednocześnie Murphy, Martin, Sania, Molly i Thomas.

– No cóż, ja się nie podzielę – rzekł Thomas, a mnie zrobiło się głupio.

Sania parsknęła i rzucił mi swoją manierkę. Uśmiechnąłem się kpiąco do Thomasa, napiłem się i oddałem pojemnik. Martin podał swoją manierkę Susan i odebrał ją, gdy już się napiła. Ruszyłem ciężkim krokiem. Z jednego końca Machu Picchu do drugiego nie jest daleko, ale trzeba wędrować pod górę, a to znacznie poważniejsza sprawa w Andach niż w Chicago.

– W porządku – powiedziałem, zatrzymując się obok dużego kopca zbudowanego z licznych poziomów, które, jeśli wystarczająco mocno zmrużyło się oczy, przypominały piramidę w stylu ziguratu. Albo absurdalnie wielki i skomplikowany tort weselny. – Kiedy otworzę następną Ścieżkę, znajdziemy się pod wodą. Musimy przepłynąć trzy metry w ciemności. Potem otworzę kolejną Ścieżkę i trafimy do Meksyku. – Przeklinałem czas stracony w krainie Króla Goblinów. – Czy ktoś zabrał linę do wspinaczki?

Sania, Murphy, Martin... Pewnie się domyślacie. Ze wszystkich stron otaczali mnie ludzie znacznie lepiej przygotowani ode mnie. Nie dostali wypasionych prezentów od matki chrzestnej, ale mieli mózgi, a ja boleśnie przekonałem się, co jest ważniejsze.

Rozciągnęliśmy linę wzdłuż całej grupy (nie licząc mojej matki chrzestnej, która parsknęła pogardliwie na samą myśl o przywiązaniu się do bandy śmiertelników), a potem wziąłem kilka głębokich wdechów i otworzyłem Ścieżkę.

Notatki mamy nie wspominały, że woda będzie zimna. I to nie tak, jak wtedy, gdy twój współlokator zużyje całą ciepłą wodę. Raczej zacząłem się zastanawiać, czy za chwilę nie wpadnę na jakąś fokę, pingwina albo narwala.

Zimno uderzyło mnie jak młotem i ledwie powstrzymałem okrzyk zaskoczenia i dyskomfortu. A przecież, zdziwiła się jakaś część mojego mózgu, jestem cholernym Rycerzem Zimy.

Chociaż moje kończyny chciały zacisnąć się wokół klatki piersiowej i serca, zmusiłem je do wiosłowania. Jeden ruch. Dwa. Trzy. Cztery. Pi... Au! Uderzyłem nosem o skalną półkę. Przywołałem odrobinę woli i wypuściłem powietrze, wypowiadając słowo „*Aparturum*” pośród obłoku bąbelków, które przetoczyły się przez moje policzki i rzęsy. Nieco desperacko rozwarłem wlot kolejnej Ścieżki, a woda wlała się do niego, jakby marzyła o ucieczce.

Wpadłem do jukatańskiej dżungli na fali ektoplazmatycznego szlamu, a lina, którą byliśmy powiązani, błyskawicznie wciągnęła nas na drugą stronę. Biedny Sania, ostatni w kolejce, stracił grunt pod nogami, został przeciągnięty przez lodowatą wodę, jakby jakiś olbrzym spuścił go w swojej toalecie, po czym wylądował ciężko w zalanym szlamem lesie. Z Peru do Meksyku w trzy i pół sekundy.

Cofnąłem się chwiejnie i zamknąłem Ścieżkę, powstrzymując strumień ektoplazmy, ale zanim to zrobiłem, powódź szlamu pokryła okoliczną roślinność, a wszystkie leśne stworzenia w promieniu pięćdziesięciu metrów podniosły wrzask, zapewne pytając się nawzajem „co to, kurwa, było”. Murphy wyciągnęła pistolet, a Molly ścisnęła różdżki w obu dłoniach, tak mocno, że pobiełały jej knykcie.

Martin nagle chrapliwie ryknął, tak głośno, że chyba naderwał sobie coś w płucach. W dżungli natychmiast zapadła cisza.

Zamrugalem i popatrzyłem na niego. Podobnie jak pozostali.

– Jaguar – wyjaśnił spokojnie. – Już wyginęły w tych okolicach, ale zwierzęta o tym nie wiedzą.

– Ooo! – odezwała się moja matka chrzestna z nutą zachwytu. – To mi się podoba.

Potrzebowaliśmy chwili, żeby doprowadzić się do porządku. Myszek wyglądał jak wychudzony cień samego siebie, gdyż mokre futro przykleiło

mu się do ciała. Kichał raz za razem, zapewne próbując pozbyć się wody z nosa. Z każdym kichnięciem wyrzucał porcję ektoplazmy. Thomas miał podobny problem, gdyż został przeciągnięty na linie tak samo jak Sania, ale wyglądał na znacznie bardziej rozdrażnionego niż Myszek. Odwróciłem się w stronę matki chrzestnej.

– Mam nadzieję, że potrafisz nieco szybciej przetransportować nas do świątyni.

– Oczywiście – zamruczała Lea, spokojna i dostojna, mimo że włosy i przemoczona szlamem jedwabna sukienka przywarły jej do ciała. – Zresztą zawsze chciałam to zrobić.

Roześmiała się kpiąco i machnęła dłonią, a wtedy moim brzuchem targnął skurcz, jakby wszystkie wirusy grypy żołądkowej, jakie kiedykolwiek mnie dopadły, spotkały się w barze i postanowiły połączyć siły.

Bolało.

Wiedziałem, że upadłem, i niejasno zdawałem sobie sprawę, że leżę na boku. Po jakiejś minucie ból zaczął słabnąć. Kilka razy odetchnąłem, potrząsnąłem głową, a potem powoli oparłem się na rękach i kolanach. Posłałem Leanansidhe surowe spojrzenie.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – spytałem.

A przynajmniej spróbowałem. Brzmiało to bardziej jak „Grrrrrbrrrr ałłf arrr grrr?”.

Matka chrzestna popatrzyła na mnie i wybuchnęła śmiechem. Była szczerze zachwycona. Klasnęła w dłonie, zaczęła podskakiwać i wirować, coraz głośniej się śmiejąc.

Wtedy zrozumiałem, co się stało.

Zmieniła nas wszystkich – nie licząc Myszka – w wielkie, smukłe, długonogie ogary.

– Cudownie! – powiedziała, ze śmiechem kręcąc piruety na jednym palcu. – Chodźcie, moje dzieci! – Pomknęła przez dżunglę, zwinna i szybka jak łania.

Stado psów przez chwilę patrzyło na siebie nawzajem.

W końcu Myszek odezwał się idealną angielszczyzną:

– A to suka.

Wszyscy wbiliśmy w niego wzrok.

Sapnął i otrząsnął się ze szlamu.

– Za mną – rzucił i ruszył śladem Leanansidhe, a cała reszta, wiedzona instynktem, pomknęła za nim.

Już kiedyś zostałem poddany transformacji, za sprawą ciemnej magii przeklętego pasa, który zapewne rozmyślnie zaprojektowano w taki sposób, by użytkownik się od niego uzależniał. Długo trwało, nim zdołałem zapomnieć o tym doświadczeniu – idealnej jasności zmysłów, poczuciu potęgi przepelniającej całe ciało, pewności każdego ruchu.

Teraz tamto wrażenie powróciło, tylko nie towarzyszyła mu rozmywająca rzeczywistość euforia. Wyczuwałem otaczające mnie wonie, sto tysięcy nowych zapachów, które chciały zostać zbadane. Ogarniała mnie fizyczna rozkosz biegu u boku przyjaciela. Słyszałem oddechy i ciała swoich towarzyszy, którzy pędzili przez noc, przeskakując kamienie i powalone drzewa, przedzierając się przez pojedyncze krzaki i gęste zarośla.

Słyszeliśmy małe zwierzęta rozbiegające się przed nami na obie strony, a ja wiedziałem, nie tylko podejrzewałem, ale wiedziałem, że jestem szybszy, i to znacznie, od każdego śmiertelnego zwierzęcia, nawet od młodego jelenia, który czmychnął przed nami, dając sześciometrowego susa nad strumieniem. Czuję przytłaczającą chęć, by puścić się w pogoń, ale przywódca stada już złapał inny trop i nie byłem pewien, czy zdołałbym zboczyć z wyznaczonego szlaku.

A co było najlepsze? Zapewne wszyscy razem robiliśmy mniej hałasu niż każde z nas w niezdarnym śmiertelnym ciele.

Nie pokonaliśmy ośmiu kilometrów w godzinę zamiast dwóch.

Zajęło nam to najwyżej dziesięć minut.

Kiedy się zatrzymaliśmy, wszyscy słyszeliśmy bębny. Miarowe pulsowanie, które utrzymywało szybki, monotonny, hipnotyzujący rytm. Niebo na północnym zachodzie rozjaśniał odbity blask ognisk, a powietrze kipiało od woni ludzi, nie-ludzi oraz istot, których zapach wzbudzał w mojej krtani warczenie i sprawiał, że miałem ochotę kąsać. Od czasu do czasu rozlegały się okrzyki wampirów, a wtedy czułem lodowate dreszcze na grzbiecie.

Lea stanęła na powalonym pniu i popatrzyła przed siebie. Myszek do niej podszedł.

– Gggrrrr ralf arrrrggrrrrrrrrrr – powiedziałem.

Myszek posłał mi zniecierpliwione spojrzenie, a ja nagle uświadomiłem sobie – być może pod wpływem jego mowy ciała – że nakazuje mi usiąść i być cicho, w przeciwnym razie mnie do tego zmusi.

Usiadłem. Zbudził się we mnie opór, ale kiedy się rozejrzałem, stwierdziłem, że wszyscy to zrobili, dzięki czemu poczułem się lepiej.

– Zabawne – odezwał się Myszek, znów idealnie zrozumiałą angielszczyzną. – A teraz przemień ich z powrotem.

Lea obejrzała się na wielkiego psa.

– Śmiesz mi rozkazywać, ogarze?

– Nie jestem twoim ogarem – odparł Myszek. Nie wiedziałem, jak to robi. Nawet nie poruszał mu się pysk. – Przemień ich, zanim oderwę ci dupę. Dosłownie ją oderwę.

Leanansidhe przekrzywiła głowę i zaśmiała się gardłowo.

– Znajdujesz się daleko od swoich źródeł mocy, drogi demonie.

– Mieszkam z magiem. Nauczyłem się oszukiwać. – Zbliżył się do niej i obnażył zęby z niezaprzeczalnie wrogimi zamiarami. – Chcesz ich sama przemienić? Czy mam cię zabić i dokonać tego w ten sposób?

Lea zmrużyła oczy.

– Blefujesz – powiedziała po chwili.

Pies wbił pazury jednej z potężnych łap w ziemię, najwyraźniej przygotowując się do skoku, a od jego warczenia jakby... Popatrzyłem w dół i sprawdziłem. Nie, wcale mi się nie wydawało, że od jego warczenia trzęsie się ziemia. Ona rzeczywiście drżała w promieniu metra od psa. Z jego szczęk ulatywały drobinki niebieskiego światła, na tyle liczne, że wyglądało to tak, jakby się ślinił.

– Sprawdźmy.

Leanansidhe powoli pokręciła głowę.

– W jaki sposób Dresden zdobył twoje względy?

– Nie zdobył – odparł Myszek. – To moja sprawa.

Zaskoczona Lea uniosła brew. Potem wzruszyła ramionami.

– Mamy zadanie do wykonania. Przekomarzanie się donikąd nas nie zaprowadzi. – Odwróciła się w naszą stronę, machnęła ręką w powietrzu i wyszeptała: – Kiedy tylko będziecie chcieli wrócić, moi drodzy, wystarczy poprosić. Bylibyście wspaniałymi ogarami.

Ból ponownie mnie przytłoczył, chociaż zabrakło mi sił, by krzyżeć. Miałem wrażenie, że trwa to całą wieczność, ale gdy wreszcie się skończyło, znów byłem sobą i leżałem na boku, pocąc się i ciężko dysząc.

Myszek zbliżył się i dotknął pyskiem mojej twarzy, radośnie merdając ogonem. Okrążył mnie, obwąchał i zaczął trącać nosem, zachęcając do wstania. Powoli się podniosłem, opierając się o jego szeroki, kudłaty grzbiet. Poczułem silną potrzebę podparcia się solidną magiczną laską. Chyba nigdy nie doceniałem psychologicznego znaczenia tego rekwizytu. Ale wiedziałem, że wykonanie nowej laski zajmie mniej więcej miesiąc. Stara przestała istnieć razem z Niebieskim Chrabąszczem.

Wstałem jako pierwszy. Popatrzyłem na swojego psa.

– Potrafisz mówić. Dlaczego nigdy nie słyszałem twojego głosu?

– Ponieważ nie potrafisz słuchać – odrzekła moja matka chrzestna.

Myszek pomachał ogonem i oparł się o mnie z radością, podnosząc wzrok.

Oparłem dłoń na jego głowie i podrapałem go za uszami.

Chrzanić to.

O tym, co najważniejsze, nie trzeba mówić.

Wszyscy stawali na własnych nogach. Manierki krążyły, a ja pozwoliłem na pięć minut odpoczynku. Nie było sensu ruszać naprzód, dopóki ludzie nie odzyskają oddechu i nie będą w stanie trzymać broni w ręku.

Mimo wszystko odezwałem się cicho do Susan, a ona pokiwała głową, zmarszczyła czoło i zniknęła.

Wróciła po kilku minutach i powiedziała mi na ucho, co odkryła.

– W porządku, ludzie – powiedziałem, wciąż nie podnosząc głosu. – Zbliźcie się.

Oczyściłem kawałek poszycia i zacząłem rysować palcem na piasku. Martin oświetlił prymitywną ilustrację czerwoną latarką, która nie oślepiła w ciemności i była słabo widoczna dla wrogów.

– Wszędzie wokół wielkiej piramidy stacjonują strażnicy. Dziewczynka zapewne jest w środku, w świątyni na szczycie. Właśnie tam się skieruję. Ja, Susan i Lea pójdziemy kruzgankiem w stronę świątyni.

– Susan i ja jesteśmy razem – zaproponował Martin. – Pójdę wszędzie tam, gdzie ona.

To nie był czas ani miejsce na sprzeczki.

– Ja, Susan, Lea i Martin pójdziemy w tamtą stronę. Kiedy ruszymy do świątyni, wszyscy powinni patrzeć w kierunku północnym. Dlatego niech pozostali pójdą naokoło i zbliżą się do piramidy od tej strony. W tym miejscu stoi wagon bydłocy, w którym przetrzymują ludzkie ofiary. Uwolnijcie je. Naróbcie hałasu i uciekajcie. Kierujcie się na zachód. Dotrzecie do drogi. Doprowadzi was do miasteczka. Tam wejdźcie do kościoła. Wszystko jasne?

Pokiwali głowami, ale mieli niezadowolone miny.

– Jeśli dopisze nam szczęście, odciągniemy wystarczająco wielu strażników, by móc błyskawicznie zaatakować świątynię. Poza tym to, co się tutaj wydarzyło, ma pozostać tajemnicą – dodałem bardzo poważnie. – Żebym nie słyszał żadnych żartów o wążaniu tyłków albo gonieniu własnego ogona. Nigdy. Zgoda?

Znów przytaknęli, tym razem z uśmiechem.

– W porządku. Chcę, żebyście wiedzieli, przyjaciele, że mam wobec was dług, którego nigdy nie zdołam spłacić. Dziękuję.

– Później będziemy się wzruszać – odrzekła Murphy drwiąco. – Teraz musimy kogoś uratować.

– Słowa prawdziwej damy – powiedziałem i wyciągnąłem rękę.

Ułożyliśmy dłonie jedną na drugiej. Myszek musiał wepchnąć się między nas, żeby umieścić swoją łapę na wierzchu. Wszyscy, może poza moją matką chrzestną, byliśmy wyraźnie przestraszeni, drżeliśmy i szybko oddychaliśmy.

– Udanych łowów – powiedziałem cicho. – Ruszamy.

Nagle wszyscy zerwali się na nogi, gdy zarośla zaszeleściły i wybiegł z nich półnagi mężczyzna z desperacją wymalowaną na twarzy i szeroko otwartymi oczami pełnymi bezmyślnego przerażenia. Zderzył się z Thomasem, odbił od niego i runął na ziemię.

Nim ktokolwiek zdołał zareagować, rozległ się stłumiony szelest i wampir z Czerwonego Dworu w swojej czarnoskórej potwornej postaci wypadł z lasu w odległości pięciu metrów, a gdy nas zobaczył, zamarł pod wpływem szoku. Natychmiast spróbował zawrócić, drapiąc pazurami poszycie.

Słyszałem kiedyś, że żaden plan nie wytrzymuje pierwszego spotkania z wrogiem.

To prawda.

Wampir wydał z siebie ogłuszający wrzask i wtedy rozpętało się piekło.

Wiele rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Myszek rzucił się naprzód i chwycił wampira za łydkę, nim ten zdążył zniknąć w gęstych zaroślach. Zaparł się łapami o ziemię, podczas gdy wampir miotał się, próbując ponownie krzyknąć.

Martin uniósł rękę z pistoletem, na którego lufie znajdował się piętnastocentymetrowy tłumik. Nie wahając się ani chwili, zrobił krok w bok, żeby nic nie zasłaniało mu celu, po czym strzelił w ruchu. Pistolet wydał cichy odgłos przypominający chrząknięcie, a z szyi wampira trysnęła krew. Chociaż wciąż walczył, nagle przestał wrzeszczeć, tylko wił się dziko, próbując schować się za Myszkiem.

Wszystko ustało, gdy falcata Thomasa ścięła mu głowę.

Pólnagi mężczyzna popatrzył na nas i wybełkotał coś po hiszpańsku. Susan odpowiedziała mu zdawkowym gestem i ostrym tonem, a mężczyzna szybko jej odpowiedział, energicznie kiwając głową, po czym odwrócił się i odbiegł w ciemność.

– Cisza – sapnąłem i wszyscy umilkli.

Znieruchomiałem, zamieniając się w słuch.

Mam pewną wrodzoną zdolność, którą udaje się opanować niektórym ludziom. Nie wiem, czy to kwestia biologii czy magii, w każdym razie słyszę rzeczy, których normalnie nie byłbym w stanie wychwycić. Uznałem, że to dobry moment, by z niej skorzystać.

Przez dłuższą chwilę słyszałem tylko nieustające dudnienie bębnow.

Potem rozległ się dźwięk rogu, który trochę przypominał muzykę konchy.

Podniósł się wrzask chóru wampirów i nie trzeba było nadludzkiego słuchu, by się zorientować, że kierują się w naszą stronę.

– Widzicie? – odezwał się Sania z nutą pretensji. – Czas na frontalny atak.

– Jezu – jęknęła Murphy, bardziej zniesmaczona niż wystraszona.

– On ma rację – odrzekłem stanowczo. – Naszą jedyną szansą jest zdecydowane uderzenie. – Mieliśmy tylko chwilę, a mój umysł starał się błyskawicznie opracować plan, który nie skończyłby się utonięciem w powodzi wampirów.

– Harry, jak to zrobimy? – spytała Susan.

– Potrzebna mi Lea – odrzekłem spokojnie. – Potrzebna mi Molly.

Molly cicho pisnęła.

Odwróciłem się w stronę Susan.

– Zrobimy to w dwóch falach.

Stanęliśmy na drodze wrogów, wkraczając do starożytnego krużganka pełnego kolumn, a wampiry wyroiły się z cienia. Nie wiem, ile ich było. Więcej niż setka, mniej niż milion. Stałem przed wszystkimi i dałem sygnał do ataku.

Okrzyk bojowy Sani był najgłośniejszy. Skoczył naprzód, dobywając Esperacchiusa, a ostrze rozbłysło jaskrawym światłem.

Murphy pobiegła do przodu po jego prawej stronie, również wydając okrzyk i trzymając w dłoniach Fidelacchiusa. Otaczała ją aura łagodnego błękitnego światła. Po lewej stronie Sani biegła Susan, unosząc nad głową Amoracchiusa spowitego białym ogniem, a jej bojowy okrzyk był pierwotny i przerażający. Thomas trzymał się blisko Murphy, a Martin biegł obok Susan; obaj szarżowali z ostrzami i pistoletami w dłoniach.

Zobaczyłem, że wampiry w pierwszych rzędach się zawahały, widząc zbliżające się czyste, straszliwe światło trzech Mieczy, ale to nie wystarczyło, by powstrzymać pęd hordy. Pięć dzielnych postaci pochłonęła fala ciemnych, zwiotczałych ciał, pazurów, kłów i chłoszczących języków.

Frajerzy.

Wciąż stałem z przodu i widziałem, jak spotkanie dwóch szeregów przeciwników zatrzymało hordę. Owszem, tylko na chwilę, ale to wystarczyło, żebym zdołał dotknąć leniwej, potwornej mocy linii geomantycznej pod swoimi stopami.

Świątynia na szczycie piramidy stała na przecięciu linii, ale te – rozległe, ryczące prądy magicznej energii – promieniowały we wszystkich kierunkach, a ta pod nami stanowiła potężne źródło surowej magii ziemi.

Taka magia nie należy do moich specjalności i znam tylko kilka jej zastosowań, które mogą się przydać podczas walki.

Ale jedno z nich jest czadowe.

Sięgnąłem myślą i dotknąłem mocy linii, żałując, że nie mam swej laski. Wyczuwałem magię ziemi w swoim umyśle, czułem, jak przez niego przepływa, od czego wibrowały podeszwy ciężkich opancerzonych butów, w które ubrała mnie matka chrzestna. Wziąłem głęboki wdech, a potem zanurzyłem się myślami w tej potędze.

Natychmast przytłoczył mnie natłok obrazów i obcych doznań. Moc, z którą się połączyłem, była tak intensywna i spójna, że niemal miała świadomość. W jednej chwili ujrzałem nieśpieszny taniec kontynentów, które zderzały się ze sobą, tworząc góry, czułem powolną senność ziemi, jej senne drgawki odczuwane jako katastrofy przez efemeryczne istoty żyjące na jej skórze. Zobaczyłem niewyobrażalne bogactwa, gorące rzeki złota i srebra, miliony powstających kamieni szlachetnych.

Starałem się zapanować nad tymi obrazami, pokierować nimi i skupić je do postaci pojedynczego punktu w mojej wyobraźni, ukrytego głęboko pod sypiącym się kamiennym krużgankiem, który stał obok żałośnie tymczasowej śmiertelnej budowli na powierzchni.

Kiedy już miałem do dyspozycji całą potrzebną magię, mogłem odsunąć umysł od linii geomantycznej i nagle w mojej głowie pojawił się wir stopionego kamienia kipiący w osłonie z mojej woli. Miałem wrażenie, że ciśnienie rozsądzi mi czaszkę, a jednocześnie uświadomiłem sobie, że używam tej czystej, surowej energii do niemal dziecinnie prostego celu. Byłem ulotną smużką śmiertelności w porównaniu z mocą, która mogła, całkiem dosłownie, przenosić góry, równać z ziemią miasta, zmieniać bieg rzek i wzburzać oceany.

Wprawiłem tę energię w ruch wirowy i skierowałem ją w górę – tornado magii, które wchłonęło siłę grawitacji. Dzięki potężnej energii linii geomantycznej skupiłem przyciąganie ziemskie z kilku okolicznych kilometrów wewnątrz kręgu o średnicy kilkuset metrów i wypowiedziałem pojedyncze słowo, uwalniając strumień mocy, ograniczony, skutecznie, choć niedoskonale, wyłącznie przez moją wolę. Przygotowanie zaklęcia zajęło mi

dobrą minutę, a podłączenie się do linii geomantycznej było ostatnią częścią procesu, zbyt długotrwałego i niszczycielskiego, by móc z niego skorzystać podczas szybszych i agresywniejszych walk, jakie przyszło mi kiedykolwiek toczyć.

Dzisiaj sprawdził się idealnie.

Na ćwierć sekundy grawitacja zniknęła z Chichén Itzá i okolicznych terenów, a wszystko, co nie było przytwierdzone do gruntu, wliczając mnie, uniosło się na kilkanaście centymetrów w powietrze. Cała zgromadzona moc skoncentrowała się wewnątrz dwustumetrowego okręgu obejmującego krążanek i wszystkie znajdujące się w nim wampiry. Potężna moc skondensowanej grawitacji, wzmocnionej trzystukrotnie, przygniotła wszystko i wszystkich niczym gigantyczne niewidzialne kowadło.

Kamienne kolumny zniosły to lepiej, niż się spodziewałem. Tylko połowa z nich pękła i rozsypała się w gruzy, podczas gdy reszta wytrzymała obciążenie, jak czyniła od wieków.

Grupa uderzeniowa Czerwonego Dworu nie była tak odporna.

Usłyszałem ostry, ohydny trzask gruchotanych kości. Fala wampirów runęła na ziemię całkowicie zdruzgotana. Wiele stworów zmiażdżyły przewracając się kolumny – obwisłe czarne ciała ginęły pod tonami kamienia, nawet jeśli trafiały je tylko pojedyncze fragmenty murów.

Użyta energia była ogromna, a kiedy wyleciałem na trzydzieści centymetrów w górę, załała mnie fala wyczerpania. Mogło być gorzej. Kierowałem mocami, które już istniały i były w ruchu, a nie stwarzałem ich siłą woli, w przeciwnym razie nigdy nie zdołałbym wpłynąć na tak duży obszar ani nie zrobiłbym tego tak gwałtownie. Ale uwierzcie, że i tak było ciężko.

Pofrunąłem w górę razem ze wszystkimi i wszystkim, co nie było przymocowane. Wylądowałem na jednej nodze i upadłem na kolano, podpierając się rękami. Ciężko dysząc, podniosłem wzrok, by przyjrzeć się skutkom zaklęcia.

Przede mną rozciągały się dwa akry spłaszczonych, martwych albo potwornie okaleczonych wampirów, które wyglądały jak rozdeptane mrówki, a nad nimi w bojowych pozach, gotowi do zadania ciosu, stali

przyjaciele, których wysłałem przodem, cali i zdrowi.

– Dobrze – sapnąłem. – Wystarczy, dzieciaku.

Usłyszałem, że za moimi plecami Molly oddycha z ulgą, a światła i lśniące aury otaczające trzy postacie z Mieczami zniknęły.

– Brawo, malutka – odezwała się Leanansidhe, a gdy to mówiła, pięć postaci również rozplynęło się w powietrzu. – Bardzo przekonująca iluzja. Najskuteczniejsze złudzenia mają w sobie drobne elementy prawdy.

– Po prostu kilka razy podpatrywałam tatę przy pracy – wyjaśniła Molly nerwowo.

Myszek stał przy moim boku. Patrzył w prawo, skupiając się na drzewach i ciemności. Z głębi jego piersi wydobyło się warczenie, które bardziej wyczułem, niż usłyszałem.

Susan do mnie podeszła i popatrzyła na zmiażdżone wampiry z wyraźną satysfakcją, ale po chwili zmarszczyła czoło.

– Esclavos de sangre – oznajmiła.

– Tak – odezwał się Martin gdzieś za moimi plecami.

– Co takiego? – spytałem.

– Niewolnicy krwi – wyjaśniła Susan. – Wampiry, które całkowicie zdziczały. Nie potrafią stworzyć masek. To prawie zwierzęta. Szumowiny.

– Mięso armatnie – powiedziałem, zmuszając płuca do wolniejszych i głębszych oddechów. – Tłum szumowin na usługach Czerwonego Dworu.

– Tak.

Nietrudno było się domyślić, dlaczego się tutaj znalazły. Myszek coraz żywiej interesował się tym, co wyczuł między drzewami.

– Czerwony Dwór spodziewał się towarzystwa.

– Tak – przyznała Susan napiętym głosem.

Cóż. Nic nie może być proste, prawda?

To wszystko zmieniało. Czymś innym jest atak z zaskoczenia na nieprzygotowany cel, a czymś innym próba pokonania w pełni uzbrojonego Czerwonego Dworu, który spodziewa się kogoś o mojej sile rażenia. Mówiąc wprost: to czysta głupota.

No właśnie. Musiałem zmienić plan, i to szybko.

Rozległo się powolne bicie w potężny gong. Niski i szorstki metaliczny

dźwięk z jakiegoś powodu przypominał mi ryk, który wcześniej wydał z siebie Martin. Napięcie rosło, a oprócz huku bębnow i brzęku gongu nie słyszałem żadnych innych dźwięków, nawet odgłosów zwierząt w dżungli.

Ta cisza była znacznie bardziej przerażająca niż wcześniejszy hałas.

– Oni tam są – powiedziałem cicho. – Przemieszczają się.

– Tak – odrzekła Lea, która nagle pojawiła się po mojej lewej stronie, naprzeciwko Myszka. Jej głos był bardzo spokojny, a kocie oczy lustrowały noc, błyszczące i zaintrygowane. – Tamta hołota tylko miała odwrócić naszą uwagę. Użyli przeciwko nam naszej własnej taktyki. – Zmrużyła oczy. – Maskują się za pomocą zasłon i są w tym całkiem sprawni.

– Molly – odezwałem się.

– Załatwione, szefie – odpowiedziała.

– My odwróciliśmy ich uwagę za pomocą iluzji. Nikogo przy tym nie straciliśmy – zauważyła Murphy.

– Z ich punktu widzenia oni też nie, sierżancie – odrzekł Martin. – Istoty, które nie potrafią nad sobą panować, są bezużyteczne dla Czerwonego Króla. Ich śmierć jedynie zmniejszyła liczbę niepotrzebnych pasożytów, które musiał karmić. Co prawda uważa ludzi za towar, ale wolałby się ich nie pozbywać.

– Harry? – odezwała się Murphy. – Możesz powtórzyć tę sztuczkę z kowadłem?

– Cholera, dziwię się, że za pierwszym razem mi się udało. Nigdy nie pracowałem pod takimi obciążeniami. – Na chwilę zamknąłem oczy i spróbowałem ponownie sięgnąć ku linii geomantycznej, ale moim mózgiem targnął skurcz. Myśli zmieniły się w brutalną eksplozję obrazów i wspomnień, które pozostawiły rany wewnątrz mojej czaszki, a nawet gdy odsunąłem się umysłem od tych wizji, dopiero po kilku sekundach mogłem otworzyć oczy. – Nie – wychrypiałem. – To niemożliwe. Nawet gdyby dali mi wystarczająco dużo czasu.

– Więc co zrobimy? – spytał Thomas. W lewej dłoni trzymał duży pistolet, a w prawej falcatę i stał za mną zwrócony w stronę ciemności. – Będziemy tu czekać, aż nas dopadną?

– Pokażemy im, jaką cenę trzeba zapłacić, żeby nas pokonać – odparłem. –

Jak ci idzie, padawanko?

Molly odetchnęła przeciągle i z namysłem. Potem uniosła bladą dłoń, zakręciła wokół nas wyprostowanym palcem i szepnęła:

– *Hireki*.

Poczułem delikatny przyływ jej woli, która rozlała się wokół i przyciągnęła moją własną. Słowo, które wyszeptała moja uczennica, wypłynęło z niej ogromnym kręgiem, pozostawiając za sobą widoczne ślady. Liście i źdźbła trawy zafalowały, poruszyły się kamyki, a kilka rozmytych cieni pośród nocy zmieniło się w wyraźne czarne sylwetki.

– Wcale nie tacy sprawni – stwierdziła Molly zdyszonym głosem pełnym satysfakcji.

– *Fuego!* – warknąłem i wypuściłem z prawej dłoni niewielką ognistą kometę.

Pofrunęła naprzód przy wtórze wycia rozgrzanego powietrza i uderzyła w najbliższą z mrocznych postaci, oddaloną o nieco ponad dziesięć metrów. Buchnęły płomienie, a wampir wrzasnął z wściekłości i bólu, po czym zaczął się wycofywać między drzewa.

– *Infriga!* – krzyknąłem i szarpnąłem powietrze lewą dłonią.

Wyrwałem ogień z trafionego wampira razem z fragmentem ciała i posłałem ognistą kulę w stronę kolejnej postaci. Pierwszy cel zmienił się w bryłę lodu, gdy otaczające go wilgotne powietrze uwolniło całą wodę, unieruchamiając go i pokrywając lśniącem osadem lodowatej energii. Poczułem w sobie dar królowej Mab. W samą porę, ponieważ w zasięgu mojego wzroku znajdowało się kilkunastu nadchodzących wrogów, co oznaczało, że ze wszystkich stron zbliża się kolejna pięćdziesiątka, nie licząc tych, których nie mogłem zobaczyć, gdyż użyli bardziej pospolitych technik maskowania.

Chciałem im pokazać, co potrafię.

Drugi wampir padł równie łatwo jak pierwszy, podobnie było z trzecim i dopiero wtedy powiedziałem cicho do Martina:

– Po jednym pocisku na sztukę.

Pistolet z tłumikiem trzykrotnie kaszlnął i delikatnie lśniące postacie pokrytych lodem wampirów rozpadły się na kilkanaście kawałków każdy.

Świetlista energia Zimy zaczęła powoli z nich odpływać razem z zamrożonym ciałem.

Chyba do nich dotarło. Wampiry przestały nacierać. W dżungli zapadła cisza.

– Ogień i lód – wyszeptała Leanansidhe. – Doskonale, mój chrześniaku. Każdy może bawić się pojedynczym żywiołem. Niewielu potrafi z taką swobodą posługiwać się przeciwieństwami.

– Taki był zamysł – odrzekłem. – Pomóż mi.

– Oczywiście – zapewniła Lea.

Ruszyłem naprzód, lekko oddalając się od pozostałych, i uniosłem rękę.

– Arianno! – zawołałem.

Mój głos zabrzmiał donośnie, jakbym trzymał mikrofon i używał głośników wielkości lodówek. Trochę mnie to zaskoczyło, a kiedy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, że matka chrzestna spokojnie się uśmiecha.

– Arianno! – powtórzyłem. – Byłaś zbyt tchórzliwa, by przyjąć moje wyzwanie w Edynburgu! Teraz jestem tutaj, w samym sercu mocy Czerwonego Króla! Wciąż boisz się stawić mi czoło, tchórze?

– Co takiego? – mruknął Thomas.

– To nie jest szturm – dodał Sania z naganą w głosie.

Zignorowałem ich. To ja miałem głos.

– Widzisz, co zrobiłem z twoim motłochem. Ilu z nich musi jeszcze zginąć, nim przestaniesz się chować za ich plecami, księżno? Przyszedłem, żeby cię zabić i odebrać swoje dziecko! Staw mi czoło, w przeciwnym razie, klnę się na potęgę mojego ciała i umysłu, zburzę twoją warownię. Nim umrę, postaram się, żebyś zapłaciła za każdą kroplę przelanej krwi, a moja ostatnia klątwa rozwieje moc tego miejsca na cztery wiatry! Arianno! – ryknąłem, a nienawiść naznaczyła mój głos pogardą i złośliwością. – Ilu lojalnych służących Czerwonego Króla musi dzisiaj zginąć? Ilu Władców Zewnętrznej Nocy zasmakuje śmiertelności, nim wzejdzie słońce? Dopiero posmakowałaś potęgi, którą przynoszę. Chociaż wiem, że nie wyjdę z tego żywy, obiecuję ci, że nie umrę sam.

Pozwoliłem sobie na odrobinę efekciarstwa: kiedy moja obietnica zabrzmiała pośród ruin, odbijając się echem między drzewami, przywołałem

ogień duszy, który spowił moje ciało srebrzystym światłem. Najbliższe żywe wampiry wzdrygnęły się pod wpływem jego ostrego blasku.

Przez dłuższą chwilę nikt nie wydawał żadnych dźwięków.

Potem ucichły także bębny i gong.

Rozległa się charakterystyczna pieśń rogu, który wydał z siebie trzy wysokie, słodkie nuty.

Odniosły natychmiastowy skutek. Otaczające nas wampiry wycofały się poza nasze pole widzenia. Potem zadudnił pojedynczy bęben.

– Co się dzieje? – spytał Thomas.

– Agenci Czerwonego Króla przez ostatnie dwa dni próbowali mnie zabić albo sprawić, żebym pojawił się tutaj jako wampir – odrzekłem cicho. – Z pewnością było tak dlatego, że król nie chce, by księżna rzuciła na mnie klątwę rodową. A to oznacza, że wewnątrz Czerwonego Dworu toczy się walka o władzę.

– To żadne wytłumaczenie – odparł Thomas.

– Skoro tutaj przybyłem, Czerwony Król niewątpliwie spróbuje innych sposobów podkopania władzy księżnej.

– Nawet nie wiesz, czy on tu jest.

– Oczywiście, że tak – odrzekłem. – Zgromadziła się tutaj okazała armia, jak dotąd największa, jaką posłano w pole podczas tej wojny.

– A jeśli to nie jego armia? Jeśli to nie on nią dowodzi? – spytał Thomas.

– Historia nas uczy, że królowie, którzy nie sprawują bezpośredniej kontroli nad swoimi wojskami, szybko tracą władzę. Domyślam się, że chodzi właśnie o ograniczenie władzy Arianny.

– A dlaczego rozmowa z tobą ma mieć taki skutek?

– Code Duello – wyjaśniłem. – Czerwony Dwór podpisał Przymierze. Mam prawo wyzwąć Ariannę na pojedynek za to, co zrobiła. Jeśli ją zabiję, uwolnię Czerwonego Króla od problemu.

– A jeśli on nie jest zainteresowany pogawędką? – ciągnął Thomas. – Może wampiry się wycofują, ponieważ przekonał kogoś, by zrzucił nam na głowę pocisk manewrujący?

– W takim razie wylecimy w powietrze. To i tak lepsze niż walka z nimi.

– Dobrze, cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy – odrzekł Thomas.

– Ciota – zakpiła Murphy.

Thomas posłał jej pożądlive spojrzenie.

– Kręci mnie, kiedy tak mówisz, pani sierżant.

– Cisza – szepnął Sania. – Coś się zbliża.

Wzdłuż długiego rzędu kolumn nadchodziła smukła postać w białej szacie niosąca delikatnie świecącą lampę.

Okazało się, że jest to kobieta ubrana niemal identycznie jak Susan. Była wysoka, młoda i urocza, miała czerwono-brazową skórę, pociągłą twarz i ciemne oczy charakterystyczne dla Majów. Towarzyszyli jej trzech mężczyźni, najwyraźniej wojownicy, okryci skórą jaguarów, z przepaskami na biodrach i rozległymi tatuażami. Dwaj dzierżyli miecze wykonane z drewna i zaostrzonych kawałków obsydianu. Trzeci niósł bęben, który dudnił rytmicznie.

Miałem wrażenie, że jest coś znajomego w tych trzech mężczyznach, ale po chwili uświadomiłem sobie, że nie znam ich osobiście. Chodziło o napięcie ich ciał, przebłyski mocy, które otaczały ich jak subtelne perfumy.

Przypominali mi Susan i Martina. Byli półwampirami. Prawdopodobnie równie groźnymi jak Susan i Martin, jeśli nie bardziej.

Wojownicy zatrzymali się w odległości około sześciu metrów, ale bęben nie przestawał dudnić, a dziewczyna szła dalej, stawiając krok przy każdym uderzeniu. Kiedy do mnie dotarła, rozpięła zdobioną piórami pelerynę i upuściła ją na ziemię. Potem zsunęła skórzane paski z ramion, a sukienka opadła wzdłuż jej ciała, układając się w miękką stertę wokół stóp. Pod spodem była naga, nie licząc opaski z piór wokół bioder, przy której wisiał nóż o obsydianowym ostrzu. Uklękła powoli i z gracją, a następnie pokornie wyciągnęła w moją stronę rękojeść noża.

– Jestem kapłanka Alamaya, służąca wielkiego pana Kukulcana – wyszeptała słodkim głosem ze szczerością wypisaną na twarzy. – Mój pan wita ciebie i twoją świtę w swojej wiejskiej posiadłości, magu Dresdenie, i ofiarowuje ci krew mojego życia jako dowód swej gościnności i szacunku dla zasad Przymierza. – Spuściła wzrok i obróciła głowę, odsłaniając tętnicę szyjną i podając mi ostrze. – Zrób ze mną, co zechcesz. Jestem podarunkiem od wielkiego pana.

– Cóż za gest – mruknęła Leanansidhe. – W dzisiejszych czasach rzadko spotyka się kogoś tak grzecznego. Mogę?

– Nie – odparłem, próbując zamaskować irytację.

Przyjąłem nóż z rąk dziewczyny i wsunąłem go do torby, gdzie spoczął obok worka, który sporządziłem z odwróconej na lewą stronę koszulki Rolling Stones. Odkąd pamiętam, nosiłem tę koszulkę wraz z ubraniami na zmianę, gdy chodziłem na siłownię. Chociaż nie chciałem jej za bardzo maglować (ba-da-bum, dzyń), uświadomiłem sobie, że nie mogę się bez niej obejść podczas tej konfrontacji. Była przywiązana do mojej szarej materiałowej torby.

Wziąłem młodą kobietę za rękę i dźwignąłem ją na nogi, nie wyczuwając wokół niej żadnej magicznej aury. Była śmiertelniczką, najwyraźniej służącą wampirów.

Wzięła płytki wdech, gdy poczuła, jak chwytam ją za nadgarstek, i szybko wstała, żebym nie musiał zbytnio się wysilać.

– Gdybyś zapragnął zbrukać mnie w inny sposób, panie, również masz do tego prawo jako gość. – Jej ciemne oczy patrzyły na mnie bardzo znacząco i ulegle. – Moje ciało należy do ciebie, tak jak moja krew.

– Minał ponad wiek i oto wracamy od „potrzebny jak dziura w moście” do czegoś takiego – mruknęła Murphy.

Odchrząknąłem i skarciłem ją wzrokiem. Potem odwróciłem się w stronę dziewczyny.

– Nie wątpię w wierność twojego pana, kapłanko Alamayo. Proszę, zaprowadź nas do jego siedziby, abym mógł osobiście z nim porozmawiać.

Po moich słowach dziewczyna znów padła na kolana i zamiotła długimi ciemnymi włosami moje stopy.

– Dziękuję ci, magu, za dar życia, dzięki któremu będę mogła dalej służyć swemu panu – powiedziała, a następnie wstała i wykonała władczy gest w kierunku jednego z wojowników. Mężczyzna natychmiast zebrał jej ubranie i pomógł kapłance się odziać. Peleryna z piór wsunęła się na jej ramiona. Chociaż wiedziałem, że musi być ciężka, dziewczyna nosiła ją bez wysiłku. – Proszę tędy, panie.

– Uwielbiam tę robotę – wyszeptał Sania. – Po prostu uwielbiam.

– Muszę częściej wyzywać ludzi na pojedynek – zgodził się Thomas.

– Mężczyźni to świnie – orzekła Murphy.

– Amen – dodała Molly.

Lea popatrzyła na mnie z powagą.

– Od lat nie składałam w ofierze świętej dziewicy – powiedziała.

– To bardzo nieprofesjonalne – mruknął Martin.

– Dosyć tego – odrzekłem cicho, kładąc dłoń na grzbiecie Myszka. –

Wszyscy. Chodźcie za mną. Starajcie się wyglądać na niejadalnych.

Podążając za kapłanką niosącą lampę, wkroczyliśmy do miasta Chichén Itzá.

W Chichén Itzá czuć było woń krwi.

Nie da się jej pomylić z czymkolwiek innym, nawet jeśli nigdy wcześniej jej nie czuliśmy. Wszyscy poznajemy smak krwi, chociażby wtedy, gdy tracimy mleczone zęby. A skoro znamy smak, znamy także zapach.

Główna piramida jest nazywana El Castillo, czyli „zamek”, przez większość ludzi, którzy obecnie ją odwiedzają. Kiedy wyłoniliśmy się spomiędzy kolumn krużganka, górowała nad nami, potężna sterta rżniętego kamienia, równie duża i imponująca jak europejskie fortyfikacje, którym zawdzięczała swoją nazwę. Był to zigurat zbudowany z sześciennych bloków. Kolejne poziomy prowadziły do świątyni na wierzchołku, a na każdym z nich stali inni strażnicy.

Przy podstawie piramidy, co czyniło ich oddział najliczniejszym, stacjonowali wojownicy w skórach jaguarów. Byli to bez wyjątku mężczyźni, przystojni, o ciałach gibkich i umięśnionych jak pantery. Wielu z nich dzierżyło tradycyjną broń. Znacznie większa grupa była uzbrojona w miecze, także współczesne modele, które pod każdym względem przewyższały oręż wykuty w dawnych czasach. Ponadto większość miała kałasznikowy, a dokładniej ich współczesną wersję wykonaną ze stali i polimerów, z którą nie mogły się równać starsze modele.

Na kolejnym poziomie stały same kobiety. Miały na sobie rytualne stroje podobne do ubioru Alamayi, ale były pokryte tatuażami, tak jak wojownicy w skórach jaguarów. U nich także można było dostrzec sprawność przewyższającą zwykłych śmiertelników.

Na dzwony piekieł. Jeśli po każdej stronie piramidy stało tylu samo strażników, a nie miałem powodu przypuszczać, że było inaczej, to mieliśmy do czynienia z niemal tysiącem wojowników i kapłanek. Jestem niebezpiecznym człowiekiem, ale nikt nie jest aż tak niebezpieczny. Nagle

ucieszyłem się, że nie spróbowaliśmy przyjąć na siebie ataku wroga ani przypuścić szturmowi. Niezależnie od naszego planu armia Czerwonego Dworu przytłoczyłaby nas samą liczebnością.

Liczby mają znaczenie.

To nieprzyjemny fakt, ale nie zmienia to jego prawdziwości. Niezależnie od tego, jak słuszna jest twoja sprawa, jeśli przeciwnik przewyższa cię siłami dwa do jednego, będziesz musiał wykazać się nie lada kreatywnością, by odnieść zwycięstwo. Spytaj Niemców, którzy walczyli na obu frontach II wojny światowej. Niemieccy czołgiści często narzekali, że chociaż na ich każdy stracony czołg przypadało dziesięć zniszczonych alianckich maszyn, Alianci zawsze mieli w pogotowiu pojazd numer jedenaście.

Mieliśmy do czynienia z nieprawdopodobną przewagą liczebną i ta świadomość ani trochę mi się nie podobała.

A dotarłem dopiero do drugiego poziomu piramidy.

Kolejne kilka poziomów zajmowały wampiry. Żaden z nich nie był w swojej potwornej formie, ale nie było to konieczne. Nie starały się specjalnie maskować, więc ich czarne oczy wyraźnie świadczyły o tym, że nie są ludźmi. Wśród wampirów najwyraźniej nie przywiązywano większego znaczenia do płci. Dwa następne poziomy wypełniali wojownicy w skórkach jaguarów, ale w pełni przemienieni w wampiry, zarówno samce, jak i samice, a wyżej stali wampirzy kapłani i kapłanki. Ponad nimi stała arystokracja Czerwonego Dworu – pojedyncze wampiry obojga płci, każdy otoczony własną świtą. Im wyżej ktoś stał na stopniach piramidy, tym więcej nosił złotych ozdób i tym mniej był wytatuowany.

Tuż przed szczytem stało trzynaście samotnych postaci, które były wyższe od większości śmiertelników, gdyż znacznie przekraczały dwa metry. Każda z nich miała na sobie inny tradycyjny strój oraz własną charakterystyczną maskę. Nie byłem ekspertem od mitologii Majów, ale wywiad Białej Rady twierdził, że Władcy Zewnętrznej Nocy odgrywali bogów przed starożytnymi Majami, a każdy z nich miał odrębną tożsamość. Raporty milczały jednak na temat tego, że albo od początku byli oni kimś znacznie potężniejszym, albo rosnące szeregi wyznawców sprawiły, że przestali być zwykłymi wampirami.

Kiedy ich zobaczyłem, zadrżały mi kolana. Nie mogłem tego powstrzymać.

W świątyni na szczycie piramidy lśniło światło.

Ze środka wydobywała się woń krwi.

Nietrudno było wywnioskować, co się dzieje. Krew spływała po schodkach prowadzących do piramidy, czerwony strumyk obmywający świątynne stopnie i ściekający na ziemię, która była rozryta, jakby ktoś potraktował ją glebogryzarką. Mogłem się założyć, że to dzieło niewolników krwi. Wyobraźnia podsunęła mi widok oszalałego tłumu rozdzierającego grunt, połykającego okrwawione pakuły, bijącego się o najświeższe błoto – dopóki niżej podpisany nie pojawił się i nie rozpoczął imprezy.

Kiedy szliśmy przez otwarty dziedziniec, rozglądałem się na boki. Bydłęcy wagon, o którym powiedziała nam Susan, wciąż był strzeżony przez oddział ludzi w identycznych strojach khaki i kamizelkach kuloodpornych. Pewnie jakaś prywatna firma ochroniarska. Najemnicy. Wokół stało mnóstwo strażników, co najmniej kilka setek, pogrupowanych w pięćdziesięcioosobowe oddziały.

Nie zatrzymując się, Alamaya przecięła dziedziniec i zaczęła się wspinać po schodach, krocząc miarowo i z szacunkiem. Podążyłem za nią, a moim śladem podążyła cała reszta. Z obu stron kierowano na mnie wrogie spojrzenia. Ignorowałem je, jakby nie były warte mojej uwagi. Zresztą łydki Alamayi były znacznie ciekawsze.

Dotarliśmy do poziomu poniżej świątyni, a kapłanka odwróciła się w moją stronę.

– Mój pan porozmawia tylko z jedną osobą, magu Dresden. Poproś członków swojej świty, by tutaj zaczekali.

Tutaj. Tuż obok Władców Zewnętrznej Nocy, umarłych bożków. Jeśli popełnię błąd i sprawy się skomplikują, bardzo szybko tego pożałujemy. Ludzie, którzy postanowili zaryzykować wszystko, by mi pomóc, jako pierwsi za to zapłacą. Przez chwilę miałem ochotę zawrzeć układ. Odesłać ich do domu. Samodzielnie stawić czoło Czerwonemu Dworowi. Miałem już na sumieniu wystarczająco wiele istnień.

Ale wtedy usłyszałem cichutki odgłos dobiegający z ostatniego poziomu:

płacz dziecka. Maggie.

Tak smutny i niewinny dźwięk nie powinien być zwiastunem śmierci dla moich przyjaciół – a jednak mógł się nim stać.

– Zostańcie tutaj – poprosiłem cicho. – Myślę, że przynajmniej przez następne kilka minut to nie zmieni się w film Johna Woo. Murph, przejmij dowodzenie na czas mojej nieobecności. Sania, pomagaj jej.

Uniosła pytająco brew, ale pokiwała głową. Sania przesunął się o kilkadziesiąt centymetrów, żeby stać po jej prawej stronie, nieco z tyłu.

Powoli pokonałem ostatnie stopnie.

Świątynia była prosta i elegancka: niemal idealny sześcian na szczycie piramidy z wejściem o rozmiarach typowych drzwi w każdej ze ścian. Amalaya weszła jako pierwsza, wbijając wzrok w ziemię. Kiedy znalazła się w środku, zrobiła krok w bok i uklękła ze spuszczoną głową, jakby nie była godna wejść dalej.

Powoli zaczerpnąłem tchu i ją minąłem, by stanąć przed królem Czerwonego Dworu.

Był nieduży.

Stał odwrócony plecami do mnie, z rękami nad głową, i coś mamrotał, możliwe, że w języku Majów. Miał około metra sześćdziesięciu wzrostu i był umięśniony, ale z pewnością nie robił imponującego wrażenia. Nosił coś w rodzaju kiltu i był obnażony od pasa w górę i od kolan w dół. Miał czarne długie włosy, które opadały mu na ramiona. W dłoni ścisnął zakrwawiony nóż, który teraz powoli i delikatnie opuścił.

Dopiero wtedy zauważyłem, że na ołtarzu leży kobieta ze związanymi rękami i nogami, która szeroko otwartymi, bezradnymi oczami wpatruje się w czarny nóż.

Moje dłonie zacisnęły się w pięści. Przypomniałem sobie, że nie szukam walki. Nie szukam walki.

Ale nie miałem też zamiaru stać bezczynnie i pozwolić na coś takiego. Nie potrafię myśleć jasno, gdy zagrożone jest życie kobiety. Murphy twierdzi, że czyni mnie to neandertalczykiem.

Może ma rację, ale nie chwyciłem ogryzionego gnata i nie rzuciłem się na gościa. Zamiast tego odchrząknąłem, wyjątkowo ohydnie.

– Hej! – zawołałem.
Nóż znieruchomiał.

Potem Czerwony Król opuścił go i odwrócił się w moją stronę. Nagle przypomniałem sobie, że głowice nuklearne pakuje się do względnie niewielkich pojemników. Nie wykonał żadnego agresywnego gestu. Nawet nie popatrzył na mnie nieprzychylnie.

Nie musiał.

Presji jego spojrzenia nie dało się porównać z niczym, co do tej pory czułem. To była ciemna pustka, która uderzyła we mnie jak fizyczny cios, aż zapragnąłem odchylić się do tyłu, by uniknąć wessania przez tę próżnię i zagubienia się w otchłani. Nagle zrozumiałem, że jestem sam, nie mam przy sobie swoich narzędzi, wplątałem się w sprawy, które mnie przerastają, a mój strój wygląda absurdalnie.

A to wszystko jedynie za sprawą jego obecności. Nosił w sobie potęgę, która wykraczała poza to drobne ciało, a nawet poza kamienie świątyni, rodzaj duchowego gorąca, w którego obliczu tylko głupiec nie zdałby sobie sprawy, jak nieistotny jest z kosmicznej perspektywy. Poczuję, że opuszcza mnie pewność siebie, zacisnąłem zęby i odwróciłem wzrok.

Czerwony Król zachichotał. Coś powiedział. Alamaya mu odpowiedziała, a potem wstała i uklękła u jego stóp, twarzą do mnie.

Niewolnica na ołtarzu wciąż leżała na swoim miejscu, cicho łkając.

Usłyszałem inny, delikatniejszy głos dobiegający zza ołtarza. Jasna cholera. Zdażyłem w ostatniej chwili. Przez chwilę skupiałem się na głosie swojej córki, cichym i słodkim, aż w końcu przestałem się czuć nieważny. Czułem tylko gniew.

Czerwony Król przemówił.

Alamaya wysłuchała go i powiedziała:

– Nie porozumiewasz się prawdziwym językiem wieków, magu, więc mój pan wykorzysta tę niewolnicę, by nawiązać między wami porozumienie.

– Czad – odrzekłem. – Naprawdę grubo.

Alamaya przez chwilę mi się przyglądała. Potem powiedziała coś do Czerwonego Króla, zapewne przekazując mi, że bezczelnie użyłem słów trudnych do przełożenia.

Zmrużył oczy.

Powielilem jego wyraz twarzy. Nie wiedziałem, czy to zrozumiał, ale z pewnością nie był zachwycony.

Rzucił coś oschłym tonem.

– Mój pan chce wiedzieć, co tutaj robisz – przekazała kapłanka.

– Powiedz mu, że doskonale, kurwa, wie, co tutaj robię – odrzekłem.

Popatrzyła na mnie oszołomiona. Zająknęła się kilkakrotnie, gdy tłumaczyła moje słowa. Nie wiem, czy w mowie starożytnych Majów istnieje odpowiednik użytego przeze mnie bluzgu, czy może go ocenzurowała.

Czerwony Król słuchał, a na jego twarzy niezadowolenie ustąpiło miejsca ostrożnej neutralności. Patrzył na mnie przez kilka chwil, zanim znów się odezwał.

– „Otrzymałem dar od tej, którą znasz jako księżną Ariannę” – przetłumaczyła dziewczyna. – „Chcesz powiedzieć, że ten dar zdobyto w niewłaściwych okolicznościach?”

– Tak – odrzekłem, nie odrywając od niego wzroku. – Dobrze o tym wiesz.

– Pokręciłem głową. – Mam dosyć tych podchodów. Powiedz mu, że zabiję dla niego Ariannę, zabiorę swoją córkę i odejdę w pokoju. Powiedz, że jeśli się zgodzi, to przestanie być sprawa osobista. W przeciwnym razie jestem gotów do walki.

Dziewczyna przetłumaczyła, a jej twarz zdradzała coraz większy lęk. Kiedy skończyła, Czerwony Król wybuchnął śmiechem. Oparł się plecami o ołtarz, uśmiechnął szeroko i popatrzył na mnie niepokojącymi czarnymi oczami. Wypowiedział kilka zdań napiętym głosem.

– Mój pan mówi, że wyrzuci twoje kończyny przez wszystkie cztery drzwi, jeśli podniesiesz na niego rękę.

Parsknąłem.

– Tak, ale wcale nie będę próbował go zabić. – Nachyliłem się, przemawiając do Czerwonego Króla, a nie do dziewczyny, pokazując mu zęby. – Postaram się go okaleczyć. Zranić. Osłabić. Spytaj, czy według niego klątwa umierającego maga Białej Rady może go zranić. Spytaj, jak bardzo ufa swoim podwładnym na najbliższych poziomach piramidy. Spytaj, czy go odwiedzą i przyślą mu podarki, gdy zrozumieją, że nie jest w pełni sił.

Alamaya odezwała się wystraszonym szeptem, na co Czerwony Król zareagował ostrym słowem nagany i jakimś poleceniem. Zgadywałem, o co chodzi. „Nie chcę ci tego powtarzać, mój panie”. „Głupia niewolnico, tłumacz jego słowa, jak ci rozkazałem, albo nakopię ci do dupy”.

No dobrze, może bez tej ostatniej części.

Alamaya wróciła do swojego niewdzięcznego zajęcia, a jej słowa wprawiły Czerwonego Króla we wściekłość. Zazgrzytał zębami i... coś poruszyło się pod jego skórą. Coś przesunęło się i kłębiło w miejscach, gdzie nie powinno istnieć nic, co może się przesunąć i kłębić.

Patrzyłem na niego z uniesioną brwią i wilczym uśmiechem na twarzy, czekając na jego reakcję. Od dawna nikt tak do niego nie mówił, może nawet nigdy. Niewykluczone, że nie potrafił sobie z tym poradzić. Jeśli tak było, czekała mnie straszliwa śmierć.

A jednak nie. Opanował się, chociaż chyba było blisko, a cenę zapłaciła kobieta na ołtarzu.

Okręcił się na pięcie i wbił obsydianowy nóż w jej prawe oko, z taką siłą, że odłamało się ostrze. Wygięła się w łuk, na ile pozwoliły jej pęta, i wydała z siebie krótki zduszony krzyk bólu. Kilka razy rzuciła głową na lewo i prawo, a potem powoli zwiotczała. Jedna jej noga wciąż podrygiwała.

Czerwony Król zanurzył dwa palce w krwi sączącej się z oczodołu. Potem wsunął je do ust i zadrżał. Odwrócił się w moją stronę znów całkowicie opanowany.

Już wcześniej byłem świadkiem takiego zachowania. Było typowe dla uzależnionej osoby, która zażyła dawkę wody, narkotyków czy czegośkolwiek innego i odprężyła się w fałszywym przeświadczeniu, że teraz łatwiej sobie poradzi z emocjami.

To tłumaczyło zachowanie Czerwonego Dworu w czasie wojny. Na dzwony piekiel, ich król był ćpunem. Nic dziwnego, że działali tak niekonsekwentnie – raz genialnie i agresywnie, a za chwilę wariacko i idiotycznie. To także tłumaczyło rozłam, który pojawił się wewnątrz Dworu. Jeśli oznaką władzy jest panowanie nad własną żądzą krwi i zaspokajanie jej tylko w wybranych okolicznościach, a nie pod wpływem przypadkowych impulsów, to każdy, kto znał prawdę o Czerwonym Królu,

wiedział, że jest on słaby, niekonsekwentny i nieracjonalny.

Na dzwony piekieł. Ten facet nie był po prostu potworem. Był także paranoikiem. Na pewno, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jego żądza krwi może być postrzegana jako argument za tym, by go obalić. Jeśli działa się to od dawna, mogło wpędzić go w obłąd. Nawet jak na standardy Czerwonego Króla.

Zapewne właśnie tak się stało. Arianna jakoś dowiedziała się o słabości Czerwonego Króla i budowała zaplecze, by zrzucić go z tronu. Werbowwała sojuszników, zyskiwała poparcie polityczne i społeczne, jeśli wampiry w ogóle miały jakąś psychotyczną, krwawą, morderczą wersję społeczeństwa. Właściwe postępowanie z wrogami jest kluczem do utrzymania silnej pozycji, a w przypadku Czerwonego Dworu wrogowie dzielili się na tych, z którymi właściwie postąpiono, i na żywych. Arianna nie miała wyjścia, musiała mnie załatwić, żeby odnieść sukces. Przy okazji nie pogardziłaby zgotowaniem Pearl Harbor Białej Radzie.

Zatem musiałem zadbać o to, by ten mały świr pozostał na tronie. Dopóki tak będzie, Rada nie będzie musiała mierzyć się z kompetentnym, zjednoczonym Czerwonym Dworem.

Czerwony Król po chwili odezwał się, wycierając palce o włosy Alamayi.

– Mój pan przyjmuje twój wniosek o pojedynek z księżną. Natychmiast pośle po nią swoją niewolnicę.

– Nie tak szybko – zaoponowałem, gdy Alamaya zaczęła się podnosić. – Powiedz mu, że chcę zobaczyć dziewczynkę.

Zamarła między nami, szeroko otwierając oczy.

Król zachęcił ją ruchem dłoni. Cicho do niego przemówiła.

Jego wargi zadrżały. Odślonił zęby. Po chwili oschle skłonił głowę i wskazał ołtarz. Potem odsunął się na bok, uważnie mnie obserwując.

Śledziłem go kątem oka, zbliżając się do ołtarza.

Maggie, zakuta w małe kajdany, które, uch, przygotowano specjalnie dla dzieci, kuliła się po przeciwnej stronie ołtarza. Spływała z niego krew, przed którą się cofała, aż w końcu przywarła do ściany, próbując osłonić buciki i sukienkę, które i tak były brudne. Włosy miała potargane. Jej ciemne oczy były wytrzeszczone i przekrwione. Dygotała. Noc nie była bardzo zimna, ale

wystarczająco chłodna, by dziecko ubrane tylko w bawełnianą sukienkę cierpiało.

Chciałem do niej podejść. Zdjąć jej pęta. Owinąć ją swoją absurdalną peleryną, przynieść jej coś do jedzenia i gorącą czekoladę, wykąpać ją, uczesać i wyszczotkować włosy, dać misia, położyć do łóżka i...

Zobaczyła mnie i wzdrygnęła się z łkaniem.

O Boże.

Bolało mnie serce, gdy na nią patrzyłem, wystraszoną, nieszczęśliwą i samotną. Potrafię znieść ból, gdy sam go doświadczam. Ale widząc, jak cierpi moje dziecko, moja krew, odczuwałem ból o takiej skali, że nie miałem pojęcia, jak sobie z nim poradzić.

Postanowiłem, że zacznę od rozerwania na strzępy kilku wampirów.

Nakarmiłem tym bólem burzę w swoim wnętrzu, która szalała od bardzo dawna, a teraz znów przybrała na sile. Odczekałem, aż od gorącego gniewu wyschną łzy w moich oczach. Potem odwróciłem się w stronę Czerwonego Króla i pokiwałem głową.

– Zgoda – powiedziałem. – Sprowadź księżną. Wyniosę za ciebie śmieci.

Alamaya w milczeniu opuściła świątynię. Wróciła po niecałej minucie. Ukłoniła się Czerwonemu Królowi – pełny ukłon z przyklęknięciem – i powiedziała coś cicho.

Czerwony Król zmrużył oczy. Wyszepiał coś do dziewczyny i wyszedł. Zagrał róg i zadudniły bębny, gdy pokazał się swoim ludziom na zewnątrz.

Alamaya musiała nieco podnieść głos, żebym ją usłyszał.

– Mój pan chce, żebyś wiedział, że to miejsce jest obserwowane i strzeżone. Jeśli spróbujesz odejść z dzieckiem, oboje zostanieie zniszczeni.

– Rozumiem – odrzekłem spokojnie.

Alamaya złożyła mi bardziej konwencjonalny ukłon i pośpieszyła za Czerwonym Królem.

Kiedy odeszła, zbliżyłem się do ołtarza i leżącej na nim martwej kobiety.

– No dobrze – odezwałem się. – Powiedz mi, co widzisz.

Z prowizorycznego worka sporządzonego z koszulki Rolling Stones dobiegł uszczypliwy głos Boba Czaszki.

– Olbrzymie rysunkowe usta.

Zmiałem w ustach przekleństwo i poruszyłem koszulką, tak że wyłonił się spod niej jeden lśniący na pomarańczowo oczodół czaszki.

– A teraz wielkiego magicznego ciotka!

Warknąłem na niego i skierowałem jego oko na ołtarz.

– Ojej – westchnął Bob.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Przygotowują rytualną klątwę – odrzekł. – Potężną.

– Jak ona działa? Wyjaśnij w niecałe dziesięć sekund.

– Dziesięć sek... ech. No dobrze. Wyobraź sobie kuszę. Ofiary z ludzi to wysiłek, jakiego potrzebujesz, by naciągnąć cięciwę i zmagazynować

energię. Ta kusza już jest naciągnięta i gotowa do strzału. Potrzebuje tylko bełtu.

– Jak to bełtu?

– Na przykład dziewczynki, która chowa się za ołtarzem – wyjaśnił Bob. – Jej krew poniesie nagromadzoną energię do świata i przekaże ją do celu. W tym wypadku do jej krewnych.

Zmarszczyłem czoło.

– Czy to koniecznie musi być Maggie?

– Nie. Każdy bełt się nada. Jeśli tylko użyjesz kompatybilnego noża do rozlania krwi, klątwa powinna zadziałać.

Pokiwałem głową.

– Więc... co by się stało, gdybyśmy użyli innego bełtu?

– To samo – odrzekł Bob. – Jedyne różnica polega na tym, kto stałby się celem.

– A więc to naładowana broń – powiedziałem cicho z zasepioną miną. – Dlaczego mnie z nią zostawili?

– Kogo zabijesz, żeby ją odpalić? – spytał Bob. – Swoją córeczkę? Siebie? Daj spokój, szefie.

– Czy możemy ją rozbroić? Albo popsuć?

– Jasne. Świątynia wyleciałaby na orbitę, ale możesz spróbować.

Zazgrzytałem zębami.

– Czy jeśli wystrzeli tak, jak zaplanowano, zabije Thomasa?

– Dziewczynka jest człowiekiem, więc zginą tylko ludzkie elementy. Jego ciało i umysł. Jeśli będzie miał szczęście, skończy jako warzywo, w którym będzie uwięziony jego demon Głodu, ale klątwa nie rozprzestrzeni się na innych członków Białego Dworu.

– Psiakrew – mruknąłem.

Chciałem powiedzieć coś więcej, ale kątem oka zauważyłem jakiś ruch. Wepchnąłem Boba do worka, kazałem mu się zamknąć i zobaczyłem, że Alamaya wchodzi do świątyni z tuzinem wampirycznych wojowników w skórach jaguarów.

– Zapraszam ze mną, panie magu – powiedziała. – Udamy się do tej, która cię skrzywdziła. Mój władca daje słowo, że twojej córce nic się nie stanie,

dopóki pojedynek nie dobiegnie końca.

– Dziękuję – odrzekłem.

Jeszcze raz obejrzałem się na małą. Kulila się pod ścianą z szeroko otwartymi oczami, które nie patrzyły na nic konkretnego, jakby próbowała obserwować wszystko jednocześnie.

Podszedłem do niej, a ona znów się wzdrygnęła. Przyklęknałem przed nią. Nie próbowałem jej dotknąć. Pewnie nie zdołałbym nad sobą zapanować, gdyby cofnęła się przed moją ręką.

– Maggie – odezwałem się cicho.

Podniosła na mnie wzrok wyraźnie zaskoczona.

– Zabiorę cię od tych niedobrych ludzi – obiecałem, mówiąc najłagodniej, jak potrafiłem. Nie wiedziałem, czy w ogóle zna angielski. – Dobrze? Zabiorę cię stąd.

Zadrżała jej warga. Odwróciła wzrok.

Wstałem i podążyłem za kapłanką zaćpanego boga, by zmierzyć się ze swoim wrogiem.

Na zewnątrz wiele się zmieniło. Członkowie Czerwonego Dworu zeszli z piramidy i wędrowali równą procesją do innej części ruin. Moi towarzysze czekali na dole schodów.

– W porządku – odezwałem się, kiedy do nich dotarłem. – Czas na pojedynek.

Sania pokręcił głową.

– Zapamiętaj moje słowa. To się nie skończy w kręgu pojedynku. Takie sprawy zawsze wymykają się spod kontroli.

– Obowiązuje Przymierze – odparłem. – On dotrzyma słowa. Jeśli wygram, dostanę dziewczynkę i będziemy mogli odejść.

Martin pokręcił głową.

– No co? – spytałem.

– Znam ich – odrzekł bez emocji. – Nikt z nas nie wyjdzie stąd żywy.

Jego słowa wywarły natychmiastowy skutek na pozostałych. Najmocniej dotknęły Molly. Już była blada jak ściana. Widziałem, że nerwowo przełknęła ślinę.

– Może znasz te potwory, Martinie – odezwała się Murphy cicho. – Ale ja

znam faceta, który je powstrzymuje. Jeśli nie zwrócą dziewczynki, postaramy się, żeby tego pożałowali. – Skinęła do mnie głową. – Chodźmy. Popatrzmy, jak Dresden zabija tę sukę.

Poczułem, że się uśmiecham. Murphy to porządna babka.

Kiedy ostatni na wpół śmiertelni wojownicy zeszli z piramidy, podążyliśmy ich śladem, kierując się w stronę czegoś, co wyglądało jak kolejna świątynia, na północnym krańcu ruin.

Ale kiedy przeszliśmy przez świątynne wrota, znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni porośniętej zieloną trawą, długiej na co najmniej sto pięćdziesiąt i szerokiej na siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt metrów. Wzdłuż dłuższych boków prostokąta wznosiły się dziewięciometrowe kamienne ściany, a po przeciwległej stronie stała świątynia, taka sama, do jakiej przed chwilą weszliśmy.

– To stadion – mruknąłem, rozglądając się dookoła.

– Uch – sapnęła Molly. – Słyszałam przerażające opowieści o imprezach sportowych Majów, szefie.

– Zgadza się. – Lea westchnęła radośnie. – Umieci motywować swoich zawodników.

Alamaya odwróciła się w moją stronę.

– Panie, twoja świta może tutaj zaczekać. Zapraszam ze mną.

– Miejcie oczy szeroko otwarte, ludzie – rzuciłem.

Potem skinąłem głową do Alamai i wyszedłem za nią na pole. Kiedy tylko ruszyłem, z przeciwległego końca zaczęła iść w moją stronę jakaś kobieta. Gdy się zbliżyła, zobaczyłem, że Arianna wciąż ma mniej więcej te same rysy twarzy, ale zamieniła bladą karnację na czerwono-brązową, błękit oczu na wampirzą czerń, a także zmaląa o kilkanaście centymetrów. Była ubrana w prostą sukienkę z kozłej skóry i miała na sobie więcej złotej biżuterii niż członkowie konkursu na sobowtóra Mr. T. Miała nieco ostrzej zarysowany i dłuższy nos, ale kiedy stanęliśmy naprzeciwko siebie w odległości trzech metrów, dostrzegłem nienawiść kipiącą w jej oczach. Nie miałem wątpliwości, że to księżna.

– Mam cię – powiedziałem z uśmiechem.

– Tak – odrzekła. Powiodła wkoło wzrokiem, przyglądając się tysiącom

członków Czerwonego Dworu i ich sługom. – Chyba zemdleję ze strachu.

– Dlaczego? – spytałem ostro. – Dlaczego wciągnęłaś w to dziecko? Dlaczego nie przyszałaś prosto do mnie?

– Czy teraz to ma jakieś znaczenie?

Wzruszyłem ramionami.

– Niespecjalnie. Po prostu jestem ciekaw.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, a potem uśmiechnęła się.

– Czyli nie wiesz.

Popatrzyłem na nią nieufnie.

– Czego nie wiem?

– Drogi chłopcze, nigdy nie chodziło o ciebie.

Skrzywiłem się.

– Nie rozumiem.

– Najwyraźniej – odrzekła i posłała mi oszałamiający uśmiech. – Umrzesz zagubiony.

Zawył róg i Alamaya pokłoniła się przed świątynią, przez którą właśnie przeszedłem. Zobaczyłem Czerwonego Króla, który siedział na tronie z ciemnego polerowanego drewna pokrytego złotymi zdobieniami i wzorami.

Alamaya wyprostowała się i zwróciła w naszą stronę.

– Szlachetni państwo, oto ograniczenia, które będą was obowiązywać podczas walki. Po pierwsze...

Skrzywiłem się.

– Tę sprawę reguluje Przymierze. Stosujemy się do zasad Code Duello.

Czerwony Król przemówił i chociaż był oddalony o sześćdziesiąt metrów, wyraźnie go usłyszałem. Alamaya skłoniła głowę.

– Mój pan odpowiada, że od dawien dawna jest to święty czas i święta ziemia dla naszego ludu. Jeśli nie chcecie uszanować naszych tradycji, powróćcie jutrzejszej nocy. Niestety, wtedy nie będzie mógł zagwarantować, że nic się nie stanie z jego najnowszym nabytkiem.

Zmierzyłem Czerwonego Króla wzrokiem.

– Niech będzie – parsknąłem.

Alamaya skinęła głową i mówiła dalej:

– Po pierwsze, jako że oboje posługujecie się Mocą, będziecie się pojedynkować wyłącznie przy jej użyciu. Wszelki kontakt fizyczny jest zabroniony.

Arianna zmrużyła oczy.

Ja również. Wiedziałem, że Czerwony Dwór również para się magią. Pierwsza wampirzyca, jaką spotkałem, była czarodziejką, nim została przyjęta do arystokracji Czerwonego Dworu. Sądząc po biżuterii Arianny, jej miejsce było na jedenastym poziomie piramidy – tuż pod Władcami Zewnętrznej Nocy. W końcu przez tysiąclecia nawet dyletant może zdobyć ogromne doświadczenie i umiejętności.

– Po drugie – odezwała się kapłanka – ani wy, ani wasza moc nie możecie wykraczać poza mury tego dziedzińca. Jeżeli złamiecie tę zasadę, zostaniecie natychmiast uśmierceni siłą woli mojego pana i Władców Zewnętrznej Nocy.

– Ja i budynki za sobą nie przepadamy – odrzekłem. – Może widzieliście kolumny po drugiej stronie...?

Alamaya popatrzyła na mnie obojętnie.

Westchnąłem. Najwyraźniej nikt nie docenia humoru, gdy w grę wchodzi tradycyjne czary-mary.

– Nieważne.

– Po trzecie, pojedynek rozpocznie się wraz z kolejnym dźwiękiem rogu. Zakończy się, gdy jedno z was przestanie istnieć. Rozumiecie zasady, które wam przekazano?

– Aha – odrzekłem.

– Tak – potwierdziła Arianna.

– Macie coś jeszcze do powiedzenia?

– Zawsze – odparłem. – Ale to może poczekać.

Arianna obdarzyła mnie delikatnym uśmiechem.

– Przekaż mojemu ojcu podziękowania i powiedz, że za chwilę dołączę do niego w świątyni.

Alamaya ukloniła się nam obojgu. Potem opuściła pole i wróciła do swojego szefa.

Noc pogrążyła się w ciszy. Na stadionie nie było słyhać nawet szumu

wiatru. Ta cisza nie dawała mi spokoju, Arianna tymczasem sprawiała wrażenie odprężonej.

– A więc twój tata jest Czerwonym Królem – zagadnąłem.

– Owszem. Stworzył mnie, tak samo jak Trzynastu oraz większą część naszej arystokracji.

– Jedna wielka rodzinka krwiopijców, co? Ale podejrzewam, że tatuś przegapił wszystkie wywiadówki.

Księżna przyjrzała mi się i pokręciła głową.

– Nigdy nie zrozumiem, dlaczego nikt cię jeszcze nie zabił.

– Nie można powiedzieć, że nie próbowali – odparłem. – Jak sądzisz, dlaczego ustalił takie zasady? Gdybyśmy walczyli zgodnie z Code Duello, być może ograniczylibyśmy się do bezpośredniej konfrontacji. Wygląda na to, że odebrał ci całą przewagę, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Zblazowana osoba mogłaby to uznać za oznakę słabości.

– Sprytnie powiedziane. Ale z czystej ciekawości: co się stanie, kiedy już mnie zabijesz?

Wzruszyła ramionami.

– Dalej będę służyła Czerwonemu Dworowi najlepiej, jak potrafię.

Wyszczrzyłem zęby.

– Czyli zrzucisz Czerwonego Tatuśka z tronu?

– To by było ambitne, ale niezbyt rozsądne – odrzekła. – Myślę, że ktoś spośród Trzynastu zostanie wywyższony do pozycji Kukulcana.

– Co zwolni wakat wśród Władców Zewnętrznej Nocy – zauważyłem. – Zamordować ojca, żeby uzyskać awans. Nie brakuje ci klasy.

– Bydło tego nie zrozumie.

– Nie zrozumie, że tatuś traci kontrolę? – spytałem. – Że zmienia się w jednego z waszych niewolników krwi?

Jej usta drgnęły, jakby powstrzymywała wściekły grymas.

– Tak się czasami dzieje ze starszymi – odrzekła. – Kocham i czczę swojego ojca. Ale jego czas minął.

– Chyba że przegrasz – zauważyłem.

– To mało prawdopodobne. – Zmierzyła mnie wzrokiem. – Cóż za...

nowatorski strój.

– Włożyłem go specjalnie dla ciebie – odparłem i zatrzepotałem rzęsami.
Nie sprawiała wrażenia rozbawionej.

– Większość tego, co robię, to tylko praca. Nic osobistego. Ale to sprawi mi przyjemność.

Przestałem zgrywać cwaniaka. Wzbierający we mnie gniew przyćmił wesołość.

– Porwanie mojego dziecka to nie praca – odparłem. – To prośba o eutanazję.

– Cóż za moralne oburzenie. Tymczasem jesteś równie winny jak ja. Czy nie zabiłeś dziecka Paola, Bianki?

– Bianca sama próbowała mnie zabić – zaproponowałem. – Maggie jest niewinna. Nie mogłaby cię skrzywdzić.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim mnie obraziłeś, mordując moją wnuczkę – syknęła, a jej głos nagle stał się zimny i napięty. – Jestem cierpliwa, magu. Bardziej, niż ci się wydaje. Czekałam na dzień, kiedy konsekwencje twojej arogancji spadną na ciebie i wszystkich, których kochasz.

Ta groźba roznieciła ogień w moim mózgu. Miałem wrażenie, że gniew rozerwie moją pierś i rzuci się na Ariannę bez mojego udziału.

– Suko – splunąłem. – No chodź!

Zagrał róg.

Podczas tej słownej przepychanki oboje gromadziliśmy siłę woli, dlatego pierwsza chwila pojedynku prawie nas zabiła.

Przywołałem moc i ogień, oba podszyte ogniem duszy, który miał wzmocnić ich istotę i utrudnić powstrzymanie ataku. Przybrały kształt płonącej niebiesko-białej kuli o rozmiarach nadmuchiwanej piłki do ćwiczeń.

Arianna tymczasem wykonała osobliwy gest rękami, a wtedy z ziemi trysnął wodny gejzer o miazdzącej sile.

Oba ataki spotkały się w połowie drogi między nami ze skutkiem, któremu nie mogliśmy zapobiec. Ogień i woda zmieniły się w gorącą parę wodną, a towarzyszący temu wybuch odrzucił nas do tyłu. Na szczęście miałem w zanadrzu bransoletę z tarczami, nauczony podobną sytuacją z przeszłości, która upodobniła moją lewą dłoń do rekwizytu z filmu grozy.

Odskoczyłem do tyłu i wylądowałem w kucki, otaczając się kopułą tarczy, a ta powstrzymała opadający obłok pary, od którego zagotowała się trawa. Para rozwiała się dopiero po kilku sekundach, a gdy tak się stało, nie zobaczyłem Arianny na polu walki.

Jeszcze chwilę podtrzymałem tarczę wokół siebie i błyskawicznie skupiłem się na punkcie położonym dokładnie pomiędzy moimi brwiami i nieco w górze. Użyłem Wejrzenia i rozejrzałem się po stadionie, a wtedy w odległości czterdziestu metrów dostrzegłem biegnącą Arianę, która usiłowała zająć mnie od tyłu. Powietrze wokół niej było skażone warstwą oleistej czarnej magii – zasłoną, której nie mogłem zobaczyć własnymi oczami. Dzięki Wejrzeniu widziałem ją jako wampirzycę Czerwonego Dworu w jej prawdziwej postaci, jeszcze bardziej zwiotczałą i tłustą od zwykłego wampira, istotę naznaczoną odwieczną mocą i mrokiem.

Próbowałem nie skupiać się na niczym innym, ale nie mogłem nad tym

zapanować. Widziałem zabójstwa, które przez wieki mnożyły się na tym polu, przybierające postać metrowej warstwy przejrzystych kości przykrywającej ziemię. Na skraju mojego pola widzenia majaczyły groteskowe postaci członków Czerwonego Dworu, zbieranina unikatowych i ohydnych potworów, których wygląd odzwierciedlał indywidualne szaleństwo. Nie miałem odwagi patrzeć wprost na widzów, zwłaszcza na tych na drugim poziomie świątyni. Nie chciałem ujrzeć prawdziwego oblicza Czerwonego Króla i jego Władców.

Wodziłem wkoło wzrokiem, udając, że nie zauważyłem skradającej się Arianny, jednocześnie obracając się i czekając na chwilę, gdy znajdzie się za moimi plecami. Wtedy opuściłem tarczę i wstałem, ciężko dysząc, jakbym nie mógł dłużej podtrzymywać zaklęcia. Wciąż się obracałem, a tuż przed tym, jak rzuciła czar, gwałtownie się okręciłem, wycelowałem w nią palec i warknąłem „*Forzare!*”.

Czysta uwolniona wola trafiła ją w klatkę piersiową, zanim iskry elektryczności, które zebrała, zdołały zastygnąć w prawdziwą błyskawicę. Cios odrzucił ją kilka metrów do tyłu, gdzie uderzyła o wiekową skalną ścianę wznoszącą się wokół boiska.

Zanim zdążyła upaść, podniosłem wzrok na szczyt ściany, chwyciłem niewidocznymi palcami kilka dużych kamieni i je wyrwałem, tak że runęły na Ariannę z wysokości dziesięciu metrów.

Oczywiście wampirzyca była nadludzko szybka. Każdy śmiertelnik zostałby zmiażdżony. Ona została tylko muśnięta przez jeden z mniejszych kamieni, gdy odskoczyła w bok, po drodze formując między dłońmi kulę krzykliwego czerwonego światła.

Nie chciałem, by mnie nią trafiła, cokolwiek to było. Dlatego dalej szarpałem ścianę, zrzucając dziesiątki kamieni i zmuszając Ariannę do ciągłego ruchu. Sam pobiegłem równolegle do niej, utrzymując stały dystans.

Oboje ciskaliśmy magiczne pociski, ale ona miała więcej doświadczenia w walce jeden na jednego. Jak wytrawny rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu cierpliwie przygotowywała się do strzału, podczas gdy ja pośpiesznie zasypywałem ją ciosami, które miały małe szanse powodzenia. Zrzuciłem na

nią w sumie kilkadziesiąt ton kamieni, ale skończyło się na kilku otarciach i siniakach.

Ona posłała w moją stronę tylko jedną błyskawicę.

Świat rozświetlił się na czerwono-biało i coś mocno uderzyło mnie w plecy. Ugięły się pode mną nogi i usiadłem oszołomiony – miałem wrażenie, że na całą godzinę – zdając sobie sprawę, że siła jej ciosu wystarczyła, by odrzucić mnie dwukrotnie dalej niż moje najpotężniejsze uderzenie. Odbiłem się od przeciwległej ściany. Popatrzyłem na siebie, spodziewając się zobaczyć ogromną dziurę o przypalonych krawędziach, ale znalazłem tylko czarną smugę na swoim efektownym napierśniku oraz kilka śladów na złotych zdobieniach w miejscach, w których metal częściowo się stopił.

Przeżyłem.

Nagle odzyskałem jasność umysłu i domyśliłem się, co mnie czeka. Gwałtownie postawiłem tarczę, tym razem nie nadając jej kształtu fragmentu kuli, jak zazwyczaj czyniłem, ale długiego trójkąta przypominającego namiot. Przykucnąłem pod tą osłoną, a wtedy z góry posypały się na mnie kamienie wyrwane z muru za sprawą woli Arianny. Szary gruz coraz bardziej mnie zakrywał, a ja rozpaczliwie starałem się zmusić swój ogłuszony mózg do wymyślenia jakiegoś planu.

Najmądrzejsze, co przyszło mi do głowy w tych okolicznościach, to: co by zrobił Yoda?

Skorzystałem z krótkiej przerwy pomiędzy spadającymi kamieniami i wyłączyłem tarczę. Kiedy pomknął w moją stronę kolejny głaz, wyciągnąłem rękę i wyteżyłem siłę woli, zatrzymując go, zanim grawitacja nadała mu pęd. Ponownie krzyknąłem „*Forzare!*” i ogromnym wysiłkiem woli zmieniłem kierunek ruchu kamienia, jak najmocniej ciskając go w stronę Arianny, wykorzystując grawitację i resztki magii wampirzycy.

Zobaczyła zbliżający się pocisk, ale wtedy było już za późno. Uniosła dłonie, układając palce w obronne gesty, przywołując własną magiczną osłonę. Kamień przebił ją w błysku czerwonego światła i trafił Ariannę w biodro, gwałtownie ją obrócił i posłał na ziemię.

– Harry Dresden, ludzka katapulta! – wrzasnąłem pijanym głosem.

Arianna błyskawicznie wstała. Jej tarcza osłabiła energię głazu, więc uderzenie nie miało zabójczych skutków, ale zyskałem czas na wydostanie się spod sterty kamieni i oddalenie od ściany stadionu. Posłałem w stronę wampirzycy kolejną porcję ognistych pocisków, a ona zręcznie je sparowała, przywołując wodę z powietrza i formując z niej falujące kule, które przechwyciły płonące komety w eksplozji pary. Po piątym albo szóstym strzale już nie widziałem samej Arianny, ale dostrzegłem wyładowania energii, gdy ponownie otoczyła się mrocznym całunem zasłony. Wampirzyca puściła się nieludzko szybkim biegiem, okrążając mnie, by zaatakować od tyłu.

Nie. Niemożliwe, żeby po raz drugi próbowała tego samego.

Pojedynki pomiędzy magami polegają na czymś więcej niż okładaniu się różnymi formami energii, tak jak mecz bokserski nie jest jedynie wymianą mocnych ciosów. To rodzaj sztuki, a także nauki, która polega na przewidywaniu ataków przeciwnika i skutecznym kontrowaniu. Trzeba obmyśleć ripostę na przewidywane posunięcie rywala i być gotowym błyskawicznie ją zastosować. Należy także znaleźć sposób na pokonanie jego obrony. Magiczny pojedynek ograniczają wyłącznie wyobraźnia i moc walczących.

Arianna najwyraźniej była przygotowana na moją ulubioną broń – ogień – co świadczyło o jej sprycie. Ale już wcześniej próbowała zadać mi cios w plecy i prawie wtedy spłonęła. Każdy doświadczony mag powie wam, że nie powinna tego powtarzać, gdyż wróg jeszcze skuteczniej jej odpowie.

Arianna była doświadczoną zabójczynią, ale nie miała na koncie zbyt wielu czysto magicznych pojedynków. Zawsze polegała na swojej nadzwyczajnej sile i szybkości. To byłaby najmądrzejsza taktyka – ruszyć prosto na mnie i zasypać mnie gradem ciosów, usiłując zbliżyć się na tyle, by ostatecznie zakończyć walkę.

Tylko że teraz nie mogła tego zrobić i nie do końca radziła sobie z tym ograniczeniem. Elastyczne myślenie nie jest mocną stroną odwiecznych potworów.

Zamiast tkwić w miejscu, jak poprzednim razem, gdy próbowała zająć mnie od tyłu, ruszyłem naprzód, zanurzając się w kłębach pary. Poparzyła

mnie, ale byłem gotów zapłacić taką cenę. Zacisnąłem zęby, ignorując ból, i namierzyłem energię Arianny za pomocą Wejrzenia. Czekałem na okazję do strzału, mając nadzieję, że ona nie wpadła na ten sam pomysł.

Najwyraźniej tego nie zrobiła albo uznała, że to niepotrzebne, skoro ma nadludzko wyczulone zmysły. Dotarła na miejsce i zdała sobie sprawę, że wkroczyłem w obłok pary. Zaczęła się skradać, gromadząc elektryczne wyładowania w złożonych dłoniach. Zorientowałem się, w którym momencie dostrzegła zarys mojej sylwetki, ponieważ nabrała powietrza, by wypowiedzieć zakłęcie uwalniające błyskawicę.

– *Infriga* – syknąłem i wyciągnąłem przed siebie obie ręce. – *Infriga forzare!*

Cały obłok pary w powietrzu wokół mnie stężał i zmienił się w lodowe kolce, które pomknęły w stronę Arianny jak pociski wystrzelone z pistoletu.

Trafiły ją w chwili, gdy uwalniała błyskawicę, która rozbiła jeden z kolców i wyrwała półmetrową bruzdę w ziemi w odległości sześciu metrów ode mnie.

Arianna przez chwilę stała nieruchomo, z niedowierzaniem wytrzeszczając czarne oczy, wpatrując się w lodowe kolce i okruchy, które wbiły się głęboko w jej ciało. Podniosła na mnie wzrok i otworzyła usta.

Strumień czarnej krwi spłynął jej po brodzie. Potem zadrżała i padła bezwładnie na ziemię.

Po drugiej stronie stadionu moja matka chrzestna odrzuciła głowę do tyłu i wydała z siebie mrozący krew w żyłach okrzyk podniecenia i triumfu, podszyty śmiechem i pogardą.

Patrzyłem, jak Arianna wije się na ziemi. Lodowe pociski przeszyły ją w kilkunastu miejscach. Najpoważniejszą ranę zadał sople grubości mojego przedramienia, który przebił brzuch na wylot, rozrywając zbiornik z krwią istoty ukrywającej się pod cielesną maską. W czystym kryształach lodu mogłem zobaczyć odbicia wnętrza.

Raz za razem chrapliwie powtarzała jakieś słowo, którego nie rozpoznawałem. Nie wiem, z jakiego pochodziło języka, ale domyślałem się, co oznacza. Nie, nie, nie, nie.

Przez chwilę nad nią stałem. Próbowano przywołać magię, którą mogłaby przeciwko mnie wykorzystać, ale zmrożone włócznie zadawały jej ból,

jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła i z którym nie umiała się zmierzyć. Patrzyłem na istotę, która porwała moją córeczkę, i czułem...

Czułem tylko lodowatą, spokojną satysfakcję, która kłębiła się jak śnieżna zamieć pośród burzy mojego gniewu.

Podniosła na mnie nierozumne spojrzenie, a czarna krew splamiła jej usta.

– Bydło. Jesteście b-bydłem.

– Muu! – odpowiedziałem. Potem uniosłem prawą dłoń.

Wybałuszyła oczy. Wyszepiała jakieś słowo, którego nie zrozumiałem.

Kątem oka zauważyłem, że Czerwony Król wstał ze swojego odległego tronu.

Wlałem całą swoją furię w uniesioną dłoń i warknąłem:

– Nikomu nie wolno dotknąć mojej córki.

Ognisty wybuch wyrwał w ziemi krater o średnicy dwóch i głębokości jednego metra.

Na dnie leżały strzaskane, bezgłowe zwłoki Arianny.

Nad zrujnowanym miastem zapadła cisza.

Ruszyłem w stronę Czerwonego Króla. Gdyby to było boisko futbolowe, mógłbym powiedzieć, że zatrzymałem się na linii dziesięciu jardów.

– A teraz oddaj mi córkę – zażądałem.

Popatrzył na mnie obojętny i niedostępny jak daleka góra. Potem uśmiechnął się i odpowiedział idealną angielszczyzną:

– Raczej nie.

Zacisnąłem zęby.

– Zawarliśmy umowę.

Posłał mi nieczułe spojrzenie.

– Nie powiedziałem do ciebie ani słowa. Bóg nie rozmawia ani nie negocjuje z bydłem. Wykorzystuje je i dysponuje nim wedle swojej woli. Spełniłeś swoją rolę i już nie jesteś mi potrzebny... podobnie jak ten kwilący bachor.

– Obiecałeś, że nie stanie się jej krzywda – warknąłem.

– Dopóki pojedynki nie dobiegnie końca – odrzekł, a otaczające mnie wampiry zachichotały pochlebnie. – Już się zakończył. – Obrócił głowę

i odezwał się do jednego z wampirzych wojowników w skórze jaguara. –
Ruszaj! Zabij dziecko!

Prawie dorwałem Czerwonego Króla, kiedy był odwrócony, ale ostrzegło go jakieś przeczucie i w ostatniej chwili się uchylił. Ognisty pocisk, który posłałem w jego stronę, urwał wojownikowi szczękę i go podpalił. Wampir runął do tyłu, zataczając się i wrzeszcząc, zdzierając z siebie cielesną maskę.

Czerwony Król obrócił się w moją stronę z wściekłością, a spojrzenie jego czarnych oczu przytłoczyło mnie ciężarem wieków. Upadłem na kolana przygnieciony falą czystej woli, a także strasznego bólu, który nie pochodził z mojego ciała, ale z samych nerwów, i przed którym nie mogłem się obronić.

Usłyszałem, że ktoś wykrzykuje moje imię, a zamaskowane postacie stojące obok króla wystąpiły naprzód. Huknął strzał i ktoś wrzasnął. Usłyszałem głośny ryk, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że moi przyjaciele i matka chrzestna stoją naprzeciwko Władców Zewnętrznej Nocy. Nieruchomy Sania ścisnął z ponurą miną w obu dłoniach Esperacchiusa. Murphy przyklękła na jedno kolano i opuściła P-90. Powoli i z determinacją sięgała w stronę miecza na plecach. Martin leżał na ziemi.

Nie widziałem pozostałych. Nie mogłem tak bardzo obrócić głowy. Ale nikt nie był zdolny do walki. Nikt z nas nie mógł się poruszać w obliczu Czerwonego Króla i Władców Zewnętrznej Nocy.

– Zuchwałę zwierzę – warknął Czerwony Król. – Skonasz w bólu. – Chwycił kolejnego strażnika za pelerynę ze skóry jaguara, jakby muskularny wampir był dzieckiem. – Czy muszę się powtarzać? – syknął, wciskając wojownikowi do ręki zakrwawiony rytualny nóż. – Połóż dziewczynkę na ołtarzu i ją zabij.

Tacy goście jak Czerwony Król nie wiedzą, kiedy się zamknąć.

Walczyłem o to, by podnieść rękę, i kosztowało mnie to więcej wysiłku niż wszystko inne, co zrobiłem tej nocy. Moja dłoń coraz bardziej drżała, ale w końcu przesunęła się o piętnaście centymetrów i dotknęła powierzchni czaszki w materiałowej torbie na moim biodrze.

„Bob!” – wrzasnąłem w myślach, jakbym korzystał z kamienia Ebenezara.

„Na dzwony piekiel”, odpowiedział. „Nie musisz krzyczeć. Jestem tutaj”.

„Potrzebuję tarczy. Czegoś, co powstrzyma jego siłę woli. Podejrzewam, że to atak duchowy, więc duch powinien być w stanie mu się przeciwstawić”.

„Jasne. Ale stąd niczego nie zrobię, szefie”, odpowiedział Bob.

„Masz moją zgodę na opuszczenie czaszki!” – pomyślałem rozpaczliwie.

Oczodoły czaszki rozbłysły pomarańczowo-czerwonym światłem, a potem wypłynął z nich obłok lśniącej energii, który zebrał się nad moją głową, otaczając mnie ciepłym światłem.

Po kilku sekundach usłyszałem, jak Bob myśli: „A masz, kurduplu!”.

I nagle wola Czerwonego Króla już nie mogła mnie powstrzymać. Ból ustąpił pod wpływem radosnego chłodu, który nappełnił moje nerwy pobudzającą energią. Zacisnąłem zęby, uwolniony od brzemienia bólu, i przeciwstawiłem królowi własną wolę. Byłem dzieckiem, które siłowało się na rękę z ciężarowcem, ale jego ostatnie słowa dodały mi sił, dzięki którym podniosłem się z ziemi.

Czerwony Król zwrócił się w moją stronę i wyciągnął obie ręce z grymasem gniewu i pogardy na twarzy. Straszliwy nacisk zaczął rosnać. Wyraźnie usłyszałem głos:

– Na... kolana... śmiertelniku.

Zrobiłem jeden chwiejny krok w stronę swoich przyjaciół. Potem kolejny. I jeszcze jeden, brnąc naprzód z coraz większą pewnością. W końcu

warknąłem przez zaciśnięte zęby:

– Całuj... mnie... w dupę.

Położyłem dłoń na lewym ramieniu Murphy.

Już wcześniej udało jej się wyciągnąć rękę w stronę miecza. Kiedy jej dotknąłem, łącząc nasze aury i ogarniając ją swoją osłoną, poczułem w niej gwałtowne pragnienie przeciwstawienia się nieśmiertelnej mocy, z którą się mierzyliśmy, a jej dłoń błyskawicznie złapała za rękojeść Fidelacchiusa i wydobyla katanę z prostej pochwy.

Z ostrza wystrzeliło białe światło, jakiego nie widział ten starożytny stadion, jaskrawe cierpienie, które wyraźnie przypomniało mi kryształową równinę. Wokół nas rozległo się bolesne wycie, ale zagłuszył je nagły srebrzysty okrzyk Murphy, który przetoczył się przez stadion i odbił od sklepienia nieba.

– Fałszywi bogowie! – krzyknęła. Jej niebieskie oczy zapłonęły, gdy wbiła wzrok w Czerwonego Króla i Władców Zewnętrznej Nocy. – Oszuści! Uzurpatorzy prawdy! Niszczyciele wiary, rodzin, żywotów, dzieci! Teraz odpowiecie za swoje zbrodnie przeciwko Majom, przeciwko narodom świata! Nadszedł wasz czas! Przygotujcie się na sąd Najwyższego!

Myślę, że tylko ja znajdowałem się na tyle blisko, by zobaczyć ich oszołomione spojrzenia, i zrozumiałem, że to nie Murphy wypowiada te słowa, ale ktoś inny, kto przemawia za jej pośrednictwem.

Potem zatoczyła łuk mieczem, przecinając powietrze przed sobą pojedynczym świszczącym ciosem.

A wtedy wola Czerwonego Króla zniknęła. Tak po prostu.

Czerwony Król wrzasnął i zasłonił oczy. Krzyknął coś, wyciągając palec w stronę Murphy, a w tej samej chwili moi pozostali towarzysze odetchnęli i zachwiali się w miejscu, nagle oswobodzeni.

Wszystkie złote maski zwróciły się w stronę mojej przyjaciółki.

„Bob!” – zawołałem w myślach. „Idź z nią! Niech nikt jej nie spęta!”.

„Juhuu!” – odpowiedziała czaszka, a złoto-pomarańczowe światło opadło znad mojej głowy w stronę Murphy, gromadząc się wokół jej blond włosów, w tej samej chwili gdy Władcy Zewnętrznej Nocy rzucili się na nią tak gęstym tłumem, że aż zatoczyłem się do tyłu, jakbym otrzymał cios.

Intensywność tego ataku zmała powietrze wokół Murphy.

Białe światło z miecza obmyło kobietę, a jej strój dosłownie się przekształcił, jakby światło przez niego przepłynęło i stało się jego częścią, zmieniając noc w dzień, czerń w biel. Murphy przyklękła na jedno kolano i podniosła wzrok, z determinacją zaciskając i obnażając zęby. W jej niebieskich oczach płonął ogień buntu przeciwko trzynastu mrocznym bogom, a jeden z najpotężniejszych duchów, jakie znam, otoczył jej głowę lśniąca złocistą aureolą.

Murphy powstała z okrzykiem i zadała gładki cios mieczem. Władcy Zewnętrznej Nocy zareagowali, odskakując do tyłu, jakby ktoś zdzielił ich w twarz. Kilka złotych masek opadło, jakby uderzenie faktycznie ich dotknęło, a ich połączona wola nagle się rozwiła.

Wojownicy w skórach jaguarów, zarówno mieszańcy, jak i wampiry, rzucili się z wrzaskiem w stronę Murphy.

Uchyliła się przed ciosem współczesnej katany, roztrzaskała tradycyjny obsydianowy miecz lekceważącym uderzeniem Fidelacchiusa i powaliła dzierżącego go wojownika precyzyjnym poziomym cięciem.

Jednakże wrogowie mieli przewagę liczebną. Były ich całe setki, a wojownicy natychmiast rozproszyli się, żeby zaatakować z kilku kierunków. Potrafili współdziałać.

Tyle że Sania i ja też to umieliśmy.

Sania ruszył naprzód z Esperacchiusem, a ten także zapłonął białym światłem, które sięgało w stronę wampirów, zmuszając ich do uchylenia się i odpędzania białych iskier tańczących im przed oczami. Kiedy Sania kopnął jednego z wojowników w krzyż, głowa wroga odskoczyła do tyłu z siłą, która mogła skrócić mu kark.

Dołączyłem do walki, uwalniając lodowaty wichur, który powalił dwóch wojowników próbujących zająć Murphy od tyłu.

Murphy i Sania szli ramię w ramię, przez kilka chwil metodycznie zabijając wojowników w skórach jaguarów, ale w ich stronę kierowało się coraz więcej wrogów. Odtrącałem ich i choć nie mogłem wyrządzić im krzywdy, starałem się nie dopuścić, by przytłoczyli moich towarzyszy. Czułem jednak, że opadam z sił. Nie mogłem tego robić wiecznie.

Usłyszałem obok siebie szybkie kroki i Molly przywarła do mnie plecami.

– Zajmij się tamtą stroną! – zawołała. – Ja biorę tę na siebie!

DJ Molly C uniosła obie różdżki i podkreśliła chaos bitewny na maksa.

Z obu niewielkich różdżek wystrzeliły kolory, światła i donośne dźwięki. Obręcze światła i ciemności otaczały wojowników, a ulotne obrazy jasnego słonecznego blasku przeplatały się z obrazami ziejących dziur, które otwierały się pod stopami napastników. Uderzenia dźwięku, wrzaski, trzaski i huki oraz wysokie piski niczym sprzężenia na steroidach raziły nadludzko wyczułone zmysły wampirów, wpychając stwory na ostrza wojowników nacierających zza ich pleców.

Wampiry zataczały się w starciu z dziełem tej Jednoosobowej Dyskoteki. Niezwykle pole dźwięku i światła co prawda ich nie powstrzymywało, ale spowalniało i oszałamiało.

– Nie ma jak dobra impreza! – zawołał Thomas wesoło i zaczął tańczyć na obrzeżach parkietu.

Siekał falcatą kończyny i szyje wojowników, którzy chwiali się i padali, nie mając czasu na dojdzie do siebie. Myślałem, że nikt nie jest na tyle szybki, by ich trafić, ale mój brat najwyraźniej miał na ten temat inne zdanie. Powalał nadciągających wrogów, od czasu do czasu pozwalając sobie na kilka tanecznych ruchów. Wyjątkowo skuteczna, pod względem estetycznym, okazała się figura, którą zapożyczył z breakdance'a. Obie jego ręce kolejno zafalowały, po tym jak ściał jednego z wampirów falcatą. Po chwili roztrzaskał drugiemu czaszkę strzałem z automatu.

Napór wrogów stale przybierał na sile i Thomas zaczął się poruszać szybciej, bardziej rozpaczliwie, aż w końcu Myszek rzucił się nam na pomoc, by zatkać dziurę w tamie oszołomienia, które blokowało pełną moc Czerwonego Dworu.

Musiałem się skupić na swoim poletku. Ponownie zaczerpnąłem ze źródła zimnej mocy i za pomocą jednego słowa pokryłem pole przed sobą powłoką gładkiego, śliskiego lodu. Zerwał się wyjący wiatr, który witał wszystkich wkraczających na lód, zmuszając ich do zbliżenia się do zabójczej maszyny, jaką byli Sania i Murphy, albo pójścia okrężną drogą, przez teren morderczego pokazu Molly.

Ktoś dotknął mojej ręki, a ja odruchowo prawie go usmażyłem.

Martin się wzdrygnął, jakby był gotowy do uniku, gdybym coś na niego szykował.

– Dresden! – zawołał. – Patrz!

Popatrzyłem. Na szczycie niewielkiej świątyni na końcu boiska Władcy Zewnętrznej Nocy i Czerwony Król stali w kręgu i gromadzili magiczną moc, zapewne pochodzącą z jednej z tych cholernych linii geomantycznych. Cokolwiek zamierzali, miałem złe przeczucie, że kończy mi się zasób sztuczek.

Usłyszałem tupot i zobaczyłem śmiertelnych strażników, którzy ustawiali się wzdłuż krawędzi stadionu z karabinami w pogotowiu. Kiedy zajmą pozycje, otworzą ogień, a jeśli wpakują w nas wystarczająco dużo pocisków, będzie po nas.

Kogo oszukuję?

Nie mogłem bez końca podtrzymywać lodowego pola i podmuchów wiatru. Wiedziałem, że Molly także nie będzie w stanie utrzymać takiej intensywności swojego pokazu. Poległy dziesiątki wojowników, lecz to nic nie znaczy. Ich szeregi nie zostały znacząco uszczuplone.

Możemy walczyć z całych sił, mimo że na próżno. Nigdy nie wydostaniemy się z tego stadionu.

Ale musimy spróbować.

– Lea! – wrzasnąłem.

– Tak, moje dziecko? – spytała przyjaznym tonem. Wciąż idealnie ją słyszałem. Niezła sztuczka.

– Król i jego błazny zamierzają uderzyć w nas czymś potężnym.

– No tak, rzeczywiście – odpowiedziała, patrząc w niebo rozmarzonym wzrokiem.

– Więc zrób coś! – zawyłem.

– Właśnie robię – zapewniła.

Wyjęła z kieszeni sukni mały szmaragd i rzuciła go pod niebo. Zamigotał i rozbłysnął, po czym wyleciał poza zasięg światła pochodni i mieczy, znikając w ciemności. Po kilku sekundach wybuchł w obłoku wesołych zielonych iskier.

– Proszę. Może być tam – powiedziała, klaszcząc w dłonie i podrygując na palcach. – Teraz zobaczymy prawdziwą potańcówkę.

Zielona błyskawica przecięła niebo przy wtórze huku, od którego zatrzęsała się ziemia. Ale grzmot nie umilkł, tylko coraz bardziej przybierał na sile, a kolejne błyskawice rozprzestrzeniały się z miejsca, w którym eksplodował klejnot.

Potem tuzin zielonych błyskawic jednocześnie uderzył w boisko w odległości dwudziestu metrów, pozostawiając w ziemi dymiące kratery.

Moje oszołomione oczy potrzebowały kilku sekund, by wrócić do pełnej sprawności, a gdy tak się stało, moje serce prawie zamarło.

Na stadionie stało dwanaście postaci.

Dwanaście osób ubranych w bezkształtne szare szaty. Szare peleryny. Szare kaptury.

Każda z nich trzymała w dłoni laskę maga.

Szara Rada.

Szara Rada!

Najbliższa postać była wyraźnie niższa ode mnie i krępa, ale stała mocno na nogach, jakby zamierzała poruszyć świat. Mężczyzna uniósł laskę, uderzył nią o ziemię i ryknął:

– Pamiętajcie o Archangielsku!

Potem wypowiedział pojedyncze słowo, celując laską w Czerwonego Króla i Władców Zewnętrznej Nocy.

Drugi poziom świątyni, na którym stali... po prostu wybuchł. Uderzenie mocy wbiło się w starożytną budowlę jak potężny buldożer lecący z dwukrotną prędkością dźwięku. Kamienie wrzasnęły. Czerwony Król, Władcy Zewnętrznej Nocy oraz kilka tysięcy ton budulca wyleciały w powietrze, a we wszystkie strony pomknęła fala uderzeniowa.

Potężny pokaz siły uciszył wszystkich obecnych na stadionie, a ja byłem równie oszołomiony jak wszyscy.

W końcu odrzuciłem głowę do tyłu i wydałem pierwotny okrzyk triumfu i zachwyty. Szara Rada przybyła.

Nie byliśmy sami.

Echo mojego krzyku było sygnałem, który pchnął pozostałych do walki

o życie. Odrzuciłem jeszcze kilka wampirów od moich przyjaciół, ale po chwili poczułem nadciągającą falę nadnaturalnej energii. Obróciłem się i przyjąłem na tarczę uderzenie niszczącej mocy Czerwonego Dworu, po czym posłałem ognistą kulę w stronę wampirzego arystokraty obwieszzonego biżuterią. Szeregi wroga otworzyły ogień do przybyłych członków Szarej Rady, którzy odpowiedzieli tym samym i w powietrzu zaroilo się od dzikich wyładowań energii.

Krępa postać odziana na szaro podeszła do mnie i zagadnęła:

– Jak się masz, Hoss?

Poczułem, że moja twarz rozciąga się w szerokim uśmiechu, ale odpowiedziałem równie nonszalancko.

– Żałuję, że nie wziąłem laski. Poza tym... nie mogę narzekać.

– Niezłe wdzianko – mruknął Ebenezar spod kaptura.

– Dziękuję – odpowiedziałem. – Podobał mi się wasz transport. Dużo pali?

– Nie, ale potem przydaje się wycieraczka do stóp – odrzekł i rzucił mi swoją laskę. – Trzymaj.

Od razu poczułem przepływającą przez nią moc. Laska była wykonana lepiej niż moja, ale to Ebenezar nauczył mnie, jak się je wytwarza, a obie laski, z których korzystałem przez wiele lat, zostały wyrzeźbione z gałęzi trafionego piorunem dębu rosnącego na podwórzu jego gospodarstwa w Krainie Ozark. Potrafiłem korzystać z tej laski niemal równie sprawnie jak ze swojej.

– A pan? – spytałem. – Nie jest panu potrzebna?

Za pomocą pojedynczego słowa mocy i drobnego ruchu nadgarstka odbił lecący w jego stronę precyzyjnie rzucony topór.

– Mam inną – odpowiedział, przeciągając sylaby.

Ebenezar McCoy wyciągnął lewą rękę i wypowiedział kolejne słowo, a wtedy cienie zawirowały i stężały w laskę z mrocznego, poskręcane go drewna, wolną od jakichkolwiek wzorów.

Czarny Kostur.

– *Fuego!* – zawołał ktoś na murach i przez chwilę poczułem się urażony. Ktoś wołał „*fuego*” i to nie byłem ja.

Kiedy zmagalem się z tą irracjonalną urazą, rozległ się huk broni palnej

i pierwsze pociski pomknęły w moją stronę. Zabrzęczały ostro, odbijając się od zbroi, niemal nie zostawiając na niej śladu. Czułem się, jakby uderzały we mnie drobne kulki gradu: było to nieprzyjemne, ale niegroźne, chyba że ktoś trafiłby w głowę.

Ebenazar obrócił się w stronę murów, z których żołnierze prowadzili ostrzał. Pociski uderzały o jego szaty, ale tylko lekko poruszały materiałem i spadały u stóp maga.

– Przyjęliście niewłaściwe zlecenie, chłopcy – powiedział staruszek, bardziej do siebie niż do nich.

Potem machnął Czarnym Kosturem z lewa na prawo, szepnął pojedyncze słowo i wydarł życie z setki mężczyzn.

Wszyscy po prostu... umarli.

Nie zobaczyłem żadnych oznak ich śmierci. Ani śladu bólu. Żadnej walki. Żadnych konwulsji. Żadnej reakcji. Wściekle do nas strzelali, a już po chwili po prostu...

Upadli. Martwi.

Staruszek odwrócił się w stronę drugiej ściany, a ja zobaczyłem, jak kilku bardziej bystrych żołnierzy rzuca broń i ucieka. Nie wiem, czy im się udało, ale Ebenazar ponownie machnął Czarnym Kosturem i strzelcy po drugiej stronie stadionu padli trupem.

Moja matka chrzestna, która się temu przyglądała, znów podrygiwała i klaskała, jak zachwycone dziecko w cyrku.

Przez chwilę patrzyłem na to wszystko oszołomiony. Ebenazar właśnie złamał Pierwsze Prawo Magii: Nie zabijaj. Użył magii, by bezpośrednio zakończyć życie innej istoty ludzkiej, i to niemal dwieście razy. Owszem, wiedziałem, że przełożeni mu na to pozwalali... Ale czymś innym jest świadomość jakiegoś faktu, a czymś innym ujrzenie straszliwej prawdy na własne oczy.

Czarny Kostur pulsował i migotał od mrocznej mocy, a ja nagle odniosłem wrażenie, że jest żywy, zna swoje przeznaczenie i pragnie jedynie, by go używać, jak najczęściej i jak najefektowniej.

Widziałem także jadowicie czarne żyły, które rozlewały się po dłoni staruszka, powoli obejmując jego nadgarstek. Ebenazar skrzywił się

i przytrzymał lewe przedramię prawą ręką, a potem obejrzał się przez ramię.

– W porządku! – zawołał.

Najdalej stojąca szara postać, wysoka i smukła, uniosła swoją laskę. Zobaczyłem odbicie światła na metalowej końcówce, potem zielone błyskawice otoczyły kostur, gdy mag wbił metalowy koniec w ziemię. Po chwili wyciągnął laskę, ale wijące się zielone wyładowania pozostały na miejscu. Wbił kostur w odległości niecałych dwóch metrów i ponownie zatańczyły na nim błyskawice. Następnie wyrwał go ziemi, zmienił chwyt i obszernym ruchem ręki rozciągnął kolejną błyskawicę pomiędzy dwiema kolumnami elektryczności, łącząc je ze sobą.

Otwierał Ścieżkę.

Błysnęło. Przestrzeń pomiędzy błyskawicami wykrzywiła się i pociemniała. Po chwili wyroiły się z niej czarne postacie z mieczami. W pierwszej chwili sądziłem, że mają na sobie osobliwe kostiumy albo dziwaczne zbroje. Ich oblicza przypominały głowy wron z długimi żółtymi dziobami. Były ubrane w stroje uszyte z piór. W końcu zrozumiałem.

To naprawdę były dziobate istoty porośnięte czarnymi piórami i uzbrojone w miecze, bez wyjątku japońskie katany. Wylewały się z bramy całymi dziesiątkami, setkami, pokonując przestrzeń nienaturalnie długimi susami, które niewiele różniły się od latania. Wyglądały morderczo i pięknie – czysta gracia, szybkość i perfekcja ruchu. Dzikie światła Jednoosobowej Dyskoteki odbijały się w ich ostrzach i czarnych szklistych oczach.

– Kenku byli mi winni przysługę – odezwał się Ebenezar. – Uznałem, że to dobra chwila, by o nią poprosić.

Przy wtórze ostrych gwizdów i wściekłego zawodzenia, dziwaczne istoty wyskakiwały z boiska, atakując członków Czerwonego Dworu.

Nie potrafiłem tego wszystkiego przyswoić. Zakłęcia i pociski przecinały powietrze, na skalę, z jaką jeszcze nie miałem do czynienia. Kamienna broń uderzała o stal. Lała się krew: czarna z ciał wampirów, niebieska z kenku, ale przeważnie szkarłatna krew śmiertelników. Było w tym zbyt wiele grozy i niestosownego piękna. Mój umysł chyba postanowił odciąć się od wszystkiego, co nie zagrażało mojemu życiu albo znajdowało się dalej niż w odległości kilku metrów.

– Maggie. – Chwyciłem staruszkę za ramię. – Muszę się do niej dostać.
Skrzywił się i skinął głową.

– Dokąd?

– Do dużej świątyni – wyjaśniłem, wskazując piramidę. – Mniej więcej czterysta metrów na północ od świątyni stoi bydłocy wagon. Kiedy ostatnio sprawdzałem, był strzeżony. W środku wciąż są uwięzieni ludzie.

Ebenazar stęknął i pokiwał głową.

– Idź po dziewczynkę. My zajmiemy się Czerwonym Dworem i ich Władcami Nocy. – Splunął na ziemię, a jego oczy zapłonęły z podniecenia. – Przekonamy się, jak tym oślizgłym draniom zasmakują ich własne potrawy.

Mocno chwyciłem go za rękę, a drugą dłoń położyłem na jego ramieniu.

– Dziękuję.

Łzy napłynęły mu do oczu, ale tylko parsknął i odwzajemnił uścisk.

– Idź po swoją córkę, Hoss.

Puścił do mnie oko. Ja też kilka razy zamrugałem, po czym się odwróciłem.

Czasu było coraz mniej – dla Maggie i dla mnie.

– Matko chrzestna! – zawołałem, zwracając się w stronę piramidy.

Lea pojawiła się u mojego boku. Jej dłonie były pełne szmaragdowego i ametystowego światła – jej własnej śmiercionośnej magii.

– Teraz wykonamy zadanie?

– Tak. Trzymaj się blisko. Zbierzemy drużynę i ruszamy.

Molly znajdowała się najbliżej. Podszedłem do swojej uczennicy i zawołałem jej do ucha:

– Chodź! Ludzie-ptaki się tym zajmą! My musimy się zbierać.

Nieznacznie skinęła głową i wreszcie opuściła różdżki, podczas gdy szarża kenku wbiła się w Czerwony Dwór i odciążyła nasze flanki. Czubki jej różdżek, oba wykonane z kości słoniowej, były popękane i wyszczerbione. Ręce dziewczyny zwisały bezwładnie i kołysały się u jej boków, a jej twarz była jeszcze bledsza niż na początku. Zwróciła się w moją stronę, uśmiechnęła się drżącymi ustami i nagle padła na ziemię.

Przez chwilę patrzyłem na nią oszołomiony, a potem uklęknąłem obok z rozświetlonym amuletem, którym sprawdzałem jej obrażenia. W bitewnym chaosie nie zauważyłem, że jedna z jej nóg była zakrwawiona na wysokości uda. Któryś z pocisków wystrzelonych na oślep przez ochroniarzy wbił się pod opancerzoną kamizelkę. Molly się wykrwawiała. Umierała.

Thomas padł na kolana obok mnie. Zdarł z siebie pas i owinał nim nogę dziewczyny, tworząc opaskę uciskową.

– Zajmę się tym! – zawołał, podnosząc na mnie spokojny, nieobecny wzrok. – Idź!

Wpatrywałem się w niego niepewnie. Molly była moją uczennicą i to ja za nią odpowiadałem.

Spojrzał na mnie i maska spokoju na chwilę opadła z jego oblicza,

ukazując napięcie i lęk, nad którymi starał się panować pomimo skali otaczającego nas konfliktu.

– Harry – powiedział. – Będę ją chronił nawet za cenę życia. Przyrzekam.

Pokiwałem głową i zacisnąłem pięść, rozglądając się dookoła. Taka ilość przelanej krwi sprawi, że wampiry zlecą się do dziewczyny jak pszczoły do kwiatów. Thomas nie mógł jednocześnie zajmować się nią i walczyć.

– Myszek! – zawołałem. – Zostań z nimi!

Pies podbiegł do Molly i dosłownie stanął nad jej głową, rozglądając się i nasłuchując, zdeterminowany, żeby ją ochronić.

Potem pobiegłem do Murphy i Sani, którzy byli lekko pokaleczeni i poobcierani, ale wyglądali, jakby mieli ochotę znów rzucić się do walki. Martin do mnie dołączył. Sprawiał wrażenie spokojnego, jakby nie zdawał sobie sprawy, że znalazł się w samym środku bitwy. Cokolwiek by o nim myśleć, jego nijakość, nudne usposobienie i spokojny język ciała były niezwykle użyteczne w takiej sytuacji. Po prostu nie wyglądał na ważny albo groźny cel, dzięki czemu wciąż był nietknięty.

Rozejrzałem się i podniosłem broń, którą upuścił jeden z zabitych wojowników, prosty chiński miecz nazywany jian. Był lekki, ostry jak brzytwa na obu krawędziach i dobrze leżał w dłoni.

– Idziemy do piramidy! – zawołałem do Murphy i Sani. Grupa trzydziestu albo czterdziestu kenku przeleciała nad nami, jak cienie na tle wschodzącego księżyca, i spadła na wojowników w skórach jaguarów, którzy wciąż oddzielali nas od wyjścia. – Tamtędy! – zawołałem. – Szybko!

Zrobiłem tak, jak powiedziałem, i pomknąłem w stronę luki, którą otworzyli dla nas sojusznicy Ebenezara. Błysnęła magiczna energia i coś poruszyło się przed nami, gdy kolejny wampirzy arystokrata cisnął we mnie wyładowaniem mocy. Przechwyciłem niewielką błyskawicę za pomocą laski swojego mentora – była krótsza, grubsza i cięższa od mojej – i przekierowałem atak wzdłuż swojej ręki, ramienia, aż do czubka nowo zdobytego miecza. Błyskawica wygryzła dziurę w brzuchu wampira. Zatoczył się, kiedy się do niego zbliżyłem. Machnąłem laską w poziomie i powaliłem go ciosem w nos.

Minęliśmy ruiny świątyni i wyszliśmy na otwartą przestrzeń pomiędzy

budynkami. Wokół panował chaos. Wszędzie byli wojownicy w skórach jaguarów i kapłani, w większości uzbrojeni. Śmiertelni ochroniarze formowali oddziały i biegli na stadion, żeby wesprzeć Czerwony Dwór. W pewnej chwili zauważyłem, że Murphy, której ubranie lśniło białym światłem, a aureola przybrała kolor stopionego złota, zrównała się ze mną po prawej stronie, a Sania pojawił się po lewej. Jaskrawy blask dwóch Mieczy budził grozę wśród wampirów i półwampirów, które cofały się lękliwie, a jednak nie uciekały. Po prostu się odsuwały, robiąc miejsce innym istotom, które otoczyły nas dużym kręgiem i powoli go zaciskały, kiedy kierowaliśmy się w stronę piramidy.

– Nie uda nam się – rzuciła Murphy. – Przygotowują się do ataku ze wszystkich stron.

– Zawsze tak robią – odrzekł Sania, ciężko dysząc, a w jego wesołym głosie pojawiła się nuta rozdrażnienia. – Nigdy nie próbują niczego nowego.

Mieli rację. Wyczuwałem zmianę w ruchach wrogów, którzy coraz wolniej się przed nami cofali, a jednocześnie nas doganiali.

Mój wzrok przyciągnęła piramida i na jej piątym poziomie dostrzegłem spoglądającą w dół postać w złotej masce. Wyglądało na to, że jeden z Władców Zewnętrznej Nocy został odrzucony aż do piramidy przy wejściu. Czułem, jak jego wola wpływa na otaczających nas wrogów – już nie starał się unieruchomić przeciwników, ale napępiał swoje oddziały pewnością siebie i agresją.

– Tamten facet – powiedziałem, wskazując palcem. – Złota maska. Jak go załatwimy, będziemy mieli wolną drogę.

Murphy przyjrzała się piramidzie i w końcu go dostrzegła. Potem powiodła spojrzeniem do podnóża schodów i skinęła głową.

– Zgadza się – rzuciła.

Uniosła Fidelacchiusa, wydała z siebie okrzyk, który wystraszył już wielu potężnych mężczyzn ćwiczących w jej dojo, i rzuciła się na wojowników Czerwonego Dworu jak pływak nurkujący w nadciągającej fali.

Sania zamrugał.

Jasna cholera, nie mówiłem, że ma zrobić coś takiego.

– Mała, ale zawzięta! – skwitował Sania i ryknął śmiechem, ruszając

z miejsca.

– Wszyscy powariowaliście! – wrzasnałem i ruszyłem za nimi, podczas gdy Martin wycofywał się, próbując dotrzymać nam kroku i zarazem odpędzić wampiry zbliżające się do nas od tyłu.

Murphy zrobiła coś, do czego nie powinien być zdolny żaden śmiertelnik – wyrąbała sobie drogę w tłumie wampirzych wojowników. Przeszła przez nich jak przez obłok dymu. Fidelacchius płonął, a żadna broń, ani współczesna, ani żywy relikw, nie mogła się oprzeć ostrzu Miecza Wiary.

Murphy praktycznie nie musiała nikogo atakować. Po prostu parła naprzód, a kiedy ktoś próbował ją uderzyć, spotykał go marny los. Miecz delikatnie odbijał wrogie pchnięcia oraz w naturalny i jakby niezależny sposób wyprowadzał cięcia w kształcie litery S, zadając straszliwe obrażenia z subtelną szybkością. Wojownicy, którzy rzucali się na Murphy, nie mogli jej pochwycić i po chwili wylatywali w powietrze, a straszliwy świetlisty Miecz pozostawiał na ich ciałach rany o czarnych, skwierczących krawędziach.

Atakowali ją parami, a w pewnej chwili aż trzech wojowników przypuściło skoordynowany szturm. Nic im to nie dało. Odkąd Murphy wstąpiła do policji, musiała radzić sobie z przeciwnikami, którzy byli od niej więksi, silniejsi i szybsi, w sytuacjach prawdziwego zagrożenia. Wampiry i mieszańcy, chociaż nie brakowało im szybkości i krzepy, nie mieli z nią większej szansy niż wszyscy ci bandyci i przestępcy. Przewyższali ich siłą, ale płonące światło Miecza ich spowalniało i osłabiało – na tyle, by ustawić przebieg walki. Murphy robiła uniki, markowała ataki i wypychała wojowników na siebie nawzajem, wykorzystując przeciwko nim ich własną siłę. Starcie z trzema przeciwnikami trudno było uznać za sprawiedliwe. Jeden z wojowników, uzbrojony w potężną pałkę, zdzielił nią swoich dwóch kompanów, po czym jego broń upadła na ziemię w trzech kawałkach, obok jego własnej odrąbanej nogi.

Karrin Murphy prowadziła szarżę, a Sania i ja próbowaliśmy dotrzymać jej kroku. Parła przez morze oszołomionych wampirów jak motorówka, rozrzucając je na boki. Sania i ja przebijaliśmy się przez ogłuszonych wrogów, odpychaliśmy ich i rąbaliśmy z nieskomplikowaną agresją,

a potężny zwariowany Rosjanin nie przestawał się śmiać.

Kiedy dotarliśmy do schodów, opór znacznie zelżał. Murphy pomknęła naprzód, a Władca Zewnętrznej Nocy wyciągnął w jej stronę dłoń ozdobioną klejnotami. Pod wpływem siły jego woli powietrze zafalowało i zgęstniało. Sania i ja gwałtownie się zatrzymaliśmy, jakbyśmy zderzyli się z ceglanym murem, ale wyglądało na to, że zakłęcie ześlizgnęło się po Murphy, jak każdy dotychczasowy atak, a jej aureola zapłonęła jeszcze jaśniej. Spanikowany wróg uniósł rękę i posłał w kierunku nadciągającej kobiety trzy pociski magicznej mocy, jeden po drugim. Stopy Murphy, szybkie i pewne na schodach, wykonały boksinerski taniec i wszystkie pociski minęły cel.

Sania krzyknął i przypadł do ziemi, ledwie unikając jednego z pocisków. Ja odbiłem pierwszy strzał tarczą, ale kolejny trafił mnie w piszczel. Zbroja matki chrzestnej osłoniła moje ciało, ale i tak mocno uderzyłem o kamienne schody piramidy.

Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, jak Murphy przebiega obok Władcy Zewnętrznej Nocy, a jej miecz zadaje pojedyncze pionowe cięcia skierowane ku górze.

Złota maska spadła z głowy wampira – razem z przednią połową czaszki. Srebrzysty ogień objął odsłonięte poskręcane, grudkowate półkule wampirzego mózgu, a wypływająca krew w kontakcie z tym ogniem buchnęła srebrzystobiałym płomieniem. Władca Zewnętrznej Nocy wrzeszczał trawiony przez ogień i jeszcze przez kilka sekund na oślep posyłał na wszystkie strony magiczne pociski, aż w końcu zostały po nim tylko poczerniały popiół i paskudne smugi na kamieniu.

Dopiero wtedy zniknęła bariera jego woli, a Sania, Martin i ja pobiegliśmy po schodach w stronę świątyni.

Wrogowie nadal nas ścigali – było ich tak cholernie wielu – a kiedy znalazłem się wyżej, obejrzałem się i stwierdziłem, że Czerwony Dwór powoli opanowuje najazd kenku. Na stadionie wciąż toczyła się zajadła bitwa i chociaż każdy z pierzastych wojowników był wart dwóch albo trzech wampirów lub mieszańców, wrogowie mieli wystarczającą przewagę liczebną. Mogłem tylko dziękować losowi, że tylu z ich czarowników potykało się z Szarą Radą, zamiast nam przeszkadzać.

– Cholera – rzuciłem, spoglądając na świątynię na szczycie schodów. W budynku poruszały się cienie. – Cholera! – Rozejrzałem się rozpaczliwie i nagle poczułem, że ktoś chwyta mnie za dłoń, w której trzymałem laskę.

Murphy potrząsnęła moją ręką, zmuszając mnie, żebym na nią popatrzył.

– Sania i ja tutaj zostaniemy – oznajmiła zdyszczanym głosem. – Zatrzymamy ich, dopóki nie zabierzesz Maggie.

Popatrzyłem w dół piramidy. Zbliżały się setki członków Czerwonego Dworu. Zrywali z siebie cielesne maski, ukazując swoją potworną naturę. Zatrzymają ich? Przecież to samobójstwo. Miecze dają władającym nimi osobom ogromną moc w starciu z koszmarami, ale nie czynią ich nadludźmi. Murphy i Sania bili się z wampirami od dwudziestu minut, a przecież żaden aerobik nie może się równać z wysiłkiem towarzyszącym walce. Oboje ciężko dyszeli i byli wyraźnie zmęczeni.

Samobójstwo.

Ale musiałem się tam dostać.

– Dresden! – zawołał Martin. – Chodź!

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że mną potrząsa i próbuje wciągnąć mnie po schodach.

Pewnie też byłem bardzo zmęczony.

Skupiłem się na Martinie i na stopniach, usiłując ignorować palący ból w rękach, nogach, klatce piersiowej. Gwałtownie zaczerpnąłem tchu i poczułem się tak, jakbym wciągnął do płuc chłodny, czysty wiatr. Miałem wrażenie, że ktoś do mnie szepcze w języku, którego nie rozumiałem, i rozpoznałem głos mojej królowej. Przyśpieszyłem kroku i zorientowałem się, że dookoła mnie gromadzi się biała mgiełka. Wilgotne powietrze Jukatana kipiało wokół szronu pokrywającego moją zbroję.

Potem zimno zmyło gorące zmęczenie i poczułem, jak w moje ciało wpływa lód, zaciekle, bezwzględnie, nieustępliwie. Moje nogi zaczęły pracować jak tłoki silnika. Nagle przestała mi wystarczać zwykła wspinaczka i zacząłem przeskakiwać po dwa stopnie, szybko pozostawiając Martina w tyle.

Dotarłem na szczyt, a tam rzucił się na mnie półwampir w skórze jaguara. Warknąłem, odbiłem mieczem uderzenie jego ostrza i kopnąłem go

w środek klatki piersiowej.

Jego mostek głośno trzasnął i wojownik poleciał do tyłu, jakby zderzył się z ciężarówką. Uderzył o kamienną ścianę z taką siłą, że z dachu posypał się kurz, po czym znieruchomiał jak zepsuta zabawka. Właśnie taką mocą powinien dysponować Rycerz Zimy. Patrząc na upadek tego biednego idioty, czułem wyłącznie satysfakcję.

Kanciasta świątynia miała cztery wejścia, a w tym na prawo ode mnie pojawił się wampir bez cielesnej maski, wciąż okryty skórą jaguara. Trzymał w dłoni obsydianowy nóż – sztylet Czerwonego Króla. To on miał zabić Maggie.

– Ale zawierucha, co? – spytałem i poczułem, że się uśmiecham. – Koleś, znalazłeś się w niewłaściwych drzwiach w niewłaściwym czasie.

Wampir zerknął na ziemię po mojej lewej stronie, a ja podążyłem za jego wzrokiem. Maggie przykucnęła pomiędzy ołtarzem a drzwiami, skuta i drżąca, kuląc się w nadziei, że nikt jej nie zauważy.

– No dalej – odezwałem się, patrząc na wampira. Lekko podrzuciłem miecz w dłoni. Biała mgiełka spłynęła z ostrza, a razem z nią kilka płatków śniegu. – Do dzieła, twardzielu. Zrób krok w stronę tej dziewczynki, to zobaczysz, co się stanie.

Drzwi naprzeciwko mnie nagle pociemniały.

Stanęli w nich Czerwony Król i aż czterech Władców w lśniących złotych maskach, w których tańczyły dziwaczne refleksy oślepiająco migoczących świateł i płomieni.

Twarz króla wykrzywiała wściekłość, a jego wola i wola towarzyszących mu Władców spadły na mnie jak uderzenia młotów. Zatoczyłem się i mocno podparłem laską, z trudem powstrzymując się przed upadkiem na kamienną podłogę.

– Teraz – odezwał się Czerwony Król głosem napiętym od furii. – Połóżcie tę małą sukę na ołtarzu.

Jeden z Władców wystąpił naprzód i nachylił się, żeby chwycić moją córkę za włosy. Maggie wrzasnęła.

– Nie! – zawołałem.

Czerwony Król podszedł do ołtarza i kopnięciem zepchnął z niego zwłoki

kobiety.

– Zwyczajny śmiertelnik – syknął. – A jednak jest taki pewny, że jego wola ma znaczenie. Ale jesteś nikim. Smugą dymu. Cieniem. Jesteś, a po chwili znikasz. Zapomniany. Taki twój los. Tak działa wszechświat.

Wyrwał rytualny nóż z dłoni wojownika i popatrzył na mnie wrogo. Jego prawdziwa natura kłębiła się i wiła pod skórą. Kiedy Władca dociągnął skute łańcuchami, krzyczące dziecko do ołtarza, czarne oczy Czerwonego Króla zalśniły.

– Oto twoja jedyna rola, śmiertelniczko – rzekł. – Twoja jedyna łaska, jedyne, do czego się nadajesz. – Wbił wzrok w Maggie i obnażył długie kły. Po brodzie pociekła mu ślina. – Giń.

Czerwony Król uniósł nóż nad moją córką, która wydała z siebie drżący krzyk, bezradny, beznadziejny skowyt przerażenia i rozpacz, i choć przywołałem całą siłę otrzymaną od Królowej Mab, korzystając z ochrony, jaką zapewniała mi zbroja matki chrzestnej, nie mogłem nic na to poradzić.

Nie musiałem.

Nad ołtarzem rozbłysło białe światło pozbawione widocznego źródła i Czerwony Król wrzasnął. Pęta jego woli zniknęły, jego prawa dłoń, w której trzymał kamienny nóż, oderwała się od ręki i zawirowała w powietrzu. Opadła na posadzkę, wciąż zaciśnięta na owiniętej skórą rękojeści noża, a obsydianowe ostrze roztrzaskało się jak upuszczone naczynie.

Krzyknąłem, czując, że już nie krępuje mnie wola Czerwonego Króla. Wrogowie nadal mnie przytrzymywali, ale wiedziałem, że mogę się poruszać i walczyć. Kiedy Czerwony Król z wrzaskiem zatoczył się do tyłu, uniosłem dłoń, warknąłem „*Fuego*” i posłałem w prawą stronę falę ognia, która ogarnęła wojownika stojącego tuż przy drzwiach. Próbował uciec, ale z krzykiem stoczył się po stromych stopniach, podczas gdy ogień duszy, którym było podszyte moje zaklęcie, objął jego ciało.

Obróciłem się w stronę Władców stojących po drugiej stronie ołtarza. Nie mogłem cisnąć w nich niszczącą energią, skoro moja córka leżała na ołtarzu, a zresztą najpierw musiałem się zająć wojownikiem, który bezpośrednio mi zagrażał. Gdybym od razu skupił się na wampirzej elicie, mógłby bez trudu poderżnąć mi gardło.

W tę grę można grać we dwójkę, a ja dysponowałem znacznie silniejszym wsparciem.

Przywołałem siłę woli i uniosłem pożyczoną laskę i wtedy do świątyni weszły kolejne cztery istoty w złotych maskach.

Skąd się biorą te wszystkie przygłupy?

– Trzymajcie maga! – warknął Czerwony Król, a nacisk wrogich umysłów na mnie nagle się podwoił.

Moja lewa ręka zadrżała i laska, którą w niej trzymałem, powoli opadła. Mięśnie prawej ręki stały się bezwładne, a czubek miecza z brzękiem uderzył o kamienną posadzkę.

Czerwony Król wstał i przez chwilę wpatrywał się w ołtarz i znajdującą się nad nim kolumnę migoczącego światła. Kiedy to robił, jego cholerna dłoń zaczęła się wic jak pająk, a po chwili odwróciła się i popęznięła w jego stronę. Król tylko stał, patrząc na światło. Usiłowałem uwolnić się spod ciężaru mrocznej woli. Tym światłem mogła być tylko Susan, osłonięta przez magię Leanansidhe i dzierzżąca Amorcchiusa. W końcu ile niewidzialnych źródeł świętego światła zainteresowanych ochroną mojej córki może się kręcić po Chichén Itzá? Wciąż nie zaatakowała, tylko stała nad Maggie. Chciałem zawołać, żeby rzuciła się na Czerwonego Króla, gdyż to jej jedyna szansa. W przeciwnym razie rozprawią się z nią równie szybko i łatwo, jak ja z wojownikiem w skórze jaguara.

A jednak Król wciąż tego nie zrobił, a mnie nagle olśniło dlaczego.

Nie wiedział, czym jest to światło.

Wiedział tylko, że wyrządziło mu krzywdę, gdy próbował zabić dziecko. Z jego punktu widzenia to mogło być niemal wszystko – archanioł stojący na straży albo duch światła, równie groźny jak mroczny Ik. Przypomniałem sobie głos dobiegający z ust Murphy, ogłaszający sąd nad Czerwonym Dworem, i nagle zrozumiałem, dlaczego Czerwony Król się waha i co tak naprawdę sobie myśli: że istota nad ołtarzem może być czymś, w czego istnienie nie wierzył, na przykład prawdziwym Kukulcanem.

Bał się.

Susan nie mogła nic zrobić. Gdyby zadziałała i ujawniła, kim jest, niepewność wroga natychmiast by się ulotniła i konflikt rozgorzałby na nowo. A wtedy byłaby bez szans wobec tak znacznej przewagi liczebnej wampirów.

Zdawała sobie jednak sprawę, co jej dają niepewność i lęk, więc trwała w bezruchu i ciszy. To była broń równie potężna jak wola półbogów – w końcu sparaliżowała Czerwonego Króla – ale zarazem krucha, jak szklany

miecz. Mój wzrok spoczął na kawałkach obsydianu na posadzce.

Nie mogłem się ruszyć, a czas działał na naszą niekorzyść. Z każdą mijającą chwilą liczniejsi od nas wrogowie coraz lepiej się organizowali i otrząsali się z szoku wywołanego inwazją niewielkiej armii w samym środku ich uroczystej ceremonii. Musiałem wyczekiwać właściwej chwili, by wyciągnąć Maggie z tego bałaganu. Nie mogłem czekać zbyt długo.

Sparaliżowany zmagalem się z wolą Władców Zewnętrznej Nocy, skupiając na sobie ich uwagę. Kolejno spoglądałem na ich złote maski. Przez jakiś czas koncentrowałem się na ostatniej, a potem znów przeniósłem wzrok na pierwszą, badając siłę woli każdego z wrogów, szukając słabego punktu, z którego będę mógł skorzystać, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

Nagle przez czwarte drzwi wkroczył do świątyni Martin, nie robiąc przy tym żadnego hałasu, a ja doszedłem do wniosku, że ten moment się zbliża. Wszyscy Władcy skupiali się na mnie. Czerwony Król był pochłonięty świetlnym pokazem Susan, podczas gdy jego odcięta dłoń wspięła się po nodze i wskoczyła na ranną rękę. Z obu części ciała natychmiast wyłoniły się gumowate kosmyki czarnej mazi i zaczęły się ze sobą splatać.

Martin znalazł się w samym środku pięknego snu każdego agenta Bractwa: Czerwony Król stał odwrócony tyłem i nikt nie mógł przeszkodzić w ataku na przywódcę nikczemnej struktury władzy i terroru.

Martin wyciągnął maczetę z pochwy – stał nawet nie zaszeleściła o nylon – i wziął zamach, szykując się do zadania ciosu. Jeszcze nigdy nie widziałem na jego twarzy takiego skupienia.

Błyskawicznie pokonał ostatnie dwa kroki, zawirował, a ja przygotowałem się do wydania okrzyku radości...

...gdy nagle jego stopa wściekle przeszła powietrze pod białym światłem.

Susan krzyknęła i upadła zaskoczona ciosem. Martin zbliżył się do niej z zamkniętymi oczami, machnął rękami i coś pochwycił. Szarpnął lewą ręką, a prawą wykonał skrętny ruch w górę maczetą. Wtedy Susan stała się widoczna, wygięta w bolesny łuk pod wpływem uchwytu Martina. Pierzasta peleryna opadła, a ostrze oparło się o gardło kobiety.

Wrzasnąłem z wściekłości. Zabrzmiało to jak odgłos wrzenia.

Czerwony Król szybko cofnął się o krok, ze skupieniem patrząc na atakującego Martina. Kiedy pojawiła się Susan, przekrzywił głowę, jakby analizował to, co widzi.

– Wybacz, mój panie – wyszeptał Martin, lekko kłaniając się Czerwonemu Królowi. – Rzuć to – odezwał się beznamiętnie do Susan.

Jeszcze bardziej skręcił ciało, boleśnie ją wyginając i jeszcze mocniej przyciskając ostrze maczety do jej gardła, aż w końcu palce Susan się rozwarły i Amoracchius spadł na posadzkę, powoli gasnąc.

– Sztuczka – odezwał się Czerwony Król, nie mogąc powstrzymać wściekłości. – Szarlatańska sztuczka. – Przeniósł wzrok z Susan na Martina. – A ty się ujawniłeś.

– Błagam o wybaczenie, mój panie – rzekł Martin. – Wydawało się, że to właściwa chwila. Z mojej inicjatywy grupy uderzeniowe dwie godziny temu zaczęły usuwać personel i kryjówki Bractwa. Jutro o tej porze na południe od Stanów Zjednoczonych nie pozostanie ani jeden żywy agent. A nasz wydział finansowy zajmie albo zniszczy ponad dziewięćdziesiąt procent ich rachunków.

– Ty sukinsynu – rzuciła Susan zbolalym głosem. – Pierdolony zdrajco.

Martin wzdrygnął się, słysząc jej słowa, ale nie spuszczał wzroku z Czerwonego Króla.

– Ofiarowuję ci Bractwo Świętego Idziego, mój panie – oznajmił. – Jednocześnie proszę, byś dał mi moją nagrodę.

– Nagrodę – odezwała się Susan, wlewając w to słowo więcej pogardy i nienawiści, niż wydawało się to możliwe. – Cóż mogli ci zaproponować, Martinie, żebyś zechciał zrobić coś takiego?

Czerwony Król popatrzył na Susan.

– Wytłumacz jej – polecił.

– Mylisz się, Susan – odrzekł Martin spokojnie. – Wcale nie zdradziłem Bractwa. Miałem taki plan od dnia, gdy do niego wstąpiłem. Pomyśl. Znasz mnie od niecałych dziesięciu lat i sama widziałaś, jak zaciekle walki zdarzało nam się toczyć. Naprawdę wierzysz, że dzięki własnym zasługom przetrwałem sto pięćdziesiąt lat zmagania z Czerwonym Dworem i przeżyłem wszystkich innych agentów, jacy kiedykolwiek służyli Bractwu? – Pokręcił

głową. – Nie. Zapewniano mi drogi ucieczki. Podsuwano cele. Musiałem służyć przez pięćdziesiąt lat i zabić dwóch swoich towarzyszy i przyjaciół, żeby zdobyć zaufanie Bractwa. Ale kiedy wreszcie przyjęli mnie do grona najbardziej zaufanych osób, podpisali na siebie wyrok. Zaufanie jest jak trucizna, Susan. Potrzebowałem kolejnych stu lat, by zdobyć ich tajemnice, ale wreszcie się udało. Nasi ludzie do jutra dopełnią dzieła zniszczenia. Bractwo jest skończone.

Susan przeniosła na mnie wzrok, a Maggie wciąż cicho łkała, obejmując się rękami. Twarz Susan wykrzywił ból. W oczach miała łzy wściekłości.

A ja nawet nie mogłem się do niej odezwać.

– Co dostaniesz w zamian? – zapytała Susan drżącym głosem.

– Wywyższenie – odpowiedział Czerwony Król. – Nie zależy mi na przyjmowaniu do swojego dworu krwiożerczych szaleńców. Martin w ciągu dziesięcioleci dowiódł swojego oddania, samokontroli, a przede wszystkim kompetencji. Był kapłanem przez pół wieku, zanim pozwolono mu rozpocząć tę służbę.

– Doprawdy, Susan – rzekł Martin. – Mówiłem ci wiele razy, że emocje nie mogą nam przeszkadzać w wypełnianiu obowiązków. Gdybyś mnie posłuchała, z pewnością odkryłabyś prawdę. Musiałbym cię wtedy zabić, jak uczyniłem z kilkoma innymi osobami, które były zbyt sprytne dla swojego dobra, ale przynajmniej byś wiedziała.

Susan zamknęła oczy. Dygotała.

– Oczywiście. Mogłeś nawiązywać kontakt tak często, jak chciałeś. Za każdym razem, gdy odwiedzałam Maggie.

– Zgadza się – odrzekł cicho. Odwrócił się w stronę Czerwonego Króla. – Mój panie, błagam cię o wybaczenie. Chciałem jedynie dać ci to, czego pragnąłeś, a sytuacja wymagała, żebym zaczął działać, w przeciwnym razie stracilibyśmy doskonałą okazję.

– W tych okolicznościach nie mam obiekcji, kapłanie – odpowiedział Czerwony Król. – Jeżeli grupy uderzeniowe są tak skuteczne, jak podejrzewasz, zasłużyłeś na moją nagrodę i wdzięczność.

Martin uklonił się przed Czerwonym Królem, a potem podniósł wzrok na mnie. Przez chwilę przyglądał się mojej twarzy.

– Jeśli chcesz dokończyć rytuał, mój panie, mag ma sztylet Alamayi w swojej torbie.

Czerwony Król odetchnął głęboko, z niemal dobrotliwą miną.

– Martinie, zawsze myślisz o wszystkim. Co byśmy bez ciebie zrobili?

– Jesteś zbyt szczodry, mój panie – odparł Martin. – Przyjmij moje kondolencje z powodu śmierci Arianny. Była niezwykłą kobietą.

– Niezwykle ambitną – odrzekł Czerwony Król. – Kurczowo trzymała się tego, co minęło, zamiast badać nowe możliwości. Ona i jej koteria koniecznie chcieli mnie osłabić. Gdyby zniszczyła to zwierzę, a potem dotrzymała obietnicy i przetrąciła grzbiet przeklętej Białej Radzie, mogłaby zagrozić mojej władzy. Ta myśl nie sprawia mi przyjemności, ale jej śmierć była nieunikniona.

– Jak uważasz, mój panie – rzekł Martin.

Czerwony Król zbliżył się do mnie z uśmiechem i sięgnął do mojej torby po sztylet.

Susan wyszczerzyła zęby, wciąż próbując walczyć, ale wyglądało na to, że Martin przewyższał ją siłą.

Nie mogłem nic zrobić. Karty tak bardzo mi nie sprzyjały, że nawet z Martinem po naszej stronie mielibyśmy kiepskie szanse. Zdradził nas w idealnej chwili, niech go szlag trafi. Niech szlag trafi ich wszystkich. Nie mogłem nic...

Dawno temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, razem z moją pierwszą miłością wymyśliliśmy zaklęcie, dzięki któremu mogliśmy bezgłośnie rozmawiać podczas lekcji. Była to magia podobna do kamieni stworzonych przez Ebenezara, ale prostsza i o znacznie krótszym zasięgu. Nigdy nie używałem jej do komunikowania się z nikim poza Elaine, ale Susan kiedyś była mi bliska, a w tej chwili oboje zapewne myśleliśmy głównie o Maggie.

To mogło wystarczyć do nawiązania połączenia, choćby jednostronnego.

Sięgnąłem po prostą magię, starając się rzucić czar pomimo spętania przez wolę Władców Zewnętrznej Mocy, i wysłałem swoją myśl do Susan. „On nie wie wszystkiego”, przekazałem rozpaczliwie. „Nie wie o zaklęciu chroniącym twoją skórę. Wie tylko o pelerynie, ponieważ widział, jak jej używasz”.

Susan na chwilę szerzej otworzyła oczy. Usłyszała mnie.

„Ołtarz”, pomyślałem. „Rytuał, który ma nas zabić, można obrócić przeciwko nim. Jeśli jeden z nich zginie od tego noża, klątwa dotknie ich rodu, nie naszego”.

Jeszcze szerzej otworzyła oczy. Widziałem, że intensywnie się nad czymś zastanawia.

– Martinie – odezwała się cicho. – Dlaczego Arianna wzięła na cel moją córkę?

Martin popatrzył na Susan, potem na Maggie, a w końcu odwrócił wzrok.

– Ponieważ ojciec dziecka jest synem Margaret LeFay, córki człowieka, który zabił męża Arianny. Zabijając dziewczynkę, odplaciłaby się wam wszystkim.

Gdybym i tak nie był znieruchomiały, z pewnością bym zamarł.

Margaret LeFay. Córka człowieka, który zabił męża Arianny (a zarazem wampirze dziecko), Paola Ortegę.

Księżca Ortegę. Zniszczył go Czarny Kostur.

Ebenazar McCoy.

Jeden z najgroźniejszych magów na świecie. Człowiek dysponujący taką osobistą i polityczną potęgą, że nigdy nie mogłaby go pokonać w bezpośrednim starciu. Dlatego postanowiła zaatakować jego ród. Od niego do mojej matki. Od niej do mnie. Ode mnie do Maggie. Zabicie dziecka zgładziłoby nas wszystkich.

O tym mówiła Arianna, gdy stwierdziła, że nie chodzi o mnie.

Chodziło o mojego dziadka.

Nagle stało się jasne, dlaczego staruszek nadstawił karku, zostając moim mentorem, gdy Rada chciała mnie zgładzić za zabicie Justina DuMorne'a. Nagle stało się jasne, dlaczego był wobec mnie taki cierpliwy, wyrozumiały i serdeczny. To nie były przypadkowe akty dobroci.

Zrozumiałem, dlaczego rzadko wspominał o swojej uczennicy, Margaret LeFay. Sama zasłużyła sobie na to miano, chociaż w jej akcie urodzenia zapewne widniało nazwisko Margaret McCoy. Cholera, pewnie nigdy nie powiedział Radzie, że Margaret była jego córką. Ja na pewno nie miałem zamiaru powiadomić ich o Maggie, jeśli zdołamy wyplątać się z tej kabały.

Moją matkę w końcu zabili jej wrogowie, a Ebenezar, jej ojciec i najniebezpieczniejszy mag w Białej Radzie, nie zdołał jej ocalić. Okoliczności nie miały znaczenia. Nieważne, co osiągnął, i tak wiedziałem, że nigdy nie wybaczy sobie, że nie uratował życia córce, tak jak ja nie wybaczyłbym sobie, gdybym zawiódł Maggie. To dlatego postanowił pokazać wszystkim, co spotka tych, którzy spróbują się na mnie mścić – przezornie starał się ocalić swojego wnuka.

To także tłumaczyło, dlaczego odwrócił uwagę Szarej Rady i ściągnął ją w to miejsce. Chciał uratować mnie i moją córeczkę.

A także siebie, dodała cyniczna część mojej natury. Chociaż nawet nie byłem pewien, czy taka myśl mu zaświtała pod górą problemów, które go przytłaczały.

Nic dziwnego, że Arianna była tak napalona na rzucenie klątwy rodowej na Maggie. Zemściłaby się na mnie, za to, że nie byłem na tyle uprzejmy, by polec w pojedynku, a także na Ebenezarze, który zabił Ortegę tak, jak zabija się niebezpieczne zwierzę, z potrzeby chwili i na oczach wszystkich. Arianna z tego powodu zapewne straciła twarz, a moje niekończące się ataki na Czerwonych i ich sojuszników uczyniły ją jeszcze bardziej zdeterminowaną, by pokazać mi miejsce w szeregu. Za sprawą jednej klątwy zgładziłaby członka Rady Starszych i Czarnego Kostura. Zabicie mnie także byłoby nie lada osiągnięciem, skoro, jak Arianna sama zauważyła, nikomu jeszcze nie udało się tego dokonać, a po śmierci Donalda Morgana mogłem z powodzeniem ubiegać się o tytuł Najbardziej Niesławnego Strażnika w Radzie.

Dla Arianny byłoby to wielkie zwycięstwo. A potem zapewne przyszedłby czas na zamach stanu.

Oczywiście jeśli to Czerwony Król będzie trzymał nóż, zgarnie całą pulę. Śmierć wrogów, większy prestiż i bezpieczne miejsce na tronie. Prosta kalkulacja.

Z uśmiechem wyjął mi nóż z za pasa i odwrócił się w stronę ołtarza i mojej córki.

Dobry Boże. Myśl, Dresden. Myśl!

Mam nadzieję, że pewnego dnia Bóg wybaczy mi pomysł, który wtedy

zrodził się w mojej głowie.

Ponieważ ja nigdy sobie nie wybaczę.

Wiedziałem, jaka jest wściekła. Wiedziałem, jak bardzo się boi. Jej dziecko miało za chwilę umrzeć, zaledwie metr od niej, a to, co postanowiłem jej zrobić, było równoznaczne z morderstwem.

Skupiłem myśli i posłałem je do Susan. „Susan! Zastanów się! Kto wiedział, kim jest ojciec dziecka? Kto mógł im powiedzieć?”.

Odsłoniła zęby.

„Jego nóż nie może cię zranić”, pomyślałem, chociaż doskonale wiedziałem, że żadna magia elfów nie może w pełni uchronić przed dotykiem stali.

– Martinie – odezwała się Susan niskim i bardzo cichym głosem. – Powiedziałeś im o Maggie?

Zamknął oczy, ale odpowiedział spokojnie.

– Tak.

Susan Rodriguez wpadła w obłąd.

W jednej sekundzie była jeńcem, a już po chwili wywinęła się jak węgorz, zbyt szybko, by nadążyć za nią wzrokiem. Maczeta Martina rozcięła jej gardło, ale zwróciła na to równie niewielką uwagę, jak na zadrapanie podczas leśnej wędrówki.

Martin uniósł rękę, żeby zasłonić się przed ciosem, którego się spodziewał, ale na próżno, ponieważ Susan wcale nie próbowała go uderzyć.

Z oczami pełnymi ciemności i furii wrzasnęła głośno, ukazując wydłużone kły, i rzuciła się mu do gardła.

Martin patrzył mi w oczy tylko przez ułamek sekundy. Nie dłużej. Ale poczułem początki spojrzenia w duszę. Ujrzałem jego cierpienie, ból śmiertelnego życia, które utracił. Ujrzałem lata służby, jego szczere oddanie, które było niczym polerowany z miłością marmurowy posąg Czerwonego Króla. Potem zobaczyłem, jak zmienia się jego dusza. Zobaczyłem, jak ten obraz matowieje po kolejnych latach spędzonych wśród tych, którzy zmagali się z Czerwonym Królem i jego imperium grozy i nieszczęścia. Zobaczyłem wreszcie, że kiedy wszedł do świątyni, dobrze zdawał sobie sprawę, że tego nie przetrwa. Był z tym pogodzony.

Nie mogłem zrobić nic, by powstrzymać to, co się stało, zresztą nie byłem pewien, czy chcę. Martin powiedział, że potrzebował wielu lat, by oszukać Bractwo Świętego Idziego. Ale potrzebował niemal dwóch stuleci, by okpić Czerwonego Króla. Jako były kapłan z pewnością słyszał o klątwie rodowej i jej niszczycielskim potencjale. Musiał wiedzieć, że zagrożenie życia Maggie i świadomość jego zdrady doprowadzi Susan do utraty kontroli.

Praktycznie zaraz po przybyciu do Chicago powiedział mi, że jest gotów zrobić wszystko, żeby zaszkodzić Czerwonemu Dworowi. Strzelić mi w plecy. Ujawnić istnienie Maggie i oddać ją w ręce tych morderczych drani. Zdradzić Bractwo na rzecz ich wrogów.

Zniszczyć Susan.

A także oddać życie.

Zrozumiałem, że wszystko to zrobił z jednego powodu: by się upewnić, że będę tutaj, gdy to się stanie. Żeby dać mi szansę wszystko zmienić.

Susan przewróciła go na kamienną posadzkę, oszalała z grozy i wściekłości, i wyrwała mu krtań, z nadludzką szybkością wyszarpując zębami kolejne porcje ciała z jego szyi.

Martin umarł.

Susan zaczęła się przemieniać.

To była moja szansa.

Przeciwstawiłem się woli Władców Zewnętrznej Nocy z całą siłą mojego ciała, serca i umysłu. Rzuciłem przeciwko nim swój lęk, samotność, miłość i szacunek, wściekłość i ból. Zmieniłem swoje myśli w młot wykuty w ogniu stworzenia i zahartowany lodowatą mocą najmroczniejszego stróża ziemi, jakiego znałem. Uniosłem ręce z krzykiem sprzeciwu, osłaniając głowę jak najgrubszą warstwą zbroi. Przez chwilę żałowałem, że nie włożyłem tego durnego hełmu.

Potem cisnąłem to wszystko w drugiego Władcę od lewej, którego wola sprawiała najmniej solidne wrażenie. Zachwiał się i wydał odgłos, jaki kiedyś słyszałem z ust boksera, który dostał hakiem w jaja.

Wtedy Władca Zewnętrznej Nocy, który wszedł do świątyni jako ostatni – ubrany w maskę, którą Murphy na moich oczach ścięła z głowy jej właściciela – podniósł ręce i przeszył swoich towarzyszy wstęgami zielonej

i ametystowej mocy.

Uderzenie zabiło na miejscu dwóch Władców, z efektowną brutalnością rozrywając ich ciała na strzępy i zbryzgując wnętrze świątyni czarną krwią. Pozostali Władcy zatoczyli się, krzycząc z zaskoczenia i bólu, a ich prawdziwe postaci zaczęły wyrywać się na wolność spod okrywającego ich ciała.

Moja matka chrzestna także zrzuciła przebranie i cisnęła złotą maską w najbliższego Władcę, pozwalając, by rozwiała się iluzja ukrywająca jej prawdziwą tożsamość, wliczając ubrania i rekwizyty, które umożliwiły jej ukrycie się pośród wrogów. Jej oczy lśniły, policzki płonęły czerwienią. Żądza krwi i niemal seksualne pragnienie zniszczenia promieniowały od niej jak gorąco od ognia. Zawyla z zachwytu i zaczęła razić oszołomionych Władców Zewnętrznej Nocy strumieniami, błyskawicami i wstęgami energii, nie przestając tkać mocy migoczącymi opuszkami palców, nawet gdy zaatakowali ją siłą woli i własną magią.

Żaden z Władców nie pamiętał o tym, żeby mnie przytrzymywać.

Nagle byłem wolny.

Z krzykiem rzuciłem się od tyłu na Czerwonego Króla, a on obrócił się w moją stronę z nożem w rękę. Jego ciemne oczy otworzyły się szerzej i potworna moc jego woli opadła na mnie jak tuzin ołowianych płyt.

Zatoczyłem się, ale nie ustąpiłem. Wpadłem w szal. Nie byłem sobą. Byłem niepowstrzymany. Moja zbroja, laska mojego dziadka, widok mojego wystraszonego dziecka i lodowata moc przenikająca moje kończyny pozwoliły mi zrobić kolejny krok, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, aż w końcu stanąłem tuż przed Czerwonym Królem.

Zamachnął się uleczoną prawą ręką, by wbić obsydianowy nóż w moje gardło.

Opuściłem laskę i zablokowałem jego nadgarstek. Zatrzymałem ostrze kilka centymetrów od mojej szyi, a król wybałuszył oczy, czując moją potęgę.

Lewą dłonią chwycił mnie za gardło z miazdzącą siłą.

Ułożyłem kciuk i palec wskazujący prawej dłoni w kształt litery C, a wtedy ze chrzęstem pokrył je sztywny, krystalicznie czysty lód.

Wbiłem oba palce w jego czarne oczy.

Następnie posłałem wzdłuż ręki siłę woli podszytą pełną mocą ognia duszy i wrzasnąłem:

– *Fuego!*

Ciało skwierczało, pękało, piekło się i parowało, a król Czerwonego Dworu, najbardziej wiekowy wampir swego rodzaju, ojciec i stwórca swojej rasy, wrzeszczał w męczarniach. Dźwięk był tak głośny, że pękł mi bębenek w lewym uchu, powiększając kolekcję moich cierpień.

A kiedy Czerwony Król krzyczał, wtórowali mu wszyscy członkowie jego Dworu.

Z tak niewielkiej odległości niemal czułem, jak nawołuje inne wampiry siłą swojej woli, wysyłając wezwanie, które wykraczało poza interesowność i rozsądek. Ale nawet gdybym go nie dotykał, nawałnica krzyków dobiegających z zewnątrz opowiedziałyby mi tę samą historię.

Wampiry nadciągały ku nam całym rojem, jak burzowa chmura, i nic na ziemi nie mogło ich powstrzymać przed przyjściem swojemu królowi z pomocą. Ucisk na moim gardle zelżał i król zatoczył się do tyłu. Cofnąłem palce i obiema dłońmi chwyciłem rękę, w której trzymał nóż. A potem, krzycząc z wściekłości, pokryłem jego przedramię lodem i złamałem je na pół. Złapałem sztylet, zanim spadł na posadzkę.

Uwolniony Czerwony Król oddalił się chwiejnie, ale pomimo oślepienia i odbierającego rozum bólu wciąż był niebezpieczny. Jego chaotycznie uwalniana wola dziurawiła kamienne ściany. Szkarłatne magiczne światło, które najwyraźniej było motywem przewodnim w świątyni, zagarnęło jednego z Władców i przecięło go na pół.

Najstarszy z wampirów wrzeszczał z bólu, gdy rój jego pobratymców przybył, by nas unicestwić.

Wtedy najmłodsza wampirzyca z Czerwonego Dworu przyklęła obok Martina, wpatrując się w swoje dłonie.

Przez chwilę patrzyłem, jak pęka skóra na jej opuszkach. Palce zaczęły się wydłużać, paznokcie zmieniały się w pazury, mięśnie z trudem wrywały się spod skóry. Susan patrzyła na nie czarnymi oczami, kręcąc głową, a jej twarz pokrywała maska krwi. Jęczała i dygotała.

– Susan – odezwałem się, klękając przed nią. Wycie magicznych energii

wypełniało świątynię symfonią zniszczenia. Ująłem jej twarz w dłonie.

Podniosła na mnie wzrok, przerażona i udręczona, z rozpaczą wypisaną na twarzy.

– Zbliżają się – wycharczała. – Czuję ich. W środku. Na zewnątrz. Zbliżają się. Mój Boże.

– Susan! – zawołałem. – Pamiętaj o Maggie!

Skupiła na mnie wzrok.

– Chcieli dopaść Maggie, ponieważ była najmłodsza – odezwałem się lodowatym głosem. – Ponieważ jej śmierć zgładziłaby nas wszystkich.

Targnął nią skurcz brzucha, który skręcał się, napinał i obscenicznie nadymał, ale nie odrywała wzroku od mojej twarzy.

– Teraz ty jesteś najmłodsza – syknąłem do niej żarliwie. – Najmłodsza wampirzyca na całym przeklętym Dworze. Możesz zabić ich wszystkich.

Zadrżała i jęknęła, a ja zobaczyłem, że zmagają się w niej dwa pragnienia. Ale wtedy popatrzyła na Maggie i mocniej zacisnęła zęby.

– Chyba... chyba nie dam rady. Nie czuję rąk.

– Harry! – wrzasnęła Murphy rozpaczliwie. – Nadchodzą!

Błyskawica przecięła powietrze na zewnątrz, a towarzyszący jej huk dałoby się oznaczyć na skali Richtera.

Nagle kakofonia magicznej wojny ucichła, na najwyżej dwie sekundy.

Susan popatrzyła na mnie, z jej oczu popłynęły łzy.

– Harry, pomóż mi – wyszeptała. – Ocal ją. Proszę.

Wszystko we mnie się temu sprzeciwiało. To niesprawiedliwe. Nie powinienem być do tego zmuszony. Nikt nie powinien robić czegoś takiego.

Ale... nie miałem wyjścia.

Podźwignąłem Susan jedną ręką. Nasza córeczka leżała zwinięta w kłębek z zamkniętymi oczami, a my nie mieliśmy czasu. Delikatnie zsunąłem ją z ołtarza na podłogę, gdzie była lepiej chroniona przed wyładowaniami energii wypełniającymi świątynię.

Położyłem Susan na ołtarzu.

– Nic jej nie będzie, obiecuję.

Pokiwiała głową. Jej ciałem targały konwulsje, od których boleśnie pojękiwała. Sprawiała wrażenie przerażonej, ale skinęła głową.

Zasłoniłem jej oczy lewą dłonią.

Przywarłem ustami do jej warg, szybko i delikatnie, smakując krew i nasze łzy.

– Maggie... – powiedziała bezgłośnie.

A potem...

Użyłem noża.

Ocaliłem dziecko.

Wygrałem wojnę.

Niech Bóg mi wybaczy.

Kiedy umarł Czerwony Dwór, wszystko się zmieniło. Wydarzenia tamtej nocy trafiły do podręczników historii.

Po pierwsze, stało się tak ze względu na niewyjaśnione zniszczenie kilku budowli w Chichén Itzá. Dżungla przez tysiąc lat nie zdołała zburzyć tego miejsca, ale półgodzinna bijatyka między magami, którzy znają się na rzeczy, może zrównać z ziemią całe osiedla. Później tłumaczono to niezwykle silnym lokalnym trzęsieniem ziemi. Nikt nie potrafił wyjaśnić, skąd się wzięły te wszystkie trupy – niektóre z zębami noszącymi ślady technik dentystycznych ostatnio używanych sto lat temu, inne z sercami brutalnie wyrwanymi z piersi, o zmutowanych ciałach, których kościec niemal nie przypominał ludzkiego. Zidentyfikowano niecałe pięć procent ofiar i były to osoby, które zaginęły w ciągu ostatnich dziesięciu czy piętnastu lat. Nigdy nie wytłumaczono takiego zgrupowania zaginionych ludzi, chociaż powstało wiele teorii, bez wyjątku fałszywych.

Mógłbym głosić prawdę ze szczytów gór, ale tylko wtopiłbym się w tłum czubków. Każdy wie, że wampiry nie istnieją.

Po drugie, ta historia trafiła do podręczników ze względu na nagłe zniknięcia albo morderstwa ważnych urzędników, biznesmenów i finansistów w miastach i ośrodkach władzy w całej Ameryce Łacińskiej. Obwiniono kartele narkotykowe, chociaż nie były wystarczająco potężne, by dokonać czegoś takiego. Ogłoszono stan wojenny praktycznie wszędzie na południe od Teksasu, a w ośmiu albo dziesięciu różnych krajach jednocześnie wybuchły rewolucje.

Słyszałem, że natura nie znosi próżni, chociaż, jeśli to prawda, to nie wiem, dlaczego dziewięćdziesiąt dziewięć procent stworzenia to próżnia. Wiem natomiast, że to się sprawdza w przypadku władzy, którą politycy zawsze pośpiesznie przejmują. Tak samo jak przestępcy. Co zapewne więcej

nam mówi o ludziach niż o naturze. Większość państw Ameryki Południowej zachowała równowagę. Ameryka Środkowa zmieniła się w strefę wojenną, targaną walkami o terytorium pozostawione przez wampiry.

Po trzeciej, tamta noc przeszła do historii jako czas koszmarów dla całej nadprzyrodzonej społeczności. Jeszcze przed nadejściem świtu paranet huczał od relacji mężczyzn i kobiet z całego świata, którzy opisywali swoje jaskrawe i niepokojące sny. Najbardziej ucierpiały ciężarne kobiety i matki, które niedawno rodziły. Kilka musiało trafić do szpitala i otrzymać środki uspokajające. Ale każdy, kto miał choćby odrobinę talentu i akurat spał, zmagał się z koszmarami. Wspólnym motywem były martwe dzieci. Świat w płomieniach. Groza i śmierć rozlewające się po kuli ziemskiej niepowstrzymaną falą, niszczące wszelki porządek i cywilizację.

Nie pamiętam, co się stało, gdy dopełnił się rytuał. Mam w głowie lukę rozciągającą się na jakieś dwie minuty.

Nie chcę wiedzieć, co się w niej znajduje.

Pamiętam, że stałem przed świątynią z Maggie na rękach, owinięty grubą pierzastą peleryną, którą zostawiła jej matka. Dziewczynka wciąż drżała i cicho płakała, ale ze zmęczenia, nie ze strachu. Pęknięte kajdany leżały na ziemi. Nie pamiętam, jak je zdjąłem, nie robiąc małej krzywdy. Maggie oparła się o mnie, używając zagięcia peleryny jako poduszki, a ja usiadłem na górnym stopniu, żeby zobaczyć, za co zapłaciłem.

Czerwony Dwór był martwy. Do ostatniego członka. Większość szczątków przypominała czarny szlam. Tak można rozpoznać nieżywe wampiry. Ale mieszkańcy stracili tylko wampirzą część swojej natury. Klątwa ich uzdrowiła.

Oczywiście to właśnie ta część podtrzymywała w nich młodość i piękno.

Widziałem setki ludzi leżących na ziemi, którzy starzeli się o rok z każdym moim oddechem. Patrzyłem, jak marnieją i znikają. Wyglądało na to, że mieszkańcy dzielą się na dwie grupy – tych, którzy zdołali zapanować nad żądzą krwi i dzięki temu żyli od wieków, oraz tych, którzy byli półwampirami od niedawna. Tylko nieliczni z nich należeli do Czerwonego Dworu. Okazało się, że większość młodych półwampirów pracowała dla

Bractwa, a wielu z nich już zginęło z ręki Czerwonych, chociaż później dowiedziałem się, że ponad dwie setki kolejnych zostały uwolnione od swojego przekleństwa.

Kiedy dokonywałem wyboru, nie było dla mnie istotne, jak wielu ludzi uwolnię. Przede wszystkim liczyła się jedna osoba.

W skład Czerwonego Dworu oczywiście wchodziło kilkoro nowicjuszy, którzy po odprawieniu rytuału znów stali się zwykłymi ludźmi. Oni, a także inni ludzie, którzy nie mieli na tyle rozumu, by uciec na czas, nie przetrwali długo po tym, jak Szara Rada uwolniła jeńców z bydłowego wagonu. Groza, którą Czerwoni wzbudzali w swoich ofiarach, szybko zmieniała się w gniew, a członków Dworu i ich świtę spotkał paskudny los. Na własne oczy widziałem, jak pewna postawna kobieta samodzielnie zatłukła Alamayę na śmierć kamieniem.

Nie angażowałem się. Miałem dosyć jak na jeden dzień.

Siedziałem i kołysałem swoją córkę, dopóki nie zasnęła mi w objęciach. Moja matka chrzestna usiadła obok mnie. Miała przypaloną i zakrwawioną suknię oraz zadowolony uśmiech na twarzy. Ludzie coś do mnie mówili. Ignorowałem ich. Nie naprzykrzali się. Lea chyba ich ode mnie odpędzała.

Ebenezar, który wciąż trzymał Czarny Kostur w lewej dłoni, dołączył do mnie nieco później. Popatrzył na Leanansidhe.

– To sprawa rodzinna. Zostaw nas samych.

Uśmiechnęła się kpiąco i skłoniła głowę. Potem wstała i dostojnie się oddaliła.

Ebenezar usiadł obok mnie na wschodnich schodach świątyni Kukulcana i popatrzył na otaczającą nas dżunglę.

– Już prawie świta – powiedział.

Podniosłem wzrok. Miał rację.

– W tej okolicy miejscowi nie wychodzą z domów przed wschodem słońca. Czerwony Dwór czasami się tutaj spotykał, by przyjmować nowych arystokratów. Ludzie mają instynkt samozachowawczy.

– No tak – odrzekłem. Tak często bywa w państwach, które nie cieszą się międzynarodowym uznaniem. Coś dziwnego dzieje się w Meksyku; dwadzieścia milionów ludzi widziało to na własne oczy, ale nikogo to nie

obchodzi.

– Kiedy wzejdzie słońce, wyjdą na zewnątrz. Zawiadomią władze. Ludzie będą zadawali pytania.

Słuchałem jego słów i im nie zaprzeczałem. Po chwili uświadomiłem sobie, że coś z nich wynika.

– Musimy się zbierać.

– Owszem, niedługo – zgodził się Ebenezar.

– Nigdy mi pan nie powiedział.

Milczał przez dłuższą chwilę.

– Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, Hoss. Złych rzeczy. Narobiłem sobie wrogów. Nie chciałem, żebyś ty też musiał się nimi przejmować. – Westchnął. – Przynajmniej... dopóki nie będziesz gotowy. – Rozejrzał się po szczątkach Czerwonego Dworu. – Chyba już jesteś.

Rozmyślałem o tym, podczas gdy niebo jaśniało.

– Skąd Arianna się dowiedziała? – spytałem.

Ebenezar pokręcił głową.

– To była wspólna kolacja. Maggie – moja Maggie – kiedyś zaprosiła mnie do domu. Niedawno związała się z tym przekłętym Raithem. Arianna też tam była, ale Maggie mnie nie ostrzegła. Obmyślili jakiś plan i szukali mojego poparcia. Wampiry sądziły, że jestem tylko mentorem Maggie. – Westchnął. – Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Powiedziałem, że ona też nie powinna się angażować. Pokłóciliśmy się.

– Jak to w rodzinie – mruknąłem.

– Właśnie – przytaknął. – Raith się nie zorientował. Nigdy nie miał normalnej rodziny. Ale Arianna to zauważyła i zapamiętała.

– Czy wszystko już wyszło na jaw? – spytałem.

– To niemożliwe – odparł. – Są rzeczy, które ukrywamy przed innymi, a nawet przed sobą. Są rzeczy, które zawsze pozostaną przed nami zakryte. A także rzeczy, o których nikt nie wie. Prawda zazwyczaj wychodzi na światło dzienne w najgorszym możliwym momencie. Przynajmniej takie mam doświadczenia.

Pokiwałem głową.

– Sierżant Murphy powiedziała mi, co się stało – dodał.

Poczułem, że sztywnieje mi szyja.

– Widziała to?

Pokiwał głową.

– Chyba tak. Nie lada wyczyn.

– To nie było trudne – zaprzeczyłem cicho. – Tylko bezduszne.

– Ależ Hoss – odrzekł. W tych dwóch słowach zmieściło się więcej współczucia niż wydawało się to możliwe.

Odziane na szaro postaci zgromadziły się na dole schodów. Ebenezar skrzywił się, kiedy je zobaczył.

– Chyba pora na mnie.

Szturchnąłem swój mózg i popatrzyłem w dół.

– Sprowadził ich pan tutaj. Dla mnie.

– Niezupełnie – odparł. Skinął głową w stronę śpiącego dziecka. – Dla niej.

– A co z Białą Radą?

– Wkrótce staną na nogi. Ciekawe, że byli wyłączeni z gry akurat na tak długo, by nie musieć się angażować.

– A wszystko pod kierownictwem Cristosa.

– Zgadza się.

– Pewnie należy do Czarnej Rady – stwierdziłem.

– Albo jest głupi – odparł Ebenezar.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

– Sam nie wiem, co jest bardziej przerażające.

Ebenezar zamrugał, a potem parsknął.

– Głupota, Hoss. Zawsze. Na świecie jest niewielu bezwzględnych złoczyńców, którzy tylko czasami bywają przemądrzali. Głupcy są na każdym kroku.

– Jak Lea was wezwała? – spytałem.

– No tak – odrzekł Ebenezar kwaśno. – Mam wrażenie, Hoss, że w tej sprawie to starsi z nami igrali.

– Starsi?

Wskazał głową podnóże schodów, gdzie wysoka postać trzymająca laskę o metalowej końcówce zaczęła tworzyć kolejne drzwi z zielonych błyskawic.

Kiedy skończyła, przestrzeń pod łukiem zamigotała, a wszystkie zakapturzone postaci stojące na dole schodów podniosły na nas wzrok.

Zmarszczyłem czoło i przyjrzałem się uważniej. W końcu uświadomiłem sobie, że metalowa końcówka laski to ostrze, a wysoki mężczyzna trzyma włócznię. Pod kapturem dostrzegłem czarną opaskę na oko, potarganą brodę i cień ponurego uśmiechu. Mężczyzna podniósł broń, a jego gest przypominał mi pozdrowienie szermierzy. Potem odwrócił się i zniknął w przejściu. Pozostałe postaci kolejno za nim podążały.

– Vadderung – zauważyłem.

Ebenezar stęknął.

– Takie imię nosi tym razem. Rzadko się angażuje, ale kiedy już to robi, idzie na całość. A ja wiem z doświadczenia, że to zwiastuje kłopoty. – Zacisnął usta. – Niełatwo zdobyć jego uznanie, Hoss.

– Rozmawiałem z nim dwa dni temu – odrzekłem. – Powiedział mi o kłątwie. Włożył mi do ręki broń i pokazał, gdzie mam wycelować.

Ebenezar pokiwał głową.

– Był nauczycielem Merlina. Tego pierwszego.

– Jaki los spotkał Merlina? – spytałem.

– Nikt nie jest pewien – odpowiedział Ebenezar. – Ale sądząc po jego dziennikach... nie był kimś, kto mógłby umrzeć we śnie.

Parsknąłem.

Staruszek wstał i prawą ręką naciągnął kaptur na głowę. Na chwilę znieruchomiał, po czym na mnie popatrzył.

– Nie będę ci głosił kazań na temat Mab, chłopcze. Sam zawarłem kilka układów. – Poruszył nerwowo lewą dłoń, którą wciąż pokrywała siatka czarnych żył, chociaż w mniejszym stopniu niż kilka godzin temu. – Robimy to, co wydaje nam się konieczne, by chronić, kogo tylko się da.

– Racja – przyznałem.

– Możliwe, że wejdzie ci na głowę. Spróbuje zmusić do zostania kimś, kim nie chcesz być. Nie pozwól jej na to. Nie może odebrać ci woli. Nawet jeśli będzie cię przekonywała, że to robi. – Ponownie westchnął, ale jego głos był twardy jak skała. – To jedyne, czego te wszystkie mroczne istoty i potęgi nie potrafią. Odebrać ci możliwości wyboru. Mogą cię zabić. Mogą zmusić cię do

robieńia różnych rzeczy, ale nie są w stanie skłonić cię, żebyś sam je wybrał. Prawie zawsze kłamią na ten temat. Nie daj się nabrać.

– Nie dam – odrzekłem. Podniosłem na niego wzrok. – Dziękuję, dziadku. Zmarszczył nos.

– Uch, to nie brzmi dobrze.

– Dziadziu? Dziadziusiu?

Położył dłoń na swojej piersi.

Uśmiechnąłem się lekko.

– Proszę pana.

Skinął głową w stronę dziecka.

– Co z nią zrobisz?

– To, co uznam za stosowne – odparłem łagodnie. – Może będzie lepiej, jeśli tego nie zdradzę.

Na jego twarzy odmalowały się ból, wesołość i rezygnacja.

– Może i tak. Do zobaczenia niedługo, Hoss.

Kiedy dotarł do połowy schodów, zawołałem w ślad za nim:

– Chce pan z powrotem swoją laskę?!

– Zatrzymaj ją, dopóki nie zdobędę dla ciebie nowej.

Pokiwałem głową.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Zmrużił oczy.

– Psiakrew, Hoss. Więc nic nie mów. – Odwrócił się i zawołał przez ramię:

– W ten sposób nie będziesz się tak często pakował w kłopoty!

Mój dziadek zszedł po schodach szybkim, pewnym krokiem. Potem zniknął w drzwiach z błyskawic.

Usłyszałem za sobą kroki, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem Murphy stojącą w wejściu do świątyni. Na jednym ramieniu trzymała Fidelacchiusa, a na drugim zawiesiła P-90. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Kosmyki włosów wysunęły jej się z kucyka i zwisały przy twarzy. Przyjrzała mi się i z uśmiechem do mnie dołączyła.

– Cześć – odezwała się cicho. – Wróciłeś?

– Chyba tak.

– Sania się martwił – dodała, przewracając oczami.

– Och. No cóż. Powiedz mu, żeby przestał. Wciąż tutaj jestem.

Pokiwała głową i podeszła bliżej.

– Więc to ona?

Przytaknąłem i popatrzyłem na śpiącą dziewczynkę. Miała różowe policzki. Nie mogłem wykrztusić ani słowa.

– Jest piękna – stwierdziła Murphy. – Jak jej matka.

Skinąłem głową i poruszyłem jednym zmęczonym i obolałym ramieniem.

– To prawda.

– Chcesz, żebym cię na chwilę zmieniła?

Mocniej przytrzymałem dziecko i poczułem, że zaczynam się odwracać.

– W porządku – powiedziała Murphy łagodnie, unosząc dłonie. – W porządku.

Przełknąłem ślinę i zdałem sobie sprawę, że jestem bardzo spragniony. Głodny. A przede wszystkim znużony. Rozpaczliwie, żałośnie wyczerpany. Ale przerażała mnie wizja snu. Obejrzałem się na Murphy i dostrzegłem ból na jej twarzy.

– Karrin – odezwałem się. – Jestem zmęczony.

Popatrzyłem na dziecko, śpiącą, ciepłą istotkę, która tak po prostu przyjęła skromne schronienie i opiekę, jakie mogłem jej zapewnić. Miałem wrażenie, że pęknie mi serce. Jeszcze bardziej niż dotychczas. Ponieważ wiedziałem, że nie mogę być tym, kogo potrzebuje. Nigdy nie dam jej tego, co konieczne, by mogła wyrosnąć na silną, zdrową psychicznie i szczęśliwą osobę.

Dlatego że zawarłem umowę. Gdybym tego nie zrobił, z pewnością by umarła, ale skoro to zrobiłem, nie mogłem być tym, na kogo zasługiwała.

Nie odrywając wzroku od jej twarzyczki, wyszeptalem:

– Wyświadczysz mi przysługę?

– Tak – odrzekła Karrin. Takie proste słowo, a niesie w sobie tyle pocieszenia.

Poczułem ucisk w gardle i obraz rozmył mi się przed oczami. Udało mi się odezwać dopiero za drugą próbą.

– Proszę, zabierz ją do ojca Forthilla, kiedy w-wrócimy – powiedziałem. – P-powiedz mu, że ona musi zniknąć. W najbezpieczniejszym miejscu, jakie

zna. Powiedz, że... – Głos mnie opuścił. Wziąłem kilka głębokich wdechów. – Nie muszę wiedzieć, gdzie jest. P-przeznacz mu to ode mnie. – Obróciłem się w stronę Murphy. – Proszę.

Popatrzyła na mnie tak, jakby pękało jej serce. Ale duszę miała silną jak stal, a spojrzenie niewzruszone i bezpośrednie.

– Dobrze.

Przygryzłem wargę.

Bardzo ostrożnie podałem jej swoją córeczkę. Murphy ją przyjęła i nie skomentowała jej wagi. Ale niby dlaczego miałyby to robić.

– Boże – odezwałem się dwie sekundy później. – Molly. Gdzie ona jest?

Murphy podniosła na mnie wzrok, sadowiąc się z dzieckiem na rękach. Mała poskarżyła się przez sen, a Murphy delikatnie ją zakołysała.

– Kurczę, naprawdę straciłeś kontakt z rzeczywistością. Nie widziałeś śmigłowca?

Przeczesałem swoje wspomnienia.

– Eee, nie.

– Po tym, jak... – Zerknęła na mnie i odwróciła wzrok. – Potem – poprawiła się bardziej stanowczym głosem. – Thomas znalazł telefon stacjonarny i wezwał pomoc. Śmigłowiec marynarki wojennej wylądował na tym trawniku niecałą godzinę później. Zabrał jego, Molly i Myszka.

– Myszka?

Murphy cicho parsknęła.

– Nikt nie miał ochoty mu powiedzieć, że nie może lecieć z Molly.

– Traktuje swoją pracę poważnie – przyznałem.

– Na to wygląda.

– Coś już wiemy? – spytałem.

– Jeszcze nie. Sania siedzi przy telefonie w ośrodku dla gości. Daliśmy Thomasowi numer, zanim odszedł.

– Mów prawdę, sierżant Murphy – odezwała się Leanansidhe, bezgłośnie się do mnie zbliżając. – Dałaś numer psu.

Murphy zerknęła na nią, a potem na mnie.

– Thomas miał już wystarczająco dużo na głowie – usprawiedliwiła się.

Zmarszczyłem czoło.

– To nie tak – zapewniła Murphy stanowczo. – Nie puściłabym go z nią, gdyby sprawiał... dziwne wrażenie.

– No tak – odrzekłem. – No tak. Myszek też by na to nie pozwolił.

– Już mu nie groziła utrata kontroli – spokojnie oznajmiła moja matka chrestna. – Nie pozwoliłabym, żeby ktoś tak obiecujący przypadkiem został pożarty.

Sania wybiegł truchtem zza dalszego rogu piramidy. U jego boku wisiał Esparacchius, a na ramieniu zawiesił pochwę z Amoracchiusem, dyndającą na należącym do Susan białym skórzanym pasie.

Przez chwilę wpatrywałem się w ten pas.

Bolało.

Sania pomknął po schodach, zaskakująco lekko jak na potężnego, umięśnionego faceta. Posłał mojej matce chrestnej serdeczny uśmiech, sprawdzając jedną ręką, czy Amoracchius wciąż wisi na jego ramieniu.

– Następnym razem – szepnęła Lea.

– Nie sądzę – odrzekł rozpromieniony Sania i zwrócił się w moją stronę. – Dzwonił Thomas. Sprawiał wrażenie zaskoczonego, że to ja odebrałem. Molly jest na wojskowym krążowniku manewrującym po Zatoce Meksykańskiej. Nic jej nie będzie.

Zagwizdałem.

– Jak to się...? – Zmrużyłem oczy.

– Lara? – podsunęła Murphy.

– Na pewno – uznałem.

– Lara ma wystarczające wpływy, żeby wysłać po kogoś śmigłowiec marynarki wojennej? Do przestrzeni powietrznej innego kraju? – Murphy nie przestawała kołysać Maggie, chociaż zapewne nie zdawała sobie sprawy, że wciąż to robi. – To... przerażające.

– Zgadza się – przyznałem. – Może zaśpiewała „Sto lat, panie prezydencie”.

– Nie chcę być nieuprzejmy – rzekł Sania – ale widziałem jakiś samochód, który nadszedł drogą, a potem bardzo szybko się oddalił. To chyba najwyższa pora, żeby... – Obejrzał się przez ramię i zmarszczył czoło. – Kto zostawił te drzwi z błyskawic?

– Ja się o nie postarałam – odrzekła Lea. – Doprowadzą was prosto do Chicago.

– Jak ci się to udało? – spytałem.

Leanansidhe wygładziła suknię z żarłocznym uśmiechem na ustach, a następnie sztywno złożyła ręce na kolanach.

– Negocjowałam z ich twórcą. Agresywnie.

Zakaszlałem.

– W końcu musisz doprowadzić swoje zadanie do końca, moje dziecko – dodała moja matka chrzestna. – Maggie musi znaleźć się w bezpiecznym miejscu. I chociaż osobiście uważam pływanie za orzeźwiające, uznałam, że dla niej może to być zbyt ryzykowne. O ile się orientuję, tacy malcy są dosyć delikatni.

– No dobrze... – Obejrzałem się na świątynię. – Nie mogę tak po prostu jej tam zostawić.

– Zabierzesz ją do Chicago, moje dziecko? – spytała moja matka chrzestna. – Pozwolisz, żeby wasza policja cię przepytowała? A może przemycisz ją do swojego grobu na cmentarzu w Graceland i przysypiesz ziemią?

– Nie mogę jej zostawić – powtórzyłem.

Leanansidhe popatrzyła na mnie i pokręciła głową. Jej mina wyglądała... mniej drapieżnie, niż się spodziewałem, chociaż nie była do końca łagodna.

– Idź. Ja się zajmę matką dziecka. – Uniosła dłoń, powstrzymując moją sceptyczną odpowiedź. – Z całą czcią i szacunkiem, jakie sam byś jej okazał. Pozwolę ci ją odwiedzać, kiedy tylko zapragniesz. Masz moje słowo.

Bezpośrednia obietnica z ust sidhe to rzadkość. Jeszcze rzadziej zdarzają się przysługi.

Ale może nie powinienem być zaskoczony. Nawet w Zimie nie zawsze panuje chłód i nie każdy dzień jest pełen okrucieństwa.

Sania, Murphy i ja zeszliśmy po schodach i wkroczyliśmy w bramę z błyskawic. Murphy grzecznie odmówiła Sani, który chciał ponieść Maggie. Nie wiedział, jak ma do niej podejść, żeby nakłonić ją do przyjęcia pomocy.

Zaproponowałem, że poniosę jej sprzęt.

Chętnie oddała mi Miecz i sploty, a ja zostałem kilka kroków z tyłu,

obwieszając się bronią. Zawiesiłem P-90 – jedyny przedmiot w posiadaniu Murphy, w którym było wystarczająco dużo przestrzeni, żeby ukryć wędrownego ducha – w taki sposób, że obijał się o czaszkę w prowizorycznej torbie na moim pasie, i bardzo cicho wyszeptałem:

– Wyłaź z broni.

– Najwyższy czas – odpowiedział Bob szeptem. – Już prawie świta. Chcesz mnie upiec? – Pomarańczowe światło leniwie wypłynęło z otworów w P-90 i wróciło do bezpiecznej czaszki. Oczodoły lekko się rozjarzyły i duch wyszeptał niewyraźnie: – Nie każ mi niczego robić przez tydzień. Co najmniej. – Potem światło zgasło.

Upewniłem się, że T-shirt wciąż jest solidnie zawiązany, a broń nie podrapie czaszki. Potem dogoniłem pozostałych i jako pierwszy przeszedłem przez bramę.

Miałem wrażenie, że przechodzę przez cienką zasłonę do innego pokoju. Pojedynczy krok przeniósł mnie z Chichén Itzá do Chicago. A dokładnie znaleźliśmy się w magazynku ojca Forthilla, pełniącym też rolę kryjówki dla uchodźców. Brama z błyskawic zamknęła się za nami z trzaskiem wyładowań elektrycznych.

– Lot bez przesiadek – odezwał się Sania z zaskoczeniem i uznaniem, rozglądając się dookoła. – Nieźle.

Murphy pokiwała głową.

– Żadnych przystanków? Żadnych dziwacznych miejsc? Jak to działa?

Nie miałem pojęcia, więc tylko się uśmiechnąłem i wzruszyłem ramionami.

– Magia.

– To mi wystarczy. – Murphy westchnęła i od razu położyła Maggie na jednym z posłań.

Dziewczynka znów zaczęła płakać, ale Murphy uciszyła ją, okryła kocami i wsunęła jej poduszkę pod głowę, a mała po chwili zasnęła.

Patrzyłem na Maggie, nie angażując się.

Miałem na rękach krew jej matki. Dosłownie.

Sania do mnie podszedł i położył dłoń na moim ramieniu. Skinął głową w stronę korytarza.

– Powinniśmy porozmawiać.

– Idźcie, ja z nią zostanę – odezwała się Murphy.

Skinąłem głową z wdzięcznością i wyszedłem na korytarz z Sanią. Bez słowa podał mi Amoracchiusa. Przez chwilę wpatrywałem się w Miecz.

– Nie jestem pewien, czy powinienem go mieć – powiedziałem.

– Gdybyś był, wahałbym się, czy ci go oddać. Uriel powierzył go twojej opiece. Gdyby chciał, aby zmienił właściciela, powinien sam to powiedzieć.

Wziąłem miecz i zawiesiłem go na tym samym ramieniu co Fidelacchiusa. Wydał mi się bardzo ciężki.

Sania pokiwał głową.

– Przed odejściem Thomas kazał ci to dać. Powiedział, że będziesz wiedział, co to takiego.

Wręczył mi klucz. Rozpoznałem go po literach wytłoczonych na główce, CW. Oznaczały Chrząszcza Wodnego, stary i zdezelowany kuter rybacki Thomasa. Na pokładzie znajdowały się łazienka, prysznic, niewielka kuchnia i kilka koi. Trzymałem tam kilka zestawów ubrań na zmianę, pozostałość naszych nocnych wycieczek na jedną z wysp na jeziorze Michigan.

Mój brat proponował mi miejsce do mieszkania.

Musiałem kilkakrotnie zamrużyć, kiedy przyjmowałem klucz.

– Dziękuję – powiedziałem do Sani.

Przez chwilę z namysłem przyglądał się mojej twarzy.

– Wyjeżdżasz, prawda? – spytał.

Obejrzałem się na mały azyl Forthilla.

– Tak.

Pokiwał głową.

– Kiedy Mab po ciebie przyjdzie?

– Nie wiem – odrzekłem cicho. – Pewnie niedługo.

– Wstawię się za tobą u Michaela – obiecał. – Powiem mu o twojej córce.

– Doceniam to. Ale pamiętaj, że Murphy wie, czego pragnę dla Maggie. Będzie rozmawiała w moim imieniu.

– *Da* – odrzekł. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął metalową piersiówkę. Pociągnął z niej, a potem mnie poczęstował. – Proszę.

– Wódka?

– Oczywiście.

– Na pusty żołądek – poskarżyłem się, ale przyjąłem piersiówkę, przechyliłem ją, jakbym wznosił toast, i wypilem duży łyk. Alkohol palił mi przelyk, ale nie było to nieprzyjemne.

– Cieszę się, że walczyliśmy razem – rzekł, kiedy oddałem mu butelkę. – Zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc ochronić twoją córkę, dopóki nie będziesz mógł wrócić.

Uniosłem brwi.

– Trudno na to liczyć przy takim układzie kart, stary.

– Nie gram w karty – odparł. – Gram w szachy. I moim zdaniem to nie końcówka. Jeszcze nie.

– Nie da się rzucić posady Rycerza Zimy.

– Podobnie jak Rycerza Miecza – odparł. – A jednak Michael jest teraz ze swoją rodziną.

– Miał o wiele sympatyczniejszego szefa.

Sania ryknął śmiechem i jeszcze raz pociągnął z piersiówki, zanim ją schował.

– Co będzie, to będzie. – Podał mi rękę. – Powodzenia.

Uścisnąłem mu dłoń.

– Wzajemnie.

– Chodź – rzekł Rosjanin. – Zadzwońię po taksówkę.

Pojechałem do Chrząższcza Wodnego. Zdjąłem zbroję. Ukryłem miecze w schowkach, które Thomas zbudował właśnie na taką okazję. Razem z nimi umieściłem czaszkę Boba. Potem wziąłem bardzo długi prysznic. Pokładowy bojler był niewielki, ale przywykłem do mycia się w zimnej wodzie. Niestety bycie Rycerzem Zimy tego nie ułatwia, co uważam za kolejny skandal. Dokładnie się wyszorowałem, zwłaszcza dłonie. Nie byłem pewien, czy zmywam krew Susan, czy raczej wcieram ją w skórę.

Potem zacząłem działać machinalnie, powracając do swoich kawalerskich zwyczajów. W kuchni – przepraszam, kambuzie – znalazłem rosół i chili. Podgrzałem je i zjadłem. Do picia miałem do wyboru białe wino, sok pomarańczowy i ciepłą colę. Sok mógł się wkrótce zepsuć, więc wygrał. Gorąca zupa i zimny sok pasowały do siebie lepiej, niż się spodziewałem. Po

posiłku położyłem się na koi. Myślałem, że się prześpię.

Nie byłem w stanie. Leżałem, czując delikatne kołysanie fal wielkiego jeziora. Woda cicho chlupotała i bulgotała, uderzając o kadłub. Słońce ogrzewało kajutę. Byłem czysty, miałem na sobie stary dres i leżałem na zaskakująco wygodnym pościaniu, a jednak nie mogłem zasnąć.

Stary zegar na ścianie – przepraszam, grodzi – tykał równomiernie i uspokajająco.

Ale sen nie przychodził.

Rosół i chili. Nieźle jak na ostatni posiłek.

Może powinienem był się zatrzymać w Burger Kingu.

Kiedy zbliżyło się południe, usiadłem i popatrzyłem na zbroję matki chrzestnej. Ochroniła mnie przed pociskami, błyskawicami, a może i czymś gorszym. Znalazłem kilka śladów z tyłu i na bokach, ale nie skojarzyłem ich z żadnymi konkretnymi atakami. Najwyraźniej dostałem kilka ciosów, których nawet nie zauważyłem. Wiedziałem, że bez tego absurdalnie zdobionego żelastwa już bym nie żył.

Niewielki zegar wybił dwunastą godzinę, a wraz z jego ostatnim uderzeniem zbroja się przemieniła. Po prostu... rozplynęła się w mój stary skórzany płaszcz. Ten, który Susan podarowała mi przed pewną bitwą, bardzo dawno temu.

Wziąłem płaszcz do ręki. Widniały na nim rozcięcia. Wypalone łaty. Widoczne otwory po kulach. Więcej dziur niż materiału, a pozostała skóra była popękana, wyschnięta, sztywna i pokruszona. Rozpadała mi się w dłoniach.

Kopciuszek pewnie nie próbował upiec ciasta z dyni, która wcześniej była karocą. Chociaż w niektórych wersjach opowieści to była cebula. Może nadawałaby się do zupy.

Wrzuciłem płaszcz do jeziora i patrzyłem, jak idzie na dno. Umyłem twarz w łazience i popatrzyłem w małe lustro, wytyczając wzrok. Amulet mojej matki i klejnot lśniły na mojej nagiej piersi.

Trzy dni temu wiodłem normalne życie. Teraz pozostał mi właściwie tylko ten kawałek srebra z kamieniem. Nie miałem biura. Nie miałem domu. Nie miałem samochodu. Nie miałem psa ani kota. Boże, dokąd uciekł Mister po

pożarze? Nie miałem niezależności. Nie miałem wolności. Nie miałem przyjaciół – a przynajmniej nie będę ich miał, gdy Mab już ze mną skończy.

Co mi zostało?

Kawałeczek srebra i malutki kamień szlachetny.

Oraz Maggie.

Usiadłem i czekałem, co się wydarzy.

Usłyszałem kroki na nabrzeżu, a potem na pokładzie. Po chwili Murphy zapukała do drzwi i weszła do kajuty.

Wyglądała, jakby przyszła prosto z kościoła, ponieważ wciąż miała na sobie pobielany strój bitewny, a po jej twarzy było widać, że nie spała. Powoli wypuściła powietrze i pokiwała głową.

– Tak myślałam.

– Murph – odrzekłem. – Może nie powinnaś tutaj przychodzić.

– Musiałam się z tobą zobaczyć. Tak... tak po prostu odszedłeś.

– Chciałaś się pożegnać? – spytałem.

– Nie bądź głupi – odparła. – Nie chcę tego robić. – Przełknęła ślinę. – Harry... po prostu... Martwiłam się o ciebie. Nigdy nie widziałam cię w takim stanie.

– Jeszcze nigdy nie zabiłem matki swojego dziecka – odrzekłem bezbarwnym głosem. – Coś takiego trzeba sobie poukładać w głowie.

Zadrżała i odwróciła wzrok.

– Chciałam się upewnić, że nie zamierzasz sam siebie ukarać. Że nie zrobisz... czegoś drastycznego.

– Jasne – odrzekłem. – Żadnych drastycznych kroków. To cały ja.

– Psiakrew, Dresden.

Rozpostarłem ręce.

– Czego ode mnie chcesz, Murphy? Nic już nie zostało.

Usiadła obok mnie, nie spuszczaając wzroku z mojej twarzy, klatki piersiowej, ramion, przyglądając się wszystkim bliznom.

– Wiem, jak się czujesz – powiedziała. – Kiedy Maggie się zadomowiła, zadzwoniłam do biura. Otwarto nowe dochodzenie. Ten kutas Rudolph. – Przełknęła ślinę, a ja niemal czułem woń jej bólu. – Gra jest ustawiona. Stallings próbuje mi załatwić wcześniejszą emeryturę. Dostanę połowę

stawki.

– Jezu, Murphy – szepnąłem.

– Jestem gliną, Harry – odrzekła. – Ale po czymś takim... – Rozłożyła ręce, żeby pokazać mi, że są puste.

– Przykro mi. To ja cię w to wpakowałem.

– Nie pierdol. – Popatrzyła na mnie z wściekłością w niebieskich oczach. – Nie będę słuchać tych bzdur. Wiedziałam, co robię. Podjęłam ryzyko. Zapłaciłam cenę. Będę robiła to dalej, dopóki będę miała ochotę. Nie próbuj mi tego odebrać.

Nieco zawstydzony odwróciłem wzrok. Zapewne miała rację. Mogła się wycofać już dawno temu. Postanowiła pozostać moją przyjaciółką, chociaż zdawała sobie sprawę z zagrożenia. Nie było mi łatwiej się z tym pogodzić, ale poczułem do niej jeszcze większy szacunek.

Czy to coś złego, że podziwiam kobietę, która potrafi przyjąć cios? Przyjąć go z niezachwianym hartem ducha i powstać z ogniem w oczach?

Jeśli tak, chyba mogę to zrzucić na karb swojego pochrzanionego dzieciństwa.

– Chcesz zatrzymać Miecz? – spytałem.

Cicho jęknęła.

– Mówisz jak Sania. To były jego pierwsze słowa. – Wykrzywiła usta w szerokim uśmiechu i odezwała się z rosyjskim akcentem. – Doskonale! I tak mam za dużo na głowie!

Prawie się roześmiałem.

– Muszę przyznać, że dobrze z nim wyglądasz.

– I dobrze się z nim czułam – przyznała. – Nie licząc tamtego złowieszczonego ostrzeżenia. Zupełnie, jakbym była czyjąś marionetką. – Zadrżała. – Uch...

– No tak, archanioły potrafią być irytujące. – Wskazałem głową ukryty schowek. – Za tym panelem jest pusta przestrzeń. Jeśli kiedyś zapragniesz Miecza, tam go znajdziesz.

– Nie chcę działać pochopnie. Zdarzało mi się szukać pocieszenia w męskich ramionach. Nie mam zamiaru pocieszać się nową robotą.

– Więc co zamierzasz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie chcę o tym myśleć. Mam dosyć podejmowania decyzji. Dlatego... pewnie zaleję się w pestkę. A potem wskoczę do łóżka pierwszemu w miarę zdrowemu facetowi, jaki się nawinie. Rano będę zakłopotana i skacowana. A później zobaczymy.

– Niezły plan – odrzekłem. Moje usta mówiły dalej, nie konsultując się z resztą. Znowu. – Przyda ci się towarzystwo?

Zapadła ciężka cisza. Murphy aż przestała oddychać. Moje serce lekko przyspieszyło.

Miałem ochotę przeklinać swoją głupotę, ale...

W sumie dlaczego nie?

Złe wyczucie czasu to wymysł ludzi, którzy mają go w bród.

– W końcu... – Przełknęła ślinę i widziałem, że zmusza się do swobodnej odpowiedzi. – W końcu ty też ćwiczysz. A to uprościłoby sprawę.

– Prostota – odrzekłem. – To moja specjalność.

Uniosła dłoń do włosów i zmusiła się, by ją opuścić.

– Chciałabym... – Wzięła oddech. – Wpadnę po ciebie za godzinę?

– Jasne.

Kiedy wstawała, miała zaróżowione policzki. Na dzwony piekiel, wyglądała uroczo.

– No to do zobaczenia za godzinę – rzuciła.

Zanim zdążyła odejść, chwyciłem ją za rękę. Miała drobne, silne i nieco szorstkie dłonie. Bandaże zakrywały kilka pękniętych bąbli, które pozostały jej po półgodzinnym wymachiwaniu mieczem. Nachyliłem się i pocałowałem jej palce, jeden po drugim. Potem niechętnie ją puściłem, czując, że w moim brzuchu szaleją motylki.

– Za godzinę.

Wyszła i szybkim krokiem skierowała się do samochodu. Jej potargany kucyk kołysał się na boki.

Jedyną pewną rzeczą w życiu jest zmiana. Większości zmian, które ostatnio mnie spotkały, nie mogłem uznać za udane.

Może ta też nie przyniesie niczego dobrego... ale miałem inne przeczucie.

Przez czterdzieści minut goliłem się i przygotowywałem swoje

najładniejsze ubranie, czyli jeansy, T-shirt i starą jeansową kurtkę z polarem. Nie miałem wody kolońskiej, więc musiały mi wystarczyć dezodorant i mydło. Nie chciałem zastanawiać się nad tym, co robię. Jeśli we śnie uświadomisz sobie, że tylko śnisz, puf, wszystko znika.

Nie chciałem, by tak się stało.

Przez kolejne kilka minut tylko... oddychałem. Słuchałem otaczającej mnie wody. Cykania zegara. Spokojnej ciszy. Napawałem się odprężającą samotnością.

Potem powiedziałem:

– Dostyc tego pieprzonego zen. Może przyjdzie wcześniej.

Wyszedłem z kajuty na wczesnopopołudniowe słońce, drząc pod wpływem przyjemnego napięcia. Byłem zmęczony, udręczony i... pełen nadziei. Osłoniłem oczy przed słońcem i przyjrzałem się miejskiemu pejzażowi.

Lekko się poślizgnąłem i prawie straciłem równowagę, gdy coś z ostrym trzaskiem uderzyło o ścianę kajuty przede mną, jak kamień rzucony w drewniany płot. Odwróciłem się i z jakiegoś powodu poczułem się ocieślały. Obejrzałem się na ścianę – albo gródź, nieważne – Chrząszcza Wodnego i pomyślałem: kto zachlapał moją łódkę czerwoną farbą?

Później moja lewa noga sama się pode mną ugięła.

Pomyślałem: dlaczego włożyłem koszulę z dziurą po pocisku?

Po chwili spadłem z rufy do lodowatej wody jeziora Michigan.

Bolało, ale tylko przez chwilę. Potem w całym ciele poczułem cudowne ciepło i potworne zmęczenie, a sen, który dotychczas pozostawał nieuchwytny, wreszcie znalazł się w zasięgu ręki.

Zrobiło się ciemno.

Zrobiło się cicho.

Uświadomiłem sobie, że nikogo przy mnie nie ma.

– Umrzyj samotnie – rozległ się gorzki, nienawistny szept starca.

– Cichutko – szepnęła kobieta. Jej głos brzmiał znajomo.

Nie poruszyłem się, ale zobaczyłem przed sobą światło. Zorientowałem się, że przemieszczam się w jego stronę tunelem. A może to ono się do mnie zbliżało? Wyglądało jak coś ciepłego i cudownego, więc ku niemu ruszyłem.

Nagle usłyszałem jakiś dźwięk.

Typowe, pomyślałem. Nawet kiedy umrzesz, nic nie staje się prostsze.

Światło szybko się przybliżyło, a ja wyraźnie usłyszałem syrenę i stukot kół nadjeżdżającego pociągu.

SŁOWO OD AUTORA

Kiedy miałem siedem lat, nabawiłem się paskudnej anginy i przez cały tydzień nie chodziłem do szkoły. Wtedy moje siostry kupiły mi moje pierwsze powieści fantasy i science fiction: komplet tomów *Władcy Pierścieni* oraz zestaw książek o przygodach Hana Solo autorstwa Briana Daleya. Pochłonąłem je wszystkie w ciągu tamtego tygodnia.

Od tamtej pory byłem właściwie skazany na zostanie fanem literatury fantastycznej. A stąd już tylko krok dzielił mnie od decyzji o zostaniu pisarzem w moim ulubionym gatunku literackim. No i proszę.

Obwiniam o to swoje siostry.

Od początku pokochałem opowieści o mieczach i koniach. Po Tolkienie zabrałem się do C.S. Lewisa. Po Lewisie do Lloyd'a Alexandra. Potem pojawili się Fritz Leiber, Roger Zelazny, Robert Howard, John Norman, Poul Anderson, David Eddings, Weis i Hickman, Terry Brooks, Elizabeth Moon, Glen Cook, i zanim się zorientowałem, miałem podwójne obywatelstwo i oprócz Stanów Zjednoczonych zamieszkiwałem Lankhmar, Narnię, Gor, Cimmerię, Krynn, Amber... rozumiecie, o czym mówię.

Kiedy postanowiłem zostać pisarzem, przez pierwsze lata pisałem powieści fantasy o mieczach i koniach, ale wyglądało na to, że nie mam do tego talentu. Stale pracowałem nad warsztatem i eksperymentowałem z innymi gatunkami, między innymi SF, kryminałami i współczesną fantastyką. Właśnie w ten sposób zrodziły się *Akta Dresdena* – jako szczęśliwy traf, który przydarzył mi się, gdy próbowałem osiągnąć coś innego. Trochę jak penicylina.

Nigdy jednak nie zapomniałem o swojej pierwszej miłości i pewnego dnia z zachwytem i podnieceniem odebrałem telefon od mojego agenta, który poinformował mnie, że będę mógł podzielić się swoją najnowszą powieścią o mieczach i koniach z innymi fanami.

Codex Alera to seria fantasy, której akcja toczy się w dzikim świecie Carna, gdzie duchy żywiołów, znane jako furie, kryją się w każdym aspekcie życia, a liczne rozumne rasy walczą o bezpieczeństwo i przetrwanie. Kraina Alera to monolityczna ludzka cywilizacja dysponująca unikatową umiejętnością wykorzystywania siły furii i kierowania nimi w celu obrony przed potężnymi i czasami wrogimi żywiołami Carny oraz dzikimi stworzeniami, które chcą doprowadzić Alerę do ruiny.

Jednakże nawet tak potężna kraina jak Alera nie jest odporna na zniszczenie od wewnątrz, a śmierć dziedzica tronu daje początek serii ambitnych politycznych manewrów i starć między Wysokimi Władcami, którzy władają mocą najpotężniejszych furii znanych człowiekowi. Rodzą się intrygi, mnożą się zdrajcy i szpiegzy, a wojna domowa wydaje się nieunikniona. Tymczasem wrogowie krainy obserwują to z ukrycia, gotowi uderzyć, gdy wyczują pierwsze oznaki słabości.

Tavi jest młodzieńcem mieszkającym na pograniczu alerańskiej cywilizacji, ponieważ, nie bójmy się tego powiedzieć, wszystkie opowieści o mieczach i koniach zaczynają się w takich miejscach. Przyszedł na świat jako wybryk natury, niezdolny do wykorzystywania mocy furii, i dorastał, polegając wyłącznie na własnym sprycie, szybkości i odwadze. Kiedy ambitny plan zdyskredytowania króla pozostawia ojczyznę Tawiego, Dolinę Calderona, bezbronną wobec ataku hordy barbarzyńskich Maratów, chłopiec i jego rodzina stają najeźdźcom na drodze.

Nie mogą im przyjść z pomocą mocarni Wysocy Władcy, Legiony ani Rycerze zbrojni w moc furii. Tavi i wolni pogranicznicy z Doliny Calderona muszą znaleźć sposób na przejrzenie intrygi i obronienie swoich domów przed bezlitosną hordą Maratów i ich bestiami.

W tej rozpaczliwej godzinie, gdy los Alery wisi na włosku, garstka zwykłych ludzi musi odnaleźć w sobie odwagę i siłę, by przeciwstawić się przeważającym siłom wroga, a odwaga i inteligencja jednego młodzieńca może ocalić całą krainę lub ją zniszczyć.

Dziękuję Wam, czytelnicy i fani, za wsparcie i serdeczne słowa. Mam nadzieję, że czytanie serii *Codex Alera* sprawi wam tyle samo radości, ile dało mi jej tworzenie.

Jim

O AUTORZE

Jim Butcher, entuzjasta sztuk walki. W jego CV można znaleźć wiele umiejętności, które stały się bezużyteczne w ciągu ostatnich dwustu lat. Rozpoczął karierę pisarza, ponieważ każdy inny zawód zapewne doprowadziłby go do szaleństwa. Mieszka w Independence w stanie Missouri z żoną, synem i srogim psem obronnym. Możesz odwiedzić jego stronę internetową pod adresem www.jim-butcher.com.